

Miłość i dym

Blake Jennifer



calibre 0.9.43

Jennifer Blake

Miłość i dym

U amour et la fumme ne se cachent pas

*Miłości i dymu nie da się ukryć (Z
księgi kreolskich przysłów Luizjany)*

ROZDZIAŁ 1

Mogła go zniszczyć.

Przekonanie o własnej sile tkwiło w świadomości Rivy Staulet i napełniało ją poczuciem triumfu, gdy siedziała

obserwując mówcę. Żadnym mężczyzną nie gardziła tak bardzo jak Edisonem

Gallantem, którego właśnie ogłoszono

kandydatem Partii Demokratycznej na stanowisko gubernatora Luizjany; żaden też nie zranił jej dotkliwiej.

Niepokoili ją jednak zarazem świadomość, iż pragnie owej siły użyć. Z natury nie była mściwa, więc satysfakcja z

posiadania sposobów mogących zamknąć Edisonowi drogę do kariery wydawała jej się uczuciem niegodnym. Nie

znaczyło to jednak, że skrupuły mogą ją powstrzymać. Konsekwencje przegranej były zbyt wielkie...

Odczuwanego przez Rive
zdenerwowania nie było po niej widać.
Siedziała z rękami swobodnie złożonymi
na

kolanach i z wyrazem uprzejmego
zainteresowania na jasnej twarzy o
regularnych rysach. Mając czterdzieści
lat była

wciąż piękną kobietą, z elegancją
noszącą gładkie kremowe lny doskonale
skomponowane z połyskującym wokół
szyi

podwójnym sznurem słynnych
stauletowych pereł. W lśniących
złocisto-brązowych, klasycznie
uczesanych włosach

średniej długości nie było śladu siwizny. Owalna twarz - być może z powodu ciemnych, prostych brwi - miała

poważny wyraz. Szerokie rondo kapelusza z kremowej włoskiej słomki ocieniało zielone oczy z tęczęwkami

obwiedzionymi ciepłym złotem i rzucało koronkowe cienie na wysokie kości policzkowe. Ten praktyczny kapelusz,

którym chroniła się przed gorącym słońcem Luizjany, prażącym uczestników owego politycznego spotkania,

przydawał jej zarazem tajemniczości. Sprawiała wrażenie nie tylko chłodnej,

opanowanej damy, ale i osoby

skrywającej sekrety.

Riva dokładnie wiedziała, jak i dlaczego tak właśnie wygląda. Jeśli w ciągu dwudziestu pięciu lat dzielących ją od

chwili, gdy po raz ostatni widziała Edisona Gallanta, czegokolwiek się nauczyła, to właśnie panowania nad emocjami.

Zmienił się. Przytył. Jego głos zdawał się pełniejszy i głębszy, a w dobrze ostrzyżonych jasnych włosach połyskiwały

pasemka siwizny. W wyglądzie Edisona było teraz coś z owej gładkiej powierzchni, jakiej nabierają aktorzy i

zawodowi politycy. Tylko jego oczy pozostały nadal wyraziście niebieskie i ciągle miał to coś, co sprawiało, że każda z

siedzących tu kobiet prostowała się i uśmiechała, gdy spoglądał w jej stronę.

Każda, z wyjątkiem Rivy Staulet. Napotkała jego spojrzenie, lecz nie zareagowała na nie. Jej spokój i niewzruszone

skupienie przyciągnęło widać uwagę

mówcy, bo zatrzymał na niej wzrok. Niepewność, która pojawiła się na jego twarzy, szybko zniknęła. Skłonił się lekko w jej stronę i kontynuował przemówienie.

Nie poznał jej.

Edison nie miał wątpliwości, że zna tę kobietę; widział w niej wdowę po dobrze znanym biznesmenie, jakim był

Cosmo Staulet; kobietę będącą teraz współwłaścicielką - wraz z pasierbem, Noelem Stauletem - Staulet Corporation,

międzynarodowego koncernu mającego udziały w przemyśle cukrowniczym i

paliwowym oraz w ubezpieczeniach

morskich i produkcji mikroprocesorów.

Nic dziwnego, że tak właśnie sądził. Jej twarz często pojawiała się na ekonomicznych i społecznych kolumnach gazet

w całym kraju, szczególnie zaś na łamach dzienników nowoorleańskich w ostatnich dniach karnawału, choć nieobca

była również kronikom towarzyskim wielkich miast Wschodniego Wybrzeża i Europy. Opisywano wysiłki pani Staulet zmierzające do ochrony i konserwacji

zabytków - zarówno publicznych, jak i jej własnej przedwojennej plantacji,

znanej pod nazwą Bonnie Vie. Zdolności dekoratorskie, których dowiodła w studiu w Kolorado i willi na wyspach,

prezentował „Przeгляд Architektoniczny” i „Nowoczesny Dom”. Niejednokrotnie zwracali się do niej autorzy

telewizyjnego cyklu „Jak żyją bogaci i sławni”, lecz odmawiała udziału w tym programie. Była kobietą bardzo

popularną, ale starannie wybierającą miejsca, w których się pojawiała, choć w gruncie rzeczy znaczenie miały dla

niej

nie owe miejsca, ale to, kim sama była.

Przysięgłaby, że Edison jej nie poznał.
Nie wiedziała, czy cieszyć się tym czy
złościć, gratulować sobie czy też
martwić

się.

O jego politycznych zabiegach i
kręctwach wiedziała już od pewnego
czasu. Już dawno mogła położyć im kres
i być

może powinna była to zrobić. Cosmo
doradzał jej jednak powściągliwość.
Zwykł mawiać, że pospolita zemsta to

coś

poniżej godności damy. Niech przeszłość pozostanie przeszłością, wiadomo bowiem, czym grozi babranie się „w tym

błocie”.

Cosmo lubił maksymy, a przy tym był roztropny. Teraz jednak nie miało to już znaczenia. Odszedł; zmarł przed

sześcioma długimi miesiącami i wszystko się zmieniło. Riva nabierała przekonania, że będzie musiała zetknąć się z

tym błotem. Zastanawiała się jednak, jak

bardzo się przy tym ubrudzi.

Ludzie stojący na trybunie za Edisonem byli zgrzani. Dwaj jego kontrkandydaci do urzędu, którzy przemawiali

wcześniej, oraz szef kampanii Edisona, będący organizatorem dzisiejszego spotkania, siedzieli ze zmrużonymi oczami,

a pot spływał im po twarzach. Ubrana w granatowy jedwab żona Edisona wachlowała się chusteczką, a jego

jasnowłosy syn, prężąc szerokie ramiona baseballisty, rozluźniał kołnierzyk koszuli.

Nad zgromadzonymi unosił się aromat szynki i krewetek jambalai, zmieszany z zapachem piwa dobywającym się ze

schłodzonych beczulek, które już otwarto, oraz wonią świeżo skoszonych trawników parkowych.

Delikatny wietrzyk musnął stłoczoną publiczność, łagodząc dokuczliwy żar; dębowe liście z cichym szelestem spadały

na trawnik. Po chwili jednak gorące, wilgotne powietrze znów oblepiło zebranych.

Siedzący obok Rivy mężczyzna, który towarzyszył jej dzisiaj, poruszył się

niepokojnie, a potem uniósł dłoń do ust,
by

ukryć ziewnięcie. Uśmiechnęła się do
niego przepraszająco. Wiedziała
przecież, że słuchanie przemówień

politycznych nie miało nic wspólnego z
planami Dantego Romoli na miłe
sobotnie popołudnie. Dante potrząsnął
tylko

głową o krótko ostrzyżonych, falistych,
brązowych włosach i spojrział z ukosa.
Znosił to wszystko cierpliwie, choć bez

zapału. Był jednak z Riva i tylko to
miało znaczenie.

Rozległy się oklaski. Edison Gallant wznosząc dłonie w geście pozdrowienia, odszedł od mikrofonu. Szeff jego

kampanii zaprosił zebranych na zupę z pędów hibiskusa i jambalaję, która osiągnęła już niemal temperaturę

otoczenia. Ludzie zaczęli podnosić się ze składanych krzeseł i gawędząc ruszyli w kierunku cienistych dębów kryjących rząd namiotów z bufetami.

- Ciociu Rivo! Tutaj!

Riva spojrzała w stronę, z której dobiegał głos. Zmierzająca ku niej

młoda kobieta była tak atrakcyjna, że obracały się

za nią wszystkie głowy. Jej włosy miały kolor złota i bujną falą opadały na ramiona, a zielone oczy lśniły przejrzystością.

Poruszała się krokiem modelki, lecz widać było, że zupełnie nie troszczy się o własny wygląd ani wrażenie, jakie

wywołuje. Twarz Rivy rozjaśniła się radością na widok siostrzenicy. Już po chwili utonęła w jej serdecznym uścisku.

Erin przywitała Dantego i natychmiast zwróciła się ku ciotce.

- Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, zarezerwowałabym ci miejsce w cieniu. Czemu mnie nie uprzedziłaś?

- Zdecydowałam się w ostatniej chwili.

- Podobnie jak wiele innych osób; właśnie spotkałam Noela. Okazało się, że jeden z jego dawnych kumpli z college'u

jest współorganizatorem dzisiejszego zebrania i namówił go do przyjścia.

Ponad ramieniem dziewczyny Riva dostrzegła ciemnowłosego mężczyznę; odskłoniła się, a on powolnym krokiem przeszedł dalej.

To powitanie było równie nienaturalne jak i sam ukłon Noela Stauleta, syna z pierwszego małżeństwa zmarłego

Cośmy. Zaledwie kilka godzin wcześniej widziała przecież Noela przy śniadaniu. Nie było żadnego powodu do

zdenerwowania, ale rezerwa, z jaką odnosili się do siebie wzajemnie, nagle wydała się Rivie absurdalna. Równie

absurdalna jak ból wynikający z powściągliwości. Oboje byli dorośli, a minęło ponad dwadzieścia lat od pamiętnego

popołudnia, gdy Cosmo Staulet ze względu na swą młodą żonę odprawił z

domu jedynego syna. Noel był już zresztą

wtedy mężczyzną o całe pięć lat starszym niż macocha. Riva zdawała sobie sprawę, że miał uzasadnione powody, by

czuć do niej niechęć, i starała się to zrozumieć. Od czasu gdy tuż przed śmiercią Cośmy jego syn wrócił z wygnania we

Francji, stosunki między nim a Riva były wprawdzie poprawne, ale Riva uważała, że pasierb mógłby okazywać jej

trochę więcej uprzejmości w obecności

obcych osób. Erin trajkotała bez przerwy.

- Wiem, o co chodzi, ciociu Rivo! Nie oszukasz mnie! Chciałaś rzucić okiem na Josha! Czyż to nie cudowne, że siedział

w tym słońcu po to tylko, by wesprzeć duchowo swego ojca?! Czyż to nie wspaniały chłopak?! Chodźmy, przedstawię

ci go. Możesz przy okazji poznać przyszłego gubernatora.

Riva pozwoliła się poprowadzić. Może tak zresztą będzie lepiej, bardziej naturalnie. Spoglądając przez ramię rzuciła

okiem na Dantego, który zrównał krok z Noelem i teraz obaj wolno podążali za paniami. Obecność Dantego w czasie

tego spotkania mogła być krzepiąca, ale jako nie planowana mogła też okazać się błędem...

Edison zgromadził swój dwór pod sękatymi gałęziami starego dębu. Potrójnym wianuszkiem otaczali go

przedstawiciele prasy, czego Riva powinna się była spodziewać, gdyby znalazła czas, aby o tym pomyśleć.

Zawahała

się więc, nie chcąc przerywać czegoś, co najwyraźniej było zaimprovizowaną

konferencją prasową. Erin zaś skrzyła
zdecydowanie w tamtym kierunku
machając ręką do młodego Gallanta.

Szeroki uśmiech odmalował się na
kwadratowej twarzy Josha, gdy zobaczył
Erin. Uniósł dłoń i przedarł się ku

nadchodzącym przez tłum otaczający
ojca. Kiedy ich sobie przedstawiano,
Riva podała dłoń młodemu
człowiekowi.

W jego śmiałym błękitnym spojrzeniu, w
wycięciu ust i zarysie podbródka było
coś, co przyprawiło ją o zaciśnięcie
krtani.

- Tak wiele słyshałem o pani od Erin - powiedział Josh - że wydaje mi się, jakbym znał panią od dawna.

Zdobyła się na uśmiech.

- No cóż... Muszę przyznać, iż odnoszę to samo wrażenie.

Młody człowiek wymienił uścisk dłoni z Noelem i Dantem, po czym spojrział w stronę ojca.

- Prasowe hieny dostały już chyba swoją porcję, a wiem, że mama i tata chcieliby panią poznać.

Już po chwili stała więc przed Edisonem Gallantem i jego żoną. Ciarki

przeszły jej po plecach, ale szybko się

opanowała. Stojąc z podniesioną głową, przybrała wyraz owej pewności siebie, którą osiągnęła przez lata spędzone

w eleganckim towarzystwie, a opartej na starej fortunie i nowych zdobyczach. Nie była już bosą wiejską dziewczyną

w wypłowiałej kretonowej sukience. Nie miała żadnego powodu, by czuć onieśmienie.

- Pani jest ciocią Erin? Powiedziałbym, że raczej siostrą! - Edison wyrzekł te słowa z wytrenowaną galanterią, by

formalnościom stało się zadość. - To

wielki zaszczyt i przyjemność gościć panią. Oboje z żoną doceniamy fakt, że poświęca nam pani swój cenny czas.

- Tak, naturalnie... - pośpieszyła z zapewnieniem Anna Gallant.

Stała nieco sztywna, jak gdyby świadomie grała rolę żony polityka, choć i tak była do niej wprost stworzona: typ

zasłużonej działaczki stowarzyszenia młodzieżowego, z białym marynarskim kołnierzem przy sukni, w granatowo-

białych czółenkach, bez żadnej biżuterii. Wyraz jej orzechowych oczu zdradzał

osobliwe połączenie nudy i ...lęku.

Kiedy jednak zwróciła się ku synowi, który otoczył ramieniem śliczną Erin, przyklejony do jej twarzy uśmiech stał się

żywszy i cieplejszy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Riva, dumna ze spokojnego brzmienia swego głosu.

Słowa Edisona potraktowała jako oczywiste pochlebstwo, choć błysk uznania w jego oczach zdawał się prawdziwy.

Wolałaby, aby kontakty z tym

człowiekiem nie były zbyt bliskie i skończyły się jak najszybciej.

Jeden z fotoreporterów z ekipy prasowej, która zbierała się do odejścia, obejrzał się. Ujrzawszy Rive i jej siostrzenicę,

zawrócił i zdjął osłonę z obiektywu swego aparatu. Riva nie wiedziała, czy rozpoznał „panią Staulet”, czy też zależało

mu jedynie na jeszcze jednej fotografii nowo wybranego kandydata z żoną, synem i dwiema efektownymi kobietami.

Obiektyw jednak najwyraźniej skierował się ku Erin. Do niej właśnie

uśmiechnął się ciemnowłosy i chudy

młodzieniec, nim uniósł aparat i zaczął fotografować.

Riva przyzwyczajona była do aparatów i kamer, ale uwiecznieniem tego spotkania nie była zainteresowana.

Podniosła rękę w geście protestu, ale nie wykonała go, bo Edison, błysnąwszy uśmiechem, zdążył już objąć

ramieniem jej siostrzenicę. Całą piątką zastygli więc w bezruchu, gdy migawka aparatu trzaskała.

Fotograf podziękował i nie spuszczać wzroku z Erin, długo cofał się tyłem,

nim w końcu zaczął biec, by dogonić kolegów. Riva żałowała, że nie wie, którą gazetę reprezentuje młody człowiek, bo mogłaby postarać się o wycofanie

tej fotografii. Teraz jednak pozostawała jej tylko nadzieja, że wśród wielu zdjęć zrobionych dzisiejszego dnia to jedno

nie wzbudzi szczególnego zainteresowania.

Edison zwrócił się ku Rivie.

- Rozmawialiśmy o Erin, prawda? Okazała mi wielką pomoc w sztabie wyborczym. Co więcej, przydaje urody

temu

miejscu - oznajmił z kurtuazją.

- Jestem pewna, że to dla niej cenne doświadczenie - ucięła Riva.

- Ja też tak sądzę - odparł lekko. - Dla nas w każdym razie jest cenna.

Noel Staulet i Dante Romoli przedstawieni zostali zebrany, gdy tylko dołączyli do grupy. Przez chwilę wszyscy stali,

wymieniając uprzejmości i nawiązując do przemówienia Edisona. Potem Josh i Erin odeszli pod pretekstem

poszukania w namiotach bufetowych jedzenia.

W rozmowie nastąpiła teraz przerwa. Edison Gallant rozglądał się wokół, najwyraźniej szukając wzrokiem innych

szanowanych obywateli, których powinien powitać indywidualnie. Riva poczuła na swym łokciu dłoń Dantego.

Widząc, że gotów jest do odejścia, zaczerpnęła głęboko tchu.

- Zastanawiam się, panie Gallant, czy mogłabym prosić pana o krótką rozmowę... - powiedziała.

Uprzejme zainteresowanie Edisona

natychmiast odbiło się na jego twarzy, a w niebieskich oczach pojawiła się

ciekawość.

- Ależ oczywiście! Może zjemy lunch w poniedziałek? Moja sekretarka potwierdzi termin.

- Teraz, bardzo proszę. Zajmę panu tylko chwilę, a rozmowa - o tym jestem przekonana! - wyda się panu interesująca

i ważna.

Czuła na sobie zaniepokojony wzrok Dantego i szybkie, rzucone z ukosa spojrzenie Noela. Zignorowała ich obu i

czekała na odpowiedź Edisona.

Jego wzrok szybko, choć dyskretnie przesunął się po całej sylwetce Rivy, nim ponownie spoczął na jej twarzy.

Edison

uśmiechnął się szybkim ruchem kształtnych warg.

- Jak pani sobie życzy. Może przejdziemy się pod tamtymi drzewami.

Nie przepraszając żony ani pozostałych osób, odwrócił się i zaczął iść we wskazanym przez siebie kierunku. Riva

dotknęła ramienia Dantego i przyrzekłszy, że za pięć minut spotkają

się w bufecie, poszła za Edisonem.
Wzrok, który

czuła na plecach, odchodząc z
kandydatem na gubernatora, należał do
Noela.

Czuła, że umysł ma sparaliżowany. Nie
mogła wprost uwierzyć, że wybrała się
na spacer po zielonej murawie z

mężczyzną, którego tak długo
nienawidziła. By dać sobie czas na
decyzję, jak wyrazić to, co postanowiła
mu

powiedzieć, prowadziła banalną
rozmowę o organizacji zebrania, o
klubie, w którym przygotowano zupę i

jambalaję,

o przedsiębiorstwach miejskich, które dostarczyły namioty, i o tym, jak wszystko to świadczy o poparciu dla

kandydatury Gallanta. W końcu doszli do miejsca leżącego w głębokim cieniu dębu, a położonego wystarczająco

daleko, by nikt nie słyszał rozmowy, wystarczająco jednak blisko, by obecność ewentualnych obserwatorów

zapobiegła fałszywej ocenie sytuacji.

Riva zdjęła kapelusz i palcami przeczesła włosy. Napotkała wzrok swego towarzysza.

- Obawiam się, że mógł pan mnie źle zrozumieć. Sprawa, którą chciałam poruszyć, nie dotyczy polityki.

- Jaka szkoda - odparł tonem, który przeczył wypowiedzianym słowom, lecz jego uśmiech był ciepły, a spojrzenie

niebieskich oczu bystre. - Zaczynałem się już cieszyć na myśl o bliskich związkach ze „Staulet Corporation”. I z panią.

Przez chwilę usiłowała sobie uświadomić, co pociągało ją kiedyś w tym mężczyźnie. Doszła do wniosku, że nieodparty

wdzięk ukryty pod warstwą egoizmu.

Nie zawsze jednak ukryty był tak głęboko...

- Nie zdaje pan sobie widać sprawy - powiedziała stanowczym głosem - że nasz związek już od dawna jest aż nadto bliski.

Jego brwi uniosły się w zdumieniu.

- Nie rozumiem...

- Mówię o swojej siostrzenicy i pańskim synu, Joshu.

- A cóż on zrobił?

- Nic nie zrobił. Rzecz w tym, kim on

jest. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział wreszcie. - Ale nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi.

- Nie życzę sobie, aby pański syn spotykał się z moją siostrzenicą i domagam się, by położył pan kres tym spotkaniom.

Tłumionym śmiechem usiłował pokryć zdumienie i irytację.

- Josh jest pełnoletni; oboje zresztą są pełnoletni. Czego więc naprawdę oczekuje pani ode mnie?

Przewidziała to pytanie.

- Może pan wysłać Josha do siedziby swojego sztabu wyborczego na północy stanu, w Shreveport.

- Mam to zrobić dla zaspokojenia pani kaprysu?!

- Byłoby to bardzo mądre z pańskiej strony.

- To tylko pani opinia.

Jego cierpliwość kurczyła się, ustępując miejsca irytacji. Już pogodził się z myślą, że nie dostanie od tej kobiety żadnej

darowizny.

- Jest jeszcze coś... - dodała.

- Pani mi grozi?

- Skąd ten pomysł? - W jej słowach kryło się cienkie ostrze drwiny. Jakże przyjemnym uczuciem jest przewaga

odczuwana po tylu latach...

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby powiedziała pani wprost, do czego zmierza.

- Powiedziałam. Nie życzę sobie, by moją siostrzenicę łączyło z jakimkolwiek członkiem pańskiej

rodziny coś więcej,

niż łączy ją do tej pory, i w pana interesie leży dopilnowanie, by moje życzenie zostało spełnione.

- A jeśli nie?

- Wtedy prasa się dowie, że dwadzieścia pięć lat temu dopuścił się pan bigamią.

Bigamia. To słowo zawisło między nimi w napiętej gorącej ciszy. Z daleka dobiegał gwar rozmów, śmiech i dźwięki

skrzypiec dochodzące z trybuny, na której wcześniej Edison wygłaszał

przemówienie. Liście dębu, poruszone
tchnieniem wiatru, szeleściły, a potem
cicho spadały na trawę.

Oczy Edisona zaokrągliły się ze
zdumienia. Krew odpłynęła mu z twarzy.
Błądząc wzrokiem po twarzy Rivy,
zdawał się

badać jej rysy.

- To niemożliwe... - rzekł wreszcie.

- Ależ możliwe, z całą pewnością.

- To ty? Mała Rebeka Benson? Nie... -
Głos uwiązł mu w krtani.

Uciekając wzrokiem przed zimnym spojrzeniem Rivy, zapatrzył się nie widzącymi oczami na zebrany w oddali tłum,

ale już po chwili twarz kobiety znów, niczym magnes, przyciągnęła jego uwagę.

Riva wiedziała, że Gallant rozważa szybko sytuację, próbując znaleźć z niej wyjście i zastanawiając się, w jakim

stopniu jej oskarżenie może mu zaszkodzić. Musiał zdawać sobie sprawę, że konsekwencje byłyby bardzo poważne.

Panujący obecnie klimat polityczny nie

pozwalając osobom publicznym na łamanie zasad moralnych.

- Musisz w końcu uwierzyć -
powiedziała - że jestem Rebeką.

- Nawet po tylu latach oglądania twoich fotografii w gazetach nie przyszłoby mi do głowy nic podobnego. Wprost nie

wierzę własnym oczom. Ale to musi być prawda. Nikt prócz ciebie...

- Nikt prócz mnie nie wie o tej sprawie i przyznam, że wolałabym ją zachować w tajemnicy.

- Dowód... - powiedział głosem, który teraz, gdy pierwszy wstrząs minął,

brzmiał pewniej. - Nie masz żadnego dowodu!

- Mam kopię aktu zawarcia związku małżeńskiego zarejestrowanego w Arkansas - wyjaśniła pogodnie.

Poślubiła tego człowieka. Przez cztery tygodnie spała z nim, sprzątała mu i gotowała. Starła się stworzyć prawdziwy

dom w zarobaczywionym mieszkaniu w rozsypującej się kamienicy przy jednej z bocznych ulic Nowego Orleanu,

gdzie zawsze unosiła się przykra woń cebuli, czosnku i kotów. Potem,

pewnego dnia, Edison Gallant
oświadczył

zniechęca, że wcale nie są
małżeństwem; że to był tylko żart. Ma
już żonę, a zatem przysięga, którą sobie
złożyli, nie

ma żadnego znaczenia i prawnie jest
nieważna. Po czym wyszedł, by nigdy
nie wrócić.

- Mój Boże, ależ ty się zmieniłaś! -
powiedział nagle.

- Nie powinno cię to dziwić. Wtedy
miałam zaledwie piętnaście lat - odparła
cierpko.

- Byłaś wystarczająco dorosła.

Wystarczająco dorosła do pośpiesznego nocnego pieprzenia na rozłożonych tylnych

siedzeniach chevroleta 60, do igraszek na wymiętych prześcieradłach, do poniżania i upokarzania.

- Mniejsza z tym! - powiedziała twardo.

- Sądzę, iż teraz zgodzisz się ze mną, że będzie lepiej, jeśli Erin i Josh

zaprzestaną kontaktów.

- Boże, kiedy pomyślę...

- Nie myśl! Wszystko, czego od ciebie oczekuję, to obietnica, że odeślesz stąd

swojego syna.

- Dlaczego to ja powinienem coś zrobić? - zapytał. - Czemu ty nie możesz zakazać swojej siostrzenicy spotkań z

Joshem?

- Bo wolę taki sposób, jaki ci przedstawiłam.

- O co właściwie chodzi? Czy jestem według ciebie pariasem? Czy mój syn ma być ukarany za grzech ojca?

Spojrzała na niego twardo.

- Musisz zrozumieć, że nie chcę ryzykować powinowactwa z tobą, nie

zniosę myśli o posiadaniu cię wśród kuzynów -

rzekła, wzruszając ramionami. - Teraz Erin i Josh są tylko przyjaciółmi. Wolałabym, by przez mój sprzeciw ich życie nie

zmieniło się w kolejną wersję losów Romea i Julii.

- To prawda, są przyjaciółmi. Ty zaś rozdmuchujesz sprawę do niewłaściwych rozmiarów. Josh to wspaniały chłopak,

którego mogłaby chcieć każda dziewczyna.

W głosie Edisona brzmiała ojcowska duma, co sprawiło, że spojrzenie Rivy złagodniało.

- Musiał to odziedziczyć po matce...
Zresztą nie ma to żadnego znaczenia.
Powiedziałam ci już, czego oczekuję.

Twarz Edisona stężała.

- Chcąc coś osiągnąć - mówił ze
ściągniętymi ustami - należy brać pod
uwagę propozycje drugiej strony.

- Co masz na myśli?

Tembr jego głosu przyprawił Rive o
nerwowe drżenie.

- Myślę, że powinniśmy to omówić, powiedzmy... podczas tego lunchu, o którym wcześniej wspomniałem.

- Nie ma tu nic do omawiania! -
Pochwyciwszy jej wzrok, uniósł w górę kąciki ust.

- Moim zdaniem jest. Próbujesz mnie szantażować, a ja tego nie lubię.

- To nie jest kwestia szantażu - odparła, czując w piersiach narastającą duszność. Powinna była wiedzieć, że to spotkanie nie będzie łatwe.

- Jak więc zechciałabyś to nazwać? - spytał, kładąc rękę na jej ramieniu. -

Myślę zresztą, że potrafię cię przekonać,
byś

zapomniała o całej sprawie.

Strząsnęła jego dłoń.

- Musiałeś chyba zwariować!

- Czyżby? Ja? Pomyśl tylko, jak to
będzie wyglądać: piękna i zamożna pani
Staulet wplątała się przed laty w
plugawy

romansik, pozwalając wystrychnąć się
na dudka fikcyjnym małżeństwem! Nie
możesz zdemaskować mnie, nie

narażając własnej reputacji, prawda?

Śmiech twoich przyjaciół wymiecie cię z miasta. Kto zaufa szefowej korporacji,

która tak fatalnie oceniła sytuację przed laty?

- To wszystko może się zdarzyć - powiedziała. - Ale uwolnienie się od ciebie i twojej rodziny jest dla mnie, czego ty nie

jesteś w stanie zrozumieć, warte owych kłopotów.

- Zaryzykujesz swoje miejsce w zarządzie Staulet Corporation? Zaryzykujesz spadek wartości akcji konsorcjum?

Wątpię, czy członkowie zarządu przyjmą twój punkt widzenia. Szczególnie Noel Staulet. Pewnie będzie zadowolony,

że znalazł się powód, który zmusi cię do odejścia. Jeśli więc jesteś gotowa dać mu taką szansę, mnie nie pozostaje już nic do zrobienia.

Musiała przyznać, że był ostry. Nie zdawała sobie sprawy, że jej problemy z Noelem są powszechnie znane i ani przez

chwilę nie przypuszczała, że Edison od razu trafi w najsłabszy punkt.

- Czemu tak się sprzeciwiasz? Przecież

nie proszę o nic nadzwyczajnego.

- Chodzi o sposób, w jaki prosisz, moja damo. Nie przejmuję się lekceważeniem, ale nie lubię, gdy mi się grozi.

- To raczej prośba - powiedziała spokojnie.

- Czyżby? Musielibyśmy o tym podyskutować. Podobnie zresztą jak i o tym, co ty zrobisz dla mnie, gdybym -

wyobraźmy to sobie przez chwilę - postanowił się zgodzić. No więc co z tym lunchem?... Chyba że wolisz kolację?

Nuta groźby słyszalna w jego zaproszeniu sprawiła, że wraz z narastającą irytacją w mózgu Rivy rozległo się

ostrzeżenie. Teraz go nie przekona!

Najwyraźniej postanowił się przeciwstawić i pokonać ją, ponieważ ośmieliła się

rzucić mu wyzwanie. Być może znalazłaby w końcu jakiś sposób, by przemówić Edisonowi do rozsądku, ale ponowne

spotkanie z nim, w jakimkolwiek miejscu i czasie, było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę.

Edison nagle znieruchomiał. Riva odwróciła głowę i zobaczyła zmierzającego w ich kierunku Noela. Syn Cosmy szedł

niespiesznie. Opuściwszy swobodnie jedną rękę, palec drugiej wsunął w pętelkę pod kołnierzem przerzuconej przez

ramię marynarki. Jego zachowanie wydawało się niewymuszone, ale w spojrzeniu, którym baczenie obserwował tę

parę, nie było nawet śladu demonstrowanej swobody.

- „Royal Orleans Hotel”, w poniedziałek

o pierwszej - rzekł Edison tak cicho, by zbliżający się mężczyzna nie mógł go

usłyszeć. - Obsłużą nas w pokoju. Moja sekretarka przekaże ci telefonicznie jego numer.

- Dziękuję: nie! - Jej odpowiedź graniczyła z pogardą wobec tak banalnego scenariusza. Szybko replikując,

zapropozowała najczęściej odwiedzaną przez siebie restaurację, jaką mogła sobie przypomnieć tak od razu -

„Commander's Pałace". Moja sekretarka zarezerwuje stolik. W moim imieniu.

Zanim Edison zdołał odpowiedzieć, nadszedł Noel.

- Erin przysłała mnie tutaj, bym wam powiedział, iż umiera z gorąca i że zaprosiła grono przyjaciół z Tulane do Bonne

Vie, by tam popływać. Pojechała już, chcąc mieć pewność, że wszystko jest gotowe. -Jego głos brzmiał spokojnie.

- Świetnie - odparła Riva, przyglądając mu się badawczo, bo Noel nie zwykł biegać na posyłki ani dla Erin, ani też dla

nikogo innego. Skorzystała jednak z jego przybycia jako pretekstu do odejścia. -

Jest doprawdy zbyt gorąco, by myśleć teraz o jedzeniu. Czas, bym już poszła do domu.

- Dobry pomysł. - Noel odwrócił się, skinąwszy głową w stronę Edisona.

Riva pożegnała się z Edisonem w ów uprzejmy sposób przeznaczony jedynie dla całkiem obcych ludzi i odeszła z pasierbem. Nie obejrzała się.

Szli w kierunku mównicy, namiotów z jedzeniem i położonego za nimi parkingu. Droga wiodła przez polanki pełne

oślepiającego, rozpalonego do białości
słońca i przez miejsca nakrapiane
cieniem, gdzie dla odmiany panował
chłód

ciągnący z błotnistych terenów. Stąpali
po rozległych trawnikach porośniętych
trawą świętego Augustyna,

przypominającą szmaragdowy aksamit.

Riva była wdzięczna Noelowi za
wybawienie z sytuacji, która zaczynała
wymykać się jej spod kontroli. Szybko

ogarnęła wzrokiem jego twarz. Cień
liści podkreślał malujący się na niej
wyraz zamyślenia i głębokiej zadumy.

Sylwetka Noela, kształt głowy,
szerokość ramion... wszystko budziło
wspomnienia...

Taki właśnie był Cosmo, gdy spotkali
się po raz pierwszy. Miała wtedy
szesnaście lat, a on czterdzieści sześć;
właśnie

tylko, ile obecnie liczy Noel. Noel ma
również dystyngowany styl swego ojca.
Nie dającego się określić

arystokratycznego wyrazu przydawała
mu doskonała sylwetka, nienaganny gust
i ta szczególna pewność siebie, jaka

płynie z posiadania galerii portretów
przodków. Pozwalają człowiekowi

wiedzieć, kim i czym jest.

Jego czarne włosy na skroniach muśnięte były siwizną, a twarz ogorzała od słońca. Miał ciemne i gęste brwi nad

oczami o najgłębszym odcieniu szarości, a jego mocny podbródek był delikatnie przyciemniony zarostem widocznym

pod skórą. Twarz Noela przecinały linie śmiechu pod kośćmi policzkowymi, a rysunek ust świadczył o wrażliwości,

choć żadnej z tych dwóch swych cech: poczucia humoru i wrażliwości Noel nie zdradzał przed Riva. Ani teraz, ani w

przeszłości.

Jakby wyczuwając badawcze spojrzenie Rivy, Noel zwrócił się ku niej.

- Konkretnie plany, fakty czy liczby nie są mocną stroną Gallanta - rzekł. -
Wydaje się jednak, że te niedostatki

merytoryczne wyrównuje nieco jego charyzma.

- Myślę, że ma dość czasu, by poprawić wszystko przed wyborami i usunąć niedociągnięcia.

- Cztery miesiące to nie tak dużo, gdy w szranki staje ośmiu innych demokratów, nie mówiąc już o tych trzech

republikanach.

- Lato jak zwykle zbierze swoje żniwo.
Noel pokiwał głową.

- Nie pamiętam, by mój ojciec
kiedykolwiek wspominał, że zna
Gallanta bądź też, by go popierał...

„Mój ojciec”. Noel nazywał Cosmę tym
oficjalnym mianem. A przecież był czas,
przypomniała sobie Riva, gdy nazywał
go tatusiem lub papą; ale to było dawno
temu.

- Nie sądzę, by Cosmo spotkał go
kiedykolwiek.

- Wy oboje jednak, wydaje się, jesteście
w przyjacielskich stosunkach.

- Nic podobnego!

Noel zwrócił się w stronę Rivy, patrząc jej prosto w oczy.

- Jeśli twoje kontakty z Gallantem dotyczą spraw zawodowych, to może powinienem o tym wiedzieć.

Trudno było odmówić logiki tym słowom, wszak każde z przedsięwzięć Rivy związanych z firmą „Staulet Corporation”

było także jego sprawą. Podejrzewała jednak, że tym razem Noel chce się po prostu dowiedzieć, co było celem jej

rozmowy z Edisonem.

- To nie ma nic wspólnego z firmą.
Sprawa dotyczy Erin.

- A zatem rozmowa o Erin ma mu przynieść jakąś korzyść?! - zapytał oschle, bacznie się jej przyglądając.

Riva zmusiła się do uśmiechu.

- Zostaw mi, jeśli łaska, trochę swobody jako troskliwej ciotce.

- Sądzę, że próbowałaś przekonać Gallanta, by zapłacił Erin za jej ciężką pracę.

Niezła myśl. Mogłaby posłużyć za usprawiedliwienie. Nagle zrobiło się jej gorąco i powachlowała się słomkowym

kapeluszem, który wciąż trzymała w dłoni.

- Erin spędziła wiele godzin w jego sztabie wyborczym w Nowym Orleanie. Nie sądzisz, że zasłużyła na

wynagrodzenie?

- Sądzę, że ona dobrze się bawi, biorąc udział w tej kampanii i przebywając obok Josha Gallanta. Nie należy przecież

do tych wielbicielek skandujących slogany, którymi żywi się machina polityczna.

Erin i Noel stali się sobie bliżsi od

czasu jego powrotu. Siostrzenica Rivy przez pięć lat, począwszy od dnia, w którym

rozpoczęła studia w Tulane, wciąż wpadała do Bonne Vie i wyjeżdżała stamtąd. Choć mieszkała w studenckim

kampusie, rezydencja na plantacji stała się jej drugim domem, z dala od domu rodzinnego. Rodzice Erin - siostra Rivy,

Margaret, i jej mąż - mieszkali w północnej części stanu i nie mogli pozwolić sobie na posłanie córki do college'u,

zwłaszcza do tak renomowanego. Riva wkroczyła więc do akcji, by zapewnić

dziewczynie zarówno wykształcenie, jak i

miejsce ucieczki od akademickiego stresu. Wszystko układało się znakomicie, dopóki Erin nie poznała Josha Gallanta.

- Cieszy mnie, że dostrzegasz lepszą stronę Erin. -Riva była nieco rozdrażniona rozmową, choć miała nadzieję, że nie

jest to zbyt widoczne.

- Któż by jej nie dostrzegł? Nieczęsto spotyka się takie połączenie urody i rozumu.

Roztropna, piękna Erin miała obecnie siedem lat więcej niż Riva w chwili poślubienia Cośmy. Riva poczuła ukłucie

czegoś, co mogłoby być zazdrością, gdyby nie było to tak śmieszne. Nie zależało jej ani trochę, by być podziwianą

przez Noela Stauleta. W każdym razie udało jej się przynajmniej odciągnąć jego uwagę od Edisona. Taką miała

przynajmniej nadzieję. Powinna pamiętać o zawodowych obyczajach Noela: taktyce subtelnych posunięć, po których

następowały nagłe ataki.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny, jeśli chodzi o angażowanie się w sprawy Gallanta - powiedział Noel. - Pamiętaj,

że ma on opinię kobieciarza.

Riva posłała mu przenikliwe spojrzenie.

- Nie ma powodu do obaw. Nie zamierzam w nic się angażować.

- Wcale się nie obawiam. Po prostu uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Wybacz, ale twoja troska wprawia mnie w niejakie zakłopotanie.

Minęło ponad dwadzieścia lat od chwili, gdy przejawiał większe zainteresowanie jej życiem osobistym; gdy patrzył na

nią i zwracał się do niej jak do kogoś będącego kimś więcej niż stałym elementem domu jego ojca lub współnikiem w

interesach. Wyglądało na to, że podczas rzadkich wizyt przez wszystkie te lata, a od śmierci Cośmy podczas jego

pobytu w Bonnie Vie, unikał spotkań i rozmów, chyba że było to konieczne.

Mięsień zadrgał na jego twarzy, gdy znów zwrócił ku macosze mroczne

spojrzenie.

- Kiedyś nie było w tobie sarkazmu.

- Chcesz powiedzieć, że teraz jest?

- Nie wiem. Może się mylę, lecz może był zawsze... Riva otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobyła głosu z

krtani. Była oszołomiona tym mrocznym błyskiem bólu, który dostrzegła w oczach Noela. Gardło ścisnęło się jej

boleśnie. Chwilę później uczucie to minęło, pozostawiając jedynie zakłopotanie. Riva rozejrzała się wokół. Byli już

blisko namiotów. Chciała przerwać wreszcie pełną napięcia ciszę.

- Zdaje się, że nie wiesz, którądy poszedł Dante?

- Nie wiem. - Odpowiedź Noela nie była serdeczna.

- Muszę go odnaleźć, skoro z nim przyszedłem. Skinął głową.

- A zatem zobaczymy się w domu.

Gdy odchodził, Riva zauważyła, że Noel porusza się tak sprężysto i dynamicznie jak rzadko który człowiek spędzający

życie za biurkiem.

Był niezwykle skrytym człowiekiem; kimś, kogo trudno poznać naprawdę. Wiele osób uważało go za solidnego

człowieka. Szkoda, że nie mógł należeć do niej.

Dawni kochankowie, podobnie jak dawni przyjaciele, łatwo mogą przeistoczyć się w niebezpiecznych wrogów.

ROZDZIAŁ 2

W Bonnie Vie nie było żadnych bram utrudniających wjazd, żadnej wartowni ani strażników. Za jedynych

wartowników można by uznać dęby;

rząd tych olbrzymich drzew, tak starych, że niektóre wspierały się na grubych

jak pnie konarach, ciężko chylił się ku ziemi. Majestatyczne olbrzymy zdawały się maszerować ku domowi, a ich

gałęzie tworzyły nad zwirową drogą łuk, tak dalece przypominający strzelistością katedralną nawę, że stojący u końca

drogi piękny stary dom sprawiał wrażenie ołtarza. Tę historyczną budowlę chroniło przed ciekawskimi odosobnienie i

- jak się zdaje - także podziw, jaki wzbudzała. Pochodząca sprzed wojny secesyjnej Bonnie Vie była jedną z

najsłynniejszych posiadłości
plantatorskiego Południa. Otoczenie
domu i jego piękną, proporcjonalną
fasadę

natychmiast rozpoznawano na
nielicznych widokówkach.

Cosmo nie chciał słyszeć o
zabezpieczeniu tego miejsca przed
kradzieżą, wandalizmem czy choćby
ludźmi, którzy

wiedzeni ciekawością czasem tu
docierali. Bonnie Vie - mawiał - nie jest
wojskowym poligonem ani więzieniem,
tylko

domem mieszkalnym; niczym więcej i

niczym mniej. Po śmierci męża Riva niczego w tym względzie nie zmieniła.

Inna

rzecz, że była tu niewielka, wciąż krzątająca się armia, złożona z ogrodników, służących, pokojówek, kucharza,

szofera, a wszyscy oni od lat związani byli z domem i rodziną Stauletów. Żaden intruz nie wszedłby tutaj

niepostrzeżenie.

Dante Romoli przemknął przez podjazd swym alfa romeo i z cichym warkotem zmierzał w kierunku frontowej części

domu. Dwadzieścia jardów od schodów skręcił w lewo na parking i zatrzymał auto obok trzech czy czterech wozów,

które już tam stały. Wsiadł z samochodu i okrążył go, by otworzyć Rivie drzwi. Szybki sportowy samochód uczynił z

pięćdziesięciu mil między miastem, gdzie odbywał się wiec, a Bonnie Vie krótką przejażdżkę, ale mimo to -

prawdopodobnie wskutek szalonego napięcia - Riva była dziwnie odrętwiała i pozwoliła, by Dante wręcz wydobył ją z

wnętrza i postawił na nogi. Obdarzyła

go uśmiechem, który wyrażał zarówno wdzięczność, jak i przeprosiny.

Pograżona w myślach nie była dobrym towarzyszem podróży.

- Zostaniesz, prawda? - spytała. - Mogę zaproponować ci późny lunch, by wynagrodzić stratę tamtego, który cię

ominał. Byłoby mi miło, gdyby w tłumie przybyłym na zaproszenie Erin znalazł się również ktoś, kto ma trochę więcej

niż trzydzieści lat.

Dante nie wahał się ani chwili.

- Znasz mnie przecież, nigdy nie

opuszczę posiłku.

Był to żart, jeden z wielu zresztą, jakie obydwójce przypominali sobie. Wracali myślami do długiej drogi, którą pokonali razem; do lat sześćdziesiątych i ohydnej kuchni za słynną restauracją „French Quarter” oraz do obskurnego topless-baru na Bourbon Street, a wreszcie do czasów, kiedy oboje byli na swoim; jeszcze nie na szczytach, ale już nie poza nawiasem.

To właśnie wtedy narodziło się nadmierne zainteresowanie Dantego jedzeniem. Zważywszy, że wciąż coś

jadł albo

pitrasił, że nieustannie nęciły go smaki i nieskończona różnorodność wszelkich możliwych apetycznych kompozycji,

powinien być ogromny jak wieloryb. Czasem przejawiał pewną troskę o sylwetkę, choć miał - o dziwo! - dobrą figurę,

przy mocnej budowie ciała, którą zawdzięczał zapewne francusko-włoskiemu pochodzeniu. Udawał, że nieustannie

toczy ciężką walkę o zachowanie formy - piłka, tenis, poranny bieg na dwie mile - ale prawda była prostsza: miał

dobłą przemianę materii i rozkład zajęć, który pozwalał mu jeść, ile dusza zapragnie, bez przybierania na wadze.

Miał powody, by poważnie interesować się jedzeniem. Był właścicielem „Lecompte's”, restauracji równie znanej i

szanowanej za doskonałą kuchnię jak „Commander's Palace”, a jeszcze głębiej zakorzenionej w historii Nowego

Orleanu. Funkcjonując od roku 1843 stała się sceną wielu sławnych obiadów i niesławnych skandali w czasach

dostatku przed wojną secesyjną, gdy na Południu królowała bawełna, i potem w

radosnych latach

dziewięćdziesiątych minionego stulecia. W połowie dwudziestego wieku została sprzedana przez rodzinę pierwszych

właścicieli, a potem przechodziła z rąk do rąk, aż Dante, który pracował tam jako kierowca samochodu dostawczego, kupił ją dziesięć lat temu.

Posiadanie „Lecompte's" stanowiło ukoronowanie jego marzeń.

Odrestaurował lokal z troską o detale, przywracając

mu pierwotny wygląd paryskiego bistra. Następnie zaangażował renomowanego

szefa kuchni i stworzył z restauracji

prawdziwie dochodowe przedsiębiorstwo. Pieniądze były dla Dantego ważne, choć bardziej pociągało go samo

zarabianie niż posiadanie. Poważna inwestycja w słynącą z dobrej jakości produktów sieć barów, z ostro

przyprawionymi smażonymi kurczakami, stworzyła mu szansę przejęcia „Lecompte's”. Nigdy nie zapomniał, że to

smażone kurczaki uczyniły go restauratorem i z pewnością nigdy tego nie żałował.

Dante nie spoczął na laurach. Ostatnio otworzył nad jeziorem Pontchartrain nową restaurację i nocny klub, dokąd

ściągały tłumy młodzieży przywabionej zarówno świetnie przyrządzonymi owocami morza, jak i głośną muzyką

rockową oraz nowoczesnym oświetleniem.

Riva z przyjemnością powitała powrót do domu. Posiadłość miała w sobie coś, co budziło zadowolenie i poczucie

komfortu. Przypominała wiernego przyjaciela, który niczego nie osądza i niczego nie żąda.

Dom zbudowano w stylu neoklasycystycznym. Ściany masywnie wyglądającego budynku pomalowane były na

brzoskwiniowo-różowy kolor. Prócz parteru miał jeszcze półtora piętra, a na wszystkich poziomach widać było tarasy

oraz balkony umieszczone z różnych stron. Podpierało go dwadzieścia osiem kolumn, sięgających od ziemi aż po linię dachu.

Przestronne wnętrza z wysokimi sufitami zwieńczono koronkowymi sztukateriami, a umeblowaniem było połączenie

Staulewskich antyków z nowoczesnymi, tapicerowanymi meblami, które łagodziły niejaką surowość wnętrza. Dom

miał w zasadzie tylko osiem pokoi - cztery na górze i cztery na dole - oraz kilka mniejszych, przerobionych obecnie na

garderoby i łazienki. Przez środek obu poziomów przechodził szeroki hol zakończony otwartymi na oścież wielkimi

oszklonymi drzwiami. W głębi, po prawej stronie, wznosiły się rzeźbione schody z mahoniową poręczą, a za

oszkłonymi drzwiami widać było taras
wyłożony posadzką z cegieł. Wyściełane
pastelowymi poduszkami krzesła z

kutego żelaza otaczały tam stoliki o
szklanych blatach, w sąsiedztwie
których stały wielkie donice. Rosły w
nich

paprocie o łukowato zwieszających się
liściach i różowe geranium z
wielobarwnym bluszczem. Szerokie
schody

prowadziły w dół do wyłożonego cegłą
niższego tarasu, z którego z kolei wiodła
dróżka do basenu. Obok basenu

rozciągały się zadrzewione tereny

przypominające angielski park,
opadające ku dekoracyjnemu stawowi.
Na środku

stawu znajdowała się wysepka z
wymyślną altaną, wzniesioną na wzór
rzymskiej świątyni.

Biały, wyłożony marmurem basen, z
rzędem kolumn po jednej stronie,
przypominał Rivie rzymski basen z filmu

„Wielki Gatsby”. Nie był wprawdzie aż
tak wielki, a kępy palm nadawały mu
tropikalny styl, mimo to nieodparcie

kojarzył się z nieco pretensjonalnym
klasycystycznym przepychem. Jeśli
jednak koniecznie już trzeba było mieć

basen, który komponowałby się z rezydencją pamiętającą czasy wojny domowej, trudno byłoby znaleźć dla niego

lepszy styl. Cosmo, który wybudował ten basen dla Rivy, gdy dowiedział się, jaką przyjemnością jest dla niej pływanie,

kierował się gustami dziewiętnastowiecznych plantatorów.

Dźwięki ożywionych głosów i plusk wody przyciągnęły Rive i Dantego ku basenowi, opanowanemu przez paczkę

przyjaciół Erin, nurkujących i chlapiących się po głębokiej stronie

oraz prażących się w słońcu na rozłożonych wokół

ręcznikach. W powietrzu unosił się zapach chloru i kokosowo-ananasowego olejku do opalania oraz dobrego

jedzenia. Nie opodal basenu znajdował się bufet. Stały na nim tace z cienko pokrojoną wołowiną z rusztu i szynką,

wielka waza z zupą gumbo, salaterki z sałatką ziemniaczaną i makaronową oraz stosy owoców. Obok ułożono trzy

rodzaje chleba domowego wypieku oraz cztery gatunki ciast. Zimne napoje, naczynia do schładzania trunków oraz

wino i piwo, umieszczone w mosiężnej beczce wypełnionej pokruszonym lodem, stały z drugiej strony.

Erin, która przyjechała do domu, nim dotarli jej goście, przy pomocy kuchennego personelu przygotowała im

odpowiednie powitanie. W czasie, który spędziła w Bonne Vie, przyzwyczała się do tutejszego stylu życia. Rivie nie

pozostawało nic innego jak tylko się cieszyć, iż - tak, jak się o to modliła - nie zepsuła siostrzenicy.

Zobaczywszy Erin siedzącą na przeciwległym brzegu basenu, Riva pomachała jej ręką.

- Gdzie wasze kostiumy kąpielowe? Nie wchodzicie do wody? - zawołała Erin.

- Może później - odparła Riva. -
Najpierw coś zjemy.

- Noela też nie będzie. Ledwie zdążył przyjechać, a już musiał nas opuścić w związku z jakimś telefonem z lotniska.

- Z lotniska?

Erin beztrąsko wzruszyła ramionami, poprawiając jaskraworóżowe bikini.

- Nic więcej nie powiedział.

Riva skinęła głową i podała talerz Dantemu. Potem sięgnęła po drugi i

wskazała dziewczynie stojącej za bufetem to,
co wybrała.

Noel zawsze przychodził i odchodził,
kiedy chciał, niewiele wyjaśniając.
Powinni być szczęśliwi, że tym razem

powiedział aż tyle. Jeśli ominie go
lunch, ona nie będzie się o to martwić.

Zajmując miejsce przy jednym ze
stolików, Riva dostrzegła młodego
człowieka, który płynął przez basen
rozpryskując

wodę w morskim kolorze. Podpłynął do
Erin i podciągnął się na marmurowy

murek, aby usiąść obok. Przeczesał

palcami piaskowoblond włosy i wyciskając z nich wodę, śmiał się mówiąc coś do dziewczyny.

Riva spojrzała ze zdumieniem. Tym młodym mężczyzną był Josh Gallant.

Powinna była to przewidzieć; on i Erin byli razem na wiecu. Nawet gdyby Erin nie życzyła sobie Josha w Bonne Vie,

dobre maniery nie pozwoliłyby go nie zaprosić. Uśmiech, jakim go obdarzyła, jasno jednak dawał do zrozumienia, że

Josh był gościem nadzwyczaj chętnie widzianym. Koniecznie coś trzeba z tym

zrobić! Koniecznie - pomyślała Riva.

- Co ci się stało? - zapytał Dante, opadając na sąsiednie krzesło.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem.

- Nic, nic. Nic się nie stało. Próbowalesz już agrestu? Jest znakomity.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Eksperymentowałem trochę z tym węgierskim deserem, zrobionym z biszkoptu nasączonego rumem i przełożonego

kremem waniliowym z agrestem i bitą śmietaną posypaną migdałami. O tej

porze roku nie ma tu dużo agrestu, lecz

na wybrzeżu Waszyngton jest go w bród,
i to bardzo taniego. A ten tort...

Powinnaś go spróbować. Wspaniałe,
chère.

Potem mówił o innych węgierskich
tortach: z czekoladą, orzechami i bitą
śmietaną, nad którymi pracował właśnie
szef kuchni w restauracji „Lecompte's".

- Torty staną się bez wątpienia
szlagierem - oznajmił.

Riva pozwalała jego słowom płynąć,
lecz jej uwaga skierowana była ku
siostrzenicy i synowi Edisona. Pływali

teraz

razem, a ich ciała prześlizgiwały się tuż obok siebie w spienionej, lśniącej wodzie. Przypomniało jej to boleśnie inny

basen, inne lato...

- Która z was jest żonką lotnika, opuszczoną i samotną? - To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Edisona

tamtego dnia.

Dół z wodą, nazywany basenem, w rzeczywistości był leśnym stawem, otoczonym przez zwieszające się gałęzie

klonów, brzoź i dębów. Znajdował się za domem Bensonów, gdzie Riva, znana wówczas jako

Rebeka, mieszkała ze swoją owdowiałą matką i siostrami Margaret i Beth. Staw należał do sąsiada.

Tamtego gorącego lata 1963 roku było to bardzo uczęszczane miejsce, ponieważ miejski basen został zamknięty.

Drażliwym tematem były w owym roku prawa obywatelskie, w obronie których na Main Street i przed dyrekcją

miejskiego zarządu szkół organizowano przemarsze i demonstracje.

Istniały silne naciski, aby zintegrować miejsca użyteczności publicznej, począwszy od szkół i lokalnych autobusów

przez poczekalnię w sądzie aż do miejskiego basenu włącznie.

Szczególnie w sprawie basenu ludzie nie mogli dojść do

porozumienia. Wszak basen w murzyńskiej części miasta był nowszy i ładniejszy. Dlaczegoż, na Boga, czarni chcieli

przejąć basen białych, w którym pęknięcia łatanie były smołą? Biali nie mogli tego zrozumieć. Z pewnością były jakieś

powody, ale wydawały się bez znaczenia w gorączce konfliktu.

W czarnej części miasta działali agitatorzy znani jako „Quarters”. Liberałowie z Północy, pełni idealizmu, w myśl

swych idei liberalnych wspierali zmiany, których nie rozumieli, a których konsekwencjami zamierzali obarczyć białych

mieszkańców Południa. Antagonizmy - szczególnie między młodymi robotnikami rolnymi, zmęczonymi nieustanną

presją, a wojowniczymi Murzynami,

znużonymi z kolei wiecznym
ustępowaniem - sięgnęły tak głęboko, że
władze

miasta stwierdziły, iż lepiej zamknąć
basen, niż ryzykować utonięcie jakiegoś
głupca optującego za jego wspólnym
używaniem.

W końcu w czasie owych gorących dni
biali narażali się na nie mniejsze ryzyko
zatonienia w sadzawkach. Zbierali się

nad stawem za chatą Bensona, dwie mile
na południe od miasta. Byli to głównie
kilkunastoletni i trochę starsi

chłopcy.

Woda w sadzawkach i stawach była mętna od mułu i osadu powstałego ze zmurszałych drzew. W mulistym dnie

tkwiły pniaki i trafiały się uskoki. Nigdy nie widziano tam żadnego ratownika.

Trzeba było umieć dobrze pływać, by

uniknąć czyhających niebezpieczeństw.

Równie groźne były głupie żarty.

Chłopcy byli zbyt niedoświadczeni, by się

tam zapuszczać, a starsi na ogół ciężko pracowali. Jeśli zaś chodzi o

dziewczęta, to odległe położenie stawu stwarzało

okazję do wszystkich rodzajów

niewłaściwych zachowań, które nie miały nic wspólnego z „głupimi żartami”, więc

większość matek nie pozwalała córkom tam chodzić.

Matkę panien Benson można było jednak nakłonić do wszystkiego. Była za słaba na stawianie na swoim. Od lat

chorowała na serce i większość dni spędzała na kanapie, oglądając jedyną stację telewizyjną, której programy

docierały do tej okolicy. Przeganiała muchy i próbowała oddychać gorącym powietrzem, które wiszący pod sufitem

wentylator wciągał przez uchylone okno.

Jej trzy córki zajmowały się gotowaniem, sprzątaniem, praniem i prasowaniem. Kupowały warzywa, płaciły rachunki i

pilnowały, aby matka brała lekarstwa. Czują, że mogą same decydować o sobie, i przyznawały sobie prawo do

korzystania z wszelkich rozrywek dostępnych po godzinach ciężkiej pracy.

Przewodziła im najstarsza z córek, Beth. Była zamężną dziewiętnastoletnią kobietą, mającą już doświadczenie z mężczyznami, a przynajmniej z jednym.

Jej młody mąż Jimmy służył w lotnictwie jako specjalista elektronik i od

ponad roku stacjonował na Filipinach. Beth pisywała do niego w poniedziałki i czwartki, ale w innych dniach tygodnia rzadko o nim myślała.

Miała bujne kształty i niepokojące ogniki w brązowych oczach. Lubiała się bawić i bywała w miejscach wypełnionych

muzyką i śmiechem. Lubiała też pływać.

Chłopcy nad stawem gwizdali i pokrzykiwali, gdy tego czerwcowego

dnia trzy siostry schodziły ze wzgórza.
Stanowiły

ładny widok: dziewczyny z
rozjaśnionymi słońcem blond włosami,
długimi opalonymi nogami, w skąpych
kostiumach

kąpielowych noszonych pod starymi
koszulami zmarłego ojca. Wszystkie
bardzo dobrze rozwinięte. Choć nie
łączyło

ich szczególne podobieństwo - Beth była
najwyższa, krępa Margaret miała słynne
„biodra Bensonów”, a Rebece

drobniejsze kości nadawały smukły
wygląd - to rysy ich twarzy, karnacja i

ruchy odzwierciedlały bliski stopień

pokrewieństwa. Odmiennie reagowały jednak na niewybredne zaczepki gapiów. Beth śmiała się, wykrzykując

radosne pozdrowienia. Margaret, dwa lata od niej młodsza i zawsze niezadowolona ze swojego ciała, rumieniła się

jak pomidor. Rebeka, która miała dopiero piętnaście lat, prostowała się i uśmiechała nieśmiało.

Powiesiły koszule i ręczniki na gałęzi drzewa i brodziły w wodzie. Ich „basen” przypominał ciepłą wannę z prądami

chłodniejszej wody, która omywała im uda, gdy zanurzały się głębiej. Taplając się w wodzie, starały się nie mącić

mułu bardziej, niż było to konieczne; wymieniały uwagi, wzdrygając się przed delikatnym łaskotaniem rybek.

Udawały, że nie wiedzą o obecności chłopców, choć przecież podziwiały ich umiejętności pływackie, skoki z

drewnianego pomostu i wszelkie popisy na ich cześć. Nie były też zaskoczone, gdy dwóch chłopców podeszło kilka

minut później.

Edison, który zadał pytanie o

opuszczoną żonę lotnika, przeczesywał
palcami włosy, odgarniając je do tyłu i

rozpylając kropelki wody na swych
szerokich ramionach, połyskujących w
promieniach słońca padających zza
drzew.

Stał teraz przed nimi z torsem
ociekającym wodą. Młody mężczyzna,
od którego biła pewność siebie i
zawadiacki

urok. Był więcej niż przystojny i
doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Obok niego stał Boots Green, wolno
poruszający się i wolno mówiący
chłopak o karnacji w kolorze miedzi,

którą

odziedziczył po indiańskich przodkach. Słyszał zarówno z niezawodności w działaniu, jak i z przezwiska pochodzącego

od nazwy stukających trepów.

- To pewnie ja - odpowiedziała Beth na pytanie Edisona i spojrzała na niego śmiało, zlizując wodę z ust.

Edison uśmiechał się zuchwale.

- Więc twoje samotne dni już się skończyły.

- Tak myślisz?

- Jestem pewien.

Wszystkie trzy wiedziały, kim jest przybysz, tak jak wcześniej wiedziały, że będzie nad stawem. Całe miasteczko, a z

pewnością wszystkie panny na wydaniu, słyszało, że do starego Gallanta, sąsiada Bensonów, przyjechał siostrzeniec.

Był studentem prawa w Tulane.

Mieszkał w południowej Luizjanie i jeździł wspaniałym odkrytym, białym

chevroletem. Był to ten sam kabriolet, który Bensonówny ujrzały przez okno kuchni, gdy podskakiwał na kocich łbach

drogi biegnącej za ich drewnianym domem; drogi, która wiodła do stawu. To właśnie z powodu Edisona tutaj przyszły.

Beth nie czekała na wyjaśnienia. Potrząsnęła głową i odpłynęła, krzycząc coś przez ramię do Bootsa, który popłynął za

nią. Edison Gallant pozostał; rozmawiał z Margaret i Rebeką. Podali sobie imiona i tak, jakby nie wiedzieli już o sobie

wszystkiego, opowiadali, gdzie mieszkają i jak spędzają lato.

W czasie rozmowy Edison błędził wzrokiem po miękko zarysowanych dziewczęcych piersiach, okrytych kostiumami.

- Czy te dwa słodkie cukiereczki, które tam skrywasz, są prawdziwe, czy to tylko falsyfikaty? - zapytał w końcu,

wskazując górną część zdobionego falbanką kostiumu Margaret.

Dziewczyna, z trudem łapiąc powietrze, patrzyła na Rebeke szeroko otwartymi oczami. Dotychczas nikt nie pozwolił

sobie na coś podobnego! Jeśli nawet takie są maniery młodzieńców z południowej Luizjany, to ona nie ma

zamiaru

uznać ich za dobre.

- No, powiedz! - nalegał. - Chłopak lubi wiedzieć, na czym stoi!

Margaret opuściła głowę i płonąc ze wstydu wyjąkała, że nie nosi falsyfikatów.

Rebeka czuła się tak zażenowana, że ją samą wprawiało to w złość.

- Powiem ci, na czym stoisz! - rzekła, rzuciwszy na Edisona groźne spojrzenie.

- My stoimy tutaj, a ty tam!

- O, mała złościca! To mi się podoba! -

powiedział, zbliżając się.

Rebeka poczuła, że ręka Edisona dotyka jej talii, a jego noga ślizga się w wodzie wzdłuż jej nogi. Zanim zdołała się

poruszyć, znalazł się za nią. Jego ramiona otoczyły ją, aż wzniesienie piersi wychyliły się z kostiumu.

- Śliczna, mała złośnica. Prawdę mówiąc, obie jesteście bardzo ładne!

Fala ciepła przepłynęła przez Rebeke, gdy poczuła dłonie Edisona. Jego zuchwałość pozbawiła dziewczynę tchu, lecz

zdmiewała ją wywołująca dreszcze

reakcja na bliskość tego chłopaka. To nowe doznanie kłóciło się z jednoczesnym

poczuciem zniewagi. Instynkt kazał jej skierować łokieć w stronę jego żeber. Cios nie uczynił Edisonowi krzywdy, bo

chłopak właśnie uwolnił ją ze swych objęć i płynął w kierunku Margaret. Rebeka zachwiała się w wodzie, tracąc

równowagę. Gdy Edison przepłynął obok siostry z ręką wyciągniętą pod wzburzoną powierzchnią wody ku jej udom,

dziewczyna wydała stłumiony okrzyk.

- Hej! - rozległ się głos Bootsa, który płynął w ich stronę wraz z Beth.

Boots był wyższy i potężniejszy od Edisona, a na jego twarzy malował się wyraz dezaprobaty. Uważał Margaret za

swoją dziewczynę, choć ona nie zawsze podzielała jego opinię. Omijając Bootsa, popychając Edisona i pryskając mu

wodą w twarz, nadpłynęła Beth - „duża siostra do pomocy”.

Edison padł na plecy, rozpryskując wodę.

- Co ty wyprawiasz? O co ci chodzi? -

spytał.

- Dobrze wiesz o co, dowcipnisiu! Idź sobie poderwać kogoś ze swojej paczki!

Stała wyprostowana, z rękami opartymi na biodrach. Po jej ciele amazonki spływała woda. Oczy lśniły gniewem.

Edison uśmiechnął się.

- Może kogoś takiego jak ty?

- Pasujemy do siebie jak ulał.

- Tak sądzisz?

- Wiem- oznajmiła i odrzuciwszy grzywę włosów spoglądała mu prosto w

oczy.

- Złościca, dewotka i... cudowna kobieta! Cóż za zestaw cech!

- To tekst rodem z kiepskiego filmu - powiedziała Beth z zamiarem urażenia go i odwróciła się do Margaret.

Margaret sprawiała wrażenie, że lada chwila rozpłacze się z upokorzenia. Boots był jednak tuż obok i otaczał ją opiekuńczym ramieniem.

Cięte słowa Beth nieoczekiwanie przyprawiły Rebeke o chichot.

- Rzeczywiście, gada jak w filmie, w

gangsterskim filmie.

Cios był chyba celny, bo Edison zrobił się czerwony jak burak.

- Czyżby? Więc może chcecie zobaczyć, co gangsterzy robią takim pyskatym panienkom?

- Odwal się! - rozkazał Boots, a w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

Edison spojrział na tego młodego mężczyznę, przesuwając wzrokiem po potężnym torsie Bootsa, i jego bojowość nieco ostygła.

- Daj ze spokój, kuzynku, żartowałem.

- W niestosowny sposób.

- Naprawdę? Czy mam paść na kolana i oświadczyć, że jest mi przykro?

- Nie wydaje mi się, aby było ci przykro! -W głosie wyższego chłopaka słysząc było nutę zaciętości.

Wszyscy znali Bootsa. Miał spokojne usposobienie i nigdy nie wszczynał bójek, ale zazwyczaj wygrywał te, do których

zdecydował się wkroczyć. Miano „kuzynka”, jakim obdarzył go Edison, było przypomnieniem, iż łączy ich dalekie

pokrewieństwo; ot, dziesiąta woda po kisielu.

Większość mieszkańców tego miasta, które niegdyś stanowiło zwartą społeczność farmerską, mogłaby doszukać się

wzajemnego pokrewieństwa, gdyby tylko zechciała lub też gdyby odpowiednio daleko cofnęła się w przeszłość.

- Nie przejmuj się, Boots - powiedziała Beth. - Lepiej będzie, jeśli już pójdziemy.

- Nie uciekajcie! - zaprotestował Edison. - Dopiero poznaliśmy się.

- Nie jestem pewna, czy chcemy cię znać
- odparła Beth, a Margaret i Rebeka
pośpiesznie się z nią zgodziły.

- Nie chcecie? - zapytał miękko. -
Naprawdę nie chcecie?

Pozostawiając to pytanie bez
odpowiedzi, wróciły do domu.

Przez jakiś czas nie widywano Edisona
Gallanta. Lato stawało się coraz
gorętsze, a sytuacja związana z prawami

obywatelskimi i równouprawnieniem
coraz bardziej napięta. Beth pisywała
teraz do męża raz, a nie dwa razy w

tygodniu. Wieczorami snuła się

zamyślona wokół huśtawki przed werandą albo też późną nocą wymykała się z domu,

wyjeżdżając gdzieś starym, biało-pomarań-czowym mercurym matki. Nigdy nie mówiła, dokąd się wybiera. Rzuciła

tylko krótkie: „Jadę się przewietrzyć”.

Pewnego sobotniego wieczoru Margaret i Rebeka pojechały z koleżankami do kina. Film okazał się wyciskaczem łez,

ale kino było przynajmniej klimatyzowane. Potem, nie chcąc jeszcze iść do domu, spacerowały wokół skweru,

rozciągającego się przed gmachem sądu. Tego dnia odbyła się demonstracja, podczas której czarni przemaszerowali

ulicami, niosąc transparenty. Kilka osób aresztowano pod zarzutem zakłócania spokoju. Większość z nich

przetrzymano w areszcie całą noc, a potem zwolniono do domu. Owe aresztowania zapobiec miały zarówno

incydentom między demonstrantami a zirytowanym tłumem, który zgromadził się, by oglądać te marsze, jak i

wszelkim ekscesom, o które tak łatwo w tłumie. W areszcie, mieszczącym się na ostatnim piętrze sądu, brakowało

wentylatorów i urządzeń klimatyzacyjnych, więc pootwierano okna. Słysząc było przez nie głosy demonstrantów,

skandujących hasła i śpiewających „Nie ugniemy się”.

Powolna, smutna melodia przyprawiała Rebekeę o drżenie. Rozumiała gniew swoich sąsiadów, którzy mieli już dość

zmuszania ich do równouprawnienia. Sama oburzona była niepowodzeniami Waszyngtonu i liberalnej prasy,

wykazującej brak zrozumienia dla istotnych wobec owych zmian potrzeb finansowych, jak i związanych z nimi

problemów emocjonalnych. Z drugiej strony to, o co upominali się czarni, wydawało się nie pozbawione sensu. Byli

takimi samymi obywatelami i ludźmi; zasługiwali więc na traktowanie z taką samą godnością.

Jeden z głosów, przenikliwy sopran, wybijał się nad inne. Wszyscy znali kobietę, która śpiewała. Była to silna biała

dziewczyna o krótko ostrzyżonych włosach, nosząca stare wojskowe ubranie i podkoszulek. Nie nosiła biustonosza.

Mieszkała w Quarters z jakąś murzyńską rodziną. Wyrzucono ją jednak z tego domu, gdy żona, której zdawało się, że

obrończyni praw obywatelskich zbyt śmiało poczyną sobie z jej mężem, zagroziła dziewczynie brzytwą.

Obrończyni

praw obywatelskich przysięgała, że to nieprawda, ale nikt jej nie wierzył.

Pisk opon przyciągnął uwagę Rebeki i Margaret. To Chevrolet zbyt ostro wszedł w zakręt przy sądzie. Z radia

samochodu dochodziła głośna muzyka, a w lśniącej białej karoserii odbijały się światła ulicy. Za kierownicą siedział

roześmiany Edison Gallant, wykrzykując coś do dziewczyny zajmującej miejsce obok niego. Tą dziewczyną była Beth.

Wstrząśnięta i blada z oburzenia Margaret odwróciła się i spojrzała na Rebeke.

- Jak ona może?! To grzech, grzech cudzołóstwa! Poczekaj, niech no tylko wróci do domu!

Rebeka z przerażeniem podążała wzrokiem za tą parą. W lśniącym białym samochodzie, szaleńczej jeździe w ciepłym

wieczornym powietrzu, w muzyce rozbrzmiewającej z radia i w owym

młodym mężczyźnie, pochylającym się nad

siostrą i roześmianym, było coś, co napełniało ją niezrozumiałą tęsknotą.

Beth wróciła późno. Margaret czekała na nią u drzwi frontowych. Wiele było spraw, o których średnia siostra Benson

wstydziła się rozmawiać, ale złe prowadzenie się do nich nie należało.

- Czyś ty całkiem zwariowała? Szalejesz jak osoba niespełna rozumu! -

Wściekłym głosem besztła siostrę, mówiąc

jednak tak cicho, by nie usłyszała matka.

-Co ma oznaczać ta jazda z Edisonem Gallantem po mieście? Wszyscy cię widzą!

Beth uważnie spojrzała na siostrę i sięgnęła do torebki. Wyjęła papierosa i zapaliła. Głęboko wciągnęła dym, a potem

go wypuściła, znajdując w samej czynności palenia niekłamaną przyjemność.

- Co cię tak martwi, siostrzyczko? Czy to, że wyszłam z Edisonem, czy też fakt, że w i d z i a n o nas razem?

Rebeka obserwowała je wyciągnięta na

stojącej w salonie kanapie. Wiedziała, że to, co robi Beth, jest złe, ale

podziwiała ją za zimną krew.

Cieszyłaby się, gdyby sama była na tyle dorosła, by tak jak Beth nie przejmować się

bolesnymi sprawami, o których czasem mówiła Margaret.

- Masz męża! - wołała Margaret z szeroko rozwartymi i pełnymi wyrzutu oczami. - Co z nim?

- Jego tu nie ma, a tam, gdzie jest, na pewno się po swojemu zabawia. Tam, na tej wyspie, ulice pełne są kobiet, które

zrobią wszystko za dolara. Pisał, że chce mi pokazać kilka rzeczy... Cóż, ja też będę mogła pokazać mu jedną lub dwie...

- Och, Beth... - jęknęła Rebeka ze współczuciem. Ona, w przeciwieństwie do Margaret, słyszała ból w słowach najstarszej siostry.

- To odrażające! - wykrzyknęła Margaret.

- Tak uważasz? Powinnaś więc sama spróbować. - Beth znów wciągnęła dym z papierosa.

- Kiedy zaczęłaś palić? To paskudny nałóg!

- Edison pali.

- Jeśli mama się dowie, pewnie cię ukarze.

- Nie dowie się.

- Mogłaby.

- Zawsze byłaś skarżypyłą.

- Nieprawda!

- A jeśli nawet się dowie, to najwyżej westchnie i powie, że jeśli chcę rujnować sobie życie, to moja sprawa.

- Właśnie to robisz, afiszując się z tym zarozumiałcem Edisonem Gallantem.

Nie wiem, co w nim widzisz!

Wydawało

mi się, że go nie znosisz.

- Nic mi nie zrobił. I przeprosił za te gierki z tobą i Rebeką. A w ogóle, to on nie jest aż taki zły, jak się wydaje. To

pozory. Dziewczyny, z którymi się umawia w Nowym Orleanie, oczekują właśnie takiego zachowania, więc on się

dostosowuje.

- Och, z pewnością! - Margaret uśmiechnęła się złośliwie. - I to, że uczy

cię tych wszystkich plugawych rzeczy, to też

pozory?

- Plugastwo istnieje jedynie w twojej wyobraźni, siostrzyczko.

- Czyżby? Boots powiedział mi, że jedynym powodem, dla którego Edison znalazł się tutaj, są jego problemy z pewną

dziewczyną.

Oczy Beth zwęziły się.

- Jakie problemy?

- Tego mi nie powiedział, ale ostrożności nigdy za wiele!

- Więc bądź ostrożna, a ja będę robiła, co zechcę.

- Jeżeli sądzisz, że on ma wobec ciebie poważne zamiary, że myśli o trwałym związku, to bardzo się mylisz! - Usta

Margaret wykrzywiły się w złości.

Beth potrząsnęła głową, odrzucając włosy do tyłu.

- Edison ma pieniądze i lubi wydawać je na mnie, czego nie można powiedzieć o większości mężczyzn w tym mieście.

Czemu sądzisz, że poszukuję czegoś trwałego?

- Jeśli nie, to nie jesteś niczym więcej jak dziwką!

- Biedna Margaret! Gdybyś rozumiała samą siebie tak, jak wydaje ci się, że rozumiesz wszystkich wokół, czułabyś się

o wiele lepiej.

- Co to ma znaczyć? Jeśli myślisz, że Edison mi się podoba...

- A czy ja to powiedziałam?...

Wydawało się, że Margaret pęknie ze złości.

- To, co robisz, jest niskie, słyszysz?
Niskie! Rób tak dalej, a wpakujesz się
w kłopoty. Wtedy zobaczymy, czy ci
pomogę.

Beth zgasiła papierosa o podeszwę buta,
zanim uśmiechnęła się chytrze.

- Jeśli twoja pomoc ma się przejawiać
w złośliwych uwagach, to myślę, że
dziękuję ci za nią.

Przecisnęła się obok Margaret i
przeszedłszy salon skierowała się do
łazienki.

Rebeka wstała. Gryzła wargi i
obserwowała czerwoną twarz Margaret,

falujące piersi i zaciśnięte dłonie. W końcu

zapytała:

- Naprawdę?

- Co „naprawdę”?!

- Edison ci się podoba? Tak jak sądzi Beth?

- Nie, nie podoba mi się!

- Nie wściekaj się, po prostu jestem ciekawa. Nie wydajesz się nadzwyczajnie zakochana w Bootsie.

- Boots to... Boots. Nie jest może zbyt

podniecający, ale czuję się przy nim bezpieczna, a on zrobiłby dla mnie

wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że Edison jest podniecający?

Margaret spojrzała na nią z gniewem.

- Nie mów o rzeczach, do których nie dorosłaś! -krzyknęła.

Rebeka podniosła głowę.

- Jestem tylko o dwa lata młodsza od ciebie, a wiem tyle samo co ty. Chciałaś powiedzieć, że jest seksowny, i tyle!

- Ależ to idiotyczne! - Margaret usiadła na kanapie, obciągając sukienkę na kolanach. - Och, Edison jest przystojny, ale

to najgorszy rodzaj podrywacza. Te wszystkie uśmieszki i miłe słówka... do czasu, gdy osiągnie to, co chce. Jak

myślisz, dlaczego rozmawiał ze mną w zeszłym tygodniu? Powiedział, że mógłby się założyć, iż całuję lepiej niż

jakakolwiek inna dziewczyna w tym mieście. Tylko dlatego, że przez cały czas miałam usta zmarszczone jak suszona

śliwka!

- Nie wiedziałam, że w ogóle rozmawiał z tobą, bo nie wiedziałam, że się z nim widziałaś.

- No cóż, spotkałam go przed sklepem z warzywami. Pocałował mnie, nim zdążyłam zaprotestować.

- Zrobił to? - Rebeka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Podobało ci się?

Margaret drgnęła i gwałtownie potrząsnęła głową.

- Co więcej - mówiła dalej - powiedział, że jesteś najśłodszym maleństwem, jakie kiedykolwiek widział, i że chciałby

pożreć cię jednym kęsem, tak jak zjada się cukierek.

- Niemożliwe!

- Miał na myśli coś plugawego, jestem pewna.

- Skąd wiesz?

- Po prostu jestem pewna i już. Może z wyrazu jego błękitnych oczu, takiego jak wtedy, gdy śmiał się z nas - ze mnie, z ciebie, z Beth.

Rebeka zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

- Już ja mu się pośmieję!

- Trzymaj się od niego z daleka!
Słyszysz? Z daleka!

To nie było łatwe. Edison zaczął wpadać do ich domu kilka razy w tygodniu, pod byle pretekstem. Był bardzo

uprzejmy dla pani Benson. Rozmawiał z nią, jakby była najstarszą siostrą, i zrobił na niej tak dobre wrażenie, że

starsza pani zachęcała go, by przychodził jak najczęściej i zostawał, jak długo zechce. Szybko pojął, że Rebeka i

Margaret nie zrobią żadnej sceny, która mogłaby zaszkodzić matce. Bezwstydnie wykorzystywał tę okoliczność,

flirtując z nimi, przekomarzając się i powoli wkradając w ich łaski.

Wcale nie był tak szalony, jakiego udawał. Śmiał się, rozmawiał, plótł banialuki, potrząsając nad piecem ziarnami

prażonej kukurydzy - jak każdy wiejski chłopak. Mijały godziny, a on nie czynił żadnych niewłaściwych uwag ani nie

starał się skraść całusa żadnej z dziewcząt. Najwyraźniej było mu przyjemnie, iż staje się częścią rodziny.

To wyjątkowe przeżycie - mawiał. Jego rodzice mieli już dobrze po trzydziestce, gdy się urodził. Nigdy tak naprawdę

nie był dzieckiem. Matka zawsze nazywała go swoim małym mężczyzną, kazała mu rozmawiać z jej przyjaciółmi, gdy

przychodzili z wizytą. Ojciec był sędzią i wymierzał swojemu synowi kary z uczuciem nie większym niż to, jakie żywił

dla najbardziej zatwardziałego przestępcy, który przed nim stawał. Śmierć rodziców - ojciec umarł rok po śmierci

matki - oznaczała dla Edisona wolność. Wciąż cieszył się nagle uzyskaną swobodą.

Czerwiec ustąpił miejsca lipcowi, a lipiec przeszedł w sierpień, nadszedł wrzesień. Z nadejściem roku szkolnego ruch

praw obywatelskich, który, zda się, zamarł podczas upałów, znów przybierał na sile. Było coraz więcej przemarszów.

W miejscowym sklepie trwał strajk okupacyjny. Na podwórkach Quarters i przed przedsiębiorstwami, które blisko współpracowały z Murzynami, spłonęło

kilka krzyży.

Pewnego weekendu w mieście zapanowało poruszenie, bo ujrzano kamery państwowej telewizji. Niczego jednak w

telewizji nie pokazano. Krążyły pogłoski, że w pierwszym dniu zajęć szkolnych równouprawnienie zostanie

wprowadzone siłą, czego mieli dopilnować oficerowie federalni lub może szeryfowie.

Sprawą, której siostry Bensonówny poświęcały teraz najwięcej uwagi, był kłopot Edisona z samochodem.

Kabriolet został lekko wgnieciony i trzeba go było oddać do mechanika. Koniecznie trzeba było dokonać naprawy, a

Edison za kilka dni miał wracać do domu, ponieważ w Tulane rozpoczynały się zajęcia.

Tamtego ostatniego sobotniego wieczoru przyjechał do nich starym szarym sedanem swojego wujka. Nie zabawił

długo. Pani Benson była bardzo zmęczona przedłużającymi się upałami, które nie chciały zelżeć. Beth nie czuła się

najlepiej z powodu wirusowego

zapalenia żołądka, które nawiedziło ostatnio okolicę. Margaret przechodziła to samo

dzień wcześniej i wciąż była słaba. Kiedy Rebeka ostrzegła Edisona, że i on może się zarazić, szybko znalazł wymówkę,

żeby pożegnać gospodynie.

Tamtej upalnej nocy błyskawice rozświetlały południowo-zachodnie niebo, a cykady i żaby wołały o deszcz.

Prześlągnięte zapachem kurzu powietrze wydawało się gęste. Upał ostatnich tygodni wystawił na próbę ludzkie

nerwy. Wszyscy czegoś pragnęli, na coś czekali, ale nikt nie wiedział na co.

U Bensonów wcześniej położono się spać. Tak, jakby sen, mrok i zaciągnięte żaluzje mogły przynieść ochłodę. Na

darmo jednak Rebeka przewracała się na swym wąskim łóżku, leżąc w poprzek materaca, tak że głowę miała prawie

na parapecie okiennym. Pot zbierał jej się na szyi i wąskimi strużkami spływał we włosy.

W pewnym momencie zdawało jej się, że słyszy stłumiony jęk. Usiadła, ale dźwięk się nie powtórzył. Spojrzała na

łóżko Margaret - siostra spała spokojnie. Głos musiał wydać jeden z psów wałęsających się po okolicy w poszukiwaniu resztek, które mama czasami wyrzucała na podwórze. Rebeka znów się położyła.

Kiedy ponownie usłyszała ten dźwięk, był o wiele głośniejszy. Dochodził z sąsiadującego z kuchnią pokoju, w którym

spała Beth. Rebeka wyśliznęła się z łóżka. Siostra musiała poczuć się gorzej... W lodówce było lekarstwo. Nie włączając światła, cicho przemknęła do kuchni. Odnajdywanie drogi w

ciemności przypominało jej dziecięcą zabawę,

a poza tym chciała uniknąć nagłego błysku światła, który zawsze raził jej oczy. W przyćmionym świetle lodówki

szybko znalazła na półce buteleczkę gęstego różowego płynu.

Gdy zamknęła drzwi lodówki i sięgnęła do szuflady po łyżeczkę, po ścianach przebiegł blask reflektorów i oświetlił

wnętrze. Rzuciła się do tylnego okna. To jakiś samochód turkoczący drogą w kierunku do stawu. Podskakiwał i kołysał

się nabierając prędkości, a reflektory zakreślały zygzakowate łuki między drzewami. Słyszała jęczący odgłos silnika.

Samochód skręcił, kierując się w dół wzgórza i znów wszystko skryła ciemność. W chwilę później wyłączono silnik i

odgłos samochodu zamarł. Jakaś para śpieszyła się, by zaparkować, pomyślała Rebeka. Tylko to bądź nielegalne

polowanie na płową zwierzynę w świetle reflektorów mogło kogoś skłonić do przejeżdżania tędy późną nocą.

Siostra

znów jęknęła, więc Rebeka odwróciła się i poszła do jej sypialni.

- Beth?...

Otworzyła drzwi i stanęła w progu, bo w pokoju panowała ciemność. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zrobiła najpierw

jeden, a potem drugi krok do przodu.

- Betty?...

Jedyną odpowiedzią był ciężki oddech, który zdawał się dochodzić z podłogi, tuż obok miejsca, gdzie Rebeka stała.

Marszcząc brwi wysunęła stopę.

Poczuła, że dotyka czegoś ciepłego i mokrego. Przeszył ją dreszcz. Stało się coś

złego! Coś bardzo złego! Z rękami wyciągniętymi przed siebie podeszła do nocnego stolika i zapaliła małą lampkę.

Spojrzała w dół i gwałtowny skurcz chwycił ją za gardło.

Beth leżała w kałuży krwi. Jej bawełniana koszula nocna od pasa w dół przesiąknięta była krwią, a ręce siostry

poplamione. Leżała zwinięta w kłębek, z zamkniętymi oczami i sinymi ustami. Tuż obok, jakby wypadło jej z ręki,

leżało lepkie od krwi, staromodne wieczne pióro.

Następna doba pełna była zamętu, błysku fleszów, szpitalnych zapachów, ponurych głosów i płaczu. Beth zmarła z utraty krwi o czwartej nad ranem. Matka dostała ataku i zabrano ją do szpitala, gdzie, nieprzytomną, podłączono do aparatury kontrolującej pracę serca. Margaret całkiem się rozkleiła. Przepełniona poczuciem winy za te wszystkie

straszne rzeczy, których nagadała starszej siostrze, przerażona myślała, że gdyby nie to, Beth może zwróciłaby się

do

niej o pomoc. Środki uspokajające, przepisane Margaret przez lekarza, zmieniły dziewczynę w bezwolną istotę, niezdolną do podejmowania decyzji.

Tak więc to Rebeka musiała zająć się organizacją pogrzebu. Wybrała trumnę i sukienkę dla Beth, zamówiła wiązanek z różowych róż i goździków. To ona zawiadomiła krewnych i ustalała z pastorem szczegóły ceremonii. Rozdarta między chęcią pozostania przy matce w szpitalu a obowiązkiem siedzenia w kaplicy i reprezentowania rodziny, gdy

krewni i przyjaciele napływali z kondolencjami, miotała się biegając to tu, to tam, aż do wyczerpania.

To także Rebeka rozmawiała z dwoma funkcjonariuszami FBI, którzy przyszli do szpitala. Pokazali jej swoje

legitymacje, przeprosili, że niepokoją w tak bolesnej chwili i uprzejmie zapytali, czy może odpowiedzieć na kilka

pytań. Czy ona bądź inni członkowie rodziny wychodzili gdzieś poprzedniej nocy? Czy nie było czymś niezwykłym, że

w sobotni wieczór wszyscy zostali w domu? O której zazwyczaj kładą się

spać? O której poszli spać ostatniego wieczoru? Czy widziała bądź słyszała coś niezwykłego?

Dobrze się stało, pomyślała Rebeka, że byłam tak zmęczona i wyzuta z emocji. W przeciwnym razie nie zdołałabym zebrać myśli i odpowiedzi nie byłyby tak zwięzłe i rzeczowe. Przychodziło jej na myśl, by zapytać, po co te pytania.

Nie była jednak pewna, czy ludziom przesłuchiwanym przez FBI wolno zadawać pytania, czy też ci poważni mężczyźni

w ciemnych garniturach w ogóle

zechcieliby odpowiedzieć
piętnastoletniej dziewczynie.

Tak czy inaczej nie miała przecież nic
ważnego do powiedzenia. Tamtej nocy
jechał drogą koło domu jakiś samochód,

ale czy było to coś niezwykłego? Co
więcej - nie mogła wyjaśnić, jak to się
stało, że zobaczyła ten wóz, musiałyby

bowiem opowiedzieć o znalezieniu Beth
i przyczynie jej śmierci.

Ta ostatnia informacja została starannie
zatajona. Lekarz rodzinny, który od lat
zajmował się matką, w odruchu

obrony rodziny napisał w akcie zgonu,

że Beth zmarła wskutek krwotoku
wewnętrzznego spowodowanego chorobą

wrzodową jelit. Ze względu na matkę
należało utrzymać taką wersję wydarzeń.
Pani Benson nie wiedziała bowiem o

nieudanej, samodzielnie
przeprowadzonej aborcji, jak również
nie dostrzegła wcześniej stanu Beth.
Rebeka i

Margaret usunęły zakrwawione pióro i
zanim zawołały matkę, zarzuciły na
siostrę pled. Tak czy inaczej samochód

nad stawem nie miał dla rodziny
żadnego znaczenia. Ważne było tylko to,
że Beth - piękna i kochająca życie Beth -

odeszła, a matka mogła umrzeć w każdej chwili.

Dopiero później, tego samego wieczoru, w kaplicy dowiedziała się o śmierci jeszcze jednej młodej kobiety - owej

hałaśliwej, wojowniczej obrończyni praw obywatelskich. Zginęła, gdy ciężarówka, którą jechała wraz z dwoma

czarnymi, została podpalona przez grupę białych chuliganów jadących ciemnym samochodem nowszej marki. Biali

przyspieszali, zmuszając policję do pościgu, zanim udało im się ją zgubić na południowych krańcach miasta.

Beth i tamta dziewczyna leżały teraz w sąsiadujących ze sobą salach kaplicy, dwie młode, tragicznie zmarłe kobiety.

Beth będzie pochowana następnego ranka. Rodzice tamtej zabiorą córkę do Massachusetts, aby tam ją pochować.

Goście żałobni napływali do kaplicy. Większość z nich, kierując się chorobliwą ciekawością, przechodziła z jednej sali

do drugiej. Rebeka, godzina po godzinie, cierpliwie wdychała zapach żałobnych wiązanek, wysłuchiwała komunałów i

słów mających dodać jej otuchy oraz pytań o zdrowie matki. Margaret

przysiadła na chwilę, a potem
pozwoliła, by

drogi, niezawodny Boots zabrał ją
stamtąd. Nie mogła tego znieść, jak
powiedziała. Po prostu nie mogła.

Było już późno, gdy przyszedł Edison.
Wszedł do kaplicy i stanął, wpatrując
się w leżącą w trumnie Beth. Zastygł w

bezruchu, a wokół szumiało tyle
komentarzy oraz plotek i tyle tam było
ciekawskich spojrzeń, że w końcu
Rebeka

wstała ze swego miejsca i stanęła obok
Edisona.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na dziewczynę. W jego oczach błyszczały łzy. Gdy przemówił, głos brzmiał serdeczną

skruchą.

- Nie chciałem jej zabić! - oznajmił.

ROZDZIAŁ 3

Noel Staulet stanął przed wielkimi oszklonymi drzwiami, które prowadziły na tylny taras. Prostokątne szyby

pozwalają mu dostrzec Rive i Dantego Romoli, usadowionych przy jednym ze stolików o szklanych blatach. Kapelusz,

który Riva dziś nosiła, leżał teraz rzucony na sąsiednie krzesło. Słońce odbijające się w płytach tarasu kładło się

delikatnym blaskiem na policzek kobiety. Zsunęła z nóg kremowe pantofle i siedziała podwinąwszy pod siebie nogę.

Przeglądając prasę, Riva i Dante Romoli pili kawę z delikatnych niczym skorupki jajek porcelanowych filiżanek. Były

one częścią serwisu kupionego we Francji przez prababkę Noela w czasie podróży poślubnej. Nie to jednak wywołało

irytację Stauleta, który zmarszczył brwi i zacisnął pięści. Denerwowała go zażyłość obserwowanej pary, brak

skrępowania charakterystyczny dla ludzi, którzy znają się tak dobrze, że ani wygląd partnera, ani jego milczenie nie ma żadnego znaczenia.

Przez wszystkie te lata, jakie minęły od chwili, gdy Noel poznał Rive, w jego towarzystwie nigdy nie była tak

swobodna. Nigdy nie widział, by przeciągała się, nie zważając na to, że suknia przywiera do smukłej sylwetki, ani też,

by ziewała, nie bacząc, jak wygląda z rozchyłonymi wargami i ciężkimi, na wpół przymkniętymi powiekami. Przy nim

zawsze miała się na baczności i czuwała nad każdym swym gestem.

Właściwie nie powinien mieć o to pretensji; sam również w jej obecności nie czuł się swobodnie. Uważał na każde

swe słowo, gest i spojrzenie. To przyzwyczajenie sięgało w przeszłość bardziej odległą, niż sądził, i było nawykiem tak

silnym, że nie miał pewności, czy

potrafiłby z nim zerwać mimo usilnych starań. Z wielkim trudem wywalczył

opanowanie, wyrabiając je w sobie podczas bezsennych nocy, za pomocą ogromnego wysiłku i żelaznej woli.

Osiągnął je niemal dwadzieścia pięć lat temu, by ukryć liczne emocje, których nie powinien zdradzić ani nawet

odczuwać. Złość i żal, że ojciec tak szybko zastąpił kimś zmarłą matkę; wstyd, że wybrał dziewczynę, która mogła być

jego córką; współczucie dla tej dziewczyny, która najwyraźniej nie czuła się pewnie w nowym środowisku.

Noela

drażyla też niepohamowana ciekawość na temat istoty fizycznego związku łączącego ją z ojcem oraz zazdrość o

prawo, które pozwalało temu starszemu mężczyźnie brać Rive do łóżka, a także najzwyklejsze pożądanie, jakie

budziło w nim piękne ciało macochy. Najtrudniej jednak przyszło mu ukrywać miłość.

Był bowiem zakochany w żonie ojca. Trapiło go przy tym poczucie winy jak i płonąca, sekretna radość. Oczywiście, nie

mogło to trwać i poczuł bez mała ulgę,
gdy ojciec położył temu kres. Od tamtej
pory jednak nie przeżył już uczucia,

które choć przypominałoby miłość do
Rivy...

Melodyjny, lecz przenikliwy dźwięk
przerwał ciszę, gdy ktoś nacisnął
staromodny dzwonek przy drzwiach
frontowych

za jego plecami. Noel uprzedził
Abrahama, lokaja usługującego w Bonne
Vie od czterdziestu lat, że przywiezie
gości.

Leciwy człowiek z majestatycznym
spokojem ruszył ku drzwiom, by

odpowiedzieć na wezwanie
oznaczające, że

przyjechała Constance z dziećmi. Noel
miał zamiar uprzedzić o tej wizycie
również Rive. Teraz jednak było już za
późno.

Obrócił się, by przez otwarte drzwi
obserwować, jak jego była żona
dyryguje dwoma służącymi wezwanymi
do

transportu bagaży, wskazując kolejne
walizki z całej góry, którą utworzyły po
wyładowaniu ich z zaparkowanego
przed wejściem mercedesa Noela.

Powiniennem był zabrać na lotnisko ciężarówkę z plantacji - pomyślał. Była

jedynym w całej okolicy pojazdem wystarczająco pakownym, aby pomieścić te rzeczy, które Constance uważała za

niezbędne podczas najkrótszych nawet wizyt.

Pozwoliła mu wieźć większość walizek, ale nie zgodziła się, by wziął do samochodu dzieci. Po załadowaniu jej bagaży

było jeszcze miejsce, przynajmniej dla Pietra, ale Constance sprzeciwiła się rozstaniu z chłopcem i nalegała, żeby

zarówno on, jak i Coralie jechali taksówką razem z nią. Widocznie, pomyślał Noel, jestem w jej oczach ojcem,

któremu nie można powierzyć jego własnych dzieci. A przecież Constance miała przywozić je na spotkania. Irytacja,

jaką budziła w Noelu niedorzeczność eks-żony, ogromnie ją cieszyła. Była Włoszką i - co więcej - pochodziła z

sycylijskiej arystokracji; wszak niegdyś była panną Constance di Lampadusa. Nie musiała więc kierować się logiką ani

też nie dopatrywała się niczego złego w niewielkiej zemście.

Dzieci, z dziewięcioletnią Coralie na przedzie, wychodziły już z taksówki i potykając się wstępowały na schody.

Noel

wyszedł im na spotkanie. Mijając Abrahama skinął głową w stronę tylnego tarasu. Lokaj z powagą pochylił czoło, a

potem udał się w głąb holu, aby poinformować panią domu o przybyciu gości.

Niespełna siedmioletni Piętro był zmęczony i rozdrażniony wskutek zmiany czasu, i bardzo kaprysił. Tęsknił za

swoją

nianią, która nie odważyła się wejść na pokład samolotu mającego lecieć nad oceanem. Constance zaś nie była

przyzwyczajona do zajmowania się dziećmi. Chcąc uciszyć synka, zapychała go czekoladą, o czym świadczyła jego

usmarowana buzia.

Z czupryną czarnych loków, ogromnymi czarnymi oczami i zbolałą twarzą wyglądał jak brzdąc z plakatu „Ratujmy dzieci!”

Coralie, dla odmiany, była milcząca i

opanowana. Szeroko rozwartymi oczami rozglądała się dookoła. Jej sukienka

była dziełem najslawniejszego w Mediolanie projektanta ubiorów dziecięcych, a buty szyte ręcznie na kopycie

zmienianym co trzy miesiące. Jej neseserek z mięciutkiej skórki wyściełany był jedwabiem i miał szczerozłote inicjały.

Wyglądała jak księżniczka, ale była za blada i zbyt apatyczna, by mogła uchodzić za zdrową.

Noel wyszedł przed frontowe drzwi. Przyklęknął, by przytulić córeczkę, a

potem wysunął rękę po synka. Czuł, że czekolada zostawia ślady na kołnierzyku jego koszuli, ale nie zważał na to. Maluchy witały się z ojcem serdecznie, a jego coś ścisnęło za gardło.

- Witajcie w Bonnie Vie! - powiedział ciepłym głosem, a potem podniósł Pietra i ujął rączkę córki. Przepuścił w drzwiach swą eks-małżonkę, a następnie ruszył z dziećmi w głąb domu.

Zaraz jednak zatrzymał się na widok Rivy. Szła od strony tylnego tarasu. Włożyła już buty i poprawiła makijaż.

Znów

była chłodna i opanowana. Pół kroku za nią podążał Dante. Jego ciemne oczy spoglądały z rezerwą, jakby spodziewał się kłopotów.

- Constance, cóż za miła niespodzianka!
- powiedziała Riva, wyciągając rękę.

Constance ledwie dotknęła palców pani domu.

- Jestem pewna, że to raczej wstrząs niż niespodzianka, ale musisz mi wybaczyć, że cię nie uprzedziłam. Obawiałam

się jednak, że Noel uzna nasz przyjazd

za niepożądany.

Słowa brzmiały poprawnie, ale wyniosłe zachowanie granoczyło z arogancją. Imponująca pogarda wobec tego, co

myślą inni, była jedną z cech, jakie przyciągnęły uwagę Noela do tej kobiety, która została w końcu jego żoną.

Przyciągnęła go oczywiście także jej uroda, jakże odmienna od urody Rivy. Wygląd Constance nasuwał skojarzenie z

jakimś mrocznym, subtelnie erotycznym portretem z czasów Borgiów. Miała

szare oczy, lekko uniesione w kącikach,
i

prosty, wydatny nos. Dolna warga była pełna i tworzyła wyraźny łuk, górna zaś -dość wąska - znamionowała zaciętość

i upór. Constance nosiła długie włosy rozdzielone przedziałkiem na środku głowy i splecione w gruby węzeł na karku.

Często narzekała na swą figurę, utrzymując, że wygląda jak matka-ziemia; zbyt płodna, by ubierać się w sposób

wyrafinowany. Przyjęła więc za swój styl zarówno prostotę, jak i pewien

nieład artystyczny. Tym ostatnim
świadomie

sygnalizowała swą profesję projektantki
biżuterii będącej raczej dziełem sztuki
niż ozdobą. Na podróż włożyła suknię

z naturalnej wełny i lnu obszytą falbaną;
zdobiła ją biżuteria w etruskim stylu,
wykonana z surowego złota, i szal

przewieszony przez jedno ramię.

Constance była kobietą o takiej obfitości
kształtów i ognistości temperamentu,
jaką zdaje się lubić większość

mężczyzn. Noel sądził niegdyś, iż
mógłby się w tym zatracić. Nie było

winą żony, że tak się nie stało...

Riva przedstawiła Constance Dantego i zaproponowała, że odprowadzi ją do pokoju gościnnego, sugerując kąpiel i

odpoczynek albo też napój i posiłek, który może zostać podany do pokoju. Z pewnością była to próba pozbycia się

drugiej kobiety na czas, który pozwoliliby przyzwyczaić się do jej obecności. Tak właśnie zdawała się sądzić Constance.

- Nie ma potrzeby, byś aż tak się o mnie troszczyła -oznajmiła. - Jestem pewna, że Noel pokaże mi, gdzie mam spać...

Żarliwy ton jej głosu przydał tym słowom dwuznaczności. Łapiąc szybkie spojrzenie Rivy, Noel poczuł, że się rumieni, i

zaklął pod nosem. Powinien był wiedzieć, że Constance nie powstrzyma się od prowokowania nieprzyjemnych sytuacji.

Pietro, wrażliwy na napięcia między rodzicami, znów zaczął się mazać i trzeć oczy piąstką.

- Gdyby jednak chciała pani okazać się pomocna, madame Staulet - mówiła dalej Constance - to może znalazłby się

ktoś do opieki nad Coralie i Piętrzem.
Podróż jest dla dzieci tak uciążliwa...
To czekanie, długie siedzenie w jednej
pozycji... Miały ciężki dzień.

- Zgłaszam się na ochotnika! - rzekł
Dante Romoli z rozjaśnioną twarzą. -
Może dzieci będą chciały popływać
albo po

prostu ochłonać po podróży. Obiecuję,
że będę się o nie troszczył jak kwoka.

- Miałam na myśli jakąś opiekunkę...

- Ależ ja jestem doskonałą opiekunką! -
zapewnił Dante. - Przynajmniej od czasu
do czasu.

Riva z uśmiechem włączyła się do rozmowy.

- To prawda, Dante jest doskonałą nianią. Ma co najmniej dwudziestkę przyszywanych siostrzenic i bratanków; dzieci

przyjaciół, które go uwielbiają. Twój synek i córeczka będą z nim całkowicie bezpieczne.

Constance zacisnęła usta i zmierzyła Dantego baczny spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku - orzekła w końcu.

- Gdy Dante będzie ich doglądał,

zorientuję się, czy znajdzie się jakaś kobieta, która mogłaby się nimi zająć -
powiedziała Riva.

- Spróbuję więc znaleźć ich kostiumy kąpielowe, jeśli tylko Noel zaprowadzi mnie do pokoi... - Mówiąc to Constance spojrzała spod rzęs na byłego męża.

Noel poczuł gwałtowny odruch niechęci, ale wiedział, że najlepiej będzie jak najszybciej spełnić życzenie Constance.

Zostawił więc dzieci z Dantem i Riva, a sam odwrócił się w stronę schodów widniejących w głębi obszernego holu.

- Tędy.

Wspinali się w milczeniu po rzeźbionych stopniach z orientalną poręczą. Zaprowadził Constance do jednej z sypialni

dla dzieci we frontowej części domu i wskazał jej sypialnię po przeciwnej stronie holu.

- A gdzie ty sypiasz? - zapytała, układając usta w prowokacyjny uśmiech.

- Na dole. W dawnym pokoju ojca, obok biblioteki.

- Chcesz powiedzieć, że usunąłeś stamtąd swoją macochę? Cóż za okropne

maniery!

Twarz Noela stężała.

- Jej pokój znajduje się na górze, tuż obok twojego, jeśli cię to interesuje.

- Więc ona i twój ojciec mieli oddzielne sypialnie? Jakież to nowoczesne, ale z pewnością nie mogę jej obwinać o to.

Jaka była między nimi różnica wieku?

Prowokowała go i wiedział o tym.

- Trzydzieści lat. Dlaczego pytasz?

- No cóż, jest tak młodą wdową... Jak to możliwe, że jeszcze jej nie

powiedziałaś, iż jesteś w niej szaleńczo
zakochany,

i nie powiodłeś jej do ołtarza?

- Czy tego oczekujesz?

- Od sześciu miesięcy, a nawet jeszcze
dłużej...

- Przykro mi, że cię rozczarowałem. -
Jego głos był oschły.

- Cóż cię powstrzymuje? Z pewnością
nie delikatność wobec jej smutku.
Myślałam, że żałoba wyszła już z mody;
że żal

jest w złym guście.

- Źle myślałaś.

- Czyżby? Piękna Riva z całą pewnością nie nosi czerni.

- Nie będziemy rozmawiać o Rivie.

Spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

- Nigdy tego nie robiłeś, prawda, mój kochany? Ta kobieta zrujnowała moje małżeństwo, ale nigdy nie wolno mi było

o niej rozmawiać i wciąż nie wolno mi w najmniejszym nawet stopniu podać w wątpliwość jej dobrego imienia.

- Nie ma mowy o żadnej zniewadze.
Riva nie ma nic wspólnego z rozpadem
naszego małżeństwa.

- Och, proszę! Możesz udawać głupca,
ale ja nie jestem idiotką!

Constance odwróciła się od niego, a
jedwabny szal zawirował wokół niej.
Podeszła do okna.

Zmarszczył brwi. Współczucie dla eks-
żony było kłopotliwym doznaniem.
Constance nigdy nie potrafiła pogodzić
się z

faktem, że Noelowi bardziej zależało na
wolności niż na jej tytule; że bardziej
cenił swobodę niż ciało żony. Jego

oziębłość wolała sobie tłumaczyć jakimś dramatycznym trójkątem.

- Riva nie miała żadnego związku z moim odejściem od ciebie - oświadczył.

- Dowiedziała się o tym dopiero, gdy było

już po wszystkim.

- Powiedz w takim razie, że nie odszedłeś z powodu tego, co czułeś, co wciąż czujesz... do niej.

- To nie twoja sprawa - rzekł cicho.

- Jak możesz mówić coś takiego? -

Zwróciła się ku niemu z płaczem. -

Twoja obsesja na punkcie tej kobiety

zawsze

stała między nami. Nienawidzę tego!
Nienawidzę jej!

Jedynym sposobem uniknięcia głośnej awantury, czego nauczył się już dawno, było odwrócenie jej uwagi od głównego tematu rozmowy.

- I przejechałaś pół świata, aby mi o tym powiedzieć?! To śmieszne. Myślałem, że to mnie nienawidzisz.

- Nigdy... nigdy nie żywiłam do ciebie nienawiści; to mogę przysiąc. - W jej spojrzeniu pojawiła się namiętność, a

także żal i niepewność. - Przyjechałam tu, bo chciałam się dowiedzieć, czemu nie ogłosiłeś swych zaręczyn z Riva

Staulet. Myślę, że już wiem.

- Doprawdy? Mam nadzieję, że nie zamierzasz zatrzymać tego dla siebie.

- Masz rywala.

Jego usta skrzywiły się w uśmiechu, gdy powtórzył:

- Rywala?...

- To właściwe słowo, prawda? Chcę powiedzieć, że istnieje inny mężczyzna, ten Dante Romoli. To on stoi ci na

drodze.

- Zawsze miałaś wybujałą wyobraźnię.

- Owszem - przyznała bez urazy, koncentrując się na tym, co najbardziej ją interesowało. - Jest szalenie atrakcyjny. I

dobrze radzi sobie z dziećmi; to ważne u mężczyzny.

Noel zdawał sobie sprawę, że słowa Constance przyprawiają go o skurcz serca, ale nie chciał przyjąć ich do wiadomości.

- Może powinnaś zakręcić się koło

niego, skoro wydaje ci się taki wspaniały?

- Może się zakręcę. Byłaby to pyszna zemsta, nieprawdaż? Zabrać jej mężczyznę, tak jak ona zabrała mojego.

- Nie bądź śmieszna. Znają się od lat, a cokolwiek między nimi istnieje, ty nie możesz zrobić nic, by to popsuć.

Spodziewał się, że znów wpadnie w szal. Jednak Constance nieoczekiwanie uśmiechnęła się, patrząc na niego.

- Nie wiesz, co jest między nimi? - zapytała w końcu. - Nie wiesz, czy są kochankami, czy tylko przyjaciółmi? Czy

kiedykolwiek byli kochankami?

- Nigdy nie pytałem.

- Ponieważ nie chcesz wiedzieć -
powiedziała ze zmrużonymi oczami. -
Może chciałbyś, żebym odebrała jej tego

Dantego? Może nawet byłbyś mi
wdzięczny...

Mówiąc to ruszyła ku niemu i
wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po
brodzie.

- Nie w taki sposób wdzięczny! - rzekł,
odpychając jej dłoń.

Zakłęła i pośpiesznie się odsunęła.

- Jesteś idiotą! A ja byłam szalona, że przyjechałam; szalona, bo myślałam, iż może odzyskałeś zmysły i zechcesz mnie i dzieci z powrotem!

- Tak, byłaś szalona! Myślę jednak, że gdybyś powierzyła mi pełną opiekę na Coralie i Pięciem, byłoby lepiej.

- Jestem pewna! Nieważne. Mam zamiar zostać tu z długą, przyjemną wizytą. A kiedy dobiegnie końca, zobaczymy, kto będzie szalony!

- Chciałbym zauważyć, że nie zapraszałem cię, a to jest mój dom.

- Twój i twojej macochy.

- Nie, wyłącznie mój. Ona ma jedynie prawo użytkowania, nabyte przez małżeństwo z ojcem. Takie jest prawo

Luizjany.

- Pluję na wasze prawa! Nie obchodzi mnie, jakie są udziały Rivy w tym domu, ale jestem pewna, że chętnie usłyszysz o

twoich uczuciach.

Noel zrozumiał groźbę, ale ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

- A czemu ci się wydaje, że ona nie wie?

Constance roześmiała się.

- Riva patrzy na ciebie oczami kobiety, która widzi niebezpieczeństwo, a nie miłość. Widzi w tobie raczej wroga niż kochanka. Ona nic nie wie.

- Powiedz jej - rzekł - a nie będzie jedyną, która zobaczy we mnie wroga.

Rozbawienie zniknęło z twarzy Constance.

- Może wolałabym mieć w tobie wroga, niż nie mieć cię wcale? - spytała.

Riva zmieniła lnianą sukienkę na płaszcz kąpielowy z przewiewnej kremowej

bawełny, pod którym nosiła kremowo-koralowy kostium, nim poszła w stronę basenu. Nie założyła pantofli. Lubiła chodzić bosą i chętnie korzystała z każdej

ku temu okazji. Wtedy właśnie doznawała uczucia największej radości. Była sobą.

Stroje były dla niej przemyślną formą przebrania. Posługiwała się nimi, by stworzyć taki swój wizerunek, na jakim jej

zależało: obraz stonowanej arystokratycznej elegancji. Czasem, nieczęsto, odnosiła wrażenie, że ona i

ów wizerunek

zlewają się ze sobą. Początkowo ubiory Rivy odbijały gust Cośmy, jednak szybko odkryła przydatność tego stylu i

uznała go za własny. Jeśli pod tym przebraniem wciąż była tylko wiejską dziewczyną - zawsze trochę nieśmiałą,

zagubioną i niepewną - to doprawdy tylko nieliczni mogli poszczycić się, że o tym wiedzą.

Dante Romoli był jednym z owych nielicznych. Uśmiechnął się teraz, widząc jej bose stopy i sposób, w jaki

poszukiwała zacienionych miejsc na

tarasie, chcąc uniknąć rozpalonej słońcem nawierzchni. On też był już w

kąpielówkach, które włożył w kabinie za rzymskimi kolumnami basenu.

Stał w płytkiej wodzie towarzysząc Coralie i Piętrowi, którzy uganiali się za wielką błękitną piłką, którą im rzucił.

Dziecięce znużenie zniknęło, ustępując miejsca prawdziwej radości.

Riva podeszła do basenu, zrzuciła płaszcz kąpielowy i zanurzyła w wodzie stopy. Była gotowa włączyć się do zabawy,

gdyby dzieci Noela to zaproponowały,

ale nie chciała im narzucać swej obecności. Nie miała zresztą szczególnej

ochoty na kąpiel. Pluskanie się o poranku było ulubioną formą jej gimnastyki, ale nie była entuzjastką słońca.

Głęboka, wspaniała opalenizna mogła być oznaką dostatku w niektórych częściach kraju, ale w Luizjanie oznaczała

jedynie młodzieńczą niefrasobliwość albo głupotę. Nie chodziło przy tym o torturę słonecznej kąpieli w parnym upale

- opalanie się było wręcz niebezpieczne.

Ponadto w tej części kraju skóra o kolorze i delikatności płatków magnolii wciąż była w dobrym stylu.

Przyjaciele Erin grali w basenie w wodnego berka. Gdy Erin wypadła z gry, podpłynęła ku Rivie, a potem stanęła w

płytkiej wodzie w pobliżu ciotki. Przerzuciwszy przez ramię długie włosy i wyciskając z nich wodę, skinęła głową w

stronę dzieci.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że jest tu żona Noela. Myślałam, że nim gardzi.

- Przypuszczam, że Noel ma prawo do odwiedzin dzieci.

- Ależ ona ma tupet; przyjeżdża tu bez żadnego uprzedzenia!

Riva uniosła ramię.

- Taka jest właśnie arystokracja.

- Dzieciaki są śliczne, choć jakieś przygaszone. Jak ona wygląda?

- Zapomniałam, że jej nie znasz. Jest dość miła. Erin uniosła brew. Jej oczy błysnęły.

- Czyżbym dostrzegła w twoim głosie...
brak ciepła?

- Prawie jej nie znam, naprawdę -
zaprotestowała Riva. - Widziałam ją
zaledwie kilka razy: raz tu, zaraz po ich
ślubie, i

może ze dwa razy w Paryżu.

- Nie rozumiem, dlaczego się rozeszli.
Wiem, że mieszkali we Francji i mieli
dzieci. Następne, co było mi wiadome,
to

fakt, że ona rzeźbiła w metalu za pomocą
lutownicy do biżuterii; że robiła to na
jakimś poddaszu i że Noel zawsze był
sam.

- Niezłe poddasze! - rzekła Riva z

cierpkim uśmiechem. - W rzeczywistości był to apartament z ogrodem, usytuowany

w pobliżu dawnego miejsca wypadów księżnej Windsoru. O innych sprawach wiesz tyle samo co ja. Jeśli chcesz

wiedzieć więcej, to zapytaj Noela.

- O nie, dziękuję! Nie postradałam zmysłów; poczekam, aż ty się dowiesz.

Noel nie należał do mężczyzn, do których łatwo było dotrzeć, a w sprawach osobistych był skryty wprost nie do

zniesienia. Zawsze był taki.

Zamilkły na chwilę, przyglądając się zabawie Dantego z dziećmi. Odkrył, że pływają jak delfiny i przesunął się z nimi

na głębszą wodę. Coralie przywarła do jego pleców, obejmując go ramionami za szyję. Pietro zaś stał na jego zgiętych

kolanach i przytrzymując się ręk opiekuna, wyginał się do tyłu. Dante obracał się powoli niczym koślawa, drżąca

karuzela, tak że woda tworzyła wir dookoła całej trójki. Dzieci, pokrzykując z radości, wydawały się czynić wszystko co

w ich mocy, by Dantego zatopić.

Erin wskazała go głową.

- Powinien mieć własne dzieci.

- Do tego potrzeba zazwyczaj również matki.

- Wiem o tym, mądralo!

- A ja myślałam, że zaniedbano twojej edukacji w tym względzie. - Riva rzuciła dziewczynie rozbawione spojrzenie.

- Nie próbuj zmieniać tematu. A ty?...

- Ja jestem za stara.

- Nie, nie jesteś. Wiele kobiet rodzi po czterdziestce. Trzeba tylko zachować ostrożność.

- Dziękuję, pani doktor - powiedziała Riva.

- To nie ma sensu, Erin! - zawołał Dante. - Twoja ciocia jest roztropna i taktowna. Żadnych rozmów o małżeństwie,

nie mówiąc już o dzieciach, przez co najmniej pół roku.

Riva zmarszczyła czoło. Powinna była pamiętać, że głos niesie się po wodzie...

- Nigdy tego nie mówiłam - rzekła.

- Doprawdy? - zapytał niewinnie. -
Mógłbym przysiąc, że mówiłaś.

Ciemne spojrzenie Dantego zajaśniało
czymś, co przypominało nadzieję, ale w
tej samej chwili Coralie udało się

chwycić go mocno za szyję, co
odwróciło jego uwagę od kobiet na
brzegu.

Riva czuła spojrzenie Erin na swojej
twarzy. Mogła sobie wyobrazić, o czym
myśli ta dziewczyna, nad czym się

zastanawia. Riva od dawna wiedziała,
że wszyscy podejrzewają ją o romans z
Dantem. Wszyscy, łącznie z Noelem.

Sądzone, że łączy ich romans tak dawny, iż niemal darzono go powszechną aprobatą. Prawda była znacznie bardziej

skomplikowana i znana jedynie jej i Dantemu, ale taki stan rzeczy odpowiadał Rivie.

Jakiś zaczepny gwizd, niski i pełen uznania, odbił się echem po wodzie. Wydał go jeden z kąpiących się młodzieńców.

Jego wzrok skierowany był w stronę tylnego tarasu. Młody człowiek, zagapiony na brzeg, zatrzymał się tak nagle, że

zniknął na moment pod wodą.

Z cienia pod balkonem wyłoniła się kobieta i przechodziła właśnie przez taras. Poruszała się z gracją, cudownie

obojętna wobec faktu, że zaledwie cal lub może dwa dzieli ją od nagości. Jej kostium składał się z czterech

mikroskopijnych trójkątów turkusowego jedwabiu przeplatanego srebrem, przytrzymywanych na swoich miejscach

plecionymi srebrnymi troczkami. Z ramion zwisały trzy pasy srebrzystej tkaniny, tak lekkiej, że rozwiewały się przy

każdym ruchu. Ciemne włosy spadały na ramię grubym, połyskliwym splotem, a

zmysłowe ciało pokryte było równą opalenizną.

Przez krótką chwilę Riva żałowała, iż tak starannie unikała słońca. Wstając sprawiła, że Constance poczuła się mile widziana.

Pomachała swoim rozbrykanym dzieciom, skinieniem głowy odkłoniła się przyjaciółom Erin i zsuwając pasy srebrnej tkaniny pozwoliła im opaść na posadzkę.

Wspiąwszy się na palce, skoczyła do wody. Popłynęła do końca basenu i

wróciła, ignorując zapatrzonych w nią

młodzieńców, jakby ich tam wcale nie było. Potem, odbijając się palcami od dna, skierowała się ku Dantemu.

- To miło, że zechciałeś zaopiekować się Pięciem i Coralie - rzekła pozbawionym wyrazu głosem. - Nie podziękowałam

ci wcześniej i chciałabym zrobić to teraz. Jestem twoją dłużniczką.

W oczach Dantego pojawił się podziw, przez który jednak przebijająca ostrożność.

- Ależ to dla mnie przyjemność - odpowiedział.

- To do nich niepodobne: polubić kogoś tak szybko. Musisz być niezwykłym mężczyzną.

- Pozwoliłem im wykrzyczeć się i narobić zamętu; loty przez Atlantyk we mnie też wzbudzają chęć gwałtownego odreagowania.

Constance uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

- Za każdym razem.

Dante obronił się przed atakiem małego Pietra, unosząc go na ramieniu, a potem

wrzucił go do wody.

Sycylijka odwróciła głowę, by uniknąć opryskania, po czym opłynęła Dantego, zatrzymując się tam, gdzie woda była

na tyle płytka, by mogła stanąć. Jej oczy zwięziły się badawczo.

- Masz bardzo interesującą twarz - powiedziała. - Jak ze starej monety.

Dante skrzywił się.

- Wiem. Taki nos zwą szlachetnym.

- Raczej charakterystycznym, powiedziałabym, a tak się składa, że twarze to moje hobby.

- Może moja posłuży więc nareszcie konkretnemu celowi.

Riva, przyglądając się tym dwojgu z dokazującymi wokół dziećmi, widziała uniki Dantego. Sądziła, że jeśli Constance

naprawdę się nim zainteresowała, na co wszystko zdawało się wskazywać, to byłoby lepiej, gdyby użyła

łagodniejszych środków, bo mimo swobodnego na pozór stylu bycia Dante był najbardziej konserwatywnym ze

wszystkich znanych jej mężczyzn.

Z tarasu dobiegł nowy odgłos. To Noel

wyszedł z wnętrza domu i sięgnął po krzesło. Zdjął krawat, rozpiął kołnierzyk i

podwijał rękawy koszuli. Służąca postawiła przed nim wysoką oszronioną szklanę, udekorowaną wianuszkiem mięty.

Podziękował jej, a potem uniósł szklanę i pił, spoglądając na swą byłą żonę. Na jego twarzy malowała się starannie

wypracowana pustka.

Riva podniosła płaszcz, włożyła go i poszła w stronę Noela. Wstał, by podać jej krzesło, a ona opadła na nie miękkim

ruchem.

- Masz ochotę na drinka? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową, a on sięgnął po swoją

szklankę. Spoglądała na jego gładką, opaloną szyję.

- Czy Constance i dzieci długo zostaną z nami? - spytała w końcu.

- Miesiąc lub dwa.

- Jakie to... przyjemne dla ciebie.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Przepraszam za tę niedogodność.

- Nic się nie stało. To twój dom.
- Ty go prowadzisz. To była prawda.
- Mamy tu sporo służby. Twoi goście nie stanowią kłopotu.
- Nie myślałem, że będą. Zawsze jesteś przygotowana, prawda?

W jego głosie brzmiała nuta ironii, jakby czuł się dotknięty jej zaradnością.

- Twój ojciec mnie tego nauczył - przypomniała.
- Oczywiście. Zostałaś dobrze wyszkolona. „Pani na Bonne Vie”.

- Wykwalifikowana gospodyni, mam nadzieję.

- Och, jestem gotów ci to przyznać.

Poczuła nagły chłód z powodu nieskazitelnej uprzejmości ich słów, stanowiących bez wątpienia formę walki. Byłoby

chyba lepiej postawić wszystko otwarcie, niczym dzieci w basenie - wykrzyczeć się, rozładować napięcie...
Potem

niektóre sprawy znów skryłyby się w niedomówieniach.

- Skoro już o tym wspominasz - rzekła,

podnosząc się z krzesła - powinnam
pewnie pójść i zobaczyć, co z obiadem.

Noel nie odpowiedział, ale podązał za
nią wzrokiem, patrząc tak długo, aż
jasny kolor jej stroju stał się tylko plamą
w

mrocznym holu.

- Tatusiu, tatusiu! Czy widziałeś, jak
pływam? To Pietro krzycząc gramolił
się z basenu. Biegł teraz do ojca
zostawiając

mokre ślady na posadzce. Uśmiech
zagościł na twarzy Noela, który poczuł,
że serce mu rośnie, gdy wyciągnął ręce,
by

przytulić małe mokre ciało synka.
Posadził chłopca na kolanach. Bał się,
że Pietro odzwyczaił się od niego
podczas

rozłąki. Dzieci baraszkujące w wodzie
wyglądały znacznie lepiej niż
bezpośrednio po przyjeździe. Nuda i
zmęczenie,

które spowodowały niedawną apatię,
zniknęły bez śladu.

- Tak, widziałem - odpowiedział
ciepłym, głębokim głosem. - Świetnie
sobie radziłeś!

- Przypomniałem sobie, co mi mówiłeś i
pokazywałeś, kiedy mieszkałeś z nami.

- To rozumiem! I jestem z ciebie dumny!

- Chciałbym, żebyś wrócił do domu.
Tęsknię za tobą, tatusiu.

Coralie, podążająca za bratem, podeszła, aby oprzeć się o ramię ojca. Rozgarniała palcami włosy, które woda przykleiła jej do szyi i zaczesywała je za uszy zadziwiająco dorosłym gestem, ale głosik wciąż miała cienki i dziecięcy.

- Czy nie możesz wrócić z nami do domu, do Paryża?

Noel objął córeczkę, delikatnie głaszcząc jej rozgrzane słońcem ramię i mocniej przytulając Pietra całował

śliczne,

potargane loki na jego głowie.

- Ja też za wami tęsknię, za obojgiem, bardziej, niż potrafię to wyrazić, ale nie mogę z wami pojechać.

- Dlaczego? - Coralie domagała się jasnej odpowiedzi.

Wzrok Noela jeszcze raz powędrował nad głowę syna w kierunku holu wielkiego domu, w którym zniknęła Riva.

- Należę do tego miejsca.

- A co z nami?

- Chciałbym, by to miejsce było również waszym.

- Ja też - powiedział Pietro, wtulając się w ramiona ojca. - Nie, tatusiu, ściskasz nas za mocno!

- Przepraszam - powiedział miękko Noel. - Przepraszam.

ROZDZIAŁ 4

Edison Gallant siedział w limuzynie czekając, aż hotelowy portier otworzy drzwi samochodu; zaangażowano go tutaj

do roli służącego, więc niech to robi. Poza tym Edison lubił patrzeć przez

ciemne szyby auta na gapiących się

turystów, szczególnie zaś rozkoszował się chwilą, gdy wychodził na trotuar, a oni półgębkiem wymieniali jego

nazwisko, podając je sobie z ust do ust. Limuzyna stanowiła niezbędny element wizerunku VIP-a, nawet jeśli była

jedynie wypożyczona. Ludzie oczekiwali właśnie tego, nie miał więc zamiaru sprawić im zawodu. Anna twierdziła, że

ten wielki samochód jest pretensjonalny, ale nie zauważył, by kiedykolwiek odmówiła wspólnej z mężem jazdy

limuzyną.

To Anna wybrała hotel w French Quarter. On wolałby „Sheraton” albo „Marriott”, z dala od zatłoczonych wąskich

uliczek, ale Anna nalegała na „Royal Orleans” - z tą swoistą atmosferą i ponadstuletnią historią. W

końcu zgodził się, byle tylko żona zamilkła. Miała bzika na punkcie wszystkiego co stare.

Hotel w rzeczywistości wcale nie był stary. Szeregami łukowatych okien i gazowymi lampami z kutego żelaza

przydano mu takiego wyglądu. Obsługa była dobra i miejsce niewątpliwie miało pewien styl. Za ledwie krok dzielił je

od restauracji „K-Paul”, „Brennan” i „Antoine”; nie było więc potrzeby korzystać z limuzyny, co pozwalało oszczędzić

na wydatkach. Nie było też jednak ucieczki od rzędu turystycznych powozików po przeciwnej stronie ulicy, z ich

podgryzanymi przez mole starymi mułami, nader malowniczo wyglądającymi w słomianych kapeluszach, z uszami na

wierzchu. Mógłby się jednak bez tego spokojnie obejść. Nie bawił go zapach oślego łajna.

Kiedy portier w fantazyjnej liberii pomagał jego żonie wysiąść z limuzyny, Edison wydawał kierowcy instrukcje na

następny dzień. Potem podążył za Anną przez ciężkie, mosiężno-szklane drzwi, które usłużnie przed nimi otwarto.

Wspiąwszy się po kilku marmurowych schodach, weszli do długiego holu z wielkimi żyrandolami. Torując sobie drogę

wśród bagaży meldujących się właśnie zwykłych gości, skierowali się w stronę

wind.

Kabina była pusta. To doprawdy niemal cud. Gdy ruszyła w górę, Anna obróciła głowę w stronę męża.

- Milczałeś przez całą drogę. Czy coś się stało? To stara sztuczka Anny!

Poczekać, aż będą sami, i zasypać go

pytaniami. Wiedziała, że to go irytuje; czasami myślał, iż właśnie dlatego tak postępuje. Wiedziała również, że jej

odpowie. Ten przeklęty wizerunek publiczny polityka wymagał tego.

- Otwórz drzwi - poleciał na razie.

W apartamencie panowała cisza tak głęboka, chłodna i luksusowa jak strzyżony, puszysty aksamitny dywan. Edison

opadł na krzesło i zażądał bourbona z lodem. Anna podeszła do bufetu, by nalać drinka z butelki stojącej na tacy i

uzupełnić go kostkami lodu z kubelka. W milczeniu wręczyła mężowi szklanę, a potem poszła do sypialni.. Słyszał,

jak się tam krząta, szykując się do kąpieli.

Wypił duży łyk, następnie odstawił szklanę na stolik, zdjął marynarkę i rzucił ją na podłogę. Rozluźnił krawat.

Boże,

potrzebny mu prysznic! Spędziwszy całe popołudnie w upale, czuł, że śmierdzi teraz jak knur.

Chciał się odprężyć, ale ostatnimi czasy stawało się to coraz trudniejsze. To przez ten zasrany wizerunek musiał rzucić

palenie. Może za chwilę zażyje tabletkę? Podniósł się, wziął drinka i podszedł do okna. Widok przedstawiał coś, co

miało przypominać dziedziniec na dachu niższego piętra: niewielka przestrzeń z drzewami w doniczkach i kilkoma

krzesłami na betonowej posadzce. Cóż za piekielna nuda! Rozsunął zasłony i opierając się o parapet spoglądał w dół.

Rebeka Benson. Riva Staulet. Wciąż czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w żołądek albo raczej w jaja. Był przekonany,

że już zapomniał o tym wszystkim. Przecież, do diabła, tak bardzo się starał!

Ależ ona była słodka; najmiłsza dupka, jaką kiedykolwiek miał. To się zdarzyło któregoś lata - ostatniego lata

kawalerskiego. Myślał, że jest cholernie fajnym facetem, ze swoim chevroletem

kabrio i całym repertuarem gadek,

jakie luoią dziewczyny, ale nie wiedział
w gruncie rzeczy nic...

Tamtego lata nad stawem... Stary Boots
bardzo się bał, że Edison zaszokuje
siostry Benson. Jasne, że to zrobił, ale

one były tak dojrzałe, tak gotowe, że nie
mógł się oprzeć. Dostrzegł to, gdy się z
niego śmiały. Poprzysiągł sobie, że

nim lato dobiegnie końca, zdobędzie
wszystkie trzy. Nigdy o tym nie
wspomniał, nawet Bootsowi. On by tego
nie

zrozumiał. Edison jednak miał sobie coś

do udowodnienia. By czuć się dobrze, musiał dowieść sobie, że potrafi

wygrywać, że potrafi przełamać linie obrony i zdobyć tyle sympatii, by ludzie - wbrew samym sobie - dali mu to, na co

miał ochotę. Musiał sprawić, by go kochali. Choćby przez chwilę. Gdy dostał już to, czego pragnął, było mu obojętne,

jak czują się oni.

Beth była łatwa. Do diabła, wykorzystwała go tak samo, jak on wykorzystał ją! Gotowa była odpłacić pięknym za

nadobne swemu mężowi
przebywającemu za morzem; gotowa
była doznać ekscytującego podniecenia i
pościskać się

na sianie, do czego już się
przyzwyczaiła jako młoda żona. Ta
druga... Jakże jej było na imię?... Mary?
Marta? Nie!

Margaret? Tak! Margaret. Była typem
pobożnisi. Wiadomo, że takie bywają
czasami najgorętsze. Chichotała i

uśmiechała się skromniutko, udając, że
jest wściekła, gdy ją całował, choć
bardzo jej się to podobało i nie
szczędziła

zachęty. Dostałby się również do jej majątek, gdyby wystarczyło czasu. Ale nie wystarczyło.

Oblewał go zimny pot, ilekroć myślał o nocy, która zakończyła tamto lato. Jego kabriolet był wtedy w warsztacie,

więc pożyczył samochód wuja. On, Boots i dwaj czy trzej chłopcy jeździli tej nocy w kółko, popijając piwo i starając się

ochłodzić. Pod siedzeniem samochodu znaleźli obrzyn - karabin z obciętą lufą. Wuj trzymał go tam, bo w związku z

zamieszaniem wokół praw obywatelskich sytuacja była niepewna.

To właśnie Boots i jeden z tych pozostałych

idiotów zaczęli się bawić bronią, wrzeszcząc coś o pójściu do lasu, aby światłami reflektorów wysledzić króliki lub

jelenie. Gdy ciężarówka z czarnymi dogoniła ich, a potem wyprzedziła, wszyscy sądzili, że wymachiwanie karabinem i

pościg za tamtymi to dobry ubaw. Edisonowi też wydawało się, że to całkiem niezły pomysł. Kierownicą ciężarówki była

ta hałaśliwa jankeska suka. Przeleciał ją

pewnego wieczoru w kinie, a ona nazwała go białodupym maminsynkiem i

kazała mu zmykać do domu. Byłoby zabawnie napędzić jej strachu i udowodnić, że wcale już nie ma mleka pod

nosem i nie jest taki niedoświadczony, jak sądziła. -

Pojechali za ciężarówką, a ta suka próbowała ich zgubić, dociskając gaz do dechy. Gonili ją, wjeżdżając na wzgórze,

biorąc ostro zakręty na dwóch kołach, zjeżdżając na boczne drogi, pędząc w górę i w dół uliczkami willowej

dzielnicy

na krańcu miasta. W końcu jankeska zmęczyła się ucieczką. Zahamowała z piskiem opon, zrobiła ostry skręt i

skierowała ciężarówkę wprost na samochód ścigających. Cholera, prawie zepchnęła ich z drogi! Siedziała za

kierownicą i szczyrzyła zęby, jakby miała ochotę ich zabić. Chłopcy wrzeszczeli i klęli, a Edison, wzbijając tuman kurzu

na czyimś dziedzińcu, zakręcił i znów ruszył w pościg. Ta suka znów wykonała gwałtowny zwrot i pędziła prosto na

nich.

Ktoś wrzasnął: „Strzelaj! Wal jak do kaczek! Będą się uśmiechać z drugiej strony głowy!”

Wciśnięto Edisonowi karabin do rąk, bo właśnie on miał szansę oddać najcelniejszy strzał do kierowcy.

Trzymając

broń niezdarnie jedną ręką, a drugą prowadząc wóz, czekał, aż ciężarówka podjedzie bliżej. W świetle reflektorów

widział, jak ta zuchwała dziwka od praw obywatelskich śmieje się z niego. Podniósł lufę i nacisnął spust.

Zamierzał ją wypłoszyć. To wszystko, Bóg mu świadkiem! Nawet nie celował. Naprawdę nie! Ale szyba nadjeżdżającej

ciężarówki roztrzaskała się na tysiąc kawałków, a z twarzy kobiety trysnęła krew. Ciężarówka wypadła z drogi i

przetoczyła się przez trawnik, a potem walnęła w jakiś dom. Edison nacisnął pedał gazu i opuścił miejsce zdarzenia,

kierując się w stronę pobliskiej wsi. Chłopcy w samochodzie przeklinali i wrzeszczeli. To Boots skierował Edisona na

drogę obok domu Bensonów i stary trakt wiodący do stawu. Wszyscy uczestnicy

eskapady, łącznie z Bootsem,

wysiedli i poszli do domów.

Edison siedział w samochodzie, póki nie przestały mu się trząść ręce. W końcu i on pojechał do domu wuja i

zaparkował sedana w garażu. Sięgnął po karabin i starannie go wyczyścił, a potem położył tę broń tam, gdzie ją

znalazł. Następnie wszedł do domu, padł na łóżko i natychmiast pograżył się w głębokim śnie.

Śmierć Beth, przysłaniająca tamtą, wstrząsnęła nim silniej niż cokolwiek innego przedtem lub potem. Patrzył na tę

kobietę leżącą w trumnie, woskową,
martwą, i wiedząc, że jego dziecko
umarło razem z nią, ugiął się pod
ciężarem

winy. Wydawało mu się, że utonie w
ból, w bólu, jakiego nie chciałby już
nigdy w życiu odczuć. To mała Rebeka -

Riva! -wyciągnęła go z tej otchłani.

Tamtego wieczora odwiózł ją z kaplicy
do domu. Nim wysiadła z samochodu,
siedzieli w nim jeszcze przez jakiś czas.

Rozmawiali o Beth - jaka była, jak
bardzo cieszyła się życiem i jak okropna
była jej śmierć. Oboje płakali i
pocieszali się

nawzajem, aż Edison niemal przekonał sam siebie, że kochał Beth i - jak powiedział Rebecce - był zrozpaczony jej

utrata. W takim właśnie nastroju wiedli rozmowę, dopóki nie spostrzegł, że piersi siostrzyczki Beth unoszą się pod

bluzką, dopóki nie poczuł zapachu jej włosów. Był tak pochłonięty wyglądem Rebeki i tym, że bardzo chce jej

dotknąć, rzucić się na nią, że przestał zwracać uwagę na to, co mówi.

Nagle jednak usłyszał coś, co zwróciło jego uwagę.

- Co? - spytał z roztargnieniem.

- Pytałam - powtórzyła - czy myślisz, że miałam rację nie mówiąc tym urzędnikom o samochodzie jadącym w stronę

stawu? Jak sądzisz, czy nie wpakuję się w kłopoty przez ukrycie tego?

Chryste! Musiał pomyśleć. Wyprostował się na siedzeniu.

- Kto... Komu w ogóle o tym powiedziałaś?

- Nikomu. Początkowo nie zastanawiałam się nad tym. Nie miałam czasu. Mama w szpitalu... Bethie... Cóż, po prostu

nie było kiedy pomyśleć.

- A Margaret?

- Nie było jej tam. To ja wstałam, żeby zobaczyć, co się dzieje z Beth. Wiem jednak, teraz, kiedy o tym myślę, że ten

samochód miał coś wspólnego z kobietą, którą zastrzelono. Ktokolwiek w nim był, za bardzo się śpieszył. A mówią, że

ostatnio widziano ten wóz jadący na południe, w kierunku naszego domu. Nie zniosłabym myśli, że było coś, co

mogłabym zrobić, by pomóc ująć morderców, a ja po prostu stałam obok i nie zrobiłam nic.

- Nie wiesz przecież, czy w ogóle istnieje związek między tym samochodem a tamtym... tamtym zabójstwem. Może to

jechała jakaś parka, która szukała miejsca na zaparkowanie wozu w ustronnym miejscu?

- Początkowo też tak myślałam, ale dręczy mnie wspomnienie dziwnego sposobu, w jaki ten samochód wjeżdżał do

lasu.

Edison wykonał dłonią nieokreślony gest.

- Nie myśl o tym. Stawiam dziesięć do jednego, że cała ta sprawa szybko ucichnie. Lepiej nie mieszać się w takie historie.

- Naprawdę tak uważasz? Czy to twoja... twoja prawnicza opinia?

Jego prawnicza opinia! Boże, czyż nie było to słodkie? Ona już myślała o nim jako o prawniku.

- Tak - powiedział i przeciągnął się, a gdy zajął poprzednią pozycję, jego ramię leżało na oparciu siedzenia Rebeki.

Nie mógł liczyć na to, że dziewczyna

zaakceptuje bez zastrzeżeń jego rady.
Byłoby więc dobrze dostarczyć jej
nowych

tematów do rozmyślań...

Pochylił się ku niej, wdychając ciepłą
słodycz skomponowaną ze słońca,
krochmalonych ubrań, wody toaletowej
o

zapachu kwiatu jabłoni oraz młodości.
Obróciła głowę, by spojrzeć na niego w
ciemności. Światło bijące z gołej

żarówki latarni na dachu domu odbijało
się w jej rozszerzonych oczach. Przez
krótką chwilę Edison poczuł ukłucie

najczystsze przerażenia. Jej wzrok był pełen takiego żalu i mądrości życiowej, że wydawało mu się, iż ta dziewczyna przejrzała go na wylot.

Musiał zamknąć oczy. Przycisnął usta do jej świeżych warg, tak delikatnych i wilgotnych jak u dziecka. Położył rękę na

jej piersi, ściskając przez bluzkę jędrne ciało. Rozgorzało w nim gorące pragnienie, by wziąć ją szybko, brutalnie, tu -

na siedzeniu samochodu.

Nie zrobił tego. Nie zrobił, bo odsunęła

się od niego.

- Ja... ja myślałam, że kochasz Beth...

- Kocham, kochałem... Ale tak bardzo jesteś do niej podobna, że zdaje mi się, jakbym znów ją miał, choć ty jesteś

kimś więcej; kimś tak słodkim i cennym, że wiem, iż mogłabyś sprawić, abym zapomniał o wszystkim.

- Chcesz zapomnieć o Beth?

Jej głos był pełen zgrozy. Musiał szybko coś wymyślić.

- Nie, nie, przenigdy! Ale ty mogłabyś pomóc mi znieść ten ból i wstyd.

Z westchnieniem, nie całkiem udawanym, oparł czoło o jej policzek. Nie cofnęła się, więc znów ją pocałował - powoli,

namiętnie.

Tym razem zareagowała mniej gwałtownie, ale jednak oderwała usta od jego warg, oswobodziła się z uścisku, a

potem wysiadła z samochodu. Otworzył drzwiczki ze swej strony i także wysiadł, by odprowadzić Rebekeę do

frontowych drzwi. Mam mnóstwo czasu, powiedział sobie.

Czasu było rzeczywiście dużo. Poszedł z nią na pogrzeb i stał tam w słońcu - skruszony, z pochyloną głową. Pojechał z

nią także do szpitala, by przywieźć matkę do domu, a potem został, bawiąc starszą panią rozmową i pomagając jej

córkom przygotować kolację.

Pozostawał w tym mieście, bo choć minął czas rozpoczęcia zajęć w Tulane, wciąż nie

znajdował w sobie dość siły, by wyjechać.

Bał się.

Bał się tego, co Rebeka wie i co czyta w jego myślach, gdy patrzy mu w oczy. Bał się tego, co mogłaby powiedzieć,

gdyby nie było go w pobliżu, by ją przed tym powstrzymać. Bał się, że to, co mogłaby opowiedzieć matce i siostrze,

naprowadziłyby policję na jego ślad i zniszczyłyby mu przyszłość. I pragnął jej. Pragnął jej tak jak nigdy niczego w

życiu. Pragnął nie tylko dlatego, że była ponętna. Gdyby mu się oddała, oznaczałoby to, że darzy go zaufaniem, że się

jej podoba i że nie uważa go za winnego śmierci dwóch kobiet.

Pewnego wieczoru był tak przerażony, że - po wyprawie do „Dairy Queen” na lody z owocami i bitą śmietaną -

zamiast odwieźć ją do domu, skręcił w boczną drogę i zaparkował nad stawem. Obracając się ku niej wyrzucił z siebie

słowa, które od wielu dni miał na końcu języka.

- Wyjdź za mnie.

- Och, Edisonie, nie mówisz tego poważnie. Przed tobą jeszcze lata college'u, a ja...

- Co ty?

- Ja mam dopiero piętnaście lat.

- Wystarczy - odparł i pocałował ją, smakując dziewczęce wargi, jakby były cukierkiem z miękkim nadzieniem.

- Mama nigdy nie podpisze niezbędnych dokumentów - wyjąkała, gdy mogła już mówić.

- Możemy pojechać do innego stanu. W Arkansas nie obowiązuje granica wieku. Nie pytają nawet o świadectwo urodzenia.

- Ale mama byłaby tak zraniona, tak zaszokowana. To mogłoby ją zabić.

- Początkowo będzie pewnie trochę urażona, ale wiesz przecież, jak mnie lubi; ucieszy się, że układasz sobie życie u

boku męża prawnika.

- Margaret będzie musiała sama się nią opiekować...

- Margaret to urodzona męczennica; polubi to. Poza tym ma zamiar wkrótce poślubić Bootsa, więc oboje mogą

mieszkać z matką.

Całował ją i pieścił. Czuł, że serce jej drży niczym zwierzątko w pułapce. Pod jego dłonią nabrzmiwał sutek

dziewczęcej piersi. W zmieszaniu
Rebeki wyczuwał ciekawość.
Dziewczyny zawsze były ciekawe...

Szeptał jej miłosne słówka, nie wiedząc
nawet, co mówi, oszalały od
dokuczliwego pulsowania członka.
Rozpiąwszy

koszulę, sięgnął po dłoń Rebeki i
przycisnął ją do swego owłosionego
torsu, a potem przesuwiał ją po swej
piersi, aż w

końcu dziewczyna zaczęła go sama
dotykać.

Jakże szczupłą miała talię, jak pełne i
jędrne piersi! Choć tkwiła w niej

stalowa siła, wydawała się tak wiotka w jego

ramionach, że miał wrażenie, iż mógłby ją posiąść bez większego wysiłku.

Mimo to bał się, że ją wystraszy, a był jak

najdalszy od chęci zrażenia jej do siebie.

Gdy rozpiął bluzkę Rebeki, widok jej piersi zaparł mu dech; były piękne, wprost idealne... Obolały z zachwytu brał do

ust sutki, jeden po drugim. Urywane westchnienia, jakie wydawała, wprowadziły go w taki szal, że ssał piersi

zbyt

mocno, czym doprowadził ją do płaczu, więc musiał ukoić ból...

Skóra we wnętrzu jej ud była jedwabista. Rebeka była drobna, ale tak miło wilgotna. Próbowwała nieśmiałych

protestów, które należało pokonać w intymnym kontakcie. A on wiedział, jak to zrobić - delikatnie... delikatnie... Była

ciasna, napięta, doskonała. Czuł się wprost rozogniony; jego mózg płonął. Kierownica gniotła go w plecy. Łapiąc

oddech, uniósł Rebeke, a następnie otworzył drzwi i pomógł jej wydostać

się z auta. Potem rozłożył fotele i przynaglał ją, by zajęła tylne siedzenie.

- Edisonie, nie - wyszeptała, próbując się wycofać. -Ja... ja... nie chcę tego. Zabierz mnie do domu, proszę.

Wiedział, ile są warte takie sprzeczki w ostatniej chwili. Popchnął ją do środka. Potknęła się i opadła na siedzenie.

Wślizgnął się obok i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Przyciskał usta do jej warg, szukając jednocześnie rozpięcia bluzki.

Ujął dłonią pierś, a potem pochylił głowę, by znów ssać sutek.

Zdyszany protest dziewczyny ponaglił go jedynie. Przewrócił Rebekeę na plecy i podciągał jej spódnicę, a drugą ręką

ściągnął majtki. Przyciskając jej kolana swymi, szybko rozpiął spodnie. Potem wcisnął kolana między jej nogi i

ulołował się w małym otworze. Silnym pchnięciem wdarł się do środka. Słyszał jej krzyk, czuł, jak wygina się w łuk,

starając się go zrzucić. Skoncentrowany na gwałtownym tętnieniu własnej krwi, nie zwracał na to uwagi. Drżąc z

rozkoszy, wdzierał się coraz głębiej.

Upłynęło kilka chwil, zanim zdał sobie

sprawę, że ona drży, a jej piersi falują od powstrzymanego łkania. Przez

moment poczuł się jak ostatni drań, ale uczucie to szybko minęło. Pogłaskał ją, podał swoją chusteczkę i wyszeptał

przeprosiny, dodając słowa, które - o czym dobrze wiedział - chciała i musiała usłyszeć. Pomógł jej doprowadzić się

do porządku, lecz wszystko, czego chciał naprawdę, to jeszcze raz mieć tę dziewczynę. W końcu jednak podał jej rękę

pomagając przejść na przednie siedzenie, zajął swoje miejsce za

kierownicą i włączył silnik. Zawrócił samochód i

wyjechał znad stawu. Wysuwając rękę, objął Rebeke i przycisnął do siebie. Na szosie skręcił w kierunku Arkansas.

Ona nie protestowała.

*

Edison Gallant, przechadzając się po hotelowym apartamencie w Nowym Orleanie, sięgnął po kolejną szklaneczkę

bourbona. Pomyślał, że Rebeka – droga Riva! - znów stanowi dla niego niebezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, nieźle by

się ubawił, rozgrywając powstałą sytuację w podobny co wówczas sposób. Wszechmocna pani Staulet przekona się,

jaki błąd popełniła, próbując go szantażować. Na samą myśl o tym ogarniało go podniecenie.

Z sypialni wyłoniła się Anna. Była po kąpieli i miała na sobie jedwabną różową tunikę z dopasowanymi do niej

pantoflami. Zaróżowiona, pachniała płynem kąpielowym „Chloe”. Nie patrzyła na męża; miała opuszczone rzęsy, a jej

twarz pozbawiona była wyrazu.

Edison zacisnął usta. Nienawidził tego zamykania się żony i ona wiedziała o tym. Przypominało mu to matkę, która zawsze, ilekroć czuła się zirytowana jego postępowaniem, uciekała w oziębłość. Żona jednak powinna mieć więcej

roзумu w głowie i nie ograniczać się do zadawania głupich pytań. Jeśli nie zadowalały jej odpowiedzi, to sama była

sobie winna.

Opróżnił szklaneczkę i podszedł do kredensu, by znów ją napełnić. Spojrzał przez ramię na Annę, która sięgnęła po

jakieś czasopismo.

- Riva Staulet jest oszałamiającą kobietą, nie uważasz? - zapytał obojętnym na pozór głosem.

- Możliwe. - Odpowiedź zabrzmiała chłodno.

- Ma wszystko: urodę, doskonałą głowę do interesów, wysoką pozycję towarzyską i pieniądze, które zgromadził stary

Staulet.

- Istotnie. - Głos Anny brzmiał oschle, a dłoń zacisnęła się na czasopiśmie.

Edison zauważył to z satysfakcją.
Wiedziała, na co się zanosi.

- Chciałbym mieć tę piękną, bogatą dupę
- powiedział z rozmyślnym
okrucieństwem.

Anna spojrzała na niego z odrazą i
żalem. Jej głos zabrzmiał jednak
spokojnie, niemal obojętnie.

- Jestem pewna, że chciałbyś. Wydaje
mi się, że tę chęć budzi w tobie
większość kobiet. Muszę jednak
powiedzieć, iż

wydaje mi się wątpliwe, by Riva Staulet
pozwoliła ci na tę przyjemność.

- Tak sądzisz?

Anna skinęła głową.

- Sprawiała na mnie wrażenie kobiety obdarzonej dobrym gustem.

To było mocne uderzenie. Będzie ją to drogo kosztowało! Odstawił szklaneczkę i ruszył w jej stronę.

- A ty?!

Cisnęła czasopismo na podłogę i wstała kierując się ku sypialni.

- A ja - oznajmiła dobitnie - nie jestem w nastroju do żartów.

- Wielka szkoda! Ja jestem!

Szybko wstał, łapiąc ją za ramię, by odciąć jej drogę i obrócił tak, by stała twarzą do niego. Szarpnięciem rozwiązał

pasek owijający talię żony i zdarł tunikę z jej ramion. Była pod nią naga, o czym wiedział. Jego sztywna, poprawna

małżonka miewała przebłycki zmysłowości, co czasami wprawiało go w zdumienie. Rzecz nie w tym, by znajdowała

przyjemność w seksie, lecz raczej w tym, iż niekiedy jej zachowanie obiecywało wiele.

Odepchnęła go, ale złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Ściskając dłonią pośladek Anny, nacierał

stwardniałą męskością.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyczała. - Śmierdzisz potem!

- Ale ty to lubisz, prawda?

Uwolniwszy nadgarstek, zanurzył palce we włosach żony, a potem przycisnął wargi do jej ust, wpychając głęboko

język. Drugą ręką objął ją, przyciskając mocno do siebie. Zesztywniała.

Zaśmiał się w głębi duszy, a potem wepchnął Annę do sypialni i przewrócił na łóżko. Zdjął ubranie i wciągnął żonę

pod siebie. Wdzierając się w nią, poczuł, że poddaje się mu, by uniknąć bólu. Z szaloną energią kołysał nią, choć

myślami znajdował się znów w swoim chevrolecie, z kobietą, którą była napięta i gorąca mała Rebeka. Jęknął tyleż z

roczarowania, co i z rozkoszy, gdy przyszedł zbyt wczesny orgazm.

Żałował, że nie trwało to dłużej - nie z uwagi na

Annę, ale ze względu na siebie samego.

Anna Gallant długo leżała bez ruchu, gdy
mąż dał jej spokój. Czuła się
odrętwiała; nogi niczym ołowiane
ciężarki

zwisały z łóżka, a mózg jej płonął, łzy
piekły w gardle.

Nie chciała płakać. Poruszając się
ostrożnie, jakby nie chcąc urazić
obolałego ciała, wstała wreszcie i
poszła do

łazienki. Oparła się o toaletkę i przez
chwilę przyglądała się swojemu
odbiciu. Miała spuchniętą twarz i
podkrążone

oczy. Bolały ją piersi, a dolne partie

ciała były przekrwione i zaognione. Odczuwała mdłości, które z trudem zdławiła.

Już przywykła. Wiedziała o tym i pogardzała sobą za to, że godzi się z takim stanem rzeczy. Zawsze było tak samo, i

zawsze już tak będzie. Nauczyła się radzić sobie z cierpieniem fizycznym; wiedziała, jak przynieść sobie ulgę, i zaraz to

zrobi, za chwilę, kiedy znów się wykąpie. Pragnęła jedynie, aby nie było to konieczne.

Była oziębła. Nietrudno było znaleźć

przyczynę tej przypadłości. Naczytała się wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że

powodem tej oziębłości był brak stymulacji. Zrozumiała również, że nie była to jej wina. Prawdopodobnie... Co

prawda kilka razy zdarzyło się, że Edison starał się jej pomóc, problem jednak tkwił w tym, iż wiedziała, że czynił to

dla swojej nie zaś jej przyjemności. Wiedziała też, że jego niecierpliwość mogła znów w każdej chwili dojść do głosu.

I zdarzało się to znacznie wcześniej, nim

ona była gotowa.

Czuła się przez to gorsza jako kobieta. Bolało ją, iż jest wykorzystywana bez pożądanego finału.

Milion razy zapytywała samą siebie, dlaczego została z Edisonem. I za każdym razem dochodziła do wniosku, że stało

się tak, gdyż była w nim zakochana od czasów, gdy jako dzieci chodzili oboje na lekcje tańca. Ich wzajemna sympatia

cieszyła się aprobatą zarówno jego, jak i jej rodziców, a małżeństwo zaakceptowano jako rzecz oczywistą,

zaplanowaną, jeśli nie wręcz
zaaranżowaną przez starszych. Gdy się
pobrali, jego mistrzowskie umiejętności
łóżkowe

zaimponowały jej, choć czuła, że musi
istnieć coś więcej. Później, gdy już
odkryła, czego jej brak, pomyślała, iż
wina

tkwi w męskiej ignorancji i delikatnie
poszukiwała sposobów zmiany sytuacji.
Na darmo. Edison wzbraniał się przed

wszelkimi próbami ulepszenia jego
techniki. Nie dostrzegał jej wad, bo - jak
mówił - zadowalała inne kobiety, a jemu
przynosiła rozkosz.

Wiele lat temu Anna zdała sobie sprawę, że mąż nie dba o nikogo z wyjątkiem siebie samego; że nie ma żadnych

względów dla innych i że nikogo nie kocha tak bardzo jak siebie. Już wtedy zaangażował się w politykę i odejście żony

zachwiałyby z pewnością jego karierą. Mężczyźni, którzy nie potrafili ułożyć sobie małżeństwa, znajdowali się w

niekorzystnej sytuacji, gdyż kwestionowano ich umiejętności sprawowania urzędu politycznego. Ta świadomość stała

się bronią Anny. Użyła jej, by zmienić publiczne zachowanie męża wobec siebie. Wciąż był to element cichej wojny,

którą z nim prowadziła. Płacił za każdy objaw lekceważenia, za każdy siniak. Gdy wszystko inne zawiodło, wydawała jego pieniądze na rzeczy, które sprawiały jej przyjemność, jakiej on nigdy jej nie dał i nie da.

Wciąż jednak bywały chwile takie jak ta, gdy czuła, że nie zniesie dalszego pozostawania u jego boku.

Gdzież jednak mogłaby pójść?
Ukończyła studia humanistyczne, ale nie

miała żadnej praktyki zawodowej. Co gorsza -

nie miała również żadnych ambicji. Nigdy nie pragnęła kariery; nie chciała być nikim więcej jak tylko żoną i matką.

Lubiła uczestniczyć jako wolontariuszka w akcjach charytatywnych, szczególnie tych, które podejmowano z myślą o

dzieciach bądź też o ochronie, zabytkowych budynków i miejsc -to łączyło ją w pewnym sensie z Riva Staulet. W

dodatku była na tyle próżna, by sądzić, że wykazuje pewien talent jako żona polityka. Jeśli jednak chodzi o środki

utrzymania, które zapewniłyby jej styl życia, do jakiego przywykła, nie mogła na nie liczyć.

I to był właśnie problem Anny. Nie mogła znieść myśli o możliwości obniżenia poziomu życia. Przyzwyczała się do

wygodnego, a nawet luksusowego domu, służby, wykwintnej kuchni, najlepszego towarzystwa. Nie mogłaby się już

bez tego obejść. Jeśli nawet czyniło ją to snobką, no cóż, zatem była snobką, mimo że podejrzewała niekiedy, iż

ośmiesza ją to.

Bywały chwile, gdy potajemnie
zastanawiała się, jak by to było kochać
się z innym mężczyzną. Często, gdy
Edison sam

leciał gdzieś swym samolotem,
wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby
uległ katastrofie. Wybierała w myślach
strój

na pogrzeb, wyobrażała sobie swe
dalsze życie, nowe miejsca
zamieszkania... Zabawiała się myślą, że
jest wolna i

może po upływie stosownego czasu
znaleźć sobie innego mężczyznę.

Podczas nudnych spotkań wyobrażała

sobie, że łączy ją płomienny związek z mówcą lub z jakimś innym przystojnym

mężczyzną stojącym na podium. Kiedy indziej rozbierała mężczyzn w myślach. Złapała się na tym, że od kilku lat

obserwuje tyłki piłkarzy lub mężczyzn w kąpielówkach. Czasem czuła się tak frustrowana i zdeprawowana, że

nachodziło ją nie dające się opanować pragnienie, by wyjść na ulicę w rozpiętej bluzce albo podnieść słuchawkę

telefonu, wykręcić numer jakiegoś obcego mężczyzny i powiedzieć... No właśnie. Nie wiedziała, co chciałyby

powiedzieć. Takie myśli niepokoiły ją i upokarzały, ale przecież nie dzieliła się nimi z nikim. Pozostaną wyłącznie jej myślami.

Miała nadzieję, że zawsze tak będzie.

*

Riva nie lubiła telefonu komórkowego w swojej limuzynie. Zgodziła się nań głównie dlatego, że chciała być zawsze

osiągalna w czasie, gdy Cosmo tak bardzo chorował, a także z powodu Erin, która jej to zasugerowała, a Riva odniosła

wrażenie, że uchodziłaby w oczach siostrzenicy za osobę nienowoczesną, gdyby nie przystała na propozycję. Z drugiej

jednak strony posiadanie tego telefonu równoznaczne było z nieustannym zakłócaniem spokoju, a tego nie cierpiała.

Poranna wyprawa do Nowego Orleanu była dogodną okazją do załatwienia różnych spraw. Riva miała w swym

samochodzie niewielki pulpit, zaopatrzony w mały, uruchamiany głosem dyktafon, oprawny w wielbłądzą skórę

notatnik z przegródkami i wpiętym w
środek cienkim złotym piórem,
miniaturowy kalkulator z małą drukarką
oraz

zdobiony złotem segregator. Za pomocą
owego przenośnego biura potrafiła
uporać się w czasie godzinnej jazdy z

taką ilością pracy, jaką wykonywałyby
przez cały ranek w Staulet Building.
Różnica polegała na tym, że w biurze

zawsze ktoś wymagał jej czasu i uwagi.

Gdy Noel po raz pierwszy przyjechał do
domu i zaczął zastępować ojca, czuła się
zobowiązana zaproponować mu, aby

rano jeździł razem z nią do miasta, choć obwarowała to zaproszenie wszelkimi możliwymi utrudnieniami, które

spowodowały odmowę. Przyniosło jej to ogromną ulgę. Nie wyobrażała sobie niczego, co mniej sprzyjałoby pracy niż

milcząca nieprzychylna obecność Noela. Obecność Cośmy nigdy jej nie przeszkadzała. W życzliwym milczeniu czytał

swój „Wall Street Journal”, „Barona” i „Forbesa”. Sądziła jednak, że tak naprawdę bawiło go obserwowanie, w jaki

sposób ona wykorzystuje swój cenny

czas.

Przenikliwemu dźwiękowi telefonu, który zakłócał koncentrację Rivy, zawsze udawało się ją przestraszyć; tego ranka

drgnęła także. Podniosła wzrok, by spojrzeć na kierowcę George'a, męża Liz, kucharki z Borine Vie. Jedną ręką

prowadząc lincolna ze stałą prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, drugą wyłączył kasetę z muzyką Mozarta i

podniósł słuchawkę.

- To pani Margaret - powiedział, podając słuchawkę Rivie.

Głos siostry ostro zabrzmiał w uchu Rivy.

- Doprawdy nie rozumiem, czemu za każdym razem, ilekroć chcę z tobą porozmawiać, muszę przebijać się przez pół

tuzina ludzi. Domyślam się, iż fakt, że masz kogoś, kto odbiera telefony, dodaje ci poczucia własnej, i tak wysokiej, wartości.

- Dodaje mi czasu i prywatności, Margaret. Jak się miewasz?

- Całkiem nieźle, jak na osobę, która ma palpacje serca od chwili, gdy

zobaczyła poranną gazetę! To jakiś koszmar!

Musiałaś chyba postradać zmysły!

- Możliwe - odpowiedziała Riva z ironią. - O czym mówisz?

- O tym okropnym zdjęciu. Tylko nie mów, że go nie widziałaś!

- Nie, nie widziałam - odparła Riva. Wiedziała, z nagłą gorzką pewnością wiedziała, o jakim zdjęciu mówi Margaret.

Było do przewidzenia, że zdjęciem, na którym ją wraz z Erin, Edisonem, jego żoną i synem uwiecznił młody fotograf,

zostanie upstrzona co najmniej połowa gazet z terenu stanu. Cóż za ironia losu! Gdyby zależało jej na opublikowaniu tej fotografii, oczywiście zaginęłaby wśród jakichś papierzysk i nikt by jej nie ujrzał.

- Jak mogłaś na to pozwolić, Rivo?! -
Siostra gwałtownie domagała się odpowiedzi. - Akurat ty! To obrzydliwe.
Zbiera

mi się na mdłości. Coś musisz z tym zrobić!

- Robię, co mogę, Margaret.

- Cóż, najwyraźniej niezbyt ci się to

udaje. Jeśli nie potrafisz tego załatwić, będę musiała przyjechać i sama się tym zająć.

- Proszę bardzo! A jak?

- Nie wiem! Nie możesz porozmawiać z Edisonem? Może zrozumie...

- Właśnie starałam się to uczynić, gdy zrobiono to zdjęcie. Nie był chętny do współdziałania.

- W najgorszym wypadku zawsze możesz mu powiedzieć...

- Nie! - ostro ucięła Riva.

- Nie wrzeszcz! Wiesz przecież, że nie możesz pozwolić, by to trwało.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Spotkam się dziś z Edisonem na lunchu. Dojdziemy do porozumienia albo nie.

- Doprawdy, Rivo, nie czas na demonstrowanie własnej siły. Źle się do tego wszystkiego zabierasz. Pamiętaj, że więcej

much złapiesz na miód niż na ocet.

- Dziękuję za te mądre rady. Niestety, miód może przyciągnąć również szczury.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Głos Margaret brzmiał ostro.

- Chcę powiedzieć, że Edison się nie zmienił. Niczego nie robi za darmo.

- Cóż mogłabyś dla niego zrobić?

Przypuszczam, że myślisz o wsparciu jego kampanii.

- A ja przypuszczam, że jemu chodzi o przysługę znacznie bardziej osobistego typu.

Zgorszenie zapierające oddech Margaret było doskonale słyszalne.

- Nie chcesz chyba dać mi do zrozumienia, że po tylu latach Edison chce iść z tobą do łóżka? Twoja wyobraźnia

posuwa się za daleko.

- Dziękuję ci, kochanie. Jakże podnosi to moje kobiece samopoczucie.

- Twoje kobiece samopoczucie nie ma z tym nic wspólnego. To poważna sprawa.

- Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny
- odpowiedziała Riva naciskiem.

- Cóż, przypuszczam, że wiesz. -
Odpowiedź Margaret była
wstrzemięźliwa. - Ale ja się tak
martwię, że nie mogę

logicznie myśleć. Czegokolwiek Edison
zechce: pieniędzy na kampanię,
poparcia, przedstawienia go twoim

wpływowym przyjaciołom... będziesz musiała mu to dać. I tyle.

Margaret nie wiedziała, co mówi, lecz Riva musiała przyznać, że rzecz miała się właśnie tak. Jej siostra doprawdy traciła rozsądek, gdy sprawa dotyczyła Er in.

- Nie mam zamiaru dawać Edisonowi czegokolwiek. Dość już ode mnie otrzymał. Teraz powinien martwić się o to, co

ja mogę zabrać jemu.

- Ojczy Niebieski, Rivo! Wszystko zrujnujesz. Edison nie będzie milczał,

gdy poczuje się zagrożony.

- Zobaczymy.

- Och, moje serce! Bije jak oszalałe. Nie mogę tego znieść! Któż by pomyślał, że sprawy potoczą się w taki sposób! Nie mogę w to uwierzyć!

- Zażyj swoje lekarstwo i połóż się - poradziła Riva łagodnym głosem. Margaret była pewna, że ma słabe serce matki,

choć lekarze stwierdzili jedynie nerwicę. - Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję, mam nadzieję... Ale

zadzwońisz do mnie po lunchu z Edisonem, prawda? Muszę wiedzieć, co się

dzieje.

- Tak, zadzwonię. Nie martw się.

Po kolejnych zapewnieniach siostry Margaret odłożyła słuchawkę. Riva oddawszy aparat George'owi oparła się

wygodnie i spoglądała na rzekę samochodów przepływających obok limuzyny i na mijane budynki. W ogóle ich

jednak nie dostrzegała.

Jakże byłoby miło, pomyślała, gdybym mogła tak łatwo rozproszyć własny niepokój.

ROZDZIAŁ 5

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Riva po przybyciu do Staulet Building, było zlecenie sekretarce rezerwacji stolika w

restauracji „Commander”, mimo że już żałowała, iż w ogóle zgodziła się na spotkanie z Edisonem. W sobotę nie

powinna była wdawać się w żadne dyskusje, lecz powiedzieć jedynie, czego sobie życzy, i jemu pozostawić albo

spełnienie tych życzeń, albo pogodzenie się z konsekwencjami odmowy. Taki przecież miała zamiar. Do zmiany

planów zmusiła ją reakcja Edisona.

Jednak denerwowanie się tym, czego w danej chwili nie można było uniknąć, nie

miało sensu. Przestała więc o tym myśleć, koncentrując się na bieżących sprawach.

Staulet Corporation było starym przedsiębiorstwem. Swą działalność zapoczątkowało przed wojną secesyjną, kiedy

to pradziadek Cośmy udzielił pożyczki przyjacielowi będącemu pośrednikiem

w handlu bawełną. Przyjaciel ów był marnym przedsiębiorcą, a Staulet -choć pochodził z rodu kreolskich arystokratów, którzy pogardzali handlem,

uważając go za poniżające zajęcie - chcąc uratować swoją inwestycję przejął udział w pośrednictwie. Odkrył, że lubi

kupowanie i sprzedawanie, szczególnie gdy transakcje dotyczyły ziemi. To on zbudował Bonne Vie oraz tę fantazyjną budowlę pośrodku stawu.

Choć w przegraną sprawę konfederatów

wniósł swój wkład złota, to jednak jako człowiek przebiegły znaczną jego

ilość wywiózł statkiem do Anglii tuż przed blokadą Południa. Pieniądze te pozwoliły pradziadkowi Cośmy i jego

synowi dobrze prosperować w okresie Rekonstrukcji i znacznie powiększyć posiadłość.

Nim ojciec Cośmy dorósł, przedsiębiorstwo miało już rozległe tereny trzciny cukrowej i ryżu. Nabyło także olbrzymie

przestrzenie luiszjańskich bagien, głównie ku uciesze konkurentów. Ojciec Cośmy był Stauletem, który poczuł

namiętne zamiłowanie do podróży statkiem i żeglugi handlowej. Obudziła je przede wszystkim pasja zwożenia do

domu skarbów zbieranych w krajach Orientu. Statki sprzedał, gdy rozwój linii lotniczych zaczął wyraźnie wpływać na

wysokość dochodów. Do tego jednak czasu zgromadził kolekcję chińskiej porcelany, którą ofiarował testamentem

muzeum stanowemu. Wśród innych jego zdobyczy znajdowała się zarówno wspaniała kolekcja nefrytów, która

stanowiła obecnie ozdobę westybulu Staulet Building, jak i okazały Budda z brązu stojący w altanie w Bonne Vie.

Cosmo natomiast był człowiekiem, który we wczesnych latach pięćdziesiątych zaczął się parać wydzierżawianiem

źródeł ropy naftowej, przekształcając należące do korporacji bagno w złoto.

Ropa grała tak ważną rolę w fortunie Cośmy, że trudno mu było pogodzić się z faktem, iż jej cena może spaść. Riva

przekonała go, że czas embarga na ropę nie może trwać wiecznie, a on ryzykownie blisko związał się z tą gałęzią

gospodarki. Nie przypisywała sobie zasługi ani trafnej prognozy spadku cen, który rzeczywiście nastąpił, ani

odkrycia,

że mikroprocesory zasilą tę falę, która wyniesie ich na kolejny szczebel powodzenia. Tego ostatniego odkrycia

dokonała przysłuchując się Noelowi. Cosmo bowiem nie był wówczas w nastroju, by słuchać syna, ani tym bardziej

rozważać jego rad. Jej zasługą było to, że przekonała Cosmę, aby pozwolił

Noelowi zgłębiać we Francji tajniki tej technologii. Aktywnie też wspierała wykorzystanie azjatyckich koneksji Noela,

które pozwoliły tak znacznie obniżyć koszt produkcji części elektronicznych. Czuła, że przynajmniej na tym polu łączy ojca i syna. To podniosło ją na duchu.

Ranek minął zbyt szybko. Ri wie wydawało się, że dopiero zaczęła pracę, gdy sekretarka zapukawszy do drzwi wsunęła

głowę, by powiadomić, że na dole czeka limuzyna, która ma zawieźć Rive do restauracji. Zamknęła więc teczkę z

dokumentami i zakręciła pióro. Odłożywszy je na bok, z dolnej szuflady mahoniowego biurka wyjęła kosmetyczkę i

poprawiła makijaż. Właśnie wstawiała, strzepując ze spódnicy koralowego kostiumu drobiny papieru, gdy drzwi

otworzyły się znowu i stanął w nich Noel. Widząc, że Riva wstaje, zatrzymał się a potem wszedł do środka zamykając starannie drzwi.

- Wybierasz się na lunch z Gallantem?

- Tak się akurat składa.

- Chyba nie potrzebujesz posiłków, prawda? Przez chwilę spoglądała na niego ze zdumieniem.

Gdyby nie znała go lepiej, pomyślałaby,

że gotów jest wesprzeć ją swoją obecnością.

- Powiedziałaś mi, że nie chodzi o korporację.

- Tak właśnie zrozumiałem twoje słowa...

- Ale masz wątpliwości?

- Czyżbym powiedział coś podobnego?

Jego ton był irytujący.

- Nie, oczywiście nie; to nie w twoim stylu. W ogóle mówisz bardzo mało, więc pozostaje mi jedynie zgadywanie, co

masz na myśli. Przypuszczam, że obawiasz się, iż postawię Staulet Corporation w kłopotliwej sytuacji, pozostając w

przyjaznych stosunkach z człowiekiem, który prawdopodobnie będzie naszym kolejnym gubernatorem, lub też

wikłając się w prywatne układy, które mogą doprowadzić do publicznych oskarżeń. Mogę cię jednak zapewnić, że to

ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mi do głowy.

- Zapewne nic podobnego nie przychodzi do głowy również

Gallantowi. Przypuszczam, że jego interes kryje się

znacznie głębiej...

Od lat się nie rumieniła. Zakłopotanie faktem, iż zaczerwieniła się właśnie teraz, sprawiło, że głos jej się załamał.

- Skoro nasze interesy nie są zbieżne, nie ma powodu do obaw.

- Byłoby ich znacznie mniej, gdyby to spotkanie zmieniło się w lunch o charakterze służbowym.

- Czyżbyś był aż tak ciekawski, by wpraszać się na nie?

Powiedzenie podobnej rzeczy było przemyślanym ryzykiem. Musiała zobaczyć się z Edisonem sama.

- Próbuję, jak widać bez powodzenia, wyostrzyć twoją czujność.

- Daruj sobie. Zawsze jestem czujna.

Na jego twarzy pojawiło się zniechęcenie.

- To prawda - powiedział. -
Powiniennem być o tym pamiętać.

Minąwszy biurko, stanął przy dużym, sięgającym od podłogi do sufitu oknie, które zalewało gabinet światłem. Z ręką

w kieszeni oglądał panoramę dachów i wysepek zieleni na dziedzińcach French Quarter, położonych w pobliżu

łukowatego zakola Missisipi. Nad jego ramieniem Riva dostrzegła frachtowiec płynący wzdłuż szerokiego, błotnisteo

toru wodnego. Był to zbiornikowiec z kontenerami pełnymi towarów wysyłanych do Afryki, Ameryki Południowej czy

też innych egzotycznych miejsc. Z przeciwnej strony nadpływała jedna z łodzi wycieczkowych, zbudowana na

podobieństwo staroświeckich parostatków z podwójnym kominem i

kołem łopatkowym. Obserwacja spotkania tych

dwóch statków w zakolu rzeki miała w sobie coś z podglądania przelotnego zetknięcia przeszłości i teraźniejszości.

Za oknem był jasny, gorący dzień. Postać Noela odbijała się w nie przepuszczającej promieni słonecznych szybie. Jego

sylwetka o szerokich ramionach, wyraźnie rysujących się pod doskonale skrojoną marynarką, świadczyła o

odprężeniu. Mimo to w powietrzu wibrowało napięcie, które wprawiało Rive w niepokój. Nic w tym nowego,

powinna się już była przyzwyczać.
Czasami zastanawiała się, czy Noel
także odczuwa ów niepokój, gdy są
razem.

Nigdy nie sprawiał takiego wrażenia;
przeciwnie - wydawał się tak pełen
rezerwy, że miała ochotę go uderzyć czy
też

zrobić cokolwiek, by zburzyć barierę,
którą starannie wzniósł między nimi.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Obiecuję ci, że nie zrobię niczego, co
mogłoby narazić korporację na
komplikacje. Czy jesteś zadowolony?

- Sądzisz, że tylko o to się boję? -
zapytał nie odwracając głowy.

- Och, nie. Powinnaś była powiedzieć,
że nie uczynię również niczego, co
zaszkodziłoby nazwisku Stauletów.

Zaśmiał się drwiąco.

- O, tak... nazwisko...

- Dla twojego ojca było ważne.

- Nie wątpię. Nie jestem jednak moim
ojcem. Ani trochę go nie przypominam.

- On był wspaniałym człowiekiem.

- Nie musisz mi tego mówić.

Rozmowa zbliżała się do punktu, który groził Rivie nawrotem bólu po stracie męża. Rzucając okiem na zegarek,

celowo przybrała więc ucinający temat chłodny ton.

- Jestem pewna, że nie muszę.
Powinnam już iść, bo się spóźnię.

Odwrócił się ku niej z dziwnie baczny wyrazem ciemnych oczu.

- Boisz się mnie, prawda?

- Nie bądź śmieszny! Cóż za pomysł?!

Słowa Rivy brzmiały dość pewnie, ale nagle ogarnęła ją panika. Noel był

wrażliwy na „drugie dno”. Były kiedyś czasy,

gdy aż nazbyt dobrze rozumiał lęk i niepewność Rivy. Dziś jednak spokojnie mogła obejść się bez jego

współodczuwania. Ścisnęła w dłoni kosmetyczkę i zmierzyła wzrokiem odległość, jaka dzieliła ją od drzwi,

zastanawiając się, czy Noel próbowałby ją zatrzymać, gdyby ruszyła do wyjścia.

- Nie wiem czemu, ale widzę, że się boisz. Nie potrafisz przebywać w moim towarzystwie dłużej niż kilka minut.

Rozmowy ograniczasz tak, jak to tylko

możliwe. Przy każdym stole siadasz jak najdalej ode mnie. Gdy wchodzę do

jakiegoś pokoju, ty natychmiast znajdujesz wymówkę, by go opuścić. Układasz przemyślnie plany, byle tylko nie

jeździć tym samym samochodem co ja...
O co ci tu chodzi?...

- O nic. Masz bujną wyobraźnię.

- Z pewnością. A czy w tej chwili nie zastanawiasz się, jak uciec?

- Jestem umówiona!

- Nie sądzisz chyba, że cię zaatakuję i

zgwałcę na podłodze twojego gabinetu?

Zaskoczona, spojrzała mu w oczy.

Jedyną odpowiedzią, jaka przyszła jej do głowy, była naga prawda.

- Nie. Skądże.

Miękki dźwięk, który dobiegł z jego strony, przypominał kpiący śmiech.

Ciemne oczy Noela zabłysnęły płomyczkiem,

który zgasł tak szybko, że Riva nie miała pewności, czy odzwierciedlał ból, czy namiętność. Zwilżyła usta.

- Ty... Muszę przyznać, że masz powód, by żywić do mnie urazę. Gdyby nie ja,

wszystko byłoby twoje... korporacja,
dom, wszystko.

- Mieszkałaś z moim ojcem przez
dwadzieścia kilka lat. Doskonale zdaję
sobie sprawę, lepiej niż ktokolwiek
inny, jak

ciężko pracowałaś na to, co dziś
posiadasz.

Poczuła ukłucie szpilki ukrytej w
słowach Noela.

- To nie była kwestia pracy -
powiedziała kwaśno.

- Nie wątpię. Wiem, że ojciec dałby ci

wszystko, czego byś chciała, bez
względu na to, co robiłaś. Faktem jest
jednak,

że stałaś się jego prawą ręką, kimś, bez
kogo nie mógł się obejść.

Uniosła brodę.

- No cóż, ani nie chciałam, ani nie
oczekiwałam, że zostanę na równi z tobą
współwłaścicielką tego wszystkiego.

- Chciałaś mieć wszystko?

- Nie jestem taka głupia. Wiem, że w
światle prawa Luizjany jest to
niemożliwe.

- Tyle tylko?...

- Nie! Nie to miałam na myśli. Byłabym najzupełniej zadowolona z umiarkowanego dochodu.

- Umiarkowanego dla ciebie - zaznaczył cicho. - Dla kogoś innego byłoby to zapewne bogactwo.

Wyjaśnianie Noelowi czegokolwiek bądź też oczekiwanie od niego zrozumienia nie miało sensu. Powinna o tym

pamiętać. Wzruszyła ramionami.

- Naturalnie, nie oczekiwałam, że zamieszkałam w czynszowej kamienicy, a

zakupy będą robić na wyprzedających.

- Jesteś dyrektorem i prezesem korporacji, której pomogłaś osiągnąć dzisiejszą pozycję. Czy może być coś bardziej

naturalnego i słusznego?

- Gdybyś naprawdę tak uważał - powiedziała patrząc prosto na twarz Noela, by dostrzec każdą, najsubtelniejszą

nawet, zmianę w jej wyrazie - nie miałbyś powodu, by próbować się mnie pozbyć.

- To prawda.

- O co ci w końcu chodzi? - Pytanie było ostre, podyktowane zostało podejrzliwością.

Przesunął ręką po włosach.

- Chciałem oczyścić atmosferę między nami. Musimy nauczyć się pracować razem. A nie możemy osiągnąć tego bez wzajemnego zaufania.

- Sądziłam, że współpracujemy już od sześciu miesięcy.

- Czy to, co robimy, przypomina stosunki łączące cię z ojcem jako przewodniczącym zarządu? Czy prowadzimy jakieś

dyskusje? Czy podczas podejmowania decyzji jesteśmy zdolni do kompromisu i pełnego zaufania?

Niechętnie potrząsnęła głową.

- Trudno to tak nazwać.

- Więc nie pracujemy razem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że współpraca, o jakiej mówisz, może się w naszym wypadku okazać niemożliwa?

- Owszem - przyznał głosem, który zdawał się mieć ostrość stali. - A gdyby tak właśnie miało się okazać, jedno z nas

musiałoby odejść.

- Które? - zapytała, nie mogąc się od tego powstrzymać.

Podszedł do drzwi i otworzywszy je patrzył na nią wzrokiem pełnym żalu.

- To zależy tylko od ciebie - rzekł i wyszedł. Długo wpatrywała się w drzwi. Ręce jej drżały; dostrzegła to bez

zdziwienia. Nikt nie potrafił burzyć jej mozolnie budowanej równowagi tak jak on. Czy to, co mówił, było wymówką

czy też ostrzeżeniem?

Nie potrafiła tego rozstrzygnąć. Nie była

też pewna, co bardziej ją niepokoi.

Z nastaniem południa zrobiło się jeszcze gorącej. Powietrze tak nasycone było wilgocią, że trudno było oddychać, a

ubrania przylepiały się do skóry. W drodze do restauracji gryzące i tłuste spaliny samochodów i autobusów wpełzły

do auta Rivy, a blask słońca odbijający się od szyb i chromowanych ozdób przypominał oślepiającą baterię

reflektorów. Wejście do restauracji nasuwało myśl o wkraczaniu w progi chłodnej świątyni, w której zażywa się

spokoju, luksusu i rozkoszy
podniebienia.

Rytuał podprowadzania do stolika i
wręczania karty dań, a następnie
rozłożenia jednym strzepnięciem
zwiniętej

serwetki i układania jej na kolanach - to
wszystko działało na Rive kojąco. Była
zadowolona z miejsca - stolik w sali na

piętrze, z widokiem na dziedziniec...
Bez względu bowiem na to, jak
przyjemne mogły wydawać się stojące
na

dzielnińcu stoliki z kutego żelaza, o
szklanych blatach nakrapianych cieniem

wielkiego, starego dębu, na zewnątrz

było zbyt gorąco, aby mogło być wygodnie. Wnętrze zapewniało chłód klimatyzacji i złudzenie, iż znalazła się wśród

gałęzi dębu niczym w jakimś leśnym domku. Ciemna zieleń dębowego listowia, powtórzona w dekoracji wnętrza,

podkreślała to wrażenie.

Edison jeszcze nie przyjechał, co ucieszyło Rive, bo z powodu nieoczekiwanego wtargnięcia Noela była spóźniona. Nie

lubiła niepunktualności, świadczącej jej zdaniem o braku umiejętności organizowania sobie czasu. To, że Edison

jeszcze się nie pojawił, nie poprawiło więc jej opinii o nim, ale podejrzewała też, iż spóźnienie jest formą gry sił, której szczerze nie cierpiała.

Przybycie Edisona potwierdziło to wrażenie. Od razu przeszedł do dzieła, prosząc o wodę sommelier i rozprawiając o

rocznikach i winnicach zamówił butelkę Pouilly-Fuisse. Obwieścił też, iż jest głodny i ledwie spróbowałszy wina

otworzył kartę dań i wezwał kelnera. Nie pytając Rivy o zdanie, zamawiał posiłek z pięciu dań, wśród których znalazły

się także homary. Riva próbowała protestować, ale została zignorowana.

- Proszę pana - powiedziała głośniej, kierując na kelnera stanowcze spojrzenie.

Kelner z szacunkiem zwrócił się ku niej.

- Słucham, madame Staulet?

- Mój gość zje to, co sobie życzy, oczywiście, lecz ja chciałabym domową sałatkę, suflet z kraba i świeże borówki.

Spojrzenie, jakim obdarzył ją Edison, miało w sobie równie wiele zdumienia, jak i złości. Niewzruszona, uniosła

kieliszek i piła małymi łyчками. Edison szorstkim tonem uzupełnił swoje zamówienie, po czym rozsiadł się wygodnie,

a kelner zabrał karty i odszedł.

Złość w oczach wciąż wpatrującego się w nią Edisona zniknęła, by ustąpić miejsca zdumieniu. Splótszy palce oparł je

na krawędzi stołu.

- Nie mogę tego zrozumieć - rzekł

potrząsając głową.

- Słucham?

- Nie pojmuję, że tak bardzo się zmieniłaś. Wprawiasz mnie w osłupienie.

- Wszyscy się zmieniamy.

- Och, jasne. Ale z tobą wygląda to tak... jakbyś wymazała wszystko z pamięci i zaczęła żyć od nowa.

Powinnam była pamiętać, pomyślała Riva, że umiejętność oceny ludzi jest jedną z umiejętności każdego polityka.

Uśmiechnęła się.

- Czyżbyś uważał, że udało mi się zatrzeć swoje niskie pochodzenie?

Drgnął.

- Coś w tym rodzaju...

- Jeśli nawet, to nie robiłam tego celowo. Cóż, jestem kimś, kto nie pasuje już do własnej przeszłości, ale i nie czuje

się zbyt dobrze w nowych warunkach.

- Z całą pewnością jednak twój wygląd świadczy o przynależności do wyższych sfer.

- Przypuszczam, że miał to być

komplement, więc dziękuję.

- Wciąż nie mogę oprzeć się wspomnieniom...

Natura owych wspomnień była oczywista, jeśli sądzić po pożądanym spojrzeniu jego niebieskich oczu.

- Nigdy nie oglądam się za siebie - powiedziała chłodno. - To nieopłacalne.

- Nigdy? - zapytał miękko głosem.

- Nigdy, jeśli tylko mogę tego uniknąć. - Nie mrugnawszy okiem wytrzymała przez chwilę jego wzrok, a potem

zmieniła temat. - A gdzież jest Anna?

Czyżby prowadziła twoją kampanię?

- Ma wieczorem odczyt w jakimś klubie kobiecym, ale teraz przechadza się po sklepach z antykami na Royal Street.

- Ciekawsze okazje znalazłaby w Magazine.

- Okazyjne zakupy to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Mamy już i tak za dużo staroci.

- Ja akurat lubię te - jak to nazywasz - starocie. Chrząknął.

- A zatem to jedyna rzecz, jaka was łączy - odparł. Rozglądając się po restauracji, Edison zdawał się badać

twarze

obecnych. Jakaś kobieta siedząca przy stoliku obok uśmiechnęła się do niego, a on automatycznie skinął głową,

poprawiając odruchowo węzeł krawata i przyglądając włosy.

- Nowoczesny z ciebie mężczyzna, jak słyszę...

Jeśli nawet uchwycił drwinę, nie dopuścił jej do świadomości.

- Wyrastałem wśród starych mebli i naczyń. Lubię rzeczy pierwszorzędnie nowoczesne, o czystych liniach, bez

żadnych wzorków i załamania, w które wchodzi kurz.

- To błędne myślenie, wiesz? Kurz osiada przede wszystkim na gładkich, płaskich powierzchniach.

- Ponieważ nie ja zajmuję się odkurzaniem, nie robi mi to żadnej różnicy.

Riva uśmiechnęła się.

- Drwiesz ze mnie? - zapytał z nachmurzoną miną. Uniosła brwi. Jej zielone spojrzenie było przejrzyste jak górska

woda.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zawsze byłaś bystra. Nie spotkaliśmy się jednak po to, by rozmawiać o Annie, antykach lub kurzu. Chcę wiedzieć,

czym masz zamiar zagrozić mi.

- Myślałam, że już to wyjaśniłam. Dzisiejsze spotkanie nie było moim pomysłem. Wszystko, co miałam ci do powiedzenia, powiedziałam w sobotę.

- Czyżby? Ja także sądziłem, że odpowiedziałem ci jasno, ale to najwyraźniej za mało.

- Najwyraźniej. Musisz zdecydować,

czy będziesz ze mną współdziałał, czy też zaryzykujesz burzę, jaką spowodują

informacje, które mogę przekazać prasie.

Usta Edisona wykrzywiły się w cierpkim uśmiechu.

- Ryzykuję, na co już wcześniej zwróciłem ci uwagę, nie tylko ja. Nie pójdziesz do prasy...

- Zmieniłam się bardziej, niż myślisz. Lepiej mi uwierz.

- A gdybyś nawet poszła i tak nie osiągniesz tego, co chcesz, czyli rozdzielenia Josha i Erin.

- Nie - odpowiedziała z sympatycznym uśmiechem. - Ale da mi to wiele satysfakcji.

- Ja również mógłbym dać ci wiele satysfakcji... -Jego głos nabrał sugestywnej głębi. - Gdybyś dobrze rozegrała tę

partię, mógłbym znaleźć jakiś sposób na wysłanie Josha z miasta na miesiąc lub dwa...

Przybycie kelnera zwolniło ją od odpowiedzi. Starając się panować nad sobą, opuściła powieki i oparła się o krzesło.

Nie miała odwagi ująć kieliszka, bo

ręce znów jej drżały. Nienawidziła konfrontacji, nienawidziła tego emocjonalnego

wrzenia kilku ostatnich dni. Co się stało ze spokojnym życiem?

Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej zignorować związek Erin z synem Edisona. Może reaguje zbyt gwałtownie;

może sprawa nie jest poważna? Może teraz wszystko się pogorszy? Bo swoje sprawy z pewnością już pogorszyła.

Mimo to nie mogła się przecież wycofać. Przejrzała już wszystko na wylot. Zamierzała doprowadzić do tego, by

niektóre sprawy stały się zupełnie jasne dla Edisona.

Kiedy kelner odszedł, pochyliła się w stronę Gallanta.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziała - ponieważ nie mam zamiaru tego powtarzać. Nie pójdę, zrozum: nie pójdę z

tobą do łóżka.

- Myślę, że pójdziesz - odparł, a potem nabrał pełen widelec sałatki i wsunął ją do ust. Przeżuł spokojnie, a następnie uśmiechnął się do Rivy.

Sięgnęła po swój widelczyk, nabrała nieco kruchego szpinaku, na który wcale nie miała apetytu.

- Czy nie przyszło ci na myśl, że jest jeszcze coś... powiedzmy skandal - by nazwać rzecz po imieniu - o którym

mogłabym wspomnieć, gdybym tylko zechciała? Wystarczyłaby maleńka wzmianka. Dziennikarze to najlepsi

detektywi na świecie. Wcale nie musiałabym angażować się w to osobiście.

Z trudem przełknął sałatkę, a jego opalenizna nagle przyblakła.

- Co masz na myśli?
- Czyżbyś nie wiedział?
- Ty suko! - syknął.

Zjadliwość obelgi przeraziła ją. Napotkała spojrzenie Edisona i zobaczyła w nim paniczny strach oraz morderczą

nienawiść. Przeszył ją chłód, a wraz z nim przyszło zakłopotanie. Pomyślała o Beth i o współodpowiedzialności

Edisona za jej śmierć. Ten incydent mógłby go zniszczyć, ale przecież nawet nie dorównywał bigamicznemu

poślubieniu Rivy. Poza tym nikt nie byłby w stanie nic mu udowodnić...

Nagle Riwę ogarnęło przekonanie, że Edison

nie myślał o Beth. Więc o czym?...

- Jest mnóstwo słów, którymi mogłabym cię nazwać - powiedziała, mrużąc oczy.

- Żadne z nich nie byłoby

komplementem.

Nie należało go prowokować. Jego rysy wygładziły się w nic nie znaczący uśmiech. Przyglądał się jej przez dłuższą

chwilę.

- Nie doceniłem cię.

- Błąd. Mam nadzieję, że następnych nie popełnisz.

- Wykluczone. Ile wiesz? Dokładnie - ile?

Zdała sobie sprawę, że nie wie nic, ale nie zamierzała tego powiedzieć.

- Dosyć...

- Wiedza bywa czasem niebezpieczna - stwierdził, a fakt, iż słowa te wypowiedział cicho, sprawił, że nagle stały się

groźne.

- Często - dodała.

- Powinnaś wiedzieć, że zamierzam zostać gubernatorem - bez względu na to, co będę musiał zrobić ani też na to, kogo to zrani.

Spojrzała mu w oczy.

- Czy to możliwe, że teraz ty straszysz mnie?

- Próbuję jedynie dojść z tobą do porozumienia.

- Czy to wszystko nie wymyka ci się z rąk? - spytała po chwili milczenia. - Przecież to, o co cię proszę, jest bardzo

proste.

Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

- Wtrącasz się do mojego życia.

- Ty wtrąciłeś się kiedyś do mojego.

Gdyby nie to, nie czułabym konieczności grzebania w twoim.

- Oto coś, czego nie rozumiem. Powiedz tylko, czemu to wszystko jest takie ważne dla ciebie?

- Powiedziałam ci. Nie życzę sobie, byś był teściem mojej siostrzenicy.

- Niepokoi cię taka możliwość?

- Naturalnie. Margaret do ciebie nie pasuje, ty zaś z pewnością nie zechcesz wieść rozmów z Bootsem -mówiła, wytrzymując jego spojrzenie.

- Taaak... Boots... Przecież łączą nas już więzy rodzinne. Kimże są wobec tego Erin i Josh? Kuzynami w piątym czy nawet szóstym stopniu pokrewieństwa? Nie ma w tym nic złego.

- Dla mnie to zbyt blisko. Wszystko to jest zbyt bliskie.

Pochylił się ku niej.

- Cóż, postawmy sprawę jasno. Do

diabła, nie zamierzam zakłócać radości, jakiej Josh zaznaje ze swoją kuzyneczką.

Jeśli dostarcza jej również tej dziewczynie, to świetnie. Punkt dla niego. To świadczy, że jest naprawdę moim synem.

Nie wiem, jak potężna wydajesz się samej sobie i jak oceniasz swoje wpływy. Jeśli jednak naprawdę cenisz swoją

słodką dupkę, to lepiej uważaj, co i komu mówisz o mnie. Igraj ze mną, wielka damo, a zranisz się. Albo nawet zginiesz.

Riva wstała lekko i upuściła serwetkę na stolik.

- Cóż za eleganckie słownictwo - powiedziała z ironią. - I jakiż miły stosunek do kobiet. O tak, jesteś prawdziwie

zabójczy, prawdziwy zabójca dam.

- Rivo... - jęknął Edison zdławionym głosem. -Rivo!

Nawet na niego nie spojrzała. W jego głosie usłyszała zarówno gniew, jak i przerażenie. Brzęknęły srebrne sztućce,

gdy Edison odsunąwszy gwałtownie krzesło zerwał się na równe nogi i

ruszył za nią.

To, że ścigał ją w miejscu publicznym, było wprost niewiarygodne.

Przyśpieszyła kroku; niemal biegła lawirując

między stolikami. Słyszała tuż za sobą kroki Edisona i mamrotane przez niego przeprosiny. Chyba wpadł na jakiegoś

biesiadnika. Riva dotarła do schodów. Zbiegła po nich spieszenie i wpadła do sali na parterze pełnej ludzi

spożywających wykwintne lunche. Byli tam zapewne przyjaciele i znajomi, ale ona nie przystanęła, by się rozejrzeć, z

pośpiechem kierując się ku wyjściu.

Maitre d'hôtel stał obok recepcji. Riva skinęła na niego, nie mogąc złapać tchu.

- Przepraszam, ale muszę wyjść. To sprawa nie cierpiąca zwłoki. Pan Gallant zajmie się rachunkiem.

Mężczyzna skinął głową, zachowując zimną krew, jakby rzeczą całkiem zwyczajną było, że kobieta o klasie pani

Staulet w takim pośpiechu opuszcza towarzystwo. Po chwili ruszył z miejsca, by zagrozić drogę Edisonowi.

Przez ciężkie drzwi frontowe Riva wybiegła wprost na chodnik. George nie

sprawił jej zawodu. Czekał w limuzynie
tuż

przy krawężniku, w przecznicy na
wprost restauracji. Na widok Rivy
włączył silnik i przejechał
skrzyżowanie,

zatrzymując się przed nią. Otworzyła
drzwiczki i weszła do środka. Limuzyna
ruszyła zostawiając pod restauracyjną

markizą Edisona z serwetką w dłoni i
maitre d'hôtel, który trzymał go za ramię.

Ta ucieczka przed głównym kandydatem
Partii Demokratycznej na stanowisko
gubernatora stanu i pozostawienie go

z tak głupią miną powinny napawać Rive radością. Odczuwała jednak wyłącznie świadomość swego fałszywego

kroku.

ROZDZIAŁ 6

Wszystko wskazywało na to, że Anna Gallant zwiedza sklepy w poszukiwaniu antyków. Spacerowała wzdłuż Royal

Street, która przechodziła w Chartres, potem rozwidlała się i znów wracała do swojej królewskiej nazwy. Sięgała po

porcelanę i srebra, a potem odkładała je z powrotem. Przesuwała palcami po

blatach z hebanu i drzewa atlasowego.

Z uśmiechem słuchała delikatnego dźwięku zegara, który niegdyś odmierzał godziny w prywatnych apartamentach

Ludwika XV. Nie szukała niczego konkretnego, chyba że byłaby to biżuteria, tradycyjny lek na zranione serca żon. W

istocie to, co robiła, było oczekiwaniem na przygodę.

Grała z sobą w „co by było, gdyby?”... Co by było, gdyby ją uprowadzono i umieszczono na statku zmierzającym do jakiegoś obcego portu? Co by było,

gdyby jakiś „ojciec chrzestny”, mafioso, nadjechał i porwał ją do swojej limuzyny?

Co by było, gdyby nagle otworzyły się jakieś ukryte, tajemnicze drzwi i przystojny mężczyzna, w stroju sprzed stu

pięćdziesięciu lat, tajnymi dziedzińcami powiódł ją do przeszłości?

Były to oczywiście najczystsze fantazje. Nie oczekiwała, że cokolwiek przydarzy się naprawdę. Bo i jakim cudem?

Nigdy nic się nie zdarzało. A gdyby nawet coś się miało wydarzyć, to doskonale wiedziała, że jest zbyt spięta,

zbyt

świadoma konsekwencji, by cieszyć się przygodą.

Nigdzie jednak nie było tak sprzyjającej atmosfery do uprawiania owej prywatnej gierki jak w nowoorleańskiej French

Quarter. Tyle tajemniczych i niebezpiecznych historii zdarzyło się tu w przeszłości, że nazwano je Stolicą Grzechu i

Miastem, o Którym Zapomniała Opatrzność, a ostatnio nawet Wielkim Luzem. Hasło „Bawmy się!” było

charakterystyczne dla życia w Nowym Orleanie. Tak, tutaj wszystko jest możliwe...

Edison nie pochwalał samotnych wypraw żony, choć sądziła, że nie zależy mu na jej bezpieczeństwie, niepokoił się

raczej tym, że mogłaby zostać wmieszana w jakąś nieprzyjemną sytuację. Sądziła też, że Edison nie zabrania jej tych

wypadów i z tego względu, iż czasem był zadowolony, że nie ma jej w pobliżu.

Nowy Orlean miał niedobrą reputację, a

French Quarter cieszyła się szczególnie
złą opinią. Były tam boczne uliczki,

których Anna unikała za dnia, a za nic w
świecie nie zapaściłaby się w nie
wieczorem. To prawda, że lubiła
dreszczyk

ryzyka. Na ulicach takich jak Chartres
Royal i Bourbon nigdy go nie odczuwała
- na to było tu zbyt wielu turystów i
patroli policyjnych.

Uwielbiała tę dzielnicę - dochodzący z
licznych restauracji zapach owoców
morza i karmelu; kwas-kowaty aromat
musztardy dobiegający z wozów

sprzedających hot-dogi, powiew
zieleniny i kwiatów z ukrytych
dziedzińców, woń

starych książek, antyków, ziół, kadzideł,
a także olejków z różnorodnych sklepów
oraz zawsze obecne tchnienie rzeki,

przesycone wilgocią i zapachem błota.
Kontrasty French Quarter były
fascynujące: dostojne, obwieszane
paprociami,

balkony z kutego żelaza i podejrzone
spelunki, gdzie niemal nadzy mężczyźni i
kobiety tańczyli na stołach; luksusowe

hotele obok mrocznych i obskurnych
barów, mających kultywować tradycyjny

jazz; czcigodne mury jakiegoś starego

klasztoru czy świątyni i zdobne neonami
podejrzane sklepiki oferujące seks-
zabaweczki.

Nowy Orlean, jak wydawało się Annie,
żył w sposób odmienny niż większość
znanych jej miast. Przypominał

podstarzałą kobietę, która żyła niezbyt
rozsądnie, ale za to w sposób
pozwalający na zgromadzenie
interesujących

wspomnień; kobietę, która czasami
stroiała się dla gości, a jeśli nawet w jej
stroju nie wszystko było doskonałe, jeśli

koronka była nieco podarta, a buty zabłocone, ona nie przejmowała się tym. Lubiła, gdy przychodzili goście. Lubiła przyjemności i oczekiwała od innych tego samego. Była taka, jaka była, a ludzie przyjmowali ją właśnie taką.

Najbardziej odpowiadała Annie szalona śmiałość życia Nowego Orleanu. Sama była osobą nieśmiałą i na zasadzie

kontrastu odmienny sposób życia imponował jej w pewien sposób.

Podczas wędrowki minęła stare, wykonane z ciętego szkła i mahoniu drzwi restauracji „Lecompte's”, należącej do

Dantego Romoli. Ona i Edison jadali tu zwykle w czasie wypadów do miasta i zawsze stanowiło do okazji do

wspomnień. W umiejętności łączenia wykwintu potraw i kunsztu obsługi, kombinacji, która jednym pochlebia, a

innych onieśmiela, restauracje Nowego Orleanu zajmowały drugie -tuż po Paryżu - miejsce, a „Lecompte's" należała

do najlepszych z nich.

W pewnej chwili Anna dostrzegła Dantego na chodniku po drugiej stronie ulicy. Zmierzał właśnie do czegoś, co

okazało się stacją telewizyjną, miejscem zgoła nieprawdopodobnym wśród sklepików z pamiątkami. Anna była z siebie dumna, że go poznała, mimo iż spotkali się tylko raz. Na ogół nie potrafiła połączyć danej twarzy z nazwiskiem,

co u żony polityka było sporą wadą. Dziś udało jej się głównie dlatego, że wcześniej myślała o tym człowieku.

Wystawa starej biżuterii w witrynie sklepu po przeciwnej stronie ulicy przyciągnęła jej wzrok. Zaczekała przy krawężniku, aż przejedzie miejski autobus i mały autokar turystyczny, a

potem przeszła, by obejrzeć ją z bliska.
Było

tam kilka interesujących przedmiotów,
ale większość ozdób pochodziła z
okresu art nouveau, a ona interesowała
się

przede wszystkim granatami i gagatami z
epoki wiktoriańskiej.

Właśnie gdy odwracała się od witryny,
pojawił się Dante Romoli. Ktoś z
budynku telewizji coś za nim wołał. Z
ręką na

klamce otwartych już drzwi Dante
odwrócił się do wołającego.

- A ja twierdzę, że byłbyś doskonały -
dał się słyszeć głos z budynku. - Nikt w
Nowym Orleanie nie wie o jedzeniu tyle
co ty!

Dante potrząsnął głową.

- Mój akcent nie dorównuje akcentowi
Justina Wilsona, a Paul Prudhomme bije
mnie na głowę posturą. Poza tym

jestem restauratorem, a nie kucharzem.

- Z twoim wyglądem pokonałbyś ich
obu. Wiem też, że potrafisz gotować, bo
słyszałem o fantastycznych omletach,

jakie smażyysz dla tych słodkich

panienek, które zostają u ciebie na śniadanie. Mógłbyś zrobić coś takiego.

- Jasne, że mogę, jeśli przyniesiecie kamery do mojego mieszkania - odrzekł Dante.

- Mówisz serio? Możemy przyjść i filmować?

- Nie, u licha! Nie interesuje mnie to!

Ktoś zaklął bezsilnie. Dante roześmiał się, zamknął drzwi i odszedł.

Anna spostrzegła, że zmierza w jej stronę. Przywołała na twarz swój najwdzięczniejszy uśmiech. Miała zamiar skinąć

mu głową na powitanie i pójść dalej, jednak widząc jego ciemne oczy rozświetlone życzliwym uśmiechem, zatrzymała

się.

- Pani Gallant - powiedział. - Dzień dobry.

- Jakże się pan miewa?

Podąła mu dłoń z nadzieją, że uniesie ją do ust. Gdy w galijskim gościu, w ładny sposób łączącym szacunek z

uznaniem, Dante Romoli zaledwie pochylił się nad podaną ręką, poczuła rozczarowanie.

- Jak udało się pani umknąć? - zapytał, gdy wymienili zwyczajowe uprzejmości.

- Sądziłem, że cały swój czas poświęca

pani na kampanię, przemawiając w klubach i ściskając ręce wyborców.

- Jestem pewna, że ktoś popełnił błąd, ale szczęśliwie dla mnie: mam wolne przedpołudnie. - Jej uśmiech był

cieplejszy, niż można się było spodziewać.

To życzliwe zrozumienie, jakim Dante ją obdarzył, przyprawiło Annę o niezwykle uczucie bliskości. Także uporczywa

intensywność jego wzroku sprawiła, iż

Anna poczuła się jak osoba, o spotkaniu której marzył.

- I tak zwyczajnie przechadza się pani? - zapytał. - Czy też zmierza pani gdzieś w konkretnym kierunku?

- Spaceruję, oglądam... głównie antyki... Tak wiele tu pięknych starych rzeczy - odpowiedziała.

- Cieszyłbym się, mogąc pomóc pani w znalezieniu czegoś. Mam sporą wiedzę o tutejszych sklepach.

- Oglądałam biżuterię - odparła, a potem, chcąc sprawić wrażenie poważnej kolekcjonerki antyków, dodała: - Szukam

też starego wiklinowego fotela na
biegunach.

Dante zmarszczył brwi.

- Z biżuterią nie ma problemu, ale
fotel... Trwałość nie jest najmocniejszą
stroną wiklinowych foteli; ale znam
miejsce, gdzie można by je znaleźć.

- Naprawdę? - Wcale nie miała ochoty
nigdzie pójść, ale musiała sprawiać
wrażenie zainteresowanej.

- Mój samochód stoi za rogiem.
Podwiozę panią.

- Och, nie chciałabym sprawiać panu

kłopotu, panie Romoli, choć to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Jeśli tylko zechce mi pan wskazać kierunek...

- Proszę mi mówić: Dante. To doprawdy żaden kłopot, chere.

Nim się zorientowała, on już pomagał jej wsiąść do czerwonego alfa romeo o niskim zawieszaniu. Gdy wyjeżdżali z

parkingu, przeszło jej przez myśl, że jest po prostu idiotką wsiadającą do samochodu obcego mężczyzny.

Wyobrażała

sobie, co Edison powiedziałby na ten temat. Najgorsze, że wcale się nie bała.

Dante Romoli po prostu wzbudzał

zaufanie. Być może coś się kryło za jego uprzejmością, ale Anna nie dopatrywała się niczego złego w jego propozycji.

Dante Romoli był przecież przyjacielem Rivy Staulet. Musiał więc być człowiekiem godnym szacunku.

Nie wiedziała jednak, czy jego życzliwość jest bezinteresowna.

Rozwinęła w sobie instynkt rozpoznawania ludzi,

którzy czegoś chcą. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Dante próbuje za jej pośrednictwem dotrzeć do Edisona,

niemniej jednak wiedziała, że to możliwe. Teraz, gdy siedziała obok Dantego, czuła, że i ona czegoś od niego chce.

Może ta chęć tkwiła w jej podświadomości już w chwili, gdy go ujrzała?...

Żałowała, że nie ubrała się trochę lepiej. Niebieska jeansowa spódnica i czerwona koszulka na szerokich ramiączkach,

noszona pod lekkim wdziankiem, były doskonałe na upalny dzień, ale nawet słomkowy kapelusz z czerwoną

wstążką, którym uzupełniła strój, nie

czynił go na tyle eleganckim, by mógł dorównać białej jedwabnej koszuli

Dantego i doskonale skrojonym spodniom. Jego krawat i marynarka leżały na tylnym siedzeniu. Mimo iż rękawy

koszuli podwinął do łokci, jego wygląd nacechowany był nieskazitelną elegancją.

Zamartwianie się strojem było zresztą niemądre. Za chwilę Dante Romoli zostawi ją przed jakimś sklepem z antykami

i wróci do swoich interesów. Skoro zaś nikt nie miał oglądać ich razem, wygląd

Anny nie miał żadnego znaczenia.

Anna zapragnęła przerwać milczenie panujące w samochodzie, jak i skorzystać z okazji.

- Riva Staulet to niezwykła kobieta. Czy znasz ją od dawna? - zagała.

Dante spojrział uważnie.

- Od jakiegoś czasu... Myślę jednak, że nie tak długo jak twój mąż.

- Och, jesteś w błędzie. Edison poznał ją dopiero podczas ostatniego weekendu.

- Wybacz, pomyliłem się.

W głosie Dantego było jednak coś, co Annę zaniepokoiło.

- To dziwne, że nasze drogi nigdy się nie zeszły... Z pewnością uczestniczyliśmy w tych samych balach

charytatywnych i przyjęciach w Baton Rouge, w inauguracyjnych bankietach gubernatorskich...

- To się zdarza - przyznał Dante z ociąganiem. - Mam jednak wrażenie, że odtąd będziecie często wpadać na siebie. Na

mnie również na pewno trafisz.

- Będzie mi bardzo miło.

Dante sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Oto odpowiedź uprzejmej żony kandydata na gubernatora.

- Nie, nie. Naprawdę tak myślę - zaprotestowała Anna, a potem, gdy Dante roześmiał się, zrozumiała, że się z nią

droczy.

Było to osobliwe doznanie. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy ktoś - ktoś inny niż jej syn Josh, oczywiście - wykazywał

tyle zainteresowania jej osobą, by się z nią droczyć...

- Mówiąc poważnie, z przyjemnością widywałbym częściej panią i jej małżonka, choć wątpię, by kampania

pozostawiała dużo czasu na spotkania towarzyskie -rzekł Dante, a widząc, że Anna uśmiecha się pogodnie, mówił

dalej: - Szanse pani męża na zwycięstwo wydają się spore.

- Tak.

- Wiem, że krytyczne wzmianki będą się w prasie pojawiać aż do ostatniej chwili, ale sądzę, że podstawy kampanii

pana Gallanta są dobre, zważywszy na liczbę jego zwolenników.

- I ja tak sędę, choć zawsze znajdzie się miejsce dla nowych.

- Przyznam jednak, że nie potrafię wyobrazić sobie, czym mąż pani mógłby się zrewanżować przedsiębiorstwu

takiemu jak Staulet Corporation...

- Ja także nie - doparła Anna zdecydowanym tonem. - Nie wiem też, czego korporacja mogłaby oczekiwać.

Zatrzymawszy się na czerwonym świetle, spojrzeli na siebie. Uśmiech Dantego pojawił się w jego oczach; swój własny

Anna poczuła na ustach. Roześmieli się

w tej samej chwili.

Światło zmieniło się i Dante ruszył.

- W porządku; umówmy się, że nie będę z ciebie wyciągał wiadomości na temat męża, jeśli ty nie będziesz wypytywać mnie o Rive.

- Mogę cię zapewnić, że na nic by się to zdało. Ja n i c nie wiem. Muszę jednak przyznać, że podziwiam twoją lojalność wobec pani Staulet.

- Całkiem nieźle broniłaś się przed pytaniami.

- Przepraszam, taka postawa staje się w pewnym momencie drugą naturą.

- Nie ma za co przeproszać, chere.
Naprawdę nie moją sprawą jest to, co zaszło między nimi.

- Pani Staulet nie...

- Nie, nie powiedziała nic ponad to, że zjedzą dziś razem lunch. Przypuszczam, że gdyby chciała, bym wiedział więcej,

powiedziałyby mi. Nie ukrywam, że to spotkanie mnie intryguje.

- Wiem, co masz na myśli. Edison też nic mi nie powiedział na ten temat.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Anna pomasowała lewy nadgarstek, którego jasną skórę szpecił pokaźny siniak.

Wzrok Dantego pobiegł śladem jej gestu.

- Jestem pewien, że chodzi tylko o interesy - powiedział ostrożnie.

- Nie wątpię - odparła podobnym tonem, a potem zmieniła temat.

Rozmawiali o gospodarce stanu, o hotelu, w którym ona i Edison zamieszkali, o zebraniach wyborczych, a także o

targach światowych, jakie odbyły się w

Nowym Orleanie kilka lat temu.
Rozmawiając dojechali do sklepu na
Magazin.

-Dante zaparkował samochód i wszedł z
Anną do środka. W przyjacielskim
nastroju przerzucali się uwagami na
temat

lubianych przez Annę mebli
wiktoriańskich, które ona nazywała
solidnymi i pięknie rzeźbionymi, a on
przyczepiał im

łatki zbyt ciężkich i przesadnie
zdobionych. Dyskutowali również o
cenionych przez Dantego meblach
dawnej Luizjany

francuskiej, które jego zdaniem
charakteryzowały się elegancją
prostotą, a ona upierała się, że są
zupełnie

nieefektywne.

Anna z uwagą przyglądała się swemu
towarzyszowi. Obserwowała, jak
przechodząc obok mebli dotykał ich
drewna

oraz aksamitnych i jedwabnych obić.
Gdy nie patrzył, obserwowała jego
głowę, z falami gęstych włosów i
kształtnymi

uszami. Obserwowała także jego twarz,
szukając w niej owego śmiechu, który

nadzwyczaj się jej podobał. Złapała się na tym, że z trudem przychodzi jej oderwanie wzroku od tego człowieka.

Znaleźli wiklinowy bujany fotel, ale w tak marnym stanie, że wiadomo było, iż nie kupi go. Podczas poszukiwań

natknęła się jednak na wykonanego z brązu cherubina z liśćmi winorośli we włosach i rękoma pełnymi winogron,

niczym u młodego Bachusa. Była to naturalnej wielkości rzeźba ogrodowa, pochodząca z jakiegoś starego parku i

odrestaurowana tylko częściowo, tak że dużą jej część wciąż pokrywała śniedź.

Od razu polubiła tę małą brązową postać.

To Dante targował się z właścicielem sklepu, uzyskując rozsądny rabat, a potem owiniętą w papier rzeźbę wyniósł do

samochodu i ostrożnie ułożył na tylnym siedzeniu. Jakże więc mogła po tym wszystkim nie przyjąć zaproszenia na lunch?

Ponieważ nie chciała iść do jakiegoś niepewnego lokalu, wrócili do Quarter, gdzie w restauracji „Ralph i Kacoos”

zamówili langusty. Rozmawiali dalej na wszystkie tematy pod słońcem. Dante ujawnił akadyj-skie korzenie swej

rodziny. Zręcznie zachęcony, opowiedział o dorastaniu wśród licznych wujów, ciotek i kuzynów oraz wśród rzek,

kanałów i jezior. Mówił

O łowieniu ryb i polowaniach, a także o tym, że w wolnym czasie z zapalem zakładał sidła. Wspominał tańce na

weselach w sobotnie wieczory i msze w niedzielne poranki. Jego matka nie umiała mówić po angielsku, dopóki nie

zaczęła chodzić do szkoły, ale nabyta w szkole umiejętność zawodziła ją zawsze, ilekroć wpadała w złość. Po jej

śmierci ojciec, Włoch związany z handlem warzywami na French Market, wrócił do Nowego Orleanu. Właśnie tam, na

French Market, dokąd przybywali najwspanialszy szefowie kuchni, by osobiście wybrać najświeższe owoce i warzywa,

Dante zaczął interesować się żywnością. Kulturował swe zainteresowania później w starej restauracji „Lecomplete's”,

gdzie - po śmierci ojca, zabitego w jakiejś burdzie - pracował jako chłopak do wszystkiego.

Głównie jednak to Dante zadawał pytania - o Josha i jego plany, o obowiązki Anny jako żony polityka, o to, czy lubi

swe obecne zajęcia i dlaczego jej się nie podobają. Droczył się z nią o tysiąc spraw, zaczynając od jej odmowy zdjęcia

kapelusza i pokazania przygniecionej fryzury, a na perfekcyjnie opracowanej metodzie spożywania langusty kończąc.

Anna odwzajemniła się aluzją o roli

telewizyjnego mistrza kuchni,
przyznając, że przypadkowo usłyszała
zarówno

propozycję, jak i odpowiedź Dantego.
Nie wspomniała jednak o ślicznych
panienkach, którym przyrządzał omlety
na

śniadanie.

Skończyli jeść i sączyli ostatnie łyki
stołowego wina, gdy Dante nagle
odstawił kieliszek i sięgnął po jej lewą
rękę.

Obrócił ją delikatnie, odsłaniając
zeszpecony siniakiem nadgarstek.

- Co się stało, chere? - zapytał.

Anna poczuła, że oblewa się rumieńcem. Próbowała cofnąć rękę, ale bezskutecznie.

- To nic, naprawdę.

- Przypuszczam - powiedział ironicznie
- że uderzyłaś się o drzwi.

- Coś w tym rodzaju. - Mówiąc te słowa, nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Wiedziała, że wścibstwo Dantego powinno

ją zirytować, ale nie zirytowało. Nie doznała w życiu wiele troski, tak że nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie

serdeczności Dantego.

- Nie lubisz wygłaszać przemówień; nie lubisz być żoną polityka; żyjesz z człowiekiem, który najwyraźniej źle cię

traktuje. Nasuwa się więc oczywiste pytanie: czemu z nim jesteś?

- Cóż, jest przecież Josh. Dorastający chłopiec potrzebuje ojca, a Edison w gruncie rzeczy nie jest zły...

- Josh jest już dorosły.

- Rozwód zaszkodziłby karierze Edisona. Nie zniosłabym odpowiedzialności za przekreślenie jego szans na fotel

gubernatora.

- Powinien więc traktować cię inaczej, żebyś nie zastanawiała się nad opuszczeniem go.

- Może... Poza tym trzeba by rozważyć, jak Edison przyjąłby moje odejście. Wiem, że nie pogodziłby się z nim bez

walki i obawiam się, że mogłaby się ona stać... brzydka. Zresztą większość prawników, jakich znam, to jego

przyjaciele i koledzy lub ludzie związani z nim politycznie. Trudno byłoby znaleźć kogoś, komu mogłabym powierzyć

obronę swych interesów; kogoś, do kogo

Edison na pewno by nie dotarł i nie wpłynął na jego stanowisko.

- Widzę więc, że rozmyślałaś o położeniu kresu temu małżeństwu.

- Tak... Myślałam o tym. - Spotkała jego wzrok. W jej spojrzeniu kryła się zaduma. - Wychowano mnie jednak na

katoliczkę i chociaż zesłam z tej drogi, ponieważ Edison nalegał, bym chodziła z nim do kościoła protestanckiego, to

trudno mi uciec od pobieranych w dzieciństwie nauk o świętości przysięgi małżeńskiej. Małżeństwo zresztą to bardzo

szczególny związek. Zaczyna się miłością, a potem, bez względu na to, czy ona trwa czy nie, ludzie żyją na własny

rachunek. Zerwanie więzów małżeńskich przypomina mi trochę zabicie czegoś. Chyba dlatego nie mogłabym się na

to zdobyć.

Leciutko musnął siniec na jej nadgarstku.

- Sądzę, że robisz to, co uważasz za najlepsze. Przykro mi, jeśli okazałem się wścibski.

- Nie, nie... - wymamrotała bezradnie.

Jego troska i wyrozumiałość były balsamem na rany, do których aż do tej chwili

nie przyznawała się nawet przed sobą.

- Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc, chere, mam nadzieję, że mi o tym powiesz.

Łzy napływały do oczu Anny. Może z czystej słabości wywołanej współczuciem pozwoliłaby im popłynąć, gdyby nie

powstrzymywało jej ciepło palców Dantego na skórze. Gdzieś w głębi duszy czuła, że coś się w niej zmienia. To

uczucie niepokoiło i nie była wcale

pewna, czy jej się podoba.

- Jesteś zupełnie niespotykanym człowiekiem - powiedziała nie odrywając wzroku od splecionych rąk. - Nadzwyczaj

uprzejmym mężczyzną.

Uwolnił jej dłoń.

- Nie, nie jestem. Gdybyś posłuchała Rivy, dowiedziałabyś się, że po prostu jestem facetem, który uważa, że jego

obowiązkiem jest niesienie pomocy wszystkim, którzy tego potrzebują.

- Nie uwierzyłabym jej.

- Może ona ma rację; nie wiem. Lubię ludzi i nie mogę patrzeć, jak cierpią.

- Wiele osób z pewnością cię wykorzystuje.

- Czasami, choć nie jestem naiwny. Przynajmniej tak mi się zdaje. Wiem, jacy bywają ludzie. Wiem także, że niektórzy

potrzebują szansy życiowej. Ja spodziewam się po nich najlepszego i zazwyczaj nie czuję się zawiedziony.

Anna porównywała w myślach swego męża i Dantego. Byli zupełnie inni. Edison był blondynem, Dante brunetem.

Edison znacznie przewyższał ją swym okazałym wzrostem, Dante był od niej wyższy zaledwie trzy lub cztery cale.

Edison mówił na ogół o sobie, podczas gdy Dante interesował się rozmówcą. Edison szukał w ludziach ich słabych stron, Dante - mocnych. Jednak to Edison był jej mężem.

Anna uprzytomniła sobie nagle, że ranek niepostrzeżenie przeszedł w popołudnie.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Tak, oczywiście - odparł Dante i skinął na kelnera. - Odwiozę cię do hotelu.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała. -
Mogę się przejść.

- To prawda, nie sądzisz jednak, że ten
kawał brązu, który kupiłaś, może okazać
się trochę ciężki?

- To nie żaden kawał brązu, ale cenne
dzieło sztuki. Chciałabym, żebyś przyjął
to do wiadomości - odparła żartobliwie,
szczerze jednak wdzięczna za troskę.

- W takim razie - rzekł szybko - nie
chcesz chyba narażać tego dzieła na
szwank, ciągnąc go za sobą po ulicach,
chere?

Zawiozę cię do hotelu i powierzę twą

rzeźbę opiece silnego portiera. Jestem pewien, że upuści ją tylko raz lub dwa.

Poczuła ulgę, gdy zrozumiała, że nie zamierza wejść z nią do hotelu. Kiedy napotkała jego wzrok, uświadomiła sobie,

że odczytał jej myśli i poczuła się zażenowana.

Dante uregulował rachunek.

- Nie zapytałem cię, co masz zamiar zrobić z tym małym człowieczkiem z brązu - powiedział, gdy wyszli z restauracji.

- Z cherubinem - poprawiła go. - Mam

w domu oranżerię. Znajdzie się tam dla niego miejsce pod palmą, jedną z tych

wiktoriańskich salonowych palm.

Żałuję, że nie mam takiego dziedzińca jak te, które kryją się w Quarter. Bardzo mi

się podobają.

- Naprawdę? - zapytał, otwierając drzwi samochodu i przytrzymując je, by Anna mogła wejść do środka.

- Są tak głęboko ukryte - rzekła - jak prywatne przyjemności.

- To brzmi prowokująco - powiedział, obchodząc samochód i siadając za

kierownicą. - Przynajmniej jeśli dobrze
cię

zrozumiałem.

Rumieniec znów oblał jej twarz.

- Nie miałam na myśli...

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu,
gdy przerwał jej w pół słowa.

- Wiem, chere. Czy kiedykolwiek byłaś
na którymś z tych... dziedzińców?

Nie połknęła haczyka.

- Widziałam tylko te, które stanowią
część restauracji, takich jak „Brennan's”

czy „Court of Two Sisters”.

- Jesteś więc zaproszona na ucztę duchową. Mój apartament też ma dziedziniec.

Siedział, czekając z ręką na kluczyku w stacyjce. Anna utkwiała w nim wzrok, z rosnącą podejrzliwością spoglądając w

głęboką czerń jego oczu. Żałowała, że nie wie, o co Dantemu naprawdę chodzi i że musi się tego domyślać. Żałowała,

że podczas małżeńskiego życia trzymano ją pod kloszem, tak iż nie umie radzić sobie w podobnych sytuacjach.

Z całych sił powstrzymywała napór

podejrzliwych myśli. W wyrazie twarzy
Dante nie było przecież nic, co by je

uzasadniało. N i c. Gdyby zrozumiał, że
w jej uwadze nie było niczego
dwuznacznego, mogłaby okazać mu

uprzejmość.

Zaryzykowała uśmiech.

- Bardzo chciałabym zobaczyć ten
dziedziniec. Mieścił się za domem, przy
jednej z cichych tylnych uliczek w
Quarter

French, których Anna dotąd unikała.
Posiadłość, do której dziedziniec
należał, Dante nazywał swoim

apartamentem,

ponieważ mieszkał w wyższej jej części,
w niższej zaś mieściło się jego biuro.

Dom miał balkon otoczony

pomalowanymi na czarno żelaznymi
prętami, wejścia zwieńczone
tympanonami, masywne drewniane
okiennice,

które naprawdę zamykały się i
otwierały, oraz tablicę wykonaną z
brązu, poświadczającą historyczną
przeszłość

domu, a co za tym idzie - jego wartość.
By dotrzeć na dziedziniec, należało
przejsć przez wysokie i solidne drzwi w

murze z cegieł, a potem skierować się w dół wąską brukowaną ścieżką, wzdłuż której rosły paprocie i niecierpki.

Dante zostawił Annę na dziedzińcu i poszedł poprosić gosposię o przygotowanie kawy. Patrzyła, jak znika pod

krużgankiem obiegającym budynek, a potem wspina się po schodach prowadzących na górę. Po chwili usłyszała

donośny, ale miły głos czarnoskórej kobiety, która prowadziła mu gospodarstwo.

Anna potrząsnęła głową. A więc była tu

gosposia, a w dodatku ona najwyraźniej nie miała być zaproszona do wnętrza

domu. Musiała zatem uśmiechnąć się na myśl o swoich wcześniejszych obawach.

Na dziedzińcu było gorąco od promieni słonecznych, które padając na różowe mury ogrzewały omszałe cegły. Żar

złagodzony był nieco cieniem rozłożystego dębu, drzewek złotokapu, a także wodą tryskającą w fontannie z kutego

żelaza. Zielone i białe liście calladium tworzyły cieniste plamy, którym koloru dodawały różowe begonie i niecierpki.

Pnie drzew grubą warstwą porośnięte
były ciemnozielonym bluszczem, a na
żerdzi pod dębem siedziała

jaskrawozielona papuga z żółtą główką i
skrzydłami muśniętymi bladą czerwienią
oraz ciemnym błękitem.

Anna podeszła do ptaka.

- Cześć! - powiedziała miękko.

Papuga przysunęła się, zadarła główkę i
wydała z siebie przenikliwy gwizd.

- Witaj, śliczna panienko - zaskrzeczała.

Anna zaśmiała się, rozbawiona.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać ptaka,
ale papuga umknęła z jej zasięgu,
mierząc Annę

okiem o pomarańczowej otoczce źrenic,
które zwężyły się i rozszerzały w jakimś
dziwnym papuzim rytmie.

Przemawiała do ptaka jeszcze przez
chwilę, a potem odwróciła się.

Nie opodal żerdzi stały dwa krzesła
powleczone cienkim białym plastykiem i
biały metalowy stół z marmurowym

blatem. Anna zajęła jedno z krzeseł i

rozejrzała się wokół. Gdzieś w pobliżu rozbrzmiewały odgłosy ulicznego ruchu,

ale wydawały się jedynie odległym szmerem, nie dokuczliwszym niż delikatny wietrzyk, który szeleścił w koronach

drzew. Ptak, zwany kardynałem, sfrunął do fontanny napić się wody. Łagodny podmuch przyniósł zapach gardenii,

której duży, liczący z osiem stóp wysokości krzak rósł przy domu. Anna wygodnie oparła plecy. Papuga wydała cichy,

mlaskający dźwięk i rozwichrzyła piórka, cicho świergocząc. Ptaszki

szczebiot i delikatny szum fontanny
stopiły się w

dziwnie usypiający szmer. Anna
zamknęła oczy i napawała się spokojem
tego miejsca.

Musiała się zdrzemnąć, bo gdy Dante
stał obok, coś mówiąc, drgnęła i
otworzyła oczy zupełnie
zdezorientowana.

- Spokojnie tu, prawda? - zapytał.

- Bardzo. I ślicznie! Dziękuję za
zaproszenie. Przyniósł tacę, na której
stał mały srebrny serwis, przykryte
serwetką

ciasto na obrzeżonej złotem paterze z chińskiej porcelany, zdobnej deseniem różowych różyczek, waterfordowskie

szklaneczki z chłodzoną wodą mineralną i taki sam wazonik z różową różą.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł szarmancko.

Wyprostowała się na krześle.

- Podoba mi się twoja papuga. Jest niemal tak czarująca jak jej pan!

- Z pewnością zagwizdała na twój widok. Lubi damy.

- Podobnie jak jej pan?

Dante z uśmiechem potrząsnął głową.

- W rzeczywistości sprawy mają się tak, że to gosposia karmi ją, czyści klatkę i opiekuje się nią, gdy mnie nie ma. Ja

zaś tolerowany jestem tylko dzięki zupełnie nieodpowiednim smakołykom, którymi ją przekupuję, jak na przykład te

herbatniki. - Zdjął serwetkę z patery i odsłonił miękkie ciasteczka. - Zaraz przyłączy się do nas po swoją porcję.

Rzeczywiście. Używając dzioba i pazurków lśniący zielenią ptak zsunął się po żerdzi. Szybko dotarł do krzesła Dantego

i wdrapując się po jego spodniach rozsiadł się na kolanie. Kiedy zaś Dante podał mu kawałek ciasta, stojąc na jednej

nodze drugą trzymał smakołyk i delikatnie, w obłoku okruszków, dziobał jego brzegi.

- Czy ona potrafi fruwać?

- Tak. Ale na lato podcina jej się skrzydła, by mogła pozostawać na dworze, bez zagrożenia, że zapuści się za daleko.

- A jak ma na imię? - Mówiąc to, Anna gestem ręki wskazała dzbanuszek z kawą, by zapytać, czy może ją rozlać do

filizanek.

- Proszę - odpowiedział. - Na imię ma Cracker Jack, bo krakersy są jej ulubionym przysmakiem. Poza tym przepada za

słodzami i nie potrafi spokojnie na nie czekać.

Anna ostrożnie napełniła filizanki kawą i dołąła mleka. Rozmowa o ptaku złagodziła nieco niezręczną sytuację.

Pewna

kojąca normalność była również w tym, co Anna robiła, czyniąc to tak, jakby zawsze zajmowała się nalewaniem kawy.

Rzeczywiście wielokrotnie nalewała kawę, ale nie temu mężczyźnie...

- Polubiłam ten dziedziniec - oznajmiła.
- Jest równie piękny jak twój dom.

- Byłem przekonany, że ci się spodoba. Mieszkam tu od lat i jestem przywiązany do tego miejsca. Wiele lat temu

wynajmowałem tu pokój. Gdy właścicielka domu zmarła, kupiłem go od jej spadkobierców. Riva pomogła mi go

odrestaurować.

- Mogłam się domyślić.

Jego ciemne brwi zmarszczyły się lekko.

- Domyślić się czego?...

- Że to pani Staulet ci pomogła, a nie przyjaciółka czy żona. Czy nigdy nie byłeś żonaty?

- Nie. Z braku czasu i okazji.

- To niemożliwe - powiedziała z niedowierzaniem.

- Więc myślisz, że jestem gejem?
Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.
A jesteś?

- Nie - odparł, a jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. - Choć jestem pewien, że są tacy, którzy są co do tego

przekonani.

- Cóż... są tacy, którzy z całą pewnością wiedzą o tobie więcej niż ja...

Przez chwilę patrzył na nią uważnie, a potem z urażoną miną potrząsnął głową.

- Jeśli ci chodzi o to, co powiedział Miles ze stacji telewizyjnej, stanowczo zaprzeczam jego insynuacjom. Robi ze mnie

jakiegoś cholernego playboya. A ja miałem na myśli tylko to, że jestem

całkowicie pochłonięty restauracją.

- Znajdujesz jednak czas dla Rivy Staulet.

- Tak - odparł stanowczo, uciekając wzrokiem.

Znów dał do zrozumienia, że nie chce być wypytywany o tę kobietę. Anna zastanawiała się, czym Riva Staulet

zaskarbiła sobie tak wielką lojalność tego mężczyzny. W niejasny sposób zazdrościła jej tego oddania.

- Zapomnij, że o tym wspomniałam - poprosiła przyciszonym głosem.

Uniósł w zdziwieniu brew.

- Dlaczego? Skoro przejawiasz tak pochlebiające mi zainteresowanie moim życiem miłosnym?... Prawdę mówiąc, w

latach młodości tak wiele czasu poświęcałem pracy, że kobiety zostawiłem sobie na później. Ostatnio zaś wszystkie

sprawiają wrażenie albo zbyt młodych i lekkomyślnych, albo też tak steranych podeszłym wiekiem swoich

dwudziestu pięciu lat, że czuję się przy nich jak uczeń.

- Raczej jak ministrant - mruknęła.

- Co?!

Posłała mu wspaniały, najserdeczniejszy uśmiech, na jaki było ją stać.

- Myślałam, że to ci się spodoba.

Spoglądał na nią przez stół, a potem w zamyśleniu skinął głową.

- Tak, w pewien sposób...

Wzajemne zrozumienie wydawało się przez krótką chwilę głębokie. Potem Dante skierował uwagę ku różowemu pączkowi róży w wazonie. Sięgnąwszy po kwiat, osuszył jego łodyżkę lnianą serwetką i zaczął usuwać kolce. Gdy

łodyga była już dostatecznie gładka, by można ją było ująć, wręczył różę swojemu gościowi.

- To dla ciebie.

Anna przyjęła kwiat i uniosła go ku twarzy. Kiedy wdychała głęboko piękną woń, przyszło jej na myśl, że wszystko, co

Dante Romoli robił tego dnia, miało na celu sprawienie jej przyjemności. Zakupy, żarty, jedzenie, ukryty dziedziniec,

papuga, kawa i ciasteczka, a teraz róża... Wszystko było prezentem, szczodrym dzieleniem się samym sobą.

Niepostrzeżenie, niemal wbrew swej woli, pomyślała, że pewnie tak samo byłoby z nim w łóżku. Zaspokajałby

potrzeby kochanki i spełniałby jej życzenia z perfekcyjną dbałością o nią i bezgraniczną troską. Nie sprawiałoby mu

przyjemności zadawanie bólu ani uzyskiwanie satysfakcji kosztem partnerki. Rozkosz kochanki stawałaby się jego

przyjemnością.

Zaszokowana kierunkiem swoich rozmyślań, zadrżała nerwowo i tak szybko odstawiła trzymaną w rękę

filizankę, że

ta z głośnym szczękiem uderzyła o spodeczek.

- Na mnie już czas. Naprawdę muszę iść
- oświadczyła.

Dante nie zatrzymywał jej. Posadził papugę na żerdzi, a potem zaprowadził Annę do samochodu i odwiózł ją do hotelu „Royal Orleans”.

Pożegnali się na chodniku. Byli nieco spięci, bo Anna nie przestawała spoglądać przez ramię, bojąc się, że Edison

może nadejść w każdej chwili.

Podziękowała Dantemu za uroczy dzień i podała mu rękę.

Najpierw chciała, by szybko odjechał, ale w chwili gdy jego samochód ruszył, pomyślała o wielu sprawach, o których

mogła mu jeszcze powiedzieć, o których chciała powiedzieć... Równocześnie jednak poczuła się wyczerpana i nie

chciała niczego więcej niż położyć się.

Edisona nie było widać. Hotelowy hol był cichy i wydawał się niemal opuszczony. Minęła godzina meldowania

nowych gości, a nie nadszedł jeszcze czas, w którym tłumnie przybywa się tutaj na koktajle. Anna podążała za boyem

niosącym rzeźbę do windy. Weszli do jednej z nich. Gdy drzwi się zamknęły, Anna wydała z siebie westchnienie ulgi.

- To był gorący dzień - rzekł boy.

Przyznała mu rację, zastanawiając się, czy istotnie wygląda na tak przegraną, jak się czuje.

- Jutro będzie tak samo - dodał chłopak. Skinęła głową. Tak, będzie... I przez wszystkie kolejne „jutra”... Ale nigdy już

nie zdarzy się taki dzień jak dzisiejszy.
Nigdy.

Uznała, że nie ma powodu opowiadać o nim Edisonowi, choć do tej pory niczego przed nim nie ukrywała, a to

głównie dlatego, iż bała się, że jeśli mąż dowie się o czymś, czego mu nie powiedziała, konsekwencje będą podwójnie

ciężkie. Inna rzecz, że niewiele miała zwykle do ukrycia. Ale ten dzień chciała zachować dla siebie. Chciała, by

pozostał czystym, miłym wspomnieniem. Gdyby opowiedziała o swym spotkaniu Edisonowi, wszystko zostałoby

zbrukane, obrócone w coś, czego musiałaby się wstydzić.

To był j e j dzień. I niech tak zostanie.

ROZDZIAŁ 7

Nie wiadomo skąd pojawił się przed Rivą młody mężczyzna. Wychodziła właśnie ze Staulet Building, pozwalając, by

ciężkie drzwi ze szkła i błyszczącej stali same się za nią zatrzasnęły i skierowała się do czekającego samochodu, gdy

ktos nagle zastąpił jej drogę.

Cofnęła się, unosząc teczkę niczym

tarczę. George, który wysiadał właśnie z limuzyny, by otworzyć przed Riva

drzwiczki, ruszył biegiem w jej stronę.

- Proszę mi wybaczyć, pani Staulet - rzekł szybko młody człowiek. - Nie chciałem pani przestraszyć. Czy mógłbym

prosić panią o chwilę rozmowy?

Riva rozpoznała go - to młody fotograf z sobotniego zebrania. Uniosła rękę, aby zatrzymać George'a. Kierowca cofnął

się, ale nie wrócił do samochodu, przyjmując pełną wyczekiwania postawę.

- Czego pan sobie życzy? - zapytała Riva.

Jej ton nie był przyjazny, a spojrzenie wręcz odpychające. Czekaając na wyjaśnienia, mierzyła fotografa od stóp w

zniszczonych zamszowych butach do czarnowłosej głowy. Miał szczupłą sylwetkę, jaką zazwyczaj miewają ludzie,

którzy mogą jeść wszystko, na co mają ochotę, lecz jego ramiona były szerokie. Jasna cera i błękitne oczy w

połączeniu z czarnymi włosami wskazywała na odrobinę irlandzkiej

krwi w jego żyłach. Irlandzka śmiałość odbijała się

w jego charakterze - taksujące spojrzenie Rivy wcale go nie onieśmieliło.

- Próbowałem dotrzeć do pani przez sekretarkę, ale najwyraźniej polecono jej odprawiać dziennikarzy.

Powoływanie

się na tytuł gazety może czasem okazać się niewypałem. Moja sprawa nie ma zresztą nic wspólnego z gazetą. Chodzi mi o pani siostrzenicę.

- Nie rozumiem.

Smutny uśmiech przemknął po twarzy młodego człowieka.

- Ani ja, mówiąc szczerze. Nie należy ona do tego rodzaju dziewcząt, z jakimi zazwyczaj spędzam czas. Wciąż jednak

oglądam zdjęcie, które zrobiłem w sobotę, i nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie. Chciałbym prosić panią o szansę poznania jej.

- Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? - Riva była nieubłagana.

Oto człowiek odpowiedzialny za zwrócenie uwagi opinii publicznej na jej spotkanie z Edisonem! Może naprawdę

interesuje się Erin, choć z drugiej strony...

- Spotkanie z pani siostrzenicą to prawie gra nie do wygrania. Dowiedziałem się już, że studiuje w Tulane, ale jeśli ma

jakiś numer telefonu, to jest on nieosiągalny. Służba w pani domu i tutejszy personel nie da mi go ani też nie powie,

gdzie pani siostrzenica mieszka. Jej matka, do której zadzwoniłem, napadła na mnie krzyżąc, że jestem albo

natrętnym reporterem, albo zboczeńcem, bądź też jednym i drugim. Moja ostatnia nadzieja to... zdać się na łaskę

pani.

- Skąd ta myśl, że panu pomogę?

- Nie wiem, tak mi się zdaje, bo sprawia pani wrażenie rozsądnej damy. Poza tym mogłaby pani pomyśleć, że lepiej

mi ustąpić niż pozostawić w domysłach, czemu wszyscy tak bardzo chronią pani siostrzenicę.

Był inteligentny, musiała to przyznać. I bezczelny. Nie mogła go winić za tę bezczelność - była to cecha, którą do pewnego stopnia podziwiała u ludzi.

- Erin jest bardzo ufna - powiedziała

powoli. - Nie wierzy, że świat pełen jest ludzi, którzy wykorzystują innych.

- Czy sądzi pani, że jestem jednym z nich?

- Niewykluczone.

Skinął głową.

- No cóż. Mogę wprawdzie oświadczyć, że n i e jestem, ale nie wiem, czy istnieje jakiś sposób, by to udowodnić.

Oczekiwała, że będzie zły, że zechce walczyć, że spróbuje ją przekonywać. Jego bezradność rozbroiła ją. Wbrew swej

woli była pod wrażeniem tego
młodzieńca. Przy baczniejszym
spojrzeniu wydawał się atrakcyjnym
młodym

mężczyzną; odrobinę niewyrobionym,
ale pociągającym. Większości młodych
kobiet - lubiących ten mroczny, silny

typ mężczyzny - połączenie nieco
surowej powierzchowności i pewnej
siebie postawy mogłoby wydać się
nieodparcie

atrakcyjne.

- Z drugiej strony - dodała pośpiesznie -
Erin jest z pewnością na tyle dorosła, by
nie życzyć sobie, aby ktokolwiek

interesował się jej randkami. Nie dam panu numeru jej telefonu, ale wezmę pański. Jeśli Erin uzna, że ją to

interesuje, może do pana zadzwoni...

- Jeśli to wszystko, co może pani dla mnie zrobić...

- Tak, to wszystko.

Zaczął przeszukiwać kieszenie, aby znaleźć pióro.

Kilka minut później Riva siedziała w limuzynie wpatrując się w kartkę, na której Doug Gorsline napisał swoje

nazwisko. Dać ją Erin czy nie? Nie

znajdowała żadnego powodu, dla którego obiecała, że zrobi to. Jednakże niezłym

pomysłem wydawało jej się poszerzenie kręgu przyjaciół Erin, szczególnie kręgu męskich przyjaciół... Mogło się

również oczywiście okazać, że kuracja będzie cięższa niż sama dolegliwość.

Zdecydowanym ruchem wrzuciła kartkę do torebki, a potem, opierając głowę na miękkim pluszowym siedzeniu,

zamknęła oczy.

Czasami miała wrażenie, że ustawicznie jest zmęczona. Nietrudno było znaleźć

powód. Przez całe lata musiała radzić

sobie ze stanowiskiem w przedsiębiorstwie, obowiązkami żony Cośmy i gospodyni Bonne Vie oraz innych należących

do rodziny posiadłości. Także ze zobowiązaniami towarzyskimi. Zawsze miała wprowadzić kogoś do pomocy: do

gotowania i sprzątanania, do odbierania telefonów, nadzorowania remontów i napraw oraz utrzymywania domu w

odpowiednim stanie, ale ostateczna odpowiedzialność spoczywała na niej. Tak było zarówno przed chorobą Cośmy,

jak i teraz. Lubiła życie, jakie prowadziła, ale bywały chwile, gdy domy i samochody, antyki i bogate meble, służba i

sekretarki, a zwłaszcza rozbudowana struktura korporacji wydawały się ciężarem ponad siły.

Marzyła o wolności. Pragnienie, by wsiąść do samochodu i odjechać w dal, było czasem tak silne, że aż świerzbiły ją

ręce, aby dotknąć kierownicy. Myślała o wyjeździe do Meksyku i kupnie domu w jakiejś małej wiosce, gdzie

zasłynęłaby jako zwariowana

Amerykanka, która chodzi bosą i hoduje kurczęta, niczym pierwsza lepsza wieśniaczka.

Marzyło się jej proste życie w krytej strzechą chacie na którejś z wysp Pacyfiku, gdzie mogłaby wylegiwać się w

hamaku aż do zachodu słońca, a potem przechadzać się bosą po piaszczystym wybrzeżu. Szalone marzenia.

Śmierć Cosmy... Jeszcze się z nią nie pogodziła; jeszcze nie przyjęła jej do wiadomości. Napięcie, bezsenne noce i dni

spędzane na bezsilnym przyglądaniu się,

jak on zapada się w objęcia śmierci,
przyprawiały Rive o trudne do
zniesienia

cierpienie.

Wiele osób sądziło, że śmierć Cośmy
przyniosła jej ulgę. Niczego nie
rozumieli! Czują, że zabrano jej oparcie,
z

którego korzystała, nawet o tym nie
wiedząc.

A teraz ta sprawa z Edisonem.
Wywołane przez nią napięcie
nieubłaganie dawało o sobie znać.

Rivie zdawało się, że George spogląda

na nią zaniepokojony w lusterku
wstecznym. Był jak wierny pies,
ogromnie

czuły na jej nastroje i pragnienia,
dbający o jej bezpieczeństwo.

Przyjmowała to na ogół jako rzecz
zupełnie

oczywistą. Ale nie zawsze.

- O co chodzi, George? - zapytała nie
otwierając oczu, gdy znów poczuła na
sobie jego wzrok, kiedy skręcili w
drogę

wiodącą do Bonne Vie.

- Nie chcę pani kłopotać, ale dzwoniła

moja stara -odpowiedział niskim barytonem. - Pyta, czy nie znalazłaby pani dla

niej kilku minut po przyjeździe do domu. Pani Constance dała jej całą listę dań, które mają być przygotowane dla

dzieci, a Liz nigdy w życiu nie słyszała o takich potrawach. Chce je przyrządzić, ale nie ma pojęcia jak.

Constance! Riva niemal zapomniała o jej obecności w Bonne Vie. Pewnie to niegościnnie, nie mówiąc już o tym, że

tchórzliwe, by zostawiać ją samą na cały dzień, ale przecież ta kobieta była gościem Noela. Skoro on bez oporów

pojechał do pracy, Riva nie widziała powodu, dla którego miałyby zostać w domu.

- Zejdę do kuchni, gdy tylko się przebiorę - obiecała, widząc w lusterku niespokojny wzrok George'a.

- Liz może przyjść na górę.

- Nie ma sprawy. Wiem, że będzie zajęta obiadem.

Kiedyś Riva zamartwiała się stosunkiem do służby, jakiego oczekiwano od pani domu, oraz tym, jak powinna się

zachować, by zasłużyć na szacunek ze względu na własną osobę, a nie tylko

jako żona Cośmy. Stwierdziwszy, że nie potrafi postępować zgodnie z przyjętymi powszechnie wymogami, postanowiła po prostu być sobą i - ku swemu

wielkiemu zaskoczeniu - dobrze na tym wychodziła.

Mimo problemów w kuchni obiad był wyśmienitym, lekkim posiłkiem; takim, jakie Cosmo najbardziej lubił w czasie

upalnego lata: przystawki, piersi kurczęcia pieczone z czosnkiem, sałatka ze świeżych warzyw i słynne biszkopty Lizy.

- A gdzie jest kurczę ? la d'Albufera,

które zamówiłam dla dzieci? - zapytała Constance w połowie posiłku.

- Były problemy z przepisem - odparła Riva. -Jeśli zechcesz podać go kucharce, z radością przyrządzi jutro to danie.

- W przeciwnym razie nic z tego?

- Na to wygląda.

Constance uniosła brew.

- Cóż ty masz za kucharkę?

- Bardzo dobrą — spokojnie odpowiedziała Riva. -Ale to Amerykanka z Południa, z Nowego Orleanu.

Możliwe, że przy Constance ludzie nieczęsto mieli ostatnie słowo, bo w rzuconym spod nieprawdopodobnie długich

rzęs spojrzeniu Pietra, który siedział obok Rivy, pojawiło się zdumienie. Uśmiechnęła się do chłopca, a jego usta zadrżały śmiechem, nim znów skupił się na jedzeniu.

Przez chwilę Riva czuła ucisk w piersiach. Spojrzała w stronę Noela, który siedząc u szczytu stołu zaabsorbowany był

jedzeniem, choć uśmiechnął się mile do swego syna. Syn Noela. Wnuk Cosmy.

Musi być ostrożna, bo inaczej okaże się, iż coraz bardziej przywiązuje się do Pietra, a to nie byłoby rozsądne.

Constance ponownie przyciągnęła ku sobie uwagę Rivy.

- Gdzie jest twój przyjaciel Dante? - spytała. - Sądziłam, że przyłączy się do nas.

W głosie Constance było coś, co sprawiło, że Riva przyjrzała się jej uważnie. Była żona Noela miała na sobie suknię z

miętko układającego się czerwonego jedwabiu. Duży dekolt odsłaniał jej

śródziemnomorską opaleniznę, na której
pobłyskiwał złoty, „barbarzyński”
naszyjnik. Makijażu Constance nie
można byłoby nazwać wyzywającym,
choć

wydawał się nieco za ostry jak na
rodzinny obiad.

- Sądzę, że spotkasz go jutro wieczorem
na naszym przyjęciu dobroczynnym.
Mam nadzieję, że zechcesz w nim

uczestniczyć jako mój gość. Jestem
pewna, że Dante również się zjawi, choć
na ogół woli spędzać wieczory na

doglądaniu pracy w swoich

restauracjach.

- Restauracjach?!

Riva opowiedziała o „Lecompte's" i należącym do Dantego lokalu nad jeziorem.

- Jakież to fascynujące! Może odwiedzę tę drugą restaurację, by móc o niej opowiadać po powrocie do Paryża.

Riva zignorowała protekcjonalny ton, który dał się słyszeć w głosie Constance.

- Nie jestem pewna, czy ci się tam spodoba. To lokal dla innego towarzystwa niż to, do jakiego z

pewnością jesteś

przyzwyczajona. Bywa tam głównie młodzież z college'u. Jedzenie jest wyśmienite, ale muzyka dość głośna.

- Uwielbiam głośną muzykę.

- Zrobisz zatem, jak zechcesz. Bardzo proszę, weź któryś z samochodów lub też George cię zawiezie.

- A ty nie chcesz jechać?! Nie zostawiałabym tak atrakcyjnego mężczyzny samego noc w noc, szczególnie wśród

pięknych, dobrze ubranych kobiet.

Riva wzruszyła ramionami.

- Dante potrafi sam o siebie zadbać. A poza tym większość tych pięknie ubranych kobiet, o których wspomniałaś, ma

u swego boku mężczyznę, mogącego obronić je przed Dantem.

- Jest więc kobieciarzem, tak?

- Można tak to ująć. Zwłaszcza gdy ma czas.

- A ty nie masz nic przeciwko temu?

- To nie moja sprawa.

Constance patrzyła na Rivę ze zmarszczonymi brwiami. Riva zaś przeniosła wzrok na Noela, który nagłym ruchem,

jakim sięgnął po szklankę z wodą, przyciągnął jej uwagę. Spoglądał na nią znad szklanki, a na jego twarzy malowało

się zarówno zainteresowanie, jak i ironia.

Riva zwróciła się do Pietra, pytając, co on i jego siostra robili tego dnia.

Uraczył ją opowieścią o wiewiórcie, którą

ścigali na trawniku przed domem oraz o

przyrządzonych im przez Liz lodach z truskawkami, które jedli w kuchni. Jutro pójdą do zoo, tatuś im obiecał.

Riva ponownie spojrzała na Noela. Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu, gdy patrzył na dzieci, ale nie powiedział ani

słowa. Jego rozbawienie znikło, gdy poczuł na sobie wzrok Rivy.

- A co u ciebie? - zapytał. - Jak przebiegło spotkanie?

Miał na myśli lunch z Edisonem. Zastanawiała się, czy słyszał już, że uciekła z „Commandor's Pałace”,

umknąwszy

pościgowi Edisona. Nie byłaby tym zdziwiona. Pod pewnymi względami Nowy Orlean był miastem prowincjonalnym.

W świecie biznesu każdy, kto się liczył, znał prawie wszystkich. A to, co niezwykle, stawało się tematem rozmów całego miasta, skupiając na sobie uwagę z taką siłą, z jaką lemoniada przyciąga kolibry.

- Było... pouczające - odpowiedziała w końcu.

- Rozumiem więc, że odkryłaś, iż twoje

interesy nie idą w parze z interesami Gallanta?

Nie wie! Jeśli jednak z szarych oczu Noela zniknąć miały te surowe błyski, musiała znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Constance także wydawała się zaciekawiona, o czym świadczyło jej nagłe zainteresowanie rozmową byłego męża i

Rivy.

Zanim jednak Riva zdołała wymyślić jakąś zadowalającą odpowiedź, rozległ się dzwonek u drzwi. Dźwięk był

zgrzytliwy i tak ostry, jakby ten

staroświecki mechanizm uruchomiono szczególnie niecierpliwym gestem.

Drzwi otworzyła pokojówka, ponieważ Abraham usługiwał przy stole. Najpierw zebrani usłyszeli ciche powitanie, a

po chwili zabrzmiał czyjś wysoki, rozkazujący głos.

- Gdzie jest moja siostra? Natychmiast muszę się z nią widzieć! Słyszysz? Natychmiast!

To była Margaret. Riva podniosła się, odkładając serwetkę na stół. Nim doszła do drzwi jadalni, Margaret

przemierzyła już połowę holu. Za nią zaś

kroczył w przyćmionym świetle
czerwonolicy Boots, niosący walizkę.

- Riva, jesteś tu! - Starsza siostra od
razu zaczęła przemowę. - Musiałam
przyjechać. Przysięgam, moje serce nie

przestało walić od chwili, gdy ten
człowiek zatelefonował. Cóż za pomysł!
Powiedziałam mu kilka słów prawdy.

Gdy

Boots wrócił z pracy, byłam już
spakowana. Muszę tam pojechać,
powiedziałam. To najważniejsze, co
mam do

zrobienia: muszę jechać!

- Co za człowiek?

- Ten fotograf. Ta glista, która ośmieliła się zamieścić w gazecie to ohydne zdjęcie!

- Ach tak, rozumiem. - Riva objęła Margaret, by uściskać ją na powitanie, a zarazem powstrzymać od wtargnięcia do jadalni. - Witaj, Boots. Jedliście coś po drodze?

Margaret zaśmiała się gorzko.

- Jedliśmy?! Jak mogłabym jeść, gdy w grę wchodzi dobro mojego dziecka?! Nie zatrzymywaliśmy się ani na chwilę,

nawet po to, by skorzystać z toalety.

- Czemu więc nie wchodzicie na górę?
Możemy porozmawiać, a tymczasem
przy stole nakryje się dla Bootsa. Z

pewnością jest głodny, nawet jeśli ty nie
masz apetytu.

- On zawsze jest głodny - odparła
Margaret z wyrzutem. - Ja jestem inna.
Gdy się niepokoję, nie mogę przełknąć
ani

kęsa.

- Może więc wypijesz filiżankę kawy? -
zapytała Riva, kierując siostrę w stronę
schodów.

Twarz Margaret była blada, co pogłębiało rysunek wyraźnych zmarszczek. Jej włosy, krótko przycięte i mocno

skręcone, przeplatane szerokimi pasmami siwizny, wyglądały tak, jakby nie czesała ich od chwili, gdy wstała z łóżka.

Margaret miała na sobie bawełniane spodnie i podkoszulek, co było dziwne, bo zazwyczaj czyniła wysiłki, by dobrze

się ubrać, gdy wybierała się do Bonne Vie. Wyglądało na to, że naprawdę odchodziła od zmysłów.

- Żadnej kawy; nie w moim stanie

nerwów! Ale chętnie napiłabym się herbaty. Z cytryną i mnóstwem lodu.

Riva próbowała kiedyś przekonać ją, że herbata działa podobnie jak kawa, ale Margaret nie była skłonna w to

uwierzyć.

Weszły na górę wraz z Bootsem, który idąc po schodach z trudem łapał powietrze. Pokojówka zaproponowała, że

wyręczy go w niesieniu walizki, lecz odmówił. Gdy dotarli do sypialni, którą zajmowali podczas swych wizyt, rzucił

ciężar na półkę i mruknąwszy coś o

pozostawionych w samochodzie
rzeczach wyszedł z pokoju.

- Och, Rivo! - jęknęła Margaret,
osuwając się na łóżko. - Nie wierzyłam
własnym oczom, gdy ujrzałam to
zdjęcie. Erin

opowiadała mi wprawdzie o tym Joshu,
ale nie docierało to do mnie, póki nie
zobaczyłam, jak ją obejmuje... Byłam

zaszokowana, tak -zaszokowana!

Próbowałam nie tracić ducha, ale w
sercu przez cały dzień narastały mi złe

przecucia. To jest kara boska, ot co!
Pan karze nas za czyn, jakiego
dopuściliśmy się przed laty!

Riva wpatrywała się w siostrę. Słowo „zemsta” odbijało się echem w jej mózgu. Ona również bała się boskiej zemsty,

gdy tamtej nocy przed laty uciekła z Edisonem.

*

To, co zrobiła z Edisonem na tylnym siedzeniu jego samochodu, było odrażające - jak mawiał kaznodzieja w kościele.

Był to objaw rozwiązłości. Stosunek płciowy, doznanie cielesne, odkryty przez Adama i Ewę zakazany owoc. Rebeka,

przywierając do Edisona, była pewna, iż wie, dlaczego owoc ten został zakazany. Coś tak potężnego z pewnością

odrywało od pobożności, choć większość kapłanów - jak zdołała się zorientować - była temu przeciwna jedynie dla

zasady.

Określenie stopnia niegodziwości, jakiej się dopuściła, było trudne. Skoro nie istniało na ten temat żadne

przykazanie, nie mogła być grzechem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Mimo to kaznodzieja mówił, iż niegodziwość ta

będzie ukarana, a on z pewnością wiedział. Jedyнным sposobem, by wszystko załagodzić, było poślubienie Edisona.

Miała jednak świadomość, że ucieczka z nim mogłaby zabić matkę. Edison mógł sobie mówić, co chciał, ale Rebeka

wiedziała, że matka odczułaby to boleśnie. Gdyby coś się jej stało, winę ponosiłaby Rebeka, a to byłoby doprawdy

nadmierną karą.

Dlaczego to zrobiła?! Czemu pozwoliła Edisonowi na tak wiele? Wcale nie miała takiego zamiaru. Po prostu mu

współczuła, a uczono ją, by nieść pomoc tym, którzy pogrążeni są w bólu. Był młody, przystojny i doświadczony w sposób, który sprawiał, iż czuła się przy nim dziwnie nieswojo. Było coś emocjonującego w tym, że chłopak o takim

doświadczeniu zwraca na nią uwagę. Brak własnych doznań, połączony ze współczuciem, spowodował te nowe, zaskakujące reakcje Rebeki. Wycofanie się z tego najpierw wydawało się niemożliwe, a potem było już za późno...

Oczekiwała bólu. Naczytała się bowiem dostatecznie dużo cudzych zwierzeń w

czasopismach, by coś o tym wiedzieć,
ale mimo to miała nadzieję, że jej
przypadnie coś więcej. Odczuła przez
moment cień przyjemności, lecz zaraz
było po

wszystkim. Edisonowi natomiast
sprawiło to wyraźną przyjemność; tak
przynajmniej twierdził, choć jęczał i
wzdychał,

jakby był w agonii. Zostawił ją w
poczuciu brudu i obrzydzenia. Była
rozbita. I przerażona.

Podróż do granicy stanu Arkansas nie
zabrała im więcej niż parę godzin.
Przekroczywszy ją, zatrzymali się w

jakimś

małym miasteczku. Edison znał nazwisko człowieka, który dokonać miał obrzędu zaślubin, choć Rebeka nie wiedziała,

czy był on księdzem, czy też sędzią pokoju. Zatrzymali się na stacji obsługi samochodów, aby zapytać o drogę do

domu tego człowieka. Gdy tam dojechali, powitała ich sfora psów, które obwąchiwały samochód i podnosiły nogi

przy kołach. Edison nie wysiadł, lecz rytmicznie naciskał klakson.

Człowiek ów, mimo iż obudzono go z głębokiego snu, był dość serdeczny. Spojrzał surowo na bladą twarz Rebeki, ale

gdy Edison wręczył mu honorarium w postaci sporego rulonu banknotów, nie zadawał żadnych pytań. Kiedy krótka

ceremonia dobiegła końca, dopilnował, by złożyli podpisy na świadectwie ślubu. Potem jego żona zaproponowała

szklaneczkę wina i ciasto, ale Edison odmówił. Powiedział, że nim nadejdzie ranek, muszą pokonać długą drogę.

W drodze powrotnej Rebeka milczała, obserwując w blasku reflektorów

drzewa rosnące przy szosie. Już po

wszystkim. Jest mężatką i za późno na
rozważania. Czuła się wyzuta z sił i
mimo ciepłej nocy było jej zimno. W
końcu

zasnęła.

Kiedy się obudziła, na niebie szarzał
świt. Ziemia po obu stronach drogi była
płaska i jak okiem sięgnąć porośnięta

wysoką, falującą zielenią. Przez chwilę
Rebeka nie wiedziała, co to za rośliny,
ale w końcu zrozumiała. To była trzcina
cukrowa.

Spytała zdumiona:

- Gdzie jesteśmy?

- Prawie w domu.

- Co ty pleciesz? To nie jest droga do domu! Edison obrócił ku niej głowę. W zielonkawej poświacie lampek deski

rozdzielczej uśmiech, jakim obdarzył Rebekeę, wydał jej się osobliwy.

- Rozmyślałem trochę, kiedy spałaś. Chcę uniknąć tyrad i awantur mojego wuja oraz płaczu twojej matki. Na powrót

do Tulane jest już w tym semestrze za

późno, a ja zawsze chciałem mieszkać w Nowym Orleanie. Pojedziemy do

French Quarter, wynajmiemy mieszkanie i trochę się zabawimy. Co ty na to?

- Chcę jechać do domu!

- Twój dom jest teraz przy mnie - odparł, rzucając groźne spojrzenie.

- Ale ja muszę pomówić z mamą! Pomyśli, że przytrafiło mi się coś złego. Margaret dowiedziawszy się, że nie

wróciłam na noc do domu, na pewno zawiadomi policję!

Twarz Edisona zmieniła się. Rebeka

dostrzegła tę zmianę, nim zdołał ją przed nią ukryć, ale nie wiedziała, co może oznaczać.

- Nie pomyślałem o tym - powiedział z zastanowieniem. - Możesz zadzwonić do domu z najbliższego miasteczka.

- Nie mam się w co ubrać. Ty również.

- Mogą mi zapakować i przysłać trochę rzeczy, a jeśli chodzi o ciebie... większość z tego co miałaś i tak nie nadaje się

do noszenia. Kupię ci jakąś sukienkę albo dwie.

- Nie nadaje się do noszenia?! Moje ubrania są równie dobre jak te, które noszą inni! - krzyknęła i urażona usiadła

prosto, wbijając wzrok we wstęgę szosy.

- Nie ci, którzy coś znaczą.

- A więc o to chodzi! Twoim zdaniem moja rodzina się nie liczy?!

- Nie bardzo.

Gdy obróciła głowę, by spojrzeć na mężczyznę za kierownicą, poczuła lęk. Uświadomiła sobie, że przecież wcale nie

zna tego człowieka. Oczy jej wypełniły się łzami, lecz nie pozwoliła im popłynąć. W ciszy rozlegał się teraz tylko głośny

warkot silnika.

Edison rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę. Jego wzrok zatrzymał się na ukrytych pod tanią bawełnianą sukienką

piersiach Rebeki, które unosiły się i opadały w rytm jej szybkiego oddechu. Wyciągnął rękę, by ścisnąć jedną z tych miękkich kul, a w jego jasno-błękitnych oczach pojawił się pożądliwy błysk.

- Mniejsza o to! Mam wrażenie, że przez

jakiś czas i tak nie będą ci potrzebne żadne ciuchy.

Miał rację.

Znaleźli mieszkanie przy jednej z bocznych uliczek French Quarter. Nie było takie, jak Edison obiecywał, bo czynsze

okazały się wyższe, niż się spodziewał. W rzeczywistości stanowiło półpiętro czegoś, co kiedyś było wspaniałym

starym domem, podzielonym teraz na mieszkania do wynajęcia. Jednak mimo iż okna chwiały się we framugach z

poodpryskiwaną farbą, a tapety

odklejały się od ścian, Rebeka polubiła to mieszkanie.

Dla niej pokoje były duże i przewiewne, a podwórko, nawet ze splekaną nawierzchnią oraz zardzewiałą fontanną, miało pewien urok.

Pozostali lokatorzy stanowili interesujące towarzystwo. Obok mieszkała starsza kobieta, do której należał dom. Była

wdową; zawsze nosiła się na czarno, trzymała koty, a widywano ją jedynie po zmroku, gdy wyrzucała ubogie śmieci.

Na parterze mieszkała Mulatka, która

miewała dwóch odwiedzających ją na zmianę gości: białego mężczyznę w nocy,

a czarnego za dnia. Na niższej kondygnacji mieszkał jakiś młody człowiek, którego widywano rzadko, ponieważ sypiał

za dnia, bo pracował na nocną zmianę w jednej z restauracji French Quarter.

Edison nie próbował szukać pracy. Noce spędzał na wałęsaniu się od baru do baru, a dni na śnie, wciąganiu Rebeki do

łóżka bądź też na awanturowaniu się przez telefon ze swoimi prawnikami.

Wuj Edisona nie chciał finansować

eskapady do Nowego Orleanu i był tak rozgniewany rzuceniem przez siostrzeńca nauki, iż w ogóle z nim nie

rozmawiał. Ponieważ jednak był on głównym opiekunem majątku Edisona, pensja młodzieńca została obniżona o

połowę, z obietnicą, że do pełnej wysokości zostanie przywrócona, gdy siostrzeniec wróci na uniwersytet w Tulane.

Mieli więc jedynie tyle pieniędzy, że - jak mówił Edison - mogli kupić dwie zmiany bielizny i kilka bawełnianych koszul

dla Rebeki.

Chciała poprosić Margaret o przysłanie ubrań, ale nie udało się jej to. Gdy zatelefonowała do domu, Margaret

wrzeszczała na nią, nie dając jej dojść do słowa.

- Wydaje ci się, że jesteś sprytna?

Myślisz, że jesteś stworzona do lepszego życia, i że będziesz chodziła jak pani Astor

w diamentach i futrach, podczas gdy ja utknęłam tu z Bootsem?! I z mamą! Mam nadzieję, że wiesz, iż wiadomość o

twoim wyjeździe mało jej nie zabiła!

- No, jeśli wrzeszczałaś tak jak teraz, to wcale się nie dziwię.

- Nie pouczaj mnie, jak obchodzić się z mamą, panno przemądrzała!

- Wcale cię nie pouczam, powiedz tylko, czy ma się już dobrze?

- Myślałam, że będę musiała wezwać karetkę, naprawdę. Miała usta zupełnie sine. Bałam się, że każdy jej oddech może być ostatni.

Rebeka przygryzła wargi.

- Pozwól mi z nią porozmawiać.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. To mogłoby źle na nią wpłynąć, tym bardziej że właśnie zapadła w drzemkę.

- Nie powiem niczego takiego, co by ją zatrwożyło. Wiesz, że chciałyby ze mną rozmawiać...

Jeśli nawet Margaret usłyszała błagalny ton głosu siostry, umiała go zignorować.

- Doprawdy, nie wydaje mi się, że to byłoby mądre. Muszę teraz zająć się mamą. Ty także mogłabyś wykazać nieco

troski o nią, zamiast myśleć tylko o sobie i o tym, co ci odpowiada.

- Ja... ja... Zadzwońę później, by się

dowiedzieć, jak się czuje.

- Zadzwoń - odpowiedziała Margaret i nie pytając ani gdzie, ani jak Rebeka i Edison zamierzają żyć, odłożyła

słuchawkę.

Najwyraźniej zdawała się sądzić, że Rebeka wiezie życie bogate i łatwe. Nie mogła mylić się bardziej. W wynajętym

mieszkaniu nie było pod sufitem wentylatora, który wywiewałby nagromadzone przez cały dzień duszne i gorące

powietrze nie kończącego się lata, nie

mówiąc już o braku nowoczesnej klimatyzacji, która Edisonowi wydawała się

niezbędna; trudno uznać za nią mały, stojący na stole, wiatraczek. Rebeka nabrała zwyczaju wychodzenia o chłodnym

zmięzchu z domu, by posiedzieć trochę na tylnych schodach. Edisonowi wydawało się to wulgarne.

Edison, który nigdy nie musiał troszczyć się o kupowanie jedzenia, żałował każdego centa wydanego w sklepie

spożywczym. Zarazem wyśmiewał podejmowane przez Rebeke żalösne

wysiłki wyżywienia ich przez tydzień
dwoma

funtami tuczących hamburgerów i
kilkoma paczkami makaronu. Często
ciskał swój obiad do zlewu, nazywając
danie

paskudztwem, i trzaskając drzwiami
wychodził z domu, by zjeść gdzie
indziej. Ponieważ rzadko wracał przed
świttem,

Rebeka mogła siedzieć na zewnątrz, jak
długo tylko sprawiało jej to
przyjemność. Zawarła przy tym
znajomość z

sąsiadami, wymieniając z nimi ukłony.

Czasami nawet z kimś rozmawiała - najczęściej z wdową.

Mieszkanie, które wydawało się jej tak jasne, gdy je wynajmowali, miało ciemne zakamarki w kuchni i łazience, które

były schronieniem dla wilgoci i robactwa. Mieszkająca po sąsiedzku wdowa podarowała Rebecce kotkę, mówiąc, że

pomoże ona w pozbyciu się robactwa, bo koty bardzo lubią łapać karaluchy. Gdy Edison wróciwszy do domu ujrzał

kotkę zwiniętą na swej poduszce, nie bacząc na pełne łez protesty Rebeki,

kopniakami wyrzucił zwierzątko za drzwi.

Było to lato częstych burz. Rebeka zaczęła obawiać się ich, bo odgłosy grzmotów budziły Edisona, który, rozbudzony,

zawsze jej chciał. Nie przeszkadzało mu, że cuchnie potem i nie strawioną whisky. Protesty Rebeki irytowały go, a

najmniejszy przejaw niechęci tak rozwścieczał, iż biorąc Reбекę siłą nieraz pozostawiał na jej ciele siniaki. Jeśli w

ogóle zawracał sobie głowę jej potrzebami, to chyba tylko w przelotnej

myśli, że im mocniej i szybciej wdziera się

między jej uda, tym bardziej ona się rozpala. Osiągnął jednak tylko tyle, iż stała się tak nieczuła i zimna, że

desperacko ponaglała go, by jak najszybciej mieć to za sobą.

Tydzień zamienił się w drugi, a potem w trzeci. Pewnego popołudnia, pod koniec miesiąca, Rebeka usłyszała

miauczącego rozpaczliwie kota. Głos dobiegał z tyłu domu, ze starego podwórka, na które wychodziły okna sypialni.

Edison spał. Jednostajny dźwięk wiatraczka zagłuszał wprawdzie nieco kocie jęki, mimo to Rebeka bała się, iż mąż

może się obudzić. Wyszła więc z mieszkania tylnymi drzwiami i zbiegła po schodach. Miauczenie było tu głośniejsze.

Dochodziło ze szpilkowego dębu rosnącego w kącie podwórka. Rebeka weszła pod jego rozłożyste konary i spojrzała

w górę. Kot siedział na jednej z wyższych gałęzi. Była to niedorośla kotka, którą ofiarowała Rebecce wdowa. W

przerażeniu przylgnęła do gałęzi, zbyt wystraszona, aby znaleźć drogę na ziemię.

Konary wielkiego dębu zwisały niemal nad dziedzińcem, ale pień był wysoki i gładki, bez dolnych gałęzi. Rebeka

rozglądała się wokół w poszukiwaniu drabiny, ławki lub czegoś, na co mogłaby się wspiąć, ale nie dostrzegła niczego

podobnego. Próbowwała przemawiać do kotki, wabiąc ją pieszczotliwie, ale zwierzątko było zbyt wystraszone, by

słuchać nawoływań. Bezradna i zirytowana własną bezsilnością, stała

wpatrując się w uwięzioną kotkę.

Gdzieś na południu zadudnił grzmot. Zbłąkany podmuch wiatru zakołysał dębem, szumiąc jego wysuszonymi upałem

liśćmi. Kotka wbiła się pazurkami w gałąź, miauczając jeszcze przeraźliwiej.

Kolejny grzmot i zaczęło padać. Rebeka poczuła w piersiach przykry ucisk. Narastał coraz wyżej, aż wywołał potok gorzkich łez. Ten ucisk był bolesny, równie bolesny jak świadomość, że i ona uwięziona jest jak ta kotka i również nie

potrafi sobie pomóc.

- Wpakowała się w kłopoty, prawda?

Rebeka odwróciła się, słysząc za sobą tę na wpół rozbawioną, na wpół współczującą uwagę. Stała twarzą w twarz z

młodym mężczyzną o mocno skręconych ciemnych włosach, oliwkowej cerze i pogodnych oczach. Miał na sobie

jedynie dzinsy o obciętych nogawkach. Jego powieki były ciężkie, zdradzały, że młody człowiek gwałtownie został

wyrwany ze snu. Wyglądał delikatnie, ale w jego rysach i wyraznie

zarysowanych mięśniach oraz w szerokiach barach

tkwiła siła. Patrząc na niego, Rebeka czuła, że jej wzrok łagodnieje.

Młodzieniec wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Hej - powiedział miękkim głosem. - Nie jest aż tak źle, byś musiała płakać, chere.

Rebeka westchnęła i przetarła ręką oczy.

- Och, to tylko ta głupia kotka - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Opuścił rękę.

- A przecież zapowiedziałem jej, by się tu nie wspinała, gdy ją wypuszczam na dwór.

To był sąsiad z dołu; młody mężczyzna, który pracował nocami. Widywała go nieraz wieczorem, gdy wychodził do

pracy, i w niedziele, gdy udawał się na mszę lub wracał z kościoła. Zawsze cicho wypowiadał przyjazne pozdrowienie i

często się uśmiechał.

- Czy ona należy do pana? - zapytała Rebeka, powstrzymując się od dodania słowa „teraz”.

- Tak sędzę. Znalazłem ją miauczającą jakiś czas temu pod moimi drzwiami i popełniłem błąd -nakarmiłem ją. Teraz ona

myśli, że należy do mnie albo, co bardziej prawdopodobne, że ja należę do niej.

Gdy znów, lecz tym razem znacznie bliżej, rozległ się grzmot, Rebeka odwróciła się, by spojrzeć na drzewo.

- Że też nie można jej jakoś ściągnąć!

Zdumienie odmalowało się na jego twarzy.

- Nic podobnego! Można! Właśnie

dlatego wyszedłem z domu.

Podszedł do pnia, objął go ramionami, a potem tak zręcznie, jakby chodzenie po drzewach było igraszką, wdrapał się

na nie. Już po chwili leżał na grubym konarze wyciągając rękę po kotkę.

Zaklął pod nosem, gdy zwierzątko wbiło mu

pazurki w rękę i po ramieniu wspięło się na głowę, gdzie przywarło do gęstych włosów. Chłopak z kotem na głowie

schodził z gałęzi na gałąź. Przez moment zawisł na najniższej, a następnie zeskoczył na ziemię. Zdecydowanie

oderwał

kocie pazury od głowy i przytulił zwierzątko do piersi, głaszcząc je i przemawiając tkliwie.

Rebeka wyciągnęła rękę, by także pogłaskać kotkę. Dotknąwszy dłoni mężczyzny uniosła oczy. Gdy napotkała jego

wzrok, uśmiechnęła się z ulgą. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią i lekko zarumienił się.

- Mam na imię Dante - rzekł, przełykając ślinę. -Dante Romoli.

Kotka w ramionach Dantego zaczęła

mruczeć i pocierać pyszczkiem o miękkie kędziory na jego piersi. Rebekeę

ogarnęła nieoczekiwana radość. Bez pośpiechu cofnęła rękę i przedstawiła się Dantemu.

Kropla deszczu spadła na jego ramię, za nią zaś spadły następne, tworząc rozległe mokre plamy na starym bruku.

Potem nagle zaczęło lać, a oni wciąż stali w potokach deszczu. Przerwali w końcu rozmowę i pobiegli w kierunku

wejścia. Dante zatrzymał się przy swoich drzwiach, patrząc na Rebekeę. Ona zaś, stojąc u stóp schodów, posłała mu

ostatni uśmiech.

- Dzięki - powiedziała, a potem obróciła się i wbiegła na schody.

Edison nie spał.

- Co robiłaś na dole z tym makaroniarzem?! -zapytał, gdy stanęła w drzwiach.

Rebeka poczuła, że serce kurczy jej się w piersi. Edison stał na środku pokoju nagi, z rękami opartymi na biodrach i lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Ta kotka, którą podarowała mi gospodyni, wdrapała się na drzewo i nie

mogła zejść. Dante...

- O, widzę, że jesteś już z nim po imieniu. Ciekawe co robicie razem, gdy nie ma mnie w domu.

- Nic! Po raz pierwszy powiedziałam do niego więcej niż dwa słowa, przysięgam. To ta kotka...

- Nie wciskaj mi tu żadnych kłamstw! Widziałem, jak go obłapywałaś! Jesteś taka sama jak twoja siostrzyczka; nie umiesz utrzymać rąk z dala od mężczyzn!

- Moja siostra?! Beth?! - wyjąkała wstrząśnięta. - Jak możesz tak mówić o niej...

- To, że umarła, wcale nie znaczy, że nie była kurwą.

- Nie była taka, nie była! Powinieneś wiedzieć, że byłeś jej jedynym mężczyzną oprócz męża!

- Biedny głupek, oczekujący za morzem, że wróci do stęsknionej panny młodej...
A tymczasem ona się puszczała.

- Przez ciebie!

- Zastawiła na mnie sieci. Chciała, bym ją poślubił, głupia suka. Rzuciła się na mnie!

Rebeka patrzyła na Edisona, na to, jak przez brutalny atak broni swojej pozycji.

Widziała plamiastą czerwień jego

twarzy i samolubny błysk w oczach. Jej obezwładniający początkowo strach znikł bez śladu.

- Sam w to nie wierzysz - oznajmiła. -
Mówisz tak, by samemu sobie wydać się
lepszym, by poprawić sobie

samopoczucie, bo wiesz, że to ty jesteś
winien jej śmierci.

Dopadł ją w dwóch skokach. Cios
wymierzony w szczękę sprawił, iż
zatonęła. Gdy uderzyła o ścianę,
krzyknęła

przerażona. Edison chwycił za jej

bluzkę, poderwał Rebekeę do góry.
Potrzęsając nią wściekle, przyciskał ją
do ściany.

- Nigdy więcej tego nie mów! -
wysyczał z wściekłością
zniekształcającą mu rysy. -Nigdy!

Czuła w ustach smak krwi, a piersi
bolały ją od uścisku jego ręki. Czuła, że
mózg ma rozpalony do białości, i
dlatego

właśnie ogarnęła ją szalona złość.

- Nie zrobię tego! Nie zrobię tego, bo
już mnie tu nie będzie!

Zmiana w wyrazie jego twarzy była

niemal niedorzeczna. Zdawało się, że on w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że to, co

powiedział i zrobił, może wywołać ze strony Rebeki jakąś reakcję.

- No jasne! - odparł ze śmiechem. -
Biegnij do domu, dziecińko.

- Wszystko jest lepsze niż pozostanie z tobą!

Złość zwęziła mu oczy. Otwierając dłoń, puścił Rebeke.

- Dalej więc! I tak nikt nie uwierzy w ani jedno twoje słowo. Nikt nie uwierzy, że chodzi o coś innego niż brednie małej

suczki, której skradziono wisienkę, nie płacąc tyle, ile oczekiwała.

- W c o nikt nie uwierzy?!

Kolana jej się trzęsły, więc, by zachować równowagę, oparła się o ścianę.

- Och, nie udawaj! Przecież mówiłaś, że wiesz! Widzę to zresztą w twoich oczach. A niby dlaczego, u diabła, jesteśmy

tutaj?

- Powiedz wreszcie, o co ci chodzi!
Tylko jedno przychodziło jej na myśl...

- Wiem, że czujesz się winny z powodu Beth, bez względu na to, co mówisz.

Milczał, błędząc wzrokiem po jej otwartej twarzy. Dopiero po chwili zaczął mówić.

- Tak... Właśnie tak... - rzekł. - To ja powiedziałem, że powinna pozbyć się tego bękarta. Powiedziałem jej nawet, że

czytałem książkę opisującą, jak to zrobić. To ja zabiłem ją i jej dziecko.

- Nie było potrzeby uciekać; nie było powodu, by tu przyjeżdżać. Nikt nie wsadzi cię za to do więzienia, choć

powinieneś się tam znaleźć...

Jego oczy znów się zwęziły.

- Nikt nie będzie mnie o nic obwiniać. Kropka. Ani korzystać ze sposobności obcinania mi funduszy „za karę”. Jesteś

jedyną osobą, która o tym wie, ale nikt nie uwierzy w ani jedno twoje słowo.

- Dlatego, że uciekłam z tobą i wyszłam za ciebie za męża?

Zaśmiał się obelżywie, a usta skrzywiły mu się szyderczo.

- O to chodzi, dziecinko, że wcale nie wyszłaś za mnie!

W głowie Rebeki zaczął pulsować tępy ból. Przeszywające mózg przeczucie katastrofy było tak silne, że zadrżała.

- Co?! - Jej głos był ledwie słyszalnym dźwiękiem.

- Nie jesteśmy małżeństwem.
Pojmujesz?

- A ślub... dokument, który
podpisaliśmy?...

- Nie mają żadnego znaczenia. Nie
byłem już wtedy wolny. W maju
ożeniłem się z najmłodszą córką
najlepszej

przyjaciółki mojej kochanej mamusi.

Nie układało nam się zbyt dobrze, więc ona wróciła do mamy, a ja pojechałem z

wizytą do wuja. Tymczasowe rozwiązanie. To wszystko oznacza jednak, że ceremonia, która nas „połączyła”, jest

nieważna. Koniec i kropka. Nieważna.

- Wiedziałaś, że jest nieważna...

Bez troski wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że wiedziałem. Będę przecież prawnikiem.

- Dlaczego? - płakała. - Dlaczego mi to zrobiłeś?

- Nie mogłem pozwolić, byś opowiadała wokoło wszystkim, co wiesz.

- Nie zrobiłabym tego. Przez wzgląd na pamięć o Beth.

- Nie mogłem na to liczyć. Poza tym miałem na ciebie ochotę. Powinnaś być dumna. Nieczęsto wracam do

dziewczyny po raz drugi, a jeszcze rzadziej trzeci...

Za dużo mówił. Czują, że ukrywa coś za tymi hałaśliwymi przechwałkami, ale mnożące się pytania zagłuszyły intuicję.

- Przez ten cały czas, cały czas - powtarzała - w ogóle nie byliśmy

małżeństwem.

- Życie w grzechu. Czyż to nie zabawne?

Ogarnęły ją mdłości.

- Więc to dlatego nie chciałeś zabrać mnie do domu...

- Ależ jesteś bystra!

- Sądziłam, że po prostu się wstydzisz.

- Mojej wsiowej panny młodej? Cóż, to prawda. To mogło być trochę krępujące.

Wyniosły i protekcjonalny ton uderzył ją najdotkliwiej .

- To okropne...

- Nie mam zamiaru się tym przejmować
– rzekł i odwróciwszy się na pięcie
wszedł do sypialni.

Nie martwił się, bo nie miał o co. Nigdy
nie zamierzał zabrać jej ze sobą.
Słyszała, jak chodzi po pokoju,
ubierając się.

Pozwalając odpocząć nogom, wolno
osunęła się po ścianie i usiadła na
podłodze. Przyłożyła dłoń do zsiniałego

policzka. Był gorący i obolały. Ból,
który czuła we wnętrzu, był zbyt wielki,
zbyt głęboki na łzy.

Kilka minut później Edison wyszedł z sypialni, trzymając pod pachą swoje rzeczy. Staął nad nią.

- Mieszkanie jest zapłacone za następny miesiąc. Ta stara czarownica kazała mi wpłacić kaucję i czynsz za dwa

miesiące z góry. Mogłabyś się zastanowić, czy tu nie zostać. O ile zdołałem poznać Margaret, nie zechce, żebyś

wносиła do domu swoje kłopoty i niepokoiła nimi kochaną mamuszkę.

Wiedziała, że to nie troska o nią podsuwała mu te słowa, ale wyłącznie chęć powstrzymania jej od powrotu do

domu.

Mimo wszystko było jednak w tej sugestii tyle prawdy, że dopiero po chwili zdobyła się na odpowiedź.

- Margaret jest moją siostrą. Nie odwróci się ode mnie.

Parsknął śmiechem.

- Niedługo dorośniesz.

Podniosła głowę.

- Po prostu wyjdź, jeśli masz zamiar odejść - powiedziała znużonym głosem.

- W porządku, już idę. Może jednak

mógłbym sobie jeszcze trochę
poużywać, choć zastanawiam się, czy to
warte

zachodu...

W patrzącej na niego Rebecce narastał
śmiertelny bunt. Musiał się odmalować
na jej twarzy, bo Edison odsunął się i

sam sobie odpowiedział:

- ...ale chyba nie mam ochoty.

Cofnął się jeszcze o krok, a potem
odwrócił się i wyszedł.

Siedziała bez ruchu, gdy jego kroki
milkły na schodach, gdy warkot

chevroleta cichł w dali. Nieporuszona,
patrzyła w

przeciwległą ścianę, robiąc wszystko co
w jej mocy, by nie myśleć o niczym. W
końcu jednak nawiedziła ją myśl o

Beth umierającej w kałuży krwi, o
roześmianej pogodnej, tryskającej
życiem Beth. Jej tragedię spowodował
Edison

Gallant; mężczyzna, który właśnie
odszedł.

I wtedy popłynęły łzy - potok gorącego
żalu, równie niepohamowanego jak
podzwrotnikowy deszcz, który właśnie

zalewał dziedziniec.

ROZDZIAŁ 8

- Mama jest w szpitalu.

- Och, Margaret, czy bardzo z nią źle? -
Rebeka czuła, że strach, niczym trucizna,
przepływa wraz z krwią przez jej żyły.

Słuchawkę ścisnęła tak mocno, że czubki
palców jej zdrętwiały.

- Miała znowu zapaść. Serce słabnie
wraz z nią. Mama nie jest już tą samą
osobą, od kiedy Beth umarła, a ty
uciekłaś.

- Chcę z nią porozmawiać. Mar gar et,

muszę z nią porozmawiać.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł;
nie po tym, co mi powiedziałaś. Mama
sądzi, że wyszłaś za mąż za bogatego

człowieka, który zapewni ci opiekę
przez całe życie. Jakoś się już pogodziła
z myślą, że cię nie ma i przekonała samą

siebie, iż w końcu dobrze się stało, bo
nie musi się już o ciebie martwić. Nie
możesz jej nagle powiedzieć prawdy.

Nie

teraz!

- Chcesz powiedzieć, że to ty ją
przekonałaś?

- A jeśli nawet, to co z tego? - Margaret przenikliwym głosem domagała się odpowiedzi. - Potrzebowała czegoś, co ukołoby jej gorycz.

- Cóż, kiedyś musi się dowiedzieć, że mi się nie udało. Wracam do domu.

- Nie możesz tego zrobić!

- Co ty mówisz, Margaret? Nie mogę zrobić nic innego! Nie rozumiesz? Edison odszedł.

- A cóż ty mu zrobiłaś, że uciekł od ciebie?

- Nic nie zrobiłam. Mówiłam ci, oszukał

mnie!

- Nie mogę w to uwierzyć; naprawdę nie mogę. Pomyśl tylko, co ludzie powiedzą - jęczała Margaret. - Będą

przekonani, że wcale nie wzięłaś z nim ślubu.

Rebeka wciągnęła głęboko powietrze.

- Sądzę, że istotnie tak będą myśleć, ale nic na to nie poradzę. Edison oszedł i nigdy nie wróci. Czynyś jest zapłacony

za cały następny miesiąc, ale nie mam pieniędzy ani na jedzenie, ani na zapłacenie rachunków. Muszę wrócić do

domu.

- Pewnie na bilet autobusowy też nie masz?

- Nie. Och, Margaret...

- Sekundę, daj mi pomyśleć...

Cisza w słuchawce wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Rebeka spodziewała się, że automat telefoniczny w

każdej chwili zażąda kolejnej monety. W mieszkaniu oczywiście nie było telefonu; musiała korzystać z automatu w

sklepie spożywczym. Stojący pod

sklepem dwaj niechlujni faceci z włosami do ramion przyglądali jej się uważnie.

Uniosła rękę, by zakryć siniak na twarzy i odwróciła się od nich tyłem.

- Mogłabyś znaleźć sobie pracę - powiedziała w końcu Margaret.

- Jako kto?! A co mam jeść, zanim dostanę wypłatę?

W słuchawce znów zapadło milczenie.

- No dobrze - westchnęła Margaret. - Wyślę ci tyle pieniędzy, byś mogła przeżyć przez kilka tygodni. Może później

mama będzie silniejsza, to byś mogła wrócić do domu.

- Czy bilet autobusowy nie byłby tańszy?

Wiem przecież, że ostatnie rachunki za szpital pochłonęły prawie wszystkie

oszczędności.

- Poproszę Bootsa.

- Nie możesz tego zrobić. To nie byłoby właściwe.

- Nie rozumiem dlaczego. Boots jest przecież moim mężem.

Upłynęła chwila, nim Rebeka mogła spytać:

- Pobraliście się?

- Dlaczego cię to dziwi?

- I nie dałaś mi znać, bym mogła przyjechać na ślub? - zapytała Rebeka schrypniętym głosem pełnym żalu. Czuła się

jak oderwana od rodziny.

- Nie przypominam sobie, byś ty zaprosiła mnie na swój ślub - odparowała siostra. - Poza tym, jeśli wiesz ci się tak

źle, jak to przedstawiasz, i tak nie mogłabyś przyjechać.

- Zanim Edison oszczędził, mogłam sobie na to pozwolić.

- Teraz to nie ma znaczenia. Musimy zrobić to, co jest najlepsze dla mamy.

Z największym wysiłkiem woli Rebeka odsunęła na bok własne kłopoty i spróbowała spojrzeć na sprawy z punktu widzenia Margaret.

- Mama zawsze lubiła Bootsa - powiedziała.

- Tak, to jest dla niej wielką pociechą, i dla mnie oczywiście także. Myślę, że mamie pomaga świadomość, iż Boots

będzie przy mnie, gdy jej zabraknie.

- Margaret!

- Wiem, że to okropnie brzmi, ale kiedyś będziemy musiały stawić temu czoło.

Och, Rebeko, tak bardzo się boję!

Rozpaczliwy okrzyk siostry utkwił Rebecce w pamięci i słyszała go jeszcze długo po odwieszeniu słuchawki.

Świadczył o

tym, że Margaret nie była ani podła, ani złośliwa, lecz że naprawdę niepokoiła się o matkę. Jakiż ból sprawiała Rebecce

myśl, że Edison mógł mieć rację, mówiąc o jej siostrze.

Mimo wszystko Rebeka była teraz tak samotna jak jeszcze nigdy w życiu. Miasto, które początkowo wydawało się mile niefrasobliwe i życzliwe wobec przybyszy, zaczęło robić wrażenie bezdusznego; jakby ludzki ból i śmierć dało się

zaakceptować równie łatwo jak wszystko inne.

Pieniądze, które obiecała Margaret, nadeszły. Nie było ich wiele, ale wystarczyło, by Rebeka mogła odżywiać się

makaronem i tanim tuńczykiem. Po odejściu Edisona odkryła, że może

dzielić się swoją rybą z kotką. Ucieszyło ją to.

Zwierzátko miauczác przyszło rankiem zaraz po jego wyjeździe, jakby czując, że już jest bezpieczne.

Rebeka od tygodnia już żyła z pieniędzy siostry, gdy pewnego wieczoru usłyszała, że ktoś wspina się po zewnętrznych

schodach. Ze ściśniętym żołądkiem zwróciła się w stronę drzwi. Były otwarte. Od schodów dzieliła ją tylko cienka

druciana siatka przeciwko owadom. Zapomniała zatrzasnąć barierę pełnych

drzwi, a teraz było na to za późno.

Kroki zbliżały się wolno, a potem zatrzymały. Z drugiej strony siatki pojawiła się sylwetka mężczyzny. Uniósł rękę. To

był Dante Romoli. Delikatnie zapukał we framugę. Rebeka znów zaczęła oddychać i przeszła przez pokój, by wpuścić

gościa.

- Przeszedłem tu w związku z kotką - powiedział Dante.

Jego ciemne oczy przesunęły się po sinawym zabarwieniu na policzku

Rebeki, nim przeniósł wzrok w głąb pokoju.

- Och, czy chcesz ją mieć z powrotem?
Nie miałam zamiaru ci jej odbierać...

- Nie, nie w tym rzecz... Wydawało mi się, że ostatnio jest tu milej widziana. Poza tym nie słyszę, by tu oprócz ciebie

ktoś mieszkał... Zastanawiam się... czy wszystko w porządku?

Rebekę wzruszyła jego troska.

- Tak i nie. Ja mam się dobrze, jeśli o to chodzi.

- W porządku. - Odetchnął z ulgą. - A co

z twoim mężem? Zauważyłem... To znaczy... Nie widuję jego samochodu ani gdy wychodzę wieczorem, ani kiedy wracam rano.

- On... on wyjechał.

- Na wycieczkę czy?...

- Na dobre - odpowiedziała matowym głosem. Pokiwał głową, jakby nie spodziewał się niczego innego, po czym uśmiechnął się.

- Jadłaś już?

Przecząco potrząsnęła głową. Często

było bardzo późno, gdy zasiadała do jedzenia, jeśli w ogóle jadła. Nie miała

dużego apetytu, a kiedy już coś zjadła, nie czekało jej nic poza pójściem do łóżka.

- Wiesz, chere, wczoraj podałem szefowi restauracji przepis mojej babci na étouffée z krabów. Wypróbował, a potem

dał mi to, co zostało. Cały wielki garnek. Chętnie skorzystałbym z czyjejś pomocy przy uporaniu się z tym.

- Nie musisz iść do pracy?

- Mam dziś wolny wieczór. Przyjdiesz?

Wymagało to dłuższych perswazji ze strony Dantego, ale w końcu się

zgodziła. Nim zjedli étouffée, opowiedziała mu swych przeżyciach. Gdzieś w połowie opowieści zaczęła płakać.

Zadrżała, gdy ją objął, ale w tym uścisku nie było nic prócz współczucia i ciepła. Obejmował ją, mruczając po francusku

jakieś uspokajające głupstwa, których słuchała, nie mając najmniejszego pojęcia, co znaczą. Nie było to zresztą

ważne. Gdy w końcu uspokoiła się, otarła oczy i po raz ostatni pociągnęła nosem, czuła się już lepiej.

Od tamtej chwili widywała Dantego często. Żartowała, że przygarnął ją niczym bezdomną kotkę, lecz on tylko śmiał

się i mówił, że jej towarzystwo bardziej mu odpowiada. To Dante zdobył dla niej pracę przy zmywaniu naczyń. To on

pokazał jej, jak uporać się z ogromną stertą porcelany i sreber; nauczył ją, jak ustrzec się poparzenia i jak natłuszczać

ręce, by uchronić je przed zniszczeniem i bólem. Dante był również człowiekiem, który obserwując, jak trzecią noc z

rzędu Rebeka walczy z nudnościami

przy zeszkrobywaniu z talerzy resztek jedzenia sklejonych z sosem, zapytał, czy

jest w ciąży, co zmusiło ją do stawienia czoła temu faktowi.

Pobladła, wpatrywała się w niego oczami, które stały się jeszcze bardziej zielone z napięcia.

- Och, Dante, co ja mam zrobić?

- Wyjdź za mnie.

Jakże ceniła go za to, że powiedział to bez namysłu, bez cienia wahania.

- Dziękuję - odparła, podchodząc do

niego i całując w policzek. - Ale nie mogę.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- To przecież nie jest twój kłopot. Zrobiłeś już dla mnie dużo i nie mogę pozwolić, byś poświęcał się dla mnie.

- Czy nigdy nie przychodziło ci do głowy, że może pomagam ci również ze względu na siebie samego?

Rebeka potrząsnęła przecząco głową.

- Chcesz mieć własną restaurację; chcesz do czegoś dojść. Niepotrzebna ci

żona z dzieckiem innego mężczyzny.

- Mówisz tak, bo jestem Cajunem, a w dodatku chłopcem na posyłki...

- To nie ma nic do rzeczy!

Wiedziała, że jest przewrażliwiony na punkcie swego pochodzenia. Cajunowie, potomkowie Akadian z Nowej Szkocji,

wygnani przez Brytyjczyków w czasie osiemnastowiecznych wojen między Anglią a Francją, zamieszkiwali bagniste

dorzecza rzek Luizjany. Byli bogobojni, lecz nie purytańscy, mieli skłonność do zakładania dużych rodzin, lubili taniec,

alkohol i hazard, a natura obdarzyła ich wspaniałą umiejętnością radowania się z tego, co mają. Z powodu tych cech

patrzono na nich z góry, jak na upośledzonych.

Cajunowie byli ludźmi o wielkiej dumie, czego Dante stanowił dobry przykład. Przywiązani do swego sposobu życia,

łatwo obrażali się za jego zniewagę i równie łatwo było ich urazić na punkcie cech osobistych. Dante nie wstydził się

tego, iż jest chłopcem na posyłki, ale irytowali go ludzie, którzy dawali mu odczuć, iż stać go na tyle tylko, i że nie

ma

szans, by coś w życiu osiągnął.

Przyjął teraz do wiadomości wyjaśnienie Rebeki. Wokół krzątano się pośpiesznie i pokrzykiwano. W pomieszczeniu

pełno było pary i intensywnych zapachów kuchennych. Gdy jeden z przechodzących kucharzy spojrział na nich z

naganą, Dante chwycił talerz i zaczął go czyścić.

- Chciałbym się tobą zająć, chere.

- Robisz to każdego dnia.

Udało jej się jakoś zapanować nad mdłościami, sięgnęła więc po talerz i również zaczęła go czyścić.

- Wiesz, co mam na myśli - dodał.

- Wiem. To wprost cudowne z twojej strony - odparła z drżącym uśmiechem. - Ale ja... ja naprawdę muszę wracać do

domu. Moje miejsce jest tam.

- Tęsknisz za domem?

- Czasami mi się śni taki, jaki był za życia Beth.

- Czemu więc wciąż tkwisz tutaj?
Dlaczego nie wracasz?

- Nie mogę. Gdyby mama dowiedziała się, że jestem w ciąży nie będąc mężatką, mogłaby umrzeć. I co wtedy?

Spojrzał na nią z powagą.

- Sądzę, że po prostu się boisz, chere. Boisz się tego, co może stać się z matką, to prawda, ale także i tego, co powie

twoja siostra. Przede wszystkim jednak boisz się miłości.

Miał rację. Przez jakiś czas była przekonana, że kocha Edisona; sądziła, że i on ją kocha. Jakże się myliła! To, co

czuła,

było jedynie mieszaniną współczucia i załączkiem fizycznego pożądania. Czy Edison odczuwał coś poza żądzą, nie miała

pojęcia. Teraz pragnęła jedynie, by wszystko było jak dawniej, by znów schronić się w bezpiecznym domu, wśród

rodziny. Ostatnie, czego pragnęła, to kolejny mąż, następny mężczyzna, dla którego musiałaby gotować i sprzątać, i

któremu musiałaby się tłumaczyć ze wszystkich swych wyjść i powrotów. Kolejny mężczyzna, z którym musiałaby

dzielić łóżko i który traktowałby jej ciało jak swoją własność.

- Już nie wiem - odpowiedziała bezradnie.

- Wiesz przecież, że mógłbym cię pokochać - rzekł, obserwując ją w oczekiwaniu na zmianę decyzji.

- Mógłbyś? - zapytała.

- Przyszłoby mi to bez trudu.

- Jesteś niezwykłym mężczyzną, Dante.

- I przystojnym. Poza tym kocham dzieci i będzie ze mnie wspaniały tata.

Potrząsnęła głową, śmiejąc się z jego zapału.

- Nie wątpię. Kiedy znajdziesz właściwą osobę.

- Ty mogłabyś nią zostać, gdybyś tylko zechciała.

- Czegóż się nie robi dla przyjaciół, co?

Milczał przez długą chwilę, przygarbiwszy ramiona.

Gdy spojrzał na Rebekeę, jego twarz była znów pogodna.

- W porządku, cóż więc zrobisz?

- Muszę porozmawiać z Margaret. Ona coś wymyśli. Gdy Rebeka znów zadzwoniła do siostry, Margaret wpadła w

popłoch. Raz za razem powtarzała, że nie może w to uwierzyć. Cięża jest dla Rebeki karą za jej postępek. Matka

martwi się o nią i wciąż pyta, więc Rebeka może z nią porozmawiać, ale pod warunkiem, że nie wspomni o swym

nieszczęściu. Gdyby to uczyniła, Margaret za nic nie bierze odpowiedzialności.

Gdy matka znalazła się przy telefonie, nie można było zachowywać się inaczej

jak tylko radośnie. Rebeka powiedziała

więc, że czuje się wspaniale i że Edison jest znakomitym mężem. Nowy Orlean jest piękny, a życie w nim łatwe.

Nagrodą za te kłamstwa była ulga w głosie matki.

- Tak bardzo martwiłam się o ciebie, Becky - powiedziała, nazywając ją dzieciennym imieniem. Jej głos był miękki,

ciepły i tylko odrobinę smutny. - Margaret niewiele potrafiła mi o tobie powiedzieć. Zdaje się, że nie miała pojęcia, jak

można się z tobą skontaktować. Dobrze się bawicie?

Zabawa...

- O tak, mamusiu. To znaczy... wszystko jest takie nowe i zajmuje trochę czasu, ale myślę, że łatwo się

przyzwyczaimy.

- Rozumiem to, ale pamiętaj, że nie wolno ci o nas zapominać.

- Nie, nie. Nie zapomnę, mamo.

- Cóż, jestem już trochę zmęczona; nadeszła pora na moją drzemkę. Mam nadzieję, że pamiętasz to, o czym ci

zawsze

mówiłam - jak należy się zachowywać wśród ludzi z wyższych sfer?

Rebeka próbowała coś wymyślić, choć wszystkim, na czym mogła się naprawdę skoncentrować, był urywany głos

matki.

- Ja nie... - zaczęła.

- Jeśli nie potrafisz być damą, to przynajmniej zachowuj się przyzwoicie.

Te słowa mojej matki okazały się mi bardzo pomocne. Dbaj o siebie, Becky, i daj nam wkrótce znać o sobie.

- Tak, mamo.

W głosie Margaret, który kilka sekund później znów rozległ się w słuchawce, brzmiało podniecenie.

- Mam pomysł - powiedziała. - Już wiem, co zrobimy. To się musi udać. Wiem, że się uda!

Najosobliwsze było to, iż rzeczywiście się udało.

Margaret znów przysłała Rebecce pieniądze i poleciła jej, by poszła do dobrego ginekologa, który dokładnie określił

stopień zaawansowania ciąży. Gdy

Rebeka mogła już z dużym prawdopodobieństwem oznajmić, że jest w trzecim

miesiącu, Margaret obwieściła znajomym, iż od trzech miesięcy jest w ciąży i zaczęła nosić odpowiednie suknie oraz

szkować wyprawkę. Kiedy ciąża Rebeki miała osiem miesięcy, u Margaret nagle „pojawiły się jakieś komplikacje”,

które wymagały wizyty u specjalisty w Nowym Orleanie, gdzie - jak się okazało - musiała pozostać aż do rozwiązania.

Nie była oczywiście u żadnego

specjalisty ani też -wbrew
opowieściom, jakimi raczyła sąsiadów -
nie było żadnych

komplikacji z nie istniejącą ciążą. Po
prostu wprowadziła się do Rebeki i
czekała na rozwiązanie.

Czy to z powodu błędu w obliczeniach,
czy też bardzo młodego wieku Rebeki i
jej delikatnej budowy, czy też na

skutek rozdrażnienia, spowodowanego
obecnością Margaret, Rebeka zaczęła
rodzić w tydzień po przybyciu siostry.

Margaret początkowo nie wierzyła, że
dziecko przychodzi już na świat.
Sądziła, że Rebeka nie bardzo zdaje

sobie

sprawę z tego, co się z nią naprawdę dzieje. Gdy się już upewniła, że to nie żarty, zaczęła histeryzować i biegać w

szlafroku po mieszkaniu, załamując ręce i szukając telefonu, którego nie było. Rebeka musiała powtórzyć jej kilka

razy, że ma się ubrać i zejść do sklepu spożywczego, by zadzwonić po lekarza. Margaret odmówiła wyjścia na ulicę w

noc i chłodny deszcz nowoorleańskiej zimy.

Bóle były częste i silne. Rebeka ubrała się, ale była zbyt słaba, żeby mówić.

Wiedziała, że dzieje się coś złego.

Przeczytała książki o porodzie, które Dante przyniósł jej z biblioteki, ale uznała, że wszystko dzieje się za szybko.

- Dante... Idź po Dantego! - wyszeptała, krzywiąc się z bólu, gdy odeszły wody.

- A on tu po co?

Margaret nie chciała pójść po Dantego. Tych dwoje poczuło do siebie antypatię od pierwszego wejrzenia. Być może

dlatego, że Dante bronił do upadłego Rebeki i nie próbował ukrywać, iż uważa Margaret za wścibską intrygantkę.

- Potrzebuję go.

- On przecież nie ma z tym nic wspólnego. A może?...

Rebeka, ogarnięta bólem, w butach pełnych ciepłej, zmieszanej z krwią wody, spojrzała na siostrę z nagłą wściekłością.

- Sprowadź Dantego! - krzyknęła.

Margaret zamilkła i zanurzyła się w wilgotną noc. Po chwili słychać było, jak wali do drzwi sąsiada.

To Dante odebrał poród. Dziecko, dziewczynka, płakało, mając przy tym

buzię tak skrzywioną i czerwoną, jakby było

rozzłoszczone na wszystko i wszystkich. Mimo przedwczesnego przyjścia na świat krzyk, jaki z siebie wydawało, był

bardzo donośny. Dante podał noworodka Margaret, a sam zajął się Rebeką. Jej siostra wykąpała dziecko z

nieporadną, delikatną troską, a potem ubrała je, owinęła w kocyk i przyniosła do pokoju, gdzie Rebeka w nocnej

koszuli leżała już w łóżku.

Młoda matka ułożyła dziecko w zgięciu ramienia, a jej włosy, błyszczące w

blasku padającego z góry światła,

rozrzucone były na poduszce. Dotykała delikatnej skóry na twarzy maleństwa, otwierała małe piąstki, zachwycając się

długimi paluszkami. Czuła delikatne i szybkie bicie maleńkiego serduszka w małym, ciepłym ciałku. Podniosła

rozpromienione oczy na Dantego, który przysiadł na łóżku. Jego loki były zmierzwiłone, pod oczami miał sińce ze

zmęczenia, a krew - jej krew! - poplamiała mu podkoszulek. Mimo to twarz Dantego jaśniała dumą i uniesieniem.

Usta Rebeki ułożyły się w serdeczny uśmiech, gdy wyciągnęła ku Dantemu rękę.

- Dziękuję ci - powiedziała po prostu. Wpatrywał się w nią, a oczy wzbierały mu łzami.

- Ach, chere, wyglądasz jak Madonna - powiedział schrypniętym głosem.

Margaret, stojąca w nogach łóżka, chrząknęła.

- Jakie to słodkie, co mówisz, Dante. Nie wiem, skąd wiedziałeś, co robić, ale ja także ci dziękuję.

- Nie ma za co - odparł, nie odrywając

wzroku od Rebeki. - Kiedyś pomagałem
dziadkowi, który miał niewielki

kawałek ziemi uprawnej tuż nad rzeką.
Nauczył mnie, jak postępować z
krowami, gdy się cielily.

- Och! - wykrzyknęła Margaret. - To
przecież nie to samo!

Dante lekko wzruszył ramionami, jakby
uwaga Margaret nie była godna
odpowiedzi.

- Tak czy inaczej to dobra robota -
ciągnęła Margaret. - Nie musimy jechać
do szpitala.

- Co ty mówisz?! - Dante puścił dłoń

Rebeki i wolno podniósł się, by stanąć twarzą w twarz z Margaret. -

Powinniśmy

natychmiast wezwać karetkę. Twoja siostra i dziecko muszą zostać przebadane. Nie jestem lekarzem. A jeśli coś nie

jest w porządku?

- Moim zdaniem wszystko przebiegło znakomicie. Obie wyglądają doskonale.

- Ale nie wiesz na pewno, czy wszystko jest dobrze!

- Jeśli nie pojedziemy do szpitala, nie będziemy musiały spisywać aktu

urodzenia tego dziecka tutaj, w Nowym Orleanie. Mogę wszystko załatwić później z lekarzem mamy. Zrobi to dla nas, gdy mu wyjaśnię, o co chodzi.

Wszystko, co sprawi, że to dziecko będzie moje, musi być dobre.

- Twoje?- zapytał wolno. - Masz zamiar odebrać dziecko Rebecce?

Na twarzy Margaret pojawiły się wypieki. Oparła dłonie na pulchnych biodrach.

- Nie odbieram jej dziecka! Ona mi je daje!

Dante obrócił się ku Rebecce.

- To prawda?

Rebeka pokonała bolesny ucisk krtani.

- To najlepsze, co można zrobić. Nie rozumiesz?

- Nie. - To słowo zabrzmiało twardo.

- Będzie miała normalny dom, z obojgiem rodziców i mnóstwem miłości, miłości trojga osób zamiast mnie samej.

A ja

będę mogła ją widywać, kiedy i jak długo zechcę. W ten sposób nikt nie będzie zraniony: ani moja mama, ani

dziecko.

To najlepsze wyjście dla wszystkich.

- Kto ci to powiedział?

- No cóż, Margaret, ale...

- A co z tobą?

Rebeka spoglądała w ścianę,
przygryzając dolną wargę.

- Dla mnie to także najlepsze wyjście. –
Głos jej się załamał. – Musiałabym się o
nią troszczyć i zarabiać tyle, by

utrzymać nas obie. To po prostu... po
prostu niemożliwe.

- Zatem do domu nie wracasz?

Margaret zacisnąwszy ręce na poręczy taniego żelaznego łóżka, włączyła się do rozmowy.

- Nie może, nie teraz! Byłoby to niebezpieczne! Mogłaby zbzikować na punkcie dziecka; poza tym jest słaba i w

ogóle... Ludzie mogliby coś podejrzewać, zacząć gadać... Mama z pewnością dowiedziałyby się, że coś jest nie w

porządku.

Ze współczuciem odbijającym się na twarzy Dante zwrócił się do Rebeki.

- Och, chère.

Łzy, które zebrały się w oczach Rebeki, spływały teraz po policzkach ciepłymi strużkami.

- Muszę myśleć o tym, co jest najlepsze dla każdego z nas – powtarzała niskim głosem.

Dante nie odpowiedział. Zacisnął dłonie, a potem rozluźnił je bezradnie. Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim cicho.

*

Do sypialni w Bonne Vie podano

właśnie mrożoną herbatę dla Margaret.
Nim pokojówka zdążyła wyjść,
Margaret do

połowy opróżniła szklankę.

Napełniwszy ją ponownie z dzbanka
stojącego na srebrnej tacy, chodziła tam
i z

powrotem wokół łóżka.

- Co z tym fotografem? Z tym jakimś
Gorsline'em? - zapytała. - Czego on
chce?

- Zdaje się, że zainteresowany jest Erin -
odpowiedziała Riva, która wciąż stała
przy oknie.

- Głupie gadanie. Z pewnością chodzi mu o coś więcej. W tym coś musi być. Nic nie przychodzi ci do głowy?

- Nie.

Riva mogła powiedzieć siostrze, że po południu widziała młodego człowieka. Nie zrobiła tego. Mało prawdopodobne

wydawało się jej, że Margaret zrozumie impuls, który sprawił, że wzięła numer telefonu Dunga Gorsline'a, by dać go

Erin. Nie była poza tym w nastroju do wysłuchiwania nieuchronnych słów potępienia za ten gest.

- Widziałaś go na tym wiecu -

przypomniała Margaret, a jej czoło
znaczyła gruba linia między
zmarszczonymi groźnie

brwiami. - Nie sądzisz, że dałoby się go
przekupić?

- Och, proszę cię, Margaret, to nie jest
opera mydlana. Nic podobnego nie jest
konieczne. A jeśli nawet, to wydaje mi

się, iż zaoferowanie pieniędzy byłoby
niemądre. Jeśli ten człowiek naprawdę
wpadł na jakiś ślad, to łapówka byłaby

równoznaczna z utwierdzeniem go w
podejrzeniach.

Margaret wypięła herbatę, a potem

wytarła usta palcami.

- Może masz rację. Mimo to żałuję, że nie mam pojęcia, czego on naprawdę chce. Czy uważasz, że słyszał coś o Erin?

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli! Czy słyszał o tobie i Erin?...

Oczywiście, Riva wiedziała, co gnębi siostrę. Udawała tępą, by nakłonić Margaret do wyrażania się wprost; do nazwania Erin jej córką, córką Rivy. Siostra nigdy nie zrobiła tego. Od chwili, gdy z tygodniowym dzieckiem

opuściła

nowoorleańskie mieszkanie, nie rozmawiała z Riva o Erin inaczej niż jako o jej siostrzenicy. Zmuszenie jej do

znalezienia innych słów dla wyrażenia tej samej rzeczy zawsze dawało Rivie pewną perwersyjną satysfakcję.

Margaret jednak zdawała się tego nie dostrzegać. Riva nie wiedziała, czy dzieje się tak dlatego, iż siostrze brakuje

wyobraźni, by zrozumieć, co Riva czuje w związku ze stratą dziecka, czy też powoduje to jakaś osobliwa logika, dzięki

której Margaret udało się przekonać samą siebie, że Erin jest jej własną córką.

- Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, iż ten Gorsline podąża śladem Edisona. Przecież jest on człowiekiem

ubiegającym się o ważny urząd - rzekła Riva, wracając do tematu.

- Oby Bóg sprawił, byś miała rację! Na samą myśl o tym fotografii i Erin robi mi się niedobrze.

- Nie sądzisz chyba, że byłoby lepiej, gdyby Erin spotykała się z Joshem?

Margaret jęknęła i opadła na krzesło

wyściełane pikowanym aksamitem.

- Och, Boże, nawet o tym nie wspominaj! Dlaczego?! Dlaczego spośród tylu młodych mężczyzn, jakich spotykała,

musiała się zakochać właśnie w tym?!

Riva uniosła rękę i przesunęła nią po oczach.

- Zwyczajny pech lub zbieg okoliczności, a może nawet kwestia genów, skoro poznali się na wykładzie z nauk

politycznych. To Josh oczywiście znalazł dla Erin zajęcie w sztabie swego

ojca. Ale tak czy inaczej, niewątpliwie są w

sobie zakochani.

- Niewątpliwie nie są! - ucięła

Margaret. Trzepnęła dłonią w oparcie krzesła, a szklanka z herbatą przechyliła się

niebezpiecznie.

- Czemu, na Boga, Edison nie zgodził się na ich rozdzielenie? Czemu?!

- Ponieważ nie lubi, by ktokolwiek dyktował mu, co ma robić - spokojnie wyjaśniła Riva. - Szczególnie, jeśli jest to

kobieta.

- Wiedziałam! Podeszłaś go ze złej strony.

- Jeśli sądzisz, że potrafisz zrobić to lepiej, proszę bardzo, spróbuj.

- Na pewno nie zrobiłabym tego gorzej - oświadczyła Margaret, siadając na krześle i opróżniając szklanę, po czym z

brzękiem odstawiła ją na tacę. -

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Edison tak się opiera. Przecież on ma chyba

najwięcej do stracenia.

- Ale on tak nie uważa. Jest arogancki, bo sądzi, że nic mu nie grozi. Że ja nie zrobię nic, bez względu na to, co mogłabym.

- A czemu nie miałyby tak sądzić? Dokładnie tak samo zrobiłaś przed laty; tak samo, czyli n i c!

- Wtedy nic nie dało się zrobić.

Margaret rzuciła jej niedowierzające spojrzenie.

- Ależ nic podobnego! Można go było zmusić, aby płacił alimenty na Erin. Miałaś do tego pełne prawo i jestem

pewna, że dobry adwokat umiałby to załatwić.

- Wtedy o tym nie wiedziałam, a w każdym razie nie chciałam.

- Cóż, niektórzy ludzie nie są tak grymaśni w sprawach pieniędzy - powiedziała gniewnie Margaret. - Przecież jeszcze

teraz można by go zmusić do płacenia.

- To niemożliwe, bo Erin jest już dorosła. Zresztą nie mogłabym prosić Edisona o cokolwiek, nie mówiąc mu, że Erin

jest jego córką. A tego nie powiem.

Nigdy.

- Być może to właśnie byłoby najlepsze. Myślałaś o tym? Wtedy nie mógłby odmówić odseparowania Josha od niej.

- Nie znasz go, jeśli tak sądzisz.

Margaret wpatrywała się w Rive szeroko otwartymi oczami, w których widać było głęboki namysł.

- Nie, nie znam; nie znam go tak jak ty. Jak teraz wygląda? Wciąż tak przystojny jak kiedyś?

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała Riva lakonicznie, bo myśli jej krążyły wokół sugestii Margaret.

-Wydaje ci się? Nie wiesz? Nie patrzyłaś na niego?

Ciekawość w głosie Margaret podszyta była zarówno złością, jak i zazdrością. Riva spojrzała na nią bacznie.

- A co to ma za znaczenie?

- Wielki Boże, Rivo! Edison Gallant był najprzystojniejszym chłopcem, jaki kiedykolwiek postawił nogę w naszym

miasteczku. Bywał w naszym domu, jadał przy naszym stole, a teraz ma szansę zostać gubernatorem.

Prawdopodobnie zostaniesz zaproszona na bal inauguracyjny w rezydencji

gubernatorskiej. Boots i ja moglibyśmy

również zostać zaproszeni jako rodzice Erin. Pomyśl tylko! Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Riva stanęła nad siostrą. Jej głos był spokojny i starannie kontrolowany.

- Edisonowi Gallantowi nie wolno ufać. Jeśli dowie się prawdy o Erin, wykorzysta to bez pardonu.

- Przeciwno czemu? Jaki użytek mógłby z tego zrobić?

- Mógłby tego użyć jako sposobu dostania się do mnie.

Margaret zaśmiała się pogardliwie i machnęła ręką.

- Och, dajże spokój. Jak?

- Straszac mnie, że o wszystkim powiadomi Erin. Myślę, że nie chciałabyś do tego dopuścić.

Margaret zbladła tak, że pod skórą jej policzków pojawiła się sieć czerwonych żyłek.

- O Boże, nie! Nie zrobiłby tego.

- Zrobiłby natychmiast, gdybym odmówiła mu tego, o co mu chodzi.

- Chce od ciebie czegoś konkretnego? -

Spojrzenie Margaret wyrażało niedowierzanie. - Wiesz, co to jest?

- Próbowałam powiedzieć ci. Aż go skręca, aby znów wziąć mnie do łóżka. - Powiedziała to ironicznie, starając się umniejszyć wagę słów.

- Ach, o to chodzi - odparła siostra z lekceważeniem. - Skąd wiesz, że naprawdę ma taki zamiar?

- Nie krył się z tym, gdy poprosiłam, aby odesłał Josha.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę uczyniłby to, czego sobie życzysz - że odseparowałby Erin od swego syna i

trzymałby go z dala od niej - gdyby
zyskał możliwość dobrania się do
ciebie?

Riva skrzywiła się.

- Można to tak nazwać.

- Cóż, mimo że udajesz taką niechęć -
Margaret mówiła ze śmiechem
graniczącym z pogardą - nie wydaje mi
się to

wielkim poświęceniem z twojej strony.
Na co więc czekasz? Jeśli to wszystko,
czego chce, daj mu to!

ROZDZIAŁ 9

Riva niemal zapomniała o balu na cele charytatywne. To Margaret przetrząsając następnego ranka zawartość

antycznego srebrnego pojemnika na listy, który stał na sekretarzyku Rivy w jej sypialni, znalazła bilety. Riva, z typową

dla siebie hojnością, płaciła znacznie więcej, niż należało na cele, które zdobyły jej uznanie. Było ich wiele, jak choćby

ta gala na rzecz ochrony cennych mokradeł Luizjany. Dzisiejszy bal miał się odbyć w budynku starej mennicy, na

krańcu French Quarter.

Margaret z biletami w dłoni poróżnowiała z emocji. Jeśli Riva wybiera się tam tego wieczoru, nie ma żadnego powodu,

dla którego ona i Boots nie mogliby pójść razem z nią.

Riva ubierając się, rzuciła siostrze pełne wątpliwości spojrzenie.

- Uważam, że powinnam pójść, ponieważ obiecałam swoje poparcie, a te mokradła bardzo interesują Noela, ale czy

ty jesteś pewna, że chcesz tam iść z Bootsem? Obowiązują wieczorowe stroje, a poza tym nikogo nie znacie i

będziecie się bezgranicznie nudzić.

- Oczywiście, że chcę pójść! - zawołała Margaret. - Mogę pojechać z tobą do miasta i wypożyczyć smoking dla Bootsa.

Jeśli zaś chodzi o mnie, jestem pewna, że znajdzie się coś, co będę mogła włożyć.

Margaret podeszła do drzwi garderoby widniejącej w jednej ze ścian kremowo-różowej sypialni i otworzyła je na

oścież. W oszołomieniu wpatrywała się w równe rzędy uszeregowanych według kolorów sukien, kostiumów,

wieczorowych kreacji i futer, pod którymi ułożone były odpowiednio dobrane buty i torebki. Potem, wzięwszy

głęboki, ekstatyczny niemal oddech zaczęła wyciągać stroje wieczorowe.

Riva obserwowała ją bez słowa. Jako dorastające panienki ona, Margaret i Beth na zmianę nosiły swoje rzeczy. To, że

Margaret swobodnie czuła się w garderobie Rivy, przebierając w niej niczym w sklepie z ciuchami, nie było niczym

niezwykłym - robiła to od lat. Chodziło jednak o coś więcej. Teraz odbywało

się to prawie tak, jakby siostra czuła się
uprawniona do użytkowania
wszystkiego, co należy do Rivy.

- Doprawdy, Rivo, sądzę, że mogłabyś
zwiększyć kwoty, które mi wypłacasz -
powiedziała Margaret. -Bóg widzi, że
stać cię na to; wystarczy pomyśleć, ile
mujesz wydawać na ciuchy.

- Nie wiem, co mają z tym wspólnego
moje stroje -odpowiedziała Riva. -
Pieniądze, o których mówisz, są
przeznaczone na potrzeby Erin.

- Potrafię sama o nią zadbać, dziękuję.

Poza tym dziewczyna w jej wieku nie potrzebuje aż tylu pieniędzy na stroje. To

przewróci jej w głowie. Uważam jednak, że powinnaś mieć choć tyle względów dla swojej własnej siostry, by chcieć,

żeby i ona ładnie wyglądała, bez konieczności sięgania po używane ciuchy.

- Nie musisz przyjmować rzeczy, które ci dają. „Daję” nie było w zasadzie odpowiednim słowem, ale to i tak nie miało

znaczenia. W pewnym sensie słowa

Margaret są prawdą, pomyślała Riva. Mogę kupić sobie wszystko, co chcę, w miejsce tego, co szczególnie lubię, a co Margaret wyciągnie z garderoby. To, że losy sióstr potoczyły się tak

odmiennie, nie było winą Margaret. Przez myśl przebiegło Rivie, że ona także nie była temu winna, ale szybko tę refleksję stłumiła.

- Och, nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Margaret pośpiesznie. - Przynajmniej moi przyjaciele nigdy nie widzieli w tych strojach ciebie.

Riva westchnęła, a potem sięgnęła po książeczkę czekową.

- No więc, ile chciałabyś dostawać? - spytała.

W ostatnich kilku latach Margaret przybrała na wadze; parę centymetrów tu, parę tam. Jej młodzieńcza tendencja do

szerokich bioder była teraz wyraźna. Nie powstrzymało jej to jednak przed noszeniem ubrań Rivy. Wciągała

mocno powietrze, by zapiąć odporne suwaki, klamry i guziki, a potem stawiała przed lustrem przeglądając się w nim z

uznaniem, jakby nie dostrzegała, że spódnice są zbyt obcisłe, że delikatne tkaniny stają się porozciągane, że ubiory zmieniły krój i mają zdeformowane linie z powodu krągłości, których nie musiały skrywać przedtem.

Jedyną pocięchą był dla Rivy fakt, że Margaret zazwyczaj sięgała po ubrania, które młodsza siostra nabywała

po chopnie - stroje, które z powodu koloru lub rodzaju tkaniny uznawała po kupnie za nieodpowiednie dla siebie.

Tym razem było podobnie. Uwagę Margaret przyciągnęła suknia ze złocistego szyfonu pokrytego

połyskującymi

szklanymi paciorkami i cekinami. Riva założyła ją tylko raz, w ostatnim dniu ostatniego karnawału, po czym

stwierdziła, że jest ona zbyt strojna, by można ją było założyć z innej okazji. Choć w gruncie rzeczy nie obchodziło jej

to, jednak nie podobał jej się widok Margaret ubranej w coś tak bardzo nie pasującego do jej kształtów i różowej

cery, i zdecydowanie za ciężkiego na upał.

- Nie uważasz, że ta suknia jest trochę za

ciężka na lato? - zapytała. - Znajdziesz tam suknię z włoskiego jedwabiu, od

Armaniego, trochę dalej. Zamierzałam ją włożyć, ale będzie dla ciebie doskonała, bo ma obszerną spódnicę.

- Dajesz mi do zrozumienia, że powinnam nosić szersze spódnice? - Margaret była niezadowolona.

- Mówię tylko, że lepiej byś w niej wyglądała.

- Założę się, że sama chciałaś wystąpić dziś w tym połyskliwym ciuchu. Wyglądałaś w nim efektownie na zdjęciach w

gazetach.

- Przecież pokazałam ci, co zamierzam włożyć.

Margaret obrzuciła sukienkę wskazane przez Rive szybkim spojrzeniem.

- Możesz sama nosić te wyblakłe kolory. Ja lubię coś żywszego. - Mówiąc to ściągnęła z wieszaka ciężką, dopasowaną

suknię z paciorkami i zaczęła się w nią wbijać.

Nim obie gotowe były do wyjścia, Margaret wzięła sobie jeszcze wieczorowe pantofle Rivy i jej

wyszywaną koralikami

torebkę, która pasowała do sukni.
Skorzystała też z usług jej fryzjerki i
obficie spryskała się specjalnymi
perfumami

Rivy. Miały dawny rodowód, ale
czarowny zapach; zwano je „Paradise”,
a produkowano wyłącznie w Bourbon
French

Perfume Company przy St. Ann Street w
French Quarter. Wskoczyła do limuzyny,
jakby samochód był jej własnością,

pchając się zarówno przed Constance,
jak i przed Rive, i zajmując środkowe
miejsce na siedzeniu ustawionym

przodem do kierunku jazdy.

Constance, nieskazitelnie elegancka w czarno-białej woalce, uniosła w zdziwieniu brwi.

- Jakże podobna jest pani do swojej siostry, pani Green! Aż do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy -

wycedziła, usadowiwszy się w limuzynie.

Ten podwójny policzek - dla Margaret za wystrojenie się w suknię Rivy, o czym wszyscy wiedzieli, i dla samej Rivy za

nieokrzeseanie, jakie zaprezentowała

siostra - chybił celu przynajmniej w połowie.

Margaret uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Ludzie zawsze to mówią.

- Powinnam się domyślić.

Dopiero chłodny ton zauważalny w głosie Constance stał uśmiech z twarzy Margaret. Zanim jednak zdołała

odpowiedzieć, do samochodu wszedł Boots, a za nim Noel, który wydał George'owi dyspozycje i ruszyli w drogę.

Stara Mennica Stanów Zjednoczonych,

pomalowany na rdzawobrązowy kolor budynek o wiktoriańskiej solidności,

była kiedyś miejscem produkcji amerykańskich monet. Wytwarzano je tutaj od późnych lat trzydziestych

dziewiętnastego stulecia do pierwszej dekady wieku dwudziestego z krótką przerwą w czasie wojny domowej.

Później gmach służył jako więzienie federalne i biuro ochrony wybrzeża. W ostatnich latach budynek starannie

wyremontowano i przeznaczono na siedzibę filii muzeum stanowego.

Czasami wykorzystywano go na organizowanie

balów i wielkich przyjęć. W latach czterdziestych dziewiętnastego wieku zarządca mennicy wydał tu bal kostiumowy,

by wprowadzić na nim w świat swoje córki. Bal ów miał być jedynym wydarzeniem towarzyskim, jakie mogło się

odbyć w Mennicy Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Rivy był to typowy objaw no-woorleańskiego braku szacunku dla

systemu administracyjnego.

Wnętrze budynku było przestronne, środkiem zaś biegły wspaniałe schody,

łączące trzy poziomy ekspozycyjne. Jak

niemal wszystko w tym mieście, była to zdumiewająca i osobliwie uzupełniająca się mieszanina nowego ze starym:

jaskrawych świateł i lśniących powierzchni skomponowanych udanie z doskonale odrestaurowanym starym

drewnem i wspaniałymi rękodzielami. Za budynkiem znajdował się otoczony kamiennym murem dziedziniec

oświetlony reflektorami, których blask przebijał się przez rzucające cień drzewa.

Podczas gali obowiązywał mężczyzn

strój wieczorowy. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych

smokingi rzadko widywano w tym mieście, ale ostatnimi czasy znów zajęły one poczesne miejsce w męskich garderobach.

Liczne bufety były na ogół sponsorowane. Bezpłatny szampan płynął szeroką strugą. Srebrne tace kusiły

przystawkami z krewetek i mięsem krabów w kokilkach z kruchego ciasta, langustami, małymi, gorącymi kiełbaskami

w sosie barbecue, faszerowanymi grzybami i innymi delicjami. Były też desery serwowane w pucharkach z rżniętego

szkła, a przyrządzone z czekolady, świeżych truskawek i bitej śmietany. Między wykwintnymi daniami ustawiono

lodowe rzeźby, przedstawiające dzikie kaczki, gęsi, czaple, pelikany i żurawie. Właśnie owym wędrownym ptakom,

zamieszkującym mokradła Luizjany, miał pomóc w przetrwaniu dochód z tej uroczystości.

Muzyki tanecznej było mnóstwo. Na

drugim piętrze kwartet smyczkowy grał walce dla starszych i bardziej

romantycznych gości, na pierwszym - orkiestra cajuńska stepując grała szybsze rytmy, a zespół jazzowy swingował w

innej sali. Jednak najwięcej osób przyciągał dziedziniec, gdzie światło było przyćmione, nocny wietrzyk przyjemny, a

nowoczesny zespół grał łatwą muzykę koktajlową - odpowiednią do tańca, a przy tym nie utrudniającą rozmowy.

Grupa z Bonne Vie trzymała się razem dość krótko, choć na tyle długo, by przetańczyć kilka melodii. Dante, jak

zwykle

towarzyszący Rivie, pierwszy poprowadził ją na parkiet. Poruszali się płynnie, choć bez szczególnej werwy, a dla

Dantego taniec był zarazem okazją do zabawnych komentarzy na temat obecnych. Boots nie miał zbyt wiele do

powiedzenia, ale był zadziwiająco utalentowanym tancerzem, zwłaszcza jak na tak potężnego mężczyznę; jego ruchy

były płynne i utrzymane w doskonałym rytmie. Najdziwniejszy jednak był sposób, w jaki ciało Rivy zgrywało się na

parkiecie z ciałem Noela; Riva czuła, że harmonijny ruch w tańcu z Noelem sprawia, iż taniec z nim jest

niewpowtarzalnym przeżyciem. Jeszcze bardziej fascynująca była jego reakcja na muzykę. Zdawało się, że łączy go z nią

jakieś szczególne więzy. To zresztą nie było żadne odkrycie. Riva zauważyła to już przed wielu laty, gdy tańczyli

pierwszy raz. Mimo to miała wrażenie, że Noel jest nieświadomy wpływu muzyki na swe zachowanie.

Riva przechadzała się po sali w towarzystwie Dantego, póki nie został

on usidlony przez jakąś matrone, która pragnęła omówić szczegóły przyjęcia weselnego mającego się odbyć w jednej z jego restauracji. Wymieniwszy ukłon z jakimś znajomym, Riva odeszła, by pospacerować samotnie. Trzymała w dłoni kieliszek szampana, który później napełniła wodą mineralną. Jedzenie wyłożone w takiej obfitości nęciło ją, więc spróbowała różnych dań.

Przechadzając się, zamieniała po kilka słów z przyjaciółmi, a także z mniej życzliwymi sobie ludźmi. Pozowała też wraz

z kilkoma organizatorami wieczoru fotoreporterom z kronik towarzyskich czasopism „New Orleans” i „Times-Picayune”.

W pewnej chwili zaintrygowały ją donośne dźwięki i oklaski dochodzące z sali, w której grano jazz. Ruszyła w tamtym

kierunku. Przy drzwiach zgromadził się tłum, lecz Riva przecisnęła się zrećźnie do przodu, skąd miała doskonały widok na zespół.

Składał się on z trębacza, klarncisty, pianisty, kontrabasisty i perkusisty.

Melodia, którą muzycy grali, była smutną,

metalicznie brzmiącą interpretacją starego dobrego jazzu, jakby wprost z dawnej Basin Street. Muzyka opłynęła Rive

chwytając ją za serce, a stopy przyprawiając o takie mrowienie, że musiała poruszać nimi w tym rytmie.

Czarnoskóry trębacz był wspaniały, podobnie jak klarncista, ale to perkusista tchnął życie w melodię. Rytm, który

zaznaczał na obciągniętych skórą bębnach, był skomplikowany i

zmysłowy; przypominał rytm serca,
wybijany z

perfekcyjną synchronizacją; rytm, który
narastał osiągając nieprawdopodobny
poziom. Z każdym powtórzeniem kilku

podstawowych taktów melodii stawał
się coraz silniejszy, choć w interwałach
przechodził w osobliwie brzmiące

walenie młota, dodające emocji.

Przesłanie rytmu było prymitywne, ale
sugestywne - pean na część miłości

celebrowanej w mroku, gdy ciała
poruszają się w narastającej rozkoszy
zmierając ku chwili, w której zatrzyma
się

czas.

Perkusistą był Noel.

Na jego twarzy malowało się skupienie, lecz w szarych oczach był też jasny uśmiech, znak najczystsze-
go zadowolenia,

jakie dawała mu swobodnie płynąca muzyka. Riva, obserwująca Noela ze zdumieniem, czuła jego radość. Kryła się

ona w intensywnym wibrowaniu dźwięku, w narastającym tempie i precyzji ruchów muzyka. Przede wszystkim

jednak płynęła z faktu, że w tym momencie Noel sprawiał wrażenie zupełnie nieświadomego, kim jest ani gdzie się

znajduje.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób Noel stał się częścią tego przedstawienia ani też, jak długo ono trwało. Zdumiona

była, iż ożywił tę część swojej osobowości, którą od pewnego burzliwego popołudnia na pewnej wyspie uważała za

martwą. Gdy mu się teraz przyglądała, narastał w niej lęk, że swą obecnością psuje Noelowi radość z gry. Dlaczego?

Czyż tak właśnie nie było dotąd?

Powodowana niepokojem, zaczęła przesuwać się w tył i zniknęła w tłumie. Wzrok utkwiony miała w twarzy Noela; on

nie podniósł oczu. Była zadowolona, że nie może go już dostrzec za ścianą postaci, bo oznaczało to, że i on jej nie zobaczy.

Znalazła się znów w głównym holu, gdy jazz rósł ku pulsującemu crescendo. Wśród dźwięków trąbek o czystym, napinającym nerwy brzmieniu, wspomaganym przez rosnącą siłę

pozostałych instrumentów, podążał za nią

niespokojny dźwięk perkusji. A potem nagle, z triumfalnym akordem melodii i burzliwymi finałowymi uderzeniami

perkusji, muzyka się urwała. Ostatnia nuta z jakiegoś powodu, którego Riva nie mogłaby wyjaśnić, przyniosła ulgę.

Na dziedzińcu mennicy panował chłód i względny spokój. Riva skierowała się zatem w tamtą stronę. Dante spotkał ją

koło drzwi i obiecał przyłączyć się za kilka minut, z nowymi kieliszkami szampana.

Riva znalazła sobie miejsce na niskim murku i usiadła przyglądając się tancerzom. Nie opodal byli też inni uczestnicy

balu, lecz nie na tyle blisko, by czuła się zobligowana do rozmowy. Jak dobrze mieć chwilę wytchnienia...

Wśród par tańczących pod drzewami dostrzegła Margaret i Bootsa. Dobrze razem wyglądali, sprawiali nawet

wrażenie nieco wyrafinowanych. Może z powodu strojów - Boots w smokingu i Margaret w sukni naszytej

paciorkami, które lśniły, gdy padało na nie światło maleńkich żarówek.

Orkiestra ogłosiła pięciominutową przerwę i Margaret z mężem zeszła z parkietu. Powiedziała mu coś, a on skinął

głową i odszedł - najprawdopodobniej w poszukiwaniu baru. Margaret została w cieniu jednej z fontann.

Riva zobaczyła jakiegoś mężczyznę, który odszedł od grupy stojącej przy drzwiach, a następnie okrążył oświetlone

drzewo i gawędzących pod nim ludzi. To był Edison. Pomyślała przez chwilę, że dostrzegł ją.

Jednak to Margaret była jego celem.

Zaszedł ją z tyłu. Zbliżywszy się wyciągnął rękę i złapał ją za pośladek.

Margaret krzyknęła i odwróciła się. Gdy Edison ujrzał jej twarz, przez chwilę wydawał się zaskoczony. Szybko jednak opanował zdumienie i zaczął się kajać.

- Przepraszam. To pomyłka. Ta suknia... myślałem... Nie... nie miałem niczego na myśli... Po prostu potknąłem się tak niefortunnie.

Margaret zamrugła powiekami i rozejrzała się wokół. Gdy zobaczyła, że nikt nie zwrócił uwagi na ten incydent,

odetchnęła z ulgą i postąpiła krok naprzód.

- Edison - powiedziała. - Edison Gallant. Czy pan mnie nie poznaje?

Teraz na Edisona przyszła kolej, by rozejrzeć się wokół.

- A powinienem? - zapytał, odwracając wzrok.

- Jestem Margaret, siostra Rivy. Wziął mnie pan chyba za nią; jej zdjęcie w tej sukni zamieszczono we wszystkich gazetach podczas ostatniego karnawału.

- Nic podobnego!

- Och, skądże znowu. Myślał pan na pewno, że to pańska żona! - Słowa Margaret brzmiały łobuzersko.

- Już pani powiedziałem: potknąłem się
- wymamrotał Edison cicho.

Margaret roześmiała się wysokim głosem.

- Riva jest gdzieś tutaj, gdyby chciał pan z nią porozmawiać.

- Dlaczego miałbym z nią rozmawiać?

- Myślałam, że chce pan od niej czegoś.

Wzrok Edisona wędrował po ciele Margaret, aż w końcu kobieta oblała się

rumieńcem.

- Może powinienem załatwić to z panią... - powiedział dwuznacznie, wracając wzrokiem ku jej twarzy.

Patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, Margaret z trudem łapała powietrze. Widać było, że jest zaintrygowana

słowami Gallanta. Łatwo było również dostrzec, iż czuje pokusę, by prowadzić frywolną rozmowę, lecz

powstrzymywała ją pruderia. Gdy spojrzała nad ramieniem Edisona, spostrzegła siostrę.

- Nie sądzę, by pański pomysł był dobry.
Moja siostra jest tam, za panem.

Edison obejrzał się. Skinąwszy
Margaret głową, ruszył ku Rivie.
Uśmiechając się drwiąco, stanął obok.

- Przypuszczam, że widziałaś?

- Przypuszczam, że tak.

- Sądzę, że nieźle się ubawiłaś?

- Cóż, były w tym zabawne momenty.

- Cholera! - zaklął pod nosem, a potem
utkwiał wzrok w ciemności.

Interesujące było, że wyglądał na

przejętego swym wygłupem. Była to oczywiście oznaka jego egoizmu, ale czyniła go

w jakimś sensie bardziej ludzkim.

Uniósł głowę i rzekł:

- Jeszcze nie uciekłaś? Jestem zaskoczony.

- Wczoraj także nie uciekłam; po prostu odeszłam, by uniknąć nieprzyjemnej sytuacji - odpowiedziała Riva, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Cokolwiek to było, cieszę się, że tu jesteś. Musimy porozmawiać.

- Myślę, że już nie ma o czym.

- Umknęło mi wczoraj kilka szczegółów.
Czy moglibyśmy pójść w spokojniejsze
miejsce?

Rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

- Nie mam zamiaru opuszczać terenu
mennicy.

- Nie pozostawiasz mężczyźnie żadnego
pola manewru, prawda? Zabawne, ale
nie pamiętam, byś kiedyś taka była.

- Czyżby?

- Prawdę mówiąc - odpowiedział,
zniżając głos -nie przypominam sobie,

byśmy mieli w ogóle jakieś problemy.
Zawsze

byłaś gotowa zrobić wszystko, czego
chciałem.

- O ile ja sobie przypominam, to byłeś
zbyt pochłonięty własnymi pragnieniami,
by dbać o moje odczucia.

- Boże, byłaś taką słodką,
najrozkoszniejszą...

- Proszę, mów dalej - zachęciła go z
promiennym uśmiechem. - Jestem
pewna, że twoi wyborcy uczestniczący
w tej

gali będą zachwyceni.

- Wiesz, lubię harde kobiety. Podniecają mnie.

- Czy muszę ci przypomnieć, że nie interesuje mnie to?

Zignorował pytanie.

- Kobiety, które tylko płaczą albo dąsają się, są nudne. Ty mnie ekscytujesz.

Zauważyła, że Edison stara się mówić cicho. Unosząc wzrok nad jego ramieniem przeczesywała spojrzeniem tłum.

- Ciekawa jestem, dokąd powędrował Dante -powiedziała, celowo zmieniając temat. - Nie ma go już tak długo, że

zdążyłby przynieść tego szampana z Paryża.

- To ten przyjaciel, z którym byłaś na wiecu? Przechadzając się, widziałem go z jakąś gorącą cudzoziemką. Dosłownie przed chwilą. Uczył ją tańczyć cajuńskiego walca.

- Naprawdę? To miłe z jego strony - powiedziała. Dante musiał natknąć się na Constance. Ponieważ żona Noela znała

tak niewiele osób, z pewnością Dante czuł się zobowiązany do spędzenia z nią kilku minut.

- Zazdrosna? - zapytał Edison. Riva uśmiechnęła się.

- Chętnie przyniosłbym ci drinka, ale obawiam się, że znikniesz, zanim wrócę. Jeśli jednak chciałabyś udać się na

poszukiwanie jakiegoś baru, a przy okazji zobaczyć, co porabia twój przyjaciel, z przyjemnością ci będę towarzyszyć.

Byłoby to lepsze niż siedzenie tu ze stojącym nad nią Edisonem. Poza tym od chwili, gdy muzyka przestała grać, tłum

zaczął się przeredzać, grawitując w kierunku melodyjnego brzmienia cajuńskich skrzypiec. Margaret także

odeszła.

- Dobrze - powiedziała Riva.

Gdy zaczęła się podnosić, Edison wyciągnął rękę. Przyjęcie tego gestu było odruchem naturalnym, bez względu na to,

jak mało go potrzebowała. Dłoń Edisona schwyciła jej palce. Riva zachwiała się i tracąc równowagę oparła się o niego.

Przyciągnął ją do siebie, jedną rękę kładąc na jej piersi, a drugą obejmując talię.

- Oto, gdzie jest twoje miejsce! - Jego głos był pełen satysfakcji.

- Puść mnie - syknęła przez zaciśnięte zęby, odpychając go.

Była świadoma paru zaciekawionych spojrzeń rzuconych w ich kierunku, ale sądziła, iż światło jest zbyt ciemne, by

ktokolwiek mógł ją rozpoznać.

Szamotanina nie była wskazana.

Edison westchnął, a potem zwolnił uścisk. Gdy się cofnęła, pochylił głowę i skierował ku niej ponury uśmiech.

- Znów to zrobiłem, prawda? Wszystko, co robię w związku z tobą, okazuje się niewłaściwe. Chyba jestem po prostu zdenerwowany. Spotkanie po tylu latach

zrobiło ze mnie kłębek nerwów.

Nie ufała ani jego uśmiechowi, ani tym pokornym słowom, a przekonanie Edisona, że znów mu zaufa, było upokarzające i obraźliwe.

- Mógłbyś postarać się traktować mnie jak każdego innego znajomego, z którym robisz interesy. Bo teraz łączy nas jedynie znajomość.

- To za mało, dziecinko.

- Nie nazywaj mnie dziecinką! Nie jestem żadną dziecinką, a zwłaszcza twoją!

Wyciągnął rękę po jej dłoń.

- Posłuchaj, wczoraj popełniłem błąd. To, co powiedziałaś, było tak nieoczekiwane, że nie wiedziałem, co mówię. Nie

zastanawiałem się nad swoimi słowami. Proszę, nie miej mi tego za złe. Zaczniemy jeszcze raz. Porozmawiajmy gdzieś

spokojnie o dawnych czasach. Jestem pewien, że możemy jakoś rozwiązać ten problem. - Jego głos był głęboki, szczery i osłodzony wdziękiem.

Musiała podziwiać jego zdolności

aktorskie, a nawet zastanawiała się, czy rzeczywiście tylko gra. Próbowwała uwolnić

dłoń, ale na próżno.

- Nie ma o czym rozmawiać ani czego rozwiązywać. Powiedziałam ci, czego chcę. Nie mogę... nie zgodzę się na nic innego.

- Nie bądź nierozsądna. Mój syn jest ważnym elementem mojego wizerunku jako głowy rodziny. Pragnę, by był blisko

mnie.

Szarpnięciem oswobodziła palce z jego uścisku.

- Więc prowadź swoją kampanię gdzie indziej, poza Nowym Orleanem.

- Tu jest ogromna liczba wyborców, największa w całym stanie, a poza tym ty jesteś tutaj.

- Moja obecność w Nowym Orleanie nie ma nic do rzeczy - powiedziała ostrym tonem. - Prawdę mówiąc, uważam, iż

rozmowa ze mną to z twojej strony szczyt głupoty. Nie obawiasz się, że jakiś fotograf zrobi nam zdjęcie albo że

zaczną się plotki?

- Moja żona jest gdzieś w pobliżu, a jej obecność posłuży mi za alibi. Poza tym zawsze mogę powiedzieć, że tematem naszej rozmowy było twoje wsparcie dla kampanii.

Riva zacisnęła wargi.

- Skoro ty nie bierzesz pod uwagę swojej reputacji, ja muszę zadbać o moją.

Odwróciła się z zamiarem odejścia. Edison złapał ją za rękę, a potem, uniósłszy wzrok nad jej ramię, szybko puścił.

Riva odwróciła głowę. Przez skwer

ozdobiony chorągiewkami zbliżał się
Noel, stąpając pod koroną drzewa

ozłoczonego światełkami, które ciemnym
falom jego włosów przydawały
srebrzystobłękitnego połysku. W dłoni
trzymał kieliszek szampana.

- Nie lubię ci przeszkadzać -
powiedział, zbliżywszy się - ale Romoli
przysłała to z przeprosinami.

Wręczając Rivie drinka, uważnie
przyglądał się jej twarzy. Spojrzawszy
na Edisona powitał go skinieniem
głowy, a

potem znów odwrócił się do Rivy.

Ujęła kieliszek i mruknęła
podziękowanie. Taksujące spojrzenie
Noela wprowadziło ją w zakłopotanie.
Nigdy dotąd nie

zauważyła, jak jest dynamiczny; nie
tylko fizycznie, ale i psychicznie. Tę
jego siłę skrywał pancerz uprzejmości,
ale

tkwiła w nim bezsprzecznie. Możliwe,
iż cecha ta ujawniła się zetknięciu Noela
z Edisonem, niemniej dla Rivy była

olśnieniem. Ta noc w ogóle sprzyjała
olśnieniom.

- Chciałem cię też zawiadomić, że
jedziemy nad jezioro, do restauracji

Dantego - mówił Noel. - Cons-tance,
zdaje się,

jest głodna i chciałaby zjeść coś więcej
niż tylko przystawki, a nigdzie indziej
nie pójdzie.

Riva, słysząc jego oschły ton,
zastanawiała się, czy oburza go
zainteresowanie, jakie w jego byłej
żonie budził Dante.

Na myśl o takiej możliwości
zmarszczyła brwi.

Edison podniósł się pośpiesznie.

- Sądzę, iż powinienem odszukać żonę.
Czas już i na nas.

Stał jeszcze chwilę, jakby oczekując zaproszenia, by przyłączył się do towarzystwa z Bonne Vie, skoro jednak nie

padło, odszedł szybkim krokiem.

Noel mówił dalej:

- Jeśli nie masz ochoty jechać ze wszystkimi, z przyjemnością pojedę z tobą do domu, gdy ich odwieziemy.

- Nie! - odpowiedziała Riva szybko, zbyt szybko. - Bardzo lubię przejażdżki nad jezioro. - Nocna i stosunkowo długa

podróż limuzyną sam na sam z Noelem nie była tym, z czym chciałyby się teraz

zmierzyć.

Twarz Noela ściągnęła się.

- Romoli uważa, że powinniśmy już jechać - powiedział. - On sam zawiezie Constance swoim samochodem.

Jedziemy

więc?

Riva ruszyła ku drzwiom budynku. Należało się jeszcze pożegnać i zamienić kilka słów ze znajomymi, których mijała

idąc przez zatłoczone sale. W końcu, znalazłszy się za frontowymi drzwiami, ruszyli ścieżką ku żelaznej bramie.

Limuzyna zaparkowana była tuż przy krawężniku, obok dwóch czy trzech podobnych aut i długiego szeregu innych luksusowych pojazdów. Między nimi było alfa romeo Dantego. Riva i Noel spostrzegli, że ich okazały samochód jest

ciemny i pusty.

- Gdzie są wszyscy? - spytała zaskoczona.

- George jest prawdopodobnie w najbliższym barze. Wątpię, by oczekiwał, że wyjdziemy tak wcześnie. Poczekaj.

Noel wrócił do bramy, gdzie krótko rozmawiał z jakimś mężczyzną pełniącym wartę i za chwilę wrócił.

- Ktoś zatelefonuje, by dać mu znać, że jest potrzebny.

- To jednak nie tłumaczy nieobecności wszystkich z Bonne Vie - zauważyła Riva.

Noel wzruszył ramionami.

- Przyjdą. Margaret musi poczekać na Bootsa. Sądzę, że poszedł do toalety.

- Moglibyśmy przecież poczekać w środku - powiedziała Riva.

Stojąc w ciemności, była skrępowana obecnością Noela. Był układny jak zwykle, ale w jego głosie kryło się coś, co

wprawiało ją w zdenerwowanie.

- Możemy poczekać w samochodzie.

- Jest zamknięty. - Spróbowała pociągnąć za klamkę, żeby to udowodnić.

Wsunął rękę do kieszeni swego szytego na miarę wieczorowego garnituru.

- Jakież to przezorne! - Jej słowa zabrzmiały ostro. Nie dał się sprowokować.

- To nawyk: być przygotowanym na każdą okoliczność.

Gdy otworzył drzwiczki i przytrzymał je dla niej, nie pozostawało już nic innego, jak tylko wsunąć się do tego długiego

wehikułu. Usadowiła się na tylnym siedzeniu, a on wśliznął się na miejsce obok. Zamknął drzwi, a światła

wewnętrzne wyłączyły się, zatapiając ich w ciemności.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Przyglądali się jakiejś parze, która opuściwszy mennicę szła ramię w ramię

w kierunku zaparkowanego samochodu.
Gdzieś w pobliżu słyhać było
nasilający się to znów cichnący dźwięk
syreny

policyjnej.

Temat, jaki Riva wybrała, by przerwać
ciszę, podyktowany był jej własną
ciekawością, choć słowa dobierała z

rozwagą.

- Ktoś mówił, iż zasiadłeś dziś w
zespolu jazzowym. Nie wiedziałam, że
jesteś muzykiem.

- Nie jestem - odpowiedział krótko.

- Zespoły tak dobre jak ten nie pozwalają, by każdy, kto chce, grał z nimi publicznie.

- Mężczyzna, który grał na trąbce, choć urodził się w Nowym Orleanie, jest moim przyjacielem z Paryża. Grają tam

dobry jazz już od lat dwudziestych, a on występował w jednym z klubów w okolicach Pigalle kilka lat temu.

Chodziłem

tam, by posłuchać jego chłopaków, a oni pozwalali mi grać na perkusji. My, skazani na wygnanie Luizjańczycy,

przywykliśmy do długiego muzykowania...

- Znajdując pociechę w muzyce z rodzinnych stron? - zapytała, poruszona jego słowami.

- Można by tak to ująć.

W jego odpowiedzi nie było zachęty do kontynuowania tematu, więc Riva zamilkła.

- Nie sądzisz - rzekł Noel, obracając się ku niej - że romansowanie z Edisonem Gallantem tak krótko po śmierci mojego ojca jest trochę niesmaczne?

Rive ogarnęło zdumienie.

- Ja nie... - zaczęła, nie wiedząc co

powiedzieć, po czym wzięła głęboki oddech i zapewniła: - Nie ma mowy o żadnym

romansie.

- Ach tak, na pewno znalazłaś się w jego ramionach, bo tańczyliście!

- Szpiegowałeś mnie?! - Kontratak, jak wcześniej odkryła, był często najlepszym sposobem reakcji na bezpodstawne

zarzuty.

- Ta scenka miała raczej jawny charakter, choć ty, zdaje się, wcale się tym nie przejmowałaś. Zabawne,

sądziłem, że

jedno nas łączy: szacunek dla pamięci
mojego ojca.

Te słowa były bolesne.

- Bo tak właśnie jest - powiedziała
zgaszonym głosem.

Obrócił się ku niej i położył rękę na
oparciu siedzenia.

- Cóż więc, na Boga, dzieje się między
tobą a Gallantem? Dlaczego robisz z
tego tajemnicę?

- Bo to moja sprawa. Tylko moja!

- Chcesz powiedzieć: twój romans! -
rzekł z goryczą. - Jeśli masz takie
kłopoty z... miłością, czemu uciekasz się
do

obcych? Dotąd radziliśmy z tym sobie w
rodzinie, prawda?

- Noel! - wykrzyknęła z
niedowierzaniem, szeroko otwierając
oczy.

Nim zdołała dodać cokolwiek, złapał ją
za ramiona i mocno przyciągnął do
siebie. Jego wargi twardo, boleśnie
spadły

na jej usta. Ten dotyk rozpalał i
rozlewał się po powierzchni skóry

dreszczami zmysłowej rozkoszy.

Mięśnie Rivy

drżały z wysiłku, by stawić opór,
jednocześnie jednak pragnęła dotyku
Noela. Rozsądek nakazywał odepchnąć
go, lecz

nie mogła powstrzymać ręki od
podążania w kierunku jego ramienia.
Wyciągnęła dłoń i zatopiła palce w
jedwabistych

włosach na jego karku.

Odszukał językiem jej rozchylone usta i
smakował słodkie, delikatne wnętrze
warg. Riva nie pozostała obojętna; jej

język powędrował ku językowi Noela.

Przesunął ręką po jej włosach i skierował ją w dół, ku zwięzającej się linii pleców, a potem przyciągnął ku sobie.

Wdychał jej perfumy; oszałamiający zapach róż, gardenii i jaśminu, połączony z delikatnymi egzotycznymi

aromatami, tak dalece związanymi z Riva, że odnosił wrażenie docierania do głębi istoty tej kobiety.

Nagle jego napięte mięśnie zwiotczały. Odsunął Rive i cofnął się jak najdalej, aż oparł się o drzwiczki limuzyny.

Spoglądał przez okno. Twarz miał ocienioną i niewyraźnie widoczną w nikłej poświacie latarni i blasku lamp restauracji z naprzeciwka.

- Coś ty zrobił? - zapytała urywanym szeptem. Odetchnął głęboko, a kiedy wreszcie się odezwał, bjego głos wydawał

się obcy.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego robić.

- Nie. Dlaczego to zrobiłeś?

- To się już nie powtórzy.

Zaszyła się w kąt siedzenia i oparła głowę, przymknąwszy oczy. Coś kłuło ją pod powiekami i mruganiem chciała to usunąć.

- Nie należę do Stauletów ani do nikogo innego. Należę wyłącznie do siebie.

- Oczywiście.

Uniosła powieki i wpatrzyła się w profil Noela. W powściągliwości jego głosu kryła się nuta przywołująca

wspomnienia, które dotychczas wydawały się jej bezpiecznie ukryte w najgłębszych zakamarkach jej pamięci. Nie

chciała ich uwolnić; byłoby to zbyt ciężkim przeżyciem.

Ostry śmiech przeszył noc. Margaret wychodziła z mennicy przyklejona do ramienia męża. Po jej krokach i

bezmyślnym uśmieszku można było poznać, że wypiała zbyt dużo.

Riva odetchnęła z ulgą. Siedzący obok mężczyzna westchnął cichutko.

ROZDZIAŁ 10

Erin wpadła do domu niczym powiew wiatru. Zatrzasnęła drzwi i wbiegając po dwa stopnie naraz wołała matkę.

Zastała Margaret i Rive przy śniadaniu. Jadły je na górnej galerii z widokiem na basen. Rzuciła się na nie, obdarzając obie serdecznymi uściskami.

- Proszę cię, kochanie... - powiedziała Margaret, unosząc rękę do skroni. - Moja głowa...

Erin opadła na krzesło, odrzucając do tyłu grzywę wijących się, gęstych włosów, które opadały jej na ramiona. Zdjęła

serwetkę zakrywającą koszyczek z croissantami i sięgnąwszy po jeden, wgryzła się w apetyczny wypiek.

- Co się stało? Bolał cię zatoki?

- Szampan podany minionej nocy był niewątpliwie marny. Teraz mam...

- Masz kaca! - stwierdziła Erin z pełnym rozbawienia zaskoczeniem.

- Nic podobnego! - Margaret rzuciła jej pełne złości spojrzenie, a potem przymknęła oczy.

- Wyglądasz na okropnie wyczerpaną - rzekła Erin i z błyskiem w oczach znów ugryzła croissanta.

- Twoja mama nie jest przyzwyczajona do nocnego życia - powiedziała Riva.

Margaret uniosła powieki, by rzucić siostrze piorunujące spojrzenie.

- Nie musisz dawać mi do zrozumienia, że jestem prowincjonalną kurą domową.

W uśmiechu Rivy było tyleż współczucia, co i rozbawienia.

- Myślałam, że wolisz to określenie od „pijaczki”.

- Mówiłam ci...

- Och, mamó, rozchmurz się. Nikt nie sądzi, że się zalałaś...

Margaret zdawała się pęcznieć ze złości.

- Oto elegancki sposób rozmowy z własną matką! Nie sędzę, abym musiała długo się zastanawiać, gdzie nauczyłaś się

takiego lekceważenia. Gdybym to przewidziała, nie pozwoliłabym ci przyjechać do tutejszego college'u. To przekłete

miejsce! Doprawdy nie wiem, co złego było w nauce w technikum. Przynajmniej byłabyś bliżej domu.

Wciąż to samo! Erin wzniosła oczy ku niebu, ale milczała.

Pałeczkę przejęła Riva.

- Skoro już o tym mówimy, Erin, kochanie, czemu nie jesteś na zajęciach?

Erin uśmiechnęła się łobuzersko.

- Zrobiłam sobie wagary. Nie co dzień rodzice przyjeżdżają z wizytą. Widzę zresztą, że ty też dzisiaj bumelujesz.

Riva z uśmiechem przytaknęła.

Zazwyczaj nie chodziła do pracy, gdy Margaret przyjeżdżała z wizytą. Siostra

oczekiwała tego. Poza tym wizja

Constance i Margaret skazanych na swe towarzystwo podczas nieobecności pani

domu wydawała się zbyt niepokojąca, by ją ryzykować. Jak się jednak okazało,

zmarwienie było przedwczesne.

Constance siedziała w swoim pokoju do południa, a potem do późna nie kładła się spać, podczas gdy Margaret

wstawiała wcześniej i wracała do swego pokoju na drzemkę po lunchu. Tak że te dwie kobiety prawie się nie

spotykały, nie licząc przypadkowych zetknięć na korytarzu.

- Dostałaś moją wiadomość, nim wyszłaś? Tę na temat fotografa? - spytała Riva.

Riva przekazała telefonicznie numer Douga Gorsline'a koleżance Erin, bo

siostrzenicy nie było akurat w pokoju.

- O Boże, tak. To wzruszające, że zadał sobie tyle trudu. Dzwoniłam do niego. Wpadnie po południu.

Zabrzmiało to tak beztrosko, że Rivie na moment zapało dech w piersiach.

- On tu dziś przychodzi?

- Jasne. A czy jest jakiś powód, dla którego nie powinien? - Erin spoglądała to na Rive, to na Margaret, która siedziała

osłaniając ręką półprzymknięte oczy, niemal nie zwracając uwagi na rozmowę. - Wiem, że powinnam była

cię zapytać

o zgodę, ale moi znajomi nigdy dotąd cię nie interesowali, ciociu.

Riva machnęła ręką.

- Nie ma sprawy.

- To dobrze, bo nie znam tego faceta.

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi i nie chciałabym, aby to spotkanie wyglądało na randkę.

- Bardzo mądrze. Czy... ktoś jeszcze będzie?

- Och, masz na myśli Josha? - Erin

uśmiechnęła się. - Myślisz, że złożę ci ich obu na barki?

- Istotnie, to właśnie przyszło mi na myśl.

Erin potrząsnęła głową, sięgając po dżem z czarnych porzeczek i następny rogalik.

- Josh musi siedzieć przy telefonie w biurze wyborczym swojego ojca. Prawdę mówiąc, miałam adresować koperty,

ale Josh uznał, że powinnam przyjechać do was...

- Miło z jego strony - powiedziała

Margaret, lekko pociągając nosem.

- To prawda, ale oznacza to również, że nie przyjedzie. Jest zresztą coś, o czym chciałabym z wami porozmawiać bez niego.

Margaret obrzuciła córkę poważnym spojrzeniem.

- Chodzi o Josha?

- Tak... Nasza paczka planuje wycieczkę rowerową po górach Kolorado w czasie wakacji. Chciałabym pojechać z

Joshem na jakiś tydzień, bo on jedynie na parę dni może się wyrwać.

Pomyślałam, że moglibyśmy się wszyscy zatrzymać w twoim domku, ciociu Rivo, i stamtąd robić wyprawy. Można by nawet urządzić nocny rajd rowerowy. To

byłoby wspaniałe! Większość kolegów nigdy nie widziała czegoś takiego jak twój tamtejszy dom. Poza tym

zaoszczędziłoby nam to również trochę pieniędzy.

- No, cóż... - zaczęła Riva.

- Chwileczkę! - przerwała Margaret ostrym głosem. - Prosisz mnie, młoda damo, bym ci pozwoliła wyjechać na

tydzień z synem Edisona Gallanta?

- Będą tam jeszcze dwie albo trzy inne pary. Myślę, że dziewczęta będą spać w jednym pokoju, a chłopcy w drugim.

- Myślisz?! Co to ma znaczyć?! Jeśli myślisz, że zgodzę się, byś spała z tym chłopakiem albo tarzała się z pozostałymi

parami; jeśli sądzisz, że zamierzam zezwolić, byście urządzali orgie, palili i nie wiadomo doprawdy co jeszcze robili, to

się mylisz! Nie! Nie pojedziesz do Kolorado!

Erin cisnęła rogalik i ze łzami w oczach zerwała się od stołu.

- Wiedziałałam! Wiedziałałam, że wymyślisz zaraz coś plugawego! Ale to plugastwo istnieje tylko w twojej wyobraźni,

mamo! Josh nie jest taki!

- Oni wszyscy są tacy!

- Skąd wiesz? Ciocia Riva nie jest taka jak ty. Zawsze i wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz, widzisz coś plugawego i

sprawiasz, że czuję się brudna, jeśli chodzi o coś tak pięknego i czystego jak seks.

Margaret pochyliła się ku Erin.

- A cóż ty w ogóle wiesz o seksie; czystym czy brudnym? No, proszę! Słucham?

- Niezbyt wiele, ale mów tak dalej, a pewnie spróbuję się dowiedzieć, co cię w nim tak wkurza. Fajnie jest z Joshem

Gallantem, i lubię go. Byłby takim samym dobrym facetem dla początkujących jak każdy inny. Nawet jeśli jest o rok

młodszy ode mnie.

Margaret rzuciła się do przodu, jakby chciała uderzyć córkę, potem wydała

zdławiony jęk i chwyciła się za głowę.

Erin zapłonęła rumieńcem w poczuciu winy, ale zwróciła się do Rivy.

- Powiedz jej, ciociu! - błagała. -
Przekonaj ją, żeby zrozumiała, iż w tej
wycieczce nie ma nic złego. Znasz
Joshę, nie

zrobiłby niczego niewłaściwego!

Riva podniosła się i pogłaskała
dziewczynę po ręce.

- Erin, kochanie, chciałabym ci pomóc,
ale muszę przyznać, że twoja matka ma
rację. Jeśli nie myślisz poważnie o

Joshu, to czy nie sądzisz, że ta wyprawa może stać się kuszeniem losu?

- Gdybyśmy chcieli kusić los, jak to nazywasz, moglibyśmy zrobić to tutaj, w Nowym Orleanie!

- Rozumiem, ale...

Twarz Erin wykrzywiła się gniewem.

- Nie, nic nie rozumiesz! Sądzisz, że młodzież wskakuje do łóżka przy pierwszej okazji, jaka im się nadarzy. To

zastanawiające. Czyżby wynikało z twych własnych doświadczeń? Co ty robiłaś, gdy byłaś młoda lub co robisz

teraz,

gdy trafia ci się okazja?

- Erin! – krzyknęła oburzona Riva.

Margaret znów włączyła się do rozmowy.

- Dostyc tego, moja panno! – krzyknęła.

- Tak, dostyc! – potwierdziła Erin. –

Więcej nawet niż dostyc! Jestem pełnoletnia. Jeśli zechcę pojechać, jeśli będę

miała ochotę przespać się z Joshem lub z połową mężczyzn w Nowym Orleanie, to nic na to nie poradzisz; żadna z

was mnie nie powstrzyma!

Zbiegła z tarasu. Siostry słyszały głuchy odgłos jej kroków na wyłożonych dywanem schodach. Kilka minut później jej

mały samochód z rykiem silnika i piskiem opon ruszył sprzed domu.

Riva usiadła. Sięgnęła po kawę i wypiała łyk; Napój był zimny i gorzki. Odstawiła filiżankę. Erin była z usposobienia

bardzo podobna do Beth, za bardzo...

Margaret, wciąż ściskając dłońmi skronie i pierś, spojrzała ze złością na siostrę.

- To twoja wina! Erin nigdy dotąd mi się nie sprzeciwiała; nigdy nie mówiła takich rzeczy! Zdemoralizowałaś ją swoimi

liberalnymi poglądami, zepsułaś ją, dając jej wszystko, czego tylko zechciała. Jeśli wyjedzie z tym chłopakiem i

popęlni tę okropną zbrodnię, wszystko spadnie na twoje sumienie. To wszystko, co mam do powiedzenia: wina

spadnie na ciebie!

Riva spojrzała na siostrę pustym wzrokiem.

- Nie będzie to nic nowego, Margaret. Zawsze wszystko spada na mnie.

- Zgadzam się. Dlatego musisz coś zrobić, natychmiast! Zanim będzie za późno.

- Staram się.

- Ale źle! Wiesz, czego chce Edison Gallant. Jasno dał ci to do zrozumienia. Widziałam to po jego oczach, gdy sądził, że

jestem tobą i podszedł do mnie.

Wszystko, co musisz zrobić, to zgodzić się na jego żądanie.

- Czy właśnie dlatego zostawiłaś mnie z

nim, abym mogła mu to obiecać?

- Zachowujesz się tak, jakby miał to być twój pierwszy raz. O co ci w końcu chodzi? Czemu nie chcesz?!

- Jeśli nie wiesz, nie będę ci w stanie tego wytłumaczyć. – Riva zacisnęła zęby, by powstrzymać się od dodania niepotrzebnych słów.

Rysy Margaret zeszywniały.

- Wydaje mi się, że to w końcu niewiele, zwłaszcza że w grę wchodzi przyszłość twojej córki...

Riva ze zdumieniem wpatrywała się w

siostrę. Po raz pierwszy Margaret przyznała, iż Erin nie jest jej córką! Wcześniej

Riva dokonywała różnych sztuczek, by zmusić siostrę do tego wyznania. Nieraz miała ochotę krzyczeć na nią za

uporczywe przypisywanie sobie rodzicielstwa, nawet wobec prawdziwej matki.

Bywały dni, gdy szeptała cichutko: „moja córka”, albo „moja mała dziewczynka” – tylko po to, by upewnić się, że

kiedyś urodziła dziecko, które bez reszty stało się własnością Margaret. Teraz

niemal przeraziło ją stwierdzenie
siostry.

Chrząknęła, by pozbyć się dławiącego
ucisku w gardle.

- Na Edisonie nie można polegać. Może
oświadczyć, że chce tylko tego jednego:
bym poszła z nim do łóżka, a potem
wciąż domagać się czegoś więcej!

- Mimo to twierdzę, że musisz mu dać
wszystko, czego zażąda – powiedziała
Margaret, mocno chwytając nadgarstek

Rivy. – Jeśli tego nie zrobisz, naprawdę
nie wiem, jak będziemy żyć dalej.

Nim skończyła mówić, w drzwiach prowadzących do holu pojawił się Boots. Podszedł do sióstr z wyrazem oszołomienia na czerwonej twarzy.

- O co chodzi? – zapytał. – Co się dzieje z Erin? Wyglądała na zapłakaną, gdy przemknęła koło mnie na dole. Nawet się nie przywitała.

Margaret odchyliła się na krześle, machając lekceważąco dłonią.

- Nic. Nic się nie dzieje.

- To nieprawda, Margaret. Słyszałem, co powiedziałaś Rivie, i wiem, że ma to

jakiś związek z Erin i synem Edisona.

Chcę wiedzieć, o co chodzi.

Boots przybrał stanowczy ton. Jego umysł nie był zbyt błyskotliwy, ale za to w pełni zrównoważony. Kiedy zaś Boots

uparł się przy czymś, wytrwałością przewyższał nawet buldoga. Wydawało się więc bardzo prawdopodobne, że

będzie tak stał, aż dowie się prawdy.

- Dobrze – powiedziała jego żona z rozdrażnieniem i w kilku krótkich zdaniach zreferowała mu wszystko, co się

zdarzyło, aż do chwili, gdy Erin opuściła rezydencję. Gdy skończyła, Boots pokiwał głową.

- Jedyne wyjście widzę w powiedzeniu Erin prawdy. Musi się dowiedzieć, że Josh jest jej przyrodnim bratem.
- Riva nie chce, by Erin o tym wiedziała – odparła ostro Margaret.
- Erin jest dorosła, zniesie to – twierdził uparcie Boots.
- Na pewno – powiedziała Riva z grymasem na twarzy. – Ale czy mogę to zrobić?
- Jeśli twoja reputacja jest dla ciebie

ważniejsza... – zaczęła Margaret.

- Nie moja; chodzi mi raczej o Staulet Corporation – odparła Riva. — Jeśli ta historia stanie się głośna, to – zgodnie z przewidywaniem Edisona – dotknie prócz mnie także wielu innych osób.

Margaret podniosła się z ponurą miną.

- Pozostaje więc tylko jedno. Riva wie, o co chodzi, ale jest zbyt dumna, by na to przystać. Teraz jednak mi wybaczenie; muszę zażyć lekarstwa.

Boots nie wykazywał chęci pójścia za żoną. Stał pogrążony w myślach. Riva

spytała w końcu:

- Napiłbyś się kawy, Boots?

- Co...? Tak, chętnie – odparł.

Nalał sobie kawy i usiadł na krześle, które opuściła Margaret. Wsypał łyżeczkę cukru do filiżanki i mieszał czarny

napój, obserwując wirowanie płynu, a potem odstawił kawę, nawet jej nie próbując. Spojrzał niepewnie na Rive.

- Ona nie ma tego na myśli, wiesz?

Myśli Rivy wędrowały ku Erin; co teraz robi, dokąd jedzie w takiej furii i czy nie

jest zbyt zdenerwowana, by rozważnie
prowadzić samochód.

- Mówiłeś coś?

- Mówiłem o Margaret. Ona nie
oczekuje wcale od ciebie, byś zrobiła
coś, co uważasz za niewłaściwe. Jest po
prostu

zdenerwowana. Gdy wpada w szal,
mówi rzeczy, których w rzeczywistości
nie myśli. Taka już jest...

Boots jest naprawdę dobrym
człowiekiem. Riva uśmiechnęła się ze
znużeniem.

- Wiem, nie martw się.

Napięcie na jego twarzy zmalało, ale nie widać, żeby był zadowolony.

- Ostatnimi czasy Margaret robi się coraz bardziej religijna – mówił. – Czyta Biblię, modli się co wieczór niemal całą

godzinę. Ograniczyła picie n rbona i coli, nie bierze dodatkowych tabletek valium. Ma bałagan w głowie. Myślę, że

ją to przytłacza – to wszystko, co wydarzyło się przed laty. Ta sprawa z Joshem Gallantem przywróciła wspomnienia.

- Tak, nam obu.

- Choć jest w tym także coś więcej.

Ona... ona jeszcze nie pogodziła się z tym, że nie może mieć własnych dzieci.

A

powinna mieć pięcioro czy nawet sześcioro, by móc się o nie martwić, troszczyć i być wciąż zajęta. Ma tylko Erin.

Myślę, że zawsze była w jakimś sensie zazdrosna, dotknięta faktem, że Erin jest twoją córką. I przypuszczam, że – choć

to śmieszne – odczuwa to jako karę; myśli, że gdyby nie zabrała twojego dziecka, mogłaby mieć własne.

- Zrobiła to, co uważała za najlepsze w tamtej chwili.

- Ale to było to, czego ona chciała, a nie to, czego było trzeba tobie. I ona nigdy tego nie zapomniała. Dlatego właśnie,

gdy Erin tu przyjechała, Margaret wystraszyła się, że ją zabierasz; że Erin zmieni się przez to, co możesz jej

zaoferować; przez to wspaniałe życie. I że z nami nie będzie już nigdy szczęśliwa.

- Nigdy nie miałam takiego zamiaru – rzekła Riva, kręcąc przecząco głową. – Chciałam tylko ofiarować Erin coś, czego

sama nie mogłam mieć, gdy byłam dziewczyną.

Boots skinął głową.

- Margaret również tego nie miała.

Czuje się przez to głęboko dotknięta.

Nigdy nic nie mówi, ale wiem, że gnębi ją, iż

nie miała wspaniałych ciuchów, biżuterii i samochodów, które masz ty, odkąd poślubiłaś Stauleta. Że nigdy nie

zobaczy miejsc, w których byłaś, ani rzeczy, które widziałaś. Ją to boli.

- Nic na to nie poradzę. Proponowałam, by pojechała ze mną do Europy. Wiecie

też, że oboje możecie zawsze

korzystać z moich domów w Kolorado i na wyspach.

- Wiemy. Ale jej nie chodzi tylko o miejsca i domy. Chodzi o ludzi, których znasz i którzy znają ciebie. O rzeczy, które

możesz robić, o życie, jakie prowadzisz. Myślę, że Margaret czasem chciałaby być tobą choćby przez krótką chwilę.

- Och, Boots, Margaret ma przecież tak wiele: ciebie, Erin i tyle lat przyzwoitego rodzinnego życia wśród ludzi,

których zna od dzieciństwa. Ma
poczucie własnych korzeni, ma
prawdziwych przyjaciół – zamiast życia
na

powierzchni i zastanawiania się, co
ludzie mówią o niej, gdy się odwraca.
Margaret ma ciebie... –

Zatrzymała się nagle. Niektórych spraw
lepiej nie ubierać w słowa.

- Tak, na ogół wszystko jest z nią w
porządku, ale są dni, gdy poczucie
krzywdy wprost ją zżera.

Riva patrzyła przez dłuższą chwilę na
szwagra.

- Musisz bardzo kochać Margaret, skoro tak dobrze ją rozumiesz.

- Jesteśmy małżeństwem od tak dawna – odpowiedział, poprawiając się na krześle.

- Teraz dociera do mnie, że znaczną część owego czasu spędziłeś opiekując się moją córką, zapewniając jej spokojny,

dobry dom. Zawsze byłam ci wdzięczna, choć nigdy tego nie powiedziałam.

- Teraz także nie musisz mi dziękować – odparł swym mrukliwym głosem. – Uznałem Erin za własne dziecko. Zawsze

tak było i zawsze już tak zostanie.

Riva uśmiechnęła się napotykając jego szczere spojrzenie.

- Jeśli chodzi o Margaret – powiedziała po chwili – wiem, że czasami jest trochę zgryźliwa, ale to nie ma żadnego

znaczenia. Zrobiła dla mnie tak wiele, że muszę jej wybaczać.

- Ona także o tym wie i liczy na to. Obawiam się, że zbyt często.

Przyglądała się jego zaokrąglonej, uczciwej twarzy, zauważając jej kolor, lśnienie potu na górnej wardze i napięcie w

oczach. Tak otwarta rozmowa o żonie musiała go wiele kosztować. Ważne było, że uczynił taki wysiłek. Z wolna

dotarło do niej, że niepokoi się, iż Margaret zmusi ją do zrobienia czegoś, na co nie miała ochoty – tak jak uczyniła to

wiele lat temu.

Powoli pokiwała głową.

- Zapamiętam to – obiecała. – Ale nie obawiaj się; nie zrobię niczego, czego sama nie chcę.

- Kłopot polega tylko na tym, że z jakiegoś powodu mogłabyś uznać, że

chcesz tego.

Riva nie odpowiedziała, ponieważ nie było na to odpowiedzi.

*

Noel wyjechał z Bonne Vie bardzo wcześnie. Wiedział, że to tchórzostwo, ale nie czuł się na siłach, aby prowadzić uprzejmą rozmowę przy śniadaniu. Nie chciał też spotkać Rivy niemal tuż po tym, co zaszło ubiegłej nocy.

Zapomniał się. Riva sprawiała wrażenie tak nieosiągalnej, w swojej połyskliwej kremowej sukni, że nie mógł znieść jej

widoku w ramionach Edisona Gallanta. To ją w jakiś sposób plamiło, a przypuszczenie, że może nieświadomie go do

tego zachęcała, przyprawiało Noela o szaleństwo. Chciał, by była świadoma, że on chętnie zająłby miejsce Gallanta.

Może i jemu by się udało?...

Takiego poczucia balansowania na krawędzi Noel nie odczuwał od pierwszego tygodnia pobytu w Wietnamie, gdzie

był doradcą wojskowym. Tego właśnie było mu trzeba, kiedy ojciec wyrzucił go z domu ze względu na tę młodziutką

pannę młodą, której obaj pragnęli, a Noel odczuwał taki ból, że było mu niemal wszystko jedno, czy zginie, czy nie.

Tak przynajmniej wówczas uważał. O tym, że się myli, przekonał się, gdy usłyszał świst pocisku tuż nad głową. Żal, że

wstąpił do marynarki zamiast przystać na wysłanie do biura w jakimś cichym zakątku Paryża, ustąpił miejsca

rozgoryczeniu i złości. Te uczucia pozostały w nim, zapobiegając szaleństwu w obliczu zagrożenia życia.

Połowa

heroicznych czynów, za które później przypięto mu medale, wywodziła się z faktu, iż odmawiał pozostawania na

boku. Wystarczyło, że zrobił to raz, zostawiając za sobą wszystko, co miało dla niego znaczenie. Nie chciał powtórzyć

tego błędu.

Noel bardzo lubił jazdę samochodem. Lubiał warkot dwunastocylindrowego silnika pod maską BMW 750 IL, lubił

wchodzenie w zakręty Great River Road, która wiodła wzdłuż brzegu Missisipi. Świadomość panowania nad sytuacją

leżała w jego naturze. Nie zastanawiał się przy tym, czy należy to uznać za zaletę, czy też wadę. Wielu dyrektorów

niepokoilo się problemem swego bezpieczeństwa; angażowali ochroniarzy i instalowali w swych samochodach

urządzenia mające udaremnić uprowadzenie. Nawet George przeszedł kurs ochrony pasażera, nie mówiąc już o

związkach z kołami wojskowymi i wyczerpującymi ćwiczeniami szkoły przetrwania w Nam. Jednak Noel wolał polegać

raczej na silniku swego samochodu, na licencjonowanej broni w schowku na

rękawiczki oraz na sobie samym.

Wspomnienie Rivy trzymanej w ramionach zakłóciło jego spokój ducha. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy

obejmował kobietę, a całe wieki od momentu, gdy była to Riva. Wiedział, jak to będzie i nie mylił się - zakazany owoc.

Znów poczuł się dwudziestojednoletkiem z kompleksem Edypa. A może to była tylko farsa? Z takiej perspektywy

czasu trudno orzec.

A jednak wciąż miał w pamięci smak

warg Rivy i zapach jej ciała. Wspominał je w czasie bezsennych nocy, tworząc z

nich żywą wizję, obraz ciała, które układało się w jego łóżku - wyobrażenie wdzięczne, bezgranicznie mu powolne.

To

pomagało. Jednak rzeczywistość była ponura i Noel zaczynał wątpić we własny zdrowy rozsądek. Rozmyślając o tym,

czuł w sobie ogień. By stłumić ból, musiał użyć wszystkich swych sił.

Opiekuj się Riva.

Z całej siły zacisnął ręce na kierownicy,

gdy te słowa zabrzmiały w jego mózgu. Ojciec leżący na łożu śmierci ośmielił się zwrócić z tą prośbą do Noela.

Chwycił wtedy ramię syna, spojrzał na niego z nadzieją, rozpaczą i... tak, z miłością, i wydał mu to polecenie. Noel żałował, iż nie domyślił się, co ono oznacza. Było wyrazem ojcowskiego zaufania czy przyzwoleniem?...

Nie potrzebował żadnego przyzwolenia; nigdy nie było mu potrzebne. Tym, czego pragnął, wtedy i teraz, było rozgrzeszenie.

Zaopiekuje się Riva.

Noel zazwyczaj nie chadzał na spotkania klubów obywatelskich. Gdy wrócił do Nowego Orleanu, kilka klubów

zwróciło się do niego z propozycją członkostwa, ale odmówił. Nie był amatorem zrzeszania się, a w czasie pobytu w

Europie stracił orientację w problemach, jakimi kluby te się zajmowały. Jego telefon do przyjaciela - w sprawie

organizowanego przez stowarzyszenie handlowców lunchu, w którym miał zamiar dziś uczestniczyć - związany był

raczej z zaproszonym tam prelegentem niż z zainteresowaniem niewątpliwymi osiągnięciami towarzystwa.

Człowiekiem, który przyciągnął jego uwagę, był Edison Gallant.

Kilka godzin później Noel, przyglądając się i przysłuchując temu człowiekowi, oceniał jego wygląd i słowa, z nadzieją,

iż jest w swym sądzie obiektywny, rażenie siły, nieźle brzmiący głos, dobry wygląd - wszystko wzorowane na

wypróbowanym stylu Ken-nedych z dodatkiem południowego akcentu - oraz doktryna aktywnego przywództwa i

propozycja cięć, zmierzające do wsparcia gospodarki stanu... Brak konkretów... W dodatku zaś napięcie w ruchach i

w twarzy mówcy świadczyło, że wcale nie odczuwa on pewności, której wrażenie starał się stworzyć.

Wystąpienie Gallanta zostało jednak dobrze przyjęte i po zakończeniu lunchu jego zwolennicy tłoczyli się wokół, by

mu to powiedzieć. Wkrótce także i Noel mógł z nim porozmawiać. Po grzecznościowych komplementach na temat

przemówienia poprosił, by Gallant

poświęcił mu kilka minut.

- Czy to ważne?

- Być może.

- Jak mam to rozumieć?

- Nie mam pojęcia, co jest dla pana ważne. Mam jednak wrażenie, że kandydaci zawsze są zainteresowani wsparciem

ich kampanii.

Edison ściągnął usta.

- Mam wystarczające fundusze na kampanię. Mógłbym nawet powiedzieć,

że więcej niż wystarczające.

Noel skłonił głowę, choć był nieco zaskoczony reakcją Gallanta.

- Jeśli ma pan dość środków, nie będę marnował pańskiego ani mojego czasu.

- Niech pan zaczeka - powiedział Edison. - Czy to, o czym chce pan ze mną rozmawiać, dotyczy pieniędzy?

- To sprawa obustronnych korzyści; zdaje się, iż tak się to zwykle nazywa.

Edison roześmiał się.

- W trudnej sytuacji chętnie skorzystam z pomocy człowieka o takich wpływach

jak pańskie. Za chwilę do pana
przyjdę.

Pół godziny później siedzieli w
hotelowej kawiarni, w której odbyło się
spotkanie. Byli sami, jeśli nie liczyć
odzianej w

różowe uniformy dwuosobowej ekipy
hotelowej sprzątajacej bufet.

- Wspomniał pan o wsparciu?... - zaczął
Edison, gdy zamówili kawę, a kelnerka
poszła po nią.

Noel oparł się o krzesło. Ten brak
subtelności w pytaniu był zarówno
irytujący, jak i satysfakcjonujący;

irytujący z

powodu oczywistej próby nacisku,
satysfakcjonujący zaś dzięki temu, iż
Noel, przyjrząwszy się wcześniej
Edisonowi,

nie oczekiwał innej reakcji.

- Wspomniał pan, że nie odczuwa
braków?...

- Rozważyłem wszystko ponownie.
Zawsze znajdzie się sposób
spożytkowania dodatkowych środków,
zwłaszcza jeśli

chodzi o jakąś korzystną transakcję.

- Jest taka możliwość - oznajmił Noel.

- Ile?

Noel patrzył prosto w oczy polityka.

- A ile pan potrzebuje?

- Wezmę wszystko, co nie jest nielegalne - odparł Edison z cierpkim uśmiechem. - Nie mam ochoty bawić się w

ciuciubabkę - dodał, pochylając się przez stół ku Noelowi. - Czego pan naprawdę chce?

Noel rozwinął serwetkę, wyjął z niej łyżeczkę i uniósł ją do góry. Potem jej

czubkiem narysował na stole kółko.

- Informacji - rzekł w końcu.
- Na jaki temat?
- Pana związku z Riva Staulet.

Edison roześmiał się i rozparł na krześle.

- Powiniennem był to przewidzieć!
- Czyżby? - Na twarzy Noela nie drgnął żaden mięsień.
- Pan także chciałby tej suki?
- Przypominam, że mówi pan o żonie

mojego zmarłego ojca i nie podoba mi się określenie, jakiego pan użył.

Traktuję

je jako zniewagę nazwiska ojca i
mojego.

- O Boże, myślałem, że to gównem skończyło się wraz z wojną domową.

- Był pan w błędzie.

- To o co, u diabła, chodzi? Chce pan z niej wycisnąć forszę pańskiego starego, bez uszczerbku dla jej nieskazitelnego

imienia?

- Bardziej interesuje mnie, czego p a n

od niej chce.

- Chcę ją zerznąć, i kropka, jeśli już musi pan wiedzieć.

- A czego chce ona? - Głos Noela brzmiał twardo.

- Bóg jeden wie. Ja nigdy tego nie wiedziałem.

Noel spojrzał na niego uważnie.

- Nie sędzę, by to była cała prawda.

- Mniej więcej tyle, ile pan odsłonił mi swojej -odparł Edison z pełnym napięcia śmiechem.

- Tak... - powiedział cicho Noel. - Więc nie ma pan niczego, czego ja chcę?

- Sądziłem, że już otrzymał pan ode mnie informację.

- Zdobędę to, o co mi chodzi, gdzie indziej, choć zabierze to więcej czasu.

Niepokój przebiegł przez twarz Edisona, gdy jego wzrok spotkał nieugięte spojrzenie Noela.

- Nieważne! - Machnął ręką. - I tak ma pan więcej niż ja szans, by znów dorwać się do tej suki. Ma pan też więcej siły.

Co pan z tym zrobi, to nie mój interes. Więc co jeszcze chciałby pan wiedzieć?

ROZDZIAŁ 11

Riva siedziała w półmroku górnego, frontowego krużganka Bonne Vie i spoglądała na Douga Gorsline'a, który właśnie

przyjechał. Było wczesne popołudnie, a Erin wróciła pół godziny wcześniej. Jedną z wielu zalet tej dziewczyny było to,

że zawsze pamiętała o swoich zobowiązaniach. Unikała jednak zarówno Rivy, jak i Margaret, przejmując na siebie

obowiązek zabawiania dzieci Noela od znalezionej dla nich opiekunki - jednej z

wnuczek George'a i Liz. Teraz znów

była w basenie z Coralie i Piętem, gdzie sędziowała wodne walki malców i starała się utrzymać te diablęta w

zacienionym końcu basenu, by uchronić je przed porażeniem słonecznym.

Fotograf wysiadł z samochodu i długo wpatrywał się w dom. Bonne Vie budziła w niektórych ludziach podziw i

zarazem nostalgię, zaprawione niekiedy zazdrością. Fakt, iż przybysz okazał się wrażliwy na dawną świetność

rezydencji, sprawił, że Riva spojrzała na niego przychylniejszym okiem,

wybaczając mu w duchu bezwzględność
w

rejestrowaniu terażniejszości.

Doug Gorsline ruszył się w końcu i zniknął pod krużgankiem. Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Riva usłyszała, że

gościa wpuszczono, potem wstała, weszła do domu, a następnie górnymi schodami przeszła na tylny krużganek.

Nie lubiła hazardu, bez względu na to, jak dobrze wykalkulowała ryzyko. Dłonie miała wilgotne od potu, a żołądek

ściśnięty. Dziwaczne obrazy kłębiły się w jej mózgu, a usta ułożyły się w smutny uśmiech. Nie mogła się zdecydować,

czy jest pająkiem, który zaprosił muchę, czy też babcią, do drzwi której puka wilk.

Myśl, że próbuje kierować życiem córki, sprawiła, iż poczuła się intrygantką.

Miała wprawdzie jak najlepsze intencje,

ale ingerowanie w życie innych ludzi zawsze uważała za nadużycie. Czasami nie da się temu zapobiec, ale nigdy nie

należy robić tego celowo. Tym razem chodzi o spokój ducha jej samej.

Świadomość ta wcale nie przyniosła jej

ulgi.

Najzwyczajniej w świecie miała nadzieję, że Doug Gorsline wkradnie się na miejsce Josha Gallanta w sercu Erin.

Był

inteligentny, elokwentny, przystojny i cechował go ten rodzaj upor, który może podobać się młodej kobiecie.

Ponadto był wyraźnie zadurzony. A może to tylko kwestia doskonałego aktorstwa? W takim wypadku jego

reporterski instynkt mógł być groźny.

Widok z tylnego krążanka rozciągał się poza basen, obejmując zamykający go

rząd kolumn oraz szeroki trawnik ze

starymi drzewami, ciągnący się do stawu. Blask popołudniowego słońca odbijał się srebrzystym lśnieniem na

przypominającej świątynię budowli, stojącej w środku porośniętej trzcina nieruchomej wody. Nawet z krużganka

widać było umieszczony w mrocznym wnętrzu ogromny posąg Buddy.

Ta ogrodowa budowla była ulubionym miejscem Cośmy. Często w letnie poranki pili tam razem kawę, obserwując

wschód słońca. Riva nie bywała tam od

śmierci męża. To miejsce boleśnie przypominało jej stratę. Poczowała się więc

zbulwersowana widokiem Douga Gorsline'a wędrującego w tamtym kierunku. Przekraczał w ten sposób granice,

które gotowa była zaakceptować. Fakt, iż znalazł się w rejonie basenu, nie budził jej sprzeciwu, ale miejsce, do

którego zdecydowanie zmierzał, było dla pani domu sanktuarium.

Po chwili zobaczyła powód, dla którego przybysz obrał ten kierunek. Erin i dzieci, opuściwszy basen, urządziły

sobie

piknik u stóp wielkiego Buddy.

- Kto to jest?

Riva drgnęła, przestraszona pytaniem Margaret. Tak była pochłonięta sceną rozgrywającą się przed jej oczami, że nie

usłyszała kroków siostry.

- To Doug Gorsline - odpowiedziała, oczekując wybuchu złości Margaret.

- Doug... Czyż nie tak brzmi imię tego fotografa, który... Co on tu robi?! - Głos Margaret wzniósł się niemal do krzyku.

- Uspokój się. Chciał zobaczyć się z Erin.

- Zwariowałaś?! Wiedziałaś, że przyjdzie, prawda? Gdy dziś rano wspomniałaś o jakimś fotografie, nie przyszło mi do

głowy, że masz na myśli akurat tego. Sądziłam, iż ma to coś wspólnego z kampanią albo ze szkołą.

- To atrakcyjny młody człowiek zainteresowany Erin. Ktoś inny niż Josh. On jest z gazety!

Zdawało się, że Margaret nie dowierza Rivie. Jej zdaniem siostra nie rozumiała sytuacji. Krzykiem chciała uświadomić

jej zagrożenie. Oczy miała szeroko otwarte, gdy patrzyła, jak młody mężczyzna dociera do świątynnej altany i

przykłęka, jakby chciał się przyłączyć do pikniku.

Riva złapała siostrę za ramię i lekko nią potrząsnęła.

- Weź się w garść! Czy chcesz, żeby wszyscy w domu wiedzieli, co się dzieje?!

- A niech się dowiedzą! I tak przestanie to być tajemnicą, gdy tylko ten kretyn rozgrzebie wszystko.

- Nie sędzę, by o to mu chodziło.

- Głupia jesteś! - krzyknęła siostra.

- Na Boga, Margaret! On zrobił zdjęcia!
To jeszcze nie zbrodnia!

- Czy ty nie widzisz, że on tu węszy,
szukając Bóg wie czego?! Nie mogę
uwierzyć, że pozwoliłaś mu przyjść. To
tak,

jakbyś go zaprosiła!

Riva nie zwracała uwagi na tę tyradę.
Czyniąc szybki gest nakazujący ciszę,
zamarła w skupieniu. Z dołu dochodziły

jakieś głosy. Spojrzawszy w tamtym

kierunku zobaczyła mężczyznę, który wyłonił się spod galerii. Okrążył susami

basen i zmierzał prosto do stawu. Gdy wyszedł z cienia dębów, słońce padło na jego włosy, odbijając się w nich

miękkimi złotawymi blaskami.

To był Josh Gallant, który najwyraźniej uporał się już ze swymi obowiązkami w sztabie wyborczym ojca. Erin

dostrzegła go i krzyknęła coś radośnie na powitanie, a jej głos niósł się echem po jeziorze. Podniosła się i ścieżką, a

potem mostkiem przerzuconym nad wodą, pobiegła w kierunku przybysza.

Rzuciła się w jego ramiona i uniosła twarz

do pocałunku. Przywarli do siebie w serdecznym uścisku, a potem poszli w stronę świątyni.

- Widziałaś to?! - syczała Margaret. - Widziałaś?! To się musi skończyć! Musisz coś zrobić! Jeśli nie potrafisz tego

ukrócić nie pogarszając sprawy, to ja się tym zajmę! Słyszysz? J a to zrobię!

Odwróciła się gwałtownie i skierowała w stronę szerokich drzwi prowadzących do wnętrza domu. Riva nie

odpowiedziała, gdyż nadchodziła właśnie była żona Noela; usunęła się na bok, gdy Margaret wpadła w drzwi, a potem weszła na krużganek. Stała z ręką ocieniającą oczy i patrzyła na staw. Uśmiechnęła się widząc dzieci z Erin.

Obie w milczeniu przyglądały się Erin, która w towarzystwie Coralie i Pietra trzymających się za ręce oraz z dwoma młodymi mężczyznami kierowała się do domu.

Riva zobaczyła Constance po raz pierwszy od zeszłej nocy. Constance wróciła późno. Mimo popołudniowej godziny

jeszcze nie była ubrana. Miała potargane włosy, nie umalowaną twarz i wciąż otulał ją peniuar z bawełny w kolorze

morskiej wody, do którego włożyła odpowiednio dobrane pantofle. Miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat i była piękna.

- Dobrze spałaś? - zapytała Riva, chcąc przerwać coraz bardziej krępujące milczenie.

Constance rzuciła jej drwiący uśmiech.

- Bardzo. Podoba mi się twój przyjaciel Dante. Jest szalenie sympatycznym i pogodnym mężczyzną.

- Owszem - zgodziła się Riva uprzejmie.
- Jak widzisz, nie musisz martwić się o dzieci. Erin je zabawia.

- Jakaż ona miła. I widzę też, że, podobnie jak jej ciocia, lubi dwóch mężczyzn naraz.

- Słucham?!

- Nic, nic - powiedziała Constance, słysząc chłód w głosie Rivy. - Po prostu wydaje mi się, że masz tak wielu przyjaciół.

Przyszło mi na myśl... Ciekawe, czy mogłabyś uzyczyć mi Dantego.

- Dante nie jest moją własnością, bym

miała go użyzczać - odparła Riva spokojnie. - Sam dobiera sobie przyjaciół.

- Cóż za wielkoduszność. Zatem nie będziesz miała nic przeciwko temu, bym go zaanektowała?

- Na czas twojego pobytu tutaj?

- Może i na dłużej... - odpowiedziała Constance, uśmiechając się drapieżnie.

Riva odwróciła się, by stanąć z nią twarzą w twarz.

- Nie jestem pewna, do czego zmierzasz, ale to i tak nie ma znaczenia. Jak już powiedziałam, Dante sam dobiera sobie

przyjaciół.

- To dziwne.

- Cóż w tym dziwnego?

Constance patrzyła ze zdumieniem na Rive.

- Dziwne, że zamiast okazać zazdrość reagujesz w taki właśnie sposób.

- Do zazdrości niezbędna jest obawa...

- A ty się mnie nie obawiasz? Cóż za pewność siebie!

- To cię niepokoi? - zapytała Riva. - A może bierze się to stąd, że wiem, iż

Dante ma na głowie ważniejsze sprawy.

- Czyżby?

Sceptycyzm w głosie Constance kazał Rivie mówić dalej.

- Na przykład nieoczekiwane pojawienie się ostatniej nocy w jego restauracji nad jeziorem narkotyku XTC, znanego

też jako „Ekstaza”. Dotychczas zawsze udawało mu się utrzymać to miejsce czyste; nie było w nim handlarzy ani

pośredników, ale teraz sytuacja się zmieniła. Dante nie chce, aby ta restauracja stała się znana jako kolejne

„miejsce

X". Zbyt ciężko pracował, by teraz miał się pogodzić z taką sytuacją.

- Rozmawiałaś dziś z nim? Wpadł tu, by się z tobą zobaczyć?

- Telefonował.

- Nie chciał ze mną rozmawiać?

- O ile wiem, nie! Constance wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że musi rzeczywiście martwić się tym narkotykiem. Nie znam się na tym jednak.

Ta uwaga zabrzmiała tak, jakby XTC nie stanowił niebezpieczeństwa.

- Ten narkotyk produkowany jest z amfetaminy i meskaliny z południowo-zachodnich Indii. Jest bardziej

śmiercionośny niż każdy z tych składników z osobna. Z tego, co wiem, powoduje jakieś wyjątkowo dziwne reakcje,

zarówno fizyczne, jak i psychiczne, choć jego szczególna atrakcyjność polega w tej chwili na tym, iż wydaje się

afrodyzjakiem.

- Ach, zaczynam rozumieć.

Riva wątpiła w to. Jej własne problemy bardziej zagrażały Dantemu niż nowy narkotyk. Wielu ludzi, wśród nich i

Margaret, czuło, że Dante wiedział o rozprowadzaniu narkotyków więcej, niż się do tego przyznawał, i że robił tyle

szumu wokół utrzymywania restauracji na jeziorze w czystości od narkotyków, by wyglądać na niewinnego. Szeptano

o tym od lat. Od chwili, gdy pojawił się wśród Włochów na French Market, łączono go z postaciami z podziemia i ich

ryzykownymi transakcjami. Riva wiedziała, że Dante ma przyjaciół,

których pieniądze i zajęcia nie
wytrzymałyby

wnikliwej analizy, ale oboje, ona i
Dante, przeszli razem tak długą drogę, że
nie potrafiła uwierzyć, by mógł robić
coś

naprawdę złego. Dante był
praktykującym katolikiem. Przez
wszystkie te lata Riva poznała go na
wylot i była

przekonana, że nigdy nie popełnił
niczego niegodnego. Ta świadomość jej
wystarczała.

- A czy rozumiesz również i to, że jeśli
chodzi ci wyłącznie o romans, to trafiłaś

na niewłaściwego mężczyznę? -

zapytała.

- Sądzisz, że nie będzie tym zainteresowany? - Constance wpatrywała się w Rive z wyzywająco uniesionym podbródkiem.

- Tego nie twierdzę. Wiem tylko, że Dante jest... wyjątkowy.

- O tak, to cajuński playboy.

- Niezupełnie.

- Słyszałam coś na ten temat.

- To źle słyszałaś. Och, on oczywiście miewa kobiety, ale określonego typu. Nigdy nie wikła się w romanse z

kobietami, które mogłyby go zranić.

- Twierdzisz, że ja...

- W żaden sposób - powiedziała Riva pośpiesznie. - Usiłuję ci tylko uzmysłowić, że Dante jest mężczyzną, który jeśli już

decyduje się grać, to idzie na całość. Możliwe, że zainteresowałby się tobą, ale wtedy ostrzegałabym cię...

Niewłaściwa osoba bardzo łatwo może go zranić.

- Jestem pewna, że ty wiesz najlepiej.

Erin i jej towarzystwo zbierali się dookoła basenu. Riva poczuła nagłą chęć bycia z nimi; włączenia się w zabawę i

żarty. Szybko oddalając się od Constance, rzuciła przez ramię:

- Owszem, wiem.

- Tak mi wstyd! - Rebeka wypłakiwała się Dantemu tego wieczora, gdy po raz pierwszy tańczyła na barowym stole,

mając na sobie jedynie parę wysokich na trzy cale białych szpilek z błyszczącymi noskami i białą nylonową

falbankę

przytrzymywaną przez pasek.

Była to jedyna praca, jaką udało się jej znaleźć. W czasie, gdy dochodziła do siebie po porodzie, miejsce pomywaczki

w restauracji zostało zajęte przez mechanicznego potwora, który używał wody znacznie gorętszej, niż mogły to znieść

ludzkie ręce, i płynu tak mocnego, że mógł zetrzeć złote ornamenty na talerzach.

Nie była dostatecznie wyrobiona ani dorosła, aby pracować jako kelnerka, a

jedyna oferta dla ekspedientki została

uwieczniona rozmową prowadzoną przez
hożą siwą kobietę z wąsami, która
nieufnie patrzyła na znoszone ubrania

kandydatki i sprawiła, że poczuła się
głupia, ponieważ zakończyła edukację
na dziewiątej klasie. Odpowiedziała

również na anons oferujący posadę
pokojówki i wydała ostatniego
miedziaka na jazdę autobusem aż do
Kenner tylko

po to, by się dowiedzieć, że
poszukiwana jest czarnoskóra kobieta w
średnim wieku.

Była zrozpaczona. Margaret wciąż twierdziła, że przez wzgląd na matkę Rebeka nie może wrócić do domu, i zaznaczała, że pensji Bootsa nie wystarczy nawet na tydzień pokrycia wydatków dwóch domów. Siostra utrzymywała

Rebekę ponad dwa miesiące po przyjściu na świat dziecka i uważała, że to wystarczy. Rebeka nie zapłaciła czynszu ani

rachunku za światło, a ostatnia puszka z tuńczykiem także się skończyła. Przez dwie noce z rzędu Dante dzielił się z nią swoją kolacją. Gdy pewnego

popołudnia zobaczyła na drzwiach baru
wywieszkę z napisem „potrzebna
pomoc”,

zebrała się na odwagę i weszła do
środka.

Mężczyzna, który z nią rozmawiał, miał
tak wielką nadwagę, że jego ciało
wylewało się wprost z garderoby i
wyglądał

jak ogromny balon napełniony wodą.
Był łysy, jego brwi przypominały żółte
gąsienice, a na twarzy malował się

kwaśny wyraz. Nie pytał, ile Rebeka ma
lat i jaką edukację. Kazał jej się obracać
przed sobą, a potem spytał, czy umie

tańczyć. Potwierdziła, i nie było to kłamstwo, ponieważ ona, Margaret i Beth chętnie tańczyły walca i rumbę, nie

wspominając już o twiście. Mężczyzna wręczył jej parę białych butów z błyszczącymi sprzączkami i kazał je

przymierzyć. Pasowały. Poruszywszy licznymi podbródkami, co miało oznaczać skinienie głową, kazał jej przyjść o

szóstej wieczorem.

To właśnie wtedy dał jej pasek imitujący spódniczkę. Natychmiast zrozumiała, co to jest, ale nie miała pojęcia, jak to

włożyć. Pokazała jej to dziewczyna o skórze koloru kawy z mlekiem, która kazała nazywać się Trixie.

Wyszczotkowała

włosy Rebki tak, że lśniąca kaskadą opadały do połowy pleców i pomogła jej włożyć falbankę. Szerokość falbanki, jak

powiedziała, była ustalona przez policję, więc lepiej, by zakrywała to, co miała zakrywać. Opowiadając, ile pieniędzy

dziewczyny zarabiają napiwkami i o rozmaitych sposobach, jakimi mężczyźni próbowali je podglądać albo ocierać się

o nie, ponagliła Rebeke, aby się pośpieszyła, nim przyjdzie szef i zapyta, czemu tak długo jej nie ma. Był starym

tłustym draniem, który wymagał, by dziewczyny tak ochoczo kręciły dupkami, jakby je to bawiło. A przy okazji - gdyby

przyszła policja, Rebeka ma powiedzieć, że ukończyła osiemnaście lat.

W obskurnej garderobie na tyłach baru nie było lustra, mimo to Rebeka wiedziała, że jest prawie naga. Nie zmieniało

to jednak w niczym sytuacji. Raz czy

dwa przechodziła z Edisonem obok drzwi tego baru przy Bourbon Street,

spoglądając na kobiety tańczące na stołach. Wiedziała, czego od nich oczekiwano. Wówczas jednak nie wydawały jej

się tak obnażone jak ona teraz.

- Nie mogę tego zrobić! - oświadczyła i sięgnęła po majtki.

Trixie, ubrana w zielony pasek i zielone buty z wywiniętymi cholewkami, przypominające obuwie łuczników z lasu

Sherwood, zachmurzyła się i ujęła się

pod boki.

- O co chodzi? - spytała. - Uważasz, że jesteś lepsza od nas?

- Nie, po prostu nie mogę!

- Może masz jakiegoś „słodkiego tatusia”, który płaci twoje rachunki? Może jesteś bogatą dziwką, a to zajęcie traktujesz jako kaprys?

- Potrzebuję pieniędzy, inaczej by mnie tu nie było. Ale nie lubię robić z siebie idiotki.

- Przyzwyczaisz się. Wszystko, co musisz zrobić, to nie myśleć o tym.

- Ale jak?! Jak mogę nie myśleć, gdy ci wszyscy mężczyźni patrzą?!

- Niech sobie patrzą! Czy to boli? A zresztą, czy to, co tam masz, jest takie wyjątkowe?

Wzrok Trixie był tak zimny, jakby nie pozostały jej żadne wspomnienia o uczuciach, które Rebeka próbowała jej

wyjaśnić; jakby zepchnęła je w najciemniejszy kąt swej pamięci.

- Nie, ja tylko...

- Posłuchaj, jeśli tam nie wyjdiesz, odpokutujemy to obie. Ten stary drań wcale się nie opieprza. Dziewczyna,

która

raz wydała pieniądze na drinka, wylądowała w szpitalu. Jeśli ty nawalisz, może dorwać także i ciebie!

- Nie może mnie do niczego zmusić! - powiedziała Rebeka, zaciskając usta i chciała odpiąć pasek.

- Nie, ale potrafi cię skłonić, abyś zechciała to zrobić. Poza tym jeśli odejdziesz, pomyśli, że to ja cię zniechęciłam, i

przyjdzie po mnie. Tego byś przecież nie chciała? - Widząc, że Rebeka się waha, Trixie mówiła dalej: - A zresztą, kto o

tym wie i kogo obchodzi, co ty robisz?

- Ja wiem.

- Tak, ale to twoje ciało i jeśli chcesz, możesz go używać, żeby zarabiać. A gdybyś miała kogoś, kto by się o ciebie troszczył, nie przyszłabyś tutaj.

Było to bardzo prawdziwe. Aż bolało. Rebeka odkryła, że potrafi uśmierzyć ten ból. Gzuła, że ogarniające ją

odrętwienie niweczy złość i zasady przyzwoitości, pozostawiając jedynie rozpaczliwą pustkę. Gdy Trixie ujęła ją za

ramię, by poprowadzić w kierunku baru, nie opierała się już.

Przypominało to wkroczenie do jaskini lwa. Było okropne i w przedziwny sposób nierzeczywiste. Muzyka grała tak

głośno, że od ściany odbijała się potężnym echem, mężczyźni zaś siedzieli przy stołach tak blisko siebie, że stykali się

ramionami i Rebeka nie mogła przejść między nimi nie ocierając się o nich. Niektórzy wyciągali ręce, by dotknąć jej

ciała. Zapach taniej whisky i marnego wina oraz szary obłok papierosowego dymu unosił się w powietrzu, wdzierał

do

gardła i uniemożliwiał niemal oddychanie. Po kilku minutach jej ciało i włosy przesiąknięte zostały tym odorem.

Jedyną dobrą rzeczą było przyćmione światło, utrudniające wypisywanie rachunków za drinki i pozostawiające podpitym patronom - jak nazywała ich Trixie - spory margines na błędy w napiwkach, ale dające również złudne wrażenia skromności.

Być może to świeżość Rivy i otaczająca ją aura zakłopotania, a może złocistobrązowe włosy lub ponętne

kszałty z

pozostałymi po ciąży krągłościami
zapewniły jej popularność tego
wieczoru. Stała się faworytką klientów.

Gdziekolwiek spojrziała, mężczyźni
wlepiali w nią wzrok, zagadywali i
machali do niej rękami. Gdy po raz
pierwszy

ktoś pomógł jej wejść na blat stołu,
Trixie była tuż obok.

- Nie myśl o tym! - szeptała pochylona
jej do ucha. - Po prostu to zrób.
Seksownie i dobrze.

Rebeka nie wiedziała, jak ma to robić.

Rozpaczliwie starała się zapomnieć,
gdzie się znajduje i jak jest ubrana czy

raczej rozebrana. Zapomnieć o
mężczyźnie, który gapił się na nią
przekrwionymi, pożądliwymi oczami, o
mężczyźnie,

który kupił ten taniec. Zamknęła oczy i
pomyślała o Erin, o matce i o nie
zapłaconych rachunkach. Potem
pozwoliła

się porwać szybkiemu rytmowi muzyki.
To praca, mówiła sobie. To tylko praca.

Dante czekał, gdy w końcu wczesnym
rankiem wróciła do domu. Twarz mu
zbladła, a potem zaczerwieniła się, gdy

powiedziała, gdzie była i co robiła.

- Mój Boże, dlaczego mi nie powiedziałaś? Znalazłbym ci coś innego, cokolwiek innego!

Jej uczucia, tak skrzętnie dotąd skrywane, wybuchły z całą siłą. Rebeka rozplakała się.

- Nie było niczego innego! Szukałam, naprawdę szukałam!

- Mówią, że grubas, który prowadzi ten interes, należy do jakiegoś gangu; że najpierw zatrudnia dziewczyny jako

tancerki, a potem je sprzedaje. On jest alfonssem, Rebeko.

- Alfonsem?

- Sprzedaje kobiety; sprzedaje ich ciała mężczyznom.

Spoglądała na Dantego tak, jakby dopiero teraz dotarło do niej znaczenie jego słów. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Co ja mam robić, Dante? Co ja mam robić? Czule dotknął jej ramienia, potem westchnął i wziął ją w objęcia.

- Już dobrze - powiedział z ustami w jej włosach. - Już dobrze. Rzecz w tym, że tak bardzo wyrastasz ponad to

wszystko.

- Sześć razy tańczyłam dla jakiegoś starca - łkała. -Sześć razy. W ogóle nie próbował mnie dotknąć tak jak inni, nie

próbował wsunąć pieniędzy w mój... w mój kostium. Za każdym razem dawał mi dwadzieścia dolarów! Za każdym

razem! Kłaniał się wtedy i całował moją rękę. Czułam się okropnie.

- Zapomnij o tym - powiedział Dante cicho i gładził jej włosy.

Stali pośrodku pokoju Rebeki, w którym czekał na jej powrót. Był maj. Otwarte na oścież okna wpuszczały chłodne

nocne powietrze. Zwisająca z sufitu goła

żarówka świeciła żółtym bladym światłem. Serce Dantego było spokojnym

rytmem tuż przy uchu Rebeki, a obejmujące ją ramiona były ciepłe i silne. Niosły pociechę i zapewniały

bezpieczeństwo. Oparła się o niego. Była tak zmęczona, tak bardzo zmęczona.

- Chere - powiedział spiętym i niższym niż zwykle głosem.

Poczuła ucisk na dolną część brzucha i zdała sobie sprawę, co się dzieje.

- Przepraszam - powiedziała miękko,

próbując się uwolnić.

- Och, chere - wyszeptał, przesuwając wargami po jej ustach.

Pocałunek był delikatny, niemal nieśmiały, jakby Dante obawiał się protestu. Nie przyszło jej to na myśl. Był dla niej

tak dobry, tak wiele mu zawdzięczała. Co więcej, kochała go uczuciem całkiem innym od owego nagłego zauroczenia,

jakie czuła do Edisona. W głębi serca chciała, by ktoś jej pragnął. Odczuwała tę potrzebę niemal boleśnie.

Poprowadziła go do sypialni. Tam, w

ciemności przeciętej strumieniem
światła wpadającego przez drzwi,
przywarli

do siebie. Ująwszy jej twarz w dłonie,
Dante całował jej oczy, policzki i brodę.
Głaszcząc ramiona Rebeki, zarzucił

sobie na szyję jej ręce i kołysał ją
łagodnie.

Zacisnęła dłonie na twardych mięśniach
pleców chłopaka i wdychała zapach
jego ciała w zgięciu szyi. Drżącymi

palcami wyciągnęła mu z dzinsów
podkoszulek i wsunęła pod niego ręce.

Opadli na materac przykrywający

skrzypiące sprężyny łóżka. Dante nie radził sobie z guzikami jej sukienki.

Oddychając głęboko, dotykał miękkich linii piersi, przesuwał po nich ustami. Poczwała gorące, szybkie ruchy jego

języka najpierw na jednej brodawce, potem na drugiej. Wodząc palcami po jej płaskim, niemal zapadniętym brzuchu,

zmierzał ku dołowi, aż dotknął ciepłego wzniesienia.

Poczwała, że drży. Przyciągnął ją ku sobie i kołysał, kryjąc twarz w jej szyi. Po chwili poczwała gorący potok jego łez.

- Co się stało? - zapytała przestraszona i przesuwała dłońmi po jego plecach, jakby szukała miejsca, które

powodowało ból chłopca.

- Nie mogę. Na Boga, chere, nie mogę.

- Ale... dlaczego? Czy mnie nie chcesz?

- Jej głos był pełen lęku. Przebiegła po jego ciele palcami.

- Pragnę cię nad życie, nad życie...

Umilkł, a ona poczuła, że jego zęby zaciskają się, a usta wykrzywiają.

- Co się stało, Dante?! - zawołała głosem pełnym przerażenia.

- Cicho, cicho... - powiedział stłumionym głosem. - To nie twoja wina, to ja...

- Nie rozumiem.

- Rzecz w tym, że gdy na ciebie patrzę, widzę Madonnę z dzieciątkiem, świętą panienkę, zbyt świętą, by jej dotykać.

Widzę cię skrwawioną i powstrzymującą łzy bólu w czasie narodzin dziecka. Widzę w tobie Marię, matkę Boga,

wybaczącą ludziom grzechy popełnione przeciwko niej. - Głos mu się załamał. - Stoisz o wiele wyżej niż ja.

- Nie, nie jestem taka! Nie jestem!

- Dla mnie jesteś - szepnął.

- Maria była czysta, nie popełniła błędów, nie była taka jak ja. Nie opuściła matki ani siostry. Nie oddała swojego

dziecka. Nie tańczyła nago przed... przed mężczyznami.

Jej łzy zdawały się płynąć z głębokiej rany. Nie wiedziała nawet, że płyną. Tym łzom straty, winy i żalu towarzyszyła

rozpacz, że ona i Dante nigdy nie będą razem. A przecież czekała na to! Póki

nie poczuła, że traci nadzieję, nie wiedziała nawet, jak bardzo tego pragnęła.

- Ty też tego nie robisz. Ty... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. To, co do ciebie czuję, jest dla mnie tak cenne, tak

szlachetne, że aż mnie przeraża. Wielbię cię, czczę. Dotykanie cię wydaje mi się równie niewłaściwe jak dotykanie

Madonny. Nie sędzę, nie jestem pewny, czy kiedykolwiek będę mógł cię zwyczajnie kochać.

- Nie chcę czci. Nie chcę tak wyglądać w twoich oczach!

Jej ciało drżało, wstrząsane dreszczami.

- Nic nie mogę na to poradzić. Bóg jeden wie, że zrobiłbym to, gdybym mógł.

- Jestem sobą - łkała cicho. - Jestem tylko sobą.

- Ciii... - szepnął. - Przepraszam, tak bardzo mi przykro.

Próbowała powstrzymać łzy. Ocierając twarz, pociągała nosem.

- To nie twoja wina. Winna jestem ja.

- Nie mów tak. To naprawdę niczyja wina. - Otarł jej twarz wierzchem dłoni,

a potem ogrzewał ciepłem swego

oddechu. - Tacy już po prostu jesteśmy.

Już świtało, gdy dotknąwszy w końcu lekko jej czoła, wyslizgnął się z łóżka. Najprawdopodobniej zdrzemnęła się w

jego ramionach, ale już nie spała.

Widziała, jak zmierza do drzwi i zatrzymując się przy nich na chwilę, odwraca w jej

stronę. Na jego twarzy malował się taki smutek, że znów ogarnął ją dojmujący żal.

W końcu odwrócił się i wyszedł przez ubogi salonik. Drzwi zamknęły się za

nim cicho.

Następnego dnia Rebeka go nie widziała. Ani on nie przyszedł, ani ona go nie szukała. Potrzebowali trochę czasu,

choćby tylko kilku godzin. Przyjdzie na pewno, nim nadejdzie pora jej wyjścia do pracy. Musieli porozmawiać

przynajmniej o tym, skoro - jak się zdawało - był przekonany, iż mógłby znaleźć dla niej inne zajęcie.

Po południu przybiegł młody magazynier ze sklepu spożywczego. Był telefon. To musiała być nagła wiadomość, w

przeciwnym razie właściciel sklepu nie zgodziłby się na wezwanie Rebeki.

Telefonowała Margaret. Rebeka musi przyjechać do domu. Matka umarła i wyglądałoby dziwnie, gdyby córka nie zjawiała się na pogrzebie.

Rebeka wcześniej myliła się bardzo; zostało jej jeszcze dużo łez. Jakże była teraz wdzięczna owemu starszemu

mężczyźnie, który dał jej tyle pieniędzy w napiwkach. Wydała je na bilet autobusowy i porządną sukienkę na pogrzeb.

Zatrzymała się u Margaret i Bootsa; w

domu, w którym się urodziła i dorastała. Spędziła tam dzień przed pogrzebem i

trzy dni następne. Przez cały ten czas Margaret prawie nie dopuszczała jej do małej Erin. Nie byłoby dobrze, mówiła,

gdyby dziecko zbyt się do niej przywiązało, jeśli znów ma zamiar wyjechać.

Możliwe, że miała rację. Dotyk dziecka, jego słodki zapach i ciepły ciężar w ramionach sprawiły, że Rebeka znów była

bliska płaczu. Czasem, gdy siedziała obok śpiącej Erin, głaszcząc delikatne włoski na dziecięcej główce, ogarniały

ją

szalone myśli. Wyobrażała sobie, jak zawija dziecko i zabiera je w nocy albo spaceruje z Erin ulicami i wchodzi z nią

wszędzie: na pocztę, do sklepów, i wszystkich informuje: „To jest moje dziecko. Wyrosło we mnie. To moje dziecko”.

Nie mogła jednak tego zrobić. Nie miała do zaoferowania córce niczego prócz miłości. Kto doglądałby dziecka, gdy

ona pracuje? Cóż to zresztą dla dziecka za życie z matką tańczącą nago na stołach baru przy Bourbon Street?! Poza

tym wszyscy sądzili, że to córka Margaret. Powiedzenie ludziom prawdy nie tylko odcisnęłoby na Margaret piętno

oszustki, ale pozbawiłoby ją sensu życia. Margaret zbzikowała bowiem na punkcie Erin. Rozwodziła się nad

wszystkim, co mała robiła, nad każdym jej uśmiechem i każdym dźwiękiem.

Wciąż besztła Rebekeę za sposób, w jaki

trzyma dziecko i jak je przewija, przez cały czas obserwując siostrę pełnymi niepokoju oczami.

Rebeka nie powiedziała Margaret, gdzie pracuje. Zresztą tamta nie pytała. Nie

pytała również o Dantego ani o to, czy

Rebeka miała jakieś wiadomości od Edisona. Zdawało się, że woli nie wiedzieć nic o życiu siostry w Nowym Orleanie,

że boi się usłyszeć coś na ten temat. Tak często mówiła o powrocie Rebeki „do domu”, że Rebeka zaczęła uważać za

oczywisty swój wyjazd do Nowego Orleanu. Dopiero gdy znalazła się w autobusie wiozącym ją na południe,

uświadomiła sobie, że nie ma już żadnego powodu do ukrywania się. Matka umarła. Dziecko, które urodziła, zostało

bezpiecznie zarejestrowane jako córka Margaret. Po cóż więc wyjeżdża?

A jednak nie mogła zostać. Lepiej dla Erin, by dorastała u Margaret i dobrego starego Bootsa, w szczęśliwej,

normalnej rodzinie. Rebeka nie była pewna, czy potrafiłaby obserwować wychowanie dziewczynki bez wtrącania się.

Poza tym dom, w którym się wychowała, wydawał się jej teraz mniejszy, miasteczko bardziej zaniedbane, a ludzie

ograniczeni. Głos Margaret był teraz dla niej irytujący, a Boots zbyt powolny. Odzwyczaiła się od nich. Nie należała

już do tego miejsca. Z ochotą zaś wracała do Dantego.

Ostatnie jardy dzielące ją od czynszowego domu przy bocznej uliczce wydawały się niewiarygodnie długie. Szła coraz

szybciej, przebiegła przez dziedziniec, cichy i spokojny w ciepłe popołudnia. Rzuciła walizkę przy zewnętrznych

schodach wiodących do drzwi i pobiegła do mieszkania Dantego.

Drzwi były otwarte, a siatka nie zasunięta. Otworzyła je szarpnięciem.

- Dante! To ja, wróciłam! - zawołała,

przekrzykując zgrzyt zawiasów.

Leżeli na kanapie. Ich lśniące potem ciała jaśniały nagością. Dante ruchami przypominającymi uderzenia tłoka

rytmicznie napierał na kobietę, która jęcząc, leżała pod nim, z głową odrzuconą do tyłu i szeroko rozwartymi nogami.

Mięśnie pleców i bioder Dantego napięte były z wysiłku, gdy nabrzmiałym, rozpalonym członkiem wdzierał się w nią

raz za razem.

Odwrócił głowę. Zaklął. Kobieta z

rozmazanym makijażem i krwistoczerwonymi paznokciami zakłęta także.

Rebeka odwróciła się i uciekła. Nie zabrała walizki. Biegła schodami w górę, jakby goniły ją piekielne stwory. Ręce

drżały jej tak, że nie mogła włożyć klucza do zamka. Gdy drzwi otworzyły się nagle, wpadła do środka, zatrzasnęła je i

przekręciła klucz.

Dante zapukał w pięć minut później. Wołał ją. Wtulona w poduszkę, leżała w łóżku, nie ruszając się i nie

odpowiadając. Wracał jeszcze dwukrotnie, co godzinę.

- Wpuść mnie, chere - prosił cicho. -
Pozwól mi wyjaśnić. To, co widziałaś,
nie miało z tobą nic wspólnego.

Przysięgam! Wpuść mnie.

Nie otworzyła drzwi. Nie mogła tego
zrobić. Po jego ostatniej próbie
nawiązania kontaktu zaczęła płakać.

Tego samego wieczoru poszła do pracy,
do baru. Poszła również drugiego dnia i
trzeciego... Dantego przestała

widywać. Myślała, że wcześniej
wychodzi do restauracji. Cieszyła się, że

nie musi go spotykać, choć było jej przykro,

że odmówiła rozmowy z nim. Nie miała prawa go osądzać. On przecież nie osądzał jej czynów. Im więcej mijało czasu,

tym trudniejsza wydawała się rozmowa. Jednak w pracy nie było czasu, by rozmyślać na ten temat.

Starszy mężczyzna, który całował ją pierwszego wieczoru w rękę, przychodził co noc. Szarmanckim gestem pomagał

jej wejść na stół i siedział cicho, patrząc z pełnym podziwu uśmiechem. Jego

szare oczy były tak wyrozumiałe i dobre,
że wprost nie mogła oprzeć się
ciekawości, kim jest ten człowiek. Nie
był tak stary jak zrazu sądziła; pewnie
miał

czterdzieści parę lat, choć w czarnych
włosach połyskiwała siwizna. Nosił się
inaczej niż pozostali klienci. Jego
ubrania

były lepszej jakości i zdradzały rękę
dobrego krawca. Nie pasował do tego
miejsca, w którym ocierał się o
robotników

z pól naftowych, piłkarzy, facetów bez
określonego zajęcia, ukradkiem

zaglądających tu mężów i zabłąkane,

zakłopotane turystki. Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego on tu bywa. Ilekroć kończyła taniec, okazywał się

bardzo hojny i nigdy nie zapominał podziękować.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedział pewnego razu. - Tęskniłem za tobą i martwiłem się o ciebie.

Minał właśnie tydzień od powrotu, gdy około drugiej nad ranem, tuż przed zamknięciem baru, wezwał ją gruby

właściciel. W jego biurze siedział pulchny mężczyzna z wypomadowanymi

ciemnymi włosami. Gdy się odezwał, w jego głosie zadźwięczał akcent świadczący, iż pochodzi on z Ameryki Południowej, choć Rebeka nie była tego pewna.

- O tę chodzi? - spytał grubas, wskazując głową w jej kierunku.

- To ona - powiedział ten drugi poprawną angielszczyzną.

- Podejdź bliżej - polecił tłuścioch z uśmiechem przeznaczonym raczej dla gościa niż wystraszonej Rebeki.

Przesunęła się o krok.

- Bliżej!

Zagryzła wargę, ale powoli posuwała się do przodu, aż znalazła się przed biurkiem grubasa, nie opodal obcokrajowca.

- Stań twarzą do drzwi - nakazał właściciel baru. Spoglądała to na jednego, to na drugiego. Muzyka

dochodząca z baru, zazwyczaj głośna, tu brzmiała cicho. W pokoju panowała duchota, bo noc była ciepła i bardzo

wilgotna, a tylko mały wiatraczek poruszał gęste powietrze. Czuła zapach olejku, jakiego obcokrajowiec używał do

włosów. Nagle, stojąc tak w szpilkach i z falbanką udającą ubiór, poczuła się bardziej naga niż na blacie stołu.

- Dlaczego? - zapytała zwilżając usta.

- Rób, co ci każę! - wycedził grubas z taką bezwzględnością, że włosy zjeżyły jej się na głowie.

Powoli odwróciła się.

- Schyl się!

- Nie - zaprotestował obcy. - To nie jest konieczne. Poczowała, że jego ręka przesuwana się wzdłuż jej biodra, a palce

wślizgują się pod pasek. Krzyknęła

przerazona i odwróciła się.

Przybysz roześmiał się i pstryknąwszy palcami zwrócił się do grubasa.

- Bardzo dobra - oznajmił. - Wezmę ją.

ROZDZIAŁ 12

Edison Gallant golił się, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Zaklął. Czemu, do diabła, ktoś musi dobijać się tu, gdy on jest

w łazience i nie ma nikogo, kto mógłby otworzyć?! Przed kilkoma minutami mogłaby to zrobić Anna. Ale, do diabła, nie! Ktoś musiał nadejść właśnie teraz!

Chwytnjąc ręcznik, otarł szybko twarz i zarzucił go sobie na ramię. W spodniach od pizamy podszedł do drzwi i

wyjrzał przez wizjer.

Za drzwiami stała kobieta. Ani młoda, ani stara; nie była odrażająca, ale również nie można by jej nazwać pięknnością.

Rozglądając się niczym dziwka obawiająca się hotelowego detektywa, poprawiała włosy i nerwowym ruchem warg

starala się równomiernie rozłożyć szminke. Miała na sobie drogą suknie z miękkiego kwiecistego materiału, która

jednak wyglądałaby lepiej, gdyby była o numer większa. Szal, jaki zarzuciła na ramiona, był z kremowego jedwabiu,

ale zalotność, z jaką okręciła go wokół pulchnych ramion, nie była udana.

Znał ją. Po sekundzie przypomniał sobie nawet jej imię. Ponury uśmiech wykrzywił mu usta. Wyciągnął rękę i otworzył drzwi.

Kobieta odetchnęła głęboko i przycisnęła rękę do piersi.

- Witaj - powiedziała zdyszczanym głosem. Świetnie. Lubił, kiedy kobiety były zdenerwowane.

- Czego chcesz? - zapytał, rzucając jej groźne spojrzenie.

- Nie... nie poznajesz mnie?

- A czy powinienem? - zapytał obraźliwym tonem, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

- Sądziłam, że tak, skoro rozmawialiśmy dwie noce temu... - odpowiedziała nadąsana.

Boże, co za idiotka!

- Nie mam czasu na zabawę. Jeśli czegoś chcesz, to wyduś to z siebie.

Zarumieniła się.

- Chciałabym porozmawiać. Jestem...
jestem Margaret, siostra Rivy i żona
twojego kuzyna Bootsa.

Oczywiście, że wiedział. Jednak wobec
ludzi, którzy czegoś chcieli, wolał
zajmować stanowisko obronne, a gotów
był

założyć się o wysoką stawkę, że
Margaret chce czegoś. Cóż... nieźle. On
także mógłby czegoś zechcieć.

- Wejdz - powiedział i cofnął się, robiąc
miejsce w drzwiach.

Obserwował ją. Widział już wiele
kobiet wchodzących do hotelowych
pokoi; kobiet różnego pokroju. Ta nie

była

przyzwyczajona do wizyt tego rodzaju. Denerwowała się, ale zarazem odczuwała przyjemny dreszczyk. Rozglądała się

po apartamencie, jakby nigdy jeszcze nie była w takim pomieszczeniu, co - jak sądził - było oczywiste. Stary Boots z

pewnością nie miał pieniędzy, by przyzwyczać żonę do komfortowych hoteli, a ona nie wyglądała na osobę, która

mogłaby znaleźć sobie kogoś, kto zapraszałby ją do takich miejsc.

Przez głowę przemknęła mu myśl o dawnych planach, kiedy to uznał, że może mieć wszystkie trzy siostry. Ta była

ostatnia. Na samą tę myśl poczuł narastające w lędźwiach podniecenie. Pokoje hotelowe sprzyjały zwykle takim jego

odczuciom.

Margaret spojrzała mu w twarz.

- Nie zostanę długo - oświadczyła. -
Masz pewnie jakieś umówione spotkanie?

- Zawsze je mam.

- Chciałam tylko porozmawiać przez chwilę, a przeczytałam w gazecie, że dzisiejszego ranka twoja żona przecina

wstęgę na oddziale noworodków w jakimś szpitalu.

- Taaak...

Żona starego Bootsa musiała więc wystawać na dole przy schodach, póki nie zobaczyła, że Anna wychodzi.

Rozmyślanie o tym, jak skrada się, spoglądając niepewnie na windę, połaskotało jego próżność. Gotów był się

założyć, że jej również sprawiło to

przyjemność - miała na pewno wrażenie, że udaje się na tajemną schadzke.

Zarumieniła się, spojrzawszy na niego, lecz mówiła dalej:

- Dużo czasu minęło od tamtego lata, gdy spotkaliśmy się wszyscy po raz pierwszy.

- I co?... - zapytał, przesuwając się w głąb pokoju i ścierając rogiem ręcznika kropelki wody z piersi.

- To już ponad dwadzieścia pięć lat! Kiedyś myślałam, że może znów przyjedziesz do naszego miasteczka na wakacje

lub do rodziny, ale ty się nie pojawiłeś.

- Nie znoszę sentymentów! - oznajmił.

Nic, co dotyczyło miasteczka i jego mieszkańców, nie wzbudzało w nim zainteresowania. Postawił sobie za punkt

honoru, by nigdy tam nie wracać - nawet w czasie kampanii - ale nie było sensu jej tego mówić.

Poruszyła dłonią w nieokreślonym geście, a wzrok utkwiała w wilgotnym torsie Edisona.

- Pewnie nic cię tam nie ciągnie od czasu, gdy wuj i ciotka zmarli?

- Nigdy właściwie nic mnie tam nie ciągnęło.

- No cóż, taki mężczyzna jak ty...

Podobał mu się podziw w jej głosie. Ostatnio nie spotykał się z nim często ze strony kobiet. Jednak niespełna dwie godziny dzieliły go od lunchu z bankierami, a nawet nie spojrzał na tekst wystąpienia przygotowanego przez personel.

- Powiedz wreszcie, z czym przychodzisz - rzekł, wycierając szyję.

Margaret ruszyła w kierunku kanapy i

usiadła, podciągając sukienkę nad kolana. Spotkawszy jego wzrok, zarumieniła

się.

- Wiem, że masz jakiś problem z Riva. Myślę, że mogłabym ci pomóc.

Milczał przez chwilę, wpatrując się w swego gościa. W końcu przerzucił ręcznik przez ramię i podszedł do kanapy.

Podciągnął nogawki spodni swej jedwabnej piżamy i usiadł obok Margaret.

- Naprawdę? - zapytał przymilnym

tonem.

- A czemuż by nie? - odparła, rzucając pytające spojrzenie.

- Czy Riva wie, że tu przyszłaś?

- Nie. I cóż z tego?

- Nie ona cię przysłała?

- Nie. Od czasu do czasu robię coś z własnej inicjatywy.

Edison zignorował cień niechęci w tonie kobiety. Wydawało się oczywiste, że Margaret wtrąca się w sprawy siostry. Z drugiej strony istniała możliwość, że tak

właśnie miało to wyglądać - jakby Riva nakłoniła ją do przyjścia.

- Wątpię, czy Riva będzie zadowolona, jeśli się o tym dowie.

- Sądzę, że się nie dowie. - Margaret zadrżała, jakby ta myśl ją zaniepokoiła.

- Nie boisz się jej?

- Nie bądź śmieszny! Czasami miewa ostry język, ale przecież to moja siostra.

- Z pewnością nie podziękuje ci za to, że się wtrącasz.

- Może i nie, ale musisz przyznać, że sprawy nie mogą tak tkwić w miejscu.

Ktoś musi coś zrobić! Nie mogę siedzieć
z

założonymi rękami i czekać, aż Riva się
namyśli i podejmie decyzję.

- Ona się namyśla? - zapytał
zaciekawiony.

- Właśnie! Postępuje tak, jakby była
jedyną osobą, która może decydować o
życiu Erin, jakbym ja nie miała żadnych
praw.

- Zdaje się, że przez te lata stała się
dość apodyktyczna - rzekł, kiwając
głową, jakby wyrażał współczucie.

- Jest wręcz despotyczna, jeśli chcesz wiedzieć. Próbowwała mi nawet zabronić odzywiania się w tej sprawie. Wyobraź

sobie! Jakby kobieta, którą Erin nazywa matką, która wychowała ją od dziecka, nie miała w tej sprawie nic do

powiedzenia!

- Mnie także wydaje się to trochę dziwne.

- Bo to jest dziwne. Riva mogła ją urodzić, ale to ja jestem prawdziwą matką Erin.

Edison poczuł przyływ podniecenia, falę emocji, jaka ogarniała go, gdy

poznawał cudze sekrety.

- Niech mnie licho!

- O Boże... - wyszeptała Margaret.

Edison wpatrywał się w jej szeroko otwarte oczy, a jego własne zwęziły się do błękitnych szparek.

- Powiedz - rzekł poirytowanym tonem - ile lat ma Erin?

Margaret patrzyła na niego z przerażeniem, a jej twarz stawała się coraz bledsza.

- Zapomniałam, że nie wiesz... - wyszeptała. - Jak mogłam zapomnieć?

- Zdaje się, że Riva zapomniała powiadomić mnie o czymś. Czy Erin jest moją córką, czy też błędem kogoś, kogo Riva

złapała przed starym Stauletem?

Margaret zerwała się na równe nogi.

- Riva nigdy mi tego nie wybaczy! - jęknęła. Edison złapał ją za ramię.

- Poczekaj, jeszcze nie skończyliśmy. Szarpnęła się.

- Muszę iść.

- Jeszcze nie. Jest coś do wyjaśnienia. Pociągnął ją tak mocno, że potknęła się i

upadła na niego. Próbowwała go

odepchnąć, ale schwycił ją za ramię i przewrócił na poduszki.

- A teraz - powiedział, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu - utniemy sobie pogawędkę.

- To boli! - krzyknęła Margaret.

Próbowwała walczyć, ale palce Edisona boleśnie wbijały się w jej ramiona, a każdy ruch sprawiał, iż wyczuwała jego

nabrzmiały członek, co zmroziło ją do reszty.

- Jestem ojcem Erin, prawda? - pytał. -

O to chodzi! Więc ty i Riva działacie osobno, myśląc, że Erin robi to z moim synem, który - tak się złożyło! - jest jej bratem?

- Przyrodnim bratem! - wydusiła z siebie Margaret. - A teraz pozwól mi odejść!

- O nie, nawet mi się podoba, że tu jesteś. Jak w dawnych czasach. Pamiętasz tę noc, gdy wyszłaś za dom, by wyrzucić

resztki jedzenia bezdomnym psom? Co? Pamiętasz, jak pozwoliłaś się pocałować? Całowałem cię już wcześniej, w

sklepie, jednak wtedy dostałbym więcej, gdyby Beth nie zaczęła cię wołać, prawda? Prawda, że tak by było?

Ocierał się o nią, aż wreszcie przygniótł ją swym ciężarem. Myśl o tamtej chwili za domem, o tym, jak planował wziąć

Margaret na pokrytej rosą ziemi, piekielnie go podnieciła, a fakt, że naprawdę się go bała, jeszcze bardziej go rozpalił.

Leżała z utkwionymi w nim szeroko otwartymi oczami, a z jej krtani wydobywał się jęk.

Śmiał się.

- Daj spokój, maleńka, przecież chcesz tego. Ileż to już minęło czasu, co? Kiedy ostatnio stary Boots naprawdę ci to zrobił?

Użył całej siły, by wcisnąć Margaret w kanapę, gdy ją całował. Wykręcała z uporem głowę, ale on podążał za jej ustami, póki nie znalazł ich pod swoimi. Wepchnął w nie język. Zagłębiał go coraz bardziej, odsuwając jej język, gdy próbowała go powstrzymać i wdzierając się wciąż głębiej, by mogła sobie wyobrazić, co ją czeka. Jej stłumiony protest podniecał go coraz silniej.

Uniósł się lekko, dotykając ręką jej łona. Ugniatał je i ścisnął, ciesząc się przyjemną okrągłością, a potem zaczął szarpać guziki jej sukni. Poderwała się, próbując go zrzucić. Rozpiął jej biustonosz i dobrał się do piersi. Przyssał się do sutka.

- Bądź spokojna i zacznij się tym cieszyć
- rzekł między jednym a drugim uściskiem. - Nie zrobię ci siniaków, z których musiałabyś się tłumaczyć.

- Spadaj! - wysapała. - Puść mnie albo

zacznę krzyczeć tak głośno, że popękają ci bębny w uszach. Powiem

wszystkim, powiem policji!

- Taaak? A co im powiesz, gdy cię zapytają, skąd się tu wzięłaś? Ja powiem, że mi siebie sama zaproponowałaś, jak

czyni to wiele kobiet. Poza tym mam w mieście przyjaciół. Nikt ci nie uwierzy.

- Powiem Bootsowi. On... on cię dopadnie. Przyjdzie tu!

- Tak, z pewnością. Przypuszczam, że wie o twojej wizycie. Tak jak Riva. Wie, prawda?

Sięgnął w dół, by podciągnąć jej sukienkę, przesuwając palcami po pulchnej wewnętrznej powierzchni ud. Wyczuł

brzeg elastycznych majtek i wepchnął w nie palec, szukając wilgotnej szparki. Gwałtowne ruchy Margaret i

rozpaczliwe błagania podniecały go coraz bardziej. Znalazłszy to, czego szukał, wepchnął do środka palec.

Nie zadowolił się tym. Zsunął spodnie i rzucił się na nią. Próbowwała zewrzeć nogi, ale przeszkodził temu kolaniem i już

za moment wchodził w to gorące,

owłosione miejsce. Wdarł się do środka. Poruszał biodrami, wbijając się coraz

głębiej, aż poczuł dno, a ona wydała z siebie słaby krzyk.

Wspomnienie pierwszego razu z Riva przeszło mu mózg, pojawiając się niczym obraz ze snu. Jakież to było podobne,

niemal identyczne! Jęknął, a potem, podtrzymując wspomnienie, zaczął uderzać szybko i mocno, co w końcu

doprowadziło go do ekstazy.

*

Telefon zadzwonił dokładnie w dziesięć minut od chwili, gdy Riva odkryła, że Margaret nie ma w sypialni. Sądziła, że siostra śpi, bo nie dochodziły z jej pokoju żadne oznaki obecności. Trochę to było dziwne, gdy chodziło o Margaret,

ale Riva wiedziała, że Bonne Vie działa na ludzi odprężające. Dom był tak duży, tak cichy i wygodny, że gościom często zdarzało się wstawać później, niż mieli w zwyczaju.

Gdy rozległ się dzwonek, Riva sięgała właśnie po słuchawkę, by zatelefonować do George'a z pytaniem, czy siostra

wzięła któryś z samochodów.

Rozpoznała głos Margaret, ale jej chaotyczne słowa nie pozwalały zorientować się, o co

chodzi.

- Uspokój się - powiedziała Riva łagodnie. - Powtórz to wszystko. Gdzie jesteś?

Margaret znów coś mówiła. Głos jej się rwał, a oddech zamierał, ale wypowiedź brzmiała już dość logicznie.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedziała Riva, gdy siostra umilkła. - Zaraz przyjadę.

- Nie przywoź Bootsa! Słyszysz? Nie przywoź go i nic mu nie mów. Po prostu przyjedź.

- Zaraz będę - obiecała Riva.

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki, a potem długi sygnał. Siedziała przez chwilę, patrząc prosto przed siebie,

potem wcisnęła guzik, by zwolnić linię. Bootsa nie było w Bonne Vie. Wstał wcześniej, by odprowadzić swój samochód

do warsztatu, bo, jak zauważył podczas jazdy, szwankowało zawieszenie koła. Prawdopodobnie to jego nieobecność

spowodowała decyzję Margaret związaną z porannym wyjazdem do Nowego Orleanu. Riva potrząsnęła głową.

Uświadomiwszy sobie nagle, że słyhać sygnał, wystukała numer, który połączył ją z kierowcą.

*

- Już myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz!
- krzyknęła Margaret, wpuszczając ją do pokoju hotelowego półtorej godziny

później.

- Przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam.

- Przywiozłaś rzeczy?

Riva wskazała na małą walizeczkę, którą trzymała w ręku. Gdy Margaret odebrała ją, Riva rozejrzała się wokół.

Pokojowi daleko było do czystości. Wyglądał tak, jakby paczka kumpli z jakiegoś college'u urządziła sobie piwną imprezę. Na ścianach widniały plamy, w dywanie dziury wypalone papierosami, a w powietrzu wisiał zapach moczu i

środka dezynfekującego. Od zewnątrz budynek wyglądał dość przyzwoicie, ale znajdował się zbyt blisko spelunek

Bourbon Street, by cieszyć się dobrą

opinią.

- Dlaczego siedzisz tutaj? - zapytała Riva. - Czemu nie pojechałaś do domu?

- Byłam zbyt roztrzęsiona, by prowadzić. Próbowалам, ale nie mogłam sobie nawet przypomnieć, jak dojechać do

skrzyżowania. Samochód stoi wciąż na parkingu. Przyszłam pieszo. Czy wiesz, że Edison nie pozwolił mi wziąć

prysznic w swym apartamencie? Powiedział, że żona mogłaby coś zauważyć.

Głos Margaret przestał drżeć, ale wciąż

był ochrypliwy od płaczu, a oczy zaczerwienione.

- Jesteś pewna, że nie chcesz pójść na policję? -zapytała Riva.

- Żeby zadawali mi krępujące pytania i kazali odpowiadać jak na przesłuchaniu?! Chyba zwariowałaś! - krzyczała

Margaret ostrym głosem. - Poza tym wszyscy by się dowiedzieli, a tego bym nie zniosła!

- W porządku. Po prostu pytałam.

- Ty chyba również wolałabyś utrzymać to w sekrecie! Musiałabym podać

powody wizyty u Edisona, prawda? A

wtedy wszyscy poznaliby twoją tajemnicę.

- Jeśli chcesz oskarżyć Edisona, nie przejmuj się tym.

Riva naprawdę tak myślała, była tak oburzona, że gardziła ewentualnymi konsekwencjami. Przynajmniej w tym momencie.

- Nie zrobię tego! Nie mogę!

- A może lekarz porozmawiałby z tobą, zbadał cię, dał ci jakieś środki na uspokojenie?

Riva czuła się niezręcznie. Chciałaby objąć siostrę i przytulić, ale w ciele Margaret było takie napięcie, że uznała, iż jej

gest nie byłby mile widziany. Jeśli Margaret nie chciała współczucia ani pomocy, to cóż jeszcze mogłaby

zapropionować?

- Właśnie wzięłam już coś, co mój doktor zapisał mi na nerwy, dziękuję. Nie potrzebuję niczego innego - powiedziała

Margaret. - Poza tym lekarz chciałby obejrzeć moje narządy, a tego mam dość!

- Jesteś... jesteś pewna, że wszystko w porządku? Czy Edison cię nie pokaleczył?

- Jestem pewna!

Riva zacisnęła usta. Nie mogła ukryć zaniepokojenia.

- Cóż, nie wyglądasz najlepiej.

- A jak ty byś wyglądała, gdyby ktoś rzucił cię na kanapę i potraktował jak tanią kurwę? Prawdę mówiąc, to powinnaś

być ty! Gdybyś zrobiła to, czego od ciebie chciał, nie musiałabym się z nim spotykać i to wszystko by się nie

zdarzyło!

Riva wpatrywała się w siostrę z niedowierzaniem.

- A więc to moja wina? Znowu?

Margaret zamrugła powiekami, ale nie odwróciła wzroku.

- Gdybyś ty tam poszła...

- Z pewnością mam na tyle rozsądku, by nie wchodzić do pokoju hotelowego żadnego mężczyzny -powiedziała. -

Szczególnie zaś do pokoju Edisona Gallanta. Nie ma co kryć, iż to wszystko by się nie zdarzyło, gdybyś nie wtrącała się

do moich spraw. Po co poszłaś do niego?

- Powiedziałaś, że mogę spróbować, jeśli sądzę, że lepiej mi się powiedzie przekonywanie Edisona.

- I przekonałaś go?

- Wiesz, że nie... Wiesz!...

- Wiedziałaś, że nie mówię poważnie. Dlaczego więc, Margaret?

- Bo dobro Erin to także moja sprawa.

- Tylko dlatego, że ja na to pozwalam. Pamiętaj o tym.

- Erin jest moją córką! - krzyczała Margaret. - To ja się nią opiekowałam, gdy była mała, zabierałam ją do lekarza, gdy

chorowała i całowałam skaleczone miejsca, gdy się przewróciła. To ja kupiłam jej pierwszą balową sukienkę i

czekałam, póki nie wróci do domu ze swojej pierwszej randki.

- Owszem, robiłaś to, ale tylko dlatego, że ją zabrałaś!

- Ty jej nie chciałaś!

- Skąd wiesz? Czy pytałaś o to?

Margaret wpatrywała się w siostrę, jakby ujrzała ją po raz pierwszy w życiu. Nagle jej twarz zmieniła się.

- Och, Rivo, powiedziałałam mu.

Lodowaty ciężar spadł na piersi Rivy.

- Co?!...

- Powiedziałałam Edisonowi o Erin. Nie zamierzałam, ale czasami... czasami ostatnio zapominam o różnych rzeczach.

Po prostu wypadło mi z pamięci, że on nie wie.

Riva z trudem chwytła powietrze.

- Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?! -
wydyszała.

- Może tak jest lepiej. Teraz
przynajmniej rozumie, dlaczego Erin i
Josh muszą zostać rozdzieleni.

- Wykorzystała to przeciwko mnie.

- Może nie. W końcu dlaczego miałby to
zrobić?

- Bo taki już jest. Wątpisz w to? T e r a
z?

Margaret spojrzała na nią oczami
pełnymi łez.

- Nie musiałaś mi przypominać...

I znów wszystko potoczyło się według starego, dobrze znanego scenariusza.

Poczucie winy, które odczuwała Riva,

narastało. Skierowała się w stronę telefonu, który stał na stoliku obok łóżka.

- Zatelefonuję po Bootsa. Jest ci potrzebny. Będzie wiedział, co robić...

- Nie! – wykrzyknęła Margaret. – Nie chcę go! Chcesz go wezwać z czystej złości!

- Złości! – Riva odwróciła się w jej stronę. – Co masz na myśli?

- Żeby się zemścić za to, że powiedziałam Edisonowi o Erin.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Jesteś histeryczką, Margaret. Co zamierzasz zrobić? Ukryć przed mężem fakt, że

cię zgwałcono?

- Muszę! Nie rozumiesz? Jeśli tego nie zrobię, nigdy już nie spojrzysz na mnie jak dotychczas. To by mi zrujnowało

życie! – Margaret zakryła usta rękami, ponad którymi widać było jej szeroko otwarte, lśniące łzami oczy.

Riva milczała przez chwilę, nim znów zaczęła mówić.

- Nie rozumiesz, że to już nie ma

żadnego znaczenia? I tak wszystko się wali.

- Nie, nie wszystko – odparła Margaret zduszonym głosem. – Wezmę kąpiel i włożę czyste rzeczy, a potem

pojedziemy do Bonne Vie. Powiemy wszystkim, że pojechałam po zakupy i miałam kłopoty z samochodem. Zamiast

wysłać limuzynę, przyjechałaś po mnie, abyśmy mogły pochodzić po sklepach. Poślesz kogoś po ten drugi samochód

i koniec.

- Nie możesz zignorować tego, co ci się przydarzyło, Margaret.

- Muszę. Nie zamierzam rujnować sobie życia z powodu Edisona Gallanta. To by było tak, jakbym pozwoliła mu wygrać.

- To nie jest żadna gra!

Ale siostra szła już do łazienki, nie zwracając na słowa Rivy uwagi.

- Och, nie mam zamiaru mu darować – powiedziała przez ramię. – Odplacę mu pewnego dnia.

- Nie bądź głupia! – zawołała za nią Riva. – Nie jesteś dzieckiem!

Margaret trzasnęła drzwiami.

*

Plany Margaret spaliły na panewce, bo Boots nie uwierzył w jej opowieść. Nie pomogły torby pełne ubrań,

pośpiesznie kupionych na życzenie Margaret. Nawet nie spojrział na stroje, gdy Margaret i Riva rozłożyły je na łóżku.

- Nie wspominałaś mi, że wybierasz się na zakupy - powiedział, patrząc badawczo na żonę, a na jego

miedzianoczerwonej twarzy malowała się nieufność. -Nie prosiłaś o pieniądze.

- Mam przecież karty kredytowe,

prawda? - broniła się Margaret. - Poza tym poczułam nagłą chęć obejrzenia tego, co

mają w „Madison Blanche”; nie planowałam zakupów.

- To dlaczego zostawiłaś samochód przy wjeździe do garażu hotelu „Royal Orleans”? Telefonowano stamtąd i jakiś

człowiek powiedział, że wsiadłaś, gdy wóz podstawiono, ale ujechałaś tylko kawałek, a potem poszłaś pieszo,

zabierając kluczyki.

- Mówiłam ci, że miałam kłopot z silnikiem.

- Spisał się całkiem dobrze, gdy go uruchomili za pomocą korby. Dlatego właśnie dzwonili. Sprawdzili numer

rejestracyjny i postanowili poprosić o pozwolenie uruchomienia wozu. Ten mężczyzna powiedział, że wyszłaś z

hotelu roztrzęsiona. I co ty na to?

- Nie wchodziłam tam! Ten idiota z pewnością myślał o kimś innym. Samochód po prostu zgasł.

- To dlaczego nie poprosiłaś któregoś z chłopaków z garażu o pomoc?

- Nie pomyślałam o tym.

- Dlaczego nie pomyślałaś? Czy to Edison Gallant tak cię rozdrażnił? Wiem, że się tam zatrzymał; słyszałem, jak Erin o

tym wspominała.

- On... on nie ma z tym nic wspólnego. Skorzystałam z hotelowego parkingu, bo było mi tak wygodnie, szczególnie, że później chciałam przejść się po Quarter. Wiesz, trudno znaleźć miejsce do zaparkowania.

Kiedy indziej Margaret poradziłaby sobie bez trudu z przekonaniem męża. Teraz jednak była nadal roztrzęsiona, a jej

słowa brzmiały chaotyczne. Nie potrafiła spojrzeć Bootsowi prosto w oczy. Ręce jej drżały.

- To nie jest prawda, Margaret - rzekł Boots. - Coś się stało, wiem. Powiedz mi albo będę musiał zatelefonować do

Edisona i pytać go, czy się z nim widziałaś i o czym rozmawialiście.

- Nie zrobisz tego!

- Wiesz, że zrobię...

Było oczywiste, że Margaret wie o tym. Wybuchnęła łzami i urywanymi zdaniami opowiedziała mężowi, co się stało.

Mniej więcej w połowie opowieści
Boots przyklęknął obok krzesła, na
którym siedziała i otoczył ją ramionami.
Na

jego twarzy malował się ból, ale także i
wściekłość. Było to tak niezwykle, że
Riva przestraszyła się.

Krępowala ją poza tym własna
obecność w tym pokoju.

- Ona nie chce jechać do lekarza -
powiedziała jednak, gdy Margaret w
końcu ucichła.

- Nic mnie nie boli - odparła siostra
schrypniętym głosem i otarła twarz.

- Przeżyłaś szok.

Boots puścił żonę i powoli wyprostował się.

- Może najlepiej będzie, jeśli pójdzie do łóżka.

Margaret zacisnęła ręce na kolanach i wpatrywała się w męża i siostrę.

- Nie rozmawiajcie o mnie tak, jakby mnie tu nie było.

- Uspokój się - powiedział Boots. -
Rozbierz się po prostu i połóż.

- Co zamierzasz zrobić? - Gniew
Margaret zniknął, gdy wpatrywała się w

męża.

- Nieważne. Zrób to, co mówię. Może ktoś mógłby ci przynieść trochę zupy lub coś innego na lunch, a potem spróbuj

odpocząć.

- Nie przełknę ani kęsa.

- Postaraj się. - W słowach Bootsa zabrzmiał twardy ton.

Margaret spojrzała z goryczą na Rive.

- Mówiłam ci, że on nie powinien się dowiedzieć. Riva spojrzała uważnie na siostrę, ale nie odezwała się. Po chwili

wyszła z pokoju, mówiąc:

- Zobaczę, co z tym lunchem.

Nie wiedziała, że Boots podąży za nią, póki Margaret nie zapytała go, dokąd idzie.

- Zaraz wrócę - odparł, a potem zamknął za sobą drzwi sypialni i zszedł do holu.

Riva przystanęła, a szwagier dołączył do niej.

- Przepraszam - powiedziała po dłuższej chwili. Spojrzał na nią i zmarszczył czoło.

- Za co? To nie twoja wina.

- Oczywiście, ale myślę, że nie doszłoby do tego, gdybym nie zwróciła się do Edisona.

- Nie mogłaś przecież czekać beczynnie na rozwój wypadków.

- Tak właśnie sobie mówiłam, ale chyba lepiej było nie zaczynać tego wszystkiego. Ta sprawa z Erin i Joshem...

- Przecież i tak byśmy musieli coś zrobić...

- Nie rozumiem, dlaczego Edison tak się zachował. Nie w tym rzecz, że uważam Margaret za nieatrakcyjną, a pójście

do hotelu za marny pomysł. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego on to zrobił!

- Z wielu powodów, ale głównie dlatego, że chciał.

- Nie sądzisz, że potraktował to jako zemstę na mnie?

- Och, może trochę, ale myślę, że chodzi mu o coś więcej. Przypominam sobie, że kiedyś powiedział, że wy trzy,

siostry Bensonówny, jesteście najwspanialszymi dziewczynami, jakie widział i że chciałby... No cóż, wiesz. Myślę

jednak, że stało się to głównie dlatego,

że Margaret znalazła się tam akurat wtedy, gdy nasza go nagła ochota. Nigdy

nie panował nad swymi odruchami.

- Dlaczego aż tak ryzykuje? To wydaje się okropnie głupie u człowieka znajdującego się w centrum uwagi publicznej.

- Ludzie jego pokroju uważają, że wszystko im ujdzie, że są nietykalni.

Doszli do schodów z tyłu domu. Riva zatrzymała się i spojrzała na Bootsa.

- Co zamierzasz zrobić?

- A dlaczego myślisz, że zamierzam cokolwiek?

- Nie wiem. Przeczucie

- Edison to mój krewny. Myślałem, że pogadam z nim, jak to w rodzinie.

Riva spojrzała na zaciśnięte pięści Bootsa, a potem na jego twarz.

- Przyjacielska pogawędka, by wyjaśnić mu, na czym polega jego błąd?

- Coś w tym rodzaju.

- Będziesz ostrożny?

- Nie martw się.

To dziwne, ale wcale się nie martwiła.
Nie miała też najmniejszej ochoty
powstrzymać szwagra.

- Uważam - mówił dalej - że
powiniennem cię ostrzec na wypadek,
gdybyś uznała, że może powinnaś
zmienić swe

zamiary wobec Erin i Josha.

- Nie myślałam o tym - powiedziała,
marszcząc brwi. - Ale to nieważne. To
twoja sprawa.

- Także sprawa Erin.

Przez długą chwilę wpatrywała się w
jego spokojne oczy. Ten człowiek był

ojcem jej córki i bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do tego, że Erin jest miłą, towarzyską dziewczyną.

- To prawda. Jest jeszcze Erin i głupota z mojej strony było nie brać tego pod uwagę. Powinieneś być wcześniej zareagować.

- Och, cóż... Margaret robiła tyle zamieszania za nas oboje.

Było to niezwykle, że Boots wygłosił krytyczne słowa pod adresem swej żony. Czy to sygnał, iż odsuwa się od niej po tym, co się stało?

- Taką już ma naturę, że zamartwia się i usiłuje kierować innymi ludźmi - powiedziała Riva.

- Wiem. Wiem także, że ty starałaś się robić dla Erin wszystko, co w twojej mocy, bez wywoływania zamętu. Nie

mogę ścierpieć, że Margaret powiedziała o niej Edisonowi.

Zamierzam zrobić wszystko, co się da, by mieć pewność,

że Edison nie wykorzysta tego przeciw Erin.

- Boisz się, że jej powie? Oczy Bootsa zwęziły się.

- Sądzę, że potrafię go przed tym powstrzymać. A co do reszty, to nie wiem.

Boots chciał przez to powiedzieć, iż nie wie, jak Edison mógłby wykorzystać swą wiedzę dla zranienia Rivy.

- Nie martw się o mnie - powiedziała. - Sama się tym zajmę.

- Myślałem, że tak właśnie potraktujesz tę sprawę - rzekł. - Jeśli jednak mogę coś dla ciebie zrobić; pomóc ci, powiedz

tylko słowo...

- Zrobię to - odparła Riva.

Boots skinął głową, potem odwrócił się i poszedł w kierunku sypialni. Riva obserwując go zrozumiała, że może

polegać na nim. Boots był o wiele silniejszy, niż dotąd sobie wyobrażała. Jako sprzymierzeniec, gdy już się wmieszał

do tej sprawy, mógł okazać się nieoceniony. Dobrze było mieć go po swojej stronie.

ROZDZIAŁ 13

- On mnie wykorzystał, Rivo. - Głos Margaret dochodził z ciemności sypialni z zaciągniętymi zasłonami.

Riva siedziała na krześle obok łóżka, bo siostra nalegała, by przy niej pozostała, kiedy wróciła z lunchem na tacy.

Margaret bała się samotności. Riva zaś pragnęła odejść jak najszybciej, uwolnić się od poczucia winy, od współczucia i

złości na siostrę, a także od rozczulania się nad sobą, jakiemu oddawała się Margaret. Czyżby nie wiedziała, że i Riva

została wykorzystana przez Gallanta?!

- Nie myśl o tym - powiedziała jednak łagodnie.

- Muszę o tym myśleć, muszę, nie

rozumiesz?! Czuję się upokorzona.
Początkowo, gdy Edison wpuścił mnie
do

pokoju, pomyślałam, że mu się
podobam. Uśmiechał się i wyglądał na
zaintrygowanego. Ale potem on po
prostu... po

prostu rzucił się na mnie jak zwierzę.
Nie chodziło mu wcale o mnie! Musiał
sobie coś udowodnić i wykorzystał do

tego mnie. Wykorzystał mnie, aby
zemścić się na tobie.

- Przykro mi. Nie zamierzałam cię w to
mieszać.

- I tak jestem wmieszana. Zawsze byłam...

W głosie Margaret pojawiło się znużenie. Riva sądziła, że środki uspokajające, które Margaret zażyła, zaczęły wreszcie

działać. Miała nadzieję, że siostra zaśnie, ale ona mówiła dalej:

- ...kiedyś myślałam, że on jest kimś wyjątkowym; taki był zawsze przystojny i bogaty. O wiele atrakcyjniejszy od

Bootsa.

- Edison?

Margaret skinęła głową.

- Zazdrościłam tobie i Beth. Naprawdę. Zazdrościłam wam, bo on was pragnął; bo was miał. Wiem, że żadnej z was

się z nim nie ułożyło, ale to nie miało znaczenia. Zdarzało mi się o nim czasami myśleć, kiedy zmywałam naczynia albo

w łóżku, w nocy, kiedy Boots... O Boże!

- Nie mówmy o tym. Znów się zdenerwujesz – powiedziała Riva.

Margaret zignorowała tę uwagę.

- Zdarzało mi się myśleć – ciągnęła – że

gdybym wtedy była wolna, gdybym nie była zaręczona z kuzynem Edisona, to

ja mogłabym z nim wyjechać. Zdarzało mi się, że patrząc na Erin zastanawiałam się, jak by to było, gdyby była córką

moją i jego. Czy to nie głupie? Czyż nie jest to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałaś?

- Margaret...

- Gdyby nie te marzenia, być może nie poszłabym do niego. Pomyśl tylko o tym całym zmarnowanym czasie, o

zmarnowanym uczuciu. Nie był tego wart. Nigdy! Mogłaś mnie uprzedzić.

- Mówiłam – spokojnie odparła Riva. –
Ale ty mnie nie słuchałaś.

- Zrobił ze mnie idiotkę, zbałamucił
mnie słodkimi słówkami. Nigdy mu tego
nie wybaczę!

Cóż można było na to odpowiedzieć?
Cisza przeciągała się, zakłócana jedynie
dźwiękiem aparatury klimatyzacyjnej i

szmerem chłodnego powietrza
wpadającego do pokoju. Po chwili
Margaret poruszyła głową.

- Gdzie jest Boots? – zapytała
płaczliwie.

- Nie wiem – odpowiedziała Riva,

starając się, by jej głos brzmiał obojętnie.

- Powinien być tutaj. To niepodobne do Bootsa, że go tu nie ma.

- Jestem pewna, że za chwilę przyjdzie.

- Ale dokąd poszedł? Nie poszedł... nie poszedł szukać Edisona, jak myślisz? – Margaret uniosła się na łokciu, by

dojrzeć wyraz twarzy Rivy. – O Boże, poszedł tam? Powiedz mi!

- Postaraj się zasnąć.

- A więc to prawda; jest u Edisona! Dlaczego pozwoliłaś mu na to?

- Nie mogłam go powstrzymać.

- Nie wiadomo, co Edison mu nagada;
jakie kłamstwa wymyśli.

- Wątpię, czy będzie miał taką szansę.
Boots nie... Boots... nie miał nastroju
do rozmowy.

- Edison wezwie policję i każe go
aresztować. Wiem, że tak robi.

- Nic na to nie poradzimy. Po prostu
połóż się i odpocznij.

Margaret z jękiem opadła na poduszkę.

- Nie jestem zmęczona ani chora.
Zostałam zgwałcona! Nie możesz tego

pojąć?

Mogła. Jej pierwszy raz z Edisonem nie różnił się od tego, co słyszała teraz.

Prawie to samo spotkało ją również z

owym obcokrajowcem na Bourbon Street. Ale nie powiedziała o tym. Gdy Margaret zamilkła, Riva oparła głowę o

oparcie krzesła i zamknęła oczy.

*

Tamtej gorącej majowej nocy w biurze na tyłach baru przy Bourbon Street odsunęła się z przestraszeniem od dwóch

oglądających ją mężczyzn. Ich twarze

błyszczały w świetle żarówki, a wyraz
oczu był lubieżny. Obcokrajowiec wyjął

portfel z kieszeni garnituru i zaczął
odliczać dwudziestodolarówki. Kiedy
właściciel baru wyciągnął po nie swoją
tłustą

łapę, Rebeka odwróciła się, otworzyła
szeroko drzwi i uciekła. Usłyszała z tyłu
odgłos przesuwanego krzesła i wrzask.

Rozległ się dźwięk dudniących kroków.
Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła
obcego przepychającego się przez

drzwi biura i podążającego za nim
właściciela baru. Trzycałowe szpilki nie
sprzyjały ucieczce, mimo to szybko

zbiegła

do obskurnego holu, kierując się ku wejściu do baru.

Ściany zdawały się wibrować od ciężkich kroków pogoni. Ten dźwięk mieszał się w uszach Rebeki z biciem jej serca.

Czuła się bezbronna. Nie miała nikogo, kto mógłby ją uratować przed goniącymi ją mężczyznami.

Widziała przed sobą zasłonę kołyszącą się przy wejściu do baru. Szarpnięciem odsunęła ją na bok i wpadła do

zatłoczonej, hałaśliwej sali wypełnionej

rockową muzyką. Ujrzała mężczyzn o przepitych oczach, którzy siedząc przy

stołach wpatrywali się w niemal nagie dziewczyny kołyszące się przed nimi.

Mgłą szarego dymu papierosowego

przecinało padające na stoliki światło reflektorów. Na Rebeke nie patrzył nikt.

Poczuła silne dłonie na ramionach.

Wpadła na ścianę. Ktoś odwrócił ją.

Jęknęła z bólu, a potem krzyknęła, gdy

obcokrajowiec rzucił się na nią i złapał

ją za gardło mocną ręką. Miał

odrażający oddech. Ten zapach

zmieszany z

tlustym odorem olejku na włosach przyprawiał o mdłości. Mężczyzna szczyrzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Nie uciekniesz ode mnie - powiedział, przypierając ją do ściany.

Stojący w drzwiach właściciel baru chrząknął.

Rebeka odpychała napastnika z całych sił. W końcu zachwiał się na nogach. Zza jego pleców wyłonił się jakiś człowiek.

Chwycił obcokrajowca za ramię i podciął mu nogę tak, że ten upadł jak długi. Potem obejrzawszy się przez ramię,

pozbierał się z trudem i wybiegł z baru. Wybawca Rebeki odwrócił się w stronę właściciela baru.

- No, niech się pan nie wścieka, panie Staulet - powiedział grubas, podnosząc rękę i wycofując się. - Skąd mogłem

wiedzieć, że ona nie ma ochoty?

Wszystko w porządku. Sytuacja jest opanowana. Dziewczyna może teraz zatańczyć

dla pana, jeśli pan sobie życzy.

- Sądzę, że winniśmy zapytać, czego ona chce - powiedział mężczyzna nazwany Stauletem.

Odwrócił się w stronę Rebeki.
Zobaczyła jego twarz. Był to człowiek,
który tak często prosił ją, by dla niego
tańczyła;

ten sam, który dawał jej dwudziesto-
dolarowe napiwki. W jego oczach
widniał zamierający gniew,
bezgraniczna

uprzejmość i pewne zdziwienie -jakby
był zaskoczony swoim działaniem.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Chcę stąd wyjść! - krzyknęła. Staulet
skinął głową.

- Zabierz swoje rzeczy.

Do zabierania nie było nic prócz taniej bawełnianej sukienki, bielizny i zniszczonych sandałów. Zdjęła szpilki z

błyszczącymi noskami i pasek, drżąc z pośpiechu w obawie, że pan Staulet mógłby wyjść bez niej. Zostawiwszy

kostium na środku podłogi, wybiegła, by przyłączyć się do swego wybawcy.

Wciąż stał w przejściu. Właściciela nie było widać. Pan Staulet ujął ją za łokieć i wyprowadził z baru, nie patrząc na

zebranych.

Na moment zatrzymał się przed lokalem. Zaśmiecona plastikowymi kubkami

Bourbon Street, wprost obrzydliwa od mokrych plam w miejscach, gdzie pijakom zrobiło się niedobrze, była niemal bezludna. Kilka par widocznych było w

perspektywie ulicy oświetlonej wielobarwnymi i mrugającymi neonami, a sprzedawca hot-dogów ciągnął wzdłuż

rynsztoka wózek pachnący musztardą. Rozbrzmiewała tu rytmiczna muzyka, ponad którą przebijały się łagodne, choć

niepokojące tony bluesowej trąbki o zmysłowym, tęsknym brzmieniu.

Na twarzy mężczyzny malował się

wyraz niepewności, jakby rozważał coś szczególnie ważnego, więc Rebeka czekała

cicho. Lekkie drżenie przebiegało przez jej ciało, ale próbowała je opanować.

W końcu pan Staulet spojrział na nią,

podał jej ramię i uśmiechnął się.

- Mój samochód stoi nie opodal -
powiedział.

- Mogę się przejść. Mieszkam niedaleko
stąd.

Przyjęła jego ramię, bo pozostawienie go z wyciągniętą ręką nie byłoby uprzejme, a poza tym obawiała się, że

kolana

mogłyby się pod nią ugiąć, gdyby nie wsparła się na podanej ręce. Pod palcami czuła jedwabistość rękawa i twarde

muskuły swego towarzysza.

- Pozwól się odwieźć - rzekł i skierował Rebekeę w stronę swego samochodu.

Była to szara limuzyna. Kierowca - młody czarnoskóry mężczyzna, niemal tak szeroki jak wysoki - wyszedł i otworzył

drzwiczki. Jeśli nawet wydawało mu się dziwne, że jego pracodawca eskortuje

młodą kobietę z wyzywającym

makijażem i w taniej sukience, to nie dał
tego po sobie poznać. Staulet rozmawiał
z nim ściszym głosem. Szofer

skinął głową i zamknął drzwi, a potem
usiadł za kierownicą i samochód ruszył.

Limuzyna przypominała przytulny,
wysłany aksamitem kokon, odgradzający
pasażerów od ruchu i hałasu wąskich

uliczek. Dawała Rebecce poczucie
bezpieczeństwa, ale zarazem
onieśmiała. Dziewczyna z trudem
przełykała ślinę,

nim cokolwiek powiedziała, a jej głos

wciąż wydawał się niepewny.

- Powinnam podziękować panu...

- Była to dla mnie przyjemność,
zapewniam panią.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby pana
tam nie było.

Uśmiechnął się.

- Zawsze tam jestem, by patrzeć na pani
taniec.

- Och, doprawdy, panie Staulet...

- Mów do mnie Cosmo, dobrze? Bardzo
bym tego chciał. Czy zdajesz sobie

sprawę, że oto po raz pierwszy

zamieniliśmy więcej słów niż tylko „dzień dobry” i „dziękuję”?

- Tak. Ja...

- Tobie musi się to wydawać dziwne. Mnie nie, bo rozmawiałem z tobą wielokrotnie w myślach. Kocham cię.

Wpatrywała się w niego z lekko otwartymi ustami. Musiała się przesłyszeć. Ludzie tacy jak on nie mówili przecież

takich rzeczy; a już na pewno nie dziewczynom takim jak ona.

Roześmiał się, lecz jego słowa brzmiały poważnie.

- Dziwi cię to, prawda? Myślałaś, że jestem obleśnym starcem, łypiącym pożądliwie na twoje wspaniałe ciało. Cóż,

czuję się winny, ale czuję też coś więcej, niż możesz zrozumieć.

- Pan... nie powinieneś ze mnie drwić.

- Sądysz, że drwię? Przysięgam na grób mojego ojca, że mówię poważnie. A takie wyznania nie przychodzą mi łatwo.

Rebeka odwróciła wzrok od ciemnych oczu, błyszczących w świetle ulicznych

lamp. Obserwowała siedzącego obok

mężczyznę - jego siwiznę na skroniach,
jakby zdobiącą wspaniałą czuprynę,
mocną linię nosa, wydatne szczęki oraz

podziwiała jednoczesną subtelność i siłę
jego rąk. Było w nim coś trudnego do
określenia, zwanego zwykle dobrymi

manierami, a także pewność siebie, za
którą stoi jedynie bogactwo.

Skupiła uwagę na mijanym właśnie
ogrodzonym terenie pełnym białych
grobowców i przypominających
monumenty

kapliczek, z powodu których podobne

omentarze nazywano miastami umarłych.

- To nie jest droga do mojego mieszkania! -rzekła.

- Wiem. Właśnie dlatego powiedziałem ci, że cię kocham. Chciałem, byś to usłyszała, zanim odkryjesz moją perfidię.

Zwilżyła zaschnięte wargi.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, że nie odwożę cię do twojego domu.

- Dokąd... dokąd więc jedziemy?

- Do mnie, do Bonne Vie.

- Nie mogę z panem jechać! -
powiedziała z wysiłkiem, walcząc ze
sobą o zachowanie spokoju.

- Dlaczego?

Obróciła się na siedzeniu.

- Nie znam pana, a pan nie zna mnie.

- Znam cię lepiej, niż myślisz -
oświadczył. Spokojnym,
arystokratycznie brzmiącym głosem
zaczął wymieniać

najważniejsze fakty z jej życia: datę i
miejsce urodzenia, imię ojca, imię

matki, szkoły, do których uczęszczała i średnią

ocen, ulubione potrawy, ulubione kolory, ulubione kwiaty, datę i przybliżoną godzinę opuszczenia miasteczka z

Edisonem, datę urodzenia Erin. Coś w jego głosie kazało jej sądzić, że wie znacznie więcej, ale zachowuje to dla siebie.

- Skąd?... - spytała, ze strachu ledwie łapiąc oddech. - Dlaczego? Jak?...

- Są różne sposoby. A dlaczego? Po prostu chciałem wiedzieć. Jeśli uznasz

to za obsesję, nie będziesz daleka od

prawdy. Mężczyźni w moim wieku mogą sobie jednak pozwolić na obsesję.

- Jestem... zażenowana. Wstydzę się.

- Dlaczego? Nie masz powodu do zakłopotania. To ja powinienem się wstydzić, że cię szpiegowałem, że odarłem cię z

prywatności. Przepraszam za to.

- Pan wie o mnie niemal wszystko, a ja nie wiem o panu nic - powiedziała oszołomiona.

- Do Bonne Vie długa droga. Pozwól

więc, że ci opowiem.

- Ale ja nie mogę z panem jechać. Nie tak... nocą...

Zrobiła to już kiedyś i proszę, jak się wszystko skończyło.

- Dlaczego? - dopytywał się. - Co cię powstrzymuje? Czy jest już ktoś, kto naprawdę zaopiekuje się tobą?

Słowa te powinny zabrzmieć okrutnie, ale wypowiedziano je z tak wielkim współczuciem, z taką troską, że Rebeka

zadrżała, z trudem opanowując płacz. Miał rację. Nie było przecież nikogo, kto by się nią zajął. Nikogo.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytała głosem jeszcze zaniepokojonym.

- Chcę się tobą opiekować i kochać cię. I tyle. Przede wszystkim chcę cię kochać. Zacznę od podania ci kolacji, bo jesteś taka szczuplutka, a potem odwiozę cię do domu. Jeśli oczywiście zechcesz tam jechać.

- Jest pan pewien, że to już wszystko?

Czuła, iż jej napięcie słabnie; coraz mniej się bała i uspokajała się; powoli zaczynała mu ufać.

- Najzupełniej, maleńka. To dla mnie bardzo wiele: mieć cię obok siebie

przez jakiś czas, chcę też, byś mogła obejrzeć

mój dom.

Raptem stało się oczywiste, że nie można mu odmówić. Tak wiele dla niej zrobił tego wieczoru! Jak więc mogłaby

okazywać podejrzliwość i niechęć?

Widząc dom na końcu wysadzanej drzewami alei -błyszczący w świetle księżyca niczym bajkowy pałac, wsparty na

białych filarach - niemal zażądała powrotu, ale Cosmo wciąż mówił. Snuł jakąś opowieść o tym, jak będąc

chłopcem

spadł z dębu w tej alei, i o tym, jak matka bardziej zmartwiła się złamaną gałęzią niż złamanym obojczykiem syna.

Potem limuzyna podjechała do frontowych drzwi i Cosmo pomógł Rebecce wysiąść. Drzwi otworzył czarnoskóry

mężczyzna o imieniu Abraham, i Cosmo wprowadził ją do środka. Trzymał jej rękę w zgięciu swego ramienia, jakby

wiodąc honorowego gościa.

- Witamy w Bonne Vie - powiedział, a duma i radość w jego głosie odbiły się

echem w długim, ciemnym holu.

Potem otworzyły się wysokie, masywne drzwi po lewej stronie. Młody człowiek wszedł do holu z biblioteki, gdzie w

delikatnym świetle błyszcząły oszklone drzewiczki mahoniowych regałów z książkami. Niósł jakiś podręcznik, trzymając

wskazujący palec między kartkami. Był szczuplejszy niż Cosmo i znacznie młodszy. Zgodnie z obowiązującą modą

nosił dłuższe włosy oraz swobodny strój złożony z dżinsów i bawełnianej koszuli. Mimo to podobieństwo między nimi

było uderzające. Uśmiechnął się.

- Trochę się spóźniłeś, tatusiu! -
powiedział. - Twoja mała tancereczka
musiała być w nadzwyczajnej...

- Noel - przerwał mu Cosmo i odsłonił
stojącą z tyłu Rebekeę. - Jest tu ktoś,
komu chciałbym cię przedstawić. Panno

Benson, czy mogę przedstawić pani
mojego syna? Noel, oto młoda dama, o
której ci opowiadałem.

Widziała, jak wzrok młodego mężczyzny
prześlizguje się po niej od stóp do głów.
Dostrzegła zdumienie i zakłopotanie

chłopaka, które sprawiło, że jego rysy

jakby zastygły. Gorąco uderzyło jej do twarzy, a ręka zacisnęła się na ramieniu

Cośmy.

Starszy ze Stauletów spojrział na nią, a potem znów na syna. Oczy obu mężczyzn zwały się w krótkim twardym

spojrzeniu. Noel, spełniając jakiś nie wypowiedziany rozkaz, spojrział na Rebekeę i skłonił głowę.

- Panno Benson.

- Dzień... dzień dobry - odparła.

Podchwycił jej wzrok swoimi jasnoszarymi oczami. Jeszcze nigdy w

życiu nie szacowano jej w podobny sposób. To

badanie było bardziej deprymujące w swoim braku aprobaty niż spojrzenia, jakimi obrzucano ją podczas tańca na

stole. Chciała uciec z tego domu albo spoliczkować aroganckiego syna Cośmy.

To Cosmo przerwał napiętą ciszę.

- Czy zjesz z nami kolację, Noel?

- Nie, dzięki. Jestem pewien, że wolicie zostać sami.

- Skoro tak mówisz... - Cosmo zawiesił głos, nie przejmując się słowami syna,

choć Rebeka czuła, że jej towarzysz z

całych sił stara się powstrzymać wybuch gniewu.

Przeszedł z nią wzdłuż holu, kierując się ku tylnemu krużgankowi, gdzie poprowadził ją do stołu.

W ciągu kilku minut pojawiły się świece, wino, chrupkie pieczywo francuskie i pulchne omlety z serem, grzybami i

płatami szynki. Jej apetyt, początkowo niewielki, rósł niepohamowanie pod wpływem swobodnej pogawędki, którą

Cosmo prowadził tak, aby Rebeka

mogła skierować swą uwagę na deser z bananów. I właśnie, gdy jadła deser,

Cosmo poprosił, by go poślubiła.

Zamarła w bezruchu, z łyżeczką w dłoni, którą niosła właśnie do ust, i spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie

przychodziło jej na myśl nic, co mogłaby powiedzieć.

Wybuchnął śmiechem.

- Sądysz, że jestem szalony, prawda?

- Musiałeś postradać zmysły - odparła. Jej głos brzmiał głucho, a oczy stawały się coraz większe.

- Bądź i ty szalona! Powiedz: tak.
Ostrożnie odłożyła łyżeczkę.

- Nie możesz tak się zachowywać!

Uśmiechnął się, szczerze rozbawiony jej powagą.

- Czyżby?

- Jestem dziewczyną z Bourbon Street;
dziewczyną, którą oglądałeś tańczącą
niemal nago na stole!

- Musisz więc przyznać, że nie ma w
twoim wyglądzie prawie niczego, czego
bym już nie znał.

- Jestem za młoda, by... Jestem młodsza

niż twój syn.

- Cóż za takt!

Spoglądała na stół, potrząsając głową.

- Czy wydaję ci się za stary na męża? -
W jego głosie była zarówno obawa, jak
i zaciekawienie.

Nie, wcale nie był za stary! Był po
prostu przytłaczający.

- Nie, ale może to ja jestem za młoda...

- Jesteś pełnoletnia. Czegóż więcej
trzeba? Sięgnęła po łyżeczkę i wolno
zanurzyła jej czubek w roztopionych
lodach.

- Mówisz, że mnie kochasz, ale nie zapytałeś mnie o uczucia.

- A zatem, jak to wygląda z twojej strony?

- Nie wiem! Czasami myślę, że nie wiem, czym jest miłość; na czym polega. Zastanawiam się, czy w ogóle jej doznam

w życiu.

- Nic do mnie nie czujesz?

- Czuję... - Przerwała, a potem odważnie patrząc mu w oczy, zaczęła jeszcze raz: - Czuję się z tobą bezpieczna, tak jak

wtedy, gdy wstawiałam w chłodne zimowe poranki, kiedy nikt prócz mnie i taty jeszcze się nie obudził, a on owijał mnie w swój szlafrok, abym nie zmarzła i czekał, aż zaparzy się kawa.

Nie była pewna, skąd nadeszło to wspomnienie. Prawie nigdy nie myślała o ojcu, który umarł, gdy miała dziesięć lat.

Jednak to, co powiedziała, było prawdą. Cosmo Staulet dał jej to samo poczucie bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Nie jestem twoim ojcem, nie myl się.

Ale to już niezły początek.

Właśnie ta jego delikatność napawała ją lękiem. Znow odłożyła łyżeczkę.

- Wiesz, że mam nieślubne dziecko -
wydusiła z siebie.

- To okropne przestępstwo, ale
popelnione przez tego idiotę, który do
tego doprowadził.

- Nie masz pojęcia, jaką będę żoną.

- Piękną! Niczego więcej mi nie trzeba.

- Twój syn mnie nie lubi. - Mówiąc to
odwróciła głowę, a rumieniec wstydu
znow pojawił się na jej policzkach.

- Nie wychodzisz za mąż za mojego syna. Poza tym wcale nie czuje do ciebie niechęci. Jeśli już o niechęci może być mowa, to prawdopodobnie on ma mi za złe, że zobaczyłem cię pierwszy i nie byłem tak wielkoduszny, by pozwolić ci odejść.

- Mylisz się.

- Wyjdź za mnie, a zobaczymy, co z tego wyniknie, dobrze?

Zgłosiła kolejne argumenty, usiłowała z nim dyskutować. Po jakimś czasie przyzwyczała się do myśli, że Cosmo

szczerze zaproponował jej małżeństwo. Nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo podoba się mężczyznom. Wiedziała,

że jest niebrzydka, ale nie czuła się piękniejsza od innych dziewcząt. Fakt, iż budziła pożądanie, sprawiał jej

przyjemność, ale i zatrząsał, bo nie wiedziała, dlaczego jej pragną. Istniała więc możliwość, że mężczyźni pożądają jej

bez powodu, a jeśli tak, to znaczy, że w każdej chwili mogą przestać jej pragnąć. A dość już miała bycia osobą

niepożądaną.

W końcu została panią Staulet. Stało się to po szaleńczej wyprawie do nowoorlearskich sklepów, kiedy Cosmo

przemierzał z nią najszlachetniejsze domy towarowe - „Maison Blanche” i „Holmes” - kupując jej wykwintną bieliznę i

śmiałe suknie, eleganckie kostiumy i sukienki w swobodnym stylu, torebki pięknie pachnące skórą i buty, które

pieściły jej delikatne stopy, jakby zrobiono je na miarę.

By te wspaniałe stroje mogła wziąć w podróż poślubną do Paryża, kupił też

walizki, takie sobie, ponieważ - jak mówił

- wymienią je w Londynie na elegantsze, gdy będą wracać do Stanów. Nie zaprzętał sobie głowy drogimi

vuittonowskimi walizkami, które jego zdaniem nazbyt rzucały się w oczy i były jedynie zachętą dla złodzieja. Te,

których używał, pochodziły z firmy zaopatrującej królową. Były, jak mawiał, odpychająco wprost brzydkie i ciężkie jak

żelazo, ale za to niezniszczalne.

Ślub miał się odbyć dopiero za kilka

tygodni, bo było konieczne, aby Rebeka przeszła na katolicyzm. W tym czasie

zajmowała sypialnię na piętrze Bonne Vie, gdzie sypiała sama. Próbowwała zobaczyć się z Dantem, gdy pojechała do

swego dawnego mieszkania po kilka rzeczy. Chciała powiedzieć mu, co postanowiła i zaprosić na wesele. Nie było go

w domu. Dziewczyna, którą widziała z nim pamiętnego popołudnia, przyjęła wiadomość dla Dantego, ale on nie zadzwonił.

Uroczystość zaślubin była skromna i

kameralna. Wzięli w niej udział jedynie najbliżsi przyjaciele Cośmy i jego syn.

Rebeka miała na sobie suknię z cienkiego kremowego jedwabiu, lamowaną brzoskwiniową wstążką, a uszytą z wielu

warstw tego delikatnego materiału i ozdobioną ręczną koronką. Wybrał ją naturalnie Cosmo. Równie naturalne było,

że nie pozwolił jej nawet zerknąć na metkę z ceną. Przed wyjściem do kościoła przyglądała się sobie, patrząc na ten

piękny strój, a także na fryzurę i makijaż,

wykonane przez człowieka, który specjalnie w tym celu przyjechał do Bonne

Vie. Była śliczna. Wyglądała zwiewnie jak królewna z bajki, choć nie przypisywała sobie żadnej zasługi w tej sprawie.

Prawdę mówiąc, nie poznawała się nawet i nie czuła się sobą. Miała wrażenie, że przekształcono ją w kogoś obcego.

Było to zarówno przerażające, jak i ekscytujące.

Czuła panikę, ale nie pozwoliła jej wybuchnąć. Dokonała wyboru. Nie

mogła się już wycofać, a prawdę mówiąc nie

miała nawet takiego zamiaru... To byłoby zbyt bolesne dla Cośmy. Była ciekawa, co to znaczy żyć w Bonne Vie;

należać do wielkiego świata, być panią Staulet. To nie była sprawa pieniędzy, raczej pozycji. I ten mężczyzna...

Chętnie przyzwyczajała się do jego troski i opiekuńczej czułości.

Zorganizowane w Bonne Vie przyjęcie weselne nie było skromną uroczystością. Rebeka stanęła obok Cośmy, by witać

w holu przybywających gości. Była

zdenerwowana, a w głowie kręciło jej się od natłoku twarzy i nazwisk.

Uśmiech,

który usiłowała utrzymać na wargach, miał wyraźną skłonność do drżenia.

Wciąż powtarzała te same zwroty, aż w

końcu zaczęły jej się wydawać tak nic nie znaczące, że niemal idiotyczne.

Goście sprawiali wrażenie swobodnych i

dobrze czujących się tu. Krążyli od grupy do grupy, pewni, że każda z nich serdecznie ich przyjmie, pewni swego

miejsca i przynależności do towarzystwa. Ich swoboda i łatwość

porozumiewania się z pozostałymi
sprawiały, że

Rebeka czuła się intruzem. Była
świadoma szeptów i spojrzeń;
wiedziała, że jest tematem rozmów i
obiektem osądu.

Jednak w najgłębsze skrępowanie
wprawiał ją syn Cośmy. Stał z boku i
sącząc szampana obserwował macochę
spod

wpółprzymkniętych powiek. Był
niezaprzeczalnie przystojny w swym
wieczorowym stroju, choć jeszcze
bardziej

urodziwy byłby, gdyby się uśmiechał.

Nie uśmiechał się jednak. Z trzeźwą przenikliwością studiował każde słowo

Rebeki, każdy gest, jakby interesowała go wyłącznie jej umiejętność zachowania się w nowym środowisku.

Obserwowanie jej weszło mu w nałóg. Świadomość nieustannych oględzin peszyła Rebece, silnie odczuwającą stały

baczny wzrok Noela. Choć początkowo był wobec niej mało przyjazny, w końcu dało się odczuć jakby zawieszenie

broni. Nie dzieliła ich znaczna różnica wieku, nic dziwnego więc, że lubili tę samą muzykę rockową czy jazzową i

mieli

zbliżone poczucie humoru. Lubili dowcipy, które Cosmo uważał za niezrozumiałe, jeśli wręcz nie idiotyczne.

Tego wieczoru Rebeka miała wrażenie, że Noel wie o nerwowym biciu jej serca, że czuje jej przeogromną potrzebę

przynależenia do kogoś i doskonale rozumiał niepewność, która dręczyła ją na myśl o nocy poślubnej. W szarych

głębiach spoczywających na niej oczu Noela widziała współczucie, jakby już wtedy zaczynało się jakieś porozumienie

między nią i młodym człowiekiem, który od tego wieczoru - jakież to się wydawało nieprawdopodobne! - miał być jej

pasierbem.

Większość gości była już na miejscu i Cosmo proponował opuszczenie posterunku w holu. Noel podszedł do Rebeki,

gdy jego ojciec odwrócił się, poproszony przez lokaja o dyspozycję w sprawie kolacji.

Noel ujął dłoń, którą wyciągnęła do niego Rebeka, ale zamiast ucałować ją w policzek, jak czynili to inni, pochylił

się i

dotknął ustami jej warg.

Jego usta były gładkie, ciepłe i pachniały szampanem. Ich dotyk uderzył Rebece do głowy jak weselne wino, budząc

falę niepokoju, która płynąc wzdłuż nerwów, nasiliła się w dole brzucha. Odskoczyła od chłopca jak oparzona.

Spotkali się wzrokiem, a na jego twarzy pojawił się żal.

- Gratuluję - powiedział głosem podszytym ironią. - Tato miał rację. Spiszesz się świetnie jako pani na

Bonne Vie.

Odwrócił się i odszedł. Rebeka chwyciła ustami powietrze, jakby nagle wynurzyła się z wody. Cosmo pochylił się i

musnął ustami jej czoło.

- Co się stało, kochanie?

- Nic - powiedziała suchymi wargami. -
Nic, zupełnie nic.

Nie pytał dalej, ale między jego brwiami pojawiła się bruzda, gdy spojrzawszy ponad ramieniem żony, zobaczył plecy

Noela.

Noc poślubna została przełożona aż do chwili, gdy dotarli do Paryża. Kiedy przyjęcie się skończyło, Rebeka była tak

wyczerpana, a jej nerwy napięte z wysiłku ostatnich kilku dni, że Cosmo napoił ją szampanem, a potem zapakował do

łóżka, szorstko zapewniając, że jest zbyt zmęczony, by mógł okazać się romantyczny. Trzymał ją w objęciach, aż zasnęła.

Do Europy odlecieli następnego ranka z lotniska New Orleans International. Nie

określili dokładnie trasy podróży. Jej celem był Paryż, a Cosmo wracać chciał przez Londyn; reszta wyprawy pozostawała otwarta na - jak mówił - kaprysy

Rebeki.

Paryż był prawdziwą fantazją. Okna hotelowego apartamentu wychodziły na zabytkowy skwer, otoczony kamiennymi budynkami. Ściany sypialni okrywał seledynowy atłas, a zasłony obszyte były złotymi frędzlami. Balkon z rzeźbioną balustradą przypominał Rebecce Nowy Orlean. W pokoju czekał szampan i

patera z owocami. Obserwując z balkonu,

jak dzień tonie w różowej poświacie zmierzchu nad szarymi dachami Paryża, podzielili się gruszką i wznieśli toast za

Miasto Światła.

Później Cosmo z powagą, której przeczyły figlarne błyski w jego ciemnoszarych oczach, wyjaśnił Rebecce zastosowanie

bidetu w jednej z łazienek apartamentu, a potem zostawił ją, by rozkoszowała się wanną pełną piany, zaś sam

poszedł zrobić użytek z drugiej łazienki.

Gdy w końcu weszła do sypialni
zawiązując pasek jedwabnego peniuaru,
na łóżku ujrzała starannie owinięty
pakunek.

Cosmo siedział na stojącym nie opodal
krześle, mając na sobie miękki
granatowy, kaszmirowy szlafrok, w ręku
zaś

trzymał gazetę. Rebeka uśmiechnęła się
niepewnie, a on ruchem głowy wskazał
prezent.

- Otwórz - polecił głębokim głosem.

- Co to jest? Dałeś mi już zbyt wiele!

Ostatnie tygodnie przypominały Rebece

Boże Narodzenie; nie było dnia, który minąłby bez prezentu. Od soli

kąpielowych i perfum po ogromny owalny diament zdobiący teraz jej lewą rękę. Stało się to kłopotliwe i nawet

męczące - ta ciągła konieczność mówienia „dziękuję”.

- Ten prezent przeznaczyłem tylko częściowo dla ciebie. Jest również dla mnie.

Rebeka zobaczyła, że mąż wcale nie jest tak rozluźniony, za jakiego chce uchodzić. W jego oczach dał się widzieć cień

wątpliwości. Rebeka czuła żar rumieńca na policzkach oraz nerwowy skurcz żołądka, gdy uświadomiła sobie, że

nadeszła chwila intymności. Wcześniej miała przecież dużo, niemal za dużo czasu, by o tym pomyśleć. Obawiała się, a

jednocześnie była zaintrygowana; przede wszystkim jednak aż nazbyt świadoma nagłego dzikiego impulsu, każącego

jej uczynić krok w kierunku drzwi.

- Proszę - szepnął, a potem, odkładając gazetę, wstał i ruszył w jej stronę.

Sięgnęła po podarunek. Był cięższy, niż

się spodziewała, a ze środka dochodziło delikatne postukiwanie. Podarunkiem

okazała się szkatułka w kształcie muszli, wykonana z podniszczonego błękitnego aksamitu. Przez chwilę Rebeka

mocowała się z zamkiem, a potem uniosła wieczko.

Na połyskliwym białym jedwabiu leżał podwójny sznur pereł. Gdy uniosła je, perły przesunęły się delikatnie w rytmie

uderzeń jej serca. Były tak lśniąco i opalizująco, że wydawały się żywe. To największe, najpiękniejsze perły, jakie

kiedykolwiek widziała, a choć miała

jedynie mgliste pojęcie o tym, jak
poznać ich wartość, instynkt mówił jej,
że są

bezcenne.

- To perły Stauletów - wyjaśnił stojący
obok Cosmo. - Jeden z moich przodków
kupił je w czasie podróży na Daleki

Wschód i podarował swojej narzeczonej
w dniu ślubu. Moja pierwsza żona,
matka Noela, nie lubiła ich, bo wierzyła,

że perły przynoszą łązy. Mam nadzieję, że
ty nie jesteś przesądna.

- Nie - powiedziała cichutko. - Są
naprawdę piękne, ale nie wiem, czy

będę je nosić. Bałabym się, że je zgubię.

- Wątpię. Zapięcie jest bardzo bezpieczne. Możesz je włożyć dla mnie. Powinny pasować do... do tego. -
Wyciągnął

rękę i wyjął jedwab wyściełający puzderko. Materiał zwisał z jego palców, przywiązany do jedwabnych troczków,

tworząc znajomy kształt. Zbyt znajomy. Był to biały jedwabny pasek do pończoch, z frędzelkami, identyczny jak ten,

który nosiła w barze na Bourbon Street, z tą jedynie różnicą, iż uszyto go z

lepszego materiału.

Rebeka uniosła wzrok znad jedwabnej falbanki, by spojrzeć na męża. W jego oczach odczytała błaganie.

- Tylko ten jeden raz - poprosił schrypniętym, lekko drżącym głosem. - Proszę...

Myślała, że tamten rozdział życia ma już za sobą. Sądziła, że może zapomnieć o związanym z nim upokorzeniu i

zacząć wszystko od nowa. Było jednak inaczej. To odkrycie sprawiło, iż twarz jej pobladła, a ręce zlodowaciały.

- Nie patrz na mnie tak! - błagał

urywanym głosem. - Pragnę, byś to zrobiła, bo jestem niegodziwym starym

człowiekiem. Nie ma to nic wspólnego z tym, kim byłaś ani kim jesteś.

Dosłyszała ból w jego głosie i nagle jej własny ból zniknął. Zmusiła usta do uśmiechu.

- Nie jesteś niegodziwy. Ani stary.

Nie odpowiedział, lecz czekał, z trudem oddychając, aż założy perły. Rozwiązała peniuar i pozwoliła mu opaść. Potem

wzięła ten pasek. Wsunęła się w niego i podciągnęła, umiejscawiając tak, że falbanka spływała jedwabście nad

wzgórkiem łonowym. Potem odwróciła twarz w stronę męża.

Nie patrzył na nią, lecz sięgnął po perły. Włożył je na szyję Rebeki i zapiał, a wówczas lśniące kulki ułożyły się na jej

piersiach. Przycisnął sznury do ciała Rebeki, tak że ogrzewały się jej ciepłem. Jej ciało zaś zdawało się nabierać tego

samego kremowo różowawego koloru.

Casmo ujął jej piersi w dłonie, pochylił głowę i całował uniesione koniuszki, a potem powoli osuwał się na kolana.

Pozwolił swym rękom przesuwać się

wzdłuż kobiecego ciała, podążając śladem jego wypukłości. Szepcząc jej imię,

przytulił twarz do jedwabnych frędzli.

Czuła jego ciepły oddech, a potem wilgotny dotyk języka. Wciągnęła powietrze w odruchu zakłopotania, ale on jej nie

puścił. Zamknęła oczy, poczuła, że opór topnieje, a skóra wilgotnieje i staje się rozgrzana. Westchnęła głęboko. Krew

pulsowała w jej żyłach. Poczowała, iż dół ciała zaczyna jej ciążyć. Zarzuciła Cosmie ręce na szyję. Ekstaza, która zaczęła

się gdzieś w głębi jej ciała, narastała i pochłaniała ją, rozpraszając obawy. Stała się upragnionym celem. Rebeka czekała na nią niecierpliwie.

Czując, że uginają się pod nią kolana, jęknęła. Cosmo delikatnie przewrócił ją na łóżko i zrzucił szlafrok. Potężny w swej nagości, przyklęknął na materacu i zawahał się, niepewny, czy jest oczekiwany. Rebeka otworzyła oczy i wyciągnęła ręce.

ROZDZIAŁ 14

Pozostali we Francji przez trzy

miesiące. Cosmo znajdował wielką przyjemność w pokazywaniu żonie pomników i

muzeów oraz ubieraniu jej we wspaniałych salonach mody, do których ludzie zdążali jak do Mekki. Prowadzał ją

chętnie do miejsc, które uwypuklały jej urodę. Lubił przesiadywać w ulicznych kawiarniach, pozwalając żonie

buszować w tym czasie po sklepach przy Rue de la Paix i Champs Elysees. Ku jego wielkiemu rozbawieniu, Rebeka

wolała robić zakupy w Galeries Lafayette. Nie bawiło go jednak, gdy

nalegała, by szedł z nią do metra, aby zwiedzać

mało pociągające zakątki miasta lub gdy upierała się przy długich spacerach, które niezmiennie prowadziły ku

straganom bukinistów i stoiskom z kwiatami wzdłuż Sekwany albo ku sklepom z antykami.

Cosmo zaprowadził Rebekeę do paryskich biur Staulet Corporation, gdzie z wielką dumą przedstawił ją i pokazał

rozciągający się z okien górnych pięter widok na wieżę Eiffla. Bez pośpiechu odbyli potem długi lunch z dyrektorem

francuskiej filii, człowiekiem, którego stosunek do niej zdawał się połączeniem flirtu i protekcjonalności, co sprawiło,

że zamknęła się w sobie. Nie podobał jej się ten mężczyzna, choć gdy później powiedziała to mężowi, nie umiała

uzasadnić swej niechęci.

- Mam zwolnić tego człowieka, bo go nie lubisz? -zapytał z zagadkowym uśmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiłbyś to?

- Ufam kobiecej intuicji.

- Nie powiedziałam tego w złej intencji.

Mówiłam tylko, że...

- Musisz nauczyć się brać odpowiedzialność za swe słowa, moja kochana.

- Czy nie mogę mieć własnego zdania, które nie miałoby wpływu na posadę jakiegoś człowieka? Czy nie mogę mówić

tego, co myślę bez... bez...

- Bez konsekwencji? Zawsze następują jakieś konsekwencje, bez względu na to, jakie były nasze zamiary.

- W takim razie to cud, że ludzie w ogóle rozmawiają ze sobą.

- Nieprawdaż? - spytał ze śmiechem.

Wynajęli samochód i wyjechali z miasta, przecinając kilkakrotnie Sekwanę, która z dala od Paryża stała się przejrzysta

i tak zielona jak trawa; płynęła wijąc się przez krainę wina, gdzie winorośl była jeszcze zieleńsza.

Urodziny Rebeki obchodzili uroczyście w okolicach Marsylii. Cosmo kupił jej diamentowe kolczyki z akwamarynem

oraz mały damski rewolwer i nauczył ją, jak się nim posługiwać. Nie zawsze będzie obok, by ją chronić, powiedział.

Umiejętność posługiwania się bronią da jej przynajmniej tyle pewności siebie, by próbowała podjąć obronę; czasami próba taka wystarcza.

Opalali się nago na plaży nie opodal Nicei, częściej niż to było konieczne badając się wzajemnie, czy nie doznali poparzenia słonecznego i rozmawiali o kupnie domu we Francji, może w Menerber, w tej pięknej, czystej okolicy, przez którą przejeżdżali. To właśnie wtedy Rebeka dowiedziała się, że Cosmo ma już domy w Kolorado i na Bahamach. Nie potrafiła sobie

wyobrazić, po co potrzebny mu jeszcze jeden, i powiedziała o tym. W odpowiedzi

złapał ją i turlał po piasku, a potem przyciskał do siebie. Gdy leżeli spleceni, po raz dziesięciotysięczny wyznał jej

miłość.

Ponieważ czyniło go to szczęśliwym, Rebeka również powiedziała, że go kocha i wcale nie była pewna, czy nie jest to

prawdą.

Czas, który spędzili we Francji, dokonał

głębokiej przemiany. Wsiadając z samolotu w Nowym Orleanie Rebeka nie

była tą samą osobą, która opuszczała miasto. Nie polegało to jedynie na zmianie wyglądu zewnętrznego - na

fantastycznie uczesanych i lśniących włosach, na delikatnej doskonałości makijażu, na firmowych znakach strojów,

które nosiła, ani na blasku pereł wokół szyi. Była to świadomość własnego stylu i naturalnej elegancji, o charakterze

nieco arystokratycznym, ale nie sztucznym. Była to również gracia, z

jaką się poruszała, uniesienie podbródka i nowe

odcienie jej głosu, który świadczył o wykształceniu. Przede wszystkim jednak było to ciepło uśmiechu i sposób, w jaki patrzyła rozmówcom prosto w oczy.

Nikt nie był bardziej świadomy owych zmian niż sama Rebeka. Wiedziała też, iż zawdzięcza to subtelnej edukacji,

jakiej poddał ją Cosmo; szczodremu wsparciu i nieskazitelnemu przykładowi. Była mu wdzięczna za wszystko, ale

szczególnie za takt, który zaoszczędził jej poczucia niższości i uchronił przed

uświadamianiem sobie braku zalet,
jakich

oczekiwał po żonie. I właśnie dlatego
pracowała ciężko, by stać się taką, jaką
chciał ją widzieć; by stać się osobą,

jakiej potrzebował, nawet jeśli nie
mówił tego.

Pojawiła się także sprawa imienia. Gdy
byli na południu Francji, Cosmo zaczął
nazywać żonę Riva. Nie była już

przecież „jakąś Rebeką”. Riva była inną
formą imienia, w lepszym stylu.

Przyzwyczajenie się do tej zmiany
zabrało jej

niedługo czasu, ale gdy byli już gotowi wrócić do domu, doszła do przekonania, że nowe imię podoba się jej.

Noel czekał na nich na lotnisku z George'em w limuzynie. Ta uprzejmość była zgoła nieoczekiwana.

Ostatnia wiadomość, jaką od niego otrzymali, była informacją, że wyprowadził się z Bonne Vie i mieszka w kampusie

politechniki w Georgii, dokąd przeniósł się z Uniwersytetu Stanowego w Luizjanie na semestr jesienny. Decyzja ta

była dość nagła, ale Cosmo

zaakceptował ją.

Riva z przyjemnością zobaczyła Noela i obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. Niemal z nią nie rozmawiał podczas

długiej drogi do domu, koncentrując się na zaznajamianiu ojca z najnowszymi wydarzeniami. Od czasu do czasu

rzucał na macochę taksujące spojrzenie, ale odwracał oczy, ilekroć napotkał jej wzrok.

Zrozumiała, że Noel nie czuje się dobrze w jej obecności. Dlaczego? Przyglądała mu się ukradkiem, próbując tego

dociec. Powodem mogła być oczywiście

zmiana jej wyglądu, choć nie sądziła, że chodzi właśnie o to. W barze przy

Bourbon Street nauczyła się odczytywać uznanie w oczach mężczyzn i teraz zobaczyła je także. Sądziła raczej, że Noel

ukrywa coś, co dzieje się głębiej, a przypomina ostrożność graniczącą ze strachem. Jeśli to prawda, należało coś z tym

zrobić. Riva nie zamierzała żyć z poczuciem nieustannego zakłopotania lub świadomością nieporozumienia między

synem Cośmy i sobą.

Obiad czekający w Bonne Vie był wspaniałą ucztą złożoną z warzyw, przyrządzonych według kuchni

południowoamerykańskiej, z pikantnymi przyprawami kreolskimi, za którymi tęsknili w podróży. Riva podjęła

zdecydowaną próbę włączenia się do konwersacji przy stole i wysiłki jej zostały nagrodzone miłą pogawędką całej

trójki i wyraźnie swobodniejszą atmosferą. Sprawiali wrażenie rodziny, przynajmniej do chwili zakończenia obiadu.

Było kilka pilnych spraw związanych z

przedsiębiorstwem, którymi Cosmo musiał się zająć. Teraz, gdy znów był w

domu, korporacja i jej problemy zajęły pierwsze miejsce wśród jego zajęć.

Przeprosiwszy żonę i syna, wstał od stołu i

poszedł do biblioteki, by skorzystać z telefonu. Riva, widząc, że lokaj krząta się, gotów posprzątać ze stołu, uniosła się

z krzesła. Powodowany grzecnością, Noel uczynił to samo, a gdy Riva wyszła do holu i skierowała się ku tylnemu

krużgankowi, poszedł za nią.

Dzień był ciepły, przyjemny, bo wilgoć lata ustępowała wraz z tą gorącą porą. Cień pod krużgankiem nęcił. Riva

oparła się o jedną z kolumn tej wspaniałej budowli.

- Miło znów oddychać świeżym powietrzem -powiedziała.

- Czy w Europie nie było świeżego powietrza?

- Och, było. Miałam na myśli samoloty, lotniska, klimatyzowane samochody.

- Dobrze bawiłaś się w podróży?

- Bardzo dobrze.

- Słowem, miesiąc miodowy był udany?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, a potem znów oparła się o kolumnę, która wciąż zachowywała ciepło promieni słonecznych.

- Sądzę, że tak - odparła, a kiedy chłopak milczał, dodała: - Noel?...

Obserwował ją, stojąc z ręką w kieszeni spodni. Światło z holu padało ukośnie przez ramię i jedną stronę twarzy

Noela, ale jego oczy pozostawały w cieniu.

- Tak?

- Chcę, byś wiedział, że nie jestem dla ciebie żadnym zagrożeniem. -

Wypowiedziała te słowa powoli, lecz zdecydowanie.

- Doprawdy? - W jego głosie brzmiało uprzejme powątpiewanie.

- Nic się nie zmieni; naprawdę nic.

- Już się wszystko zmieniło.

- Chodzi mi o to, że nie pragnę niczego, co należy do ciebie; nigdy nie wezmę niczego twojego.

Wciąż wpatrywał się w nią w półmroku. Napięcie na jego twarzy zdradzało

powściągną gniw i żal, a także dziwną tęsknotę.

- Już wzięłaś - odpowiedział w końcu.
Spojrzała na niego zdumiona.

- Co?

Podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i uniósł sznur pereł zdobiących jej dekolt.

- Zgodnie z tradycją te perły należą do mnie jako do pierworodnego syna i przeznaczone były dla mojej żony.

- Nie masz żony.

- Ale ojciec ma! Gdy się ożenię, to

oddasz mi je?

- Jeśli tak ma być, to oczywiście - tak!

Naprawdę tak myślała, choć słowa Noela spowodowały przykre wrażenie, nad którym nie chciała się jednak zastanawiać.

- Cóż za poświęcenie!

- Nie prosiłam o nie - powiedziała, urażona drwiną w jego głosie. - Cosmo sam mi je dał!

- Jestem pewien. Ten impuls musiał być wprost nieodparty.

- Możesz je odzyskać już teraz, jeśli ci na tym zależy! - wykrzyknęła, unosząc ręce, by rozpiąć zamek. - Nie chcę niczego, co mogłoby spowodować nieporozumienia.

Szybkim ruchem chwycił jej dłonie, powstrzymując ją od rozpięcia zapinki.

- Nie bądź śmieszna! Nie chcę tych pereł.

Stał tak blisko, że czuła aromat jego cedrowo-cytrynowego płynu po goleniu, połączony z zapachem świeżo

uprasowanej bielizny i młodszej męskości. Jego obecność zaatakowała

zmysły Rivy.

Było to wrażenie tak intensywne i tak znajome, że pochyliła się w kierunku chłopaka. Skonsternowana, uświadomiła

sobie nagle, co się z nią dzieje - było to preludium pożądania. Zaskoczyło ją to nieprawdopodobne i nieoczekiwane

odczucie. Zmobilizowała całą wolę, by stłumić ten odruch.

- Ja tylko... - zaczęła i zamilkła. - Ja tylko chcę, żebyś mnie lubił - dokończyła po chwili.

W mroku usłyszała coś, co mogło być krótkim smutnym śmiechem lub

stłumionym okrzykiem bólu. Noel puścił jej

ręce i cofnął się o krok. Wsunął dłonie do kieszeni.

- Na to jest za późno - oświadczył. - O wiele za późno. Lepiej już pójdę. Muszę wracać, żeby zdążyć na poniedziałkowe

wykłady. Jeszcze tylko pożegniam się z tatą.

Jakiś komar zabrzęczał koło twarzy Rivy. Nie zwróciła na to uwagi.

- Chyba nie wyjedziesz dzisiaj?

- Sądzę, że tak będzie najlepiej -

stwierdził z wysiłkiem. - Naprawdę tak myślę.

Nie dał jej szansy na odpowiedź, lecz odwróciwszy się na pięcie wszedł do domu. Po dość długim czasie dobiegł ją

dźwięk ruszającego samochodu Noela. Zdecydowała się na powrót do domu dość późno.

Riva i Cosmo popadli w pewną rutynę. Początkowo ona pozostawała w domu, ale po wielu miesiącach stałego

przebywania z mężem wydawało się jej to w końcu nudne. Regularnie czytała, zaczynając od biblioteki Cośmy i

rozszerzając listę lektur w publicznych księgozbiorach Nowego Orleanu.

Wyznaczyła sobie program mający na celu

uzupełnienie niedostatków edukacji; proces, który miał trwać do końca życia. Przez kilka miesięcy wystarczały jej

książki, ale uświadomiła sobie, że istnieją kluby, do których mogła wstąpić; herbatki i lunche, w których mogła

uczestniczyć. Nie wykazała jednak inicjatywy, by skorzystać z takich możliwości. Wydawało się też, że i Cosmo

niechętnie pozostaje długo poza domem. Gdy tylko dowiedział się o osamotnieniu żony, polecił urządzić w Staulet

Building gabinet, tuż obok własnego, i umieścić ją tam.

Przez pierwsze kilka dni zaledwie dwa razy dziennie wypijali wspólnie kawę i od czasu do czasu, przez wyrwane

innym zajęciom pół godziny, pozostawali za zamkniętymi na klucz drzwiami. Stopniowo jednak Cosmo zaczął

dyskutować z nią o różnych problemach, rozładowując napięcie spowodowane otaczającą go wokół niekompetencją

bądź też dzieląc się z żoną nowymi pomysłami.

Riva nie miała żadnego formalnego przygotowania ani też doświadczenia w prowadzeniu interesów. Odznaczała się

jednak byстрыm i chłonnym umysłem oraz zdrowym rozsądkiem; poza tym nie lubiła wygodnego nieróbstwa i

marnotrawienia czasu. Co więcej - dobrze radziła sobie z ludźmi i potrafiła odróżnić zdolnych i lojalnych od tych,

którzy sądzili, że uda im się zabłysnąć dzięki elokwencji i pozornym kompetencjom; tych, którzy byli uczciwi i lojalni

od skrytych i podstępnych. Już po niespełna miesiącu wykonywała różne prace dla Cośmy - od telefonicznych

rozmów do sporządzania wykazów i list spraw do załatwienia.

Pojawił się pewien kłopot z sekretarką Cosmy, pracującą u niego od piętnastu lat, która poczuła się nagle zagrożona,

ale gdy Riva przyznała się ze skruchą, że nie potrafi pisać na maszynie ani stenografować, i że ma jedynie mgliste

pojęcie o archiwizowaniu dokumentów i wcale nie zamierza poszerzać swoich umiejętności w tym kierunku,

zapanował pokój. Kobieta już wkrótce pisała na maszynie notatki dyktowane przez Rive, przekazywała zostawiane dla

niej wiadomości, dokonywała rezerwacji miejsc i umawiała ją z fryzjerem. Po sześciu miesiącach uznano Rive za

asystentkę Cosmy. To ona decydowała, czy dane sprawy wymagają przedstawienia mężowi.

Powszechnie też wiadano, że choć Riva jest młodą żoną znacznie starszego męża, lepiej nie podchodzić do niej zbyt

blisko ani nie zachowywać się

obcesowo. Dwuznaczną uwagę umiała zmrozić spojrzeniem, a niewczesny żartowniś

mógł uważać się za szczęściarza, gdy tylko na tym się kończyło. Każdy, kto okazał się tak nierozważny, by podjąć

próbę dotknięcia Rivy, mógł się tylko cieszyć, że zdążył cofnąć palce.

Kiedy sekretarka Cośmy opowiedziała Rivie, co się mówi o jej oziębłości w stosunku do mężczyzn, Riva była

skonsternowana i przerażona. Nie zdawała sobie sprawy, że jej reakcje są tak odbierane. Już wcześniej wysłuchiwała

wystarczająco dużo lubieżnych i upokarzających opinii, które z pewnością prześladować ją będą do końca życia. Z

trudem nauczyła się przechodzić nad nimi do porządku. Jednak im dłużej o tym myślała, tym mniej opinia

współpracowników ją zdumiewała. To prawda, że nie lubiła bezmyślnych dwuznacznych żartów ani nawet nie

skrywanego podziwu mężczyzn. Była chłodna i stanowcza wobec nich.

Czasami stawała się taka nawet w stosunku do

męża.

We Francji było inaczej. Tam przez długi czas czuła, że jest normalną, zdrową kobietą o właściwych reakcjach. Nie

trwało to jednak długo. Od momentu powrotu do Stanów wydawało jej się często, że Cosmo kocha się z nią jakby z

nawyku; jakby to było coś, czego nauczył się z książki; jakby postępował zgodnie z jakimś przepisem, którego musiał

przestrzegać, nie bacząc na to, jak ona reaguje. Innym razem wydawało się jej, że gdy ona okazuje, że znajduje

przyjemność w jakiejś pieszczocie, on

natychmiast wycofuje się, jakby w obawie, że reakcja Rivy staje się dla niego

zbyt podniecająca, że straci kontrolę nad sobą.

Wydawało się, że Cosmo zbyt wiele myśli o tym, co robi, zamiast czuć, pozostaje obojętny i zbyt dokładnie ją

obserwuje, by się upewnić, czy jest w pełni usatysfakcjonowana. To właśnie sprawiało, iż ona postępowała tak samo,

przez co przyjemność zniknęła. W Rivie narastało powoli uczucie pustki...

Rozmowa o tym nie przynosiła dobrych

rezultatów. Temat ten zdawał się dla Cośmy niemal równie kłopotliwy jak dla

niej. Odnosiła przy tym wrażenie, że mąż uznaje jej słowa za skargę, co w efekcie powodowało unikanie przez niego

zbliżeń lub też -co gorsza - niezdolność do kochania się. Pozostawało jej więc milczenie i udawanie tego, czego - nie

licząc rzadkich okazji - nie czuła. Coraz bardziej też zamartwiała się, że to w niej tkwi coś, co sprawia, iż tak trudno jej

przeżyć fizyczne spełnienie.

Dopiero w święta Bożego Narodzenia Noel znów zawitał do Bonne Vie. Twierdził, że wcześniej zajęty był pracą nad

jakimś projektem. Jego główną specjalizacją była administracja przedsiębiorstw, a dodatkową elektronika, więc to, co

mówił, wydawało się prawdopodobne. Ponieważ ojciec nie kwestionował wyjaśnienia, Riva czuła, że nie ma prawa o

nic pytać, choć taki nawał pracy zastanawiał ją.

Wizyta mijała bez incydentów, choć nie

bez napięcia. W Wigilię wszyscy troje pojechali oglądać ogniska na brzegu

rzeki - olbrzymie płomienie buchające z podpalonych pni, kawałków drewna, belek oraz wyciśniętej z soku i

wysuszonej trzciny cukrowej. Tym świątecznym ogniskom nadawano kształt piramid, parostatków, a czasami nawet

okazałych rezydencji w stylu sprzed wojny secesyjnej. Ognie zgodnie z tradycją palono, by Pere Noel lecąc wzdłuż

rzeki mógł trafić z prezentami do domów cajuńskich dziewcząt i chłopców. Świąteczny nastrój podnosiła też muzyka

tańce na brzegu, w migotliwym świetle płomieni oraz ochocza konsumpcja mocnych alkoholi, by nie dopuścić do organizmu grudniowego chłodu.

Cosmo był zadowolony oglądając te sceny z za szyby samochodu. Potem się zatrzymali, by porozmawiać z

przyjaciółmi i wypić z nimi po szklaneczce bourbona z barku w limuzynie. Rive i Noela Cosmo namawiał do przejścia

się między rozbawionymi ludźmi, zjedzenia jambalai, wypicia grzanego

jabłecznika, jak również do wzięcia udziału w tańcach.

Muzyka skrzypiec i akordeonów oraz dźwięki głosów, śpiewających ludowe piosenki francuskie, były porywające.

Aromat pikantnego jedzenia, dym z palącego się drewna i widok płomieni odbijających się pomarańczowymi

refleksami w ciemnej wodzie szerokiej i wolno płynącej rzeki tworzyły obraz jakby z innej epoki. Jako uroczystość

było to wszystko śmieszne; jako tradycja - radosne.

Kiedy Noel chwycił rękę Rivy, aby wciągnąć ją między tańczące pary, wydawało się jej czymś naturalnym pójście za

nim, dopasowanie do niego kroków i naśladowanie ruchów tańczących. Grano walca, którego odmienność od innych

polegała na tym, że miał mocniejszy i szybszy rytm. Noel poruszał się w takt muzyki ze zwinnością świadczącą o

wielkim poczuciu rytmu. Tańczyli obracając się z przyprawiającą o zawrót głowy prędkością, to znów rozdzielając się,

by tańczyć osobno lub też wirowali z

jedną ręką na talii partnera, a drugą schowaną za plecami. Wpatrywali się w

siebie w świetle płomieni migocących w tanecznym rytmie. Riva utkwiała wzrok w twarzy Noela, która promieniała

radością i czułością, skierowanej wprost ku niej. Blask szarych źrenic sprawiał, że serce mdlało jej od boleśnie

przyśpieszonego bicia.

Czuła drżenie, narastające wraz z uczuciem przerażenia. Chciała przerwać taniec i pobiec z powrotem do Cosmy.

W

samochodzie z pewnością byłaby bezpieczniejsza. Równocześnie jednak wiedziała, że nie ma już nic takiego jak bezpieczeństwo.

Później wszyscy poszli na pasterkę do starego, pięknego kościoła w Gramercy, nie opodal drogi wiodącej ku rzece.

Uroczystość przy blasku świec była poważna i wzruszająca. Riva klęczała z mocno zaciśniętymi oczami i złożonymi dłońmi, ale choć modliła się szczerze, nie zaznawała ukojenia ani pociechy.

Gdy Noel powrócił do Georgii, odczuła ulgę. Wstrząs, jaki jego obecność

wywołała w Rivie, minął. Wróciła do swoich

zajęć z Cosmą i do nauki zarządzania Bonne Vie. Stopniowo stała się jedną z głównych postaci nowoorleańskiej sceny

towarzyskiej. Było to ważne, gdyż od stycznia do marca trwała tradycyjna pora zimowych balów charytatywnych i wydarzeń kulturalnych, zbiegając się z karnawalem trwającym od święta Trzech Króli do Wielkiego Postu.

Nim nadeszło lato, Riva uznała, że byłoby najlepiej, gdyby nie musiała widywać Noela. Bała się spotkać z nim,

wyczuwając niejasno kryjące się w nim niebezpieczeństwo. Była serdeczna, lecz chłodna, gdy syn Cosmo spędzał czas

w Bonne Vie i pracował w Staulet Corporation. Starła się nie zostawać z Noelem sam na sam i dbała, aby każda

rozmowa była albo bardzo ogólna, albo krótkotrwała.

W ten sposób minął rok. Potem Noel skończył college. Zdecydował się skorzystać z domu na Bahamach, aby

odpocząć przez miesiąc lub dwa przed podjęciem pracy przygotowującej do zajęć w Staulet Corporation. Dwa

tygodnie po wyjeździe Noela Cosmo oświadczył, że chciałby porozmawiać z synem o przyszłości. Najlepiej byłoby uczynić to z dala od interesów, a nie istniało lepsze miejsce niż dom na wyspie. Poza tym on i Riva nie ruszali się z

Nowego Orleanu na dłużej niż dzień czy dwa od czasu podróży poślubnej. Oboje również potrzebowali wakacji.

Zaprojektowany w stylu śródziemnomorskiej willi dom na Bahamach był otynkowany, pomalowany na biało i

obudowany tarasami, które schodziły ku

morzu. Nie był duży, bo zbudowano go raczej jako ustronne schronienie niż

miejsce rozrywki wielu ludzi. Były w nim tylko trzy sypialnie z łazienkami, kuchnia i jadalnia oraz stosunkowo duży

salon z rozsuwanymi szklanymi drzwiami, z których roztaczał się widok na tarasy i plażę. Dom otoczony był murem z

kutą w żelazie bramą. Wewnętrzną stronę muru porastał hibiscus i tropikalne pnącza oraz krotony i morska winorośl,

a nad głowami chwiały się ciemnozielone liście majestatycznych

palm. Morze wtaczało się leniwie zielonoturkusową

wspaniałością na pas różowawego piasku, który sięgał do schodów niższego tarasu. W zasięgu wzroku nie było

żadnych domów ani ludzi.

Piękno wyspy było zdradliwe. Wydawało się, że balsamiczne powietrze zachęca do sybaryckiego radowania się

chwilą. Dyskusja, która przywiodła tu Rive i Cosmę, odkładana była z dnia na dzień. Stosunki między całą trójką były

tak beztroskie, atmosfera tak swobodna, że Riva zaczęła myśleć, iż problem z Noelem był jedynie wytworem jej wyobraźni.

Cosmo nie pływał. Nie była to kwestia braku tej umiejętności. On po prostu nie lubił piasku na skórze ani słonej wody we włosach. Pływanie - jak mawiał - było po prostu bzdurnym, bezużytecznym zajęciem, choć gotów był uznać, że jako gimnastyka może mieć dobroczynny wpływ na zdrowie.

Ostatnimi laty nie bywał w tym domu. Kupił go kiedyś, by sprawić

przyjemność swej pierwszej żonie oraz dorastającemu Noelowi.

Riva uwielbiała pływanie. Lubiła prześlizgującą się po skórze wodę i uczucie bliskie nieważkości, gdy unosiła się na jej

powierzchni. Szczególnie kochała morze za zmieniające się barwy i nastroje oraz płynny ruch szumiących fal. Sama

myśl o plaży sprawiała jej radość, a francuska Riwiera wprost ją oszołomiła. Nie wiedziała jedynie, jak bardzo

pokocha to miejsce, do którego teraz przywiózł ją mąż.

Pewnego ranka Noel wy dostał sprzęt do nurkowania. Na plaży znajdowało się miejsce, gdzie - jak mówił - można było

zobaczyć wachlarze koralu i jaskrawoniebieskie papuzie rybki oraz mnóstwo innej osobliwej fauny. Riva nigdy

przedtem nie nurkowała, ale odkryła w sobie nagłą ciekawość nowych doznań. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy spróbuje nurkowania.

Było to śmiesznie łatwe. Odkrywanie wspaniałych roślin i żyjątek pod powierzchnią wody, doskonale widocznych w

półprzezroczystych głębinach
penetrowanych promieniami
tropikalnego słońca, było fascynujące.
Niemąły wpływ na

uczucie przyjemności miał entuzjazm
młodego mężczyzny; radością napawała
ją możliwość pływania ramię w ramię i

wskazywania sobie coraz to nowych
odkryć. Radosne przeżycia połączone z
bliskim towarzystwem Noela, sztubackie

żarty i dokazywanie w wodzie -
wszystko to sprawiło, iż Riva poczuła
się tak młoda i beztroska, jak nie czuła
się od lat;

od chwili, gdy opuściła dom. Nie

chciało się jej wracać do domu na plaży, nawet wtedy, kiedy Noel powiedział, że

skóra na jej plecach jest spieczona jak wysmażony stek i że zachoruje, jeśli nie będzie ostrożniejsza.

Nie była jedyną osobą poparzoną przez słońce. Fakt, że i Noel spieczony był tu i ówdzie, sprawił, że zakończenie dnia

było komiczne. Krzywiąc się z powodu boleśnie obcierających kostiumów i z powodu własnej głupoty, przemierzali

plażę w słońcu chylącym się ku zachodowi.

Cosmo drzemał za zamkniętymi

drzwiami sypialni. Dom był cichy.
Klimatyzacja nieco ochłodziła rozgrzane
ciała.

Ponieważ Riva nie mogła dostać się do
własnej łazienki bez budzenia Cosmy,
wzięła szybki prysznic w jednym z
pokoi

dla gości. Została również odcięta od
ubrań, a myśl o ponownym założeniu
kostiumu, w którym wciąż tkwiły
ziarenka

piasku, była nie do zniesienia.

Zauważyła krótki bawełniany szlafrok na
drzwiach łazienki, wśliznęła się więc w
niego.

Noel zajęty był porządkowaniem sprzętu. Prawie nie spojrział na Rive mijającą go w holu, tak przynajmniej jej się

zdawało, ale oczywiście dostrzegł ubiór.

- W moim pokoju znajdziesz jakiś podkoszulek i szorty, które możesz włożyć - powiedział.

- Dziękuję, ale teraz chyba nie zniosłabym niczego, co przylegałoby do ciała.

- Ubierz się, a mnie pozwól zmyć z siebie piasek. Potem może znajdziemy coś do zjedzenia. Jestem strasznie

głodny.

Ostrożnie, by jej nie dotknąć, prześliznął się obok Rivy, a potem zniknął w swoim pokoju. Po kilku sekundach drzwi

łazienki zamknęły się, a już za chwilę zaczęła płynąć woda.

Riva powędrowała do kuchni, gdzie przetrząsnęła lodówkę w poszukiwaniu jakiejś przekąski. Wyspiarskie

małżeństwo, które każdego ranka przychodziło posprzątać dom, zadbać o kwitnące krzewy, zrobić zakupy i ugotować

coś, miało dziś wolny dzień. Kobieta

zostawiła jednak pieczonego kurczaka i sałatkę na lunch oraz plastry świeżego

ananasa i talerz angielskich herbatników. Riva umieściła przysmaki na tacy razem ze szklankami mrożonej herbaty i

papierowymi talerzykami i wyniosła wszystko na zacienioną część tarasu.

Upał nie zmniejszył się mimo późnego popołudnia. Stał się wprost nie do zniesienia. Daleko na horyzoncie pojawiła

się szarawa mgiełka. Nic się nie poruszało oprócz fal szumiących na plaży i kołysanych kapryśną bryzą

palmowych

liści. Blask bijący od piasku był tak ostry, że nawet w okularach słonecznych należało odwracać od niego wzrok.

Było

to męczące, szczególnie w połączeniu ze zmęczeniem, spowodowanym nadmiarem słońca i bólem poparzonego ciała.

Riva chciała napić się czegoś zimnego, zjeść cokolwiek, a potem wyciągnąć się w fotelu i spać. Uniosła nadzieję na

widelczyk plaster ananasa i wgryzła się w niego, a potem odwróciła głowę i zobaczyła Noela wychodzącego z domu.

Nosił szorty khaki, a jego włosy były tak potargane, jakby ledwo je przeczesał palcami. Nos i uszy miał czerwone, a

ramiona wręcz spalone, ale przez dwa tygodnie spędzone na wyspie zdążył się już opalić, więc wkrótce będzie tylko

bardziej brązowy.

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Wyglądasz jak dobrze wypieczony krab.

- Dzięki za uprzejmość, sir - powiedziała ze słodyczą. - Bierz się do kurczaka.

- Chętnie. Potem będziemy musieli zrobić coś z twoją skórą, w przeciwnym razie pomarszczysz się i zamienisz w suszoną rodzinę.

Uniosła głowę i odciągnęła górę szlafroka, chcąc spojrzeć na swoje piersi.

- Aż tak źle?

- Jesteś o trzy odcienie czerwiejsza niż rano.

- Naprawdę?

- Nie przejmuj się. Mam krem. Jeśli rozprowadzimy go równo, to może po

zejściu skóry zostaną ci resztki urody.

Spojrzała na niego z udawaną irytacją.

- Dobry z ciebie pocieszyciel!

- Cieszę się, że to doceniasz.

Wzrok Noela, skierowany ku niej z drugiej strony stołu, pełen był humoru. Potem rozbawienie zniknęło, a w

spojrzeniu malowała się bezbronność i coś, czego Riva nie umiałaby nazwać. Poczowała, że ściska ją w gardle. Mrugając

powiekami, spuściła wzrok i przesunęła ku Noelowi talerz z kurczakiem.

- Jedz - powiedziała.

- Tak jest, macoszko - odparł głębokim głosem. Jeszcze raz spojrzeli na siebie, a potem szybko odwrócili wzrok. Na

horyzoncie mgła stała się purpurowa, a z oddali dobiegł odgłos grzmotu.

Riva, w szlafroku odsłaniającym jej plecy aż do talii, siedziała między rozstawionymi kolanami Noela, gdy Cosmo,

obudziwszy się z popołudniowej drzemki, wszedł na taras.

- Cóż to? - zapytał, a w jego ostrych słowach słychać było złość. Budzący się

wiatr rozwiewał mu włosy. Słońce skryło

się za chmurą nadciągającą od morza i twarz Cośmy pociemniała.

Riva odgarnęła z oczu kosmyki włosów, drugą ręką zaciskając szlafrok na biuście. Usiłowała się uśmiechnąć.

- Czuję się ogłupiała od długiego przebywania na słońcu. Noel ma jakiś specjalny krem...

- Pewno że ma. Wejdźcie do domu, oboje.

Czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Poczowała też, że Noel odsuwa rękę,

kończąc kojący masaż jej obolałych pleców i

unoszą się pośpiesznie. W jej żołądku umiejscowił się lodowaty kamień.

Poczuła się zdezorientowana i chora.

- Powiedziałem: natychmiast! - To był rozkaz. Noel nie mógł się ruszyć, póki ona się nie podniesie.

Riva próbowała poprawić szlafrok, lecz wiatr, który wpadł na taras, szarpnął z łopotem połamami i odsłonił smukłe nagie

udo. Szybko się otuliła, zawiązała pasek i wstała. Cosmo stał w rozsuniętych drzwiach salonu. Nie odwróciła się, choć

wiedziała, że Noel idzie tuż za nią.

- Włóż coś na siebie - polecił Cosmo. -
A potem chcę cię tu znowu zobaczyć.

Poszła do sypialni i założyła na gołe
ciało letnią sukienkę bez ramiączek.
Szybkimi, mocnymi ruchami
wyszczotkowała

splątane włosy i spięła je spinkami w
kształcie żółwich skorup. Słyszała
podniesione głosy mężczyzn, ale nie

rozdzieliła słów przez zamknięte drzwi
i łomot grzmotów. Czowała się tak
niezręcznie, że przygotowania do
stanięcia

przed mężem trwały dwa razy dłużej, niż powinny.

Nim wróciła do salonu, na dworze pociemniało. Szare chmury kłębiły się nad wzburzonym morzem za szklanymi

drzwiami, a piasek uderzał o dom miękkimi falami.

Obaj mężczyźni obrócili się w jej kierunku. Twarze mieli czerwone, a pięści zaciśnięte. Wyglądali tak podobnie, że

zatrzymała się i skonsternowana przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego. W końcu Cosmo przemówił:

- Ustaliliśmy właśnie, iż najlepiej będzie, jeśli Noel popracuje przez rok lub dwa w filii paryskiej, gdzie nauczy się

przedsiębiorczości. Właśnie o tym zamierzałem z nim porozmawiać, gdy tu jechaliśmy, a teraz wydaje mi się to szczególnie rozsądne.

- Co masz na myśli, mówiąc „teraz”? - zapytała Riva. Niełatwo poddawała się złości, ale czuła, że z trudem przyjdzie jej opanować wybuch. - Czyż nie powiedział ci, że nic między nami nie było, kiedy tak siedzieliśmy?

- Zapominasz, że widziałem was.
- A cóż było do zobaczenia?!
- Widziałem mojego syna pieszczącego moją żonę, która półnaga leżała na jego kolanach. I to ma być nic?!
- Jeśli tak to ujrzałeś, to tylko dlatego, że masz plugawe myśli. On po prostu smarował mi kremem plecy.
- Dobrze, że choć nie zaprzeczasz, iż byłaś naga -powiedział z jadowitą ironią.
- Byłam mniej naga niż wtedy, gdy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy! - zawołała ze złością.

- I zobacz, gdzie cię to zaprowadziło!

Cofnęła się, zaskoczona. Oczy jej się zwęziły.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Noel zrobił krok do przodu.

- Przestań. To się na nic nie zda! Nie pojedę do Paryża.

- Zrobisz to, co ci każę! - oświadczył Cosmo, zwracając się ku niemu.

- Zobaczymy!

- Jeśli nie pojedziesz, nie będziesz pracował w Staulet Corporation!

- A komuż potrzebne jest Staulet Corporation? - zripostował natychmiast syn. Odwrócił się i ruszył gwałtownie ku

szklanym drzwiom. Otworzył je szarpnięciem i wybiegł. W tej samej chwili pochłoneła go burza.

- Noel, zaczekaj! - zawołała Riva, idąc za nim. Cosmo chwycił ją przy drzwiach, odwrócił ku sobie mocno zaciśniętymi

na jej ramieniu palcami.

- A ty dokąd?! Wracaj zaraz!

Wpatrywała się w niego, a wiatr

wpadający przez otwarte drzwi
roziewał jej włosy i poruszał suknią.

- To jest twój syn. Musisz iść za nim.

- Kiedy sobie przypomni, że jest moim
synem, a nie rywalem, może wrócić. A
do tego czasu niech sobie chodzi, gdzie
chce.

- Nie możesz tego zrobić - prosiła,
wyciągając rękę i chwytając koszulę
Cośmy. - To okropne! Nie chcę, by czuł
się

odtrącony przeze mnie!

Wpatrywał się w nią z bólem na twarzy.

- Nie ma innej możliwości; próbowałem coś wymyślić, ale na darmo.

- Musi coś się znaleźć! - powiedziała napiętym głosem i potrząsnęła ramieniem męża. - Musisz coś znaleźć!

Uwalniając się z jego palców, rzuciła się do drzwi. Słyszała, jak krzyczy jej imię, powoli brnąc przez wicher.

Wiedziała,

że zatrzymał się i zaklął, a potem zawrócił i wszedł do domu, z trzaskiem zamykając drzwi. Nie obejrzała się.

Zbiegła

po schodach tarasu i znalazła się na plaży.

Zmrużyła oczy patrząc na bezmiar
piasku. Wiatr szarpał jej sukienkę i
włosy, a ostre drobiny kłuły w twarz. Na
ustach

czuła słony smak mgiełki z rozpylonej
wody morskiej. Nie było widać niczego
prócz fal i chmur. Potem spadły

pierwsze krople deszczu, mokre, ciepłe
plamy o średnicy srebrnej
jednodolarówki. Rozpryskiwały się
wokół i słyszała

ich plusk o powierzchnię morza.

Właśnie wtedy zobaczyła ślady stóp.
Były jedynie płytkimi wgnieceniami w
miękkim piasku, szybko znikającymi pod

wpływem wygładzającego je wiatru, ale układały się w dość wyraźną linię, której wcześniej nie było. Prowadziły od

plaży do budki ogrodniczej, stojącej pod kołyszącymi się palmami. Wśród ciemnych pni rysowała się wysoka postać

mężczyzny.

Riva wpadła między palmy jednocześnie z ulewą. Na wpół oślepiona przez strugi wody, nie widziała wychodzącego jej

naprzeciw Noela. Nagle poczuła, że obejmują ją męskie ramiona. Wydała z siebie jakiś dźwięk - ni to śmiech, ni to

szloch - a potem jego usta znalazły się na jej wargach. Przez długi czas tak stali, a potem wpatrywali się w siebie z

obawą, pożądaniem i niepewnością. Potem zaś, szukając ucieczki przed deszczem, odwrócili się bez słów w stronę

szopki ogrodniczej.

Było w niej ciemno, pachniało środkami owadobójczymi i ziemią doniczkową, ale wiatr, który wdarł się tu po

otwarciu drzwi, przegnał zapachy. Znaleźli w kącie jakąś płócienną markizę - pozostałą z dawno zapomnianego

przyjęcia. Noel rozłożył ją na zapiaszczonej podłodze, tuż przy otwartych drzwiach, a potem usadowili się na niej, bok

przy boku, objęci ramionami. Deszcz uderzał o metalowy dach i spadał rozpryskującymi się na ziemi strumieniami.

Stukot grubych kropel łączył się z szumem wiatru i uderzeniami fal o brzeg.

Riva drżała, choć nie była w stanie stwierdzić, czy z powodu konfrontacji z Cosmą, pocałunku Noela czy też

deszczowej pogody. Ramiona Noela i

jego bliska obecność były miłe.

Przytuliła się do niego zaniepokojona i

zmieszana. Mimo to może czułaby się
zobowiązana do lojalności wobec

Cosmy, gdyby Noel nie ujął jej twarzy w

dłonie i nie zaczął całować.

Jego wargi były gorące i słodkie. Brał
jej usta jak swoje, jakby miał do nich
prawo, podążając językiem wzdłuż ich

zmysłowej linii. Pachniał morskim
powietrzem, kremem do opalania i
młodością. W jego uścisku dało się
wyczuć

twarde mięśnie i energię mężczyzny na

tyle młodego, by być śmiałym i na tyle niewyrobionego, by być gwałtownym.

- Pragnę cię - wyszeptał w jej włosy. - Mimo wszystko cię pragnę. Jeśli mam stracić tak wiele z twojego powodu, to

powiniennem otrzymać za to jakąś rekompensatę...

W jego słowach brzmiał ton rozpaczliwego, desperackiego gniewu, który wydawał się skierowany przeciw Rivie.

- Co? - zapytała zmieszana. - Coś ty powiedział?

- Nie, nie, zapomnij! Nie to miałem na

myśli. To dlatego, iż pragnę cię tak bardzo, że szukam byle usprawiedliwienia.

Pytałaby dalej, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Zaczął ściągać z niej sukienkę bez ramiączek i ujął dłońmi piersi,

pocierając sutki aż do rozbudzenia nieopanowanej żądz. Chęć oporu, jaką Riva przez chwilę przejawiała, rozplynęła

się bez śladu. Było coś tak... oczywistego w jego dotyku, w odczuwaniu jego tulącego się ciała, w smaku jego ust,

jakby oboje zostali stworzeni właśnie dla tej chwili; dla siebie. Opór stał się niemożliwy, odepchnięcie Noela

przekraczało jej siły.

Przytuliła się więc z ufnością.

Delikatnie ułożył ją na markizie tak, by leżała na boku, a nie na spalonych słońcem

plecach. Jego pierś unosiła się powstrzymywanym oddechem rozkoszy i niedowierzania, a potem Riva poczuła na

swym ciele gorące tchnienie oddechu, za którym podążył ciepły, wilgotny dotyk języka Noela.

Nie chciała się już bronić. Jej zasady i duma zniknęły i nie była w stanie przywołać ich z powrotem. Podniecenie w niej

narastało, choć zabarwione lękiem. To, co robiła, było przecież zakazane. Ona i mężczyzna, który trzymał ją w

ramionach, mogli zostać odkryci. Obojgu było jednak już wszystko jedno; najważniejszy był tętent krwi i oczekiwanie

na rozkosz.

Po raz pierwszy Riva nie odczuwała skrępowania, gdy przyjmowała męskie pieszczoty i odwzajemniała je z

zapamiętaniem. Zachwycała się rzeźbą ciała Noela, mocnymi jedwabistymi włosami i poddawała się dotykowi jego

rąk. Czuła się wolna. Postanowiła uczynić ze swego ciała dar, a w zamian otrzymywała dar jego ciała.

Był żarliwy, lecz uważny. Wyczuwał jej reakcje. Delikatny, choć pełen inwencji, upajał się własnymi doznaniem, ale

też dostrajał się do każdego przejawu rozkoszy swej partnerki. Był niezmordowany w swojej wspaniałej sile.

Burza osłabła. Obserwowali w milczeniu, jak chmury przetaczają się

nad morzem, a woda z szarej znów staje się

błękitna. Jednak fale wciąż uderzały o piasek z gniewnym szumem, a ich grzebienie były brudno-białe. Nadszedł wieczór.

Riva czekała, że Noel powie coś o przyszłości. Nie miała pojęcia co - czy proponuje powiedzenie ojcu, że wyjeżdżają

razem, czy też poprosi ją, by omówiła z Cosmą sprawę swego rozvodu. Ostatnie, czego mogła się spodziewać, było

to, że nie zrobi nic.

Ale tak właśnie postąpił. Złapał Rive za rękę, pomagając jej wstać, a potem szedł z nią w poważnej ciszy z powrotem

do domu. Stał przez chwilę w salonie, gdzie Cosmo siedział wpatrzony w morze. Gdy ojciec nie powiedział ani słowa,

ani nie spojrzał na żadne z nich, Noel puścił rękę Rivy i odszedł, kierując się w stronę swojego pokoju. Został tam, nie

wychodząc nawet na kolację.

Gdy nadszedł ranek, już go nie było.

Przy śniadaniu Cosmo ujął Rive za rękę i spojrzał jej w oczy. Od zeszłego wieczoru po raz pierwszy jakby zauważył jej

obecność. Spędził tę noc w pokoju gościnnym. Słyszała, że chodzi niespokojnie aż do wczesnego ranka.

Teraz jego głos był mrukliwy, ale spokojny.

- Przykro mi, że musiałaś być świadkiem mojego zerwania z Noelem. Szczególnie mi przykro, bo sędzę, iż wydaje ci się, że byłem niesprawiedliwy.

- Owszem - odpowiedziała, nie będąc w stanie na niego spojrzeć. Nic w głosie Cośmy nie świadczyło o tym, że

podejrzewa, jak ona i Noel spędzili wieczór, ale ona nie mogła tego zapomnieć; nie zapomni nigdy.

- Byłem zazdrosny, gdy zobaczyłem was razem, muszę przyznać - mówił dalej - lecz szybko zdałem sobie sprawę, że

nie powinienem winie ciebie. To zachowanie mojego syna sprawiło mi ból. Nigdy nie myślałem... Cóż, zawsze to szok,

gdy dowiadujesz się, że ktoś, kogo kochasz, nie jest tym, za kogo go

uważałeś...

Zwilżyła usta w przerażeniu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdy ubierałaś się wczoraj po południu, Noel i ja zamieniliśmy kilka słów. Początkowo nie chciałem ci tego mówić,

ale sądzę, że może lepiej będzie, abyś wiedziała, co powiedział. Przyznał, że igrał z tobą, by nas rozdzielić.

- On... on chciał rozbić nasze małżeństwo?

- Właśnie tak, ale to nie wszystko.

Powiedział mi też, że dawałaś mu...
Sądzę, że mógłbym to nazwać zachętą.

- Co takiego?! - W jej głosie wibrowało zdumienie. Nie mogła pogodzić się z tym, co usłyszała.

- Powiedział, że rzucałaś się na niego. Nie uwierzyłem, lecz domyśliłem się prawdy. Prowokował cię, próbując zaciągnąć do łóżka, by spowodować kłopoty.

- Nie... - wyszeptała, kręcąc bezwiednie głową.

- Przykro mi, kochanie, naprawdę mi przykro. Myślę, że obawiał się ciebie.

Bal się, że będzie musiał dzielić się swoim

dziedzictwem z przyrodnim bratem lub siostrą albo że ty mogłabyś stać się niezastąpiona w korporacji.

- Nie mogę w to uwierzyć! - To było przerażające.

- Chciałem oszczędzić ci tych jego zwierzeń, ale uznałem w końcu, że głupio by było, gdybyś rozpaczała nad czymś, co

nie jest warte twoich łez.

Spojrzała na męża szeroko otwartymi oczami. Czy się domyślił? Nie, nie mógł

się domyślać, bo jego spojrzenie pełne było miłości i zrozumienia.

Noel... Poczwała, że wali się gmach jej nadziei. A co z poczuciem więzi, która narodziła się między nimi; z poczuciem

takiego wzajemnego zrozumienia, jakim niewielu ludzi może się cieszyć? Czy to wszystko było jedynie grą wyobraźni?

- To okropne - wyszeptała, spoglądając w dal. Cosmo westchnął ciężko i pokiwał głową.

- Możemy jedynie mieć nadzieję, że kilka miesięcy lub lat w Paryżu zrobi z niego lepszego człowieka.

Jednak Noel nie pojechał do Paryża. Wstąpił do marynarki i przeszedł szkolenie jako członek elitarnej jednostki

bojowej, a następnie został wysłany jako dowódca wojskowy do południowo-wschodniej Azji. Wspecjalizował się w

elektronice, a na te umiejętności było wielkie zapotrzebowanie. Przez długie miesiące, a potem nawet całe lata nie mieli od niego żadnych wiadomości. Przetrwał jednak i nawiązał wiele kontaktów wśród Francuzów, którzy pozostali

w regionie uparcie nazywanym Indochinami. Zawarł też wiele cennych przyjaźni wśród Azjatów. Po upadku Sajgonu

wystąpił z armii, po czym pojawił się w paryskich biurach Staulet Corporation, przybywając tam ze znakomitymi

pomysłami na produkcję i sprzedaż mikroprocesorów. Poinformowany o tym Cosmo, za namową Rivy, przystał na

proponowane innowacje.

To zasługą Noela było, iż wartość poważnych operacji przeprowadzanych w Paryżu zaczęła szybko iść w górę. To

on

odkrył, że zajmujący się tym człowiek, ten sam, który tak bardzo nie spodobał się kiedyś Rivie, od lat uszczupla zyski

korporacji, zabawiając się z pewną gorącą panienką z Deauville. Człowiek ten został zwolniony, a Noel zajął jego

stanowisko. Po osiemnastu miesiącach wszystko przebiegało już gładko.

Zawarte rok lub dwa lata później małżeństwo Noela z sycylijską księżniczką Constance di Lampadusa stało się

sensacją w najznakomitszym

towarzystwie. Riva, odbywająca w tym czasie regularne podróże do Waszyngtonu, Palm

Beach, Nowego Jorku i Dallas, słyszała liczne pogłoski o wspaniałości tego wydarzenia. Jędzowate plotkary, które nie

zostały zaproszone, mówiły, że specjalistów od ochrony - zwanych goryłami - strzegących sycylijskich bossów było

dwukrotnie więcej niż gości. Riva nie potwierdzała ani nie dementowała tych pogłosek. Ona i Cosmo zostali

wprawdzie na uroczystość zaproszeni,

ale nie byli jej uczestnikami.

Odbyli natomiast u nowożeńców wizytę w osiemnaście miesięcy później, podczas czegoś, co Cosmo nazwał

inspekcyjną wyprawą do zrewolucjonizowanej filii. Riva była pewna, że rzeczywistym celem podróży była chęć

ujrzenia pierwszej wnuczki, której nadano imię matki Noela. Minęło wiele czasu od chwili, gdy Cosmo po raz ostatni

widział swego syna. Noel się zmienił, co do tego nie było wątpliwości, a co było zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę

jego przeżycia w Wietnamie. Mimo to Riva była zaniepokojona, widząc go tak zamkniętym i bezkompromisowym; tak nieprzejednanym w sądach.

Jedyną płaszczyzną, na jakiej on i jego ojciec potrafili się porozumiewać, stanowiło przedsiębiorstwo. Większość

spędzanego razem czasu poświęcali dyskusjom nad Staulet Corporation.

Riva, głęboko zaangażowana w zarządzanie

przedsiębiorstwem - jako inicjatorka poszerzenia profilu jego działalności: od produkcji cukru i bawełny, przez

wykorzystanie złóż ropy, aż po ubezpieczenia i transport morski - była w stanie śledzić szczegóły ich rozmów, choć nie

bardzo to lubiła. Porozumiewanie się w tak nudnych sprawach nie dostarczało jej satysfakcji. Constance, która nie

rozumiała z tego ani słowa i nie interesowało jej to kompletnie, nie miała żadnego powodu do okazywania zazdrości.

Rozwód, który nastąpił po urodzeniu przez Constance drugiego dziecka, był cichy lub przynajmniej tak wyglądało z

drugiej strony Atlantyku. Noel

poinformował o nim zupełnie
mimochodem na zakończenie
międzykontynentalnej

rozmowy telefonicznej; jednej z tych,
jakie co dwa, trzy tygodnie odbywał z
ojcem. Kilka miesięcy później
przyleciał

do Luizjany na spotkanie zarządu. To
właśnie wtedy wziął Rive na bok i
zapytał, kiedy ostatnio ojciec poddał się
badaniom lekarskim.

Cosmo prawie wcale nie chorował.
Jadał umiarkowanie, spacer
zapewniały mu rozsądną dawkę ruchu,
nie palił ani

nie pił nadmiernie. Jeśli miał jakiś nałóg, to jedynie poświęcenie się pracy.

Powinien był żyć sto lat, a doczekał ledwie siedemdziesiątki.

Kiedy nadeszła diagnoza, gdy usłyszał to straszne słowo i ujrzał wielkie C, symbol, którego obawiają się wszyscy,

posłał po Noela. Więzy krwi zatriumfowały. Dla Rivy było oczywiste, że Cosmo ma zamiar przekazać firmę, którą z

takim trudem budował i powiększał, synowi. Wydawało jej się to zresztą jedynie słuszną decyzją. Przeżyła więc szok,

gdy powiedziano, że będzie jej współwłaścicielką, na równi z Noelem.

Nie był to zresztą jedyny wstrząs. Pewnej nocy, gdy pokój Cośmy pogrążony był w ciszy i mroku rozjaśnionym jedynie

miniaturową lampką przypiętą do książki, którą Riva czytała siedząc przy mężu, on zawołał ją cicho.

- Tak, Cosmo?... - powiedziała, odkładając książkę i podchodząc do łóżka. - Jestem tutaj. Odczuwasz ból?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeszcze nie. Chodzi mi o...

- Może chcesz napić się wody? A może podać ci basen?

Cień irytacji przemknął po jego twarzy. Cosmo zaczął mówić urywanymi słowami - z powodu bólu i płynu gromadzącego się w płucach.

- Muszę ci coś wyznać. Skłamałem. Tego dnia na wyspie. Skłamałem.

Coś drgnęło w Rivie, lecz nie pokazała tego po sobie.

- O czym ty mówisz?

- Noel nie powiedział tego, o czym ci wtedy mówiłem. Nigdy nie próbował

wejść między nas. Jeśli się z tobą
kochał,

to wypływało to z jego uczuć.

Te słowa zraniły ją głęboko.

Największym zaskoczeniem nie było
jednak znaczenie słów, lecz fakt, że
wciąż ją raniły.

Niezmiennie.

- Dlaczego więc?... Co cię do tego
skłoniło?

Pot zwilżał jego przerzedzone, prawie
białe włosy. Spojrzał na nią z błagalnym
wyrazem gasnących oczu.

- Bałem się. Boże, pomóż mi... Bałem się, że go pokochasz. Bałem się swego własnego syna i dlatego wyprawilem go z

domu. Odprawilem mojego syna.

Łzy zebrały się w kącikach oczu Cośmy i spływały po twarzy. Patrzyła na nie z bólem. Bolała nad sobą, nad nim, a

także nad Noelem. Wyjęła chusteczkę i delikatnie osuszyła twarz męża, a potem sięgnęła po jego dłoń.

- Nie martw się - powiedziała. - To nie ma znaczenia. Noel wrócił.

- Jego też okłamałem. Powiedziałem, że

próbowałaś go uwieść, by móc go
obwinić, ponieważ chciałaś, abym się
go

wyrzekł.

- Dobry Boże! – szepnęła, nim udało jej
się powstrzymać.

- Skrzywdziłem cię, wiem. Przepraszam.
Wybacz mi.

Łapała nerwowo oddech, starając się
opanować ten okropny ból za mostkiem.

- Nie uczyniłeś mi żadnej krzywdy –
powiedziała w końcu. – To już nie ma
znaczenia, naprawdę.

- Ależ ma... Myślę jednak, że najbardziej skrzywdziłem siebie. Nigdy bowiem nie dowiedziałem się, co byś zrobiła,

gdyby nie moja interwencja. Czy nadal kochałabyś mnie tak samo.

- Oczywiście, że kochałabym cię! – Przyłożyła policzek do jego dłoni, by ukryć spływające łzy.

- Oczywiście, kochałabyś – powiedział z westchnieniem, lecz nie brzmiało to tak, jakby wierzył w tę deklarację.

Godzinę później, wciąż z dłonią w jej rękach, wydał długie westchnienie, a potem jego oddech ustał.

*

Riva, siedząc teraz w zaciemnionym pokoju obok łóżka siostry, pocierała skronie palcami. Tak wiele miłości, tak wiele

bólu, tak wiele lat... Wciąż nie mogła uwierzyć, że Cosmo był bezlitosny i tak zręczny w odseparowaniu jej od swego

syna. Czasem zastanawiała się, czy Noel wiedział. Czy Cosmo sprowadził go do domu specjalnie po to, by mu

wszystko opowiedzieć? Jeśli tak, to podczas ostatnich sześciu miesięcy nie zdarzyło się nic, co by na to wskazywało.

Czegóż więc oczekiwała? Ona i Noel nie byli już młodzi i impulsywni jak kiedyś. Zbyt wiele narosło między nimi uraz i

podejrzeń.

Lecz całował ją w ciemnej limuzynie. Dlaczego? Czy wynikało to z jedynie męskiej potrzeby dominacji, której nie mógł

osiągnąć na płaszczyźnie interesów? Czy chodziło o pamięć ojca? A może oznaczało, iż wciąż coś do niej czuje, nawet

jeśli tylko pożądanie?

A co czuje ona? Gdy odszedł po raz pierwszy, jego nieobecność odczuła niemal jak śmierć. Prześladował ją wtedy

wizerunek Noela. Nie mogła słuchać niektórych popularnych tego lata piosenek, bo ona i Noel słuchali ich wtedy na

wyspie. Dużo też czasu musiało upłynąć, nim przestała wynajdywać powody, by tam nie jechać. A przecież w końcu

zapomniała. Piosenki straciły moc zadawania jej bólu, a dom na wyspie zapełniła gośćmi, gwarem i radością.

Cosmo

otoczył ją miłością i okazywał zaufanie. Była szczęśliwa. Naprawdę była szczęśliwa.

To, że odpowiedziała na pocałunek Noela z zaskakującą żarliwością, nie musiało oznaczać niczego poważnego. Wiele

czasu minęło od chwili, gdy mężczyzna trzymał ją w ramionach. Po raz ostatni zdarzyło się to na długo przed chorobą

Cośmy. Mogła więc to być jedynie czysto fizyczna reakcja, a nie zaraz miłość. Riva nie była pewna, czy w ogóle zdolna

jest do miłości, o jakiej czytała w

książkach -do tej przemożnej
namiętności, dla której żadne
poświęcenie nie było

zbyt wielkie. Z natury była
powściągliwa. Wdzięczna za miłość i
uczucia, wciąż jednak potrafiła się bez
nich obejść.

Czasami zastanawiała się, czy
powściągnięcie uczuć wobec Erin, jak
również pragnienie zapomnienia o
miłości Noela

nie spowodowały w końcu utraty
zdolności do przeżywania uczucia
zwanego miłością.

Byłaby to być może zasłużona kara...

ROZDZIAŁ 15

Anna Gallant podniosła leżący na toalecie hotelowej sypialni kremowy jedwabny szal. Przyglądała mu się przez

chwilę z uniesionymi brwiami, a potem gwałtownym wstrząśnięciem rozwinęła. Był duży, piękny, miał naszyty

firmowy znak projektanta, ale nie stanowił własności Anny, która nie nosiła tego koloru.

Właśnie wróciła z lunchu wieńczącego ceremonię przecinania wstęgi. Nie miała pojęcia, skąd szal się wziął, a w

dodatku nie chciała sobie tego nawet

wyobrażać. Leżał na toalecie starannie złożony, tak że pomyślała, iż zapewne

położyła go tam pokojówka, podobnie jak ułożyła inne rzeczy pozbierane w czasie sprząwania pokoju dwa razy

dziennie: pasek, który upadł na podłogę obok toaletki, gdy Anna rano ubierała się w pośpiechu, i jeden z krawatów

Edisona, pozostawiony na łazienkowym wieszaku.

Z szalem w dłoni podeszła do telefonu i zadzwoniła do hotelowego działu obsługi gości. Kilka minut później

pokojówka pukała do drzwi.

- Znalazłam ten szal za sofą, pani Gallant - powiedziała cichym głosem młoda ciemnoskóra dziewczyna. - Nie podarłam go ani nie zniszczyłam, daję słowo.

- Nie, nie! Nie o to chodzi - odparła Anna. - Rzecz w tym, że nie należy on do mnie. Musiała go tu zostawić osoba wcześniej zajmująca ten apartament.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, jak by to było możliwe. Zawsze odkurzamy dokładnie pokój po każdej zmianie gości. Może zostawiła go

ta pani, która przyszła rano z wizytą.

- Pani, która przyszła z wizytą?...

Dziwny wyraz pojawił się na twarzy pokojówki, gdy patrzyła w zwięzione oczy Anny.

- Oczywiście, mogłam nie zauważyć. Zabiorę go do biura rzeczy znalezionych.

Najgorsze przeczucia Anny potwierdziły się. Zmusiła się do uśmiechu.

- Och, już wiem. Musi być własnością tej reporterki! Miała dziś rano przeprowadzić wywiad z moim mężem.

- O tak, z pewnością - doparła

dziewczyna, uśmiechając się z ulgą. -
Sprzątałam właśnie drugą stronę piętra,
i

widziałam, jak wychodzi z windy.
Pamiętam, że miała ten szal owinięty
wokół szyi. Musiała go zapomnieć.

- Dopilnuję, by go odzyskała.
Przepraszam, że panią fatygowałam.

- Wszystko w porządku, pani Gallant.
Dziewczyna wyszła z pokoju.

Nie było żadnej reporterki! Anna o tym
wiedziała i pokojówka także. Hotelowy
personel zawsze wie, kiedy dzieje się
coś podejrzanego. A więc po wyjściu

Anny w apartamencie była z Edisonem jakaś kobieta! Kim była? I co robiła?

Edison wrócił z lunchu pół godziny później. Anna leżała. Usłyszawszy zgrzyt klucza w drzwiach, spuściła stopy z łóżka.

Jedwabny szal leżał rozłożony na jednym z krzeseł w salonie. Podniosła go i trzymając w dwóch palcach, wyszła mężowi na spotkanie.

- Twój gość to zostawił - powiedziała z chłodnym uśmiechem. - Nie sądzisz, że przyjmowanie przez ciebie kobiet w pokoju hotelowym jest nierozważne w

obecnych okolicznościach?

Anna upuściła szal, który szeleszcząc jedwabiem opadł na błyszczące buty Edisona.

- To nie to, co myślisz.

- Czyżby? Pamiętaj, że twoje zachowanie zmusiło mnie do stania się detektywem. Na sofie są wilgotne plamki. Więc

co to jest? O cóż chodzi tym razem? - Jej głos podnosił się. Słyszała w nim histeryczne nuty, ale nie panowała nad tym.

To już za wiele!

- Kobieta, która tu była, to siostra Rivy Staulet, Margaret. Przyszła, aby mi powiedzieć, że Riva ma mnie w garści.

Anna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. To usprawiedliwienie było tak nieoczekiwane, tak niepodobne do.

wszystkiego, czego Edison dotąd próbował, że minęło sporo czasu, nim dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Riva Staulet? Cóż może, na Boga, mieć przeciwko tobie?

Czy Dante nie podsuwał jej czegoś na ten temat? Powinna była się domyślić!

Edison przeszedł koło żony, zrzucając z siebie płaszcz. Rozwiązał krawat, przerzucając go przez oparcie krzesła w drodze do kredensu, na którym stała taca z butelkami.

Anna przyglądała się, jak przyrządza sobie mocnego drinka. Wiedziała, że zwleka z odpowiedzią. Z wysiłkiem zachowywała cierpliwość.

- No cóż, mogę ci w końcu powiedzieć...

- rzekł, odwracając się ku niej. - Wiele lat temu... byliśmy ze sobą przez krótki

czas, Riva i ja. Zaszła w ciążę. I właśnie dzisiaj dowiedziałem się, że mam córkę,

Erin.

- Erin? Chcesz powiedzieć, że Erin, która pracuje w twoim biurze, dziewczyna Josha...

- Tak. I dlatego Riva Staulet chce ich rozdzielić. Przysłała swoją siostrę z ultimatum.

- Co takiego?! Jakie ultimatum?

- Mam odprawić Josha z Nowego Orleanu, wysłać go do jednego z biur na północy stanu lub ona wyciągnie całą sprawę na światło dzienne.

- Więc zrób to, czego żąda - dla dobra

sprawy...

- ...i pozwól jej rządzić sobą! Tak?!
Nigdy w życiu! -Jego ton świadczył o
krańcowej irytacji. Kilkoma haustami
opróżnił

szklanę i obrócił się, by napełnić ją
ponownie.

- Ale nie możemy przecież pozwolić, by
Josh nadal spotykał się z Erin. To
byłoby okropne.

- Nic się między nimi nie dzieje.
Szczenięce zabawy. Nie ma się czym
martwić!

- Nie masz żadnej pewności! - odparła,

a gdy on w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami, mówiła dalej: - Tak czy

inaczej, jaki masz wybór? Nie chcesz przecież skandalu.

- Ona także nie chce - rzekł, znów obracając się w stronę Anny. - To wszystko jest blefem. Nie ma się czym przejmować. Droga Riva ma do stracenia tyle samo co ja. Może nawet więcej.

W jego słowach brzmiał fałsz.

Wieloletnie doświadczenie mówiło Annie, że lepiej będzie przyjrzeć się sprawie bliżej.

Jakieś wspomnienie ożyło nagle w jej pamięci.

- Nie wydaje mi się, byś dopiero teraz usłyszał o tym wszystkim. Właśnie w tej sprawie Riva Staulet chciała rozmawiać

z tobą po spotkaniu z wyborcami, prawda?

Nie zaprzeczył.

- Wtedy była to jedynie wzmianka - odpowiedział, spoglądając w szklanekę. - Dzisiaj to już groźba.

- Groźba? Przez siostrę?...

- To podstępna suka.

- Jeśli to prawda, czemu sądzisz, że nie znajdzie sposobu, by przysporzyć ci kłopotów, a sobie nie zaszkodzić.

- Są również sposoby, których ja mogę użyć, jeśli ona zechce zachować się paskudnie.

- O czym ty mówisz?

- Erin myśli, że Riva jest jej ciotką, a Riva z pewnością życzy sobie, by nadal tak było...

- A ty mógłbyś ją przestraszyć, że oświecisz Erin? A jeśli to nie skutkuje?

- Powiedzmy, że mam wpływowych

przyjaciół na wysokich stanowiskach.

- Prasa, telewizja?...

- Nie przejmuj się tym. Nic się nie stanie.

Jego odpowiedź była unikiem, ale Anna wiedziała, że drażnienie tematu nie doprowadzi do niczego. Miała zresztą inne

rzeczy na głowie.

- A więc to była groźba? Skąd zatem te plamy na sofie?

- Prawdę mówiąc, myślę, że to Margaret wpadła na pomysł, by tu przyjść.

Zawsze miała na mnie ochotę. Musiałem
jakoś przeciągnąć ją na swoją stronę...

Anna widziała Margaret raz czy dwa
przez wszystkie lata swojego
małżeństwa, ale wiedziała, iż jest ona
żoną jednego

z kuzynów Edisona. Widziała ją na balu
w starej mennicy - pierwszą młodość ta
kobieta, niemal matrona, miała już za
sobą.

- I dlatego się z nią kochałeś?

- Właśnie po to przyszła.

- Ty draniu! - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Z brzękiem odstawił szklanę.

- O co ci chodzi? Pytałaś, więc odpowiedziałem.

- Jak możesz mówić mi coś takiego?! Jestem twoją żoną! Czy ty wiesz, co ja czuję?

- Jeśli jesteś taka wrażliwa, to po co pytałaś? Sądzę, że sprawiło ci to przyjemność. Lubisz słuchać o tym. Temat ten

cię podnieca. Założę się, że gdybym wziął cię teraz do łóżka, byłabyś gotowa jak nigdy.

- To oburzające!

- Och, zawsze tak mówisz!

- Może zaskoczę cię pewnego dnia? -
Anna rzuciła mu te słowa z goryczą,
która odnosiła się w równej mierze do
niego, jak i do niej samej.

- Z pewnością - odparł drwiąco. -
Słyszałem to już.

- Kiedyś wreszcie doprowadzisz mnie...
dużo dalej.

Parsknął śmiechem.

- Za bardzo podoba ci się pozycja żony

sławnego człowieka.

Potrząsnęła głową.

- Wiesz, że nie o to chodzi -
odpowiedziała, potrząsając głową. Głos
jej drżał. - Lubię jedynie uczucie
wypełniania

zobowiązań. Ale mogłabym uznać, że
lepiej mi będzie z innym mężczyzną.
Choćby po to, by się przekonać...

Edison jednym susem dopadł Anny i z
ogromną siłą przygniół ją do ściany.

- Spróbuj, a na pewno nie spodoba ci
się to, co ja z tym zrobię!

Ramiona ją bolały, ale patrzyła na męża bez zmrużenia oka.

- Och, nie wątpię - powiedziała zdławionym głosem. - Ale ja nie jestem taka jak ty. Nie chciałabym, żebyś się dowiedział, więc upewniłabym się, że nic nie będziesz podejrzewał.

- Próbowowałaś już? - zapytał głuchym głosem, przyciskając ją mocniej do ściany. - No?!

- Nie, nigdy - wyszeptała. - Nigdy nie miałam innego mężczyzny. Jak dotąd...

- Ostrzegam cię - rzekł z przerażającym grymasem twarzy. - Nie mam czasu na

takie gówna! Przez cały jutrzejszy

dzień będę zajęty. Pojutrze muszę być w Shrevport, a w czasie weekendu muszę zakończyć sprawę poparcia

„Timesa”. Zabieram ze sobą Josha, ale ty nie jesteś mi potrzebna. Możesz tu zostać i zastanawiać się nad tą sprawą,

bo wrócimy do niej. A zrobimy to, bo nie niestraszne mi są groźby kobiet; ani Rivy, ani Margaret, ani twoje. Jeśli

przysporzysz mi jakichkolwiek kłopotów, jeśli zrobisz coś, co zaszkodzi mi w tej kampanii, okażesz się marną suką,

prawie tak marną jak droga Riva.

Szarpnął nią, tak że wypadła na środek pokoju. Spoglądała na niego rozcierając ręce, ale nie odpowiedziała ani słowa.

To dziwne, nie czuła nawet chęci do płaczu...

Następnego ranka Edison miał spotkać się przy śniadaniu z jakimś kongresmenem. Anna włożyła domowy, swobodny

strój, gdy jej mąż przygotowywał się do wyjścia, ale kiedy tylko opuścił hotel, podeszła do telefonu. Wykręciła numer,

który odczytała z kartki schowanej w

torebce; nie sądziła, że kiedykolwiek skorzysta z niego. Serce waliło jej tak

mocno, że kołnierzyk sukienki podskakiwał, gdy czekała, aż ktoś podniesie słuchawkę z drugiej strony.

Głos Dantego był zaspany, lecz głęboki i ciepły. Z daleka słyszała pogwizdywania papugi. Gardło ścisnęło się jej nagle i

nie mogła wydobyć głosu.

- Halo? - powtórzył Dante. Anna z trudem przełknęła ślinę.

- Tu... mówi Anna Gallant.

- Anno! Jak się masz?

Słyszała zaskoczenie w jego głosie, lecz nie mogła go za to winić; jej samej było trudno uwierzyć, że do niego

telefonuje.

- Dziękuję, dobrze... Ja tylko...

Zastanawiałam się, czy moglibyśmy się spotkać. Jest coś, o czym chciałabym z tobą

porozmawiać.

- Jasne. Co masz na myśli? Lunch?

- Muszę zrobić trochę zakupów. Myślę, że mogłabym pójść na Canal Place albo

do Riverwalk. Może moglibyśmy

wypić filiżankę kawy lub drinka gdzieś w pobliżu.

- Jest kilka odpowiednich miejsc w pobliżu Riverwalk. Będę na ciebie czekał przy fontannie na placu, powiedzmy o

jedenastej. Dobrze?

- Świetnie - odpowiedziała i odłożyła słuchawkę, powtarzając szeptem. - Wspaniale.

Nie kłamała. Musiała kupić sukienkę na ślubne przyjęcie urządzone w ogrodzie. Jednak na Canal Place nie znalazła

niczego, nawet u Saksa. Wszystko było za krótkie albo za długie, zbyt wymyślne albo zbyt skromne, zbyt jaskrawe

albo zbyt blade, za bardzo szykowne bądź też nazbyt dziewczęce. Możliwe, że wina leżała po jej stronie. Nie mogła

się skupić ani też nie miała ochoty oglądać strojów. Przechadzała się to tu, to tam, w górę i w dół; wchodziła i

wychodziła z centrum handlowego, dziękując za pomoc niezliczonym sprzedawczyniom. Wprost nie mogła się doczekać jedenastej.

Wcześniej znalazła się w Riverwalk.

Przeszła pod złotymi literami wielkiego szyldu obwieszczającego, że to centrum

handlowe wybudowano w miejscu, gdzie w roku 1984 odbywała się wystawa światowa. Kierując się przez plac z jego

geometryczną mozaikową posadzką w kolorach kremowym, rdzawym i szarym, znalazła sobie miejsce na ławce z

widokiem na szeroką Missisipi. Spoglądała na strzelające w górę strumienie wody w wielkim okrągłym basenie

fontanny i na turystów, którzy ustawiali się na jej tle do zdjęcia. Biel

wycieczkowych parostatków była oślepiająca w

słońcu. Szary dym wydobywał się z dieslowskich silników, zastosowanych w miejsce opalanych drewnem pieców.

Wciąż jednak był to malowniczy spektakl.

- Zdaje się, że jest ci tu dobrze. Tak wyglądasz... Odwróciła głowę, by spojrzeć na Dantego, a jej usta bezwiednie

ułożyły się w powitalny uśmiech.

- To złudzenie. Zaraz się chyba roztopię.

- Powiniennem być umówić się z tobą w środku - powiedział z ponurym uśmiechem.

- Nie ma sprawy. Zachwycałam się widokiem.

- Po Jackson Square jest to moje następne ulubione miejsce, ale znacznie łatwiej podziwiać je wiosną bądź jesienią.

Wejdziemy? - zapytał, wskazując szklane drzwi wiodące do centrum Riverwalk.

Wstała i poszła z nim ku drzwiom, na którym umieszczono złoty emblemat ze statkiem parowym.

Dante przytrzymał ciężkie szklane drzwi. Ten gest nie był zwykłą grzecznością; był przejawem opiekuńczej troski.

Anna spojrzała na niego ukradkiem. Z tego mężczyzny emanowała taka opiekuńczość, że musiała się zastanowić, czy

okazuje ją tylko jej, czy też wszystkim. Musiała zastanowić się i nad tym, czy to jej wrażenie nie pochodzi wyłącznie z

wyobraźni, czy nie jest tylko formą pobożnego życzenia...

Dante miał na sobie spodnie w kolorze khaki, wygodne buty top-siders i zieloną koszulkę polo. Jej własna sportowa

koszulka i spódnica khaki tym razem bardzo pasowała do jego stroju. To odkrycie było miłe, sprawiało wrażenie, że są

parą. Szybko jednak uświadomiła sobie, że wiele lat minęło już od chwili, gdy była tak młoda, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

Handlowe centrum było zatłoczone, choć większość ludzi sprawiała wrażenie raczej turystów lub znudzonych nastolatków niż kupujących.

- Często tu przychodzisz? - zapytała Anna, gdy lawirowali wśród ludzi.

- Od czasu do czasu. Jest tu kilka interesujących sklepów. Znalazłaś to, czego szukałaś?

- Niezupełnie...

- Próbowowałaś w „Yvonne la Fleur”?

- A co to jest?

- Nie co, tylko kto. Tędy, proszę - powiedział, wskazując sklep, obok którego właśnie przechodzili.

Przypominał on wnętrze wiktoriańskiego pudła na kapelusze. Pachniał perfumami z fiołków i ozdobiony był takim

właśnie kwiatowym wzorem. Tu i

ówdzie rozłożono letnie kreacje ze starej koronki, w delikatne akwarelowe wzory

kwiatowe, śnieżne biele i miękkie, stonowane tkaniny, udrapowane wśród eleganckich kostiumów o bogatej

kolorystyce. Były tu również kapelusze - wytworne i świetnie pasujące do kobiecych twarzy; wszystkie z szerokimi

rondami i przywodziły na myśl królewskie garden party. Nie było tu dwóch rzeczy identycznych. Wszystkie

zaopatrzone w metki poświadczające ich rodowód: „pracownia Yvonne de Fleur”.

Wzrok Anny natychmiast przyciągnęła sukienka z jasnoławendowego batystu, haftowana w delikatne wzory w

kolorze bzu oraz skomponowany z nią kapelusz ze słomki ozdobiony jedwabnymi gałązkami bzu. Całość była w

zupełnie innym stylu niż wszystko, co Anna kiedykolwiek nosiła lub chciała mieć, a mimo to podobała jej się.

- Przymierz - namawiał Dante. - Wierzę pierwszemu wrażeniu.

Sukienka zmiękczała rysy Anny, sprawiając, że wyglądała młodziej. Rozmiar był idealny, a wykonanie

doskonale.

Kapelusz niezaprzeczalnie dodawał jej uroku. Cena była dość wysoka, ale rozsądna jak na tak oryginalny model.

Oglądając się w lustrze przymierzami, zobaczyła jednak, że był to zestaw sprawiający wrażenie romantyczne, i nagle

zawstydziła się ekscentryczności.

- Wyjdź i pozwól nam zobaczyć! - zawołał Dante, a sprzedawczyni zawtórowała.

Anna uświadomiła sobie z zadumą, że nigdy nie robiła zakupów z mężczyzną,

który interesowałby się jej wyglądem.

Jedyną troską Edisona był czas, jaki musiał spędzać na oczekiwaniu. W sklepach z damskimi strojami czuł się

zakłopotany i był zdania, że Anna wygląda dobrze, dopóki nie ubierze się w coś, co mogłoby zwrócić na nią uwagę.

Jeśli pytała o opinię, zazwyczaj spotykało ją wzruszenie ramion lub brutalnie szczerza uwaga na temat jej figury i

gustu.

- Wyglądasz cudownie - rzekł Dante.

Uśmiechnęła się do niego i wolno obróciła dokoła, by ją dokładnie obejrzał.

- Sądysz, że będzie odpowiednia na ogrodowe przyjęcie ślubne?

- Idealna. Jedynym niebezpieczeństwem, chere, jest to, że możesz przyćmić pannę młodą.

- To czyste pochlebstwo, ale bardzo mi się podoba - odpowiedziała, mogąc pozwolić sobie na lekki ton, ponieważ w

jego oczach dostrzegła prawdziwy podziw.

Wychodząc ze sklepu, Dante niósł sukienkę na wieszaku, a ona pudło z kapeluszem. Anna dostrzegła odbicie w szybie

okna wystawowego. Wyglądali oboje na szczęśliwych, bliskich sobie ludzi.

Poczuła dreszcz. Jakąż była idiotką! Właśnie tak zaczyna się niewierność - od przyzwolenia na przewagę przyjemności

nad rozsądkiem. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak popularnym miejscem jest Riverwalk; jak blisko stąd do

centrum. Skoro się jednak dowiedziała, powinna była nalegać na pójście gdzieś

indziej. Choćby jeszcze teraz!

Jakże jednak mogłaby prosić o coś takiego, nie czyniąc ze spotkania czegoś w rodzaju potajemnej randki? Wszak

ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było to, aby Dante wpadł na pomysł, iż ona oczekuje od niego czegoś więcej niż porady

w sprawie sukni oraz przyjaźni. Czyż nie?

- A co z kawą? - spytała.

- Moglibyśmy zjeść lunch. Zbliża się stosowna pora - powiedział, mając na myśli spóźnienie spowodowane jej

zakupami.

- W porządku.

W jej zachowaniu było coś, co dało mu sygnał, iż czuje się skrępowana.

- Nie sądzę, by ponury kąt w jakiejś restauracji z barem był dobrym pomysłem. Co byś powiedziała na zwykłe, ale

bardzo dobre owoce morza przy stoliku z widokiem na rzekę?

Odpowiedzią był uśmiech pełen ulgi.

Poszli do baru Mike'a Andersona na piętrze „Bon F?te”. Dania serwowane w

plastykowych miseczkach były spore, a zapach wyśmienity. Zabrali tace na taras. Z tego ocienionego markizą miejsca rozciągał się wspaniały widok na rzekę,

od której wiała lekka bryza, lecz - co najważniejsze - rzadko rozstawione stoliki były niewidoczne z ulicy. Jedli zupę z

krabów i étouffée, kruszyli krakersy, by karmić fruujące wokół gołębie o czerwonych nóżkach i przyglądali się

powolnemu ruchowi holowników, promów i frachtowców.

W końcu Anna, odprężona, rozsiadła się wygodnie na krześle.

- Z pewnością zastanawiasz się, cóż to za nagły powód skłonił mnie do porannego telefonu - powiedziała ze wzrokiem

utkwionym w szklance lemoniady, którą trzymała w ręku. - Nie mam zamiaru być tajemnicza, tylko naprawdę nie

wiem, jak zacząć.

Dante wytarł usta serwetką, potem ją zmiął i wrzucił do pustej miseczki.

- Pozwól, że ci pomogę. Chodzi o Rive?

- Skąd wiesz? - zapytała, uważnie przypatrując się jego twarzy.

- To wydaje się logiczne. Wiem, że ona ma jakiś problem i jestem niemal pewien, że wiąże się on z twoim mężem.

Byłem, co z pewnością pamiętasz, na tym wyborczym wiecu, gdy razem odeszli na bok, a poza tym znam Rive od dawna. Mogę się domyślać, o co chodzi, ale nie mam pewności. Jeśli rzucisz trochę światła, będę ci wdzięczny.

- Sądziłam, że mógłbyś pomóc mi zrozumieć to wszystko - powiedziała dość szorstko.

- Być może pomożemy sobie nawzajem.

Co kryło się w jego słowach? Anna nie mogła tego wyczytać z wyrazu ciemnych oczu Dantego. Wydawały się tak

ciepłe, lecz równie dobrze mógł to być jedynie efekt załamującego się światła. Odstawiwszy szklanę, zaczęła

przekazywać opinię Edisona na temat Rivy Staulet, jego córki Erin i pogróżek Rivy.

- Nie rozumiem - rzekł zmarszczywszy brwi, gdy skończyła opowiadać. - W tym musi tkwić coś więcej.

- Co masz na myśli?

- To wszystko to za mało na groźby.

- Jak to?! Edisonowi z pewnością nie pomoże wieść, iż jest ojcem nieślubnego dziecka.

Rozważnie przyznał jej rację, a potem mówił dalej:

- Oczywiście, to fikcyjne małżeństwo...

- Co takiego?...

Przez długą chwilę spoglądali na siebie wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami. Pierwszy odezwał się Dante.

- Przepraszam, chere. Myślałem, że wiesz, skoro twój mąż powiedział ci już

tak wiele.

Potrząsnęła głową.

- Wspomniał tylko o romansie.

Powiadasz, że Edison zawarł z Riva fikcyjne małżeństwo?

- Dla Rivy nie było fikcyjne, ale on był już wówczas żonaty z tobą, więc nie mógł wziąć ślubu.

- I Erin została zrodzona z tego nieważnego małżeństwa?

- Właśnie tak.

- Lecz jak... - zaczęła, po czym zamilkła z wzrokiem utkwionym w rzece. Czas

mijał. Gdy znów zaczęła mówić, jej głos drżał. - Teraz rozumiem, jakie mogłoby to okazać się groźne, gdyby istniał dowód.

- Nie wiem, czy istnieje, ale nawet pogłoski o tak nieuczciwym zachowaniu, nawet tak dawno temu, byłyby niebezpieczne.

- To prawda - przyznała Anna, prostując plecy. - Sądzę, że powinieneś wiedzieć, iż Edison zrobi wszystko, co w jego

mocy, aby zyskać pewność, że ta sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw. Pani Staulet nie zdaje sobie chyba sprawy z tego,

co robi, o co prosi...

- Z tego, co widzę, wszystko, co powinien zrobić twój mąż, to rozdzielić Josha i Erin.

- Nie robi tego! Nie teraz.

- Na Boga, dlaczego?!

Uniosła rękę w bezradnym geście.

- Arogancja, egoizm, upór... nazwij to, jak chcesz. Po prostu nie podda się żadnemu ultimatum. Ponadto nie potrafi

przyjąć do wiadomości, że coś nie zależy od niego. Kiedy jednak zda sobie z tego sprawę, może być naprawdę

niebezpieczny. On jest pozbawiony skrupułów. Sądzę, że zaczyna podejrzewać, iż Riva Staulet jest jedyną osobą,

która wymyka mu się spod kontroli.

- Skąd te wnioski? - zapytał Dante twardym głosem, a Anna poczuła kłopotliwe wrażenie własnej nielojalności. Zbyt

długo była mężatką, by z kimś obcym bez skrępowania rozmawiać o swoim mężu i związku małżeńskim. Musiała

jednak się przemóc. Josh był także jej synem.

- On zamierza powstrzymać Rive groźbą, iż powie Erin, kim są jej prawdziwi rodzice. Zemści się za sam fakt zmuszania

go do czegoś. I nie będzie przebierał w środkach!

- Jeśli powie Erin, że jest jej ojcem, to w jakimś sensie spełni życzenie Rivy i siłą rzeczy zakończy romans jej córki z

Joshem.

- Riva z pewnością nie chce, by Erin o tym wiedziała, w przeciwnym razie powiedziałaaby jej sama.

- To prawda, Riva tego nie chce. - Dante

zgodził się z Anną.

- Zatem to Edison ma mocniejszą kartę.
Co wobec tego zrobi Riva?

- Jeśli nadal będzie grozić, że wyjawia przeszłość, to Erin dowie się prawdy. Znam jednak Rive i przypuszczam, iż uzna

pogróżki twego męża za blef i zagrozi z kolei wyjawieniem wszystkiego na forum publicznym - rzekł po namyśle.

- Edison ją powstrzyma.

- Jak?

- Nie wiem, ale mówił coś o

przyjaciołach na wysokich stanowiskach. Sposób, w jaki to mówił, nie był zbyt...

przyjemny.

- Jestem ci więc bardziej wdzięczny, niż potrafię to wyrazić, że zwróciłaś się z tym do mnie. Nie tylko Edison ma

przyjaciół...

Czy chciał przez to powiedzieć, że sam stanie po stronie Rivy jako jej przyjaciel, czy też, że i on ma przyjaciół na tak

wysokich stanowiskach, o których Edison mógłby tylko marzyć? Anna nie

zamierzała pytać. Wystarczyło, iż ostrzegła

tę kobietę.

- Cieszę się - powiedziała.

Ciemne oczy Dantego spoczęły na jej twarzy.

- Nie jest to moja sprawa - jak mówiłem już wcześniej - ale jeśli masz tak mało szacunku dla Gallanta, jeśli tak bardzo

nie jesteś go pewna, czemu, na litość boską, ciągle z nim jesteś?!

- On jest moim mężem - odparła.

- Istnieją rozwody...

W tych spokojnych słowach kryła się nutka krytyki. Odpowiedziała bezbronnym uśmiechem.

- Łatwo powiedzieć, lecz ja tak wiele zainwestowałam w to małżeństwo, a w rozwiązaniu go widzę tyle trudności, że czasami wydaje mi się, iż łatwiej byłoby zostać wdową.

- No, to nie zależy od ciebie.

- Wiem - przyznała.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni, gdy znów zaczęła obracać swoją

szklanę.

- Nie chciałem cię zranić, ja tylko...

- Wiem. To moja sprawa i spróbuję jakoś wybrnąć z niej.

Bała się, że Dante mógłby poczuć się dotknięty tymi słowami. Spojrzała na niego, lecz wzrok mężczyzny uważnie

badał ramię Anny poniżej rękawa bawełnianej bluzki. Idąc za jego wzrokiem spostrzegła, że ma nowe siniaki

pozostawione przez palce Edisona. Obciągnęła rękaw.

- Znów był brutalny, dlatego tu jesteś - powiedział.

- Jeśli sądzisz, że zrobiłam to, by odplacić mu za jakąś... jakąś domową awanturę, to przyrzekam...

- Tego nie powiedziałem - przerwał. - Ani nawet nie pomyślałem.

Patrzyła na niego przez chwilę, nim jej irytacja nieco opadła.

- Nie. Widzę, że nie myślałeś tak.

- Dziękuję i za to. Potrząsnęła głową.

- Taka uprzejma, taka spokojna... - dodał Dante. - A jeszcze dziś wrócisz tam i

będziesz spała z mężczyzną, który grozi

kobietom i wykorzystuje je; który wolałby raczej widzieć swego syna popełniającego kazirodztwo niż poddać się

cudzej woli. Jak możesz być tak bezwolna? - spytał.

- Nawyk?... - Starła się być nonszalancka, ale niezbyt dobrze jej to wyszło.

- Chciałbym wiedzieć, co ten człowiek ma w sobie takiego, że cię trzyma; co kiedyś osobę taką jak Riva skłoniło, by z nim wyjechać. Czy jest tak czarujący w

chwilach intymności? Czy jest tak
świetnym kochankiem?

Roześmiała się. Nie mogła się
powstrzymać. Drwiący śmiech był
najlepszym komentarzem do słów
Danteo.

- Nie? - spytał.

- Nie.

Zapadła cisza. Anna uniosła powieki, by
spojrzeć na Danteo, i poczuła przykry
ból, który tak długo skrywała. Jej

towarzysz nie odwrócił wzroku, lecz
wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.

- Jesteś piękną kobietą, nie musisz żyć bez miłości. Tak jak już powiedziałem: jeśli w jakiś sposób mogę ci pomóc, mam nadzieję, że pozwolisz mi na to.

W jego głosie pojawił się odcień, którego nie było, gdy po raz pierwszy składał Annie tę ofertę na dziedzińcu własnego domu.

Nie zdążyła zareagować, gdyż nagle rozległy się dochodzące z dołu okrzyki i dziecięce nawoływania.

- Panie Dante! Halo, panie Dante!

Dwoje dzieci wyłoniło się z wnętrza

budynku i zaczęło biec. Matka niosąca tacę z coca-colą i hamburgerami podążała

za nimi o wiele wolniej.

- Pietro! - zawołał Dante, a jego twarz wygładziła się w szerokim uśmiechu. - I Coralie! Co tu robicie, moje brzdące?

- Erin powiedziała, że powinniśmy zobaczyć Riverwalk - odparła Coralie, wędrując wzrokiem ku Annie.

- Bardzo dobry pomysł! - pochwalił Dante, a spostrzegłszy zbliżającą się Constance, dodał: - Widzę, że próbujecie

przysmaków amerykańskiej kuchni.

Przyznali ochoczo. Później nastąpiła nieuchronna prezentacja. Anna czuła, że twarz jej płonie, gdy Constance Staulet

mierzyła ją z ironią w swych dużych czarnych oczach. Uśmiechała się jednak uprzejmie, ciesząc się z wyćwiczonej

starannie umiejętności, pozwalającej okazywać uprzejmość, która była serdeczna, choć pełna dystansu.

- Może pani zająć moje miejsce przy stole - oznajmiła Anna, rozglądając się za swoimi pakunkami. - Muszę wracać.

- Pomogę ci znaleźć taksówkę -

powiedział Dante.

- Nie kłopotcz się tym. Poradzę sobie - odparła Anna. - Zrobiłeś już dostatecznie dużo, zapraszając mnie na lunch.

- To żaden kłopot - rzekł, wyciągając rękę po wieszak z sukienką.

- Miło mi było panią poznać, pani Gallant - powiedziała Constance, zajęta rozstawianiem jedzenia. - Dante, musisz

wrócić, by przyłączyć się do nas na jeszcze jednego chłodnego drinka. Jestem pewna, że dzieci będą zachwycone, jeśli

dotrzymasz nam towarzystwa.

Wśród okrzyków radości i podniecenia Anna dostrzegła, że Constance i Dante wymieniają długie, pozbawione

uśmiechu spojrzenie. Już po chwili uświadomiła sobie, że narasta w niej jakieś obce uczucie. Ogarnęło ją przerażenie.

To była zazdrość.

ROZDZIAŁ 16

Tego samego wieczoru Riva, wróciwszy ze swego biura, zastała w domu Constance z dziećmi i Dantego. Tworzyli

bardzo miłą grupę. Constance i Dante
sączyli drinki na tylnym krużganku, a
dzieci, siedzące obok na chłodnej

kamiennej posadzce, bawiły się
odklejaniem nalepek i umieszczaniem
ich w specjalnych albumach kupionych z
myślą

o tworzonej od dzisiaj kolekcji. Riva
pozdrowiła ich wszystkich, a potem
skierowała wzrok ku drugiej stronie

krużganka, gdzie samotnie, ze stopami
opartymi o balustradę, siedział Boots ze
szklaneczką w ręce. Podeszła do

niego.

- Co słyhać, Boots? Zasalutował jej szklanką.

- Super!

Nigdy nie widziała szwagra aż tak pijanego. Miał przekrwione oczy i czerwoną twarz. Siedział tak niedbale na krześle,

aż dziw, że z niego nie spadł.

- Nie wyglądasz super - powiedziała szczerze.

- A jak mam wyglądać, skoro moja żona się puszcza?

- O czym ty mówisz?!

- Poszedłem tam, żeby rozerwać mojego kuzynka na strzępy i wiesz co? Wyśmiał mnie! Wyśmiał!! Powiedział, że

jestem głupcem; że to nawet nie jest dobra dupa i pewnie dlatego daje wszystkim dookoła.

Riva pośpiesznie obejrzała się, by zobaczyć, czy Constance i jej dzieci nie słyszą tych wyznań. To, że Boots używa przy

niej takiego języka, było niepokojącym sygnałem wielkiego ciężaru, jaki musiał mu leżeć na sercu. Jego język był

zwykle bardzo powściągliwy, przynajmniej w towarzystwie kobiet.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, więc znów odwróciła się w stronę Bootsa.

- Jeśli rzeczywiście jesteś głupcem, to tylko dlatego, iż uwierzyłeś Edisonowi.

- Taaak? Ty nic nie wiesz! Od lat wysłuchuję tego, jaki on jest cudowny. Od lat. Przypuszczam, że Margaret sama go

zachęciła!

Nie było sensu spierać się z nim teraz.

- Gdzie jest Margaret?

- Na górze, odpoczywa...

- Dobrze się czuje?

Wzruszył ramionami.

- Mówi, że boli ją głowa, ale czuła się dostatecznie dobrze, by pójść dzisiaj do miasta. Myślę, że ona już nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- Pójdę do niej, tylko się przebiorę.

Riva weszła do domu. Dzień był gorący i choć spędziła go w klimatyzowanym gabinecie, a jej kostium uszyty był z

naturalnego lnu, czuła się nieświeża i znużona. Nigdy zresztą nie potrafiła odpoczywać ani uwolnić się od spraw

zawodowych, dopóki nie zdjęła oficjalnego stroju i nie włożyła czegoś luźnego.

Mijając Dantego, usłyszała skrzypnięcie krzesła. Dogonił ją na schodach.

- Czy mógłbym z tobą porozmawiać?

W jego głosie brzmiała stanowczość. Riva spojrzała na niego badawczo. Nie podobał jej się wyraz jego oczu.

Krótkim

skinieniem głowy wskazała mu fotele w holu. Nie było to szczególnie zaciszne miejsce, ale jeśli będą mówili cicho,

nikt ich nie usłyszy.

Gdy usiedli, pochylił się z rękoma zaciśniętymi między kolanami.

- Nie ufasz mi, prawda? Ponieważ dwadzieścia lat temu zastałaś mnie w łóżku z inną dziewczyną.

Riva brała pod uwagę wiele spraw, o których Dante mógłby z nią rozmawiać, ale o tej nie pomyślała.

- Nie bądź śmieszny - rzekła. -

Oczywiście, że ci ufam. Nikomu nie ufam bardziej niż tobie.

- Nie sądzę. Prawdę powiedziawszy, myślę, że nie chciałaś mnie już nigdy potem widzieć; nie odezwałabyś się ani

słowem, gdybym znów nie wdarł się w twoje życie, nim zdołałaś mnie zapomnieć.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Wdarłeś się w nie z pękiem róż ukradzionych z ogrodu przy klasztorze urszulanek, do którego dostałeś się przez mur. Cud, że cię nie aresztowano. Albo nie wyklęto. Jak mogłabym zapomnieć kogoś, kto tego dokonał?

- Próbowałem cię przeproszać, a nie miałem pieniędzy na kwiaty.

Dante ponownie pojawił się w jej życiu krótko po odejściu Noela, gdy

potrzebowała takiego jak on powiernika

-

troskliwego i opiekuńczego. Przepraszał za nieobecność na ślubie. Nie dostał zaproszenia, powiedział, nawet o nim

nie słyszał, dopóki dziewczyna, z którą wtedy mieszkał, nie rzuciła mu tej wiadomości w twarz, zanim odeszła.

Połączeni bólem, powoli znów stali się sobie bliscy. Cosmo polubił Dantego i ufał mu. Obawiając się własnego syna,

nigdy nie widział rywala w Dantem.

- To poskutkowało, czyż nie? -

powiedziała Riva. -Byliśmy i jesteśmy

przyjaciółmi.

- Tak sądziłem, ale najwyraźniej byłem w błędzie.

- Co masz na myśli?

- Od tamtej chwili aż po dzisiaj pozwalasz mi krążyć po obrzeżach swego życia, ale tak naprawdę nie wiem, co

myślisz, co czujesz. A ważne sprawy zachowujesz dla siebie.

- To nieprawda! - zaprotestowała.

- To dlaczego, na miłość boską, muszę dowiadywać się od trzecich osób, że

próbujesz szantażować Edisona
Gallanta?

- Wcale tego nie robię - oświadczyła,
marszcząc brwi.

- Nie wiem, jak inaczej można to
nazwać. Och, gotów jestem przyznać, że
twoje powody są poważne, ale nie
wiem,

dlaczego nie powiedziałaś mi, co
zamierzasz i nie pozwoliłaś sobie
pomóc.

- A co mógłbyś zrobić? Edison nie jest
człowiekiem, który przyjmuje rady. - Jej
głos był pełen ironii.

- Mam znajomości, przyjaciół, którzy winni mi są przysługę. Zapewniam cię, że mógłbym ich przekonać do tego czy owego...

- Znajomości - powtórzyła jak echo, wpatrując się w niego. Nigdy nie pytała go o jego przyjaciół z mafii; nigdy wcześniej nie było takiej potrzeby. Teraz przeszył ją chłód.

Zamachał rękami.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że mógłbym sprawić, by ktoś... Jak to się mówi? „Złożył mu propozycję”? Choć, gdy

się nad tym zastanowić, to wcale nie jest zły pomysł. Chcę tylko powiedzieć, że znam ludzi, którzy mają to, czego

pragnie Edison; ludzi, którzy mają wpływy polityczne. Właśnie dla tych wpływów posłałby syna choćby do Timbaktu,

ale było to aktualne, zanim dowiedział się, że Erin jest jego córką.

Czy Dante mówi prawdę? Sposób, w jaki z nią rozmawiał, napawał Rive niepokojem mimo jego zapewnień.
Straciła

równowagę między przeszłością a teraźniejszością, fałszem i prawdą, złem

i dobrem. Prawdę mówiąc, czuła się tak od chwili, gdy tylko zaczęła się cała ta sprawa.

Nagle do głębi przeszły ją słowa Dantego. Podniosła się gwałtownie i stanęła nad nim.

- A kto ci powiedział, że on wie?!

- Anna Gallant - odparł, wstając powoli, by stanąć z Riva twarzą w twarz. - Była... zaniepokojona.

- Myślę!

- Chyba źle rozumiesz. Ona nie jest mściwa; nie planuje nic przeciwko

tobie. Ale jest matką Josha.

Słowa były celne. Riva zdała sobie sprawę, że to właśnie ona robi hałas podczas tego spotkania, choć wcześniej

sądziła, że będzie musiała uważać, aby Dante zachowywał się cicho. Ta myśl ją otrzeźwiła. Odsunęła się od niego,

zaciskając dłonie na ramionach.

- Co ona zamierza? - zapytała.

- Anna? Z tego, co wiem - nic.

Ta odpowiedź nie przyniosła Rivie ulgi.

- Tak ci powiedziała, jak przypuszczam.

Nie wiedziałam, że jesteście przyjaciółmi.

- Nie jesteśmy. Z jakiegoś dziwnego powodu sądziła, że mogę wiedzieć, co ty zamierzasz.

Zignorowała jego sarkazm.

- Nie wiem, co zrobić. Zdaje się, że utknęliśmy w martwym punkcie - Edison i ja. Ale wiem, że nie powinieneś angażować się w tę sprawę.

- Nawet gdybym chciał?

- Nawet wtedy.

- Widzisz?! Zawsze trzymasz mnie na odległość ramienia.

- Nie bez powodu - powiedziała, zerkając mu w oczy.

- Wiem - odparł, spoglądając spokojnie swymi ciemnymi oczyma. - Ale teraz on nie żyje.

- Były i inne powody, pamiętasz?

- Pamiętam - przerwał ostro, wpadając jej w słowo. - Dwadzieścia cztery lata to szmat czasu. Ale to jedyna porażka, której nigdy nie zapomnę.

Źle prowadziła tę rozmowę, ale nie

umiała nic na to poradzić.

- Och, Dante, po cóż mówić o tym po tylu latach? Byliśmy w porządku, tacy, jacy byliśmy.

- Rzeczy się zmieniają, ludzie się zmieniają... Chcesz więc mojej pomocy czy nie?

- Czy wyznaczyłeś za nią jakąś cenę?

Patrzył na nią długo, a skóra wokół jego ust zbielała.

- Czy mam rozumieć, że odrzucasz moją propozycję? - spytał powoli.

Riva wyczuła, jak wielki ból sprawiła

mu swym pytaniem.

- Chcę twojego wsparcia! - zawołała. -
Ale nie potrzebuję twojej pomocy!

- Zatem nie potrzebujesz i mnie -
skonstatował. Odwrócił się i zszedł po
schodach. Riva patrzyła, jak odchodzi, i
czuła

się tak, jakby waliła się właśnie jedna z
kolumn domu. Dach mógł jakoś
przetrwać, ale wiadomo było, że
konstrukcja

została zachwiana.

Cóż takiego uczyniła? Jak mogła go
zatrzymać? Wiedziała, oczywiście, ale

nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle
takie

ważne stało się dla niego, że ich
wzajemny stosunek musi się zmienić.

Równie dobrze mógł uznać, że go
wykorzystywała, nie dając nic w
zamian. Czy tak było? Czy była aż tak
samolubna?

Jeśli tak, to dlatego, iż sądziła, że Dante
jest zadowolony z układu
przyjacielskiego opartego na
wieloletniej sympatii.

Nie mogła uwierzyć, że odszedł na
dobre. Jednak nigdy przedtem nie
wydawał się tak zdeterminowany.

Przyszło jej na myśl, że może zwrócił uwagę na kogoś innego. Constance nie kryła przecież, iż uważa go za

pociągającego mężczyznę. Siedząc na krużganku, oboje wydawali się zadowoleni ze swego towarzystwa. Nie

zauważyła jednak, by teraz Dante pożegnał się z byłą żoną Noela. Odgłos jego odjeżdżającego samochodu dobiegł

Rive zbyt szybko.

Marszcząc czoło w zamyśleniu, Riva skierowała się do swojej sypialni, gdzie zdjęła zakiet i rzuciła go na łóżko. Z

westchnieniem uniosła rękę, by rozpiąć

guzik bluzki.

Sądziła teraz, że powinna przystać na propozycję pomocy ze strony Dantego. Mówiąc, że polega jedynie na sobie,

dawała do zrozumienia, iż nie chce być nękana czyjąkolwiek opinią na dany temat. Jeśli nie prosiła nikogo o pomoc,

nikt nie miał prawa wkraczać w jej życie. Przywykła do samodzielnego rozwiązywania różnych spraw. Nie lubiła

korzystania z czyjejś pomocy, co na ogół wiązało się z uzależnianiem się od innych. Zbyt często osoby, których

potrzebowała, opuszczaly ją - umierając
bądź w inny sposób. Poleganie
wyłącznie na sobie stało się więc w
końcu

najmniej bolesne.

Prawdą był również fakt, że będąc
niezależną, nie musiała używać żadnych
podstępów. Nie znosiła myśli, że
mogłaby

czерpać korzyści z uczucia, jakie Dante
do niej żywił. Czasami myślała, że on z
kolei wolałby, aby tak właśnie było. Nie

mogła na to przystać; to nie byłoby
uczciwe. Dante jednak zdawał się
sądzić, że nieuczciwością z jej strony

było, iż

potrafiła obywać się bez niego.

Zdjęła bluzkę i ściągnęła spódnicę, a potem podeszła do garderoby. Zsunęła buty i schyliła się, aby ustawić je na

półce. Na jej twarzy odbiła się irytacja. Jedne z jej butów leżały przewrócone na podłodze, a na nich sukienka.

Margaret znów grzebała w garderobie! Sukienka miała plamę z czarnego smaru, którym -jak zauważyła - ubrudzone

były również podeszwy butów.

Riva nie znosiła niedbalstwa. Być może

sama nie zawsze odkładała na miejsce swoje rzeczy, choć starała się, ale

przynajmniej przewieszała je przez oparcie krzesła, aby chronić przed wygnieciem. Czasami zastanawiała się, czy

siostra celowo tak źle obchodzi się z pożyczanymi ubraniami. Czy w ten sposób chce okazać, jak małe wrażenie

wywierają na niej ich ceny? Niekiedy Riva podejrzewała, że kryje się za tym chęć odwetu za to, iż stać ją było na takie

stroje. Jednak rozmowa na ten temat nie była możliwa. Margaret była i tak

wyprowadzona z równowagi. Mimo to

powinna pójść do niej; dowiedzieć się o samopoczucie, o to, czy nie dokucza jej serce.

Zastała siostrę siedzącą samotnie w ciemności frontowego saloniku.

Wciśnięta w róg sofy, obejmowała ramionami

kolana. Na powitanie odpowiedziała nikłym uśmiechem.

- Czemu tak siedzisz po ciemku? - zapytała Riva, siadając obok Margaret.

- Nie nadaję się do niczego innego.

Riva zastanawiała się nad doborem słów, ale uznała, że nie ma sensu niczego dokładać, bez względu na depresję

siostry.

- A jednak powinnaś być ze wszystkimi. Zadręczanie się z pewnością ci nie pomoże.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - mruknęła Margaret przez zaciśnięte usta, a potem zakryła twarz rękami. - Och, Rivo,

co ja zrobię, jeśli Boots mnie porzuci? Jest wszystkim, co mam. Umrę; wiem, że tak się stanie!

- Będziesz żyła dalej, tak jak ci wszyscy, którzy stracili kogoś najbliższego. Nie umiera się z żalu.

Margaret spojrzała na nią ostro, jakby uderzyła ją pustka w głosie Rivy; pustka świadcząca lepiej niż płacz o

tłumionym bólu. Ale moment refleksji nad czymś innym niż własne troski był krótki.

- Ale ja kocham Bootsa! - wykrzyknęła.

Riva zastanawiała się, czy siostra uważa, że ona nie kochała swego dziecka, swego męża? Przeżyła i inne straty, o

których Margaret nie miała nawet pojęcia, i wcale nie chciała się o nich dowiedzieć. W Rivie poczucie osamotnienia

wciąż było silne.

- Powiedziałaś mu, że go kochasz? - zapytała.

- Nie mogłam. To znaczy, my nie...

- Więc nie oczekuj, że on z tym wystąpi.

- To wszystko wina Edisona! To zwierzę, wściekła bestia, która zrujnowała mi życie. Ani trochę nie przejmował się

mną, tylko tym, czego sam chciał, czego potrzebował. Byłam dla niego tylko ciałem, kolejnym podbojem, który napełnia dumą jego męski egoizm.

Ta znajoma litania zarzutów rozzłościła nagle Rive. Czuła, że rośnie w niej gniew; starała się go opanować, lecz na próżno.

- Edison zachował się jak zwierzę, to prawda. Jednak to nie on przyszedł do ciebie, Margaret. To ty poszłaś do niego.

To, co się stało, było częściowo twoją winą. Ale to jeszcze nie koniec świata.

Wszyscy popełniamy błędy. Przejdź nad tym wreszcie do porządku i zapomnij! Każde przeżycie może być pouczające na przyszłość!

- Jakież to filozoficzne podejście do sprawy! Mam nadzieję, że je sobie przypomnisz, gdy nadejdzie twoja kolej. Tylko

o ciebie przecież chodzi Edisonowi.

- Ja już miałam swoją kolej - odparła Riva.

- Będiesz miała następną, jeśli go nie powstrzymasz.

- Tego chciałaś? Bym miała następną kolejkę, bym znów dała Edisonowi wszystko, czego chce? Czy może jednak uznałaś, że nie jest to łatwe, jak się sama przekonałaś?

- Myślę, że najwyższy czas, byś coś z tym zrobiła. Jesteś Riva Staulet. To zobowiązuje.

- Co proponujesz?

Margaret uczyniła bezradny gest.

- Nie wiem. To twoja sprawa. Znasz różnych ludzi, masz potężnych przyjaciół. Zadzwoń do kogoś. Nie siedź czekając,

aż Edison zrobi kolejny krok. Uprzedź go!

Z zewnątrz dobiegł odgłos podjeżdżającego samochodu. Riva wyrzała przez okno zasłonięte koronkowymi firankami i starymi jedwabnymi zasłonami.

- Już za późno na uprzedzanie Edisona - stwierdziła lakonicznie.

- Co to znaczy?! - Głos Margaret podszyty był trwogą.

- Właśnie przyjechał.

Twarz jej siostry zbielała, a ręce

konwulsyjnie zacisnęły się na kolanach.

- Czego on chce? Nie chcę go widzieć!
Nie mogę! Gdzie mogę się schować?

- Nie bądź głupia! - powiedziała Riva ostro, a potem dodała łagodniej: - Nie masz potrzeby ukrywać się. Z pewnością

nie ma żadnego powodu, abyś musiała go oglądać. Zostań tu, gdzie jesteś.
Abraham dowie się, o co chodzi.

Margaret nie wyglądała na przekonaną, ale siedziała cicho na swoim miejscu. Obie słuchały niespiesznych kroków

lokaja, zmierzającego ku drzwiom wyjściowym. Słyszały, jak prosi

Edisona, by wszedł do biblioteki. Zaraz potem

rozległo się pukanie do drzwi saloniku i Abraham wsunął przez nie głowę.

- Jakiś dżentelmen chce się z panią widzieć, pani Rivo - powiedział, akcentując słowo „dżentelmen” w taki sposób, w

jaki czynią to starzy służący na Południu, gdy status jakiegoś mężczyzny wydaje im się wątpliwy.

- Dziękuję, Abrahamie - odparła.

Rzuciła okiem na Margaret, ale siostra zwinęła się w kłębek na fotelu i

wyglądała tak, jakby chciała się w niego zapaść. Riva wstała i skierowała się ku drzwiom.

Abraham uniósł głowę.

- Czy mam powiedzieć panu Noelowi, aby również przyszedł? Przed chwilą wrócił.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Zajmę się tym. Abraham spojrzał z powątpiewaniem, ale cofnął się, by pozwolić

Rivie przejść, a potem poszedł otworzyć przed nią drzwi do biblioteki. Gdy weszła do środka, delikatnie je zamknął.

Edison stał z książką w ręku. Było to należące do Cośmy pierwsze wydanie powieści „Słońce też wschodzi”.

- Bardzo ładne - rzekł, odkładając książkę na półkę. - Choć ja gustuję raczej w inwestowaniu w konie wyścigowe bądź

papiery wartościowe. Ale każdy robi to, co lubi.

Riva stała słuchając lekceważącego tonu Edisona i obserwując, z jaką beztruską poczyną sobie z cenną książką, której

posiadanie sprawiało Cosmie tak wiele radości. Przyglądała się udawanej swobodzie, z jaką Gallant poruszał się

W

tym najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniu Bonne Vie, i czuła, iż ogarnia ją wściekłość. Miała ochotę go zabić.

Dosłownie. Gdyby miała pod ręką jakąś broń, Edison byłby już martwy. Było to przekonanie przerażające, lecz

zarazem ekscytujące.

- Co tu robisz? - zapytała obcesowo. - Jak możesz w ogóle się tu pokazywać po tym, co zrobiłeś Margaret?

- ...,„zrobiłem Margaret"? Nie zrobiłem niczego, czego ona by nie chciała.

Uśmiech Edisona wyrażał taką
pyszałkowatość, że chciała zetrzeć go z
jego twarzy. Na zawsze.

- To kłamstwo!

- Czyżby? Nie słyszałem, by wzywała
policję.

- I to jest kryterium, na podstawie
którego oceniasz, czy kobieta chce
uprawiać z tobą seks, czy nie? Jeśli nie
wzywa

policji, gdy kładziesz na niej swoje
łapy, to już wszystko w porządku?

- Zawsze miałaś prostacki język -
powiedział z drwiącym uśmiechem.

- A ty zawsze byłeś okropnym egoistą. Jestem zdumiona, że się nie boisz spotkania z Bootsem.

- Stary Boots? A czemuż miałbym się go bać? Jest niemal przekonany, iż jego żona sama tego chciała.

- Chcesz przez to powiedzieć, że go przekonałeś?

- A jeśli nawet, to co?

- Czy nakłonienie Bootsa, by źle myślał o Margaret, poprawiło ci samopoczucie? - zapytała. - To zresztą nie ma

znaczenia. Cokolwiek powiesz, to i tak

wiadomo, że wyłącznie na swoją korzyść. Czego chcesz?

Oparł ręce na biodrach, a twarz pokryła mu się czerwienią.

- W porządku! Jeśli tak ma wyglądać rozmowa, to i ja nie będę uprzejmy. Jestem tu, by powiedzieć ci tylko jedno.

Albo wejdiesz mi do łóżka, albo powiem Erin, kto naprawdę jest jej matką!

Wiedziała, że to musi nadejść. Nie mogło być inaczej.

- Powiesz Erin? Wspaniały pomysł, naprawdę. Sama się nad tym

zastanawiałam.

- Nie mów głupstw! Gdybyś miała taki zamiar, dawno byś go wykonała!

- Może. Może tak, a może nie -
odpowiedziała podchodząc do okna.

Światło półtropikalnego letniego
zmierchu jaśniało za koronkowymi
firankami, przesączaając się do wnętrza.
W tym

przejrzystym świetle dokładnie
przyjrzała się twarzy Edisona - nalanej,
poznaczonej śladami hulaszczego trybu
życia,

wcale nieurodziwej. Jego włosy

przerzedziły się znacznie, co sprawiało, że wyglądał staro.

- Zastanawiam się - powiedziała w końcu - czy zdajesz sobie sprawę, co tracisz, odmawiając mi tej drobnej przysługi,

o jaką proszę. Ktoś, kogo dobrze znam, mówił mi dzisiaj o wpływowych i zamożnych przyjaciółach. Być może

powinnam też wspomnieć, że równie dobrze jak mogę ci pomóc, gdy będziesz ze mną współpracował, potrafię ci

zaszkodzić, jeśli tego nie zrobisz.

Roześmiał się.

- To najwątlesza pogrożka, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Nie myl słów z czynami.

- Nie przeraża mnie ani jedno, ani drugie. Jestem na dobrej drodze do celu, moja damo, i ty nic nie możesz na to

poradzić. Nie potrzebuję ani twoich pieniędzy, ani twoich przyjaciół. Mam mnóstwo jednych i drugich. Potrzebuję

jedynie ciebie... pod sobą. Chcę tego, i będę miał, bo sama mi to dasz. Z tego samego powodu, dla którego nie

wypaplasz wszem i wobec o tym, co działo się wiele lat temu. Nie zrujnujesz

też moich szans przy pomocy zamożnych

przyjaciół; nie zrobisz tego, bo się
boisz. Boisz się utracić to, co masz.

Lubisz być ciocią Riva, panią Staulet
rezydującą

w Bonne Vie i zarządzającą w Staulet
Corporation. Mam cię w garści, moja
pani, i im prędzej się z tym pogodzisz,
tym

prędzej oboje będziemy szczęśliwi.

Jego słowa zawierały wystarczająco
dużo prawdy, by gniew Rivy obrócił się
w chłodne wyzwanie.

- Prędzej umrę... – oznajmiła.

- To również można zorganizować.

To była jawna pogróżka. Czują, że wszystkimi porami skóry lęk wciska się w jej ciało. Nie sądziła jednak, że chciał to

powiedzieć, bo zobaczyła, że jego zwężone oczy otwierają się szeroko, jakby nagle zdał sobie sprawę z błędu.

Tak była pochłonięta słowami Edisona, że nie usłyszała, jak otwierają się drzwi prowadzące z holu.

- Wygląda na to, że weszło mi w nałóg pojawianie się w samym środku waszych kłótni – oznajmił pogodnie Noel.

Ulga i zaniepokojenie jego przybyciem tak się ze sobą zmieszały i były tak intensywne, że Riva przez chwilę nie mogła

wydobyć z siebie słowa.

- To nie jest kłótnia – powiedziała w końcu. – Edison i ja wyjaśniamy sobie niewielką różnicę zdań. Doszliśmy już do

porozumienia i właśnie miał odejść.

Noel spojrział na Edisona.

- Czy tak?

Słowa były uprzejme, lecz zawierały

ukryte wyzwanie całych generacji
dżentelmenów z Południa, uparcie
broniących

zarówno swych posiadłości, jak i tych,
którzy mieszkali w ich granicach. Fakt,
że Edison to pojął, widoczny był w

morderczym spojrzeniu, jakim obrzucił
Noela. Przyjmując bojową postawę,
staął w rozkroku i oparł ręce na

biodrach.

- Wyjdę, kiedy zechcę, do cholery!

Noel ruszył ku niemu, wyzwalając nagle
siłę twardych jak stal mięśni. Złapał
nadgarstek Edisona, wykręcając do

tyłu jego rękę i przyciskając do pleców. Równocześnie drugą dłonią chwycił go za kark, boleśnie wyginając do tyłu

szyję intruza. Rzucający przekleństwa i zionący oburzeniem kandydat na gubernatora został wypchnięty na korytarz.

Abraham, który się tam kręcił, ruszył żwawo do przodu i otworzył na oścież drzwi. Noel wyrzucił Edisona z domu, a ten potykając się zbiegł przez galerię. Lokaj zatrzasnął drzwi i otrzepał ręce. Pogwizdując fałszywie, skinął z

satysfakcją do Noela, mrugnął do stojącej w drzwiach gabinetu Rivy i

odszedł w głąb holu.

Z zewnątrz doszedł warkot samochodu Edisona, ze zdławionym dudnieniem ruszającego w drogę. Noel obrócił się, by

spojrzeć na Rive, a potem zaczął iść w jej kierunku. Zaniepokojona zawziętym wyrazem jego twarzy, cofnęła się w

głąb gabinetu.

- Przypuszczam, że to Abraham cię sprowadził –powiedziała przez ramię.
- Widocznie uznał, że mogę się przydać.
- Doprawdy?

Ile Noel usłyszał? Jak wiele zrozumiał? Opanowanie jego głosu nie pozwalało domyślić się, co on wie.

Noel wpatrywał się w nią. Ostatnie światło wieczoru, wpadające przez okno, otaczało różową poświatą Rive stojącą

na tle koronkowych firan. W kremowej sukni, z włosami opadającymi na ramiona, wydawała się tak eteryczna jak

bezcieleśna zjawia. Słyszał, jak Edison jej grozi i wszedł szukając jakiegokolwiek pretekstu, by dostać tamtego w swoje

ręce. Potrzeba zamknięcia Rivy w

uścisku, jak i żądanie wyjaśnień były niemal nie do odparcia.

Spojrzał w dół pod pretekstem poprawienia rękawów koszuli; w istocie zaś za wszelką cenę starał się zapanować nad sobą.

- Jeśli wprowadziłem cię w zakłopotanie zastosowaniem taktyki Hi-mana, to przepraszam – powiedział szybko. – Nie podoba mi się jednak ten Gallant, a poza tym to mój dom.

- Tak jest. Zapomniałam.

- Wątpię, ale chciałem przez to powiedzieć, że jestem odpowiedzialny za to, co dzieje się pod tym dachem. Bez względu na to jak bardzo – bądź też jak mało – włączony jestem w to, co dzieje się między tobą a Gallantem, on nie będzie cię tutaj obrażał, a w każdym razie nie ujdzie mu to na sucho. Nie pozwolę na to!

- Sądzę, że powinnam ci podziękować.

- Nie kłopotz się tym. Nie zrobiłem tego wyłącznie dla ciebie. Uczyniłem to także dla siebie, a w pewnym sensie także dla pamięci ojca.

Nie było już złości w jego głosie.

Riva odwróciła się wolno, by spojrzeć mu w twarz.

- Bez względu na wszystko, chciałabym, byś wiedział, że naprawdę to doceniam.

- W takim razie cieszę się, że wkroczyłem w porę, lecz nie masz mi za co dziękować!

Badawczy wzrok Rivy spoczął na jego twarzy. Zastanawiała się, czy powiedział to celowo, a jeśli tak, to czy chciał się

w ten sposób zabezpieczyć przed okazywaniem mu wdzięczności, czy

tylko przed dalszymi sztucznymi i bolesnymi

kontaktami z nią. W każdym wypadku jego zamiar odniósł skutek. Stali długo, spoglądając na siebie, aż w końcu

miłosiernie wybawił ich Abraham, który pojawił się, by obwieścić, że podano do stołu.

*

Anna leżała spokojnie z twarzą obróconą na bok i mocno zaciśniętymi oczami, gdy Edison stękał, chrząkał i mozolił się

nad nią. Gdy skończył, stoczył się z niej

i poszedł do łazienki. Nadal nie uczyniła żadnego ruchu, nie zsunęła nóg ani

nie opuściła koszuli nocnej. Leżała w pościwiu wczesnego poranka, z mięśniami zeszywniałymi z gniewu, pożerana

nie zaspokojoną potrzebą. Myślała o zdradzie.

Jak by to było kochać się zamiast być używaną tylko dlatego, że mężczyzna chce rozładować swe napięcie? Jak by to

było, gdyby mężczyzna pieścił delikatnie, mając na względzie jej potrzeby? Przez kilka minionych minut

próbowała

wyobrazić sobie, że kocha się z nią
Dante Romoli. Uczyniło to sprawę nieco
łatwiejszą, ale nie było w pełni

satysfakcjonujące.

Mogła odmówić. Nawet pomyślała o
tym - o odtrąceniu męża i zażądaniu, by
zostawił ją w spokoju. Nie wydawało
się

to jednak warte ciosów, jakie z
pewnością by na nią spadły. Coś, co
wydarzyło się poprzedniego wieczoru w
Bonne

Vie, wprowadziło go we wściekłość - tyle

zdołała zrozumieć z jego przekleństw. W takiej chwili odczuwał gwałtowną

potrzebę dominowania nad kimś, a ponieważ nie mogła to być Riva Staulet, osobą taką stała się żona. Potrafi mu

jednak odpłacić! Ta metoda była stara, sekretna i bardzo dogodna.

Myśl nie była zresztą nowa. Pojawiała się od lat. „Pięknym za nadobne” i tak dalej. Pomysł zawsze wydawał jej się

plugawy i poniżający, wobec tego wszystkiego, co myślała o miłości i świętej naturze małżeńskich przysięg. Ale tak

myślała, nim spotkała Dantego. Teraz była to tylko kwestia odwagi. Czy miała jej wystarczająco dużo?

Walizkę męża Anna spakowała minionej nocy. Był to mały neseser, ponieważ miało go nie być jedynie przez trzy,

najwyżej cztery dni. Mimo to Edison zadzwonił po hotelowego tragarza. Nie daj Boże, by tak ważnego człowieka,

kandydata na gubernatora, zauważono, gdy wykonuje czynność tak podrzędną jak noszenie własnego bagażu, nawet

gdy dzieje się to o piątej rano. Edison wprawdzie będzie musiał nieść bagaż sam z terminalu lotniska aż do

Beechcraft

Bonanza, samolotu, którym latał na swoje krótkie wyprawy. Ale to zupełnie coś innego - wtedy nikt nie będzie go widział.

Anna udawała, że śpi, gdy Edison chodził niecierpliwie po pokoju, czekając na tragarza. Gdy ten wreszcie przyszedł,

mąż wyszedł bez słowa. Odetchnęła z ulgą. Ona także nie chciała pożegnań.

Po kilku minutach usiadła na łóżku i wyciągnęła rękę, by włączyć lampkę. Sięgnęła po książkę, którą zaczęła

poprzedniego wieczora, i próbowała czytać. Po krótkiej chwili poczuła się senna i wyłączyła światło. Przeciągnęła się,

ciesząc się szerokością łóżka, które miała teraz tylko dla siebie. Gdy się obudziła, była prawie dziesiąta. Sięgnęła po

książkę telefoniczną i znalazła w niej numer Dantego. Nabrała powietrza w płuca, podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik linii miejskiej.

*

Było wczesne przedpołudnie, a Riva

pogrążona w dyskusji z wiceprezesem korporacji o odszkodowaniu za kilka

tysięcy ton bananów, które nie mogły być rozładowane w jakimś afrykańskim porcie, gdy zadzwonił telefon.

Zirytowała się, choć głównie na siebie; zapomniała bowiem powiedzieć sekretarce, by nie łączyła żadnych rozmów.

Na linii był Dante.

- Przeszkadzam w czymś ważnym? - zapytał. - Mogę zatelefonować później.

- Nie, nie - odpowiedziała, siłą woli rozjaśniając ton głosu. - Posłuchaj, jeśli

chodzi o wczorajsze popołudnie...

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Zachowałem się jak idiota, wychodząc demonstracyjnie. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - powiedziała, rzucając spojrzenie na współpracownika, siedzącego po przeciwnej stronie biurka. -

Sądzę, że powinnam była ci powiedzieć, o co chodzi. Czemu nie mielibyśmy zjeść obiadu i...

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać. To naprawdę nie moja sprawa, czyż nie? Mogę swe zachowanie jedynie zrzucić

na

przepracowanie i kłopoty z tym całym bałaganem z „Ekstazą” w restauracji na jeziorze.

- Wciąż nie wiesz, kto rozprowadza te narkotyki?

- Zdaje się, że chodzi tu o niejedną osobę. Mam wrażenie, że to miejsce znalazło się pod jakimś ostrzałem.
Trochę

wystawiam czułki, ale nikt nic nie mówi. Postanowiłem uciec od tego wszystkiego na dzień czy dwa, żeby spojrzeć z

innej perspektywy; może w góry lub

gdziekolwiek indziej. Nie przypuszczam jednak, byś chciała dotrzymać mi

towarzystwa?...

- Żałuję, że nie mogę - powiedziała Riva i naprawdę tak czuła. - Po prostu nie mogę zostawić domu pełnego gości i tej

ostatniej sprawy z Edisonem. Ale coś ci powiem: dlaczego nie miałabyś pojechać do domu w Kolorado? Stoi tam i

marnieje. Ktoś czasem powinien z niego korzystać.

- To byłoby wspaniale, jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu.

Ostatnie zdanie było czystą formalnością.

- Wiesz, że nie miałabym - powiedziała.
- Od lat ci powtarzam, że możesz z niego korzystać w każdej chwili.
- Jesteś pewna, że nie uda mi się skłonić cię do wyjazdu?
- To kusząca propozycja, ale obawiam się, że nie.

Riva obiecała, że dopilnuje, by sekretarka zadzwoniła do młodego małżeństwa, które utrzymywało ten górski dom w

gotowości na przyjęcie gości. Kiedyś

małżeństwo to było parą dzieci-
kwiatów. Komponowali i sprzedawali
tam

ziołowe herbatki.

Wymieniwszy z Dantem jeszcze kilka
uprzejmości, odłożyła słuchawkę.
Uśmiechała się z ogromnym uczuciem
ulgi.

Nie lubiła być skłócona z kimkolwiek, a
z Dantem szczególnie.

Wciąż uśmiechnięta, wróciła do
interesów. Ostatnią myślą, jaka
przebiegła jej przez głowę, nim
ponownie zagłębiła

się w zobowiązania określone umową handlową, było to, że mimo wszystko mogłaby przecież wyjechać,

przynajmniej na sobotnią noc i na niedzielę. Gdyby zadzwoniła do Erin i zorganizowała wszystko tak, by pojechały

razem, może udałoby się odciągnąć dziewczynę od wyprawy do Kolorado z Joshem. Margaret nie miałyby nic

przeciwko temu, by Erin wybrała się na krótką wycieczkę. Tak czy inaczej - warto spróbować. Dante był tak rozsądnym

mężczyzną i wiernym przyjacielem, że

zasługiwał na niespodziankę.

ROZDZIAŁ 17

W zatoce zanosiło się na burzę. Anna dowiedziała się tego od taksówkarza wiozącego ją na lotnisko. Nadciągająca

nawałnica sprawiła, iż powietrze stało się tak duszne i gęste od tropikalnego gorąca i wilgotności napływającej z

Karaibów, że każdy oddech przypominał wciąganie w płuca gorącej pary podczas kąpieli. Idąc obok Dantego po

betonowym pasie, Anna czuła wokół kostek wilgotne ciepło i widziała migocące fale powietrza między sobą a

samolotami unoszącymi się z odległych pasów startowych. Wydawało się, że cessa 310, którą Dante wynajął na lot do Kolorado, drży na swoich gumowych kołach. Wilgotne, gorące powietrze sprawiło również i to, że Annie było niedobrze.

Oczywiście, jej samopoczucie nie było spowodowane wyłącznie duchotą. Napięte nerwy, niemal paroksyzmy strachu

atakowały jej żołądek i powlekały potem dłonie. Nigdy jeszcze nie zrobiła czegoś takiego. Jakież to banalne, lecz i

ekscytujące! Nigdy nie spotkała się
sekretnie z mężczyzną na lotnisku, nigdy
nie przebierała się, chcąc celowo
zmienić

wygląd za pomocą ciemnych okularów i
pośpiesznie nabytej peruki w kolorze
blond. Nigdy nie kupowała wymyślnej

bielizny, którą mogłaby założyć raz, a
potem musiałaby ją zniszczyć. Nigdy nie
powierzyła swojego ciała i dobrego

imienia mężczyźnie, którego prawie nie
znała. Nic więc dziwnego, że była
przeżona. Dobrze, że równocześnie
była

zdeteminowana, w przeciwnym razie

pewnie już by uciekła.

Idący obok niej Dante wyglądał ponuro. Pomyślała, że jest równie niezadowolony ze stosowania wybiegów jak i ona,

a nawet jeszcze bardziej. Och, oczywiście, uśmiechnął się na widok Anny, powiedział, że ładnie wygląda i zapewnił, iż

czeka ich mnóstwo radości, ale nie sądziła, by był to najbardziej ekscytujący dzień jego życia. I ta myśl była kolejnym

powodem niepokoju. Czuła się bowiem tak, jakby zmusiła go do wyjazdu na

weekend, bo to ona zasugerowała

wspólne spędzenie czasu. Postawiła Dantego w sytuacji, w której nie mógł odmówić spełnienia danej wcześniej

obietnicy pomocy. Oczywiście, wszystko mogło być wyłącznie sprawą wyobraźni Anny. Należała do kobiet

przyzwyczajonych do czekania na inicjatywę mężczyzny. Odstąpienie od wyznaczonej roli sprawiło, iż czuła się

nieswojo, nawet jeśli cieszyła się chwilową wolnością.

A czuła się naprawdę wolna. Mimo strachu i marnego samopoczucia rosło w

niej, niczym drożdże w ciepłej kuchni,

uczucie radosnego podniecenia.

Wszystko będzie dobrze, gdy znajdą się w powietrzu, gdy opuszczą Nowy Orlean.

Była to podróż pełna niepokoju.

Tropikalna burza, która zbierała się gdzieś na północnym wschodzie od półwyspu

Jukatan, zakłóciła warunki pogodowe zarówno nad Teksasem, jak i nad Luizjaną. Nad południowo-wschodnim

Teksasem spodziewano się więc tornada, które mogło przesunąć się na północ, nabierając mocy w miarę

posuwania

się w głąb lądu. Nad zatoką miał to być więc mokry i niepewny weekend.

Pilot cessny był Teksańczykiem - młodym, wysokim i przyjaznym, ale jedynie na tyle, na ile pozwalała mu postawa

zawodowa. Annie wydawało się, że obdarzył swych pasażerów zdziwionym spojrzeniem, gdy wchodzili na pokład, ale

potem, zajęty pilotowaniem, nie zwracał na nich uwagi. Wnętrze samolotu było przestronne. Ona i Dante siedzieli po

przeciwnych stronach wąskiego przejścia, tak że mogli rozmawiać. Jednak spostrzeżenia i uwagi warte

przekrzykiwania ryku silników niełatwo było znaleźć. W pewnej chwili Dante pochylił się, by wskazać jakiś punkt na

ziemi, dobrze widoczny przez okno.

Goła ręka Anny dotknęła jego ramienia. Przyjemność, jakiej jej dostarczył dotyk

Dantego i ciepło jego skóry, była niepokojąca. Po chwili, gdy odsuwał się od okna, jego palce dotknęły jej kolana.

Anna była tak napięta, że poczuła skurcz mięśni, a kolano podskoczyło w odruchu podobnym do tego, jaki wywołuje

uderzenie młoteczka neurologa.
Zaśmiała się lekko, ale poczuła
rumieniec oblewający twarz i,
zakłopotana, nie była

w stanie spojrzeć Dantemu w oczy.
Minęło kilka chwil, nim wymyśliła, co
mogłaby powiedzieć, aby zatuszować
incydent.

W końcu znalazła ucieczkę przed swymi
nerwowymi reakcjami, jak i trudem
rozmowy, otwierając czasopismo. Po
jakimś czasie warkot silników oraz
kołysanie samolotu, połączone ze
zmęczeniem Anny sprawiły, że poczuła
się

senna. Zamknęła oczy.

W Denver było tak samo gorąco jak w Nowym Orleanie, ale przynajmniej powietrze było suche, a postrzępiona linia

purpurowych gór, zamykających zachodni horyzont, napawała nadzieją na zmianę klimatu. Dante włączył

klimatyzację, gdy zamknęły się drzwi jeepa cherokee, który wypożyczyli w Denver. Pędząc przez miasto, dotarli do

międzystanowej autostrady numer dwadzieścia pięć.

Zmiana, jaka nastąpiła, gdy opuścili

autostradę i zaczęli wjeżdżać w góry, była prawie niewiarygodna. Wyłączyli

klimatyzację i opuścili szyby, pozwalając, aby chłodne, świeże, nasycone tlenem powietrze wypełniło samochód.

Wykrzykiwali z zachwytu nad zapierającymi dech w piersiach widokami, które wynurzały się zza zakrętów. Widoki

były tym bardziej zadziwiające, że niespotykane w nisko położonej

Luizjanie. Kolory dziko rosnących kwiatów - błękitnego łubinu i olśniewająco pomarańczowych

kwiatków indiańskich

- były o wiele jaskrawsze niż barwy dzikich kwiatów, które znali.

Niecodzienne były również urwiste skały wyłaniające

się jedna zza drugiej, wypełniające stopniowo horyzont.

Anna zdjęła perukę i rzuciła ją na tylne siedzenie, a następnie przeczesła włosy palcami, pozwalając, by

rozdmuchiwiał je wiatr. Jej nastrój poprawił się znacznie. Patrzyli teraz na siebie z nagłą radosną przyjemnością

podszytą oczekiwaniem.

Górska chata położona była na wzgórzu porośniętym sosnami oraz świerkami, a u jej stóp wił się szemrzący potok,

nad którym rosły delikatne wierzby.

Solidnie osadzona w skale, z ogromnym głazem w jednym rogu dachu, oknami

skierowana była na dolinę potoku ciągnącą się aż ku odległemu łańcuchowi błękitnawych gór ze srebrzystymi żyłkami

zalegającego w górnych partiach śniegu.

Dom był chatą jedynie z nazwy. W istocie stanowić mógł sen architekta o cedrowym drewnie i szkle, ułożonych w

oryginalne formy i o starannie wykorzystanych zaplanowanych widokach. Był w nim wielki pokój z kominkiem

wyłożonym szarym kamieniem, którego wciąż czepiały się jakieś porosty. Indiańskie chodniki pokrywały podłogi z

twardego drewna i zwieszały się ze ścian niczym wytworne gobeliny. Pokój miał szklaną ścianę sięgającą na wysokość

dwóch pięter. Schody z wygładzonej sosny górskiej prowadziły na balkon, który otaczał wyższy poziom tego

wspaniałego pomieszczenia i wiódł do

pokojów sypialnych.

Centralnym punktem tej wspaniałej komnaty, a zarazem i całego domu, była wykonana z brązu płaskorzeźba na

wysokim, kamiennym kominku. To dzieło o imponujących rozmiarach przedstawiało postać pół-Indianina, pół-orła,

uchwyconego w momencie wzbijania się do lotu. Jego skrzydła były rozciągnięte, ale wzlecieć nie mógł, gdyż stopy

wciąż tkwiły w skale. Na twarzy Indianina malował się wyraz nadludzkiego wysiłku połączonego z udręką zniewagi.

Wpatrując się w tę rzeźbę, Anna czuła ból, lecz i radość artysty. Uczucia te mieszały się z jej własnymi. Gdy Dante

otoczył ją ramionami, zapominając o brązowej rzeźbie, zapominając o wszystkim, obróciła się ku niemu.

Najbardziej podobało się jej w Dancem to, iż nic nie mówił. Nie mogłaby znieść poniżenia, gdyby -jak Edison -

mamrotał wulgarne, upokarzające słowa, a w momentach intymnych wyrażał lubieżne sugestie, bo go to podniecało.

Dante zaś był cichy, zręczny i nadzwyczaj delikatny. Dotykał jej z tą

samą umiejętną uwagą, z jaką czyniła to sama,

lecz z pewnym uporem, który sprawiał, iż czuła, jakby ukształtowano ją z czystego kryształu - twardego, przejrzystego

i szlachetnego. Ekstaza wcale nie była mniej silna, gdy dokonywała się w ciszy.

Wtuleni w siebie, spali, oddychając chłodnym, upajającym, pachnącym wieczną zielenią górskim powietrzem, które

wlewało się przez otwarte okno. Obudzili się wypoczęci i znów się

kochali, a potem, kierowani głodem, przemknęli

nago przez cichy dom, by znaleźć coś do jedzenia. Właśnie wtedy znaleźli kartkę pozostawioną przez młodego

opiekuna domu i jego żonę, i po raz pierwszy zwrócili uwagę na nieobecność tej pary. Według informacji zawartej na

kartce młodzi ludzie wyjechali do Springs, to znaczy do Colorado Springs, i nie wrócą do niedzielnego wieczoru.

Dante i Anna wzięli jedzenie do łóżka, gdzie z apetytem spożyli barbecue i fasolę, razowy chleb i owoce, i pili

wino.

Potem, odstawivszy na bok resztki, zaczęli ochoczo poznawać się nawzajem.

Ośmielona i nawet szczodra w swej radości, Anna po raz pierwszy tak uważnie badała ciało mężczyzny.

Myśląc o

dawaniu przyjemności, znalazła ją. A kiedy zaczęła płakać, Dante przytulił ją i uciszył, dając jej równocześnie ukojenie.

- Jesteś chyba ostatnim dżentelmenem, ostatnim subtelnym mężczyzną.

Anna siedziała opierając się o trzy poduszki ułożone jedna na drugiej w głowach łóżka o królewskich rozmiarach.

Miała przed sobą widok rozciągający się z otwartych, nie zasłoniętych okien piętra - widok obramowany wysokimi,

szarobłękitnymi świerkami oraz odległymi górami, które tego ranka spowite były białymi chmurami. W obrazie tym

mieściło się również smukłe, nagie ciało Dantego. Jego głowa spoczywała na kolanach Anny. Karmiła go winogronami

w zabawnej parodii tysiąca podobnych scen rozgrywanych między ukrywającymi się przed światem kochankami.

Czuła się głupio, lecz mile zauroczona przeżyciami, których tak starannie unikała przez całe dotychczasowe życie.

Przedtem uważała je za niesmaczne. W tej chwili były najpiękniejsze.

- Nie wiem, o czym mówisz - rzekł Dante, przełknąwszy bezpestkowe czerwone winogrona, które rozgryzał mocnymi

białymi zębami. - Nie jestem żadnym dżentelmenem. Jestem tylko

restauratorem.

- Marnujesz swój talent. Jako płatny kochanek mógłbyś zarobić miliony, może nawet miliardy...

- Nie wiem, czy starczyłoby mi na to sił
- powiedział smutno. - Może kiedy byłem młodszy...

- Kiedy byłeś młodszy, prawdopodobnie nie miałeś... powiedzmy... treningu.

Dante szeroko otworzył oczy.

- Oto wyjaśnienie! Jesteś geniuszem, chere. Odkryłaś, dlaczego żigolacy wyszli z mody. Dzisiejsi młodzi ludzie nie

mają cierpliwości, a nim się nauczą,
czego trzeba, stają się starzy.

- Młodym ludziom brak dyscypliny
wewnętrznej.

- A kobietom, które im się podobają -
siwych włosów.

- Oczywiście - wyznała zgodnie. -
Niektórzy starsi mężczyźni nie są o
wiele lepsi.

- Tylko głupcy.

- Są zbyt pochłonięci sobą, by się uczyć.
Jest ich mnóstwo! Więc tak, jak
powiedziałam, ty jesteś ostatnim

dżentelmenem.

Spojrzał jej w oczy.

- Aż tak źle?...

Wzruszyła ramionami w geście rezygnacji, a gest ten poruszył jej piersi. Choć uświadamiała sobie, że siedzi naga w

porannym słońcu, nie przejmowała się tym, głównie dlatego, że myślała, iż jej piersi doświadczyły już zbyt mocno

działania grawitacji. Skoncentrowała się na tym, rozmyślnie nie dopuszczając do siebie myśli o Edisonie.

- A zatem, jak powiedziałem...

- Wiem, wiem. - W zamyśleniu sama zjadła winogrona, ze wzrokiem utkwionym w góry. Głęboko wdychała czyste

powietrze napływające przez okno. -Od czasu naszego lunchu w Riverwalk myślę, że gdybym była sama, mogłabym

wrócić do szkoły. Kiedyś byłam dobra w językach. Mogłabym odbyć stosowne kursy, przypomnieć sobie francuski.

Może mogłabym zostać nawet nauczycielką tego języka. A może użyłabym swoich kontaktów żony polityka, by zająć

się ochroną zabytków? Sądzę, że to by mi odpowiadało.

- To świetnie, chere - powiedział, lecz jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Problemem byłyby jedynie pieniądze. Musiałabym zmienić styl życia, choć mam stały niewielki dochód z posiadłości

mojego ojca. Trudno porzucić życie, które budowałam ponad dwadzieścia lat, przyjaciół, kluby i komitety - cały z taką

pieczołowitością konstruowany świat towarzyski. Nie łudzę się co do tego, bo wiem, że wszystko się zmieni. Sprawić,

by Josh to zrozumiał i zaakceptował... to następny ważny krok. Ale najgorsze ze wszystkiego byłoby stawienie czoła

Edisonowi i jego groźbom, jakich na pewno użyłby starając się powstrzymać mnie od odejścia.

- Jeśli stanie się zbyt natrętny, zawsze możesz pójść na policję albo... do mnie.

Jej uśmiech wyrażał wdzięczność za tę ostatnią sugestię, mimo to potrząsnęła bezradnie głową.

- Po prostu nie wiem. Tak ogromna zmiana, a kiedy się ją zacznie, nie ma już odwrotu. A ja jestem tchórzem. Zawsze

nim byłam...

- Nie wierzę - powiedział. - Odwagi wymaga zarówno odejście, jak i pozostanie przy boku takiego człowieka.

Uśmiechnęła się smutno.

- Porozmawiajmy o czymś innym, dobrze? Przyjazd tutaj również wymagał odwagi, ale nie zrezygnowałabym z niego

za nic na świecie.

- Ani ja - odpowiedział pewnym głosem, przystając w ten sposób na zmianę tematu.

- Cóż za galanteria!

- Nie wiem, dlaczego to mówisz. - W jego słowach brzmiała nuta irytacji.

- Ponieważ to prawda. Ponieważ wiem, że nie wkładasz w spotkanie ze mną serca.

- A cóż z nim robię? - zapytał, unosząc się lekko i patrząc jej w oczy.

- Myślę, że zostawiłeś je w Nowym Orleanie - powiedziała cicho. - Z Riva Staulet.

Zamrugał powiekami, a przez jego oliwkową skórę przebił się ciemny rumieniec.

- Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

- Och, nie mam nic przeciwko temu, naprawdę nie! Nie sądziłam zresztą, że umierasz z miłości do mnie. -

Wyciągnęła

rękę, by pogłodzić kręcące się czarne wspaniałe włosy kochanka. - Sposób, w jaki o niej mówisz, sprawia, iż sądzę, że

od dawna myślisz tylko o Rivie. Tak jak i Edison, choć w inny sposób.

Odwrócił wzrok, kierując go w stronę wspaniałego widoku za oknem.

- Jeśli, jak powiadasz, wciąż o niej myślę, to może dlatego, że chcę, aby tak

było. Mogłoby się wydawać, że tak długo,

dopóki nie była wolna, nie istniało dla mnie żadne ryzyko. Miałem kogoś do kochania, z kim mogłem być co jakiś czas.

A jednocześnie mogłem chadzać własnymi drogami; koncentrować się na swych interesach. Co o tym sądzisz?

Naprawdę chciał wiedzieć, jak ona widzi jego sytuację. To było wzruszające.

- Nie wiem - powiedziała. - Wydaje się, że wszystko zależy od tego, jak czujesz się teraz, gdy ona została wdową.

- Sam nie wiem. Czasami sędzę, że jeśli w ogóle miałyby być ze mną, to opuściłyby Cosmę Stauleta już dawno, bo tak

naprawdę nigdy nie stanowił poważnej przeszkody. I myślę, że nie chcę już dłużej samotnie iść przez życie. Myślę o

założeniu rodziny, o dzieciach. Wcale nie jest jeszcze na to za późno, wiesz?...

- Wielkie nieba, oczywiście, że nie! Przecież pięćdziesięcioletni, a nawet sześćdziesięcioletni mężczyźni...

Przerwał jej szybkim gestem dłoni.

- Wiem o tym, ale rzecz w tym, że

mogłoby stać się za późno na prawdziwe małżeństwo, małżeństwo z miłości, takie,

w którym nawet wspólna starość i siwizna partnerki wydaje się całkiem przyjemna.

Uśmiechnęła się.

- Tak jak powiedziałam: ostatni dżentelmen, a do tego romantyk.

- Jeśli jestem tak idealnym facetem, dlaczego ze mnie rezygnujesz?

- Nie rezygnuję! Cóż za pomysł! - zaprotestowała Anna.

- Tak mi się wydaje - powiedział,
spoglądając jej w oczy.

- Przecież chcesz młodej kobiety,
mogącej mieć dzieci...

Kąciki jego ust opadły w smutnym
grymasie.

- Och, cóż, gdyby potrzeba zostania
ojcem małych Romolich była
przeważająca, to pewnie zaspokoiłbym
ją już

dawno, zamiast otwierać kolejne
restauracje. Może nawet lepszy byłbym
w roli dziadka, bo zawsze mógłbym
odesłać

dziatwę do rodziców.

- Aby być dziadkiem, najpierw trzeba przejść przez rolę ojca.
- Albo ożenić się z kimś, kto ma dziecko, na przykład syna wystarczająco dorosłego, by został ojcem.

Anna poczuła się niepewnie.

- Nie mówisz tego poważnie!
- A ty znowu swoje! Posłuchaj mnie uważnie. Jesteś wspaniałą, godną pożądaną kobietą, a godziny, które spędziliśmy razem podczas tych kilku ostatnich dni, były cudowne. Znaczą dla

mnie więcej, niż potrafię to wyrazić.

Miłość to słowo, którego zwykle unikam, ale wiem, że mógłbym cię pokochać bez trudu, jedynie przy odrobinie

zachęty z twojej strony.

Anna zmusiła się do uśmiechu, przysłaniając oczy rzęsami.

- To ja wprosiłam się na ten weekend, pamiętasz?

- Tylko dlatego, że ja nie miałem odwagi zaprosić ciebie; nie śmiałem pomyśleć, że mogłabyś się zgodzić.

Po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili Nowy Orlean, Anna była pewna, że stała się centrum uwagi Dantego. Zaśmiała się serdecznie.

- Jak dobrze wpływasz na moje ego!

- Nie to jest moim zamiarem.

- Nie?

- Chciałem się dowiedzieć, czy mogłabyś zapragnąć czegoś więcej niż weekendu w towarzystwie Cajuno - Włocha w

średnim wieku, z siwiejącymi włosami i zbyt obfitych atrybutach miłości.

- Jakie siwe włosy?! To ledwie nieco soli wśród pieprzu. A co do atrybutów miłości, to wyglądasz jak grecka rzeźba

- o

idealnych proporcjach. To jest naprawdę moja opinia. Wiesz zresztą o tym doskonale.

Anna patrzyła na Dantego, z sercem w gardle czekając na odpowiedź. Ta cała rozmowa o miłości nadeszła za szybko.

W każdym razie zbyt wcześnie, by Anna uwierzyła w powagę sytuacji. Chciała tego jednak, chciała bardziej niż czegokolwiek innego.

Napotkał jej miękkie orzechowe spojrzenie, dostrzegając w nim lęk i ciepło, a wtedy w jego ciemnych oczach pojawił

się uśmiech. Z doskonałym wyczuciem taktu pozwolił się jej poprowadzić. Delikatnie wysunął rękę i zaczął gładzić wrażliwą wewnętrzną stronę jej uda.

- W porządku, niech będzie tak, jak ty chcesz - powiedział z żartobliwym westchnieniem. - Jestem adoniszem, księciem,

wzorem doskonałości wśród mężczyzn, a tak oszalałem na punkcie twojego ciała, że jeśli znów wyrzekniesz się

mnie,

to stanę się nieodpowiedzialny! Czy nie ma we mnie niczego, czym chciałabyś się zająć na swój własny sposób?

- No cóż, skoro o tym wspominasz...

- Tak?... - dopytywał się.

- Cóż...

- Powiedz tylko, czego chcesz. A jednak są chwile, odkryła Anna, gdy można mówić o ekstazie, a ona pozostaje

wspaniała.

*

Opadała lekka mgła, gdy w piątkowe popołudnie Riva opuszczała budynek Staulet Corporation. Wcześniej nad

miastem przeszła burza, która zmyła ulice, splukując do ścieków śmieci i kurz. Liczne stacje pomp, znajdujące się w

niziej położonych częściach miasta, usuwały nadmiar wody. Ulice lekko parowały, jak gdyby miasto otoczone

groblami było gigantycznym kipiącym kotłem.

George z parasolką wyszedł po Rive aż do drzwi gmachu i pomógł jej wejść do samochodu. Podziękowała mu, choć

równie dobrze mogłaby poczuć deszcz na swojej twarzy. Potraktowałaby go jako możliwość odświeżenia się.

To był długi dzień. Riva czuła się winna, pozostając tak długo z dala od Bonne Vie. Zamierzała wpaść do biura jedynie

na kilka minut, by podpisać dokumenty, które nie mogły czekać, lecz wdała się w sto szczegółów. Powinna była

wiedzieć, że tak się stanie. Jak zawsze.

Wychodząc zatrzymała się na chwilę przy gabinecie Noela. Jeszcze pracował. Gdy powiedziała mu, że czas kończyć,

spojrzał na nią oszołomiony. Nie była pewna, czy wyraz jego twarzy oznacza, iż nie wierzy, że ona już wychodzi, czy

też jedynie to, iż nie zdaje sobie sprawy, która jest godzina. Sądziła, że w grę wchodzi ta druga ewentualność, bo

ostatnimi dniami stał się takim samym pracoholikiem jak ona. W każdym razie rzucił okiem na zegarek, roześmiał się i

zaczął składać dokumenty. Pomachała mu ręką i poszła.

Ruch na trasie wylotowej z miasta był bardzo duży; wydawało się, że wszyscy wyjeżdżają na weekend. Warunki na

drodze nie były najlepsze. Ulewa naniósła na nawierzchnię mieszaninę oleju, brudu i spalin, lecz nie była na tyle silna,

by to wszystko zmyć. Opadająca mgła sprawiła, że powierzchnia jezdni była wciąż śliska. W dodatku niebo

zachmurzyło się i wcześniej zapadł zmierzch. Niektórzy kierowcy dla bezpieczeństwa włączyli już światła, ale

większość nie przywiązywała do tego wagi.

Jechali o dziesięć minut dłużej niż zwykle, bo policja usuwała skutki kolizji między ciężarówką z krewetkami

a

trzydziestoletnim cadillakiem z kołpakami przypominającymi rybie płetwy. Gdy zatrzymali się na chwilę, George

włączył radio i ustawił stację z prognozą pogody, by wysłuchać doniesienia o burzy w zatoce. Riva włączyła własne

radio i wyregulowała głośność. O tej porze roku każda burza w zatoce mogła przekształcić się w huragan, a każdy

huragan z zatoki mógł przesunąć się w ciągu minuty w stronę Nowego Orleanu. Najlepiej było więc na bieżąco śledzić

warunki pogodowe.

Burza nie osiągnęła wprawdzie huraganowej siły, lecz była blisko - u wybrzeży Meksyku, tuż nad granicą z Teksasem,

a więc tam, gdzie oczekiwano na deszcze. Pojawiły się jednak ostrzeżenia przeciwpowodziowe, opierające się na

doniesieniach o wysokim poziomie wód, będącym skutkiem burz i ulewnych deszczów, a małe ostrzegawcze

awionetki z flagami latały nad zatokami, zatoczkami, jeziorami i rzekami.

W końcu ruszyli dalej i skręcili z

autostrady międzystanowej na autostradę znaną jako Airline. Gdy nabrali prędkości,

Riva rozsiadła się wygodnie na tylnym siedzeniu i wyjęła plik raportów z zamiarem ich przestudiowania. Ukojona

odgłosem deszczu uderzającego o szyby, rytmicznym szumem poruszających się wycieraczek i cykaniem migacza, gdy

George wyprzedzał samochody, zajęła się lekturą dokumentów.

Nagle poczuła, że limuzyna skręca gwałtownie, i usłyszała pisk opon. Spadła z siedzenia, lądując na podłodze wśród

rozrzuconych papierów.

George szarpiąc kierownicę krzyknął przez ramię:

- Proszę zostać na dole, pani Rivo, proszę zostać na dole!

Znajdowali się na drodze wiodącej do rzeki, co mogła wywnioskować z bliskości drzew rosnących obok drogi. Nie

zauważyła, kiedy skręcili. W żaden sposób nie można było tej drogi uznać za szeroką. Pobocza, których nigdy nie

naprawiano, były po prostu warstwą żwiru. Riva czuła, że samochód nabiera

prędkości, kołysząc się dziko na boki.

Słyszała uderzenia drobnych kamyczków o podwozie.

Lecz nagle rozległ się też znacznie bardziej złowieszczy dźwięk - pisk opon ścigającego ich samochodu, pędzącego

zaraz za limuzyną. Zachowanie George'a przy kierownicy podsunęło Rivie myśl, że miotając samochód na boki,

próbuje powstrzymać ścigających od wyprzedzenia ich.

- Co się dzieje?! - krzyknęła.

- Ten samochód wyjechał skądś z boku i

próbował zablokować nam drogę!
Mężczyzna siedzący z przodu ma karabin
uzi!

To wprost niewiarygodne! Umysł Rivy
nie był w stanie pogodzić się z
informacją. Uniosła się nieco, by móc
ukradkiem
spojrzeć na drogę.

W zielonym sedanie ujrzała dwóch
mężczyzn w czarnych garniturach i
przeciwsłonecznych okularach z
lustrzanymi

szkłami. Jeden z nich wychylał się przez
okno trzymając w dłoni karabin

maszynowy ze ściętą lufą.

Takie rzeczy zdarzały się we Włoszech czy Argentynie, ale nie w Luizjanie! Przydarzały się wysoko postawionym

osobistościom, miliarderom, dyplomatom, politykom. Tym, którzy podróżowali z hordami ochroniarzy.

Niewiarygodne było, że spotkało to i Rive - w Luizjanie, na oznakowanej drodze krajobrazowej Great River Road, na

zwykłej czarnej jezdni, pełnej wybojów i zakrętów; na drodze, wzdłuż której usytuowane są jedynie małe miasteczka,

i setki razy dziennie przekraczanej przez psy, kurczaki i starych ludzi z trzcinowymi wędkami.

Tylna szyba rozprysła się nagle. Szkło wypełniło wnętrze pojazdu, a sufit rozdarty został kulami. George krzyknął

ostrzegawczo. Riva znów przykucnęła z uniesionymi dłońmi mającymi chronić twarz.

- Weź telefon! - krzyknęła, gdy odłamki szkła przestały fruwać po samochodzie.

- Dzwon pod 911!

- Za chwilę! - zawołał George, który potrzebował teraz obu rąk na kierownicy z powodu nadjeżdżających z przodu

samochodów.

Zatrzymał się. Jakiś pick-up z piskiem opon przejechał obok, w przeciwnym kierunku. Oczy kierowcy były szeroko

otwarte, wręcz wytrzeszczone. Równie zdumieni byli dwaj nastolatki siedzący z tyłu.

- Hej, proszę pana! - wykrzyknęli, wychylając się przez okno. - Czy to film?

To nie film. To było śmiertelnie prawdziwe. Limuzyna nagłym zrywem na dwóch kołach pokonała zakręt. Wiatr wpadł

do środka przez tylne okno, z ciepłą mgłą deszczu i zapachem spalin oraz rozgrzanego metalu. Odgłos silnika

ścigającego samochodu, który z piskiem opon wyjeżdżał z za zakrętu, był głośny. Sedan nadciągał, od tylnego

zderzaka limuzyny dzieliło go tylko kilka jardów.

Wbici w siedzenia pędzili, mijając niewielu widzów. Jakiś mężczyzna jadący na kosiarce do trawy patrzył na nich z

otwartymi ustami. Trzej kierowcy na stacji benzynowej unieśli głowy znad silnika ciężarówki, a jeden z nich

uderzył

potylicą w podniesioną maskę. George sięgnął po telefon, ale musiał go odłożyć, gdyż wymijał starą kobietę z

ładunkiem aluminiowych puszek na wózku, która przebiegała jezdnię. Kobieta odwróciła się, by pogrozić im pięścią.

Potem znów znaleźli się w otwartym terenie.

Sedan zaczął cal po calu zbliżać się. Riva dostrzegła strzelca, kierującego broń na szofera. George schylił się tak, że

widać było jedynie czubek głowy. Riva myślała, że sięga do telefonu lub do skrytki na rękawiczki. Pochrząkiwał i

przeklinał, szarpiąc się w opinającym go pasie. Limuzyna skręciła na pobocze, wyrzucając w górę kurz i zielone

strzępy koniczyny. Zarzuciło ich tylnymi kołami, kiedy bokiem potracili o skrzynkę na listy w chwili, gdy George

wyprowadzał długi wehikuł na drogę. Potem wyprostował się. W jego dłoni tkwił pistolet typu smith & wesson.

Jedną ręką trzymając kierownicę i broń, drugą wyciągnął w stronę przycisku służącego do automatycznego

otwierania okien. Szyba opadła. George wychylił się i wystrzelił dwa razy. Odgłosy strzałów rozległy się wewnątrz

samochoodu, który wypełnił się raptem ostrym zapachem prochu. Sedan zwolnił, lecz za chwilę znów rozległy się

strzały. George nie mógł prowadzić samochodu z taką prędkością i równocześnie celować w tył. Sedan zbliżył się

niebezpiecznie, a jego kierowca skręcił gwałtownie kierownicę.

Samochody zderzyły się ze zgrzytem metalu. Limuzyna obróciła się i zjechała z drogi. W tym gwałtownym zderzeniu

głowa Rivy uderzyła o pod-główek, a gdy George odzyskał kontrolę nad samochodem, Riva znów schyliła się. W

oszołomionym zdumieniu zdała sobie sprawę, iż napastnicy chcieli zmusić ich do zjechania z drogi, aby stali się

łatwiejszym celem. Bądź też, by o n a stała się łatwiejszym celem.

W tej chwili mignął jej w oczach widok twarzy Edisona. Jeśli chciała go zabić, stojąc z nim twarzą w twarz w

bibliotece, to teraz okazało się, iż on poważniej traktuje swe pogróżki.

Zielony sedan znów nabierał prędkości.

Emblemat na jego masce był coraz wyraźniejszy. Gdyby znalazł się na wysokości drzwi, tuż za siedzeniem George'a, okno pasażera zrównałoby się z miejscem, gdzie klęczała Riva. Byłaby wówczas idealnym celem.

Emblemat był już przy tylnym zderzaku. Zakręt. George wystrzelił. Doszedł ich brzęk tłukącego się szkła. To reflektor ścigającego samochodu został strzaskany. Sedan został na moment z tyłu, lecz szybko znów się zbliżył.

Jeśli ona była celem dla strzelca, to i on będzie celem dla niej! Riva rzuciła się

na siedzenie za kierowcą, pochylając się w kierunku George'a.

- Daj mi broń! - wykrzyknęła.

- Nie umie pani strzelać!

- Umie! Daj mi broń!

- W porządku. Zostały jeszcze cztery naboje. Sedan był coraz bliżej. Przód jego maski zrównał się z drzwiami limuzyny.

Riva widziała lufę uzi i rękę strzelca na spuście; widziała też jego twarz. To był właściwy kąt! Jeśli jednak ona go tak

widziała, on widział ją także.

Uświadomiwszy to sobie, rzuciła się między siedzenia. W tej samej chwili uziplunął

ogniem.

Postrzępione dziury wykwitły na bocznej szybie, zabarwione czerwienią.

George krzyknął, a potem zaklął.

Nie było czasu sprawdzać, czy został groźnie postrzelony. Dobrze jednak, że był wciąż wyprostowany. Riva uniosła się

nico i opierając ramię na tylnym siedzeniu oddała dwa strzały w przednią

szybę sedana.

Przyjemnie było patrzeć, jak szyba zmienia się w pajęczynę, a potem zapada się do środka. Zobaczyła dwóch mężczyzn osuwających się w dół i krew na twarzy jednego z nich. Ale sedan nagle skręcił, nim Riva mogła stwierdzić,

czy uczyniła napastnikom znaczną szkodę. Z pewnością nie było to nic więcej niż skaleczenie odłamkami szkła, bo

choć ścigający samochód został na moment w tyle, to jednak po chwili jego sylwetka znów zaczęła rosnąć w oczach.

Mężczyzna zajmujący miejsce obok kierowcy jeszcze raz wychylił się z uzi w rękę. Riva osunęła się na podłogę limuzyny.

Kule świstały i uderzały o maskę samochodu. Wkrótce znów rozległ się zgrzyt metalu o metal, gdy sedan w nich uderzył. George pochylił się, by zejść z linii ognia, tracąc panowanie nad kierownicą, lecz odzyskał je w porę, aby

uchronić wóz od znalezienia się w rowie wypełnionym spienioną wodą. George z wysiłkiem wyprostował szyję, by

spojrzeć we wsteczne lusterko.

- A niech to! - Te słowa zabrzmiały triumfująco.

- Co?...

Dźwignęła się. Musiała również widzieć to, co zobaczył. Mogła to być policja stanowa, jeśli przejeżdżali obok

komisariatu. Czasem patrolowała tę drogę policja konna. Mogli to być również miejscowi stróże porządku, jeśli któryś

z kierowców mijanych samochodów zadzwonił do biura szeryfa.

Był to jednak Noel.

Wyjechał z Nowego Orleanu zaraz za nimi i teraz zbliżał się z wyrazem intensywnego skupienia na twarzy. Jego

mocne BMW wzbijało pióropusz kurzu wraz z nabieraniem prędkości. Ten ciężki pojazd wyglądał tak, jakby nic nie

mogło go powstrzymać przed szarżą na sedana.

Napastnicy również zauważyli Noela. Odwrócili głowy, by obejrzeć go dokładniej. Szybkość ich pojazdu zmniejszyła

się tak, iż oddalił się od limuzyny

prawie na długość samochodu. Po chwili wyskoczyli do przodu kolejnym zrywem.

Mężczyzna obok kierowcy znów oddał serię strzałów. Tylko jeden dosięgnął ściganego samochodu, odbijając się

rykoszetem od chromu okna i nie wyrządzając nikomu krzywdy.

Noel zbliżył się. Mężczyzna z uzi w ręku obrócił się, by wystrzelić serię w kierunku BMW. Noel skręcił kierownicą,

robiąc unik, ale nie zwolnił. BMW było nietknięte. Wydawało się nabierać jeszcze większej prędkości. Jego

połyskujący ciemnoniebieski lakier błyszczał na deszczu. Opony rozpryskiwały wodę.

Noel otworzył okno i wysunął rękę. W jego dłoni tkwił czarny pistolet z krótką lufą.

Mężczyźni w sedanie zrozumieli, w jakim znaleźli się niebezpieczeństwie i spróbowali dodać gazu. Na darmo.

Sedan

szarpał się do przodu i do tyłu, a ciężkie BMW nacierało. Było coraz bliżej.

Noel strzelił. Trafił w bagażnik.

Wystrzelił ponownie, a kołpak koła odpadł, kręcąc się niczym srebrny dysk

o własnym

napędzie. Twarz mężczyzny z uzi
wykrzywiła się grymasem nienawiści.
Spojrzał przed siebie i przez wybite
okno

skierował broń na limuzynę i nacisnął
spust.

Pociski rozprysły się w krótkich,
urywanych niczym staccato seriach,
trafiając w metal i szkło. Riva znów
przyłgnęła do

podłogi. Serce waliło jej w piersi
przyprawiającymi o mdłości
uderzeniami. Była zaszokowana,
wściekła i pełna

mściwości. Działała kierując się instynktem samozachowawczym. Nie wiedziała dotąd, że go ma. Mimo wszystko aż

do tej chwili nie była przerażona. Ostatnim obrazem, jaki zobaczyła, nim opadła na pokrytą pluszem podłogę, był widok BMW szybko przyśpieszającego. W i e-działa z pełną jasnością, co Noel zamierza.

BMW uderzyło w zielonego sedana, wydając przy tym przerażający dźwięk. Metal zazgrzytał, a powietrze wypełnił

odór palącej się gumy. Strzelanina ucichła.

Riva podniosła się na czas, by zobaczyć sedana z pogiętym tylnym zderzakiem. Zwalniał, a potem zahamował z

piskiem opon. Noel zakręcił swym BMW tak, by znaleźć się z jego prawej strony. Sedan zaś obrócił się z ponownym

piskiem opon i również ostro skręcił. Podskoczył i zadygotał wpadając do rowu, a potem wyjechał z niego w strugach

błota i żużlu. Oddalał się z dymiącym i skrzypiącym lewym tylnym kołem, kierując się do Nowego Orleanu.

BMW dogoniło limuzynę i zrównało się

z nią. Noel z napiętą twarzą i pociemniałymi z napięcia szarymi oczami

spojrzał na Rive. Ona również patrzyła na niego, zajmując miejsce na swym siedzeniu. Noel skinął głową, a potem

spojrzał na George'a, który pokazał mu uniesiony kciuk. BMW wyprzedziło pojazd Rivy, biorąc na siebie rolę pilota.

Ani Noel, ani George nie zwolnili prędkości. Nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli do Bonne Vie.

ROZDZIAŁ 18

Noel wysiadł ze swego samochodu i zatrzasnął drzwiczki, a limuzyna nadjechała tuż za nim. Nim George zdążył

wyłączyć silnik, on był już przy tylnych drzwiach. Otworzył je i wyciągnął rękę, by pomóc Rivie przy wysiadaniu.

Była blada. Na policzku widniało kilka kropli krwi, na skroni zaś zadrapania. Jej ręka, którą Noel trzymał w swojej

dłoni, również była skaleczona i lodowata. Kostium był podarty i poplamiony krwią, a jeden but został gdzieś w

samochodzie. W jej włosach

połyskiwało szkło niczym rozsypane diamenty. Noel przyciągnął ją do siebie i objął

mocno ramionami.

Czuł drzenie, które przebiegało po ciele Rivy. Jej bliskość i ufność, z jaką oparła się o niego w poszukiwaniu obrony,

spowodowała przyśpieszone bicie serca. Zamknął na moment oczy.

— Nędzni amatorzy! Oto kim oni byli - orzekł George, wygrzebując się z limuzyny. - Musieli się naoglądać zbyt wiele

filmów sensacyjnych. Gdyby byli

profesjonalistami, próbowaliby, tak jak pan to zrobił, najpierw przestrzelić nam

opony. Powinni byli wiedzieć, że nie jest proste zatrzymanie samochodu, nawet jeśli się ma jedną z tych izraelskich

pukawek.

Noel uwolnił Rive z objęć i cofnął się o krok. Uśmiechnął się do kierowcy i potrząsnął głową.

- Nie oczekiwali, że przysporzysz im tylu kłopotów.

- Ha! Nauczyłem się prowadzić samochód, gdy tamci dwaj mieli jeszcze

mleko pod nosem. A ci z Vietcongu, w

Wietnamie, zjedliby ich na śniadanie, jeśliby tak strzelali jak teraz. Ale to pan ich odpędził. Dawno nie widziałem

kogoś, kto by sobie tak dobrze radził z samochodem!

- Spójrz jednak na swój wóz... -
powiedziała Riva do Noela.

Noel i George odwrócili się, by spojrzeć na podziurawiony błotnik i zgięty przedni zderzak BMW.

- Powinnaś zobaczyć tamten samochód -
zażartował Noel.

- Widziałem go - powiedział George. -
Zdaje się jednak, że powoli wypadam z
gry, skoro pozwalam takim młokosom
wpędzić się w zasadzkę.

- To przecież chyba ostatnia rzecz na
świecie, na jaką człowiek jest
przygotowany - orzekła Riva.

- Nie wiem. Noel powiedział mi kilka
dni temu, żebym zaczął nosić pistolet.
Powinienem był mieć się na baczności!

Noel poczuł na sobie przenikliwy wzrok
Rivy, ale skoncentrował uwagę na
George'u.

- Czy to krew na twoim rękawie?

Czemu, na Boga, nie powiedziałaś, że jesteś ranny? Wejdźmy do domu i obejrzymy

to. Trzeba zobaczyć, czy nie powinieneś trafić do szpitala.

- Kiedyś przydarzyło mi się coś gorszego - powiedział George, po którym nie widać było przejęcia się stanem zdrowia,

gdy skierowali się w stronę domu. - Wystarczy, że moja stara mnie opatrzy.

- Mimo to musimy zgłosić to zajście, chyba że dzwoniłeś już z telefonu w samochodzie.

- Zrobiłem to zaraz po strzelaninie. Mam nadzieję, że policja dostała już tych sukinsynów... Przepraszam za

wyrażenie, pani Rivo.

Noel szedł ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie wiem, czemu pozwoliłem im uciec.

- Nie opłaca się nadstawiać pod strzały z uzi, nawet jeśli ma się do czynienia z amatorami - stwierdził George.

Frontowe drzwi stały otworem.

Abraham musiał widzieć przybycie samochodów i zaalarmował cały dom.

Gdy

podeszli bliżej, z domu wybiegła Liz w fartuchu. Constance, Margaret i Boots podążali tuż za nią, a za nimi biegły dwie

pokojówki. Życzliwe ręce wciągnęły ich do środka. Podekscytowane głosy wszystkich naraz zlały się w niezrozumiały

hałas. Głos Pietra przeszedł w drżący dyszkant, gdy chłopiec biegał między dorosłymi i chciał przede wszystkim

usłyszeć odpowiedź na ponawiane wciąż pytanie.

- Czy to byli terroryści?! - wołał przejęty. - Czy zbombardowali

samochód taty?

Constance uspokajała go mrużąc coś po włosku. Nagle do zebranych dotarło odległe wycie policyjnej syreny, które zbliżało się szybko.

Samochód szeryfa, z błyskającymi czerwonymi światłami i radiem emitującym statyczne i przebijające się przez hałas

wezwania, stał na podjeździe Bonne Vie niemal od godziny. Miejscowy szeryf - Cajun z urodzenia, z figurą jak beczka

piwa i umysłem nawykłym do zawiłych rozmyślań - notował zeznania, żartując, popijając kawę i zajadając upieczone

przez Liz ciasto z jabłkami.

Noel nie dał się zwieść pozorom. Ten stróż prawa był przebiegły i bardzo niezadowolony z podanego przez nich

prawdopodobnego powodu napaści.

Beztróska brzmiące pytania, rzucone w związku z tym czy innym szczegółem,

zmierzały do odkrycia sekretu, jaki

szeryf wyczuł za fasadą nienagannej współpracy Stauletów.

Była to oczywiście gra, którą można prowadzić w większym gronie.

Niewiele było masek tak skutecznych jak życzliwa

uprzejmość. Noel obserwował z podziwem Rive, gdy uśmiechając się, odpowiadała na pytania, nalewała kawę i

częstowała szeryfa kolejnymi porcjami ciasta. Nie minęło wiele czasu od chwili, gdy jej życie znalazło się w poważnym

niebezpieczeństwie. Zmyła już krew z

twarży i rąk, nakleiła kilka plastrów,
przebrała się w luźną suknię z
kremowego

jedwabiu i wyszczotkowała włosy. Była
bledsza niż zwykle i miała kilka
skaleczeń spowodowanych
rozpryskującym się

szkłem, ale jeśli chodzi o opanowanie,
mogłaby z powodzeniem przewodniczyć
zebraniu dam. Nawet George robił co

mógł, udając iście wojskowo poprawną
godność. Sam Noel zaś był - podobnie
jak tamci dwoje - tak powściągliwy i

nieskory do zwierzeń, jak to tylko
możliwe przy zachowaniu dobrych

manier.

- Nikt z państwa nie widział wcześniej tych dwóch facetów? - pytał szeryf.

- Nigdy. - Riva nawet nie uniosła wzroku znad swej filiżanki kawy.

- Ani ja - powiedział George.

- Nie - rzekł Noel.

- I satysfakcjonuje was przypuszczenie, iż była to próba porwania, którą podsunęła tym ludziom myśl o ogromnym

okupie?

Noel, nie czyniąc uników, spojrzał szeryfowi w oczy.

- Tak właśnie musiało być - odparł.

- Muszą państwo przyznać, iż wydawało im się obojętne, jak bardzo byłaby pokiereszowana zakładniczka. Przecież ta

limuzyna przypomina sito! - Stróż prawa powoli tracił cierpliwość.

Noelowi zwęziły się oczy, gdy zrozumiał, o co chodzi szeryfowi.

- Mogę jedynie podejrzewać - rzekł - że stracili głowę, gdy napotkali opór...
Chyba że pan ma inny pomysł.

- To przechodzi moje wyobrażenie!
Zastanówmy się. Twierdzą państwo, że
pistolet przypadkowo znalazł się w

limuzynie? - Z tym pytaniem szeryf
zwrócił się do kierowcy.

- Tak jest, sir - odparł George z
godnością.

On kłamie, by mnie chronić, pomyślał
Noel. George wie zapewne, iż nie
istnieje żadne dorzeczne
usprawiedliwienie

na wożenie broni, a szeryfowie bywają
równie niezadowoleni z
nieuzasadnionego obnoszenia się z
bronią, jak i z

niejasnych przyczyn próby morderstwa. Bez wątpienia George pomyślał, iż jeśli powie o wożeniu zapomnianej broni,

uprości wszystko. Jednak nie można pozwolić, by wpadł przez to w tarapaty!

- Mówiąc ściśle - rzekł - to ja prosiłem kierowcę, by nosił broń.

- Wprawdzie to Noel poprosił George'a
- wtrąciła Riva - ale to był mój pomysł.
W kilka tygodni po śmierci Cośmy

codzienne podróże do pracy i powroty przyprawiały mnie o zdenerwowanie. Jestem pewna, że pan to rozumie.

Mówiono mi, że wdowy często

przechodzą takie okresy niepokoju.
Doprawdy, zapomniałam, że ta rzecz tam
była.

Myślę, że wszyscy zapomnieliśmy...

Noel, któremu przerwano wypowiedź,
rozsiadł się na krześle i z cichym
podziwem obserwował scenkę, która

nabierała rozmachu. Było oczywiste, że
Riva bezwstydnie wykorzystuje imię
Cośmy i swoje wdowieństwo, by szeryf
i

jego ludzie, ogarnięci współczuciem,
przymknęli oczy na obecność broni w
samochodzie. Fakt, iż szeryf łatwo

rozpracował tę taktykę, można było dostrzec po sceptycznym wyrazie jego twarzy, ale równie oczywiste było, że nie

ma zamiaru ryzykować próby udowodnienia swych podejrzeń. Nie był również gotów oskarżyć tak ważną osobę jak

owdowiała pani Staulet o to wykroczenie, w chwili gdy ledwie uszła z życiem w zamachu.

Być może oczekiwanie na efektywne działanie i opiekę ze strony władz w tych okolicznościach jest z naszej strony

nieuczciwe, pomyślał Noel. Jednak

jesteśmy w gruncie rzeczy nienagannymi obywatelami, godnymi szacunku i

przestrzegającymi przepisów," w pełni respektującymi prawo i porządek. Rzecz w tym, że istnieje kilka kwestii o

charakterze ściśle prywatnym, o których przedstawiciele prawa nie muszą wiedzieć, by spełniać należycie swoje

zadania.

Byłoby pouczające, rozmyślał Noel, gdybym mógł przyłączyć się do szeryfa w wykrywaniu powodu, który musi tkwić

w pomysle zamachu.

W istocie bowiem Noel nie był bliższy zrozumienia tej sprawy niż stróż prawa. Kiedy indziej mógłby próbować

wymusić na Rivie zwierzenia, ale nie teraz! Nie tuż po tym, jak otarła się o śmierć...

Erin przybyła podczas przesłuchania. Towarzyszył jej Doug Gorsline. Noel nie miał nic przeciwko temu młodemu

człowiekowi, ale teraz najchętniej posłałby go do diabła. Nie było tu miejsca dla fotoreportera z instynktem psa

gończego.

Doug znalazł się jednak w samym środku sprawy, nie odstępując Erin, która wpadła do jadalni, gdzie wszyscy zebrali

się dookoła stołu. Dla Margaret i pozostałych domowników był to sygnał, aby również się tam wtłoczyć, przerywając

prywatną niemal do tej pory rozmowę.

Opinie Erin związane z przypuszczalną próbą uprowadzenia były jednokierunkowe i dość głośne. To wprost

szokujące, że ktoś próbował zranić ciocię Rive! Na tamtych dwóch powinno

się urządzić polowanie, jak na zwierzęta.

Dlaczego szeryf marnuje czas w Bonne Vie, zamiast ścigać tych zbrodniarzy? W jednej chwili chciała wskoczyć do

swego samochodu i dopaść ich sama. To Doug przekonał ją, iż byłoby to bezsensowne. Z wielką uwagą słuchał szczegółów zajścia.

Nie tylko on słuchał uważnie. Margaret wydawała okrzyki, wzdrygała się i głośno dziwiła, że szeryf nie robi nic.

Boots

niezmiennie rozpatrywał szkody

wyrządzone obydwu samochodom,
mówiąc o kosztach naprawy jednego i
zakupu

drugiego, wyrażając przy tym żalowaną
satisfakcję, że towarzystwo
ubezpieczeniowe będzie musiało to
sfinansować.

Constance dokonała kilku porównań z
wydarzeniami znanymi jej z Włoch,
głównie Sycylii, znajdując wyraźną

przyjemność w fakcie, że podobne
rzeczy mogą zdarzyć się w Ameryce, w
kraju strzegących kowbojskiego prawa
urzędników w białych kapeluszach.

Tak silny nacisk wywierano na biednego szeryfa, że w końcu zatelefonował do swojego biura. To, co musiał przekazać zebrany, w Bonne Vie nie zyskało mu sympatii słuchaczy. Choć o napaści poinformowany został w dwie minuty po jej zakończeniu, nie znaleziono żadnego śladu po mężczyznach w sedanie. Zdawać się mogło, że zniknęli jak kamfora.

Tak więc próba uprowadzenia Rivy, jeśli tym właśnie była napaść, nosiła wszelkie znamiona dokładnie zaplanowanej

w czasie operacji, dla której - na

wypadek niepowodzenia - przewidziano rozwiązania alternatywne. Bez wątpienia

okaże się, iż sedan został porzucony na jakiejś peryferyjnej ulicy Nowego Orleanu bądź też zaparkowany przed

którymś wielkim centrum handlowym, gdzie znajdzie się za dzień lub dwa albo też zniknie w jakimś warsztacie, gdzie

rozebrany na części wywędruje do Meksyku lub innego kraju Ameryki Środkowej.

Gdy wszyscy zebrani doszli do powyższych wniosków, Noel zauważył, że odstawiana przez Rive filiżanka

klekocze o

spodeczek. Riva starała się opanować drżenie dłoni, ale zaciśnięta na porcelanie ręka była kredowo-biała.

Wstając z

krzesła pod ścianą zaoferował to miejsce Margaret i zwrócił się do szeryfa:

- To powinno wystarczyć, nie sądzi pan?

Nie wydaje się, by dalsza dyskusja wniosła coś do sprawy.

- Na to wygląda - przyznał sucho stróż prawa.

- Sądzę więc, że czas już zarówno Rive,

jak i George'a zostawić w spokoju.
Jestem pewien, że bardzo im tego trzeba.

- Wszystko, o co proszę - powiedział szeryf, starając się zachować pozory sprawowania kontroli nad sprawą - to aby

wszyscy państwo pozostali w pobliżu na wypadek, gdyby wydarzenia przybrały nowy obrót.

- Sądziłem, iż tylko podejrzanym nie pozwala się opuszczać miasta... - powiedział George.

- Skoro już o tym mówimy... - rzekła Riva z cieniem rozbawienia w głosie. - Czy to oznacza, iż nie powinnam jechać

na

przykład do Kolorado na ten weekend?

Szeryf zignorował uwagę George'a i wstał.

- Niezupełnie, proszę pani. Chciałbym się jednak upewnić, że nie robi pani tego.

- Zawsze może się pan ze mną skontaktować w tamtejszym domu. Poczytałam już pewne plany...

- Wątpię, by rano miała pani ochotę na tę wyprawę. Jeśli nie zawodzi mnie intuicja, to jest pani bardziej wstrząśnięta,

niż sama zdaje sobie z tego sprawę.
Ktokolwiek tam na panią czeka, na pewno to zrozumie.

- Byłoby najlepiej, gdybyś trzymała się blisko domu i kropka - oznajmił Noel gniewnym głosem. - Albo przynajmniej

nie chodź nigdzie sama przez najbliższe dni. Kimkolwiek byli ci napastnicy, mogą spróbować jeszcze raz.

- Doceniam twoją troskę - odparła uprzejmie. - Ale nie byłam dziś sama. George mi towarzyszył.

Noel potrząsnął głową.

- Myślę, że wiesz, co chcę powiedzieć.

- Pan Staulet ma rację - oznajmił szeryf.
- Nie należy szukać guza. Byłby to co
najmniej wstyd, gdyby wylądowała pani
w jakimś rowie.

Riva zamilkła. Nagle okazano jej i
George'owi taką troskę, jakby oboje byli
inwalidami. Margaret wyprowadziła
siostrę

z pokoju, mruczając, że chce ją zaraz
zobaczyć w łóżku. Liz zabrała George'a,
mówiącego coś o mocnym drinku,
którego

musi wypić w związku ze swoim
ramieniem. Pozostali również się
rozeszli. Noel odprowadził szeryfa do

samochoду,

a potem stał na podjeździe, aż tylne światła służbowego wehikułu zniknęły i dźwięk silnika zamarł w oddali.

Spojrzał w niebo. Mżący deszcz ustał; pojawił się natomiast niespokojny wiatr. Z daleka dobiegł głuchy odgłos

grzmotu, a horyzont rozdarła jaskrawa błyskawica. Za domem, nie opodal ozdobnego stawu, zarechotała ropucha, a

żaby wzmożonym kumkaniem zapowiadały nowe opady.

Noel przez chwilę patrzył na niebo, a potem jego wzrok padł na limuzynę oraz

jego własny samochód, wciąż stojące na podjeździe. Obydwa pojazdy należało niezwłocznie odholować, szczególnie limuzynę z rozbitą tylną szybą. Znalazł

w kieszeni kluczyki do BMW. Kluczyki drugiego pojazdu wciąż tkwiły w stacyjce, bo George miał zamiar wrócić tu

jeszcze.

Zajął się samochodami, a potem zamknął drzwi garażu. Żaby wciąż rechotały nad jeziorem. Wciskając ręce w

kieszenie, poszedł w tamtym kierunku.

Nie był jeszcze gotów, by wrócić do domu. Na pewno zarzucą go pytaniami i

znów rozpęta się dyskusja. A on miał tego dosyć.

Mała świątynia na wyspie odbijała się delikatną bielą od ciemnej powierzchni stawu. Posłużyła za cel spaceru Noela,

bo nie miał innego. Gdy wszedł do środka, oparł się o posąg Buddy. Brąz był ciepły jak żywe ciało; wciąż utrzymywał

ciepło dnia. Dzięki temu starodawna rzeźba zdawała się tchnąć przyjazną obecnością. Położył rękę na dłoni Buddy,

która spoczywała na kolanie, a potem wstał i wpatrywał się w oświetlone okna domu, rozjarzone żółtym blaskiem

prostokąty nad ciemnymi oknami parteru.

Oczami przywarł do okna pokoju Rivy, pokoju, do którego się przeniosła, gdy ojciec był już tak chory, że pielęgniarki

czuwały przy nim przez całą dobę.

Zasłony były zaciągnięte. Nagle światło zgasło. Wyobraził sobie, jak Riva zdejmuje

suknię, wchodzi do łóżka; jak jej włosy rozsypują się na poduszce.

Zaklął.

Zwrócił myśli ku synowi, ku jego niespokojnym pytaniom, czy terroryści zbombardowali samochód taty. Cóż za ironia

losu, że to wszystko musiało się zdarzyć akurat wtedy, gdy przebywa tu z dziećmi Constance! Noel zawsze

utrzymywał, że ta część świata jest bezpieczna i wolna od terroryzmu. Zarówno Pietro, jak i Coralie teraz wyglądali

lepiej niż wtedy, gdy przyjechali. Stracili europejską, miejską bladość, a ich zachowanie było swobodniejsze i

bardziej

naturalne. Jeszcze wczoraj Coralie wraz z Liz wałkowała w kuchni ciasto, nie przejmując się mąką na nosku ani tym, że wybrudziła sobie sukienkę.

To niedobrze, że Constance nie umiała zatrzymać dzieci z dala od postrzelanego kulami samochodu. Ale skoro już się

tak stało, cóż to za szalony świat, w którym sześćioletni chłopiec wie o nabojach, bombach i terrorystach!

Będzie

musiał porozmawiać z Piętem o tym, sprawić, by zrozumiał, jak rzadko

zdarzają się takie ataki i przekonać, że on,

Pietro, jest bezpieczny. Ale czy naprawdę jest? A może świat całkiem już oszalał?

Nie! Musiał być poważny powód napaści na Rive. Noel mógłby przysiąc, że atak miał coś wspólnego ze sprawą

Gallanta; mógłby nawet pokusić się o sformułowanie powodów. W gwałtowności zajścia było coś, co poważnie go

niepokoilo i sprawiało, że bardzo obawiał się o Rive. Chciałby, aby okazała mu zaufanie, ale wydawało mu

się, że

oczekuje za wiele. Pozostała mu więc jedynie rola cierpliwie czekającego obserwatora. Nie była to jednak rola, którą

lubił.

Jakaś postać pojawiła się na wyższym krużganku domu. Krążąc niespokojnie, sprawiała wrażenie zjawy. Noel stał bez

ruchu, uważnie obserwując „zjawę”. Po chwili jasna postać zniknęła. Po kilku sekundach zmaterializowała się na

niższym krużganku, a potem pod drzewami otaczającymi basen, kierując

się wprost ku stawowi.

To była Riva! Wciąż miała na sobie suknię z kremowego jedwabiu. Materiał był tak lekki, że powiewał w podmuchach

wilgotnego wiatru. Zbliżając się, zawołała:

- Przepraszam, jeśli ci przeszkadzam, ale ludzie, którzy pragną być sami, nie powinni nosić w ciemności białych koszul.

- Skąd wiedziałaś, że to nie Boots?

- Bo wiem, gdzie on jest. Znów pije na wyższym krużganku.

- Widziałem cię na górze; wyglądałaś jak duch.

- Prawdopodobnie źródłem połowy opowieści o duchach są kobiety biegające po nocy w szlafrokach i obawiające się

przyznać do czegoś tak krępującego.

- Być może - zgodził się. - Jednak ja szukałem nie tyle samotności, co ciszy.

- Nie będę więc robić hałasu, a w każdym razie niedługo. Chodzi o to, że gdy zobaczyłam cię tutaj, zdałam sobie

sprawę, że w ogóle ci nie podziękowałam za ratunek.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Och, wiem! Nie będę się rozwodzić na ten temat, ale jednak jestem ci wdzięczna. Raczej... lubię żyć, a mogłam

zostać zamordowana.

- Ponieważ czuję, iż ten fakt mógłby znacznie obniżyć jakość życia tutaj, powiem: „nie ma za co”.

- Wspaniale! Cieszę się, że załatwiliśmy to w Bonne Vie.

Czekał, że powie coś jeszcze, może zdradzi powody napaści, zaufa mu i opowie o swoich obawach, że podzieli

się z

nim podejrzeniami. Gdy tego nie uczyniła, poczuł żal. Postanowił przejść do ataku.

- Czy nie sądzisz, że zasługuję na to, by wiedzieć dlaczego?

Jej głos był niski, gdy w końcu spytała:

- Dlaczego uważasz, że ja w i e m?

- Och, rozumiem, że masz sekrety. Sam miałem ich niemało.

Wydawało mu się, że obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem, a w jej głosie pojawiło się zainteresowanie.

- Czyżby?

Minęła chwila, nim odpowiedział.

- Gdy byłem mały, często tu przychodziłem. Budda był moim przyjacielem. Opowiadałem mu o wszystkim. Matka

uważała, że to miłe; ojciec zaś twierdził, że to niemęskie, że noszę głowę w chmurach. Miałem wtedy osiem, może

dziewięć lat; nie byłem dużo starszy od Pietra.

- Nie sędzę, by ten Budda miał wiele do opowiadania.

- Nie, ale nikomu niczego nie powiedział. Nigdy też nie był zaszokowany i nigdy nie krzyczał.

- To tylko ludzie tak się zachowują.

- Właśnie dlatego wciąż przychodzę do Buddy.

- Jest bardzo stary. Przypuszczam, że wiele już widział i słyszał.

Rozmawiała, niemal nie zastanawiając się nad słowami; jakby jej umysł zajęty był czymś innym. Noel zrozumiał to.

Wiatr owionął go zapachem Rivy, na który składała się woń świeżo wypranej bawełny, delikatnych perfum i jej

własny zapach - kobiety, przyprawiający go o utratę zmysłów.

- Tak sędzę - odpowiedział.

- I ja mogłabym mu coś powiedzieć - rzekła Riva.

- Tak?...

Na to właśnie czekał. Najważniejsza jednak była sama bliskość tej kobiety.

- Prawdę mówiąc to nie jest mój sekret, ale coś, co powiedział mi Cosmo.

Brwi Noela podjechały do góry.

Żałował, że nie widzi wyrazu jej twarzy, lecz nawet w ciemnościach odwracała

głowę.

- Cosmo powiedział, że cię okłamał; że poinformował cię o moim podstępie - podobno podrywałam cię, by wywołać

konflikt między tobą a ojcem, bo chciałam cię usunąć, aby zagarnąć dla siebie fortunę Stauletów...

- Rzeczywiście mówił coś takiego.

- Czy wiedziałeś, że mnie z kolei powiedział, iż przywiązujesz mnie do siebie, by poróżnić mnie i Cosmę, bo chcesz,

żeby się mnie pozbył?

- Ojciec był inteligentnym człowiekiem, czasami nawet zbyt przebiegłym, ale bardzo bał się, że cię straci...

- To nie była prawda; nic z tego, co nam opowiedział, nie było prawdą!

- Wiem.

- Nim umarł, wyznał mi również, co uczynił tobie.

- Nie musiał. Zawsze wiedziałem, o co naprawdę chodzi. Zabrało mi trochę czasu, by pojąć powody, dla których to zrobił, ale wiedziałem zawsze.

- Więc wyjechałeś niepotrzebnie...

- Nie - odpowiedział głębokim głosem. -
To nie było niepotrzebne.

Przysunęła się bliżej, a blask
błyskawicy ukazał jej sino białą twarz
pełną bólu.

- Nie chciałam zajmować twojego
miejsca u boku ojca. Chciałam je tylko
dzielić z tobą. Nie zamierzałam
pozbawiać

cię pozycji w Staulet Corporation ani też
władać tutaj, w Bonne Vie. Wszystko to
przypadło mi niejako zastępczo,

ponieważ ciebie nie było.

- A gdybym został - zapytał. - Czy

również wszystko byłoby tak samo?

Zapadła cisza, w której kłębiły się tysiące nie wypowiedzianych słów.

- Nie wiem - odparła po chwili Riva. - Ale nie byłoby przecież źle.

- A ja myślę, że mogło być o wiele gorzej. To, co stało się w domku ogrodnika, zapewne powtórzyłoby się, a ojca w

końcu by to zabiło. Uwielbiał cię. Byłaś jego nieśmiałą żoną, która przywracała mu młodość i nadzieję, a także coś

więcej; coś, czego wówczas nie rozumiałem, bo było trudne do

zrozumienia. Zahipnotyzowałaś go.

Przypuszczam, że

nie mógłby już żyć bez ciebie.

- Ale ty mogłeś?

Otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa. Nie mógł powiedzieć.

- Czy pamiętasz - rzekł w końcu powoli
- szopkę ogrodnika i tę ulewę? Było
niemal tak jak dzisiejszego wieczoru:

grzmoty, błyskawice, wiatr.

- Wcale nie! - powiedziała napiętym
głosem, odsuwając się lekko. - Po
pierwsze, to nie był wieczór, tylko

popołudnie,

a po drugie, przed nami było morze, a nie te malutkie fale stawu.

- Musisz jednak przyznać, że była woda i podobne schronienie.

- To była tylko szopka z bambusowymi ścianami i blaszanym dachem, a nie kamienna świątynia. Tam pachniało

środkiem owadobójczym i silnikami benzynowymi.

- Gdybyśmy się wsłuchali, usłyszelibyśmy i tu szum palm, które otaczają basen, podobnie jak szum tamtych

otaczających szopkę - rzekł.

Wiatr zatrzepotał rąbkiem jej lekkiej sukni, ocierając jedwabiem nogi Noela.

- Tamte były wyższe - powiedziała. - I rosły bliżej.

- Była burza.

- Mało nas nie zatopiła. Rzuciła nas sobie w ramiona...

- Kłóciliśmy się.

- Teraz chyba już się nie kłócimy.

- Czyżby? Sądziłem, że od ponad dwudziestu lat pozostajemy w

niezgodzie, że zawsze kłócimy się, choć bez słów.

- Wtedy byłam mężatką - przypomniała cicho.

- Ale teraz nie jesteś, co, przyznam, stanowi ogromną różnicę.

Podniosła ku niemu wzrok.

- Jedyna rzecz, która zbliża nas do tamtej sytuacji, to fakt, że znów jesteśmy we dwoje. Jesteśmy jednak starsi,

bardziej doświadczeni, inni. Mniej kierujemy się uczuciami, których nie rozumiemy i których nie potrafimy

kontrolować.

- Możliwe. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że pamiętasz...

- Nie. I nigdy nie zapomnę. - Jej głos drżał.

- Czy jesteś pewna, że naprawdę jesteśmy inni? - wyszeptał i pochylił się, by ją pocałować.

Nie opierała się. Jej usta były słodkie. Gdy dotykał rękami ukochanej twarzy, czuł elastyczność skóry i delikatność

rysów. Przytuliła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

Jej uległość mogła być podyktowana wdzięcznością czy nawet żalem, ale nie dbał o to. Złapał oddech i zatrzymując

go w piersi, pieścił wilgotne i delikatne wnętrze jej ust, i tulił ciepłe, chętne ciało. Widział grę błyskawic przez

przymknięte powieki, a w krwi czuł wibrację grzmotów. Wiatr rozwiewał włosy Rivy, które jedwabistą pieszczotą

muskały mu twarz, a delikatny zapach, tak nieodparcie związany z tą kobietą, drażył mu mózg. Czuł się upojony

oszalałym biciem serca i spełnieniem bezmiernej tęsknoty.

Pragnął jej, Boże, jak jej pragnął! Lecz
nie na żwirze, nie w wilgoci i
pośpiesznym miotaniu się, w lęku, że
ktoś zaraz

nadejdzie. Pragnął mieć ją w zaciszu
swego pokoju, w wygodnym łóżku i
chciał, aby przez całą wieczność nikt mu
nie

przeszkodził w uczeniu się szczegółów
jej ciała, które pragnął wreszcie poznać.
Marzył o zamkniętych drzwiach,

grubych ścianach i długich godzinach
pieszczot.

Chwycił Rive na ręce i opuścił
świątynię z jej spokojnym Buddą.

Przeszedłszy mostek, wkroczył na trawnik, niosąc ją

do domu. Błyskawice lśniły srebrzystym blaskiem, a grzmoty natężały się, gdy wstępował na stopnie. Przechodząc

przez krużganek pchnął podwójne drzwi, które Riva zostawiła otwarte.

Drzwi położonej na parterze sypialni, z której Noel korzystał, otworzyły się. Po śmierci Cośmy zmieniono wystrój

wnętrza i wyniesiono wszystkie sprzęty i przybory używane podczas jego choroby. Masywne mahoniowe łóżko i szafę,

którą Cosmo tak lubił, przeniesiono do pokoju gościnnego, zastępując je wykonanym przez starego

nowoorleańskiego mistrza sztuki meblarskiej zestawem z palisandrowego drewna, który należał kiedyś do matki

Noela. Skomponowane z nimi kolory: granat i szarość z akcentem czerwieni, nadały pokojowi elegancki męski

wygląd, nie czyniąc go jednak nazbyt nowoczesnym.

Mała lampka jarząca się na marmurowym blacie stolika obok łóżka rzucała nikły poblask światła. Mimo to, gdy Noel

ułożył Rive na łóżku, ona odwróciła się i wyciągnęła rękę, by lampkę zgasić. Bez względu na to, jak łagodne było to światło, świeciło zbyt jasno. To nie skromność podpowiedziała Rivie ów gest; wydawało się raczej, że powiązania

łącznie ją z tym mężczyzną są zbyt subtelne, aby znieść blask. W ciemności w większym stopniu mogli być tymi samymi co kiedyś...

Łóżko zakołysało się, gdy Noel położył się obok. Wyciągnął rękę, by dotknąć delikatnie zarysowanego policzka. Jego

palce były ciepłe i pieszczotliwe. Przesuwając kciuk po miękkiej powierzchni jej ust, sprawił, iż wrażliwe kąciki

zadrżały. Sunąc dłonią, skierował ją na kark Rivy, muskając po drodze szyję, by poczuć miarowo pulsujące tętno.

Potem schylił głowę i przycisnął ciepłe usta do tego przyśpieszonego pulsu krwi. Przesunął rękę niżej, wędrując po

piersi Rivy i dalej, w dół, ku wcięciu talii.

Oddychając w nieregularnym rytmie, przyciągnął ją ku sobie i trzymał blisko, przyciskając twarz do jej szyi i kołysząc

kobietę w ramionach.

- Marzyłem o tym - wyszeptał. - Tak często...

Riva poczuła przyśpieszony rytm krwi w żyłach i porywającą falę ciepła, która przesuwając się rozpałała w niej

nieodparte pragnienie. Bliskość ciała Noela, mocnego i opiekuńczego, napełniła ją uczuciem beztroski, i przestała

zważać na konsekwencje, jakie mógł przynieść moment zapomnienia. W napięciu, którym drżały mięśnie mężczyzny,

wyczuwała jego surową samokontrolę, i wiedziała o niepohamowanej i perwersyjnej wręcz tęsknocie, której spełnienie uwolni go od męki.

Przesunęła dłonią po ramionach Noela, czując pod koszulą z cienkiej bawełny mocne linie mięśni i skierowała twarz

ku jego ustom. Przeczesała palcami wijące się włosy na jego karku. Odczytywała językiem kształt jego ust...

W dole brzucha czuła narastające pragnienie. Przysunęła się bliżej i zrzućwszy pantofel głaskała chłodną stopą jego

kostkę. Owładnięta pożądaniem i wspomnieniami, zatraciła się, i wiedziała o tym. Oto znów było tak samo pięknie.

Była jednak i różnica, polegająca na tym, iż oboje byli już dojrzałymi ludźmi i umieli docenić niezwykłość przeżycia, jakie ich łączyło.

Noel nie stracił kontroli nad sobą, lecz po prostu zaniechał jej z ulgą, przypuszczając atak na środki obrony, w które

uzbroiła się Riva, i ściągnął z niej wszystko, co ją okrywało.

- Pragnę cię, o Boże, jak cię pragnę! -
mówił niskim, dojrzałym wibrującym
głosem, rozluźniając pasek jej sukni i

zsuwając rękaw. Zamknął dłonią
odsłoniętą kulę piersi i pocierał
językiem brodawkę. -Powiedz, że mnie
pragniesz.

- Pragnę cię - wyszeptała i wygięła się
w łuk.

- Tęskniłem do ciebie - powtórzył i
gładził ustami jedwabistą skórę przez
jedwab sukni, a potem ją ściągnął, by
dostać

się do nagiego ciała. - Powiedz, że
również tęskniłaś.

- Tęskniłam bardzo. - Jej ciche słowa zabrzmiały jak okrzyk. Wyciągnęła drżące palce, by uporać się z guzikami jego

koszuli.

- Z nikim nie było mi tak jak z tobą. - W jego ochrypłym głosie słyszeć było echo zdumienia tym stwierdzeniem.

- Mnie również - odpowiedziała Riva tym samym tonem.

Chwycił suknię i odrzucił na bok. Potem zdjął koszulę i rozpiął spodnie. Ułożył się obok Rivy i położył ciepłą dłoń na jej

łonie, a potem powoli przesunął ją na sekretne miejsce.

Zza okna dobiegł silny odgłos grzmotu i szum wiatru w gałęziach dębów. Rivie wydawało się, że burza narasta

również w jej krwi, w najważniejszym punkcie jej istoty, a kiedy się rozpęta na dobre, porwie ją ze sobą. Bała się

gwałtowności, którą czuła w sobie, lecz zarazem usilnie do niej dążyła.

- Kochaliśmy się już kiedyś - rzeki Noel głosem tak cichym, że wydawał się tchnieniem wiatru. - Nigdy jednak nie

słyszałem, byś to powiedziała. Czy

powiesz teraz?

- Ja... - zaczęła, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Powiedz - nalegał. - Nawet, jeśli to nie jest prawdą.

Wyszeptała te słowa z uległością i wyciągnęła ku niemu ręce. Dotykała twardego, sprężystego członka, oczekując na

powrót drżącej rozkoszy, która zakwitła w jej wnętrzu.

Noel, czując jej radość, głęboko wciągnął powietrze.

Riva z okrzykiem wygięła się ku niemu.

Gdy uniósł się nad nią, błyskawica rozświetliła okna, zabarwiając błękitnym blaskiem jego włosy, a ramiona

obrysowując złotem. Kiedy się w niej zagłębił, Riva zacisnęła oczy jakby w ekstazie. Obejmując ramiona Noela,

uniosła biodra, by wyjść mu naprzeciw, i chłonęła go, dążąc do spełnienia.

Był silny, nieskończenie wytrzymały, i poruszał się bezbłędnie w rytmie pulsu jej krwi. Oddechy obojga stały się

urywane, a ciała śliskie od potu; bicie

serc zagłuszyło niemal odgłosy burzy.
Czas się cofnął i zbliżał ich do siebie
coraz

bardziej i bardziej.

Nadszedł moment, który pozbawił ich
zgodnie świadomości, a otaczający mrok
zdawał się wypełniony przedziwną

magią. Kołysali się teraz, spleceni, z
trudem łapiąc oddech. Szeptali pełne
miłości słowa i upajali się swymi
ustami,

przejęci rozkoszą płynącą z uwolnienia
znużonych tyloletnim oczekiwaniem
zmysłów.

Czas mijał. Oddechy uspokoiły się. Wiatr przycichł, a deszcz bębnił równomiernym rytmem. Wciąż leżeli spleceni, z

zaciśniętymi powiekami. Noel czule odgarnął włosy z wilgotnej twarzy Rivy i całował jej brwi. Uniósł się lekko, by nie

przygniatać jej, ale nie wykazywał ochoty, by ją zostawić. Wciągnął głęboko powietrze, jakby szykując się do

powiedzenia czegoś bardzo ważnego.

Nagle drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie, uderzając z impetem o

ścianę. Rozległ się dźwięk naciskanego

kontaktu i wielki żyrandol rozjarzył się jasno. Riva poderwawszy się, ujrzała Constance z ręką na przełączniku. Jej

czerwona twarz zeszpecona była furią, a w głosie słychać było drwiący triumf.

- Wiedziałam, że skoro zniknęliście tak zgodnie, to znajdę was tutaj - syknęła ze złością. - Wiecie, są domy, gdzie to,

co robicie, uważa się za kazirodztwo!

Noel sięgnął po prześcieradło, i zarzucił je tak, by przykryło obydwójce.

- Wynoś się! - powiedział cicho, z

wściekłością, która mimo stłumionego głosu brzmiała jak krzyk.

Constance uniosła brew, odparowując z ironią:

- Nie wierzysz? Zobacz, co mówi Księga Praw. „Nie będziesz odkrywał nagości żony swego ojca”. To z pewnością

odnosi się do macoch, bo matki chodzą na ogół okryte; możesz przestudiować też inne wersety.

Noel gotów był udusić Constance! Nagła chęć uczynienia tego rozszalała się w jego krwi, przygotowując go o uczucie

szewskiej pasji. Sposób, w jaki kalala to, co istniało między nim a Riva, był nie do zniesienia. Poczł wzburzenie Rivy i

zobaczył jej błagalny wzrok. Całą siłą woli spróbował się opanować.

- Nigdy bym nie pomyślał, że czytujesz Biblię - powiedział, zwracając się do Constance.

- Zdarza mi się czasami - odparła.

- Powinnaś zdać sobie sprawę, że ojciec nie żyje, a więc Riva nie jest jego żoną.

- Bez wątpienia, ale ludzie mają dobrą pamięć, a pewne zachowania to kwestia

raczej instynktu niż logiki czy prawa.

Wiedzą, że to, co robisz, jest złe, nie zdając sobie nawet sprawy, skąd to wrażenie, i mogą być okrutni.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A zatem jesteś głupcem!

Noel spoglądał na nią uważnie.

- Nie tak wielkim, by nie dostrzegać tego, co ty robisz. Twoje postępowanie niczego nie zmieni.

- Czyżby? Prowokuję cię do rzucenia się w ramiona macochy? Cóż, może właśnie tego chcesz; zawsze tego chciałeś!

- Jakież to obrzydliwe! - powiedziała Riva.

- Równie obrzydliwe jest rozmyślanie o tym - rzuciła Constance, kierując teraz złość na Rive.

- Tylko w twoim umyśle! Nie łączą nas więzy krwi. Nie ma żadnej przeszkody prawnej!

- Nie twierdzę, że jest. Tyle że obyczaj...

- Co ma do rzeczy obyczaj, gdy Cosmo nie żyje?!

- Twój mąż nie żyje, a ty się zabawiasz z jego synem?!

Riva z twarzą znów pobladła wpatrywała się w Constance. Nim zdołała odpowiedzieć, wtrącił się Noel, tak mocno

zaciskający palce na prześcieradle, że zbieleły mu kostki. Nie troszczył się o siebie - niewiele z tego, co miała do

powiedzenia jego była żona, mogło go zranić -ale Rivie należała się jego obrona przed tą kobietą.

- Nie masz nawet pojęcia, co robisz, Constance! Trzymaj się od nas z daleka! Słyszysz? A teraz wynoś się, zanim cię wyrzucę.

- Jakież to czarujące - orzekła
Constance. - A zatem istnieją kobiety,
które potrafią budzić w mężczyznach
instynkt

opiekuńczy. Szkoda, że Riva straciła
jednego ze swoich rycerzy. A powinna
być ostrożna. Nie sądzę, aby nasz
kochany

Dante pojechał do Kolorado sam.
Wcześniej widziałam go, a i dzieci
również, gdy jadł lunch z pewną kobietą.
Została

nam przedstawiona jako Anna Gallant...

Noel poczuł, że Riva sztywnieje, gdy
dotarło do niej znaczenie tych słów.

Jednak nie spojrział na nią.

Zdecydowanym

gestem odrzucił prześcieradło.

Constance ze zmienioną twarzą szybko wycofała się z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi.

Zapadła cisza. Riva sięgnęła po suknię i wyślizgnęła się z łóżka. Noel kopnął prześcieradło i schylił się po swoje

ubranie.

- Nie musisz iść ze mną - powiedziała Riva napiętym głosem.

- Owszem, muszę!

Zabrzmiało to tak zdecydowanie, że już nie protestowała. Ubrali się w milczeniu. Riva przeczesła palcami włosy, ale

nie czyniła żadnych wysiłków, by poprawić swój wygląd. Gdy odwróciła się ku drzwiom, Noel otworzył je.

Deszcz jakby osłabł, bo w ciszy wielkiego starego domu słyszeli spadające z dachu pojedyncze krople. Po schodach

zmierzali powoli ku drzwiom sypialni Rivy. Noel nacisnął klamkę i otworzył je, ale został przed progiem.

- Przepraszam - powiedział tylko. Riva

westchnęła ciężko.

- Ja też. Constance nie chciała nas chyba zranić. A ja wiem, że potrzebowaliśmy się nawzajem. Czasami człowiekowi potrzebne jest czyjeś oparcie.

Gdyby już jej nie kochał, to pokochałby ją bez wątpienia teraz, gdy tak stała z ciemnymi cieniami pod oczami i

śladami odłamków szkła na twarzy, starając się usprawiedliwić postępowanie ich obojga. Ujął jej twarz w ręce i

gładząc delikatnie policzki, pieszczotliwie dotykał ust.

- Wiem - powiedział miękko. - Burze wywierają na mnie dziwny wpływ. Już od dawna.

Gdy wpatrywała się w jego twarz, kąciki jej ust zadrżały w uśmiechu. Noel czuł to delikatne drżenie pod palcami i

przesunął po jej ustach ciepłymi wargami. Potem cofnął się o krok.

- Dobranoc - powiedział miękko.

- Dobranoc.

Cichutko zamknęła drzwi. Dużo czasu upłynęło, zanim usłyszała kroki oddalające się korytarzem.

Czuła dziwną pustkę. Sypialnia nagle wydała jej się azylem. Weszła w głąb pokoju, drżąc od chłodnego powiewu dobywającego się z wentylatorów.

W pokoju panował mrok, lecz Riva nie potrzebowała światła. Za oknem wciąż migotały błyskawice, a potem

nadciągnęła następna fala deszczu. Pocierając ramiona dłońmi, Riva podeszła do okna.

Burza nadciągała z innego niż poprzednio kierunku i zapowiadała się groźniej. Przesuwała się nad Bonne Vie, kołyszając

ciężkimi konarami dębów, marszcząc wodę basenu i zalewając trawniki. Nie było powodu sądzić, że wśród odgłosów

burzy słychać szum morza i szelest palm; nie było potrzeby wspominać przeszłości.

Dzisiejszej nocy ona i Noel spotkali się niczym kochankowie rozdzieleni przez czas i okoliczności. Dwoje ludzi, którzy

umieli dostrzec chwilę i uczynić ją swoją, nie oczekując przy tym, iż stanie się czymś więcej niż jest - czymś więcej, niż

może być.

Ona powiedziała mu, że kocha, lecz on nie odwzajemnił słów miłości.

Tamtego dnia na wyspie także nie wyznał swych uczuć. Kochał się z nią, potem wyjechał i nie było go przez całe lata.

Pożądanie. Oto co było między nimi. Noel nie czynił tajemnicy z faktu, że jej pożąda. Ją także ciągnęło ku niemu z tej tylko przyczyny. Obustronne pożądanie. Oto istota zauroczenia - zarówno przed laty, jak i dziś.

Jakaż to potęga pożądanie! Gdyby łączyła się nierozzerwalnie z miłością, można by użyć jej do stworzenia czegoś

0

trwałej wartości. Bez miłości jednak mogła stać się jedynie bronią zniszczenia.

Dlaczego Noel wziął ją w ramiona?
Dlaczego?!

A jeśli już do tego doszło, to czemu ona tak chętnie zareagowała? Oczywiście, mogła sobie wmawiać, że była to

reakcja na bliskość śmierci i wybawienie przez Noela, albo też upierać się, że to tylko pożądanie. Mimo to

wątpliwości pozostały.

Riva zapragnęła czyjś spokojnego głosu. Pragnęła zapomnieć o słowach Constance. Kazirodstwo to takie okropne

słowo! Nie miało zastosowania do niej i Noela. Skądże! A jednak dręczyło. Nietrudno było doszukać się powodu. Było

to przecież słowo, które dźwięczało w mózgu Rivy, ilekroć myślała o Erin i Joshu Gallancie.

Powiedziałam, że go kocham, pomyślała z bólem.

Nie mogła już tego znieść. Musi być coś jeszcze, ktoś jeszcze, kto mógłby pomóc

w odzyskaniu równowagi.

W Kolorado było o godzinę wcześniej, a więc wcale nie za późno na telefon.

Podeszła do stolika obok łóżka i

podniosła słuchawkę z oświetlonymi guzikami. Wybrała numer.

- Halo. - Usłyszała głos Dantego.

Zanim zdołała coś powiedzieć, w słuchawce dał się słyszeć odgłos przesuwania szklanych drzwi, a potem kobiecy

głos:

- Kochanie, chodź zobaczyć, jaki

cudowny blask po zachodzie słońca!
Och, przepraszam...

Riva rozpoznała ten głos. Nie wiedziała, czy rozpoznałaby go, gdyby Constance nie wspomniała o Annie Gallant.

Nieczęsto bowiem słyszała dłuższą wypowiedź żony Edisona.

Szybko wcisnęła guzik przerywający połączenie, a potem długo stała ze słuchawką w dłoni, widząc przed sobą pustkę.

ROZDZIAŁ 19

„Bonanza” była dobrym samolotem.
Edison przekonywał o tym sam siebie,

gdy maszyna nabrała wysokości i

przebijała się przez szarą masę chmur.
Lecz nie skonstruowano jej do
pokonywania huraganów.

Może powinien był zwrócić większą
uwagę na komunikaty meteorologiczne,
ale - u diabła! - musiałby wtedy czekać,

a przez nieobecność pozbawiłby się
części tego cholernego poparcia. Ci
dranie nie znali meandrów polityki i nie

czekaliby beczynn timer, gdyby prawda
wyszła na jaw. Nie potrafił zrozumieć,
czemu, u licha, musi być zależny od
takich

świętoszkowatych głupków! Były pewne nieściskości to tu, to tam, ale każdy, kto miał trochę oleju w głowie, wiedział,

że politycy muszą korzystać z kompromisów. W taki właśnie sposób odbywała się ta gra. Chodziło tylko o to, by

uzyskać jak najwięcej, dając jak najmniej.

Zabranie ze sobą Josha było mistrzowskim posunięciem. Warto mieć u boku eleganckiego chłopaka z college'u,

stojącego mocno na ziemi i kipiącego ze złości, ilekroć pojawiają się insynuacje

pod adresem ojca, a co więcej -

myślącego naprawdę tak, jak mówi.

Uzyskaliśmy w ten sposób kilka punktów, pomyślał Edison.

Prawdopodobnie

powiniennem podziękować Rivie za ten pomysł. Ale nie słowa wdzięczności przychodziły mu na myśl. Upłynęło już

dwie doby, odkąd miał jakąś dupę. Nie lubił takiego postu.

Zeszłej nocy pomyślał o zaspokojeniu Josha i siebie i już sięgnął po słuchawkę, by zatelefonować do kobiety, o której

wiedział, że mogłaby przysłać czyste dziewczyny, ale w końcu nie wydało mu się to rozsądne. Josh, co przejął pewnie po matce, miał dziwne podejście do wierności i całego tego gówna, a jego złość mogłaby sprawić, iż następnym razem nie chciałby towarzyszyć ojcu.

Josh spał teraz z tyłu samolotu, zmęczony po sobotniej kolacji z kumplami ze sztabu wyborczego. Kolacji, która

składała się z kilku kieliszków wina, a potem piwa wypitego w barach na Bossier Strip. Wszystko, co Edison mógł

zrobić tego ranka, to wyciągnąć chłopaka z łóżka i zabrać go do domu. Ciekawe, jak by to było, gdyby Josh w dodatku

musiał jeszcze przelecieć kobietę?

Ten lot przypominał wdzieranie się w ścianę wody przy akompaniamencie trzasku piorunów. Edison był naprawdę

dobrym pilotem, ale takie warunki wprawiały go w zdenerwowanie. Denerwowała go również praca przyrządów.

Nienawidził zezwalania jakiejś cholernej maszynie na przejmowanie steru. Będzie szczęśliwy, gdy wreszcie

dostrzeże

światła pasa startowego w tym całym bałaganie. Wyciągnął rękę po mikrofon. Lepiej powiadomić kogoś, co zamierza uczynić.

Ślizg ku dołowi był nierówny, a kąt podchodzenia do lądowania ostry, ale przy turbulencjach trudno było to

naprawdę stwierdzić; w każdym razie tak mu się wydawało. Tak czy inaczej musiał zwalczyć w sobie chęć dźwignięcia

dziobu samolotu w górę. Chmury przepływały obok - szare, białe i znowu

szare. Wysunął koła. Gdzie, u diabła, ten pas startowy?!

Coraz niżej. Stłumiony ryk silnika to nasilał się, to przycichał. W uszach dzwoniło ostro. Zdawało się, że wstrząs

obruszył mu wszystkie zęby. Zdał sobie nagle sprawę, że zaciska z całej siły szczęki. Jeszcze tylko kilka minut!

Wytężył

wzrok i wyciągnął rękę, by przetrzeć przednią szybę, jakby był w stanie usunąć szarą mgłę.

Niech to diabli! Za nisko, za nisko! Pas startowy jeszcze o trzy cholerne mile

stąd. Wchodzi ostro. Za ostro!

Gwałtownym gestem wyłączył automatycznego pilota i chwycił drążek sterowniczy. Silnik zawył. Zakłócenia odbioru

radiowego wskazywały na coś, o czym cholernie dobrze wiedział.

Josh zbudził się z krzykiem.

Czubki drzew. Liście szare i rudawe. Niżej rozpościerało się bagnisko. Przed dziobem samolotu ogrodzenie lotniska, na szczęście niskie! Udało się...

Nie dostrzegł cyprysa majaczącego po

prawej stronie i wyższego niż reszta drzew. Koniec skrzydła zahaczył o czubek

drzewa. Światła pasa startowego wyglądały nagle jak kręcący się wiatrak. I korkociąg nad ogrodzeniem. Zgrzyt

metal. Iskry elektryczne. Boże!... Podwozie piszczy przeraźliwie na betonie, kruszy się, wlecze, zwalnia. Zgnieciony

samolot kręci się wokół własnej osi, a po chwili nieruchomieje.

Długo jeszcze siedział z rękami zaciśniętymi na drążku. Jego fotel był teraz uniesiony pod dziwnym kątem,

więc

wszystko, co mógł dostrzec, to szare niebo. Czuł w ustach smak krwi. Ale żył! Słyszał syk ulatniającego się powietrza i

trzask osuwającego się metalu. Poczuł zapach paliwa i innych płynów. Był zamroczony i bolała go głowa. Ale - do

cholery! -żył. Nie opuściło go szczęście, słynne szczęście Gallantów!

Josh...

Szarpnął pas bezpieczeństwa i wypadł z fotela. Z wielkim wysiłkiem wspiął się ku miejscom dla pasażerów. Kadłub

samolotu zarył się w ziemię. Josh ze skrzywioną głową leżał pod złamanym masztem. Był nieprzytomny. Wzdłuż zbiornika biegł ślad krwi.

Potem nastąpił koszmar migających świateł i poleceń; woń chemicznej piany i rąk wyciągających się w jego kierunku, podczas gdy on krzyczał, przeklinał i błagał, by ktoś wydostał jego syna. Pośpieszyli mężczyźni z ciężarówką wiozącą

acetylenowe palniki do cięcia blach. W końcu Josha położono na nosze. Maszt ugodził go w ramię. Krwawienie

zatomowano, ale chłopak był w szoku.
Cudem uniknął śmierci. Edison zacisnął
palce na zimnej dłoni syna i nie

puszczał do chwili zatrzaśnięcia drzwi
ambulansu.

Policjant zapytał go o nazwisko, a on
spojrzał na tego człowieka ze
zdumieniem. Kogo, do diabła, obchodzi,
jak on się

nazywa?

Boże! Przed wieczorem wiadomość
znajdzie się we wszystkich gazetach!
Edison wyjdzie na tępego idiotę! Już
teraz

słyszał głos prześmiewców. Jeśli kandydat na gubernatora nie umie utrzymać w powietrzu własnego samolotu, to jak

można mu zaufać, że potrafi kierować stanem? Jak, skoro okazał się tak głupi jako pilot?! Cholera, to nieprawda! Coś

było nie w porządku z samolotem. Coś było cholernie nie tak!

Niekiedy opłacało się być kongresmenem Gallantem. W drodze do szpitala będzie miał policyjną eskortę i miejsce na

przednim siedzeniu, obok kierowcy. Nim zamknęły się drzwi patrolowego

samochoodu policyjnego, zwrócił się do
urzędnika lotniska.

- Zadzwońcie do mojej żony -
powiedział. - „Royal Orleans Hotel”.
Powiedzcie, żeby przyjechała do
szpitala.

Pięć godzin później Josha wywieziono z
sali operacyjnej na oddział intensywnej
terapii. Był unieruchomiony. Zespół

lekarzy z Oshner's Hospital stwierdził,
że prawdopodobnie da się uratować
rękę, ale przed upływem czterdziestu

ośmiu godzin nikt nie zyska tej
pewności. Nie było już nic, co Edison

mógłby zrobić, by pomóc Joshowi. Mógł jedynie

udać się do domu i wypocząć. Wyglądał tak, jakby odpoczynek był mu potrzebny.

Nie chciał jednak odpoczywać. Chciał wiedzieć, gdzie - do cholery! - jest Anna. Dlaczego nie odpowiada na telefon?!

Chciał się dowiedzieć, co się stało w samolocie i za czyją przyczyną. Nie chciał żadnych cholernych tabletek na nerwy!

Chciał wyłącznie wyjaśnień. I zamierzał je niezwłocznie uzyskać!

Apartament hotelowy był pusty. Ubrania Anny wisiały w garderobie, ale brakowało paru ciuchów, między innymi spodni i ulubionego swetra. Nie było także jej małej walizki.

Zatelefonował do domu w Alexandrii, z nadzieją, że żona pojechała tam. Nie po raz pierwszy próbował się z nią

skontaktować. Kiedy nie pokazała się w szpitalu i powiedziano, że nie można się z nią połączyć w „Royal Orleans”,

zadzwoił tam sam kilka razy.

Bezskutecznie. Było późne niedzielne popołudnie. W domu nikt się nie zgłaszał, bo

pokojówka nie przychodziła w czasie weekendów.

Po dziesięciu próbach Edison cisnął słuchawkę. Przyszło mu na myśl, by zatelefonować do rodziny Anny, ale

powstrzymał się. Nie chciał podnosić wrzawy, jeśli ona po prostu pojechała na przykład z wizytą do jakichś przyjaciół.

Nie miał poza tym ochoty opowiadać babce i ciotkom Josha tych wszystkich bzdur o wypadku. Nie chciał wysłuchiwać

okrzyków i uwag, że to wszystko jego wina. Niech lepiej Anna z nimi

rozmawia! Nieobecność żony musiała mieć

jakieś proste wyjaśnienie. I lepiej niech się taka okaże, do cholery!

Potrzebował drinka. Podeszedł do kredensu, napełnił sobie szklaneczkę i pociągnął spory haust. Wrócił do telefonu i

notatnik z numerami ułożył tak, by patrząc weń mógł od razu wystukiwać cyfry. Gdy zgłosiło się lotnisko, poprosił o

połączenie ze znajomym pracownikiem działu remontowego. Wcześniej już do niego telefonował. Teraz otrzymał

meldunek, o który prosił. Tak jak przypuszczał, automatyczny pilot „Bonanzy” był popsuty, ktoś przy nim manipulował.

Ktoś próbował go zabić. Niewielu pilotom udało się wyjść cało z wypadku, jaki przeżył. Samolot zazwyczaj rył nosem

w ziemię, wyrzucając najpierw pilota. To, że nie odniósł najmniejszych szkód, było dowodem szczęścia Edisona -

fenomenalnego wprost szczęścia!
Zawsze miał szczęście, podczas gdy Josh -niech to szlag trafi! - mało nie przyplącił

wypadku życiem. Josh, jedyny syn.
Dowie się, kto to zrobił i dopilnuje, by
ten ktoś umarł.

W zamku rozległ się szcęk klucza.
Edison odstawił szklanę. Zanim drzwi
się otworzyły, stał już przy nich, a potem
zatrzasnął je za żoną. Odwróciła się,
zdumiona. Jej oczy były szeroko
otwarte.

- Gdzie się, u diabła, podziewałaś?! -
zapytał i położywszy ręce na biodrach
czekał na odpowiedź.

- O co chodzi? Czy stało się coś?...

- Och nie, nic wielkiego. Tylko tyle, że

samolot twojego męża rozbił się przy lądowaniu, a twój syn leży w szpitalu.

- Josh?! Co mu się stało?! Czy on... Jak on się czuje?

- Ja pierwszy zadałem ci pytanie - rzekł z ponurą satysfakcją, jaką odczuwał na widok jej wylęknionej twarzy.

- Co? Sądzisz, że...

- Gdzie, u diabła, byłaś?!

- Ja... och, pojechałam do domu! -
Chwyciła go za ramię. - Do cholery,
Edison, powiedz mi!

Odepchnął ją.

- Jasne! Pojechałaś do domu!

Dzwoniłem, ale nie było cię tam. Skoro pojechałaś do domu, to czemu nie wzięłaś tego

brązowego złomu, który kupiłaś do oranżerii?

- Jeśli dzwoniłeś, to musiałeś mnie już nie zastać. Wyszłam wcześniej, lunch jadłam po drodze. Nie sądziłam, że

powinnam się śpieszyć. A co do tego cherubinka, to zapomniałam go zabrać. Proszę cię, powiedz, co z Joshem.

- Twój syn omal nie stracił ręki. Leży na oddziale intensywnej terapii. Nie wiadomo jeszcze, co będzie z ręką.

Zbladła. Usiadła na najbliższym krześle, upuszczając torebkę i walizeczkę.

- Ty draniu! - powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku. - Wiedziałeś o tym, ale nie chciałeś mi powiedzieć!

Musiałeś najpierw wydusić ze mnie informacje!

- O co ci, u diabła, chodzi?!

Dowiedziałem się tego, czego chciałem, a Joshowi nie robi to żadnej różnicy.

Zerwała się z miejsca.

- Ale mnie robi!

- Dlaczego? Wyjechałaś, dobrze się bawiłaś, podczas gdy on został ranny i nie było cię przy nim, gdy cię potrzebował.

Jakież więc znaczenie ma tych kilka następnych minut?

- Kto teraz z nim jest?

- Nikt. Jest sam, ponieważ jego matka...

- On ma również ojca! Dlaczego cię tam nie ma? Dlaczego siedzisz tu i upijasz się?!

- Piję drinka, bo potrzebowałam tego. Jestem tutaj, bo chciałem wiedzieć, gdzie ty jesteś.

- A co to za różnica! Josh potrzebuje kogoś!

- Tak, ciebie. Ty jesteś jego matką.

- Powinnam była wiedzieć, że obrócisz wszystko na swoją korzyść. Nigdy nie zrozumiesz innego punktu widzenia

prócz własnego. Nie interesują cię niczyje potrzeby prócz twoich własnych!

- No cóż, przepraszam! Omal nie zginałem tego popołudnia. Takie przeżycie powoduje drażliwość.

- Zawsze jesteś drażliwy lub jeszcze gorzej... Nigdy nie wybaczę ci tego, co zrobiłeś!

Parsknął i sięgnąwszy po szklanę upił z niej spory łyk.

- To przecież nic złego, gdy mężczyzna próbuje się dowiedzieć, co porabia jego żona.

Anna wpatrywała się w niego z uwagą. Nagle roześmiała się pogardliwie.

- No cóż. I tak nie dowiedziałeś się prawdy. Ale ci powiem. Nie pojechałam do domu. Byłam w Kolorado.

Odwróciła się i skierowała ku drzwiom. Edison dogonił ją trzema krokami i złapał za ramię.

- O czym ty mówisz? W Kolorado? Co,

u diabła, tam robiłaś?!

- Jeśli już musisz wiedzieć, byłam w łóżku z kochankiem. A teraz pozwól mi wyjść. Muszę zobaczyć swego syna.

- Teraz chcesz wyjść?! O nie!
Wydobędę z ciebie to gówno, ty suko!
Co ty, do cholery, wygadujesz?

- Prawdę. Choć nie sądziłam, że ją poznasz, bo ciebie przecież nie dotyczy.

- Chcesz powiedzieć... Nie wierzę!

- Dlaczego? - rzuciła mu urągliwe spojrzenie. - Bo to zagraża twojemu ego?
Czemu sądzisz, iż tylko tobie wolno

wchodzić do cudzych łóżek?

- Bo jesteś oziębłą cipą!

- Zdaje ci się tylko. Jeśli byłam oziębła, to dlatego, że ty byłeś marnym kochankiem. O tym właśnie dowiedziałam się

w czasie weekendu.

Poczuł się, jakby ktoś kopnął go w splot słoneczny.

- Nie możesz... Ty nie... - zaczął zmieszany.

- Mogę, i korzystam z tej możliwości. A teraz zejdź mi z drogi! - Wyrwała mu

swoją rękę.

Edison rzucił szklankę tak, że odbiła się od dywanu i potoczyła do sypialni. A potem znalazł się nad Anną i wymierzył

cios pięścią. Uderzyła głową o drzwi, odbiła się od nich i osunęła po ścianie. Pochylił się i szarpnięciem za włosy

podniósł ją.

- Kto to był? Kto jest twoim kochankiem?!

W jej oczach pojawiła się udręka, a usta zaczęły nabrzmiwać po uderzeniu. Mimo to uśmiechnęła się drwiąco.

- Idź do diabła! - wyszeptała.

- Dowiem się sam, a kiedy już to nastąpi, ten facet zostanie jeszcze jednym żalonym sukinsynem!

- Na twoim miejscu byłabym ostrożna. Może to ty okażesz się godny pożałowania...

Zwolnił uścisk.

- Ma takie wpływy?

- Powiedzmy, że nie brak mu przyjaciół.

- Tego rodzaju przyjaciół, że gównem by ich obchodziło, że próbując dopaść mnie, zabiliby twojego syna?

Obserwował, jak przerażenie odbija się w jej oczach, rozszerzając źrenice.

Przyglądał się, jak zwilża sobie usta...

- Nie chcesz chyba powiedzieć...

- To nie był wypadek.

- Nie zrobiłby tego! - wyszeptała. - Nie mógłby, nie Dante.

Edison chrząknął zaskoczony, a potem roześmiał się głośno, odpychając żonę.

- Pewnie nie. W każdym razie nie dla ciebie. Ale, kto wie, czy nie mógłby zrobić tego dla Rivy Staulet.

- O czym ty mówisz? - Jej słowa

brzmiały odważnie, ale spojrzenie nie było pewne.

- Sądzę, że się domyślasz, ale to nieważne. Idź zobaczyć się z Joshem, a potem chcę cię widzieć z powrotem.

Jeszcze

nie skończyliśmy!

Wyprostowała się, przygładziła włosy. Rozglądając się, znalazła torebkę i założyła na ramię jej pasek. Podeszła do

drzwi, a potem z ręką na klamce odwróciła się.

- Czy to miała być prośba mająca mnie skłonić do pozostania i kontynuowania

małżeństwa?

- Miało ci to uświadomić, gdzie jest twoje miejsce -u mego boku. Zawsze!

- Cóż, nie odebrałam tego w ten sposób. Wiesz, ludzie tacy jak ja rzadko mówią to, co naprawdę myślą. Używają

miłych słów na ukrycie ohydy lub też wygładzają wszystkie chropowatości, by życie czynić przyjemniejszym. Ale to

zawsze tkwi pod powierzchnią.

Zmęczona jestem życiem z tym, co kryje się pod powierzchnią naszego małżeństwa,

Edisonie.

- Jesteś moją żoną.

- Nawet jeśli moja aureola świętości przestała błyszczeć? - zapytała drwiąco.

- Później się tym zajmiemy.

- Mam więc żałować? Przykro mi, ale nie jestem w nastroju. Nasze małżeństwo, jeśli w ogóle można to tak nazwać,

jest skończone!

- Nie opuścisz mnie, mając w perspektywie pozycję pierwszej damy stanu. A już na pewno nie dla jakiegoś mieszańca,

właściciela napełnionej narkotykami knajpy!

- Może i nie. Ale nie zostanę również z egoistycznym, brutalnym mężczyzną, który nie kontroluje swoich zachowań, popędów ani nawet własnych orgazmów.

- Wrócisz tu! - powiedział, zaciskając pięść i unosząc ją w geście groźby.

Nie odpowiedziała. Wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Edison poczuł się nagle człowiekiem maltretowanym. Ktoś próbował go zabić, jego syn w ciężkim stanie leży w

szpitalu, a zimna żona nagle znalazła
sobie kogoś, kto miał ją rozgrzewać!
Nad karierą Edisona zawisło

niebezpieczeństwo związane z
rozbiciem samolotu. Jak opinia
publiczna zareaguje na taki brak
umiejętności

kierowania samolotem? W dodatku żona
grozi, iż uczyni z niego pośmiewisko, a
jej odejście wykończy go podczas

głosowania!

Spojrzał na zegarek, a potem rzucił się
na kanapę i sięgnął po telewizyjnego
pilota. Właśnie nadawano wiadomości.

Najpierw doniesienia polityczne z Waszyngtonu, a zaraz potem jego własna twarz wyskoczyła na ekran. Rozbicie

samolotu... zła pogoda... zbyt niskie podejście do pasa startowego. Ujęcie pokazujące wrak przyprawiło Edisona o

dreszcze, gdy zastanowił się, jak ktokolwiek mógł ujść z życiem. A potem on sam śpieszący do szpitala, gdzie wjechały

nosze z Joshem. Boże, ależ wyglądał dziko! Trząśł się jak starzec. Nawet nie pamiętał, że były tam kamery. Gdyby

zdawał sobie z tego sprawę, rozegrałby wszystko nieco chłodniej. Komentatorka

wyrażała ubolewanie i współczucie,

potem jednak zaczęła mówić o możliwości wszczęcia dochodzenia w sprawie wypadku.

Dochodzenie! Ktoś na pewno odkryje sprawę z automatycznym pilotem. Co dalej? Czy fakt, że przy nim

majstrowano, okaże się korzystny, czy obudzi wśród wyborców współczucie? Czy poszukiwania nie doprowadzą w

końcu do pytań, których za wszelką cenę chciał uniknąć? Pytań, które mogłyby go wykończyć?!

Gdy na ekranie pojawił się obraz szkód

uczynionych przez tornado we
wschodnim Teksasie, Edison wyłączył

telewizor. O Boże, spocił się. Nie lubił
tego. Złożył ręce i pocierał je, by
pozbyć się wilgoci. Zacisnął pięść,
potem ją

otworzył i obejrzał.

Nie powinien był uderzyć Anny!
Wprawdzie zasłużyła, lecz nie było to
rozsądne. Potrzebował jej. Potrzebował
fasady,

którą stanowiła. Wszystko musiało
wyglądać normalnie i miło. I któż by
przypuszczał, że znajdzie sobie nagle
innego

mężczyznę?! Jak mogła to zrobić?! I jeszcze grozić odejściem! Teraz, w środku kampanii! A ten facet, którego

wybrała, ten mieszaniec, Dante, przyjaciel Rivy! Jego żona ukradła Rivie faceta! Ale numer!

Ale czy rzeczywiście? Przypuśćmy, że to Dante uczynił ruch w stronę Anny? Przypuśćmy, że Riva mu to podsunęła.

Tak właśnie musiało być! Anna nigdy nie zdecydowałaby się sama na nic podobnego! To było bardzo podobne do

Rivy, tej podstępnej suki! Ona stała się powodem wszystkich kłopotów, wszystkich. Gdyby nie ona, wróciłby

spokojnie do domu, wtedy przed laty.
Ale nie! Musiała tam być! Zawsze była,
stając mu na drodze. Widziała to, czego
nie powinna była oglądać! Zyskała nad
nim przewagę.

A myślał, że uporał się z tym. Właśnie
dlatego wyjechał z miasta, by być
daleko od wszystkiego. Czekał przez
cały

weekend. Ale nie podano wiadomości o
wypadku Rivy; ani jednego cholernego
słowa! Okazało się po prostu, że już
nikomu nie można zaufać!

Zaraz, zaraz. A jeśli Riva się d o w i e d

z i a ł a? Jeśli nie tylko przeszkodziła
wszystkiemu, co dla niej przygotował,
ale

obróciła to przeciwko niemu?! To było
przerazające. Niemal go zabiła! Kto
mógłby przypuszczać, że ma takie

kontakty! Była skryta; nawet jako
dziecko zawsze ukrywała coś głębiej,
niż on mógł dostrzec.

Edison nerwowo kręcił się na sofie.
Musiał to przemyśleć, zastanowić się,
co dalej. Nie mógł przecież tego po
prostu

pozostawić. Nie teraz. Poza tym wciąż
pragnął Rivy. I to jak!

ROZDZIAŁ 20

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

To był krzyk bólu. Erin zerwała się z krzesła. Jej oczy zalśniły łzami. Doug Gorsline, który siedział naprzeciwko, gdy

spokojnie grali w remika, również wstał. Jego szczupła, młoda twarz zamroczyła się troską, gdy patrzył na Erin.

- Powiedziałabym, gdybym wiedziała - rzekła Riva. — Liz dopiero teraz usłyszała o wypadku w wiadomościach i przyszła mnie zawiadomić.

To nie była cała prawda. Edison telefonował do Bonne Vie, ale jego głos brzmiał tak arogancko, że Abraham

powiedział, iż Rivy nie ma w domu. Ponieważ jednak Gallant krzyknął coś o rozbiciu samolotu, lokaj poszedł do

kuchni, by włączyć mały telewizor, którego używała Liz, nie chcąc podczas zajęć gospodarskich tracić swych

ulubionych programów. I to właśnie Liz pośpieszyła natychmiast do Rivy z wiadomością, zostawiając rozdygotanego

Abrahama, który zastanawiał się, czy wspomnieć Rivie o telefonie, czy też

nie.

- Josh, co z Joshem?! - pytała Erin.

- Jest w Oshmer's Hospital. Podali, że trzymają rękę na pulsie, cokolwiek to oznacza.

- Muszę tam pojechać! Muszę go zobaczyć! Czy sądzisz, że mnie wpuszczą? - Erin patrzyła na Rive wyczekująco i

ufnie, jakby była przekonana, że ciotka będzie wiedziała.

- Myślę, że to zależy od tego... w jakim on jest stanie.

- Muszę spróbować dostać się do niego!

- Nawet jeśli ci pozwala, to na pewno tylko na moment. Z tego, co słyszę, nie sądzę, by mógł rozmawiać. Lepiej

zatelefonujmy z pytaniem o jego zdrowie.

Rivie nie podobał się pomysł, by Erin znalazła się teraz obok Edisona, który z pewnością jest w szpitalu. Jeśli jest tak

rozwścieczony, jak twierdzi Abraham, to nie można przewidzieć, co zrobi i co powie Erin. A co więcej, jeśli - tak jak

Riva podejrzewała - to on zorganizował zamach na drodze, to dowiedziawszy się

o niepowodzeniu, mógłby teraz

próbować uderzyć przez Erin!

- Pojadę! - zdecydowała dziewczyna. -
Chcę tam być.

- Nie sądzę, że jesteś tam niezbędna. Jak
zresztą masz zamiar jechać? Jesteś
zupełnie roztrzęsiona, a limuzyna nie
nadaje się do użytku.

Riva nie miała prawa zabronić córce
wyjazdu do szpitala. Gdyby jednak
miała takie prawo, to i tak nie byłaby w
stanie

powstrzymać Erin, która była przecież

dorośla, niezależna. Tak jak jej matka.

- Ja ją zawiozę - oznajmił Doug.

- Och, naprawdę?! - zawołała Erin i uścisnęła mu dłoń. - To wspaniale!

- Zawsze do usług - odparł.

Jeśli Doug żywi zazdrość o troskę okazywaną przez Erin innemu mężczyźnie, to umiejętnie ją ukrywał, pomyślała Riva.

- Jestem pewna, że masz jak najlepsze intencje, Doug - powiedziała. - Ale wątpię, czy rodzice Josha będą zadowoleni

z przybycia fotoreportera.

- Nie pojedę tam jako fotoreporter.

Aparat zostanie w samochodzie.

Skautowskie słowo honoru.

- Nie rozumiem, jakie znaczenie ma to, kim on jest! - krzyknęła Erin. - Jestem pewna, że państwo Gallantowie nie

będą mieli nic przeciwko jego obecności, jak długo będzie ze mną.

Riva nie sprzeciwiała się dłużej, lecz podjęła nagłą decyzję. Jeśli Erin musi jechać, ona też tam będzie, by ją chronić.

Wprawdzie Noel powiedział, że nie

powinna opuszczać sama domu, ale przecież w towarzystwie Erin i Douga nie

będzie sama.

- Ja także pojedę.

- Nie musisz - stwierdziła Erin.

- Nie, ale równie dobrze mogę pojechać, zamiast zostać i zamartwiać się o ciebie. Jeśli zaś pojedziemy moim

samochodem, przywiozę cię z powrotem. Dzięki temu Doug nie będzie musiał pokonywać tej trasy jeszcze raz.

Był to oczywiście tylko pretekst, lecz

miała nadzieję, że Erin przyjmie propozycję w dobrej wierze.

- Ja nie mam nic przeciwko odwiezieniu Erin - rzekł Doug.

Obdarzyła go miłym uśmiechem.

- Wiem, ale ja mam. To nie fair takie wykorzystywanie pana.

- Ależ ja chętnie...

Uśmiech Rivy stał się jeszcze cieplejszy.

- Może innym razem - rzekła.

Gdy dotarli do szpitala, wokół panował

gęsty mrok. Skierowali się na oddział intensywnej terapii, gdzie notorycznie

łamano zasady dotyczące godzin odwiedzin. Poczekalnia okazała się ponurym pomieszczeniem z brudnymi krzesłami

i kanapami; pełnym pogniecionych gazet i rozrzuconych czasopism. Z pojemników na śmieci wystawały plastikowe

kubki po kawie i metalowe puszki po napojach. Nie było już telefonistki, ale przyjaciele i krewni mogli zadzwonić do

pokoju pielęgniarek i uzyskać informacje o stanie pacjentów.

Anna Gallant siedziała samotnie,
przerzucając strony czasopisma.
Odłożyła je na bok i wstała, gdy
zobaczyła

nadchodzących. Erin podeszła i objęła
ją serdecznie.

- Co z nim?

- Wciąż się jakoś trzyma - powiedziała
Anna z nikłym uśmiechem.

Riva napotkała jej wzrok nad ramieniem
swej córki. Spojrzenie, jakim obdarzyła
ją Anna Gallant, było niepewne i
zakłopotane.

- Czy sądzi pani, że pozwolą mi się z nim zobaczyć? - zapytała Erin.

Anna spojrzała na zegarek.

- Nie wpuszczają nikogo, ale zobaczyć można go przez szybę, w czasie wizyty lekarskiej co cztery godziny. To już

niebawem...

- To byłoby już coś...

- Muszę cię jednak uprzedzić, że Josh jest zmieniony, woskowoblady, owinięty bandażami po brwi. Nie otworzył oczu

ani nie odezwał się, odkąd przywieziono go tu z chirurgii... - Głos Anny załamał

się, a do oczu napłynęły łzy. Szybko otarła je dłonią.

- Pójdzie pani ze mną? - zapytała Erin.

- Pozwalają wejść tylko jednej osobie, i to na kilka sekund. Ty idź pierwsza, a gdy wrócisz, pójdę ja. Możesz zaczekać

przy drzwiach, jeśli chcesz. Nie potrwa to długo...

Doug poszedł z Erin, by dotrzymać jej towarzystwa podczas oczekiwania. Riva została z Anną. Usiadły na krzesłach.

Panującą ciszę zakłócał jedynie stłumiony dźwięk dzwonka gdzieś w

oddali.

- Josh i Erin są podobni do siebie.
Prawda? Bardzo podobni - zauważyła
Anna.

Były to słowa mające świadczyć o tym,
że Anna zna już prawdę. Riva odczuła
nagłą ulgę z tego powodu.

- Owszem. Są podobni - przyznała. -
Niemał jak prawdziwe rodzeństwo.
Bardzo mi przykro z powodu wypadku
twojego syna.

Anna spojrzała na nią z tak wielkim
ból w oczach, że jej twarz wydała się
o dziesięć lat starsza.

- Czy wiesz coś na ten temat?

- Niewiele. Niedawno dopiero powiedziano mi o katastrofie.

- Jesteś pewna?

- A czy powinnam wiedzieć więcej? - zapytała Riva ze zdziwieniem, patrząc spokojnie w oczy drugiej kobiety.

- Wierzę ci.

Annę przeszył dreszcz, spojrzała na swe dłonie. Przyglądając się jej z boku, Riva dostrzegła świeży siniec na jej

szczęce, niestarannie pokryty pudrem.

- Myślę - powiedziała powoli - że musisz mi wytłumaczyć, o co chodzi.

- Też tak sędzę. Edison... ma własną teorię, według której to ty mogłaś zaaranżować ten wypadek.

- Co?!... Nie!

- Mówił coś o nieczystej grze. - Słowa Anny brzmiały pusto.

Umysł Rivy pracował szybko, selekcyjując różne możliwości.

- Rozumiem... I miałam tego dokonać w odwecie?...

Anna podniosła wzrok.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Zrozumiałam z wypowiedzi Edisona, że chodzi o zemstę.

Było jasne, że się nie rozumieją. Żona Edisona zdawała się nie wiedzieć o napaści na drodze. Riva pokrótce

zrelacjonowała więc fakty. Anna zaś opowiedziała to, co było jej wiadome o powodach, dla których samolot spadł tuż przed lądowaniem.

Riva z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Jak miałabym coś takiego zrobić?

Znaleźć mechanika specjalizującego się

w elektronice? Czy ewentualnie
zadzwoić

do wynajętego snajpera?

- Ani to, ani to. Edison przypuszcza, że
wciągnęłaś we wszystko Dantego
Romoli.

- Dantego?...

Riva spojrzała uważnie na swą
rozmówczynię, która nie unikała jej
wzroku.

- A jeśli nawet Dante był tak uprzejmy,
by przystać na mą prośbę - powiedziała
w końcu Riva - to dla kogo to zrobił?

Dla mnie czy raczej dla ciebie?

Skurcz przebiegł po twarzy Anny, gdy zacisnęła szczęki. Ciemne rumieńce wykwitły na jej policzkach.

- Widzę, że już wiesz. A ja sądziłam, że jestem tak ostrożna! Wydaje się więc, że i ja objęta jestem podejrzeniem,

prawda? Lecz to, wbrew pozorom, nie jest wcale ważne, czyż nie? Ważne jest to, czy on w ogóle byłby w stanie coś

takiego zrobić?

- Nie wiesz tego?

To niecne z mojej strony, pomyślała

Riva, że zrobiłam tę aluzję. Ale nie mogła się od tego powstrzymać. Nie miała

prawa być zazdrosna o Dantego i rzeczywiście nigdy nie czuła się dotknięta długą kolejką kobiet, które wchodziły do

jego łóżka na noc lub na cały weekend. Lecz te inne kobiety nie zagrażały lojalności Dantego wobec niej, i wiedziała o

tym. Z Anną Gallant mogło być inaczej...

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, by mógł to zrobić - powiedziała Anna z bolesnym skupieniem. - Ale prawdą jest i to, że

powiedziałam mu, iż raczej wolałabym zostać wdową niż przechodzić przez wszystkie sprawy związane z rozwodem.

No i nie mogę zapominać o jego związku z tobą. Rozumiem, że ma on wyjątkowy charakter, skoro Dante nawet nie

chce rozmawiać na ten temat. Z drugiej strony mało znam w gruncie rzeczy Dantego i nie wiem, jak daleko może się posunąć, by chronić ciebie.

- Nie zniosłabym myśli, że jego ewentualne działanie może zależeć od jego związku ze mną.

- Cóż. Ty znasz go od lat, podczas gdy ja... Dla mnie to jest sprawa kilku dni. Z pewnością możesz mi powiedzieć o nim

coś bliższego?

- Żałuję, ale nie mogę. Rozumiem, co sobie teraz wyobrażasz, ale musisz przyjąć do wiadomości, że w życiu Dantego

istnieją strefy, których nie dzieli z nikim; w które i ja się nie wkradam.

Anna potrząsnęła głową.

- Jestem zakłopotana. Sprawiał wrażenie kogoś, komu można bezgranicznie zaufać - sympatyczny,

życzliwy. A teraz

mój syn leży tam...

- Nie myśl o tym.

- Jak mogę nie myśleć? A jeśli Dante to zrobił? Musimy ustrzec go przed ponownym zrobieniem czegoś takiego.

Jak

możemy temu zapobiec?

- Porozmawiam z nim, choć jestem pewna, że to nie przyniesie żadnego rezultatu. Jeśli jest niewinny, nie będzie mógł

tego dowieść, a jeśli jest winny, nie

będzie taki głupi, by to wyznać. Nawet mnie.

Riva nie skończyła jeszcze mówić, gdy w drzwiach pojawiła się wysoka męska postać. Edison. Rive ogarnął gniew i lęk.

Miała nadzieję, że przebędzie tę wizytę bez konieczności oglądania go.

Zawahał się przez chwilę, a potem podszedł denerwująco powoli.

- Proszę, proszę, a cóż to? Babskie pogaduszki?

Riva nie widziała potrzeby reagowania na zaczepkę.

Żona Edisona także milczała. Riva wstała i rzekła do Anny:

- Już chyba pora, kiedy możesz wraz z Erin zobaczyć Josha. Ja pójdę znaleźć sobie filiżankę kawy.

- W głębi korytarza, za rogiem, jest bufet i automat z kawą - powiedziała Anna. - To, co tu mają, nie jest wspaniałe, ale przynajmniej gorące.

Riva obojętnie przeszła obok Edisona, jednak stwierdziła, że łatwiej jej oddychać, gdy zniknęła z jego pola widzenia.

Sytuacja była co najmniej dziwaczna,

ona zaś nie bardzo wiedziała, jak z niej wybrnąć. Co można powiedzieć

mężczyźnie, o którym wiesz, że próbował cię zabić; który myśli, że wynajęłaś kogoś, by zabił jego?

Uprzejmość nie

załatwiała sprawy. Jeśli jednak brakowało dowodów do wysunięcia oskarżeń, jakaż pozostawała alternatywa?

Miała nadzieję, że Erin zaraz zobaczy Josha i wkrótce będą mogły wrócić do domu. Cieszyło ją to, bo konfrontacji, na jaką się zanosilo, wołała uniknąć.

Anna miała rację. Kawa była gorąca. Z plastikową filiżanką wypełnioną ciemnym płynem Riva usiadła przy jednym ze

stolików o plastikowych blatach. Plastikowe krzesło było zimne. Szpitale zawsze były zimne, nawet latem, dzięki klimatyzacji. Riva wsypała do kawy sproszkowaną śmietankę i rozmieszała ją, a potem uniosła rękę i masowała napięte mięśnie szyi, poruszając głową, by zmniejszyć napięcie.

Starsza kobieta stała przy jednym z automatów z zimnymi napojami. Włosy upięte miała w kok, nosiła spodnium ze

sztucznego materiału wiszącego na jej chudej figurze jak na wieszaku. Kobieta wrzuciła pieniądze, wcisnęła guzik i

wzięła puszkę. Przesłała Rivie współczujący uśmiech, jaki zazwyczaj wymieniają odwiedzający szpitale, a potem

wyszła.

- Jak to miło z jej strony, że zostawiła nas samych! - powiedział z jadowitą uprzejmością Edison. - Mam nadzieję, że

będziemy mogli porozmawiać.

Riva omal nie wylała na siebie całej

kawy, lecz w ostatniej chwili zdołała
pochwyć filiżankę. Wytarła serwetką
plamę

na stoliku.

- Sądziłam, że przyszedłeś zobaczyć
swego syna...

- Nic mu nie pomogę - stwierdził
poważnie.

- A jeśli sam sobie z tym nie poradzi?
Jeśli...

- Och, Josh poradzi sobie na pewno, nie
mujesz się martwić. Powinnaś raczej
martwić się tym, jak ty sobie poradzisz.

Nie wiem, czy ci zresztą na to pozwolę.

- To brutalne, ale nigdy nie spodziewałam się po tobie niczego innego.

- To, czego się spodziewamy, a to, co dostajemy, to dwie różne rzeczy. Anna mówi, że miałaś kłopoty z jakimiś

facetami uzbrojonymi w uzi. Założę się, że nigdy się tego nie spodziewałaś...

Jakże był pewny siebie! Nawet nie zniżył głosu. Z pewnością myślał, że upora się ze wszystkim, o co ona go oskarży.

Poczuła chęć zadania mu ciosu.

- Tak, to było zaskoczenie. Prawie takie samo jak twoje odkrycie, że pas startowy jest zbyt blisko, by wylądować bezpiecznie...

- A więc to zemsta?

- Można by tak uważać, gdyby nie pewien drobiazg.

- Jaki?

- Nie miałam nic wspólnego z tą historią na lotnisku. Będziesz musiał się zastanowić, kto jeszcze chciałby widzieć cię

martwym.

- Oprócz ciebie?

- Tak, jestem w tym gronie i widzę, że to całkiem spory tłumek.

Uśmiechnął się pogardliwie.

- Wielu ludzi jednak również mnie docenia.

- Chciałeś powiedzieć: wiele kobiet? Niezbyt dobrze to świadczy o ich guście.

- Był czas, gdy podobałem się i tobie.

- Oszukujesz się tylko. Wtedy byłem owładnięta żalem i popędem seksualnym. Nie miało to nic wspólnego z tobą.

- Być może, jeśli tak wolisz uważać. A Beth?...

- ...Zmarła przez ciebie! To nie jest dobry przykład. Ciekawa jestem, ile kobiet żałowało, że miało z tobą cokolwiek

wspólnego.

- O wiele więcej żałowało, że nie miało.

- Tak jak Margaret, która zapłacała za to, że wtedy ci uciekła?

- Owszem, i kilka innych. Tak jak ta suka, obrończyni praw obywatelskich. Śmiała się ze mnie, śmiała się głośno,

gdy

przejeżdżałem obok. Ale nie trwało to długo. Dopilnowałem już tego, tak jak dopilnowałem, byś ty zamknęła buźkę.

Coś zaświtało w głowie Rivy, ale nie zdołała od razu ująć tego w słowa.

- To tylko potwierdza mój punkt widzenia. Może zabrzmiałoby nieelegancko, Edisonie, ale naprawdę nie jesteś

powszechnie kochany. To niemiłe dla człowieka, który chce zostać gubernatorem, prawda?

- Och, co za pyszczek. Chciałbym...

- Proszę mi wybaczyć, panie kandydacie
- powiedziała szybko, podnosząc się i
wciskając torebkę pod ramię. - Tę część

pana przemowy słyszałam już
wielokrotnie.

- O nie! Nie tak łatwo. - Szybko złapał
Rive za nadgarstek. Pociągnął ją ku
sobie.

Była przygotowana na atak.
Błyskawicznie wyrwała mu i wybiegła
na korytarz. Czowała się już bezpieczna.
Ale czy

naprawdę? Usłyszała za sobą odgłos
kroków.

Długi, wyfroterowany na wysoki połysk korytarz był pusty. W zasięgu wzroku Riva dojrzała stojący w oddali wózek sprzątaczkowy. Mogła wprawdzie krzyknąć, ale jej umysł nie pogodził się jeszcze z faktem, iż znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Tutaj -w wielkim centrum medycznym, pełnym lekarzy, pielęgniarek, techników, pomocników, pacjentów i odwiedzających?

Szybko stało się za późno na krzyk. Edison mocnym chwytem złapał ją w pasie i ciągnął w kierunku drzwi, na których

widniał napis MAGAZYN. Drzwi
ustąpiły i zapaliło się automatycznie
światło. Wepchnął ją do środka.
Dostrzegła półki

wypełnione papierowymi ręcznikami,
higienicznymi wkładkami do łóżek,
rolkami papieru toaletowego, rzędami

butelek i puszek ze środkami
dezynfekcyjnymi. Gdy drzwi zamknęły
się, światło zgasło.

Riva zgubiła torebkę, gdy Edison cisnął
nią o półki, a pod powiekami czuła
eksplodujący czerwienią ból. Krzyczała,

zdziwiona, że napastnik ryzykuje tak
wiele. Brutalne łapy obmacywały ją w

ciemności, szarpiąc jedwab sukienki.

Z trudem złapała oddech, gdy zacisnął rękę na jej piersi. Uderzenie go kolaniem między nogi było automatyczne.

Odsunął się nieco z przekleństwem, lecz nie cofnął dłoni z jej piersi. Zbierało jej się na mdłości. Wymierzyła cios

pięścią. Chciała krzyczeć, ale nie mogła zdobyć głosu. Musiała pokonać Edisona!

Ciągnął ją na siebie. Palcami zakrzywionymi jak szpony szukała jego oczu. Odsunął głowę i uderzył Rive w skroń. Przez

chwilę czuła się zamroczone. Chwyliła

się półek, strącając butelki na podłogę. Palce zacisnęły się wokół chłodnego metalowego pojemnika z aerozolem.

Do zdjęcia nakrętki potrzebowała obu rąk. Opierając się plecami o półkę, zaczęła uderzać Edisona w głowę.

Przeklinał niskim, monotonnym, przerażającym głosem, wyśmiewając jej wysiłki. Chciał odebrać jej puszkę. Zdołała

jednak jakoś uchronić swą broń w wyciągniętej nad głową ręce.

Nagłym ruchem podciął jej nogi. Biodro zabolęło ją, kiedy uderzyła o półkę, a

potem on szybko znalazł się nad nią.

Pojemnik wypadł jej z ręki i potoczył się w ciemność. Usiłowała wymacać go na podłodze, lecz rzucił się na nią.

Dopadł jej i podciągnął sukienkę.

Przez moment, przez krótki moment pozwoliła mu dotknąć swego ciała, gdy ocierał o nie tę swoją twardą grudą.

Wyciągnięta ręka wymacała puszkę w chwili, gdy on rozrywał jej majtki. Słyszała trzask delikatnej tkaniny. Schwyciła

puszkę w obie dłonie.

Zakrętka odpadła. Riva odwróciła się szybko, kierując pojemnik w stronę twarzy napastnika i nacisnęła przycisk.

Edison ryknął przeraźliwie i upadł do tyłu. Usiłowała wydostać się spod niego.

Zbyt wolno. Znow przyskoczył i schwycił ją za włosy, zaciskając palce tak, że czuła, iż zaraz wszystkie wyrwie. Nagle

pod dłonią poczuła swą torebkę.

Otworzyła ją i wsunęła do środka dłoń. Zacisnęła palce na małym pistolecie, który zabrała przed wyjściem do szpitala.

Był to pistolet, który dał jej kiedyś Cosmo. Przystawiła broń do brzucha Edisona.

- Radzę ci przestać! - wykrzyknęła.

W tej samej chwili drzwi magazynu otworzyły się i zabłysło światło. W drzwiach stała Anna. Wystarczył jej rzut oka,

by pojąć sytuację. Riva rozciągnięta na podłodze z suknią zadartą nad talią, w porwanej bieliźnie i z bronią w rękę;

Edison pochylony nad nią, z czerwonymi oczami i morderczym wyrazem twarzy. Płynnym ruchem, bez żadnego

namysłu, weszła do magazynu, wzięła
szczotkę z metalowym drążkiem i
zamacnąwszy się wymierzyła cios w
głowę

swojego męża.

Rozległ się głuchy trzask. Furia zniknęła
z twarzy Edisona, gdyż jego rysy
przystały wyrażać cokolwiek. Chwiał
się

przez chwilę, a potem runął na podłogę
jak wór z ziemniakami.

- Szybko, zanim ktoś tu przyjdzie! -
zawołała Anna. Riva już wstała.
Wrzuciła pistolet do torebki i
poprawiała na sobie

ubranie, oglądając szkody. Było ich stosunkowo niewiele. Położyła rękę na ramieniu Anny.

- Dziękuję - powiedziała zdławionym głosem.

- Nie ma za co. Mówiąc prawdę, sprawiło mi to wielką przyjemność. Czy mogłabyś mi pomóc wyciągnąć go na korytarz?

- W porządku, ale co my dalej?...

- Och, to na pewno wstrząs spowodowany skutkami rozbicia samolotu, który dopiero teraz się ujawnił. Edison

upadając uderzył się w głowę.

- Tak, rozumiem - powiedziała Riva.
Wyciągnęły go na korytarz. Nie zdążyły
ułożyć go pod ścianą, gdy jakiś człowiek
w

fartuchu szpitalnym nadszedł od strony
oddziału intensywnej terapii. Anna
padła na kolana i uderzała Edisona w

twarz, znacznie mocniej, niż wymagała
tego próba przywrócenia mu
przytomności.

- Och, doktorze! - zawołała. - Proszę mi
pomóc, mój mąż zasłabł!

ROZDZIAŁ 21

Winna była siostrze przeprosiny - tak właśnie myślała Riva, spoglądając na ciemną autostradę, którą jechała do

Bonne Vie. Była pewna, że Margaret odmówiła zgłoszenia na policję ataku Edisona z potrzeby zaprzeczenia temu, co

się stało, a także dlatego, by móc zaprzeczyć swej własnej roli w spowodowaniu napaści. Ważne było i to, co

powiedzieliby ludzie, gdyby wiadomość przedostała się do publicznej wiadomości. Nigdy przedtem nie zdawała sobie

sprawy, że Margaret chroni przede wszystkim poczucie swej prywatności. Riva wiedziała już, że i ona nie

zadzwoiłaby do nikogo, gdyby Edisonowi udał się atak. Ostatnie, czego mogłaby pragnąć, to mieszanie do tego wszystkiego policji.

Nie mogła pojąć zachowania Edisona. Co sprawiało, że sądził, iż ma prawo napastować kobietę i zmuszać ją do

zainteresowania jego osobą?! Kiedy stał się aż tak pewny siebie, że pomyślał, iż będzie mu się to udawać? To wina

przede wszystkim kobiet - takich jak

Margaret i ona, które nie oskarżały go o napaści i gwałty, pozwalając, by wciąż

utwierdzał się w swym przekonaniu, ale i w jego myśleniu musiało być coś, co skłaniało go do ponawiania wciąż prób napastowania kobiet.

Nie była na tyle bezstronna, by starać się zrozumieć jego procesy myślowe ani nawet szczególnie nimi zaciekawiona.

Brzydziła się Edisonem z powodu bólu, lęku i słabości, o które ją przyprawił. Świadomość, że musi stawić mu czoło,

napawała ją niepokojącym poczuciem bezbronności.

Fakt, że ostatnia próba mu się nie powiodła, był pewnym pocieszeniem. Riva odczuwała zadowolenie, a także

wdzięczność wobec Anny za rolę, jaką odegrała w tym zajściu. Równocześnie jednak czuła przemożną chęć

wymazania z pamięci tych kilku minut spędzonych w magazynie. Nie chciała o tym pamiętać - było to ważne dla jej

samopoczucia. Chciałaby również zmienić przeszłość tak, aby nigdy nie musiała znać Edisona i paść jego ofiarą. Nie

mogła jednak tego uczynić. Gdyby nawet sam czas nie uniemożliwiał tego, to nie

wymazałaby i tak tych kilku tygodni

„małżeństwa” - Erin była ich żywym dowodem. Być może wciąż nie była w stanie przyznać głośno, iż Erin jest jej

córką, ale mimo to dziewczyna nadała niezaprzeczalną wartość przeżyciom matki.

Była obolała nie tylko fizycznie. Miała wrażenie, że jej osobowość została skrzywdzona. Ta napaść bardziej jeszcze niż

atak na drodze zachwiała jej wiarą w możliwość obrony. Zastanawiała się, czy jedynym skutecznym wyjściem nie

byłby odwet. Czy nie byłoby
sprawiedliwe, gdyby zniszczyła
Edisona? Czy zemsta osobista w imię
dobra publicznego

mogła być złem?

A czy to w ogóle miało jakieś
znaczenie?

Edison miał w jednym rację. Nie mogła
zniszczyć jego, nie niszcząc zarazem
siebie. On pociągnie ją za sobą.

Wspaniale było blefować i miotać
groźby. W rzeczywistości jednak nie
mogła ich spełnić! Kiedyś być może
zdobyłaby

się na to; kiedyś, zanim Noel ją pocałował. Teraz zarysowała się przed nią nadzieja na szczęście. Wydawało się, że ona

i syn Cosmy mogliby pokonać przeszkody, zapomnieć o przeszłości i zbudować coś wspaniałego i dobrego. Nie byłoby

to jednak możliwe, gdyby Noel znalazł przeszłość Rivy. Przyjął do wiadomości już tak wiele; nie można oczekiwać, że

przełknie również i to. Nie był mężczyzną, który przeszedłby do porządku nad tak wielkim oszustwem. Wyjawienie

prawdy postawiłoby pod znakiem zapytania wszystko, co Riva dotąd mówiła o sobie.

Siedząca obok Erin nie miała wiele do powiedzenia. W zamyśleniu patrzyła w okno, jakby widok Josha przytłumił jej

zazwyczaj żywy charakter. Dla dwudziestoczteroletniej dziewczyny śmierć wciąż była abstrakcją, a zrozumienie, jak

szybko może nadejść, wywoływało szok.

Riva nie powiedziała Erin o incydencie z Edisonem. Poprawiła w toalecie wygląd: uczesała się, sprawdziła, czy

siniaki

zakryte są ubraniem, zdjęła podarte
pończochy i wyrzuciła do śmieci. Nie
zdradzała swego niepokoju. Nie było
sensu

obarczać Erin opowieścią o perfidii
Edisona. Dziewczyna miała i tak dość
powodów do zmartwienia. Jeśli zaś
Riva nie

zamierzała mieszać w swe sprawy
policji, tym bardziej nie było powodu,
by w ogóle o tym wspominać. Im mniej
osób

wiedziało, tym lepiej.

- Nie lubisz Josha, prawda? - spytała Erin.

Riva gwałtownie obróciła głowę. W blasku padającym z deski rozdzielczej oczy młodej kobiety wyrażały oskarżenie.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała, usiłując zyskać trochę czasu.

- Nie chciałaś go zobaczyć. Zresztą Josh również jest tego zdania. Powiedział mi o tym, nim wyruszył w tę podróż z ojcem.

- Moja wizyta nic by Joshowi nie pomogła; nie wiedziałby nawet, że tam

jestem. Zresztą... lubię go.

- Nie na tyle jednak, by wyrazić zgodę na mój wyjazd z nim do Kolorado.

- Doprawdy nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, czy go lubię, czy nie!

Przecież to nie dla mnie przyjeżdża do Bonne

Vie!

- Może nie, ale podziwia cię. Uważa, że wspaniale radzisz sobie ze wszystkim - zarówno w interesach, jak i w życiu

towarzyskim. Josh nie może zrozumieć, co masz przeciwko niemu, i to go niepokoi. Chciałby, abyś go lubiła.

Riva nie przypuszczała, że Josh jest na tyle przenikliwy, by wyczuć jej dystans. Jakże łatwo zranić ludzi, nie zdając

sobie nawet z tego sprawy ani nie mając takich zamiarów. Nie czuła do chłopca antypatii, oczywiście, ale czuła się

nieswojo widząc go w pobliżu córki, i nie kwapiła się z zachęcaniem go do kolejnych wizyt. Jakże jednak miała to

wyjaśnić Erin?

- Josh jest dość sympatycznym młodym człowiekiem - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Rzecz w tym, że

wolałabym, byś teraz nie wiązała się

poważnie z nikim.

- Wydawałaś się jednak przychylna Dougowi Gor-line...

W głosie Erin brzmiała niechęć, świadcząca o niewielkich szansach fotoreportera.

- No cóż, on również jest miłym młodym człowiekiem. Nie lubisz go?

Kłopot z zadawaniem pytań osobistych polega na tym, iż dają innym prawo rewanzu. Erin odkryła tę możliwość.

- A dlaczego mam go nie lubić? - odparła, wzruszając ramionami. - Może nie jest zabójczo przystojny, ale jest

inteligentny, zabawny i słucha tego, co się mówi.

- Ale Josh podoba ci się bardziej?

- Tego nie powiedziałam. To zupełnie coś innego. Z Joshem czuję się tak, jakbym znała go przez całe życie.

- Tak jak z bratem? - zapytała Riva.

- Coś w tym rodzaju - zgodziła się Erin.

- Ale niezupełnie.

Riva nie miała odwagi wgłębiać się w znaczenie zasłyszanych słów. Pozwoliła, by temat wygasł.

Jechały teraz drogą biegnącą wzdłuż

rzeki. Ruch uliczny zostawiły już za sobą. Było późno; tłumy uczestniczące w

wieczornej mszy już dawno poszły spać, jak czynią to wszyscy poważni obywatele, którzy nie chodzą na randki ani na

przyjęcia. Klimatyzacja w samochodzie szumiała, jakby do wtóru przyciszonemu pomrukowi silnika. Noc była

pochmurna, choć deszcz przestał padać, gdy burza znad zatoki przesunęła się w głąb lądu. W tej wilgotnej nocy zza

okien samochodu dobiegały różne dźwięki: cykanie owadów, rechot żab, nawoływanie nocnego ptaka. Było

spokojnie, a ponieważ ostatnie noce nie należały do łatwych, Riva zaczęła odczuwać senność.

Błysk reflektorów samochodu, który nieoczekiwanie pojawił się z tyłu, odbił się w bocznym lusterku samochodu Rivy.

Prędkość tego pojazdu sprawiła, iż przeszył ją lęk. Nazbyt przypominało jej to wypadek, jaki wydarzył się na tym

odcinku drogi przed kilkoma dniami. Nie ma się czego bać, próbowała przekonać siebie samą. Najprawdopodobniej

to jakiś Romeo pędzący do domu po

szalonym weekendzie, który chce jeszcze trochę odpocząć, nim w

poniedziałkowy poranek znów rozpocznie harówkę. Bez względu na wszystko wydawało się, że Noel miał rację - nie

powinna była wyjeżdżać bez George'a, który mógłby zapewnić ochronę.

Zbliżający się samochód zmienił światła na krótkie. Był coraz bliżej, jakby przygotowywał się do wyprzedzania.
Riva

utrzymywała szybkość. Nagle reflektory zamigotały pełnym światłem, a potem znów przygasły.

Samochód zaczął zwalniać i pozostał w tyle. Zachowując rozsądną odległość, utrzymywał tę samą szybkość co Riva.

Przyśpieszyła. Jadący z tyłu uczynił to samo. Zwolniła. On także. Na prostym odcinku drogi Riva znów zwolniła i

zjechała na prawo, co było znakiem dla samochodu z tyłu, że może wyprzedzić. Jadący za nią nie skorzystał z tej

okazji.

To tylko zbieg okoliczności! Być może ów Romeo lubi jeździć z taką samą prędkością jak ona, a może mieszka gdzieś

niedaleko, tak że wyprzedzać nie było mu warto? Riva wpatrywała się w lusterka, ale nie mogła zidentyfikować tego

pojazdu jako samochodu któregoś z sąsiadów - tak niewyraźnie był widoczny przez blask reflektorów. Utrzymawał

stały dystans za samochodem Rivy...

W końcu pojawił się podjazd do Bonne Vie. Włączyła kierunkowskaz i zwolniła. Samochód za nią zwolnił również.

Skręciła na podjazd. Tamten również. Riva wcisnęła pedał gazu mknąc w górę

podjazdem. Erin schwyciła się drzwi,
obracając się ze zdumieniem ku ciotce.

- Ciociu Rivo, co...

- Posłuchaj mnie! - przerwała Riva. -
Gdy zatrzymam się przed drzwiami,
wyskoczysz i pobiegiesz do domu. Nie

ogłądaj się ani nie zatrzymuj. Po prostu
biegnij jak najszybciej.

- Dlaczego? Czy to znowu ci mężczyźni?

- Nie wiem. Zrób, co mówię.

Erin wpatrywała się w jej twarz
podświetloną zielonym blaskiem deski

rozdzielczej.

- A co z tobą?

- Będę w domu zaraz za tobą.

Riva skręciła kierownicę na zakręcie przed domem, wzbijając kołami fontannę żużlu. Wcisnęła hamulec. Erin szybko

otworzyła drzwi i wyskoczyła. Nim Riva uwolniła się z pasa bezpieczeństwa i wyszła z samochodu, dziewczyna

wchodziła na krużganek. Abraham szeroko otwierał drzwi. Erin wpadła do środka, a potem obejrzała się. Stała i

wybuchnęła śmiechem.

Riva spojrzała za siebie. W świetle latarni zobaczyła jaskrawoczerwone alfa romeo. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu

i podeszła do Dantego, który wysiadał ze swojego sportowego wehikułu.

- Niech cię cholera! - krzyknęła. -
Wystraszyłeś mnie na śmierć!

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem, choć jego oczy były mroczne. - Dzięki temu ze mną rozmawiasz, a bałem

się, że już nigdy tego nie zrobisz.

- Bo wykorzystałeś moją gościnność zabierając do domu w górach Annę Gallant? Przecież to wyłącznie twoja sprawa.

Skrzywił się.

- Tak myślałem, że to ty telefonujesz. Niewiele osób zna ten numer, a nikt prócz ciebie nie wiedział, że tam jestem.

- Bardzo sprytnie.

- Nie bardzo, jak się okazuje. Dałem się przyłapać. Pozwolisz mi wejść i wyjaśnić? Stanąć we własnej obronie przed

tym idiotycznym pomysłem, że

usiłowałem zabić Edisona?

- Czy to naprawdę idiotyczny pomysł?

Przez chwilę milczał, a jego oczy pełne były bólu.

- Mogę zrozumieć Annę - przecież naprawdę mnie nie zna i martwi się o swego syna. Ale nie mogę zrozumieć ciebie,

Rivo. Nie mogę.

Riva z westchnieniem odwróciła wzrok.

- Przypuszczam, że ona dzwoniła do ciebie i opowiedziała o naszej rozmowie?...

- Tak. Czy mogę wejść?

Obiecała sobie, że wydobędzie z niego wszystko, co tylko możliwe na temat katastrofy. Mogła więc równie dobrze

zrobić to teraz. Wyraziła zatem zgodę i poprowadziła go do domu.

Abraham wciąż stał na straży. Dante potrząsnął przecząco głową, gdy lokaj zaproponował kawę i ciasto; Riva także podziękowała i zwolniła starszego pana. Erin najwyraźniej poszła spać, bo nigdzie nie było jej widać. W bibliotece paliło się światło - znak, iż Noel wciąż czuwa. Pozostała część domu pogrążona

była w ciemności i ciszy.

Riva zaprowadziła Dantego do salonu po drugiej stronie korytarza i zamknęła drzwi. Nie czekał, aż odwróci się do

niego i zaczął mówić do jej pleców:

- Nie zrobiłem tego. Wiem, że to, co mówię, niewiele znaczy, ale muszę ci oświadczyć, że tego nie zrobiłem.

Puściła klamkę i spojrzała uważnie.

- Chcę ci wierzyć. Jednak ktoś to zrobił, a ty miałeś najlepszą sposobność... i wspaniały motyw.

- Anna jest tym motywem, a moje

rzekome związki z mafią tą sposobnością?

- Czy możesz temu zaprzeczyć?

- Nie, w tych okolicznościach nie. Jednak to, co mnie niepokoi, to fakt, iż muszę temu przeczyć wobec ciebie.

- Anna, zdaje się, myśli, że jest inny powód - że mogłeś uczynić to dla mnie.

- Mógłbym, gdybyś mnie poprosiła.

- Nie mów tak! - powiedziała ostro.

- Dlaczego nie? Przecież to prawda.

- Ale przez to jeszcze trudniej uwierzyć

twoim zaprzeczeniom!

- Nic na to nie poradzę.

- Zrozum, że to podejrzenie stawia mnie w okropnej sytuacji! Czy naprawdę nie rozumiesz? - zawołała. -Czynisz ze

mnie wciąż Madonnę, czystą i nieprawdopodobnie wręcz dobrą, osobę godną poświęcenia twoich zasad. Nie jestem

taka! Jestem po prostu sobą! Nie chcę być czczona! Chcę, by mnie kochano wraz ze wszystkimi moimi wadami. Chcę

być zwyczajnie kochana!

Jego nieruchoma twarz wydawała się wyrzeźbiona w kamieniu.

- Zawsze wiedziałem, że to, co czuję, nie satysfakcjonuje cię. Ale to wcale nie oznacza, że zabiłbym dla ciebie, w nadziei zwiększenia moich szans.

- Jeśli nie ty dokonałeś zamachu - ani dla mnie, ani dla Anny, to kto to zrobił?!

Drzwi prowadzące do jadalni skrzypnęły i stanęły otworem.

- Przepraszam, że podsłuchuję - powiedziała Constance, powolnym krokiem wchodząc do salonu - ale nudząc się

śmiertelnie przez cały wieczór,
przechadzałam się, szukając jakiegoś
zajęcia, a wasza rozmowa wydaje się
zbyt

fascynująca, by nie wziąć w niej
udziału. Mogłabym i ja coś dorzucić...

Zaskoczenie odebrało Rivie głos.
Przyglądała się, jak Constance w
bursztynowej jedwabnej szacie
zmysłowo

podkreślającej jej kształty zmierza ku
Dantemu.

- Wtrąciłam się w twoje życie, Dante
Romoli - powiedziała. - Przyznaję się do
tego. Moje powody były... no cóż...

opowiem ci o nich kiedyś, jeśli będziesz zainteresowany. Nie przejmujemy się nimi teraz. To ja podsunęłam Rivie, że zabrałeś w góry Annę Gallant.

Dante zmarszczył brwi nad ciemnymi oczami, które utkwiał w Constance.

- Po co?...

Constance podeszła do niego tak blisko, że wydawało się, iż zarzuci mu ramiona na szyję. Powstrzymała się od tego,

ale spojrzenie, jakie mu posłała, było niemal wyzywające.

- To był impuls. Bywam bardzo

impulsywna, gdy ogarnie mnie złość.
Aby jednak choć częściowo naprawić tę
szkodę,

a przy okazji zaspokoić własną
ciekawość, zasięgnęłam informacji,
korzystając z powiązań rodzinnych, jakie
mam

tutaj, w Nowym Orleanie... Rodzina
sycylijska, rozumiesz... Gotowa jestem
przysiąc, że to nie ty spowodowałeś

wypadek Edisona Gallanta.

Zapadło głucho milczenie. Dante
wpatrywał się w tę sycylijską
księżniczkę, jakby nigdy dotąd jej nie
widział.

W końcu Riva zwróciła się do niej z pytaniem:

- Czy wiesz, kto to zrobił?

- Takiej informacji nie udziela się za darmo - odpowiedziała Constance, nie odrywając wzroku od Dantego.

- Ale tobie udzielono?

- Tak.

- Czy przypadkiem powiedziano ci też, kto wynajął ludzi, którzy dokonali napaści na mnie i mojego kierowcę?

Constance odwróciła się, by rzucić Rivie szydercze spojrzenie.

- To był Edison. Wspomniano mi o tym mimochodem jako o ciekawostce. Jemu te powiązania od pewnego czasu...

nie były obce, przynajmniej w kwestii korzystania z pieniędzy tych ludzi. Jednak ostatnio zweryfikowali celowość

swojego poparcia dla Gallanta. Stał się zachłanny i żądał zbyt wiele. Próbował nakłonić ich do podkopania Staulet

Corporation, skupując akcje po konkurencyjnych cenach, ale zbyt wiele pozostaje w rękach twoich i Noela, aby mogło się to udać.

Próba zaatakowania przedsiębiorstwa

była, pomyślała Riva, również sposobem rzucenia jej na kolana.

Wszystkie te

działania mogły się Edisonowi udać...

Constance zwróciła się do Dantego:

- Zdaje się, że Gallant prosił także swych przyjaciół, by zajęli się twoją restauracją na jeziorze i rozprawiali w niej

narkotyk „Ekstaza”. Zrobił to ze złości. Jesteś przyjacielem Rivy, więc i tobie chciał przysporzyć kłopotów. No!

Widzisz,

ile zadałam sobie trudu dla ciebie? Czy

nie jesteś mi wdzięczny?

- Niezmiernie - odpowiedział Dante bezbarwnym głosem. - Czy twoi informatorzy mają zamiar kontynuować próby

zrujnowania mnie?

- Sądzę, że nie - rzekła Constance, ściągając swe pełne usta. - Powiedziałam im, że to było głupie, ale oni już o tym

wiedzieli. Wszystkie żądania Gallanta, łącznie z prośbą o ludzi, którzy zaatakowali Rive, zaczynają sprawiać, że ich

kandydat jawi się jako człowiek niepewny. Twierdzą, że zrezygnują z niego.

Riva zmarszczyła brwi.

- Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego, skoro dowiedziałaś się aż tak wiele, nie możesz dojść, kto spowodował

wypadek samolotu - powiedziała.

Constance potrząsnęła głową, a jej ciemne włosy zafalowały.

- Słyszałam wiele tłumaczeń i odnoszę wrażenie, że nie jest to dzieło sycylijskich rodzin. Oni nic nie wiedzą na ten

temat.

- A ta historia z narkotykami... - Riva zwróciła się do Dantego. - Z pewnością niektórzy z twoich tak zwanych przyjaciół

mogliby ci przecież powiedzieć, że kryje się za tym Edison?

Dante wzruszył ramionami.

- Moi przyjaciele są po prostu przyjaciółmi. Nawiązałem te przyjaźnie, gdy jako nastolatek pracowałem na French

Market i w restauracjach. Nie są moimi kontaktami w interesach. Gdyby któryś z

nich usłyszał jakąś pogłoskę

związaną ze mną, z pewnością powiedziałby mi o tym. Lecz ich wpływy nie rozciągają się na całą mafię nowoorleańską.

- Po cóż więc owa tajemniczość przez te wszystkie lata?

- Ludzie nie rozumieją... Zresztą o tym się nie mówi; niektórzy z nich przestali być przyjaciółmi, niektórych zaś znam tak długo jak ciebie albo i dłużej.

- Dla Włochów takie przyjaźnie znaczą tyle samo co więzy braterstwa - rzekła

Constance i położyła miękki gestem
dłoń na ramieniu Dantego.

Protekcjonalny ton Constance niemalże
wyprowadził Rive z równowagi. Dante
zdawał się go nie słyszeć. Mogła

jedynie sądzić, że Constance zabiega o
względy Dantego, ponieważ jej się
podoba. Jeśli tak było rzeczywiście,
Dante

musi zaryzykować. Wydawał się biegły
w manipulowaniu kobietami.

- Tak czy inaczej - powiedziała,
zwracając się do niego - nadal uważam,
że mogłeś sam zapytać i zaoszczędzić

Constance fatygi.

Wciąż unikał wzroku Rivy.

- Mogłem, gdyby nie to, że obawiałem się odpowiedzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - W głosie Rivy zabrzmiała niecierpliwość.

Dante spojrział wreszcie na nią.

- Wiedziałem, że zostałem „wystawiony”, że chcą mnie zrobić. Wszystko na to wskazywało: pojawienie się narkotyku

w ciągu jednej nocy, olbrzymie jego ilości dostępne jedynie w tym klubie,

nowi ludzie, którzy nagle się tam pokazali,

ludzie ze złą reputacją i mnóstwem pieniędzy.

- Nic nie mówiłeś na ten temat!

- Nie chciałem oskarżać kogoś, kto mógł okazać się niewinny.

- Kogoś takiego jak?... - Riva zawiesiła głos.

Rysy Dantego stwardniały. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Constance, którą gładziła go po ramieniu.

- ...kogoś takiego jak twój gość.

Rumieniec wypłynął na twarz Sycylijki. Wyrwała swoją rękę i masowała nadgarstek.

- Co ty mówisz?!

W tej samej chwili rozległy się oklaski. Odwróciwszy się, ujrzeli Noela, który opierając się o drzwi, bił brawo. Nie

wiadomo było, od jak dawna tam stoi, lecz z pewnością na tyle długo, aby zorientować się, o co chodzi. Włosy miał

zmierzwione, jakby nerwowo przeczesywał je palcami, pod pachą trzymał plik dokumentów. Skłoniwszy głowę przed

Dantem, zwrócił się do niego:

- Moje gratulacje. Do tej pory mężczyźni nieczęsto potrafili przejrzeć tę damę tak szybko.

Constance rzuciła byłemu mężowi piorunujące spojrzenie i zaciskając dłonie znów odwróciła się do Dantego.

- Wyjaśnij, co masz na myśli!

Natychmiast!

- Zaklinam cię na wszystko, Romoli, pozwól nam tego wysłuchać - dołączył się Noel.

Dante chrząknął.

- No cóż, to było tak... Nie jestem księciem z bajki, więc początkowo byłem nieco zaskoczony, że księżniczka wciąga

mnie w jakąś grę. Gdy nie ustępowała, stałem się podejrzliwy, szczególnie kiedy zdałem sobie sprawę, iż nasze

rozmowy zawsze toczą się wokół Rivy. Zacząłem rozumieć, jak bardzo Constance cię nie lubi.

- Mnie? - zapytała Riva marszcząc czoło. - Dlaczego?

- Nie musisz udawać niewiniątka! - zawołała Constance. - Zniszczyłaś moje małżeństwo!

- Oszalałaś! - zaprotestowała Riva.

- Ha!

Riva spojrzała na Noela, którego twarz zdawała się maską. Patrzył na Dantego.

- Coś mówiłeś, Romoli.

- Odnosiłem wrażenie, że Constance usiłuje podjudzać mnie i brać pod włos, bardzo zresztą sprawnie. Musiałem

zastanowić się, czy nie zamierza wykorzystać mnie do pokonania Rivy. Na domiar wszystkiego interesowała się

klubem bardziej, niż można było oczekiwać po kimś, kto ma zwyczaj

uczęszczania do lokali typu „Maxim”.
Starzy

Sycylijczycy byli właśnie tacy jak ona,
gdy mówiła o Edisonie; zwykli byli
dokonywać zemsty na wrogu mszcząc
się

nawet na jego przyjaciółach. Nic nie
świadczyło o tym, że Constance ma
jakieś nowoorleańskie koneksje, ale
logiczna

wydawała mi się taka możliwość.
Zacząłem podejrzewać, że gdybym nie
uległ jej powabom, ona rozdmuchałaby

historię z narkotykami, którą sama
zaaranżowała.

- Taka myśl nigdy nie przyszła mi nawet do głowy! - wykrzyknęła Constance.

- Za co powinniśmy być ci wdzięczni?...
- zapytał Noel.

Była żona stanęła naprzeciwko niego.

- Naprawdę nie posunęłabym się aż do takiej wendety. Gdybym jednak postanowiła rozegrać to w ten sposób, wtedy

żadne z nas nawet by się tego nie domyśliło.

Z twarzy Noela nie zniknęło napięcie.

- Chyba ci wierzę... W obu sprawach.

- Och, jesteś niemożliwy! - Constance odwróciła się od niego.

- Dokąd nas to wszystko prowadzi? - spytała Riva. Constance, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, odpowiedziała

natychmiast, kierując uwagę obu mężczyzn na panią domu.

- To pytanie można by skierować do ciebie. Wciąż bowiem aktualna jest sprawa Gallanta. Z moich obserwacji wynika,

że to ty przede wszystkim chciałybyś zobaczyć go na narach. Być może właśnie ty zaaranżowałaś „wypadek”, a

teraz

oskarżasz innych, by ukryć winę.

- Nie! - powiedział Dante kategorycznie.

- Nie zrobiłaby tego.

- Nie? - Constance uśmiechnęła się szyderczo. - Cóż, jest jeszcze Noel.

Gallant okazał się zagrożeniem dla Rivy, a więc i

dla Staulet Corporation. Ochrona przedsiębiorstwa, które wybudował jego ojciec, byłaby dla Noela najważniejsza.

- Nie! - zawołała Riva. - Zresztą Noel nie miał pojęcia o podróży Edisona.

- Czyżby? - Constance uśmiechnęła się chytrze, spoglądając na byłego męża. - Niedawno złożył mu wizytę, jak zapewne wiesz.

Riva szeroko otworzyła oczy.

- Co zrobił?! - zapytała schrypniętym, pełnym niedowierzania głosem.

- Dziwne, prawda? Ale ja wiem, że pojechał do niego, bo słyszałam rozmowy telefoniczne, które prowadził, by

dowiedzieć się, gdzie Gallanta może zastać. Pojechałeś do niego, prawda, kochanie?

- Spotkałem się z nim - przyznał Noel.

- Ale dlaczego? - zapytała Riva.

Constance odpowiedziała za niego.

- Martwił się. O korporację,
oczywiście.

- Martwiłem się wszystkim i
wszystkimi, których mogłyby osiągnąć
długie łapy Gallanta. Usiłowałem
dowiedzieć się,

co on knuje.

Constance obdarzyła go jadowitym
spojrzeniem.

- Cóż za roztropność!

- Jestem rozsądny, jak ci wiadomo. -
Noel spojrział na nią z taką pogardą, że
odwróciła wzrok.

- Rozsądni mężczyźni - rzekła Riva -
zazwyczaj nie próbują zabijać, nawet
tych nierozsądnych.

Szybko przeniosła wzrok z Noela na
Dantego. W twarzy starego przyjaciela
było tyle życzliwości, że natychmiast

uciekła spojrzeniem. Bywały czasy, że
więzy łączącej ich przyjaźni mogły
przekształcić się w bliższą zażyłość.

- Ktoś to jednak zrobił - przypomniała
Constance niecierpliwie.

- Edison ma też zapewne poważniejszych wrogów - rzekł Noel.

- Być może - powiedziała jego była żona. - Ale dotychczas żaden z nich go nie atakował, a najwięcej kłopotów

przysporzył ostatnio mieszkańcom Bonne Vie.

Riva gotowa była przyznać jej rację, myśląc o Bootsie i Margaret, a także o Dantem i Annie, choć trudno było przyjąć,

iż należą oni do Bonne Vie.

Dante westchnął ze znużeniem i potarł ręką potylicę.

- To prowadzi nas donikąd. Myślę, że lepiej już pójść. Anna jest sama w szpitalu, a ktoś powinien jej towarzyszyć. -

Spojrzał na Rive. - Odprowadzisz mnie do wyjścia?

Podążyła za nim. W drzwiach wejściowych odwrócił się i ujął jej rękę.

- Przykro mi, jeśli to wszystko cię przygnębiło. Nie miałem zamiaru wtajemniczać cię, ale musiałem jakoś cię

przekonać, że nie ponoszę odpowiedzialności za stan Josha.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Jeśli nawet myślałam coś podobnego, to jedynie przelotnie.

- Dziękuję ci bardzo. - Pochylił się i szybko przycisnął usta do jej czoła. - Dobranoc.

Jakże dziwnie zabrzmiały jego słowa. Pomyślała, że coś zmieniło się między nimi tego wieczoru. Czy spowodował to

jej brak zaufania, czy też przekonanie Constance; pytania, które mu zadawała, czy też nieudane kwestionowanie

motywów Noela? Miała wrażenie, że Dante oddalił się od niej. A może tylko

tak jej się zdawało? Nie była pewna...

Kiedy za Dantem zamknęły się drzwi, odwróciła się i ujrzała tuż za sobą Constance.

- Ostrzegałaś mnie, bym go nie zraniła - przypomniała. - Ale ty zraniłaś go bardziej, niż ja kiedykolwiek byłabym w stanie to zrobić.

Miała rację, i Riva wiedziała o tym. Ci, o których się troszczymy, ranią nas zwykle najmocniej. Jednak przyznawanie

racji innej kobiecie nie było konieczne.

- Skąd ta troska o niego? - zapytała Riva.

- Dante jest silnym mężczyzną i sprytniejszym, niż sądziłam. Coralie i Pietro lubią go.

- To żaden powód.

- I ja go lubię.

- Jeśli teraz ty z kolei ostrzegasz mnie, to naprawdę bez potrzeby.

Kącik ust Constance opadł w drwiącym uśmiešku.

- Cóż, to jedynie objaw mej grzeczności. Może nie jestem tak rozsądna jak Noel,

ale nikt nie zaprzeczy, że jestem
uprzejma.

- Dziękuję - powiedziała Riva z
pewnym zmieszaniem.

- Nie ma za co - odparła godnie
Constance i skierowała się ku schodom
znajdującym się w końcu korytarza.

Noel pojawił się w drzwiach salonu
opierając się o framugę. Dokumenty
zwinął w tubę, którą przesuwał teraz w

dłoniach. Gdy na schodach umilkły kroki
Constance, zapadła cisza.

- Nie miałem jeszcze okazji spytać, jak

się miewa syn Gallanta - powiedział.

- Wciąż tak samo - odparła Riva. - Lecz lekarze uważają to za dobry objaw.

- A Erin?

- W porządku. Chce jutro znów pojechać do szpitala.

- Jeśli masz zamiar z nią jechać, mam nadzieję, że powiesz mi o tym albo przynajmniej weźmiesz George'a.
Mogłabyś

jednak postarać się raczej odpocząć. To by ci dobrze zrobiło. Wygląda na to, że potrzebujesz odpoczynku.

Lekki uśmiech wygiął usta Rivy w odpowiedzi na ten niezwykły u Noela brak taktu.

- Tak i ja sędzę - przyznała.

Zapadła niezręczna cisza. Oboje unikali patrzenia sobie w oczy. Po raz pierwszy od tamtej nocy byli sami. Napięcie

rosło. Riva czuła w skroniach pulsowanie krwi.

Nagle Noel oderwał się od drzwi i ruszył w kierunku swej sypialni w końcu holu.

- No cóż, dobranoc - powiedział. Głos Rivy był napięty, gdy zawołała:

- Noelu...

- Tak?... - Odwrócił się.

Przez chwilę zapomniała, o co chciała zapytać, a gdy sobie to uprzytomniła, nie potrafiła sformułować pytania równie

bezpośrednio, jak zrobiła to pytając Dantego o zamach. Zacisnąwszy ręce, patrzyła na nie w milczeniu.

- O co chodzi? - zapytał. W końcu podniosła wzrok.

- Wiedziałaś, że Edison uda się do Shreveport swym samolotem?

Mijały sekundy. Noel wpatrywał się w

jej twarz.

- A jeśli nawet?

- Usiłuję po prostu jakoś uporządkować sobie w myślach to wszystko, co się wydarzyło.

Nie była to jednak cała prawda. Powoli zaczynała nurtować Rive inna sprawa - tak druzgocąca, że czuła, iż krew

odpływa jej z twarzy. Zwilżyła wargi.

- Co jeszcze ci powiedział? -

wyszeptała. Spoglądał na nią zwężonymi oczami.

- Sporo, choć nic ważnego. Dlaczego

pytasz?

Znów mogła oddychać. Jej przeszłość Noel z pewnością uznałby za sprawę ważną, choćby dlatego, że rzucała cień na

Cosmę i Staulet Corporation.

- Nie powiedział nic, co mogłoby spowodować, że zależałoby ci na usunięciu Edisona?

Roześmiał się gorzko.

- Myślałem, że te podejrzenia masz już za sobą. Ponieważ widzę, że jest inaczej, oświadczam, że nie mam zwyczaju

zabijania ludzi, którzy mogą przysporzyć mi kłopotów.

Uniosła rękę do twarzy. Zauważyła, iż dłoń drży.

- Nie, nie. Wiem. Ktoś jednak starał się to zrobić i Joshowi grozi śmierć. Ta myśl prześladowuje mnie. Normalni ludzie nie

robią takich rzeczy, ale czasem trudno orzec, kto jest normalny.

- Nie znajdziesz winowajcy za pomocą pytań -powiedział cicho.

- Myślę, że masz rację.

Sama tak dużo powiedziała Annie, a potem zapomniała o tym... Uśmiechnęła się do Noela, czując ulgę, że nie okazał złości, choć nie wiedziała, dlaczego podejrzenie go nie zirytowało.

Może dlatego, że był wyraźnie rozkojarzony i sens pytania nie dotarł w pełni do niego?

Nagle Noel uczynił jakiś dziwny gest, po czym cofnął dłoń gwałtownie. Ujął rulon dokumentów i zacisnął mocno palce.

- O co chodzi? - zapytał. - Dzieje się coś złego. To nie tylko kwestia zdrowia

Joshua Gallanta, pogróżek kierowanych przeciwko Edisonowi czy przeciwko tobie. Czy ktoś wyrządził ci krzywdę?

To, że tak łatwo odgadł jej odczucia, których inni nie dostrzegli, było niepokojące.

- Nie, w zasadzie nie.

- Ale próbował, tak? Kto? Żona Gallanta?

Potrząsnęła głową, zaprzeczając pośpiesznie.

- To nieważne...

- To ważne. Nie mogła to być Erin ani Doug Gorsline. A więc Gallant. Był w szpitalu?

Tę nieugiętość Noela widziała już wcześniej, w sprawach dotyczących interesów, ale oto po raz pierwszy doświadczyła jej osobiście.

- To nic wielkiego... różnica zdań.

- Na jaki temat? Czy pozwolisz, czy też nie kochać się ze sobą? Tak myślałem. Jak daleko się posunął?

Upór, z jakim nalegał na odpowiedź, wywołał irytację Rivy.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy mu się udało, to odpowiedź brzmi: nie!

- Ale próbował, próbował ostro?

Gdy nie usłyszał odpowiedzi, jego twarz przybrała zacięty wyraz.

- Dlaczego go bronisz? Dlaczego wszystkie go chronicie? Co w nim jest takiego, co sprawia, że to robicie: ty,

Margaret, a nawet jego żona?

- Może w ten sposób chronimy same siebie... -powiedziała, patrząc na niego tak, jakby chciała, aby zrozumiał.

- Czy rzecz ma się właśnie tak, czy też

wszystkie jesteście w nim zakochane?

- Co za bzdura! - zachnęła się.

- Równie dobrze mogłaby to być prawda. Efekt jest taki sam: immunitet dla Gallanta bez względu na to, co robi!

- Nic na to nie można poradzić.

- Oczywiście, że można i trzeba.

Mężczyźni, którzy nigdy nie muszą stawić czoła konsekwencjom swoich czynów,

dochodzą do przekonania, że są uprzywilejowani i robią rzeczy, o których normalny człowiek nawet by nie śnił.

- Czy próbujesz dać mi znać, że to z mojej winy Edison mnie zaatakował?

- Nie, ale znasz stare porzekadło: Jeśli wróg zaatakuje cię po raz pierwszy, to jego błąd; jeśli zrobi to po raz drugi, to twój błąd.

- Nie pragnę zemsty, tylko pokoju.

- Czasami zemsta i pokój są tym samym, jeśli odwet oddała niebezpieczeństwo.

Wpatrywała się w przejrzystą szarą głębię jego oczu.

- Tak sądzę...

Gdzieś w jego wnętrzu zawsze tkwiła surowość. I to właśnie ona sprawiła, że wiele lat temu Riva mogła uwierzyć, iż

Noel wykorzysta fakt, że się jej podoba, by ją uwieść, a potem pozbyć się jej.

Musiało upłynąć wiele czasu, nim

zrozumiała, że myliła się w ocenie jego pobudek.

Stali patrząc na siebie przez długą chwilę. Noel spojrział na pogniecione dokumenty, a potem znów na zmęczoną

twarz Rivy, na głębokie cienie pod oczami.

- Dobrze się czujesz?

Ma na myśli jej samopoczucie fizyczne czy psychiczne? Czy też w ogóle usiłuje dociec, czy Edison ją zranił, czy też tkwi

ona w napięciu z powodu wspólnej z Noelem poprzedniej nocy? A może po prostu chce wiedzieć, czy Riva poradzi

sobie ze wszystkim tak szybko następującymi wydarzeniami? W każdym wypadku odpowiedź musi być taka sama.

- Czuję się świetnie - powiedziała.

Wyciągnął rękę, by rzucić zmięty bilans zysków i strat na srebrną tacę stojącą na kredensie w holu, a potem objął

Rive.

- Chodź więc - powiedział. - Pora spać.

Przez jedną szaloną sekundę sądziła, iż ma na myśli pójście z nim, miała nadzieję... Byłoby to potwierdzeniem, że ich

miłość jest głęboka. Co więcej, myśl o znalezieniu się w jego ramionach przypominała perspektywę dobicia do portu.

Nie chciała niczego więcej niż zatracić się w objęciach mężczyzny, tego mężczyzny i zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się ostatnio i w przeszłości.

Jednak uwolnił ją z objęć, gdy zbliżyli się do końca korytarza, do miejsca, w którym z jednej strony pięły się schody na

górze, a z drugiej widniały drzwi do jego sypialni.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc - odparła i samotnie ruszyła schodami. Nim dotarła do holu na piętrze, usłyszała, że drzwi Noela zamykają

się cicho.

Nie mogła zasnąć. Wzięła kąpiel, włożyła koszulę, zgasła światło, weszła

do łóżka i zamknęła oczy. Wstrząsnęła poduszkę i okryła się prześcieradłem tak, jak lubiła. Nie pomogło.

Leżała, wpatrując się w ciemność, aż oczy zaczęły ją piec. Nie chciała myśleć o Noelu. Jakiż miałyby to sens?

Myślenie

nic nie pomoże. Zaczęła więc rozmyślać o Edisonie.

To, co jej powiedział, to, co jej zrobił - wszystko odżywało w umyśle. Było w jego słowach coś ważnego, wiedziała o

tym, ale nie mogła sobie przypomnieć, o co chodziło. Wytężała myśli i zmuszała

się do przypominania sobie każdego

słowa, wszelkich odcieni głosu Edisona, ale na próżno. Ból głowy był jedynym efektem tych wysiłków.

Doszła do jednego tylko oczywistego wniosku. Edison - z całym swoim egoizmem, samolubnymi żądaniami i

beztroskim igraniem ludzkim życiem - zmienił kogoś z jej otoczenia w mordercę. Ona zaś, wiedziona lękiem i dumą, w

jakiś sposób pomogła w tym. Pozostało już tylko jedno do zrobienia...

ROZDZIAŁ 22

- Mówi Riva Staulet. Czy mogę rozmawiać z Dougiem Gorsline?

- Proszę chwilę poczekać.

Riva czekając, aż ktoś, kto odebrał telefon, uda się do pokoju redakcyjnego, by odnaleźć Douga, czuła, że dłoń, w

której trzyma słuchawkę, zaczyna się pocić. Modliła się, by Doug był w redakcji. Nie wiedziała, czy umiałaby się

zdobyć na ponowny telefon do niego. Czyn, który zaplanowała, nie napawał jej przerażeniem. To tylko

przygotowania odbierały odwagę.

- Halo?...

Nie dała sobie czasu do namysłu. Gdy tylko w słuchawce rozległ się głos Douga, zaczęła mówić:

- Tu Riva Staulet. Potrzebuję pańskiej pomocy. Zamierzam zorganizować konferencję prasową. Czy może mi pan powiedzieć, jak się to robi?

Nie pytał o cel konferencji ani o żadne szczegóły; chciał tylko wiedzieć, kiedy i gdzie ma się odbyć. Gdy

zapropozowała przedpołudnie następnego dnia, powiedział:

- W porządku, pani Staulet. Proszę uważać tę sprawę za załatwioną.

- Dziękuję, Doug. Jestem ci bardzo wdzięczna. Była rzeczywiście bardzo wdzięczna; nie tyle zresztą za zgodę na pomoc, co za fakt, iż przez to cała sprawa ruszyła z miejsca.

Jeśli musiało to być zrobione, powinno być proste. Zbudowanie sobie nowego życia w Bonne Vie zabrało Rivie jakieś

dwadzieścia lat. Teraz zaś jedynie około dwudziestu godzin dzieli ją od chwili, gdy postawi wszystko na jedną kartę.

Potem kolejne dwadzieścia minut, a

może nawet mniej, wystarczy, by porwać wszystko na strzępy...

Doszła do wniosku, że błędem było organizowanie konferencji prasowej następnego dnia. Powinna ją zwołać jeszcze

na to popołudnie. Zrobiłaby to, gdyby wiedziała, że można nadać sprawom takie tempo, lecz chciała zarazem mieć

pewność, że wszyscy zainteresowani będą mogli znaleźć czas, by na nią przybyć.

Teraz zaczęło się oczekiwanie. Okazało się, że oczekiwanie jest jeszcze gorsze niż przygotowania.

Rozmyślała teraz o tym, jak zorganizuje swe pożegnanie. Nie miała bowiem wątpliwości, że okaże się to konieczne.

Gdy Noel się dowie, nie będzie sobie życzył jej dalszej obecności w Bonne Vie, a dom jest przecież jego. Nie pomoże

opinia publiczna ani też przyjaciele Cośmy, którzy mogliby ewentualnie powstrzymać Noela przed wyrzuceniem jej.

Niewątpliwie okaże się hojny, jeśli idzie o dobra majątkowe, ponieważ jest człowiekiem prawym, ale na pewno

będzie domagać się, by skaza na honorze

ojca - a może i na jego własnym -
została usunięta. Któż zresztą mógłby
winić jego?...

Riva wyszła z pokoju kierując się na
górną krużganek, skąd rozciągał się
widok na podjazd. Przemierzając
galerię,

wsluchiwała się w odgłos swoich
kroków. Przesunęła dłonią po
balustradzie. Znała każde jej wygięcie i
załamanie,

każdą oblużowaną tralkę.

Wkrótce zewnętrzne ściany domu będą
wymagały malowania. Będzie musiała

zatem pamiętać, by zostawić Noelowi

kartkę z nazwą i numerem

brzoskwiniowo-różowej farby. To samo

odnosiło się do staroświeckiej bieli

kolumn i

balustrad oraz ciemnej zieleni okiennic.

Istniał pewien specjalny magazyn, w

którym można było kupić części

wymienne do okiennic; także to Noel

powinien wiedzieć. Należało mu też

przypomnieć, by opiekował się

rosnącymi

w stojakach obok drzwi paprociami,

których liście poruszały się lekko w

ciepłym wietrze. Jeśli nie zleci komuś

podlewania, przesadzania i nawożenia tych roślin, to nikt tego nie robi. Zginą, nim miną dwa tygodnie od odejścia

Rivy.

Przystanęła pośrodku galerii, by spojrzeć na długi ciemnozielony szpaler dębów wzdłuż podjazdu. Były piękne, a światło poranka przesączaające się przez gałęzie tworzyło na ziemi cieniste wzory. Drzewa były tak stare, że wydawały

się takie same jak w chwili, gdy przybyła do tego domu. Oczywiście, ostre wiatry albo jakaś choroba mogły uszkodzić

parę gałęzi, ale na ogół dęby wydawały się trwać w idealnej symetrii i opierać się burzom. Będą tu rosły jeszcze długo

po jej wyjeździe. Iluż to przychodzących tu i odchodzących ludzi musiały widzieć te drzewa, iluż przyjdzie im jeszcze

zobaczyć...

Była tak młoda, gdy pierwszy raz przybyła do Bonne Vie, tak skrępowana i zdumiona. Poślubiła Cosmę z

wdzięczności. Chciała stać się dla niego dobrą żoną; stać osobą, którą pragnął w niej widzieć, i w końcu udało jej się

to, niemal wbrew własnej woli. Nie

przypuszczała, że zakocha się w jego synu. Nie chciała tego romansu.

Zakochała się w Noelu i był to jedyny raz, kiedy kochała naprawdę. Jak głębokie było to uczucie, przekonała się

dopiero wtedy, gdy Noel wyjechał z Bonne Vie. W istocie nigdy nie przestała go kochać. Sporadyczne spotkania z nim

przez te lata były bolesną przyjemnością. Wiadomość o małżeństwie Noela uderzyła ją w serce jak nóż, który

wyciągnięty został dopiero z nadejściem wieści o jego rozwodzie. Nie była pewna, co raniło ją bardziej: czy to, że

najpierw on nie był już wolny, czy też fakt, iż znowu był wolny...

Poza tym jednak bardzo cieszyły ją lata, które przeżyła jako pani tego wielkiego, starego domu; Cosmo tego

dopilnował. Ofiarował jej wszystko, czego kobieta mogła zapragnąć, i - co więcej - otoczył ją bezgraniczną miłością i

opieką. Rozkoszowała się odpowiedzialnością wynikającą z pozycji partnera Cośmy w korporacji, nauczyła się kochać

dom swego męża i szczyścić się pozycją jego pani. Nabrała pewności siebie,

znajdując nawet przyjemność w

zabawianiu gości i pozbyła się
nieśmiałości w towarzystwie. Nigdy
jednak nie straciła podziwu dla osób
piastujących

wysokie stanowiska, których spotykała:
prezydentów, polityków, jak również
dla sławnych pisarzy, aktorów i innych

reprezentantów sztuki, a także
sportowców i tych, którzy znani są
opinii publicznej dzięki
odziedziczonemu

bogactwu. Poruszała się między nimi z
łatwością, a jeśli nawet nie czuła się
wśród nich tak pewnie, jak starała się

wyglądać, nikt o tym nie wiedział.

Nie pragnęła śmierci Cośmy. Kiedy nadeszła, okazała się stratą, tym bardziej bolesną, gdy Riva dowiedziała się, co

mąż uczynił, by odseparować ją od swego syna. Czyn ten świadczył, że Cosmo świadomy był uczuć swej żony i zrobił

wszystko, by ją przy sobie zatrzymać.

Poświęcił nawet własnego syna.

Zmuszony był żyć z tym ciężarem, zdając sobie

zapewne sprawę, że powinno być inaczej. To, iż stała się powodem rozdźwięku między Stauletami, ciążyło

Rivie

ogromnie.

Gdy wracała myślami do godzin, które spędziła z Noelem w domku ogrodnika, wydawało się jej, że było to nie dalej

jak wczoraj. Innym razem miała wrażenie, że zdarzyło się to komuś innemu, w innym życiu lub we śnie.

Czasami

pamiętała każde wypowiedziane przez Noela słowo, każde spojrzenie, każde dotknięcie. Kiedy indziej zaś nie miała

pewności, czy wspomnienia nie są jedynie wytworem wyobraźni.

Wciąż go kochała. Jeśli kiedykolwiek w to wątpiła, jak na przykład w dniach po pogrzebie, gdy dzieliła ich

nieprzekraczalna bariera, choć mieszkali pod tym samym dachem i pracowali w tym samym budynku, to noc, w

której rozpętała się burza, przynosiła jednoznaczną odpowiedź na wątpliwości. A dlaczego właściwie ma go nie

kochać? Ryzykował życie, by ją uratować, potem podtrzymywał na duchu i zapewniał bezpieczeństwo. Jego ramiona

były przystanią.

Wiedziała przy tym, że uczucia jej są w pełni odwzajemniane. Noel pragnął jej i potrzebował. Znaczyła coś dla niego;

była kimś więcej niż niefortunnym pomysłem ojca i własnym błędem Noela.

Constance zepsuła to wszystko. Z jakiegokolwiek zrobiła to powodu, jej słowa wywołały w obojgu poczucie winy i

zmieniły prawdziwe uczucie w coś niesmacznego i godnego potępienia.

Nigdy jednak przeżyć tych Riva nie zdoła wymazać z pamięci. Będą żyć w niej, w sąsiedztwie innych zakazanych

wspomnień, gromadzonych przez ponad dwa dziesięciolecia.

Przeszła przez dom, dotykając czule antycznej wazy z delikatnej chińskiej porcelany i gładkiego, chłodnego wnętrza

srebrnej misy, haftu obrusa, utrwałała w pamięci kolory portretu. Wstąpiła także do kuchni, a potem wyszła na

zewnątrz i przystawała, aby powąchać gardenie albo róże, wyciągnąć chwast z klombu begonii.

Starą budowlę na wyspie zostawiła sobie na koniec. Stała tam długo z zamkniętymi oczami, oparta o kolano

wspaniale spokojnego Buddy z brązu. Pamięć podsuwała jej szum deszczu, choć słońce wznosiło się coraz wyżej i wyżej, wysyłając gorące i bezlitośnie prażące promienie.

W końcu Riva westchnęła i zwróciła się ku domowi. Miała jeszcze sporo do zrobienia.

*

- Co ty zamierzasz?! - krzyknęła Margaret. - Ależ nie możesz!...

Leżała niczym inwalidka, oparta o poduszki kanapy, którą kazała wstawić do swojego pokoju. Z boku stała taca z

resztkami śniadania, a całą powierzchnię małego stolika obok kanapy zajmował plik kolorowych czasopism,

spychających buteleczkę lakieru do paznokci i apteczną butelkę ze środkiem uspokajającym. Mijał trzeci dzień, od

kiedy nie wychodziła ze swego pokoju. Twarz miała pokrytą czerwonymi plamami, spuchniętą od płaczu. Od chwili,

gdy się tu zamknęła, nie czesała się ani nie zmieniała ubrania. Boots regularnie przynosił jej tabletki. Wytrzeźwiał na

tyłe, by wykonywać tę usługę, ale nie

zostawał w pokoju żony. Gdy nie był jej potrzebny, uciekał do garażu, gdzie

rozmawiał z George'em o Wietnamie, futbolu albo o polowaniu na kaczki.

Riva spoglądała na siostrę z troską, przez którą przebijała irytacja.

- Sądziłam, że będziesz zadowolona słysząc, iż Edisonowi nie ujdzie płazem to, jak cię potraktował.

- Zamierzasz przykleić mi etykietkę oszustki, która przez wszystkie te lata utrzymywała, że dziecko siostry jest jej

własną córką! Chcesz mi zniszczyć życie, a w dodatku oczekujesz, że będę

ci wdzięczna?!

- Dlaczego nie? Otrzymałaś ode mnie niezwykle szczodry dar...

- Ale przecież ja zawsze byłam przeciwna skrywaniu takich rzeczy; wypowiadałam się przeciwko niezamężnym

matkom! Co teraz ludzie powiedzą? Co pomyśli Erin?

Riva westchnęła i rzekła niecierpliwie:

- Nic nie poradzę na twoją hipokryzję, Margaret.

- Jesteś okrutna, zbyt okrutna, Rivo. Nic

nie rozumiesz. Moje serce, och, moje serce!

Riva obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Czy to nie dziwne, że serce nie sprawiło ci żadnego kłopotu w czasie napaści Edisona? Gotowa byłabym sądzić, że

był to ogromny wysiłek...

- Myślisz, że udaję? - Margaret wyprostowała się, a jej rozgoryczenie ustąpiło miejsca złości.

- Nie mam pojęcia. A udajesz? - spytała Riva. Siostra znów opadła na poduszki i skierowała wzrok na sufit.

- Umrę w końcu na atak serca, ponieważ nikt mi nie wierzy. To w połączeniu z faktem, że nikt nie rozumie, przez co

przeszłam i co czuję, przyprawia mnie wprost o szaleństwo.

- Przykro mi, ale jeśli masz zamiar nadal ukrywać się w pokoju i rozpaczać, tak jak teraz, nie będzie nic dziwnego, gdy

stanie się tak, jak mówisz.

Margaret nerwowo chwyciła ustami powietrze.

- Lubisz narzucać swoją wolę, Rivo - powiedziała w końcu. - A to wcale do ciebie niepodobne. Jeszcze przed kilku

miesiącami nie powiedziałałybyś mi nic takiego.

- Być może, ale czynię to dla dobra sprawy. Muszę być twarda!

- A więc twoja decyzja jest nieodwołalna?

- Tak, zrobię to. - Słowa zabrzmiały stanowczo, jakby Riva sama chciała utwierdzić się w podjętym postanowieniu.

- Nie... nie powiesz chyba, że zostałam zgwałcona?...

- Nie widzę powodu, dla którego miałabym o tym mówić. To twoja

sprawa.

- Dzięki Bogu chociaż za to... - rzekła Margaret zamykając oczy, ale po chwili znów podniosła powieki. - A co będzie,

jeśli Edisonowi przyjdzie do głowy wyciągnięcie tej sprawy na światło dzienne i opowie o niej w ten swój okropny,

szyderczy sposób? Nigdy już nie będę w stanie spojrzeć ludziom w oczy. Nigdy!

Riva z trudem zapanowała nad swym głosem.

- Trzeba go powstrzymać, nie rozumiesz? Nie można pozwolić, by

nadal zachowywał się tak jak do tej pory.

- Jeśli ja potrafię zapomnieć o tym, co mi zrobił, nie rozumiem, dlaczego ty również nie możesz przejść nad tym obojętnie.

- Już raz to zrobiłam przed wielu laty, a przynajmniej próbowałam. W konsekwencji próbował mnie zabić. Czy to dla

ciebie nic nie znaczy, Margaret? A jeśli zechce zabić jeszcze kogoś? Kogoś mniej chronionego?

- Nie zrobiłby tego!... Nie byłby... taki

głupi.

- Och, nie wiesz wszystkiego - wolno
odpowiedziała Riva. - Zabił już kiedyś
kobietę. Dlaczego nie miałyby zrobić tego
jeszcze raz?

- O czym ty, na Boga, mówisz?!

Riva odwróciła się, podeszła do kanapy
i usiadła.

- Wspomniałaś ostatniej nocy o tej
bojownicze o prawa obywatelskie,
która została zamordowana tamtego lata,
pamiętasz? Prowadziła ciężarówkę i
zastrzelił ją chłopak siedzący za

kierownicą dostawczego samochodu
pełnego

chuliganów, zabawiających się
szaleńczą jazdą. Widziałam ten
samochód, Margaret. Widziałam, jak
jechał w kierunku

stawu.

Siostra zmarszczyła czoło.

- Co jeszcze widziałaś?!

- Sądzę, że to Edison jechał tym
samochodem i że to on zabił tę kobietę.
Właściwie przyznał się do tego ubiegłej
nocy.

Co więcej: sądzę, że właśnie dlatego zabrał mnie do Nowego Orleanu, by wszystko, co mogłabym powiedzieć

przeciwko niemu, zabrzmiało jak zemsta za oszukanie mnie.

- Ale co teraz? Jak ta stara historia będzie wyglądała obecnie?

- Któż by się tym przejmował? On zamordował kobietę, Margaret! Pomyśl też, co zrobił Beth. Zresztą nie tylko

próbował mnie zabić. Mówiłam ci przecież, że zaatakował mnie zeszłej nocy. Gdyby mu się udało, mógłby również

zamordować mnie własnymi rękami.
Mam jednak sposób, by go
powstrzymać. Jeśli tego nie zrobię, będę
odpowiedzialna za wszystko, co uczyni
od tej pory. Nie mogłabym z taką
świadomością żyć.

- A możesz żyć bez przyjaciół? Z
piętnem hańby? Pomyśl o tym, Rivo.

- Będę musiała znieść to wszystko. Nie
proszę cię o radę, Margaret. Uprzedzam
cię tylko o swych zamierzeniach, abyś
mogła zastanowić się, jak się uporasz z
konsekwencjami.

- A co z Erin?

- Jej także wszystko powiem. Byłoby nie fair pozwolić, by dowiedziała się prawdy z telewizji.

- Och, Rivo, czemu nie poprzestać na tym - na poinformowaniu Erin? W ten sposób ona dowie się, że Josh jest jej

przyrodnim bratem, a to położy kres ich stosunkom. Ona dowie się, że nie jestem jej matką, ale przecież cały świat

nie musi o tym wiedzieć -mówiła Margaret szukając chusteczki, by osuszyć załzawione oczy.

Riva pokręciła przecząco głową.

- To nie wystarczy. Pomyśl, co by było,

gdyby mężczyzna taki jak Edison znalazł się u władzy. Lepiej nie mówić, co mógłby zrobić i kogo skrzywdzić.

- Przecież Edison jest w szpitalu! Czy nie będzie się wydawać podłe wnoszenie publicznego oskarżenia przeciwko

choremu człowiekowi, którego syn w dodatku znajduje się na granicy śmierci?

- Sprawdziłam dziś rano, gdy telefonowałam z pytaniem o zdrowie Josha. Edisona zatrzymano w szpitalu tylko na

jedną noc. Przyznaję, że pora jest zła,

ponieważ wciąż nie ma pewności co do stanu Josha, ale jakie może być inne wyjście?

- Och, na pewno masz jakiś wybór! - zawołała Margaret piskliwym głosem. - Musi być inny sposób!

- Gdyby był, wykorzystałabym go, daję słowo. Ale po prostu nie ma...

Siostra wpatrywała się w nią kamiennym wzrokiem. Znów otarła twarz, a potem opuszczając bezwładnie dłoń z

chusteczką odwróciła się do ściany.

Riva nie od razu przystąpiła do rozmowy z Erin, która właśnie wyszła z domu, udając się do szpitala. Pomyślała o tym,

by się ubrać i pojechać za nią, ale byłoby to szukaniem kłopotów. Nie było również sensu jechać do pracy; nie mogła

skupić się na czekających zajęciach. Zresztą pojechał już Noel; zajmie się wszystkim. I to była jedyna rzecz, o którą

Riva nie musiała się martwić.

Obawiała się rozmowy z Erin, a zarazem pragnęła jak najszybciej mieć ją

za sobą.

Mimo wszystko jednak czuła się dobrze. Gdzieś w głębi duszy odczuwała przynoszącą ogromną ulgę świadomość

wybrnięcia z plątaniny kłamstw.

Skrywała przeszłość tak długo, tak długo żyła w lęku przed jej ujawnieniem...

Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę, jak wielkim było to ciężarem.

Była zmęczona sekretami, które zdawały się tkwić w jej świadomości niczym drzazga pod paznokciem. Organizm

długo mógł bronić się przed infekcją spowodowaną przez to obce ciało, mógł

je otorbić, ale nie wiedziało się, kiedy wystąpi stan zapalny. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było pozbycie się drzazgi. Operacja może okazać się bolesna, może pozostawić blizny, ale jest nieunikniona.

Przedpołudnie ciągnęło się w nieskończoność, aż wreszcie nadeszła pora lunchu. Popołudnie zaś nabrało takiego

rozpędu, że Riva nie zauważyła nawet, kiedy minęło. Gdy Er in wróciła do domu, zapadał już zmierzch. Nie była sama;

towarzyszył jej Doug Gorsline. Oboje przyszli na tylny taras, na którym siedziała Riva.

- Z Joshem wciąż jest tak samo - powiedziała Erin. - Anna Gallant wciąż jednak ma nadzieję, że będzie coraz lepiej. Ale

cóż to za historia z konferencją prasową? Doug wspomniał, że ma się odbyć, ale jest niesłychanie tajemniczy w

sprawie celu tego przedsięwzięcia. O cóż, u licha, chodzi?

Riva sądziła, że jest przygotowana do rozmowy. Dokładnie zaplanowała

stopniowe wprowadzenie Erin w temat.

Teraz jednak ów plan rozpadł się, a ona nie mogła nawet zebrać myśli. Nie, wcale nie była gotowa.

- Ciociu Rivo? O co chodzi? Czy stało się coś? Co jest nie w porządku?

Uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Och... wszystko - westchnęła i rozpoczęła swą opowieść.

Jakoś opowiedziała Erin o lecie 1963 roku. O tym, jak wyszła za mąż - lub też, że myślała, iż wychodzi za mąż - za

Edisona, i o tym, jak zostawił ją samą w

Nowym Orleanie. Opowiedziała o dniach spędzonych z Dantem w

restauracyjnej kuchni, o narodzeniu dziecka i o tym, jak Margaret uznała je za własną córkę. O tym, jak Cosmo

wyciągnął ją z baru na Bourbon Street i o istocie swojego z nim małżeństwa, łącznie z lekko ocenzurowaną wersją

romansu z Noelem.

Erin dobrze pamiętała zarówno śmierć Cośmy, jak i mityng z udziałem kandydata na gubernatora Luiz-jany.

Inteligencja - wszak była nieodrodną córką Rivy -pozwoliła jej domyślić się

tego, co nie zostało dopowiedziane;

wybiegać do przodu z pytaniami, choć jej twarz była blada jak papier, a ze ściśniętego gardła dobywał się jedynie szept.

- Jak to możliwe? - spytała w końcu. - Jak ojciec Josha może być takim potworem, jak go przedstawiasz, skoro Josh

jest taki... taki uprzejmy i miły, taki układny?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Pamiętaj jednak, że dziedziczność to bardzo skomplikowana sprawa, a Josh jest

przecież

także synem Anny.

- I moim bratem, moim przyrodnim bratem. Nie mogę w to uwierzyć!

Siedząc na krześle z kutego żelaza Erin spuściła wzrok, wpatrując się w swoje palce splecione na kolanie. Stojący za

nią Doug uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

- Czasami ja sama nie mogę w to wszystko uwierzyć - odparła Riva.

Erin zaśmiała się cicho.

- Kiedyś chciałam, byś była moją matką. Czuję się winna z tego powodu, ale bardzo chciałam. Częściowo ze względu na pieniądze. Uważałam, że kupiłabyś mi wszystko, czego bym zapragnęła, bez konieczności wysłuchiwania, że nie stać cię na to. Na pewno również z tej przyczyny, że chciałam być taka jak ty: zawsze opanowana i imponująca, zawsze wiedząca, jak się zachować, co powiedzieć. Zawsze byłaś panią siebie. Teraz jednak nie jestem już pewna, czy chciałabym być twoim odbiciem.

Riva poczuła obręcz wokół serca.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna, czy umiałabym zrobić komuś coś takiego jak ta twoja konferencja...

- Nie zwołałam jej z zemsty - tłumaczyła Riva.

- Doprawdy? Jeśli uczynki Edisona Gallanta są złe, dlaczego nie pójdziesz na policję?

- Bo nie ma żadnego konkretnego dowodu; w grę mogą wchodzić jedynie moje słowa.

- A zatem skąd ta twoja pewność?

- Znam Edisona...

- Czyżby? Czy jesteś pewna, iż nie czynisz tego z żalu za to, co zrobił ci przed wielu laty?

- Erin, proszę! Nie jestem mściwą kobietą. Nie rozpętywałam tego wszystkiego, gdybym nie miała ważnych powodów.

- Tak twierdzisz, ale czy naprawdę wiesz, co robisz? Czy nie ma alternatywy dla wystawienia ojca Josha na publiczne

potępienie? A jeśli się mylisz? Nie będzie można cofnąć niczego, co raz

zacznie się toczyć. Zrzuńujesz wspaniałą karierę polityczną, i to tylko z powodu błędu popełnionego przez tego człowieka dawno temu.

Riva potrząsnęła głową.

- Być może błąd ten został popełniony dawno temu, ale jego skutki odczuwaliśmy wszyscy przez cały zeszły tydzień.

Czy ty tego nie rozumiesz? Wiem, że uważasz, iż powinnaś być lojalna wobec Edisona, i doskonale zdaję sobie

sprawę, jaką on ma siłę perswazji i ile uroku, gdy mu na tym zależy. Nie daj się

jednak zaślepić. Ten człowiek, w

którym z uporem dopatrujesz się
politycznego geniuszu, zgwałcił twoją
ciotkę i próbował zgwałcić mnie. Nie
potrafię

udowodnić, że przed laty zabił tamtą
kobietę ani tego, że próbował mnie
zamordować, ale pierwszym dwóm
faktom

nie da się zaprzeczyć.

- Nie można również zaprzeczyć, że jego
także ktoś próbował zabić. Być może
nawet ta sama osoba, która usiłowała
zabić ciebie. Nie dziwi cię to? Może

oboje jesteście ofiarami?

- To nie ma sensu, powiadam ci...

Erin zerwała się z krzesła. Miała czerwony nos, a w oczach łzy.

- Nie, nic nie mów. Nie chcę tego słyszeć. Nie zniosę już ani słowa na ten temat!

Riva także wstała.

- Wiem, że to za dużo i przykro mi, że musiałam cię tym obarczyć. Napijmy się czegoś i porozmawiajmy spokojnie...

- Wystarczy mi tej miłej pogawędki jak na jeden dzień - odparła Erin i

odwróciła się do stojącego za nią
młodego

człowieka. - Doug, czy mógłbyś zabrać
mnie gdzieś, gdziekolwiek?

- Zaczekaj - powiedziała Riva, kładąc
dłoń na ramieniu córki. - Nie odchodź w
złości. Nie powiem już ani słowa.

Jednak Erin wyrwała się jej i wypadła z
tarasu. Doug rzucając Rivie spojrzenie,
które mogło być zarówno

przeprosinami, jak wyrzutem lub też
jednym i drugim, wyszedł za nią. Po
kilku minutach dobiegł dźwięk

uruchamianego i odjeżdżającego

samochoду.

Poszła do swojego pokoju. Abraham przyniósł jej tacę z obiadem, ale nie mogła jeść. Chwilę później usłyszała ciche

pukanie i głos Noela. Nie odpowiedziała, nie mogła odpowiedzieć. Usiadła w fotelu i wpatrzona w ciemność widziała przed sobą jedynie pustkę.

Cóż zrobiła? Czy postąpiła właściwie? A może popełniała zbrodnię bardziej brutalną niż wszystko, co Edison kiedykolwiek zrobił lub zamierzał

uczynić? Czy rzeczywiście niszczyła tego człowieka jedynie dla własnych celów? A

kimże była ona sama, że zamierzała odegrać rolę Boga?

Ale tak właśnie postępowano obecnie, czyż nie? Nagłaśnianie przewin jakiegoś człowieka w środkach masowego

przekazu było współczesnym odpowiednikiem pręgierza. Musiało się to odbywać w ten sposób, bo inaczej nigdy nie

poznano by prywatnych grzeszków wielkich ludzi. Zbyt łatwo było im manipulować faktami i paragrafami i

wszystko,

co odnosiło się do nich, zmieniać z wyrazistych czynów czarnych czy białych w niewyraźne odcienie szarości. Tak więc

publiczna hańba była konieczna dla przedstawienia tych ludzi we właściwym świetle.

Ale czy to słuszne? Czy fair? Czy robiło się tak, kiedy czyny popełnione w przeszłości stawały się zaledwie

nieostrożnością świadcząca raczej o słabości charakteru niż o zdecydowanie złych zamiarach?

Sprawiedliwość czy zemsta? Na czym bardziej Rivie zależy? Czy naprawdę znała samą siebie? Gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie?

Może Margaret ma rację? Może wystarczy, że Erin już wie? Może rozegrać to w jakiś bezpieczniejszy i nie tak głośny

sposób, i mieć nadzieję, że Edison postąpi podobnie? Z pewnością nie ośmieliliby się posunąć dalej w swych pogroźkach - teraz, gdy tak wiele osób wiedziało, kim był i co zrobił.

Bezpieczeństwo. Czy w ogóle istnieje?

*

Poranek nadszedł wraz z błyskiem światła za koronkowymi firankami. Riva wstała z fotela i zdjęła ubranie, które

miała na sobie poprzedniego dnia.

Wzięła prysznic i przebrała się w suknię z miękkiego turkusowego jedwabiu,

potem zrobiła makijaż i włożyła perły, słynne Stauletowskie perły, które przydawały jej klasycznej elegancji i czyniły z

niej kobietę niezaprzeczalnie doskonale ubraną. Wygląd dawał jej poczucie pewności siebie, a potrzebowała tego.

Piła właśnie kawę - bo tylko to mogła znieść na śniadanie - gdy usłyszała podjeżdżający pod dom samochód.

Wiedziała, że sprawa, której nadała bieg, zaczęła się już toczyć, gdy wyglądając przez okno ujrzała mężczyzn w

krótkich spodniach i bawełnianych koszulkach, którzy rozstawiali kamery i sprzęt nagłaśniający; gdy zobaczyła

stojących przed domem mężczyzn i kobiety w eleganckich strojach.

Już o dziewiątej trzydzieści, a więc na pół godziny przed rozpoczęciem konferencji prasowej, podjazd pełen był

samochodów, a trawnik pod drzewami pokrywała masa kabli, czarnych skrzynek i srebrnych futerałów na kamery.

Panował niewiarygodny wprost hałas. By utrzymać coś na kształt porządku, Abraham podawał na tarasie kawę i

gorące biszkopty. Erin wyszła, by pomóc w częstowaniu przybyłych kawą, podawała serwetki i przynosiła z kuchni

czyste filiżanki. Margaret wciąż tkwiła w swoim pokoju, podczas gdy Constance zniknęła wraz z dziećmi, by zapobiec

fotografowaniu ich. Boots i George

kierowali ruchem pokrzykując głośno,
by powstrzymać ludzi przed
wchodzeniem

na klomby i nakłonić do zachowywania
stosownej odległości od cennych drzew.
Noel zajął miejsce w holu, aby

powstrzymać ewentualnych intruzów.
Pozwolił przybyłym wchodzić w
kilkuosobowych grupkach dopiero o

dziewiątej czterdzieści pięć, i ani
sekundy wcześniej. Nie chciał, by
rozbiegli się po całym domu.

Riva była gotowa, a przynajmniej taką
miała nadzieję. Żołądek zacisnął się jej
ze zdenerwowania, a w gardle czuła

taką suchość, że wydawało się jej, iż nie będzie mogła dobrać głosu. Słowa kotłowały się w jej głowie, gdy bez

powodzenia starała się ułożyć je w dorzeczną całość. Nie przychodził jej na myśl żaden wstęp. Gdyby tylko wiedziała,

jak zacząć, to reszta potoczyłaby się już łatwo. Ale czy w ogóle potrafi zacząć, tego nie była pewna. Wciąż nie była

pewna.

Abraham opuścił frontowy taras, przyniósł swej pani następną filiżankę kawy i spróbował skłonić ją do zjedzenia

biskopata. Niektórzy dziennikarze - powiedział - słyszeli pogłoski, które dotarły do nich przez rodziny mafijne, że Riva

zamierza oczernić Gallanta. Chcieli wiedzieć, czy to prawda. Co im powiedzieć?

- Nic nie mów - rzekła, a on roztropnie skinął głową i wyszedł.

Dwadzieścia minut przed godziną konferencji Riva opuściła swój pokój i zeszła do holu. Oddychała spokojnie, a na jej

twarzy malowało się skupienie. Szła pewnym krokiem i starała się nie myśleć

o tym, co ją czeka.

Doszła do najniższego stopnia schodów, gdy otworzyły się tylne drzwi i do holu wszedł jakiś mężczyzna. Podnosząc

wzrok, ujrzał ją stojącą z ręką na poręczy. Na jego twarzy pojawił się zjadliwy uśmiezek.

- Niespodzianka - powiedział brzmiałym groźnie głosem.

To był Edison.

ROZDZIAŁ 23

Riva zachowała spokój.

- Co tu robisz? - spytała zdławionym głosem.

- A co, czyż to nie przyjęcie? - zadrwił.

- Nie mów mi, że nie jestem zaproszony.

Byłem przekonany, że mam być

honorowym gościem.

- Skąd się... - zaczęła, ale przerwał jej.

- Koneksje, dziecinko. Czym byłby polityk bez koneksji?

- Mafia! - powiedziała z pogardą.

- Powiedzmy raczej, że przyjaciele w różnych użytecznych miejscach, łącznie z tymi wysokimi.

Z drugiej strony długiego holu otworzyły się nagle drzwi. Wszedł Noel i zatrzymał się zdumiony na widok Edisona.

Zawahał się, a potem zamknął drzwi i zaczął iść w kierunku stojących.

- Skończyły się żarty - oświadczył Edison na widok Noela. - Musimy porozmawiać poważnie, Rivo. Ty i ja. Jest bowiem

kilka spraw, o których nie wiesz.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Możliwe, ale ja mam cholernie dużo do powiedzenia tobie. I jeśli jesteś

mądra, jeśli choć trochę zależy ci na naszej

kochanej małej Erin, to posłuchasz.

- Co z Erin? Gdzie jest moja córka?!

W głosie Rivy odbił się strach. Edison nie zachowywał się jak człowiek, który przybył, by spokojnie pogodzić się z

upadkiem. Z pewnością miał w rękach jakiegoś asa. Ale cóż mógłby nowego wymyślić?!

- Och, nie wpadaj w panikę - rzekł drwiąco. - Twoja córka jest na dworze. Sądzę jednak, że powinniśmy spokojnie

porozmawiać o jej przyszłości. Teraz!

- Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić, Gallant? -zapytał Noel z ponurym wyrazem twarzy.

- Nie sądzę, Staulet. Riva z pewnością zrobi to, o co poproszę. Czyż nie, kochanie?

Zacisnęła zęby na tę poufałość. Słowa, jakimi została zmuszona do wyrażenia zgody, dzwoniły jej irytująco w uszach.

- Daj nam kilka minut. Proszę cię, Noelu.

W jego wzroku odczytała zarówno szyderstwo, jak i niedowierzanie.

- Nie zostało ci wiele czasu do chwili, gdy ta horda wyłamanie drzwi - ostrzegł, wskazując wejście.

- Tak, wiem. Proszę...

Jego postawa, gdy się odwracał, wyrażała zdecydowaną dezaprobatę. Ostatnie jego słowa były skierowane do

Edisona:

- Pięć minut - powiedział. - Nie więcej.

Riva obeszyła klatkę schodową i skierowała się ku jadalni. Poranne słońce wlewało się przez okna, połyskując na

długim, lśniącym stole i w antycznym kryształowym żyrandolu. Weszła w strumień światła, który wydobywał wzory

na starym brukselskim dywanie leżącym na podłodze, a potem odwróciła się i stanęła na wprost Edisona.

- O co chodzi?

On również nie marnował czasu.

- Zrób to, a pociągnę cię za sobą - zagroził.

- Nigdy nie sądziłam inaczej! - parsknęła.

- Och, nie mam na myśli plotki, małej skazy na twoim wizerunku damy, pani na Bonne Vie. Myślę, że po prostu z

powrotem wystawią cię na ulicę. Będiesz tańczyła nago na stołach, starając się też czasem sprzedać dupę, aby

zarobić na czynsz. Trochę jesteś wprawdzie na to za stara, ale jakoś sobie poradzisz.

- Musisz być tak obraźliwy, jak starasz się być melodramatyczny, nieprawdaż? Uwierz jednak, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

- Nie lubię tego! - Jego głos obniżył się o kilka tonów. - I nie lubię pogróżek w stylu tej głupawej konferencji prasowej.

A teraz wyjdiesz stąd grzecznie i powiesz tym cholernym mediom, że popełniłaś błąd, a jeśli nie, to nie szykuj się na

nic miłego.

- Ja również nie lubię pogróżek, Edisonie. Jeśli w ciągu pięciu sekund nie powiesz mi, co miałaś na myśli mówiąc o

Erin, zrobię dokładnie to, co zaplanowałam.

- Otwórz tylko usta na mój temat, ty suko, a powiem całemu światu, że nie jesteś Riva Staulet i nigdy nią nie byłaś.

Jesteś Rebeką Benson-Gallant. Jesteś moją żoną! Jak ci się to podoba?

W nagłej ciszy zgiełk panujący na zewnątrz wydał się jeszcze głośniejszy. Riva z trudem przełknęła ślinę.

- Co?!

- To prawda! Jesteś moją żoną! To zaś oznacza, że wszystko, co powiesz, zabrzmii jak zwykła domowa kłótnia. To mnie

zrani, jasne, ale ciebie postawi tam,

gdzie zaczynałaś przed dwudziestu pięciu laty.

- Nie! - wykrztusiła szeptem. Czowała się, jakby spadała, jakby zapadała się w siebie. Przyłożyła dłonie do skroni.

- Tak, dziecinko. Sądziłaś, że nie jesteśmy małżeństwem, ty mała, głupia dziwko? Wierzyłaś w każde słowo, które

powiedziałem, nieprawdaż? A ja po prostu musiałem położyć kres wszystkiemu, co wydarzyło się tamtego lata. Nie

mogłem pozwolić, byś stanowiła dla mnie zagrożenie, byś wyciągała ze mnie

forse i mówiła coś, co mogłoby
sprawić,

że ludzie, którzy darzyli mnie zaufaniem,
zaczęliby zadawać jakieś nietaktowne
pytania. Więc powiedziałem ci, że

jestem już żonaty. Do diabła, nawet nie
zapytałaś, kim jest moja żona, gdzie była
przez cały ten czas ani gdzie mam

swoją cholerną obrączkę. Wcale ci na
tym nie zależało! Nie obchodziło cię to
ani trochę.

Umysł Rivy zaczął funkcjonować
normalnie.

- Nie uzyskałaś rozwodu?

- Jak, u diabła, mogłem to zrobić bez udziału ludzi, którzy zadają pytania? Poza tym nasze małżeństwo zostało

zawarte w Arkansas. Nikt nie sprawdza aktów związków zawartych poza granicami stanu.

- Jeśli wciąż jestem twoją żoną, to Anna...

- To dopiero numer, prawda? Anna, biedna, prostolinijna, zawsze nienaganna Anna. Przez wszystkie te lata żyje ze mną w grzechu.

Riva w skupieniu zmarszczyła brwi.

- Jeśli więc Erin jest dzieckiem z
prawego łóża, to twój syn nie jest nim.

- To nie ma znaczenia. - Uśmiech zniknął
z jego twarzy. - Ważne jest tylko to, że ty
n i g d y nie byłaś panią Staulet,

żoną Cosmy Stauleta. Twoje małżeństwo
- ale draka! - było nieważne. Nie miałaś
prawa tu być. Żadnego, cholernego

najmniejszego prawa. Spróbuj mi
przeszkodzić, a wylecisz stąd w jednej
chwili. Syn Cosmy Stauleta dopilnuje
już

tego!

- I nic nie powiesz na ten temat, jeśli

będę z tobą współpracować?

- O to właśnie chodzi - odparł z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Ja zaś, oczywiście - rzekła z ironią - mogę na tobie polegać? Nigdy nie wykorzystasz tego przeciwko mnie.

- Ty też będziesz mnie krótko trzymać, prawda? Kto wie, może ten uścisk nawet ci się spodoba? - Zaśmiał się drwiąco.

Był tak pewny siebie, tak nieznośny. A może to tylko gra? Czy naprawdę wydaje mu się, że mogłaby pozbyć się prasy,

załagodzić jakoś wszystko bez przykrych

następstw?

Czy mogłaby? Prawdopodobnie
zdołałaby wymyślić jakąś historyjkę,
może coś w rodzaju wsparcia
finansowego dla

kandydata, aby jakoś wytłumaczyć
zwołanie konferencji. Czy jednak
chciała to zrobić?

Zadowoliliby to na pewno Margaret i
Erin. Trochę prawdy już się wydało, a
nikt przecież nie musiał znać całej

historii. Wrzawa w końcu przycichnie, a
sprawy mogłyby się toczyć dalej mniej
więcej tak jak dotychczas. Mogłaby

zatrzymać wszystko, zostać w Bonne Vie. Możliwe, że po jakimś czasie ta zmiana w relacjach między nią a Noelem,

która zarysowała się w ciągu ostatnich dni, mogłaby się rozwinąć w prawdziwe uczucie? Mogłaby w każdym razie

starać się o to, ponieważ wiedziała, że nigdy nie była jego macochą.

Noel nie wiedział. Gorsza jednak była świadomość, że nigdy nie mogłaby mu powiedzieć prawdy, gdyby przystała na propozycję Edisona.

Co więcej, Gallant musi być

powstrzymany! Skrzywdził tak wielu ludzi, uczynił tyle złego, i wcale tego nie żałował.

Jego niezdolność do rozpoznawania, co jest moralne, a co naganne, była krańcowa - przez większość życia żył w

fikcyjnym małżeństwie, pozbawiając własnego syna prawowitego urodzenia. Nie był zupełnie normalny! Jego brak

sumienia i wykorzystywanie ludzi do własnych celów, zboczone żądze nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

Taki

człowiek nie powinien przestawać z normalnymi ludźmi, a już na pewno nie

powinien nimi rządzić.

- Czy to wszystko? - zapytała w końcu.

Gniewny grymas zniekształcił twarz Edisona na dźwięk opanowanego głosu Rivy.

- Tak, to wszystko.

- A zatem żegnam cię. Mam spotkanie z dziennikarzami.

Odwróciła się, ale chwycił ją za ramię.

- Co zamierzasz powiedzieć?

- A jak myślisz?

Uścisk stał się silniejszy.

- Pytam cię!

- Mam zamiar opowiedzieć historię mojego życia -oświadczyła niezłomnie, patrząc na niego swymi zielonymi oczami.

- Dokładnie.

Zaklął i rzucił się do jej gardła. Riva zablokowała ten gest wyciągniętymi rękami. Zaczęli się szarpać.

- Przestań! Przestań! - To był głos Margaret, która weszła tu przez drzwi ze służbówki. Jej oczy były ogromne, twarz

blada i opuchnięta, włosy potargane, a szlafrok nieświeży. W zaciśniętych konwulsyjnie dłoniach Margaret tkwił mały

rewolwer Rivy.

W tej samej chwili, w której Margaret krzyknęła, otwarte z impetem drzwi z holu uderzyły o ścianę. Noel wpadł i

natychmiast zorientował się w sytuacji. Riva uwolniła się z uścisku zaskoczono Edisona i skierowała się ku siostrze.

- Oddaj mi to, Margaret - poprosiła cicho. Margaret uczyniła krok do tyłu. Rewolwer drżał jej w dłoni tak, jak

drżała

ona sama, ale wciąż pozostawał wycelowany w Edisona.

- Nie, Rivo! To ja zadzwoniłam do Edisona, sprowadziłam go tutaj i nie dla kaprysu! Zamierzam powstrzymać go na

dobrze. Twierdziłaś, że nie masz wyjścia. Nieprawda! Mówiłam ci, że można wymyślić coś innego. Mówiłam...

- To jedynie pogorszy sprawę.

- Jak? Jak można coś jeszcze pogorszyć? Już próbowałam pozbyć się go i sprawić, by wyglądało to na wypadek.

Spotkałam się z Jimmym, mężem Beth, pamiętasz chyba? Wciąż utrzymuje z nami kontakt. Jest mechanikiem na

lotnisku. Zajmuje się elektroniką od czasu zakończenia służby wojskowej. Powiedział, że może wywołać katastrofę

samolotu Edisona i nie weźmie za to ani centa, bo ma z nim stare porachunki. Nie wiedział jednak, że na pokładzie

będzie i Josh. Ja także nie wiedziałam. Przykro mi, naprawdę przykro mi w związku z Joshem.

Głos siostry brzmiał monotannie, świadcząc o tym, że Margaret pozostaje pod wpływem silnych środków

uspokajających.

- Margaret, proszę... - powiedziała Riva. - Pozwól mi...

- Nie. Żałuję bardzo, że ten wypadek się nie udał. Ale ja go i tak załatwię. Wpadłam na ten pomysł, gdy opowiedziałas

mi, w jaki sposób uwolniłaś się od Edisona w szpitalnym magazynie. Powinnaś go wtedy zastrzelić. No cóż, znalazłam

tę broń. Wiem, gdzie trzymasz torebkę. Jeśli zastrzelę Edisona teraz, będzie równie dobrze, jakbyś ty to zrobiła.

Zniknie powód, dla którego miałabyś wszystko opowiadać. W ten sposób ludzie nie będą o mnie plotkować. Tak jest!

Właśnie tak, czyż nie?...

Edison zaczął jąkając się:

- Na Boga...

- Zamknij się! - rozkazała Margaret, wymierzając lufę w jego pierś. - Stul ten swój wstrętny pysk! Kłamstwo!

Wszystko, co robiłeś, było kłamstwem! Sądziłam kiedyś, że jesteś wspaniałym facetem, ale wszystko było jedynie

oszustwem. Potrafisz zabijać ludzi kłamstwami. Powoli umierają zatruci przez ciebie.

- Ona jest szalona! - wykrzyknął Edison.
- Nie słuchajcie jej!

- To ty jesteś szalony - odwzajemniła się Margaret. - Traktujesz ludzi jak pył pod twoimi eleganckimi butami! Ale ja

wiem o tobie wszystko. Próbowalesz zabić Rive. Zabiłeś Beth; tak, zabiłeś ją swoimi kłamstwami, traktując ją przy tym

jak dziwkę. Tę drugą dziewczynę zastrzelesz, może nie?... Widziałam ten samochód tak samo, jak widziała go

Riva.

Obudziłam się tuż po niej i też podeszłam do okna.

- Margaret... — wyszeptała Riva, ale siostra nie ułyszała.

- Myślałeś, że jesteś bezpieczny - mówiła dalej. - Ale widziałam, jak niczym szalenięc prowadziłeś ten wóz w stronę

stawu. Nikomu do tej pory o tym nie powiedziałam. Nie powiedziałam i wychowywałam twoją córkę, kochając ją jak

własne dziecko, moje i twoje. Czyż to

nie było głupie? Ale Boots przysięgał, że to był wypadek, to zastrzelenie przez ciebie dziewczyny. Przysięgał, że nie zamierzałeś tego zrobić, a ja mu uwierzyłam. Ale ty przecież chciałeś ją zabić,

prawda? Chciałeś, bo ona się z ciebie śmiała. Boots powiedział mi i o tym. On mi wszystko mówi.

Riva słuchała w osłupieniu. Wcześniej Margaret spokojnie słuchała jej opowieści, choć - jak się okazuje - również

widziała wtedy Edisona. Dlaczego milczała? Raptem pojęła, czemu

Margaret chroniła Edisona, dlaczego nalegała, by

wziąć Erin, a nawet uznała ją za własne dziecko. Powodem była miłość; dziwna, niezdrowa, ale jednak miłość.

- Nie możesz mi niczego udowodnić!! - krzyknął Edison. - Zresztą ta suka zasługiwała na śmierć.

- Być może nie potrafię tego udowodnić, ale mogę powiedzieć wszystko, co wiem. Boots także. I zrobi to.

Nienawidzi

cię! Prawda, Boots?

Mąż Margaret wszedł do pokoju tuż za

Noelem. Ten ogromny, niezgrabny
mężczyzna stał jak skamieniały,
niepewny,

co powinien zrobić. W spojrzeniu
skierowanym na żonę wciąż widać było
i potępienie, i żal.

Skoro Margaret nie zastrzeliła Edisona
od razu, wydawało się, że największym
niebezpieczeństwem jest teraz

możliwość dokonania tego
przypadkowo. Riva ostrożnie wsuwała
się między siostrę a Edisona. Usłyszała
ciche

przekleństwo Noela, a potem szelest
jego kroków na brukselskim dywanie.

Skoncentrowana na siostrze, nie chciała patrzeć w jego stronę.

- Pomyśl, Margaret, tylko pomyśl - powiedziała miękkiem głosem. - Nie możesz tego zrobić, nie teraz. Wszyscy

dowiedzą się, kto go zabił. Przed domem jest mnóstwo dziennikarzy, którzy nadadzą tej sprawie olbrzymi rozgłos.

Będą chcieli poznać twoje nazwisko, adres, powody, dla których pociągnęłaś za spust, a także tysiąc innych

szczegółów. Wszystko, co chcesz utrzymać w tajemnicy, i tak wyjdzie na

jaw...

Margaret spojrzała na Rive z wyraźnym zakłopotaniem w pociemniałych oczach. Dłoń ściskającą broń opuściła nieco.

- Zapomniałam o nich. Myślisz, że naprawdę zrobią tak, jak mówisz?...

- Jestem przekonana. Lepiej więc oddaj mi pistolet, a ja go schowam, nim ktoś zobaczy i zacznie zadawać pytania.

Jeszcze chwila i wszystko byłoby w porządku, Riva miałaby pistolet w dłoni. Ale Edison rzucił się do przodu, chwycił

Rive i schował się za nią jak za tarczą.

Margaret krzyknęła i nacisnęła spust. Kula ze świstem przemknęła obok głowy

Rivy, trafiając w ścianę tuż za nią. Noel jednym skokiem dopadł Margaret i podbiwszy jej rękę wyrwał broń z zaciśniętych palców.

Margaret znów krzyknęła, a potem z płaczem upadła na podłogę. Boots rzucił się na kolana obok niej, uniósł ją i

szeptał coś łagodnie jak do dziecka. Oparła głowę o jego kolano i płakała, zdjeta bezgranicznym żalem. Noel z

pistoletem w dłoni ruszył w stronę Rivy i Edisona. Oczy płonęły mu

nieopanowaną złością, gdy przenosił wzrok z

jednej twarzy na drugą, a wokół jego ust pojawiła się biała plama.

Edison roześmiał się nerwowo.

Pozwolił Rivie odejść, a sam cofnął się i rozłożył szeroko ręce.

- Spokojnie, Staulet - powiedział. - Nie chcesz przecież zrobić nic głupiego?

- Nie musisz się o to martwić - odparł z pogardą Noel.

Edison odetchnął z wyraźną ulgą. Nawet się uśmiechnął.

- Taaak... Zawsze mówiłem, że wszystkie kobiety są takie same.

- Jesteś głupcem! - Słowa zabrzmiały ostro jak cięcie brzytwą.

Noel zwrócił się następnie do Rivy:

- A ty jesteś podwójnie głupia! Znowu go bronisz!

Riva słyszała pogardę w jego głosie i poczuła się odtrącona. W głowie jej huczało.

- Ależ ja... - zaczęła schrypniętym głosem.

Nie było jednak czasu na wyjaśnienia,

bo pokój wypełnił się nagle ludźmi w mundurach, którzy otoczyli wszystkich zebranych, celując w nich z pół tuzina karabinów. Wykrzykiwali przy tym pytania i żądali odpowiedzi.

Noel mówił stanowczo i zwięźle. Broń usunięto. Policjanci złagodnieli, cofnęli się; niektórzy aż pod ścianę. Ich

dowódca roześmiał się niemal z zakłopotaniem.

- Przepraszamy, panie Staulet.
Zostaliśmy wezwani ze względu na konferencję, ale gdy usłyszeliśmy strzał, trochę

puściły nam nerwy.

- Zostańcie gdzieś w pobliżu -
powiedział Noel ponurym głosem. -
Zabawa dopiero się zaczęła. A swoją
drogą niech

pan ma oko na tego człowieka.

Policjant był zdumiony.

- Ma pan na myśli kandydata na
gubernatora?!

- Tak, właśnie jego - odparł Noel i
zwrócił się do Rivy: - Madame Staulet,
zdaje się, że zwołała pani konferencję
prasową?...

Czy rzeczywiście ironicznie
zaakcentował ten kurtuazyjny tytuł, czy
też była to tylko jej imaginacja?
Podśluchiwał?

Wiedział? Nie umiała wyczytać tego z
wyrazu jego twarzy. Gdy wyprowadzał
ją z pokoju, dotyk jego ręki był

bezosobowy. Przez całą długość
korytarza szedł obok niej w ponurym
milczeniu strażnika prowadzącego
skazańca na

miejsce egzekucji. Zdawało się jej, że
gdyby zechciała się cofnąć, zmusiłby ją,
by poszła do przodu. A czemuż nie

miałby po prostu uciec? Kiedy powie,

co ma do powiedzenia, on się jej
pozbędzie! Dlaczego ma okazywać
względy

kobiecie, która sprawiła tyle kłopotu
jego ojcu. Pozbędzie się też
wspomnienia o pewnym epizodzie, jak
również

ciężaru, którym ojciec obarczył go na
łożu śmierci. Bez niej mógłby
prowadzić Staulet Corporation tak, jak
chciał,

odciskając na firmie własne piętno. Bez
niej bogactwo zgromadzone przez ojca,
choć z jej pomocą, będzie tylko jego i
wykorzysta je tak, jak sam uzna za

stosowne. Bez niej Bonne Vie będzie należało wyłącznie do niego... Czemuż więc

miałby jej bronić zniszczenia samej siebie?

Zatrzymali się przy drzwiach frontowych. W salonie nie było dość miejsca na pomieszczenie wszystkich

przedstawicieli mediów, którzy zebrali się przed domem. Noel zaproponował więc, by Riva spotkała się z nimi na

frontowym tarasie. Byłoby to mniej oficjalne, a przy okazji uchroni się meble przed zniszczeniem.

Zgodziła się. Było jej obojętne, skąd ma przemawiać. Pragnęła jedynie, by nastąpiło to jak najszybciej.

Noel ruszył ku drzwiom. Z ręką na klamce zatrzymał się na chwilę.

- Gotowa? - zapytał cicho.

Riva splotła dłonie, zwilżyła usta. Zastanowiła się przez moment, czy w czasie szarpaniny z Edisonem włosy jej się nie

potargały i czy suknia nie ucierpiała, choć w gruncie rzeczy było jej to obojętne. Podniosła ku Noelowi wzrok pełen

udręki.

- Czy postępuję dobrze?

Patrzył na nią bez drgnienia powiek.

- Sądzę, że tak. Niech prawda nareszcie wyjdzie na jaw.

Wiedział! Niezależnie od tego, czy podsłuchiwał, czy też odkrył prawdę w jakiś inny sposób - wiedział. I pogardzał nią.

Nie pozostało zatem już nic, czego mogłaby się bać; nic nie sprawiłoby jej większego bólu.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

ROZDZIAŁ 24

Reporterzy programów informacyjnych rzucili się do przodu, wysuwając mikrofony i dyktafony, wymachując

długopisami i notesami. Wykrzykiwali pytania. Błyskały flesze i trzaskały migawki aparatów fotograficznych.

Bateria

reflektorów rozkwitła gorącym, oślepiającym blaskiem, gdy ze wszystkich stron ruszyli operatorzy kamer

telewizyjnych. Riva stawała już przed kamerami, ale nigdy nie tkwiła w środku takiego tłumu. To było deprymujące.

Przełknęła nerwowo ślinę, czekając na ciszę. Im dłużej milczała, tym bardziej rosło podniecenie dziennikarzy.

- Czy to, co słyszeliśmy, to był strzał?
- Kto strzelał?
- Czy ktoś został ranny?
- Kto wezwał policję?
- Czy kogoś aresztowano?
- W jakim celu zwołano tę konferencję?
- Czy ma to związek ze strzałem?

Riva nabrała powietrza w płuca i

uniosła podbródek.

- Chcę wygłosić oświadczenie -
zapowiedziała. Hałas wzmógł się.

- Jeśli państwo pozwolą mi mówić...

Pytania stały się głośniejsze i bardziej
natarczywe. Noel, opierający się dotąd
plecami o frontowe drzwi, stanął przed
tłumem.

- Cisza! - polecił. Głos nie był ani ostry,
ani szczególnie głośny, lecz brzmiał w
nim stanowczy rozkaz.

Natężenie hałasu nagle opadło, po czym
zapanowała cisza.

- Dziękuję - powiedziała Riva. -
Dziękuję wszystkim, którzy tu dzisiaj
przyszli. Jeśli najpierw wysłuchają mnie
państwo,

to sądzę, że będę mogła odpowiedzieć
później na wszelkie pytania, jakie mi
państwo zadadzą. Historia jest długa, a
więc proszę o cierpliwość.

Nie było to łatwe. Do chwili, gdy
zaczęła szukać słów, by opowiedzieć
swe życie, nie zdawała sobie sprawy,
jak skrytą

jest osobą, jak bardzo stała się
zamknięta. Zwierzenia zdały się jej
raptem formą publicznego obnażenia się.

Postępowała wprawdzie uczciwie, ale okazało się to niezmiernie trudne.

Dzień był ciepły, co w połączeniu z żarem reflektorów i natłokiem ciał sprawiło, że pot wystąpił Rivie na czoło.

Uświadomiła sobie, gdy mijały kolejne minuty konferencji, że Noel wciąż tkwi u jej boku. Czy był to gest poparcia dla

kogoś, kto wciąż nosił nazwisko Stauletów? Jego obecność dodawała jej sił. Słysząc to było w jej głosie, znów

spokojnym, o melodyjnym brzmieniu. Opowiadała o śmierci swej siostry i zastrzeleniu obrończyni praw

obywatelskich; o wykorzystaniu przez Edisona, o małżeństwie i o tym, jak ją porzucił w Nowym Orleanie; o urodzeniu

dziecka i o jego adopcji przez siostrę. Gdy wspominała swą rozpacz, w jej oczach pojawiły się łzy. Tak długo tłumione

wspomnienia popłynęły. Mówiła o słodczy i delikatnej doskonałości córki, którą oddała za obietnicę zapewnienia jej

życia lepszego niż to, jakie ona mogła jej oferować.

Tłum, który stał przed nią, nie był

niczym więcej niż masą ciał. Niemal instynktownie odnalazła wzrokiem Erin. Udało

się jej leciutko uśmiechnąć, gdy napotkała oczy córki i przez zasłonę łez zobaczyła, że ona skinęła głową i zostawiwszy

Douga, który nie zdjął nawet pokrowca ze swego aparatu fotograficznego, prześlizgnęła się pomiędzy ludźmi

trzymającymi minikamery, przekroczyła kable i mrucząc przeprosiny przepychała się do przodu. A potem, stanąwszy

u boku matki, przytuliła się do niej.

- Przepraszam - wyszeptała. -
Przepraszam...

W pewnym momencie długiego monologu - być może wtedy, gdy mówiła o Cosmie i o tym, jak poróżnił się z synem -

Noel wyciągnął ramię, by objąć ją z drugiej strony. Był to wyraźny gest wsparcia. Łzy znowu niemal odebrały Rivie

głos. Próbowwała je przełknąć, ale bezskutecznie; pociekły po twarzy i kapały na jedwab sukni. Skoncentrowała się

jakoś i mówiła dalej.

Niewiele ominęła w swej opowieści, choć zgodnie z obietnicą ukryła powód zaangażowania się w tę sprawę

Margaret. Wspomniała jednak o tym, co przed konferencją zdarzyło się w domu. Powiedziała też, iż Edison przyznał

się do zamordowania przed laty działaczki na rzecz równouprawnienia. Przytoczyła również jego słowa o związkach z

mafią.

Wreszcie zamilkła. Przez krótką chwilę panowała cisza. Potem rozpętało się istne piekło. Tłum dziennikarzy rzucił się

na Rive z pytaniami, żądając natychmiastowej odpowiedzi na każde z nich.

Noel spojrział przez ramię i skinął głową. Oddział policji, składający się głównie z zastępców szeryfa, wkroczył do akcji

i otoczył Rive kordonem.

Przez chwilę myślała, że jest aresztowana, że jakoś wplątana jest w te zbrodnie, o których mówiła, że aresztowanie to

dokonuje się być może za sprawą Noela. Ale już niebawem on sam, wciąż otaczając ją ramieniem, wyprowadził ją

Z

łumu w krąg mundurowych. Drzwi frontowe otworzyły się i Riva weszła do domu wraz z Noelem, Erin i policjantami.

Abraham z niezmienną godnością zatrzaskał drzwi, odcinając domowników od hałasu i jaskrawych reflektorów.

Na zewnątrz rozpoczął się wyścig ku samochodom osobowym i telewizyjnym wozom transmisyjnym. Kamery

pośpiesznie umieszczano w futerałach, a zwijane kable świstały w powietrzu niczym bicze. Zatrzaskiwano drzwiczki i

uruchamiano silniki samochodów, które zdawały się unosić w powietrzu. Nim minęło pięć minut, dziennikarzy nie

było. Jedyne ślady dowodzące ich niedawnej obecności były zdeptane trawniki, sterty papierowych kubków

po kawie, niedopałki papierosów i zmięte kartki papieru.

Dopiero gdy zniknęły ostatnie pojazdy ekip przybyłych na konferencję, ruszyło w drogę auto szeryfa wiozące Edisona.

Nikt nie wiedział, jakie w końcu zarzuty zostaną mu postawione - czy będzie to oskarżenie o morderstwo, o gwałt, o

napad lub jego usiłowanie, czy też o bigamię. Było w czym wybierać, ale o ostatecznym kształcie aktu oskarżenia

zdecydować mieli prawnicy.

Tymczasem zaś szef nowoorleańskiej policji zamierzał odbyć z nim rozmowę o

narkotykach w mieście i okolicy.

Niebawem Boots i Margaret także opuścili dom. Margaret wciąż nie mogła powstrzymać się od płaczu i nie

przestawała mówić. Jej mąż wezwał specjalistę od załamania nerwowych powstałych w wyniku napaści i zorganizował

konsultację z lekarzem, który mógł w tym rejonie zaordynować środki uspokajające. Oboje czekali na spotkanie z

nimi w Oshner's Hospital, gdzie prowadzono specjalny program leczenia takich przypadków jak Margaret.
Kuracja

trwała od kilku tygodni do kilku miesięcy w specjalnym ośrodku rehabilitacyjnym. Boots chciał się przekonać, czy

medycyna zdoła pomóc Margaret. Oboje będą więc poza Bonne Vie, jeśli policja zechce z nimi rozmawiać.

Riva powstrzymała się od ujawnienia udziału siostry w katastrofie samolotu Edisona. Możliwe, że Edison ją oskarży, ale równie prawdopodobne było, że tego nie uczyni, bo tym samym potwierdziłby wiele niewygodnych dla siebie

okoliczności skłaniających Margaret do próby pozbawienia go życia. Jedyne czas mógł pokazać, co stanie się z nią i z mechanikiem z lotniska, który był kiedyś mężem Beth...

Liz, która czuwała nad domem, świadoma swych obowiązków wobec gości i domowników, wyczarowała

lunch

składający się z przystawek, kanapek, bulionu oraz z kawy, wina i soków owocowych. Oznajmiła, że zdaje sobie

sprawę, iż nikt nie jest głodny, ale lunch zapewni przynajmniej wytchnienie od napięcia, jakie wszyscy muszą

odczuwać.

Było za gorąco, by jeść na tarasie.

Posiłek przygotowano więc w jadalni.

Powrót do tego pokoju przyprawił Rive

o

uczucie mdłości, szczególnie w chwili, gdy spojrzała na dziurę po kuli

wystrzelonej przez Margaret. Uczucie przykrości

nie trwało jednak długo. Prawdziwy ból sprawiali ludzie, nie miejsca.

Constance stała w jadalni. Odwróciła się i mierzyła Rive taksującym wzrokiem.

- Gdzie jest Noel? - spytała ostro.

- Nie wiem - odpowiedziała Riva. -
Rozmawiał z szeryfem i jego ludźmi aż do chwili, gdy odjechali z Edisonem.
Mówił

też, że sprawdzi, co się dzieje z Coralie i Pietrem. Bał się, że zdenerwuje ich ten

zgiełk...

- Musiałam się więc z nim rozminąć -
stwierdziła Constance. - Nie sądzę, by
martwił się o dzieci. One widywały już

kamery i tych natrętnych paparazzich.
Potrafią ich ignorować. Oglądały
telewizję, co uwielbiają, a te wszystkie

reklamy potraw sprawiły, że nagle
zголоdniały. Zeszłam więc na dół
zobaczyć, co można by im dać do
zjedzenia.

To wyjaśnienie brzmiało mało
wiarygodnie, bo Constance nie należała
do osób krępujących się korzystać z
dzwonka

ani też wzdragających się wydawać polecenia pokojówce. To z pewnością ciekawość sprowadziła ją na dół. Riva

wskazała ręką bufet.

- Jak widzisz, lunch jest gotowy.

Constance sięgnęła po talerzyk.

- Jakże jesteś spokojna, mimo że strzelano do ciebie - jeśli dobrze zrozumiałam Abrahama.

- Histerią można zyskać jedynie trochę uwagi otoczenia, a tego mi nigdy nie brakowało.

- Nawet uwagi Noela?

Sarkazm w głosie Constance zmroził Rive.

- Noel nie ma z tym nic wspólnego - odparła surowo.

- Jestem innego zdania. - Zachowanie Sycylijki było coraz bardziej natrętne. - Gdy tu przyjechałam, chciałam obudzić

w nim zazdrość i odzyskać go. Była to kwestia dumy. Rozumiesz, nie mogłam pojąć, dlaczego mnie opuścił. Noel nie

udzielił mi żadnych wyjaśnień, ale wiedziałam, iż uczynił to po części z twojego powodu. Nienawidziłam cię więc i

chciałam zranić. Ale wysłuchałam twojej opowieści z górnego tarasu i złożyłam w całość to, co powiedziałaś, z tym, co

wiem. I już rozumiem, dlaczego tak pociągasz Noela.

- Niemożliwe - powiedziała Riva, skrępowana taką bezpośredniością Constance.

- Oczywiście, że tak! On jest romantykiem... Czyż oni wszyscy nie są nimi? Uczynił w twoim kierunku piękny gest i

teraz udaje, że wszystkie te lata spędzone na wygnaniu nie mają znaczenia, ale to kłamstwo! Zamierzasz

mu je

wynagrodzić?

- Nie wiem, co masz na myśli.

Zniecierpliwiona Constance machnęła ręką.

- Amerykanie! Czemu nie przyznajesz się do własnych uczuć?! Postaw wreszcie na swoim! Tworzą z Noelem

świetną parę!

Odgłos zbliżających się kroków zwolnił Rive od odpowiedzi. W drzwiach pojawił się Dante, a obok niego Anna

Gallant.

Zapanowało niezręczne milczenie aż do chwili, gdy Riva, wiedzona wieloletnim nawykiem, powitała gości jako pani

domu.

- Nie słyszałam waszego przyjazdu. Długo jesteście?

- Dopiero co przyjechaliśmy - odpowiedział Dante ponurym głosem. - Zobaczyliśmy początek twojej konferencji na

ekranie telewizora w poczekalni szpitalnej i przyjechaliśmy najszybciej,

jak to było możliwe. Zdaje się jednak,
że i tak

za późno...

- Istotnie - stwierdziła Riva, patrząc na oboje i dostrzegając bladość ich twarzy. Wyglądali, jakby spędzili bezsenłą

noc. Uderzyła ją pewna więź wyraźnie widoczna między obojgiem.

- No rzeczywiście - rzekła Constance, obrzucając ostrym spojrzeniem przybyłą parę. - Policja właśnie zabrała męża tej

damy. Czyż nie jesteś szczęśliwy?

- On nie jest moim mężem i nigdy nie był

-wyjaśniła Anna, unosząc głowę.

- Więc... więc słyszałaś moje słowa? -
zapytała Riva.

- Wysłuchaliśmy tego przez radio w
samochodzie -odparła Anna. - Ale
wiedziałam już o tym przed kilkoma
dniami,

gdy Dante opowiedział mi o ślubie
twoim i Edisona. Mój syn urodził się
dziewięć miesięcy po moim tak zwanym

ślubie, a przecież Erin jest od niego
starsza niemal o rok. Tak więc
małżeństwo, jakie zawarł z tobą,
musiało być

wcześniejsze. Moje zatem jest nieważne. Nie ukrywam, że był to dla mnie spory szok.

- Ale jakże użyteczny - rzekła zgryźliwie Constance. - Mogłaś już bez poczucia winy bawić się w Ko-rolado, prawda?

Anna wymieniła z Dantem porozumiewawcze spojrzenie, a potem szybko odwróciła wzrok. Na jej policzki wypełził

rumieniec.

- Nie całkiem bez poczucia winy - odpowiedziała. - Ale z pewnością bez żalu.

Constance wzruszyła ramionami, a zwracając się do Dantego, rozjaśniła twarz serdecznym, może nawet za słodkim

uśmiechem.

- Coralie i Pietro stęsknili się za tobą. Właśnie idę na górę zanieść im coś do zjedzenia. Może zechciałbyś ich

odwiedzić?

- Przepraszam, ale teraz nie mogę - odmówił stanowczo. - Przekaż im jednak moje pozdrowienia.

Uśmiech zniknął z twarzy Constance, która szybko odwróciła się w stronę

bufetu.

- Wątpię, bym miała na to czas. Muszę się spakować.

- Wyjeżdżasz? - zapytała Riva. - Noel jeszcze nie miał okazji nacieszyć się obecnością dzieci.

- To nie moja wina. Sądzę jednak, że mogą tu zostać. Noel przywiezie je do Paryża dopiero pod koniec lata.

- To... bardzo uprzejme z twojej strony - rzekła Riva patrząc, jak Constance pośpiesznie i bezmyślnie układa na talerzu

stosy jedzenia.

- Nic podobnego - oświadczyła. -
Zaproszono mnie na długi rejs po
Mikronezji. Nie byłam dotąd pewna, czy
mam na

to ochotę, ale teraz się zdecydowałam.
Czyż to nie wspaniała podróż?

Napełniwszy talerze, Constance
odwróciła się do zebranych, obrzuciła
całą trójkę niechętnym spojrzeniem i
wyszła

bez słowa.

Dante natychmiast podjął temat wyraźnie
go absorbujący, nie zważając, czy słowa
docierają do Constance.

- A jeśli chodzi o Edisona, Rivo... Czy nie wiesz, dokąd go zabrali?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam jednak, że do sądu.

Zmarszczywszy czoło, Dante rozcierał sobie kark.

- Nie sądzę, byśmy mogli wiele zdziałać, nawet gdybyśmy tam pojechali.

- Myślałam już o tym - powiedziała Anna. - Nie chcę zostawiać zbyt długo Josha samego, a wątpię, by Edison

spodziewał się, że przybędę trzymać go za rękę. Najlepsze, co możemy zrobić, to powiadomić o wszystkim jego

adwokata, a potem wrócić do szpitala.

- Myślę, że masz rację - przyznał Dante.
Anna zwróciła się do Rivy:

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

Riva wskazała aparat w bibliotece, zapraszając, by potem wróciła coś zjeść lub przynajmniej wypić filiżankę kawy.

Anna skinęła głową z uśmiechem i poszła zatelefonować do adwokata.

- Mogłaś do mnie zadzwonić - powiedział Dante, gdy zostali sami.

- A co by to zmieniło?

- Mógłbym być z tobą.

Na jej twarzy ukazał się znużony uśmiech.

- Myślę, że powinnam cię była poinformować, o co chodzi. Mógłbyś ostrzec Annę.

- Punkt dla ciebie!

- Nie chciałam tego tak ująć! Masz prawo być, z kim chcesz.

Potrząsnął głową.

- Przypuszczam, że gdybym tu bywał ostatnio, byłbym na bieżąco...
Zniszczyłem wszystko, prawda?

- Nie, naprawdę nie! Nigdy nie rościłam sobie prawa, by wypytywać, gdzie jesteś i z kim.

- Gdybyś tylko chciała, zawsze mogłaś to robić. Cieszyłoby mnie to. Nawet kiedy zabrałem Annę w góry, mogłaś zapytać. Ale to się nie udało, prawda? - Odwrócił się z pociemniałymi nagle oczami.

- Byłam zazdrosna, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. Sądzę, iż dlatego, że nie była to jedna z tych twoich dziewczyn -

bezmyślnych i zaledwie pełnoletnich. Anna jest kimś, kto łatwo może zająć

moje miejsce.

- Mogłaś czuć się zraniona, ale nie wierzę, że byłaś zazdrosna. To przyjaźń była tym, co - jak ci się zdawało - tracisz,

nie miłość. Nie ma przecież powodu kryć, że bez względu na to, jak bardzo się staraliśmy, nigdy nam się uczucie nie udało.

Riva spojrzała posmutniałymi oczami.

- Masz chyba rację; nigdy nam się nie udało.

- Ale wiesz, że zawsze będziemy

przyjaciółmi; niezależnie od tego, co się stanie - mówił, zamykając jej dłoń w ciepłym

uścisku. - Zaszliśmy już za daleko, by zerwać więzy, które nas łączą.

Zostaniemy przyjaciółmi... Zwyczajowe przyrzeczenie kochanka składane w chwili rozstania. Wszystko, co można

zrobić, to pozwolić mu odejść. Nigdy jednak nie miała zamiaru zatrzymać go. Uśmiechnęła się, spoglądając na

Dantego przez łzy, które ostatnio tak łatwo napływały jej do oczu. Otarła je szybciotko.

- Tak, będziemy...

- Dzięki Bogu i za to.

- Dziękuję ci - powiedziała i pocałowała go w policzek.

Kilka minut później wróciła Anna i niebawem oboje zebrali się do odejścia. Riva stojąc na tarasie, przyglądała się, jak

odjeżdżają. W końcu odwróciła się i weszła do domu.

W holu spotkała Erin. Anna telefonowała nie tylko do adwokata Edisona, ale i do szpitala, a Erin była pod ręką i

wysłuchiwała sprawozdania. Josh był już przytomny i odzyskał świadomość. Lekarze wciąż nie mieli pewności, czy uda

się uratować jego ramię, ale byli raczej dobrej myśli. Pacjent zaś odczuwał głód i domagał się konkretnego posiłku;

bulion i krakersy nie budziły już jego zainteresowania. Domagał się także widzenia z Erin.

Gotowa była pojechać do szpitala. Za jakiś czas: za dzień czy dwa, a może jeszcze tego wieczoru. Wraz z Anną

podejmą decyzję, kiedy powiadomić Josha, że ma przyrodnią siostrę. Doug

proponował podwiezienie Erin do

szpitala, jeśli mama jej nie potrzebuje.
Czy tak jest w porządku?

Riva patrzyła, jak córka idzie w dół
podjazdu razem z młodym fotografem.
„Mama” - powiedziała. Myślała już o
niej

jako matce.

Riva uśmiechnęła się, a potem
potrząsnęła niepewnie głową słysząc,
jak córka i Doug sprzeczą się, czy
wpaść, czy

też nie na pizzę w drodze do szpitala,
ustalają, kto za nią zapłaci i czy wziąć

porcję dla Josha.

Niefrasobliwa młodość jest wspaniała!
Zaakceptowanie Josha w roli
przyrodniego brata zabrało Erin trochę
czasu,

lecz zdawała się przejść już nad tym do
porządku. Proponowała nawet
nieśmiało, że mogliby następnego lata

pojechać do Kolorado we troje: ona,
Doug i Josh. Riva objęła córkę
serdecznie i pozwoliła jej jechać do
szpitala.

Jeszcze czas myśleć o wyjeździe do
Kolorado.

Teraz musi udać, że je kanapkę, którą przygotowała Liz, a potem pożegnać się z Bonne Vie, z Abrahamem, z

George'em i Liz, a także z... tak... z Noelem również. Miała nadzieję, że uda jej się dokonać tego z godnością i niewielką ilością łez.

Nigdy nie należała do tego miejsca!
Nigdy.

To śmieszne, ale wbrew tej świadomości wciąż czuła się częścią Bonne Vie.

Ona i Noel podeszli do bufetu równocześnie. Byli sami; domownicy

gdzieś się rozeszli. Sięgnęli po talerze i srebrne

sztućce i zgodnym ruchem wyciągnęli ręce po grzyby zapiekane z bekonem. Noel cofnął dłoń, by Riva mogła nałożyć sobie pierwsza.

Była to dla niej okazja do rozmowy. Aż do tej chwili Noel zajmował się różnymi ważnymi osobami, rozmowami

telefonicznymi z biurem korporacji i miejscowymi dygnitarzami, którzy słyszeli o konferencji.

Zanim straciła odwagę, zapytała:

- Czy mogę z tobą porozmawiać?

Spojrzał na nią poważnie.

- Oczywiście, kiedy tylko zechcesz.

- To może w bibliotece? Jest kilka spraw, które musimy omówić we dwoje.

- Czy jesteś pewna, że masz na to dość sił?

- Jestem pewna; im szybciej, tym lepiej.

- Zatem porozmawiajmy od razu.

- W porządku - odpowiedziała pustym głosem, zbierając grzyby z półmiska.

Zabrali jedzenie do biblioteki. Było to najbardziej intymne pomieszczenie w całym domu; odizolowane od reszty nie

tylko przez pusty hol, zewnętrzny krużganek i sypialnię, lecz również przez ciężkie regały z mahoniu i szkła stojące

wzdłuż ścian. W głębokiej ciszy jedli kanapki z szynką i pomidorami oraz kurczęta, kiełbaski gumbo, zimne krewetki,

plastry kraba i pieczone grzyby.

Jedynym dźwiękiem było przez chwilę ciche podzwanianie srebrnych sztuców

o

porcelanę.

Riva słyszała kiedyś, że spożywanie posiłku z ukochanym mężczyzną bywa niekiedy zmysłowym przeżyciem. Ten

pomysł wydawał się jej zawsze zabawny. Nigdy nie znajdowała w tym niczego seksownego. Teraz także nie budziły

się w niej podobne odczucia. Gardło miała tak ściśnięte, że ledwie mogła przełykać, a dania, pikantne i doskonale

przyprawione, nie miały lepszego smaku niż kanapki z automatu. W końcu zrezygnowała ze zmuszania się do

jedzenia i naląła sobie soku
pomarańczowego z wodą sodową.

Zastanawiała się, jak zacząć rozmowę,
gdy nagle Noel odłożył serwetkę, wypił
ostatni łyk wina i zapytał:

- Czy wyjdiesz za mnie?

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.
Zrozumiała sens jego słów, ale umysł
odmówił ich zaakceptowania.

Przypomniała się jej inna propozycja,
złożona także w czasie jedzenia.

Oświadczyły w trakcie posiłków i
zaskakująca

taktyka wydawały się zwyczajem

mężczyzn z tej rodziny...

- To znaczy, gdy uwolnisz się już od Gallanta - dodał. - Słyszałem waszą rozmowę...

- Nie! - odparła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Słyszałem, jak mówił, że wciąż jesteś jego żoną.

Odstawiła szklaneczkę na tacę.

- Chcę powiedzieć: nie, nie wyjdę za ciebie. Jesteś bardzo szlachetny, że mi proponujesz małżeństwo, ale to

niemożliwe.

- Nie widzę nic niemożliwego. - Głos zdradzał zdenerwowanie Noela, a jego palce zaciśnięte na nóżce kieliszka

pobielwały. Wydawało się niepojęte, iż kryształ nie pękł.

- Nie wyjdę za mąż tylko dlatego, że jesteś tak szlachetny, by mi to zaproponować, jakby to miała być rekompensata

za moje ciężkie przeżycia.

- A więc co zamierzasz? Po prostu porzucić wszystko, na co zapracowałaś, wszystko, co zbudowałaś razem z moim ojcem? Przecież to jest w dużej części

twoją zasługą. Ojciec był człowiekiem inteligentnym, ale nazbyt

konserwatywnym, łatwo zadowalał się małymi przyjemnościami i małymi zyskami - sam by nigdy nie rozwinął aż tak

Staulet Corporation. Jednak i tobie nie udałooby się dokonać tego bez jego wsparcia. Razem zbudowaliście coś silnego

i trwałego. Nie możesz tego zostawić!

- Muszę! - wykrzyknęła. - Nie mam do niczego żadnego prawa!

- Masz wszelkie prawa, brak ci jedynie

legalnego tytułu. Mogę ci go dać, a wszystko zostanie bez zmian. Czemu, na

Boga, nie chcesz na to pozwolić?

Podeszła do okna.

- Jakież ja mam prawa? - spytała przez ramię. - Wszystko było kłamstwem przez całe długie lata.

- Byłaś przekonana, że jesteś mężatką. Cosmo także sądził, że jesteście małżeństwem. Wszystko, co robił, wskazywało

na to, że jesteś jego żoną. Ceremonia, przez którą przeszliście, była - jak sądzę - jedynym obrzędem religijnym, jaki

kiedykolwiek celebrowałaś. Zarówno w jego oczach, jak i w oczach Kościoła byłaś żoną mego ojca.

- W świetle prawa jednak byłam tylko jego utrzymanką...

- Mogę to zmienić.

- Kiedyś, całkiem nieświadomie, pozbawiłam cię twoich praw. Nie zrobię teraz tego świadomie.

Odstawił kieliszek i wstał.

- Niczego mnie nie pozbawiłaś.

- Och, proszę - westchnęła, obracając ku niemu twarz. - Oboje wiemy, że to

nieprawda.

- Nic nie mogłaś poradzić na to, co się stało. Wiedziałem o tym.

Wpatrywała się w jego rysy.

- Naprawdę? - zapytała nieufnie.

- Czuję, że ojciec skłamał, a upewniłem się, gdy po latach spędzonych daleko stąd ujrzałem cię znowu.

- Ja również nie całkiem uwierzyłam w to, co mówił o tobie, prócz... Czemu więc odszedłeś, jeśli nie dlatego, że to on

wyгнаł cię za próbę zniszczenia naszego małżeństwa?

- Bo domyślałem się, co ci powie, i wiedziałem, że gdybym został, miałby rację. Bardzo cię kochałem.

Bolesny uśmiech wykrzywił jej usta.

- Musiałeś doprowadzić to do gorzkiego końca, prawda? Przecież nie musiałeś tego mówić.

- Wiem - powiedział cierpko. - Powiedziałem, bo chciałem powiedzieć.

- Po tym wszystkim? Masz więc bardzo elastyczne serce. Jeśli tak bardzo mnie kochasz, to czemu -niczym

rewolucjonista prowadzący Marię Antoninę na gilotynę - wypchnąłeś mnie, bym stawiała czoło prasie?

- Ponieważ ta cała przykra historia musiała w końcu znaleźć rozwiązanie. Narosło zbyt wiele nieporozumień, podejrzeń, by mogło być inaczej.

Zamknęła na moment oczy. Na jej twarzy malował się smutek.

- Masz odpowiedź na wszystko, prawda?

Zaklął cicho i ruszył w kierunku biurka, które stało w drugim końcu biblioteki, i wyjąwszy z kieszeni klucz, otworzył

szufladę. Wyciągnął plik papierów i wrócił z nimi do Rivy. Podał jej dokumenty.

- Co to jest? - W jej napiętym głosie brzmiała wciąż nieufność.

- Przeczytaj.

Dokumenty pozwijały się na brzegach i nieco zżółkły. Spięte były małą metalową klamrą, która zostawiła na papierze

ślady rdzy. Na stronie tytułowej napisano nazwisko Rivy, jej nazwisko panieńskie i datę - połowa czerwca 1964 roku.

Niżej zaś widniało jedno słowo napisane na maszynie: „Raport”.

Riva podniosła wzrok ku Noelowi. Nie była pewna, czy chce zobaczyć, co zawierają dokumenty.

- Przeczytaj - polecił stanowczo.

Uniosła stronę tytułową i przejrzała następne. Był to szczegółowy raport, dossier Rebeki Benson-Gallant.

Znajdowały

się tu imiona jej rodziców, daty ich urodzenia i ślubu, a także imiona i dane sióstr, łącznie z datą śmierci Beth i jej

oficjalny, choć nieprawdziwy powód.

Akta zawierały również komplet szkolnych świadectw Rivy, a nawet

zaświadczenie o jej trzytygodniowej nieobecności w szkole spowodowanej tym, co lekarze nazwali łagodnym

przypadkiem polio. Były tu także lekarskie zaświadczenia o przeziębieniach i jakichś drobnych zabiegach,

zaświadczenie od dentysty i dowody szczepień wykonanych w lokalnej poradni. Znajdowało się tu więcej informacji o

najwcześniejszych latach Rivy, niż mogła przypuszczać, że w ogóle dałoby

się zebrać. Był tam także akt małżeństwa zawartego w Arkansas, pod nim zaś dopisek: Żadnego śladu rozwodu w Arkansas, Luizjanie ani w sąsiednich stanach.

Małżeństwo należy uznać za nie rozwiązane.

Wpatrywała się w te słowa z nadzwyczajną koncentracją, a potem wróciła do pierwszej strony i jeszcze raz

sprawdziła datę.

- To raport, który Cosmo sporządził w czasie, gdy pracowałam w barze -

powiedziała w końcu. - Wspomniał mi o nim

kiedyś.

- No właśnie. Te dokumenty zamknięte były w szufladzie jego biurka przez ponad dwadzieścia cztery lata.

- Wiedziałaś, że tu są? - zapytała, przełykając ślinę i nie patrząc na niego.

- To ja włożyłem je tutaj, gdy znalazłem te papiery w miejscu, gdzie ojciec rzucił je na podłogę.

Było to wyznanie, którego nie mogła zrozumieć.

- Ale dlaczego Cosmo nic nie powiedział? Czemu urządził ten ślub, skoro wiedział, że ciągle jestem mężatką?

- Któż to wie? Może sądził, że raport jest niedokładny, a małżeństwo z Edisonem nieważne - tak jak mu mówiłaś?

Może przypuszczał, że opuścisz go w krótkim czasie? Wtedy nie przypadłoby ci nic z jego majątku. Może bał się

wspomnieć ci o tym ze strachu, że skontaktujesz się z Edisonem i wrócisz do niego? Już nigdy nie dowiemy się, co powodowało ojcem.

- Przypuśćmy... przypuśćmy, że miałabym z Cosmą dziecko?

- Wtedy prawdopodobnie szybko zaaranżowałby twój oficjalny rozwód z Edisonem i kolejny ślub. Nie wyobrażam

sobie, by mógł postąpić inaczej.

- Chyba że ochraniał ciebie... -
podsunęła.

- Masz na myśli moje dziedzictwo?
Wątpię, by przeważało prawa waszego dziecka.

- Ale czemu utrzymywałaś te papiery w sekrecie po pogrzebie ojca? Ujawnienie

ich mogłoby ci przynieść znaczne korzyści.

- Ujawnienie? Zrobiłem przecież wszystko co w mojej mocy, by ukryć tę informację. Udałem się nawet do Edisona i

zaoferowałem mu finansowe poparcie jego kampanii, byle tylko powstrzymać go od przekazania ci tych wiadomości i powstrzymać go od manipulowania tobą.

- Naprawdę to zrobiłeś? - zapytała i uniosła ku niemu zdziwiony wzrok.

- Tak, choć powinienem był wiedzieć,

że Edison będzie honorował porozumienie, które zawarliśmy, jedynie tak

długo, jak będzie to wygodne dla niego, dopóki nie będzie potrzebował spożytkowania tej informacji do ocalenia

własnej skóry.

Potrząsnęła głową.

- Wciąż nie rozumiem...

- Naprawdę? Chciałem, byś tu została. Chciałem być pewien, że nic nigdy nie spowoduje twojego odejścia. Czyż to nie

jest jasne?

- Za cenę połowy wszystkiego, co prawnie należy się tobie?

Wziął z jej rąk raport i rzucił na biurko.

- Nie było to ważne przed laty, i teraz również nie ma znaczenia. Ojciec był z tobą szczęśliwy. Sprawiałaś, że ten dom

ożył. Obawiałem się, że gdy się dowiesz, iż jesteś wolna, odejdiesz... A to była ostatnia rzecz, jakiej chciałem.

- A dawno temu, gdy Cosmo powiedział, że cię oszukałam? Gdy zwrócił się przeciwko tobie z mojego powodu?

- Byłaś dla mnie ważniejsza niż jakikolwiek dom, choćby nie wiem jak cenny; ważniejsza niż cały stos akcji...

- A więc uczyniłeś ten piękny gest...

- O Boże, nie! To nie było tak!

Roześmiała się.

- To określenie Constance, nie moje - wyjaśniła. - Ale jednak odjechałeś i zostawiłeś to wszystko, zostawiłeś mnie.

- Tego życzył sobie ojciec.

To była prawda, choć wiedziała - równie dobrze, jak wiedziała, że jutro wszędzie słońce - że nie był to jedyny

powód.

Potrząsnęła głową patrząc na niego zdziwionymi zielonymi oczami.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! N

apięte mięśnie jego twarzy zadrżały.

- Cóż więc może cię przekonać?! Co mogę zrobić, abyś zrozumiała, że chcę być z tobą, że chcę się z tobą kochać, mieć

cię zawsze tuż obok - w domu i w firmie?!

- Chcesz zająć miejsce swojego ojca?

- Chcę zająć swoje miejsce, którego przed laty mu ustąpiłem.

- Z miłości?

- Z miłości - potwierdził. - A także z szacunku i przywiązania oraz dlatego, że on zasługiwał na twoją miłość, a ja nie.

- Myślałam, że mną gardzisz, bo chroniałam Edisona. Skąd ta zmiana?

- Wysłuchałem tego, co powiedziałaś przed kamerami, i zrozumiałem, że jestem w błędzie. Ochroniałaś Margaret,

starając się powstrzymać ją od zrujnowania sobie życia. Wszystko zaczęło wiązać się w logiczną całość,

gdy pojąłem,

jak bardzo poświęciłaś się dla Erin.

W końcu ośmieliła się zadać pytanie, które mogło przynieść szczególnie bolesną odpowiedź.

- Nie masz nic przeciwko Erin?
Przeciwko temu, że mam córkę?

- Jak mógłbym mieć coś przeciwko temu, skoro ja sam mam córkę i syna. A Erin jest dla mnie kimś szczególnie bliskim, bo tak bardzo przypomina ciębie.

Serce Rivy wezbrało radością, a w

oczach znów poczuła łązy.

- Jakiś ty wielkoduszny - powiedziała z wysiłkiem. - Przypuszczam, że oczekujesz czegoś w zamian?...

- Nie! - Jego głos stał się nagle zmęczony, a spojrzenie szarych oczu bezbronne. - Nie chcę miłosierdzia, poświęcenia.

Nie chcę niczego prócz ciebie.

Podeszła bliżej i wtuliła się w ramiona Noela.

- Czy przyjmiesz ten podarunek? - zapytała cicho. - Podarunek miłości, która zawsze należała do ciebie?

Przyciągnął ją i objął mocnym uściskiem, jakby nie dowierzając, że mu już nie umknie.

- Zawsze? - szepnął, wtulając usta w jej włosy.

- Zawsze. Przyrzekam - oświadczyła stanowczo. Uniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy, a na jego twarzy malowała się

miłość tak głęboka, tak bezgraniczna, że niemal bolesna. Powtórzył jak echo:

- Zawsze...